

POSZUKIWACZE

LUIS
MONTERO
MANGLANO

MIASTO
ŚWIĘTYCH MĘŻÓW



POSZUKIWACZE

LUIS
MONTERO
MANGLANO

MIASTO
ŚWIĘTYCH MĘŻÓW

PRZEŁOŻYŁY

Katarzyna Okrasko

Agata Ostrowska



Coś się skryło. Idź i znajdź to. Idź i szukaj za górami...

Coś ukrytego za górami. Ukryte czeka tam na ciebie. Idź!

Rudyard Kipling

Dzieci za młodu kochają swych rodziców, potem ich sądzą. Rzadko zaś im przebaczą¹.

Oscar Wilde

01000100 01101001 01101111 01110011 00100000 01100101

01110011 00100000 01101110 11000011

10111010 01101101 01100101 01110010 01101111

Platon

Oscar Wilde, *Kobieta bez znaczenia*, przeł. Janina Pudełek [w:] *Cztery komedie*, red. Juliusz Żuławski, PIW, Warszawa 1961, s. 210. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek. [[wróć](#)]

Jeśli poszukujesz odpowiedzi, ja ci w tym nie pomogę. Nigdy mnie one nie interesowały, zależało mi tylko na pytaniach. W końcu miałem ich zbyt wiele.

Chcesz się dowiedzieć, jak się to wszystko skończyło? Mógłbym ci opowiedzieć, pewnie, ale znam lepszą historię.

Najlepsze opowieści, wielkie narracje zawarte w książkach, wykorzystywane potem przez miliony ludzi jako życiowe przewodniki, mają swój początek i koniec w chaosie. Dobrze to znasz: „Na początku było to czy tamto...”. A ten początek znajduje się zwykle w jakimś mrocznym, niezbyt przyjemnym miejscu.

Również i ta historia narodziła się w chaosie: władcy ginący na polach bitwy, upadające królestwa, wojna i strach. Narodziny czegoś nowego, a porody są przecież zawsze brudne, lepkie i krwawe.

W roku 711 Berberowie z północnej Afryki najechali toledońskie królestwo Wizygotów z bułatami w rękę i imieniem Allacha na ustach. Na ich czele kroczył wódz zwany Tarikiem – jak głosi legenda, kierowało nim pragnienie zdobycia potężnego skarbu, zapewniającego osiągnięcie najwyższej władzy na świecie. Szem ha-Meforasz. Ołtarz Imienia nad Imionami.

Stół Salomona.

W pobliżu Toledo stał niegdyś klasztor zamieszkały przez dość liczną wspólnotę. Mnisi znali tajemnicę położenia Ołtarza Imienia nad Imionami – znajdował się on bowiem wprost pod ich własną podłogą, w tym samym miejscu, w którym Święty Izydor, biskup, na zlecenie królów wizygockich schował go przed chciwymi rękami. Ołtarz – przeklęty prezent podarowany Salomonowi przez wiedźmę Lilith – krył w sobie kabalistyczną formułę prawdziwego imienia Boga. Nikt nie powinien go nigdy wykorzystać, ponieważ jego moc nie była przeznaczona dla śmiertelników.

Pewnej nocy siedmiu pielgrzymów stanęło na progu klasztoru i zaczęło walić we wrota z taką siłą, jakby zamierzali ogłosić nastanie dnia Sądu Ostatecznego. Mężowie ci przybyli pieszo z tajemniczych gór na północy, z regionu Bierzo, z miejsca zwanego Doliną Ciszy.

Toledońscy mnisi słyszeli o tej krainie i jej osobliwych mieszkańcach. Mówiło się, że dawno temu złowrodzy pustelnicy z Afryki przemierzyli Półwysep Iberyjski aż do Doliny Ciszy w ślad za świętym anachoretą Fruktuozusem, który dokonywał niesłychanych cudów. Po dotarciu w góry pustelnicy zaszyli się w przepastnych jaskiniach, gdzie od tej pory żyli wyłącznie o wodzie, owadach i słowie Bożym. Dnie i noce zlewały im się w jedno, upływały na niekończących się modłach. Sława tych świętych mężów wzbudzała w wielu raczej lęk niż nabożny szacunek, jakby chodziło nie o ludzi z krwi i kości, a o istoty z innego świata.

Siedmiu pielgrzymom, którzy w środku nocy wtargnęli do klasztoru w Toledo, przewodził człowiek imieniem Teobaldo. Podobnie jak jego towarzysze, i on był eremitą z Doliny Ciszy.

Teobaldo bez żadnych wstępów zażądał rozmowy z opatem. Żaden z onieśmielonych mnichów nie śmiał się sprzeciwić przybyszowi, którego twarz zdawała się pokryta mchem i porostami niczym stary głaz. Obudzili opata i zaprowadzili go przed

oblicze Teobalda oraz jego kompanów.

Oczom opata ukazało się siedem cieni spowitych w szare, utyłane i wystrzępione habity. Z siedmiu twarzy wyrastało siedem bujnych, zmierzwionych bród, niczym skłębione korzenie porastające siedem skał, nad nimi zaś widniało siedem par oczu, białych i ślepych jak czternaście odłamków kwarcu.

Opat zapytał, dlaczego chcieli się z nim widzieć, na co Teobaldo odparł, że przybyli w poszukiwaniu Ołtarza Imienia nad Imionami. Przełożony toledańskich mnichów poczuł dreszcz na plecach. Nikt nie powinien wiedzieć, że Stół Salomona przechowywano pod fundamentami klasztoru, sekret ten znali wyłącznie władcy Toledo, a jego ujawnienie karano śmiercią. A jednak ci mężczyźni, siedem szarych zjaw, o tym wiedzieli. Jak to możliwe?

Teobaldo odpowiedział i na to pytanie. Ujrzeli Ołtarz we śnie. Anachoreci z Doliny Ciszy od dawien dawna posiadali dar przyjmowania słowa Bożego za pośrednictwem snów i wizji. Tym zaś siedmiu mężom kilkakrotnie przyśniło się dokładnie to samo.

W wizji tej, jak opowiadał Teobaldo, przemawiał do nich jakiś mężczyzna. Stał on pośrodku obfitego sadu, u jego stóp szemrały strumyki, a od dotyku jego dłoni wyrastały drzewa obsypane gęstym listowiem. Nazwał go Zielonym Prorokiem.

Zielony Prorok ukazał im armię ciemnoskórych żołnierzy o zakrytych twarzach, uzbrojonych w miecze zakrzywione w kształt półksiężyca. Przepowiedział upadek królestwa Toledo i grabież najcenniejszych skarbów Wizygotów.

„Przybywają po Ołtarz Imienia nad Imionami – oznajmił. – Nie mogą go zdobyć”.

Zielony Prorok powierzył siedmiu pustelnikom zadanie wydobywania relikwii z ukrycia i przeniesienia jej daleko, jak najdalej, gdzie przenigdy nie osiągną jej chciwi mężowie przepelnieni żądzą władzy. Należało działać szybko, mroczne zastępy bowiem już pukały do bram królestwa. Koniec się zbliżał.

Przerażony tymi zapowiedziami opat zaprowadził Teobalda i jego świtę w głąb Jaskiń Heraklesa, gdzie biskup Izydor ukrył Ołtarz Imienia nad Imionami. Pod osłoną nocy, w najskrytszej tajemnicy siedmiu anachoretów wydobyło Ołtarz z podziemnej kryjówki. Aby zmylić potencjalnych łupieżców, w miejsce Stołu Salomona pozostawili lichą imitację wykonaną przez toledańskich rzemieślników.

Krótko mówiąc: zastosowali najprostsza sztukę z repertuaru Kawalerów Poszukiwaczy.

Po dokonaniu podmiany Teobaldo i jego towarzysze oddalili się z autentycznym Stołem, niedostrzegalni w najciemniejszym mroku, jaki panuje tuż przed brzaskiem. Przełożony klasztoru pragnął poznać cel ich podróży, ale pustelnicy nie potrafili mu odpowiedzieć.

„Zielony Prorok polecił nam udać się nad morze – wyjaśnili – i żeglować w stronę zachodzącego słońca. Bóg jeden wie, kiedy będziemy mogli się zatrzymać”.

Bracia pustelnicy dotarli znacznie dalej, niż którykolwiek z nich mógłby choćby przypuszczać. Po pełnej niebezpieczeństw podróży udało im się w końcu umieścić Stół w bezpiecznej kryjówce. Jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć, jak tego dokonali – to ciekawa historia.

Ale przecież wiesz, że znam jeszcze ciekawszą.

Na przestrzeni zaledwie kilku dziesięcioleci po wizycie Teobalda, który zniknął potem wraz ze swoją świtą w mroku nocy, królestwo Wizygotów ze stolicą w Toledo przestało istnieć, a na jego gruzach muzułmanie zbudowali kalifat rozciągający się na niemal cały Półwysep Iberyjski.

Świetnie prosperujący klasztor, chroniący niegdyś w swoich murach Stół Salomona, popadł w zupełną ruinę. Członkowie zgromadzenia zakonnego umierali jeden po drugim. Muzułmańscy kalifowie zabronili odbudowywania i utrzymywania starych świątyń wizygockich, a chrześcijanie musieli płacić nowym władcom wysokie daniny, jeśli chcieli nadal wyznawać swoją wiarę. W starym klasztorze pozostał jeden jedyny mnich. Był malutkim dzieckiem, kiedy rodzice podrzucili go pod bramę opactwa, które stało się dla niego domem – jedynym, jaki znał. Sam już nie pamiętał, ile ma lat, ale przeżył i pochował wszystkich swoich współbraci. Stary i zapomniany egzystował wśród ruin, czekając już tylko własnego końca.

Pewnej nocy, gdy leżał zwinięty w kłębek, trzęsąc się z zimna w jednej z kościelnych naw, odwiedziło go czterech pielgrzymów. To przypomniało mu pewną opowieść, słyszaną wielokrotnie od braci, która wydarzyła się ponoć, gdy był jeszcze bardzo mały.

Stary mnich zaoferował przybyszom dach nad głową, ale oni nie szukali schronienia, tylko chcieli podzielić się swoją zaskakującą historią.

Przedstawili się jako czterej z siedmiu anachoretów, którzy przed kilkudziesięciu laty zabrali Ołtarz Imienia nad Imionami, aby przenieść go w bezpieczne miejsce. Stary mnich nie wierzył własnym uszom. Tamci mężczyźni na pewno już od wielu lat nie żyli, przecież odwiedzili klasztor jako staruszkowie.

Przybysze obstawali jednak przy swoim. Twierdzili, że zawieźli Stół do odległej krainy i tam go ukryli, w mieście chronionym ręką Boga. Teobaldo wraz z dwójką towarzyszy został na miejscu, żeby pilnować relikwii, reszcie zaś nakazał powrót do Toledo i przekazanie informacji o powodzeniu misji. Stary zakonnik zaczął wierzyć w prawdziwość ich słów, dopiero gdy nieznajomi pokazali mu rękopis, w którym sam Teobaldo zdawał relację z podróży i ujawniał liczne sekrety.

Eremita zostali w klasztorze, ale śmierć w końcu ich dopadła, strawiła z zawrotną prędkością, jakby źródło ich niezwykłej długowieczności straciło swoją moc w oddaleniu od Ołtarza Imienia nad Imionami.

Stary toledański mnich pochował ich ciała w świętej ziemi, głowy zaś zachował jako relikwie – umieścił je w dzbanach pełnych miodu, według pradawnej i dość prymitywnej metody balsamowania zwłok. Głowy eremitów złożył w Jaskiniach Heraklesa, gdzie niegdyś znajdował się Stół Salomona. Obok relikwii zostawił manuskrypt Teobalda.

Mnich uznał, że tak fantastyczna tajemnica nie powinna umrzeć wraz z nim, po raz pierwszy w życiu opuścił więc klasztorne mury i wyruszył na północ.

To tam znajdowały się bowiem niewielkie posiadłości chrześcijańskie, które oparły się inwazji muzułmańskiej. Najważniejszą z nich było dumne królestwo Asturii – jego władcy wciąż podsycali żywy ogień spuścizny wizygockiej i spoglądali na południe z nostalgią za utraconym domem. Stary mnich uznał, że słusznie byłoby podzielić się

z chrześcijańskim królem historią o Mieście Świętych Mężów. Takie wsparcie moralne mogło mu się przydać w walce z innowiercami.

Mnich zmarł wkrótce po dotarciu do Asturii, przed śmiercią zdążył jednak przekazać wszystkie tajemnice królowi Alfonsowi II. Od tamtej pory informacja o miejscu ukrycia Ołtarza Imienia nad Imionami była przekazywana z pokolenia na pokolenie w rodzie władców asturyjskich. Nie istniała obawa, że któryś z nich ulegnie pokusie wykorzystania Stołu do własnych celów – choć wiedzieli, gdzie znajduje się kryjówka, pozostawała ona niedosiężna. Miasta Teobalda i pozostałych świętych mężów nie dało się zdobyć. Na wszelki wypadek toledański mnich nie wyjawiał jednak królowi Alfonsowi prawdziwej natury skarbu. Monarcha i jego kolejni potomkowie wiedzieli tylko o istnieniu miasta pełnego ogromnych bogactw leżącego po drugiej stronie morza, w kierunku zachodnim.

Sekret pozostał w ukryciu, ale legenda szybko się rozprzestrzeniła i dotarła do najodleglejszych nawet zakątków świata. Legenda o zaginionym mieście, w którym święci mężowie strzegli skarbu zapewniającego boską moc.

Któż nie skusiłby się na taką wyprawę poszukiwawczą? W historii aż się roi od poszukiwaczy, którzy poświęcili życie na gromadzenie skarbów. Na szukanie odpowiedzi.

Każdy poszukiwacz dowiaduje się jednak tego samego: na końcu drogi nie czekają wcale odpowiedzi, a kolejne pytania. To samo dotyczyło legendy o Mieście Świętych Mężów. Wielu ruszyło jej śladem, ale na drodze zostawili za sobą trop złożony wyłącznie ze znaków zapytania.

Nie brakowało zuchwałych podróżników z dalekich krain, którzy już w zamierzonych czasach próbowali dotrzeć do miasta siedmiu pustelników.

W XVI wieku franciszkanin Marcos z Nicei usłyszał z ust rdzennych mieszkańców Ameryki opowieść o zaginionym mieście pełnym bogactw i magicznych relikwii.

Marcos z Nicei znał legendę o siedmiu pustelnikach. Wiedział więc, że mieli dopłynąć do miejsca najbardziej oddalonego na zachód. Bez wątplenia musiało chodzić o Indie Zachodnie, tajemniczą krainę imperiów zbudowanych ze złota i srebra. Obdarzony bujną wyobraźnią zakonnik nie miał wątpliwości: miasto, o którym opowiadali mu tubylcy, jest właśnie tym założonym przez siedmiu świętych mężów. Marcos z Nicei nazwał je Cibolą. Dzięki silnej determinacji zdołał przekonać wicekróla Antonia de Mendozę, by ten powierzył mu zadanie odnalezienia słynnego miasta. Ekspedycja jednak się nie powiodła, a wielu jej członków straciło życie.

W 1540 roku Francisco Vásquez de Coronado próbował dokończyć dzieła, znowu z pomocą brata Marcosa z Nicei. Podczas misji poszukiwawczej raz po raz wysłuchiwali opowieści o cudownym zaginionym mieście, w którym ludzie i bogowie koegzystowali w harmonii i pokoju. Lata tułaczki przez obce ziemie zakończyły się jednak kolejną porażką. Marcos z Nicei zmarł w Meksyku w niesławie, ze zszarganą reputacją. Podobno jedyne słowo, jakie wymówił na łożu śmierci, brzmiało: „Cibola”. Powtarzał je w kółko. W końcu na to słowo poświęcił ostatni oddech.

Ale śmiałków było więcej. Więcej ludzi pragnęło je odnaleźć. Szaleńcy i amatorzy wrażeń udawali się na poszukiwanie Miasta Świętych Mężów... Ciboli, Quiviry,

Zaginionego Miasta Z. Różne nazwy opisywały to samo miejsce. Legenda rozrastała się z upływem wieków, karmiła się ciałami i duszami tych, którzy wyruszyli na ekspedycje i nigdy nie wrócili.

Mógłbym opowiedzieć ci ich historie, ale znam lepszą.

To opowieść o moich własnych poszukiwaniach. O tym, co udało mi się znaleźć... I o tym, co utraciłem.

Postanowiłem zostawić ją na koniec, bo nie znam żadnej historii, która mogłaby się z nią równać.

FREEWAY (I)

W barze prawie nie było klientów. Złożyła to na karb wczesnej pory. Zegarek wskazywał kilka minut przed siódmą.

Stojąc przy drzwiach, dziewczyna omiotła pomieszczenie wzrokiem. Zwykły bar, podobny do wielu innych znajdujących się w dzielnicy Malasaña w centrum Madrytu, choć ona sama rzadko bywała w tych lokalach. Ten akurat nazywał się Freeway. Zastanawiała się, dlaczego osoba, z którą miała się spotkać, wybrała właśnie to miejsce.

W tle leciała piosenka Frankiego Valli & the Four Seasons. Don't You Worry 'Bout Me. Przy barze, ozdobionym portretami gwiazd klasycznego rocka, stała grupka trzech czy czterech młodych mężczyzn sprawiających wrażenie stałych bywalców i pogrążonych w przyjacielskiej pogawędce z jedynym kelnerem, brunetem o ramionach pokrytych tatuażami. Z ożywionej rozmowy wynikało, że planują jakąś wycieczkę. Nie chciała im przeszkadzać, zresztą i tak nie zamierzała niczego zamawiać. Miała ściśnięty żołądek.

W najdalszym kącie knajpy, pod oknem, przy stoliku o lepkim blacie siedziała kobieta. Dziewczyna niepostrzeżenie skierowała kroki w jej stronę. Wcisnęła ręce w kieszenie czarnej skórzanej kurtki, żeby ukryć ich drżenie.

Kiedy podeszła do stolika, kobieta podniosła wzrok.

– Daniela?

Dziewczyna przytaknęła.

Przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu, a tymczasem stary, dobry Frankie zapewniał, że choć jest mu przykro i może nawet będzie płakał, zależy mu wyłącznie na jej szczęściu. Danny wolala nie roztrząsać, czy to adekwatne tło muzyczne dla tego właśnie spotkania. Właściwie nawet nie słuchała tekstu, zajęta uważnym studiowaniem kobiety, która na nią czekała.

Próbowała oszacować jej wiek. Musiała mieć około sześćdziesiątki, może nawet sześćdziesiąt pięć, ale absolutnie nie wyglądała na swoje lata. Bardzo dobrze się trzymała, była zadbana i elegancka. Nikt nie nazwałby jej piękną, ale miała w sobie coś pociągającego, emanowała naturalnym urokiem. Kremowa bluzka bez rękawów odsłaniała smukłe, muskularne ramiona. Skórę pokrywała delikatna opalenizna.

Danny spojrzała jej w oczy – ogromne, przepastne, o zachwycającym złotawym odcieniu z zielonkawymi plamkami. Wokół tęczywek dostrzegła ledwie zauważalną otoczkę soczewek kontaktowych.

Kobieta zaciągnęła się elektronicznym papierosem i wypuściła z ust cienką strużkę mentolowego dymu. Palila z leniwą nonszalancją gwiazdy kina z epoki czarno-białych filmów.

Cisza coraz bardziej się przedłużała, ale Danny to nie przeszkadzało. Zawsze przedkładała milczenie nad bezsensowną gadaninę, a w tej chwili nie przychodziły jej do głowy żadne słowa, które miałyby jakkolwiek sens. Szczerze mówiąc, cała ta sytuacja zaczynała sprawiać wrażenie pozbawionej najbardziej elementarnych zasad logiki.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

– No dobrze... Jesteśmy w komplecie...

– Zgadza się.

– Może masz ochotę... się czegoś napić? – Wskazała małą butelkę coopersa, która stała przed nią na blacie. – Mogę ci takie zamówić.

– Nie lubię tego piwa.

Kobieta pokiwała głową w zamyśleniu, jakby musiała przyswoić sobie tę informację.

– Na pewno mają też inne.

– Nie mam na nic ochoty.

Znowu cisza. I znowu to tamta ją przerwała. Tym razem odezwała się jednak w innym języku:

– Możemy rozmawiać po angielsku? Mam tremę, może dlatego nie do końca zrozumiale wyrażam się po hiszpańsku. Już od dawna nie mówię w tym języku na co dzień.

– Jak wolisz.

– Po twoim ostatnim mejlu odniosłam wrażenie, że znasz go całkiem niezłe.

W sensie angielski.

– Sporo pracuję za granicą.

– Tak? Czym się zajmujesz?

– Handel antykami.

– To brzmi bardzo... pięknie. – Kobieta postukała nerwowo paznokciem w szyjkę butelki z piwem. – Zdaje mi się, że twojego ojca bardzo interesowały te sprawy...

– Zdaje ci się?

– Nie jestem pewna. Minęło już tyle lat, od kiedy... – Odkasznęła nerwowo.

– Przykro mi.

– Z jakiego konkretnie powodu jest ci przykro? Że umarł? Że nie pamiętasz jego upodobań? Że minęło tyle lat?

– Z wszystkich tych powodów. Ale przede wszystkim z tego ostatniego.

Danny nie spodziewała się takiej szczerości.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Więcej, niżbym chciała, Danielo. Uświadomiłam to sobie, dopiero kiedy zobaczyłam cię twarzą w twarz. Upływ czasu zmienił cię w dorosłą kobietę, a mnie pozbawił tylu możliwości...

– Jakich możliwości?

– Na przykład szansy zrobienia tego, co teraz. Spotkania z tobą, rozmowy.

– Nie zwalaj winy na upływ czasu.

– Tak to widzisz? Cóż, nic dziwnego... Ale gdybym tylko mogła ci wytłumaczyć...

– Teraz masz okazję.

Kobieta wzięła głęboki oddech niczym tuż przed skokiem na bardzo głęboką wodę.

– Popeliłam błąd – przyznała. – Głupi błąd tchórza. Bo taka właśnie byłam, Danielo: głupia, tchórzliwa i próżna. Poznałam człowieka, który zaspokajał moją próżność, więc przypadł mi do gustu. Urodziło nam się dziecko... Twój brat. Zaczęło do mnie docierać, że nie odpowiada mi takie życie, ale tkwiłam w nim z głupoty i strachu. Potem ty się pojawiłaś, a ja zdecydowałam, że nie chcę już dalej iść tą ścieżką. Ogarnęło

mnie przytłaczające, bolesne poczucie, że to nie dla mnie, że marnuję nieskończenie wiele możliwości. Chciałam zostawić wszystko za sobą i zacząć od nowa. I tak zrobiłam. Zachowałam się jak mała dziewczynka, której znudziły się lalki i postanowiła pobawić się w coś innego.

– Tym właśnie dla ciebie byliśmy, prawda? Lalkami.

Kobieta wytrzymała spojrzenie Danny, nie okazała najmniejszego zawstydzenia.

– Tak, właśnie tak. Rekwizytami, dodatkami do mojego własnego życia, to wszystko. Przykro mi, ale taka jest prawda. Byłam niedojrzała i samolubna. Nie mogę udawać, że myślałam wtedy inaczej.

– Rozumiem... – powiedziała Danny. Żałowała, że nie zamówiła jednak piwa, zaschło jej w ustach. – Przynajmniej zdecydowałaś się na szczerość.

– Oczywiście, Danielo, a jak inaczej wyobrażałaś sobie to spotkanie? Domyślałam się, że to, co ci powiem, może się okazać bolesne, ale masz prawo poznać całą prawdę. Chcę, żebyś zrozumiała, jaką byłam wtedy osobą.

– Dlaczego?

– Żebyś mogła mnie osądzić. Potrzebuję tego, Danielo. Nie można starać się o przebaczenie, jeśli nie zostało się wcześniej osądzonym.

– Tego właśnie chcesz? Żebyś mi przebaczyła?

– Tak. Pragnę tego z całego serca.

Danny uważnie przyjrzała się rozmówczyni. Ani jej głos, ani twarz nie zdradzały nawet cienia sentymentalizmu; nie sprawiała też wrażenia osoby skruszonej, lecz trzeźwo myślącej, z jasno postawionym celem.

– Sama sobie wyczyść swoje sumienie. To nie mój problem.

– Źle mnie zrozumiałaś. Myślisz, że robię to tylko po to, żeby móc spokojnie spać w nocy? Nie czuję się winna, Danielo. Gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym dokładnie tak samo. Przeżyłam życie tak, jak chciałam, i jestem zadowolona, w stu procentach usatysfakcjonowana.

– W takim razie... Czego, do diabła, ode mnie chcesz?

– Chcę ciebie.

Danny spojrziała na nią z konsternacją. Nastawiła się na smętne, cikliwe sceny, podlane strumieniem łez skruchy. Spodziewała się ujrzeć zbolalą kobietę użalającą się nad sobą, w jakimś sensie nawet sobie tego życzyła – wtedy mogłaby nią gardzić. Nieoczekiwanie jednak stanęła twarzą w twarz z kimś, kto wręcz chępił się swoją oziębłością.

Uświadomiła sobie, że czuje raczej zaciekawienie niż urazę. Tak naprawdę przecież przez całe życie pragnęła poznać tę kobietę. Teraz, gdy wreszcie do tego doszło, okazała się jednak zupełnie nieprzygotowana na jej postawę.

– A Bruno? – zapytała.

Kobieta pokręciła głową.

– Już za późno. On pamięta, jak odeszłam. Nienawidzi mnie, to jasne, i nigdy nie przestanie nienawidzić. Ale ty, Danielo, byłaś wtedy niemowlęciem. Nigdy nic dla ciebie jeszcze nie znaczyłam, nie żywisz urazy do mnie osobiście, tylko do moich czynów. Nie znasz mnie, ja też cię nie znam. Możemy zacząć od nowa. To będzie nasza historia, tylko

i wyłącznie nasza.

– Dlaczego wydaje ci się, że mam ochotę cię poznać?

– Bo tu przyszłaś, nikomu nic nie mówiąc, tak jak cię prosiłam.

– Chciałam tylko zobaczyć twarz kobiety, która porzuciła mnie i mojego brata.

Trudno żywić nienawiść do ducha.

– Widzisz? Sama przyznajesz mi rację: nawet nie wiedziałaś, kogo powinnaś nienawidzić... Czujesz do mnie niechęć z przyzwyczajenia, które ktoś ci narzucił, ale zwyczaj można zmienić, zwłaszcza jeśli są zupełnie irracjonalne, a ty jesteś rozsądna, prawda, Danielo? Tak... Na pewno. Wiem to.

– Absolutnie nic nie wiesz. Nie masz zielonego pojęcia. Nie znasz mnie.

– Jesteś taka jak ja, serce mi tak mówi. Dlatego pragnę cię odzyskać. Daj mi szansę, a udowodnię ci, jak wiele nas łączy. Może wtedy będziesz mogła mnie zrozumieć... i wybaczyć.

Danny zawahała się, czy nie powinna w tej chwili wyjść. Może jednak popełniła błąd, nie powinna była zgodzić się na to spotkanie, a tym bardziej nie poinformowała o nim Brunona... Dlaczego postanowiła o niczym mu nie mówić? W końcu to też jego matka. Oboje ich tak samo zraniła.

Ale on na pewno nie chciałby mieć z nią do czynienia. Kobieta miała rację przynajmniej co do jednego: Bruno nienawidził jej z całej duszy. Nie tylko nie zgodziłby się na spotkanie, ale też zabroniłby Danny poznania matki.

Dlatego zachowała sprawę w tajemnicy.

Próbowała nienawidzić jej równie mocno jak brat, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie tak intensywnego uczucia.

Prawdę mówiąc, chciała ją poznać. Chciała z nią porozmawiać.

Chciała się dowiedzieć.

– Tak nie można – powiedziała Danny, unikając jej wzroku. – Nie możesz tak po prostu się tu zjawić i opowiedzieć mi historii swojego życia jak jakiejś obcej osobie. Nie jestem obca. Masz u mnie dług.

– Wiem. Chciałabym go uregulować. Tylko daj mi szansę.

Danny pokręciła głową.

– To... To dla mnie zbyt wiele.

Wstała z krzesła, gotowa odejść. Kobieta nie próbowała jej powstrzymać.

– W porządku. Rozumiem, potrzebujesz czasu.

Danny odeszła od stolika. Przed wyjściem z lokalu obejrzała się jeszcze na kobietę.

– Przykro mi.

Od razu pożałowała tych słów. Nie wiedziała nawet, dlaczego właściwie jej przykro.

Kobieta skinęła głową.

– Wiesz już, gdzie mnie szukać, Danielo. Będę czekała tyle, ile będzie trzeba.

Danny wyszła.

Kobieta została w barze, za jedyne towarzystwo mając chłopaków gawędzących z barmanem. Jeden chyba zażartował, bo pozostali wybuchnęli śmiechem. Kobieta nie zdołała powstrzymać gorzkiego półśmiechu, który wykrzywił jej wargi.

Wiele ryzykowała, ale miała równie wielką nadzieję, że to spotkanie przyniesie owoce. Jak to mówią, krew nie woda.

Po tej refleksji kobieta pociągnęła łyk piwa z butelki i zatopiła się w rozmyślaniach.

CZĘŚĆ PIERWSZA

TESTAMENT

LONDYN

Twarz spływała mi potem, lepkiem, gorącym potem, który zalewał mi skórę czaszki, kapał z uszu i czubka nosa, ściekał po szyi, jakby ktoś wylał mi na głowę garnek rosołu.

Serce waliło mi w piersi jak oszalałe, mięśnie nóg rwały boleśnie, ale nie mogłem przestać biec.

Coś się we mnie zbuntowało. Miałem dość, nie chciałem już dłużej czuć się jak przepecona, wyżęta ścierka. Zdecydowanym gestem wcisnąłem guzik regulujący prędkość bieżni i sprint zmienił się w spokojny spacer, a w końcu urządzenie się zatrzymało. Wykończony usiadłem na podłodze i zacząłem wycierać mokrą twarz dołem koszulki.

Tuż obok agentka Julianne Lacombe truchtała sobie spokojnie na bieżni identycznej jak ta, którą przed chwilą wyłączyłem. Przerwała na chwilę trening i spojrzała na mnie, a w jej oczach odmalował się wyraz pogardy, francuski do szpiku kości.

– Piętnaście minut? Tyle, Alfaro?

– Nie dam już rady...

Lacombe pokręciła głową.

– Żalosne.

Podawała mi butelkę wody mineralnej. Opróżniłem ją kilkoma haustami.

Oprócz nas w siłowni nie było nikogo – na szczęście; bardzo bym nie chciał, żeby postronni obserwatorzy zobaczyli, jak zwykła agentka Interpolu upokarza w ten sposób samego eks-Kawalera Poszukiwacza. Staruszek Narváez nigdy by mi tego nie wybaczył.

Pewnie nie wybaczyłyby mi również tego, jak łatwo Julianne Lacombe zdołała namówić mnie na pracę w Interpolu pod swoim zwierzchnictwem. Ale z chwilą śmierci staruszek stracił prawo do wyrażania opinii. Zresztą, do diabła, to wszystko nie było takie proste.

Lacombe zeszła z bieżni i podała mi czysty ręcznik. Wytarłem włosy i szyję, a ona nie przestawała się we mnie wpatrywać ze zmarszczonym czołem. Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć okazje, kiedy jej twarz przybrała bardziej przyjazny wyraz, odkąd zaczęliśmy razem pracować.

A szkoda. Lacombe miała naprawdę piękną twarz. Urodziła się na francuskiej wyspie Reunion, w rodzinie autochtonów, więc jej cera i tęczęwki prezentowały całą paletę ciemnych barw, ale prawie nigdy nie raczyła przyozdobić tego zestawu uśmiechem.

– Wiesz, że to przez papierosy, prawda? – rzuciła. – Ten syf zamienił ci płuca w dwa bezużyteczne worki pełne smoły.

Powstrzymałem się od odpowiedzi na ten komentarz, z braku zarówno argumentów, jak i tchu.

Przeniosłem wzrok na panoramę rozpościerającą się za przeszkloną ścianą siłowni. Roztaczał się przede mną zachwycający widok londyńskiego City, jak na

neowiktoriańskiej pocztówce, z monumentalną kopułą katedry Świętego Pawła wyznaczającą oś kompozycji. Niebo zasnuwały oczywiście gęste chmury.

Przyjechaliśmy do Londynu poprzedniego dnia. Interpol współpracował z angielską policją metropolitalną w celu odzyskania dwóch obrazów Damiena Hirsta skradzionych z Tate Gallery. Lacombe udało się namierzyć je w Bernie, tuż zanim zostały sprzedane na czarnym rynku jakiemuś chińskiemu przedsiębiorcy. Przyznam skromnie, że przyczyniłem się do tego sukcesu, ale w niewielkim stopniu: Julianne Lacombe nie należała do osób, które chętnie delegowały zadania.

Interpol zlecił Lacombe nadzór nad przekazaniem obrazów z powrotem w ręce konserwatorów z Tate, musiała więc jechać do Londynu, żeby – najprościej to ujmując – załatwić papierkową robotę. Agentka uznała, że powinienem jej towarzyszyć, bo po pierwsze – brałem udział w akcji, a po drugie – stwierdziła, że pomoże mi się to przygotować do służby w Interpolu.

– No dobra, Alfaro, koniec odpoczynku – oznajmiła Lacombe, więc dźwignąłem się jakoś, kompromitując podtrzymując się poręczy bieżni. – Pora na ćwiczenia na orbitreku.

– Nie, nic z tego. Odmawiam. Chcę wrócić do hotelu, ubrać się jak cywilizowany człowiek i spędzić czas wolny na kupowaniu pierdół w Harrodsie, jak każdy normalny Hiszpan na wakacjach w Londynie.

– Nie jesteśmy na wakacjach. To podróż służbowa.

– Dla ciebie to przecież jedno i to samo.

Wargi agentki wykrzywiły się w grymasie, który podejrzenie trącił w porę powściągniętym uśmiechem.

– Tylko dziesięć minut, zgoda? – nalegała.

– A potem koniec?

– Przysięgam. Potem dam ci święty spokój.

Skapitulowałem i wspiałem się na maszynę eliptyczną, chociaż czułem się raczej jak heretyk przekraczający próg izby tortur inkwizycji.

Lacombe przypominała bowiem nawiedzoną kapłankę kultu zdrowego ciała, która podjęła się niełatwej misji nawrócenia mnie na swoją wiarę. Od kiedy wstąpiłem w szeregi agentów Interpolu, sporo czasu spędzaliśmy na sali gimnastycznej w centrali w Lyonie. Z początku cieszyłem się na ćwiczenia w jej towarzystwie; odpadły mi treningi z Bańką w Piwnicy Korpusu Poszukiwaczy, a nie chciałem zostawiać swojej kondycji fizycznej na pastwę losu.

Nie przewidziałem jednak, że Lacombe okaże się znacznie bardziej wymagającą trenerką niż mój dawny kolega z pracy. Przyznaję, że nie zasługuję na miano najlepszego sportowca świata, ale w czasach służby w Korpusie udało mi się wyrzeźbić dyskretną muskulaturę, która w pełni mnie satysfakcjonowała. Wyglądało jednak na to, że Lacombe zamierzała przekształcić moje ciało we współczesną wersję Torsu Belwederskiego. Miałem nadzieję, że na czas krótkiego wypadu do Londynu da sobie spokój z sesjami treningowymi. Nadzieja okazała się, niestety, płonna – brytyjscy agenci również mieli do dyspozycji siłownię.

Weszliśmy więc teraz oboje na bliźniacze orbitreki, paskudne i dość przerażające

ustrojstwa. Lacombe włożyła do uszu słuchawki i zaczęła się poruszać do rytmu. Pewnie słuchała czegoś z muzyki poważnej. Jej zdaniem od czasu śmierci Prokofiewa nie skomponowano niczego, co zasługiwałoby na miano muzyki.

Słyszałem kiedyś historię, jakoby Lacombe miała wyrzucić jednego ze swoich agentów na ulicę, bo ten myślał, że *Uwertura 1812* to ostatnia z serii, a Czajkowski skomponował wcześniej tysiąc osiemset jedenaście innych. Jestem pewien, że ta anegdota jest zmyślona, ale słyszałem i gorsze plotki dotyczące mojej nowej szefowej – w Interpolu nie darzono jej powszechną sympatią. Wielu uważało mnie wręcz za najbliższego przyjaciela Lacombe, z uwagi na fakt, że dużo czasu spędzaliśmy razem w pracy. Było to dość smutne. Dla nas obojga.

Przez następne dziesięć minut maszerowałem donikąd zalewany falami potu. Sześćset bardzo długich sekund. Po ich upływie moja dręczycielka zeszła z sąsiedniej maszyny i zwróciła mi wolność.

– Na dziś wystarczy – stwierdziła z zadowoleniem. – Teraz porządny prysznic i do hotelu. Jeśli chcesz, mogę na ciebie zaczekać, pojedziemy razem taksówką. Należy ci się wolny wieczór.

– Bogu niech będą dzięki... Jesteś pewna, że nie będę ci już dzisiaj potrzebny?
– Moje pytanie było całkiem zasadne. Lacombe miała zwyczaj zakłócać mi czas wolny, jeśli wyskoczyła jakakolwiek sprawa służbowa. Nie robiła tego ze złej woli, ale z nieświadomości: bardzo mocno angażowała się w rolę agentki stojącej na straży prawa i często zapominała, że reszta świata woli poświęcać wieczory na zajęcia niezwiązane z pracą.

– Tak, tak. Jutro z samego rana mamy spotkanie z inspektorem wydziału policji zajmującego się fałszerstwami dzieł sztuki i z konserwatorami z Tate. Chciałabym przejrzeć jeszcze wszystkie nasze raporty, ale mogę zrobić to sama.

– W to akurat nie wątpię... Trzymam cię za słowo, żebyś potem nie miała do mnie pretensji, jeśli nie będę odbierał telefonu. – Zarzuciłem sobie ręcznik na ramię i ruszyłem w stronę natrysków. Nagle zebrało mi się na towarzyskość. – A może pójdziemy razem na kolację? Widziałem pub niedaleko hotelu, wydaje się całkiem przyzwoity.

Popatrzyła na mnie, jakbym złożył jej najdziwniejszą propozycję świata.

– Nie – odparła. – Nie możemy wrzucić prywatnej kolacji w koszty, oszalałeś?

– Przecież nic nie mówiłem o jedzeniu na koszt firmy... Po prostu zjemy coś dobrego, każde zapłaci za siebie i tyle.

– Co za absurdalna rozrzutność, czy ty wiesz, ile sobie liczą w tutejszych restauracjach? Zamierzam kupić kanapkę i zjeść ją w swoim pokoju, a tobie radzę to samo, jeśli nie chcesz zbankrutować.

Przez chwilę kusilo mnie nawet, żeby poświęcić trochę czasu na próbę wytłumaczenia jej rewolucyjnej koncepcji, w myśl której koledzy z pracy mogą iść razem na kolację, wypić parę kufli cydru i pogadać o głupotach, zamiast spędzać samotnie wieczór w przygnębiającym pokoju hotelowym, przeżuując przy tym jakieś paskudztwo o posmaku plastiku.

Szybko jednak się zreflektowałem, że nie ma sensu strzepić języka, ona i tak nigdy by tego nie zrozumiała.

Umyłem się szybko i wyszedłem spod prysznic. Umówiliśmy się z Lacombe na ulicy, już tam na mnie czekała.

Siłownia znajdowała się w dawnej siedzibie londyńskiej policji metropolitalnej, w zaprojektowanym przez Normana Shawa kompleksie pod numerem 10 przy Broadwayu. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do tego budynku z jeszcze ciepłą przepustką Interpolu w rękę, poczułem łaskotanie w żołądku. Od razu przypomniały mi się długie godziny spędzone w dzieciństwie na gorączkowym pochłanianiu kolejnych tomów przygód Sherlocka Holmesa; nawet przez myśl by mi wtedy nie przeszło, że kiedyś sam przekroczę próg New Scotland Yardu.

Moim oczom nie ukazali się jednak inspektorzy w tweedowych garniturach ani detektywi palący fikuśne fajki; co więcej, dziś londyńska policja już nawet nie urzęduje w budynku opisanym przez Conan Doyle'a (w 1967 roku przenieśli się do innej siedziby, a w poprzedniej znajdują się obecnie biura parlamentu). Mimo to poczułem się jak seminarzysta podczas pierwszej wizyty w Watykanie.

Zarzuciłem torbę sportową na ramię i wyszedłem z budynku. Przechodząc pod wielkim obrotowym znakiem ze słowami NEW SCOTLAND YARD wrytymi srebrnymi literami na czarnym tle, nie mogłem się powstrzymać i znów spojrzałem na nie z nabożną czcią.

Lacombe siedziała na ławce i rozmawiała przez telefon. Rozłączyła się, kiedy do niej podeszedłem.

– Gotowy? Świetnie – stwierdziła na mój widok i schowała komórkę do kieszeni.

– Muszę ci coś powiedzieć. Pamiętasz, jak powiedziałam, że możesz sobie zrobić wolny wieczór? Kłamałam.

Wyrwało mi się zniecierpliwione westchnienie.

– Błagam, nie każ mi siedzieć w pokoju hotelowym i czytać kolejnych raportów.

– Zmiana planów. Raporty będą musiały poczekać. Przyjaciółka poprosiła mnie o pomoc w pewnej sprawie i chcę, żebyś poszedł ze mną.

– Chwila, moment... Masz... masz przyjaciół? – zapytałem. Szybko się jednak poprawiłem: – To znaczy chciałem powiedzieć: masz jakąś przyjaciółkę w Londynie?

Lacombe nie odpowiedziała. Była już zajęta łapaniem taksówki.

Pracowałem z Lacombe od sześciu miesięcy, ale szczerze mówiąc, trudno byłoby nazwać nasze wzajemne stosunki przyjacielskimi.

Poznaliśmy się bowiem w nie najszcześniejszych okolicznościach. Przez wiele tygodni zajmowałem pierwsze miejsce na liście zbiegów poszukiwanych przez Interpol, a agentka pałała taką chęcią wtrącenia mnie za kratki, że pojechała za mną aż do serca Afryki, chociaż wydaje mi się, że to ona ma więcej niż ja powodów, by żałować tej decyzji.

Gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że w najmniejszym nawet stopniu nie kierowała się osobistą niechęcią, a wyłącznie godnym podziwu profesjonalnym zapałem. Co więcej, kiedy cała sprawa z Mali dobiegła wreszcie końca, u bezkompromisowej agentki Interpolu zaczęło kielkować (może i wbrew jej woli) coś na kształt szacunku dla mojej skromnej osoby. Wystarczyło, że wyrwałem ją z rąk plemienia potwornych

Pigmejów i pokonałem olbrzymiego krokodyla albinosa, który lada chwila miał nas pożreć.

Ach, tak. To była pamiętna wyprawa...

Prawie nie wspominaliśmy o wydarzeniach z Mali. Dla mnie należały one do przeszłości, którą z całych sił pragnąłem zostawić za sobą, żeby złagodzić tęsknotę za służbą Kawalera Poszukiwacza. Jeśli zaś chodzi o Lacombe, to sądzę, że pewnie do dziś się zastanawiała, czy to, co przeżyła w Afryce, zdarzyło się naprawdę, czy było tylko sennym koszmarem. Osobom pozbawionym wyobraźni trudno jest zaakceptować to, co niecodzienne. Długo nie potrafią przyjąć tego do wiadomości, a nawet kiedy w końcu to do nich trafia, szukają najróżniejszych wymówek, żeby zaprzeczyć temu, co widziały na własne oczy.

Gdy afrykańskie niebezpieczeństwa zostały już za nami, Lacombe zaproponowała mi pracę agenta Interpolu, w wydziale do spraw walki z przestępstwami przeciwko dziedzictwu artystycznemu. Uznała, że mam żyłkę do odzyskiwania skradzionych zabytków, a do tego tak wysoko cenię własną skórę, że zawsze znajdę kreatywne wyjście z ewentualnego potrzasku. Przyznaję, że miała rację.

Lacombe się poszczęściło – złożyła mi ofertę w jedynym momencie, w którym mogłem ją zaakceptować: tuż po tym, jak zwolniono mnie z Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Abel Alzaga – następca Narvaeza na stanowisku dyrektora Korpusu – którego do dziś nieraz przeklinam pod nosem, uznał mnie za zbyt nieprzewidywalnego jak na Kawalera Poszukiwacza, więc wyrzucił mnie na zbity pysk. Za najlepszy sposób na pogodzenie się z utratą pracy, do której – jak głęboko wierzyłem – byłem wręcz stworzony, uznałem wprowadzenie radykalnych zmian w swoim życiu. Propozycja Lacombe umożliwiała mi urzeczywistnienie tego planu.

Zanim jednak zostałem agentem Interpolu, musiałem załatwić pewne formalności. Kandydaci na członków tej międzynarodowej organizacji policyjnej muszą przedstawić referencje wystawione przez organ służb bezpieczeństwa jednego z państw członkowskich. Jako że Korpus Poszukiwaczy był – i nadal jest – instytucją ściśle tajną, żaden z moich przełożonych nie mógł napisać mi listu polecającego.

Na szczęście w Korpusie Poszukiwaczy od lat istnieje niepisana zasada, by członkom, którzy rezygnują ze służby, ułatwić znalezienie nowego zajęcia. Jestem przekonany, że Alzaga nie kiwnąłby nawet palcem, żeby mi pomóc, ale moi dawni współpracownicy nalegali, aby zgodnie z tradycją Korpusu potraktować mnie tak samo jak poprzedników. Nie wiem, czy Alzaga w końcu dał się urobić, bo tak czy inaczej wcale go nie potrzebowałem: wystarczyło mi wsparcie Daniela Urquija, prawnika współpracującego z Narodowym Korpusem Poszukiwaczy.

Urquijo pociągnął za siebie tylko znane sznurki i sfabrykował mi komplet akt funkcjonariusza Narodowego Centrum Wywiadu, a referencje z NCW (równie fałszywe jak moje CV) otworzyły mi drogę do Interpolu. Wszystko zajęło nie więcej niż parę tygodni.

Po tym czasie wrzuciłem mój skromny dobytek do walizki, kupiłem bilet lotniczy w jedną stronę do Lyonu i przygotowałem się na rozpoczęcie nowego życia.

Nie chciałem żadnych pożegnalnych ceremonii z padaniem sobie w objęcia. Wolałem opuścić Piwnicę, jakbym budził się ze snu, żeby to wszystko wydarzyło się jak najszybciej i żebym nie miał czasu się zastanowić, co się właśnie dzieje. Mimo to wspominam moment lądowania na lotnisku w Lyonie jako jeden z najbardziej bolesnych w moim życiu. Dopadł mnie okropny kryzys tożsamości i nie byłem pewny, czy uda mi się go przezwyciężyć. Zdążyłem już przywyknąć do myśli, że do końca życia będę Kawalerem Poszukiwaczem, tak jak mój ojciec. Nie chciałem ani nie potrafiłem robić niczego innego.

Pierwsze dwa miesiące w siedzibie Interpolu upłynęły mi na kursach przygotowawczych. Prawdę mówiąc, nowe obowiązki nie wydawały mi się zbyt skomplikowane – w Interpolu niemal wszystkie zadania wykonuje się w biurze, siedząc przy komputerze. Międzynarodowa agencja zajmuje się raczej koordynacją działań niż ich wykonywaniem, a najgroźniejsze, co może spotkać większość funkcjonariuszy, to skaleczenie w palec papierem do drukarki.

Próby zbudowania sobie w Lyonie nowego życia zakończyły się porażką. Nawiązałem nieliczne, powierzchowne znajomości, ale nowi koledzy wydawali mi się nudni, a poza tym miałem już dość udzielania oględnych odpowiedzi na rozmaite pytania osobiste. Nawet nie zauważyłem, kiedy stałem się jednym z tych samotnych ekspatów, których życie ogranicza się do gabinetu w biurze i trzydziestometrowej kawalerki w Croix-Rousse. Zdaje się, że zyskałem sobie reputację pustelnika.

Po jakimś czasie Julianne Lacombe zwróciła się z prośbą do moich przełożonych, żeby pozwolili jej wcielić mnie do jej zespołu. Kilku kolegów złożyło mi najszczerze kondolencje: nikt nie chciał pracować dla Banquise Noire, „Czarnej Kry”. Powszechnie uważano Lacombe za despotkę, wymagającą od swoich agentów pracy do upadłego. Mnie jednak właśnie tego było trzeba.

Okazało się, że znajomi z pracy nie przesadzali. Lacombe rzeczywiście cierpiała na hiperaktywność, a swoją pracę traktowała jak najprzyjemniejszą rozrywkę świata, czemu więc miałaby nie poświęcać jej całego dnia, a nawet sporej części nocy? Do tego dochodził całkowity brak empatii w stosunku do podwładnych.

Nie znam powodu takiego jej stylu bycia. Współpracownicy mieli na ten temat najróżniejsze teorie, na przykład że Julianne Lacombe miała trudno dzieciństwo, które spędziła na niewolniczej pracy w kopalni siarki, albo że inżynierowie, którzy ją zaprojektowali, zapomnieli aktywować układy odpowiedzialne za interakcje z istotami ludzkimi. Ja osobiście uważałem po prostu, że Lacombe jest niezwykle sprawną agentką, ale jednocześnie osobą niewiarygodnie niekompetentną w kwestii stosunków międzyludzkich, które zresztą zdawały się niezbyt ją interesować.

Jako że sam przechodziłem właśnie przez fazę samotnika, bez większego problemu przystosowałem się do metod nowej szefowej. Co więcej, miałem okazję sporo się od niej nauczyć. Lacombe była profesjonalistką w każdym calu i podobnie jak ja wolała pracę w terenie niż marnowanie czasu za biurkiem. Wkrótce, choć wcale się o to nie starałem, awansowałem na kogoś w rodzaju jej ulubionego agenta, co oczywiście nie pomogło mi zaskarbić sobie sympatii kolegów.

Może i nie zacieśniaлиśmy braterskich więzi – zresztą żadnemu z nas nie zależało

na zażyłości – ale niewątpliwie udało nam się wypracować wzajemny szacunek. Rozmawialiśmy tylko o pracy, czyli na jej ulubiony temat, i wyłącznie w czasie terażniejszym, co z kolei bardzo odpowiadało mnie. Tworzyliśmy zgrany zespół.

Gorączkowa aktywność Lacombe pomagała mi zapomnieć o Korpusie Poszukiwaczy i było mi z tym bardzo dobrze. Praca wydawała mi się coraz atrakcyjniejsza i zacząłem przyzwyczajać się do nowej tożsamości agenta Interpolu.

Pierwsza oznaka świadcząca o tym, że buduję swoje życie od nowa, pojawiła się w formie zaproszenia na randkę. Sympatyczna sekretarka z naszego zespołu zaproponowała mi wyjście na drinka w sobotni wieczór. Miło spędziliśmy czas, ale obawiam się, że ona oczekiwała czegoś więcej, bo skończyło się na jednym wyjściu.

– A jak to z tobą jest? – zapytała nagle w trakcie rozmowy. – Miałeś kogoś w Madrycie?

W pierwszej chwili chciałem odruchowo skłamać, ale już i tak tego wieczoru sporo jej nałgałem, kiedy musiałem zmyślać, czym się zajmowałem przed pracą w Interpolu. Przynajmniej na jedno pytanie powinienem odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Tak... Można tak powiedzieć... Ale nie skończyło się to za dobrze.

Spojrzała na mnie wyrozumiale.

– Bardzo mi przykro. Co się stało?

– To skomplikowane.

Kiedy zrozumiała, że nie zamierzam zdradzić jej żadnych szczegółów, zaczęła opowiadać o jakimś swoim byłym chłopaku. Słuchałem jednym uchem.

Myślałem o Danny.

Wsiedliśmy do taksówki i Lacombe podała kierowcy adres przy Snow Hill. Wiedziałem, że ta ulica znajduje się w samym centrum Londynu.

– Jedziemy do City? – zdziwiłem się. – Po co?

– Już ci mówiłam: moja koleżanka, która tam pracuje, prosiła mnie o pomoc w jakiejś sprawie.

– Rozumiem. Czyli twoja koleżanka jest maklerką giełdową... albo burmistrznią miasta.

Lacombe spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi. Często nie łapała moich żartów.

– Oczywiście, że nie, cóż za absurdalny pomysł. Jest detektywem, pracuje w komisariacie policji przy Snow Hill.

– No proszę, najprawdziwszy detektyw ze Scotland Yardu! A tak swoją drogą, ta koleżanka nie ma przypadkiem na nazwisko Lestrade, prawda?

– Nie, nazywa się Child. Sarah Child – odparła śmiertelnie poważnie. Kolejny dowcip przepadł zupełnie niezauważony. – I nie jest ze Scotland Yardu, tylko z policji City. To dwie niezależne formacje, powinieneś o tym wiedzieć po tych wszystkich szkoleniach.

Dobrze o tym wiedziałem, ale wcale nie dzięki szkoleniom, tylko dlatego, że zanim zostałem Poszukiwaczem, przez kilka miesięcy mieszkałem w Wielkiej Brytanii.

Londyńska policja metropolitalna (przez nas, romantyków, zwana do dziś Scotland

Yardem) czuwa nad bezpieczeństwem mieszkańców wszystkich dzielnic tego olbrzymiego miasta... wszystkich z wyjątkiem jednej, najstarszej i najważniejszej. City dysponuje własnym organem policyjnym, który odpowiada za obszar niespełna trzech kilometrów kwadratowych na brzegu Tamizy – w średniowieczu to na tej powierzchni rozciągał się cały Londyn. Ponieważ w dzisiejszych czasach City stanowi finansowe centrum brytyjskiej stolicy (a co za tym idzie, całego kraju), tamtejsza policja wyspecjalizowała się w przestępstwach gospodarczych, takich jak oszustwa giełdowe, pranie brudnych pieniędzy, unikanie opodatkowania i inne nudziarstwa. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co dwójka agentów wydziału Interpolu do spraw walki z przestępstwami przeciwko dziedzictwu artystycznemu mogłaby mieć do roboty na komisariacie policji City, więc wyraziłem swoje zdziwienie.

– Sarah zajmuje się nie tylko przestępstwami gospodarczymi – wyjaśniła Lacombe.
– Jak większość policjantów pracuje przy najróżniejszych sprawach. Dowiedziała się, że jestem przejazdem w Londynie, i poprosiła mnie o pomoc przy sprawie kradzieży eksponatu z Barbican Centre.

Barbican to ośrodek kulturalny znajdujący się w północnej części City, tuż przy granicy z obszarem wokół Old Street. W monumentalnym kompleksie mieszczą się sale koncertowe, wystawowe i teatralne. Poza tym miejsce to cieszy się też niechlubną opinią najbrzydszego budynku w całym mieście.

– Co skradziono?

– Jakiś kodeks albo coś w tym rodzaju. Sarah wszystko nam opowie.

– Skąd się znacie? – zapytałem z żywym zainteresowaniem. Ciągle nie do końca docierało do mnie, że Lacombe mogła się z kimś zaprzyjaźnić.

Agentka opowiedziała mi historię ich znajomości. Zanim zatrudniła się w Interpolu, Lacombe prowadziła śledztwa z ramienia OCBC¹, jednostki policji francuskiej. Wzięła wówczas udział w programie wymiany z członkami amerykańskich służb bezpieczeństwa. Sarah Child również w nim uczestniczyła i przez sześć miesięcy dzieliła z Lacombe malutkie mieszkanie w Nowym Jorku.

Taksówka zatrzymała się przed komisariatem przy Snow Hill – wielopiętrowym budynkiem w stylu wiktoriańskim z historycznym herbem londyńskiego City umieszczonym nad bramą wejściową. Lacombe ruszyła pierwsza i stanowczym krokiem przekroczyła próg. Kiedy dotarliśmy do recepcji, gdzie siedział umundurowany policjant, wyjęła z torebki legitymację i podsunęła ją funkcjonariuszowi.

– Julianne Lacombe. Interpol. – Zawsze tak się przedstawiała, nieważne, czy pracowała nad jakąś sprawą, czy witała się z nowym sąsiadem, tak jakby „Interpol” stanowił drugi człon jej nazwiska. – Jestem umówiona z detektyw Sarah Child.

– A ten pan?

– Tirso Alfaro. Też z Interpolu – odparłem. – Chwileczkę, gdzieś tu powinienem mieć legitymację... – Zacząłem gorączkowo grzebać w rzeczach z siłowni.

– Nie trzeba – odparł policjant. Wyraźnie nie miał najmniejszej ochoty dokonywać inspekcji dokumentu wydobytego z torby, której zawartość cuchnęła jak szatnia przy sali gimnastycznej. – Detektyw Child urzęduje na końcu korytarza, po prawej.

Ruszyliśmy z Lacombe w stronę gabinetu o przeszklonych ścianach znajdującego

się w głębi komisariatu. Detektyw Child była w środku w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Przyjaciółki powitały się wylewnie. Sarah Child okazała się niewysoką, okrągłą kobietą o rumianej twarzy i krótkich blond włosach. Połączenie to przydawało jej nieco dzieciennego wyglądu.

Starszy mężczyzna, siedzący za ustawionym w gabinecie stołem, miał pociągłą twarz okoloną wianuszkami siwych loków. Sarah Child przedstawiła go nam jako inspektora Nesbita.

– Państwo z Interpolu? – zapytał inspektor. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl srogich, niesympatycznych notariuszy, jacy pojawiają się często w powieściach Charlesa Dickensa. Szczupły i nobliwy, stanowił osobliwy kontrast z zażywną detektyw Child.

– Jestem niezmiernie wdzięczny, że zechcieli się państwo do nas pofatygować.

Dyskretnie trzymałem się z tyłu i pozwoliłem Lacombe wypowiadać się w naszym imieniu.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli pomóc, panie inspektorze. O co dokładnie chodzi?

– Niewątpliwie mamy do czynienia z przestępstwem przeciwko dziedzictwu artystycznemu. Z napadem rabunkowym, mówiąc dokładniej. Detektyw Child zasugerowała, żebyśmy się z państwem skontaktowali.

– Kiedy tylko się dowiedziałam, że jesteś w Londynie, postanowiłam do ciebie zadzwonić, Julie – przerwała mu pani detektyw.

– Podaj mi szczegóły sprawy.

– Skradziono średniowieczny rękopis. Wystawiano go w Barbican Centre na zakończonej wczoraj ekspozycji poświęconej tekstom historycznym. Problem w tym, że książka należy do prywatnego właściciela, obywatela Francji, który wypożyczył ją Barbicanowi na czas wystawy.

– Rozumiem. Francuski zabytek zrabowany w Londynie. No tak, to niełatwa sprawa. OCBC na pewno będzie chciało się wtrącić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Może będę mogła wam pomóc z koordynacją współpracy.

– Dziękuję, Julie. To właśnie miałam nadzieję usłyszeć.

– Kto będzie prowadził śledztwo?

– My, przynajmniej na razie – odparł inspektor Nesbit. – Ale przyznaję, że nasza jednostka nie dysponuje obecnie żadnym ekspertem od tego typu przestępstw, więc chętnie przyjmujemy każdą pomoc czy radę.

Lacombe zapytała o coś jeszcze, ale nikt jej nie odpowiedział. W komisariacie wybuchło nagle zamieszanie, które nas wszystkich rozkojarzyło. Jakiś człowiek bardzo głośno i niezbyt uprzejmie domagał się rozmowy z kimś ze zwierzchnictwa.

Młody policjant wetknął głowę przez uchylone drzwi gabinetu. Sprawiał wrażenie nieco zgnębionego.

– Bardzo przepraszam, panie inspektorze, ale przyszedł jakiś dżentelmen i grozi, że nas wszystkich pozwie, jeśli nie spotka się z nim jakiś oficer. Twierdzi, że jest właścicielem tego eksponatu skradzionego z Barbican Centre.

Inspektor Nesbit skrzywił się w grymasie niesmaku.

– Szlag by to trafił. Dawajcie go – powiedział, a potem zwrócił się do Lacombe z pytaniem: – Mogłaby pani zostać przy tej rozmowie? Może ten osobnik będzie zachowywał się w nieco bardziej cywilizowany sposób w obecności przedstawicielki prawa z jego własnego kraju.

– Oczywiście, nie ma problemu.

Przyprowadzono mężczyznę, który rzeczywiście sprawiał wrażenie mocno wzburzonego. Facet wyglądał jak typowy wykładowca uniwersytecki: miał siwą brodę, płaszcz o klasycznym kroju i przekrzywioną wiśniową muszkę. W jednej ręce dzierżył elegancki parasol, którym wymachiwał gorączkowo, jakby gotów w każdej chwili zacząć zadawać nim ciosy.

– Które z państwa jest tutaj szefem? – wypalił bez ceregieli tuż po tym, jak wpadł do gabinetu.

– Paul Nesbit, jestem inspektorem. To moja koleżanka, detektyw Sarah Child, a to agenci Interpolu z centrali w Lyonie.

– Państwo z Francji?

– Zgadza się. Agentka Lacombe. Julianne Lacombe. Interpol – odparła moja towarzyszka.

Ta odpowiedź wyraźnie usatysfakcjonowała mężczyznę.

– Wspaniale. Proszę mi więc powiedzieć, jakie kroki zamierza podjąć pani agencja w celu odzyskania cennego obiektu, który został mi skradziony.

– Przykro mi, proszę pana...

– Panie doktorze – poprawił ją. – Doktor Dennis Rosignolli.

– Przykro mi, panie doktorze, ale jestem tu wyłącznie w charakterze konsultantki. Pańską sprawę prowadzą inspektor Nesbit i detektyw Child.

– Ach tak? Nie rozumiem, jak mogą oczekiwać jakichkolwiek postępów, skoro tkwią w biurze. Śmiem wątpić, żeby zguba miała się odnaleźć w którejś szufladzie. Manuskrypt zaginął już wiele godzin temu, a ja nadal czekam, aż ktoś raczy mnie poinformować o jego choćby domniemanym losie!

– Obawiam się, że poszukiwania wymagają nieco więcej czasu. Mogę tylko zasugerować, żeby nam pan zaufał. Robimy wszystko, co w naszej mocy – odparł Nesbit.

– To mi nie wystarczy! Bynajmniej, panie inspektorze! Nic nie rozumiecie! Zdajecie sobie w ogóle sprawę, jak ważny to obiekt? Nie, skąd, dla was to tylko jakieś stare, zakurzone papiery. – Rosignolli wycelował w Nesbita czubek parasola. – Domagam się, żeby natychmiast zmobilizował pan wszystkie oddziały policji z tego miasta w celu jak najszybszego odzyskania zguby! Prawo jest po mojej stronie!

Następnie doktor wybuchnął potokiem nieskładnych próśb, gróźb i skarg, tak się przy tym jękając, że wypadło to raczej żałośnie niż obraźliwie. Pomyślałem sobie, że ktoś powinien zaparzyć temu facetowi melisy.

Z imponującą angielską flegmą Nesbit zdołał go jednak uspokoić, a przede wszystkim skłonić do odwieszenia parasola na wieszak, gdzie nie mógł wyrządzić nikomu krzywdy.

Rosignolli zajął miejsce, otarł chusteczką pot z czoła i poluzował węzeł muszki. Detektyw Child podsunęła mu herbatę w papierowym kubku. Po pierwszym łyku doktor

sprawił już wrażenie nieco udobruchanego.

– Dziękuję – mruknął z niechęcią. – Myślicie pewnie, że postradałem zmysły... Owszem, przyznaję, moją reakcję można uznać za nieco... gwałtowną. Ale spróbujcie zrozumieć moje położenie. Studiowałem ten rękopis przez ostatnie dwa lata i byłem już bliski osiągnięcia rezultatów. Jego utrata to dla mnie cios... niewyobrażalnych rozmiarów... Niewyobrażalnych...

– Obiecuję, że się tym zajmiemy, panie doktorze – powiedziała Lacombe. Można było odnieść wrażenie, że do niej Rosignolli odnosił się najuprzejmiej, może z pobudek patriotycznych. – Pozwoli pan, że o coś zapytam: skoro był pan już o krok od zakończenia badań, dlaczego zgodził się pan wypożyczyć rękopis na wystawę w Barbican Centre?

– Ekspozycja trwała zaledwie miesiąc, uznałem, że mogę sobie pozwolić na przerwanie prac na tak krótki czas. Tak usilnie nalegali... Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę niezwykle wysoką wartość zabytku... – Rosignolli westchnął z przygnębieniem. – Nie powinienem był dać się namówić, mój błąd. Nawet najwyższa kaucja na świecie nie wynagrodziłaby mi tej straty.

– O jakiej kaucji mowa?

– Zaoferowano mi kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy funtów w zamian za wypożyczenie manuskryptu na ekspozycję w Barbican Centre. W świetle ostatnich wydarzeń zaczynam żałować, że nie zażądałem wyższej kwoty.

– Ale abstrahując od kaucji, domyślam się, że obiekt był ubezpieczony? – wtrąciła się Child.

Oczka Rosignollego zatańczyły nerwowo, unikając wzroku pani detektyw.

– Tak, oczywiście... Na bardzo wysoką kwotę... Manuskrypt od wielu pokoleń należy do mojej rodziny.

– Jest pan Francuzem, panie doktorze? – zapytała Lacombe.

– Tak. Jestem wykładowcą na Wydziale Paleografii i Numizmatyki Uniwersytetu w Grenoble oraz członkiem CNRS² od przeszło dwudziestu lat.

– Obecnie jednak przebywa pan w Anglii...

– Wyłącznie tymczasowo. Wziąłem bezpłatny urlop naukowy, aby móc poświęcić się opracowaniu badania nad kartografią epoki Plantagenetów. Większość źródeł, z których muszę korzystać, znajduje się w archiwach brytyjskich... – Doktor westchnął ze zniecierpliwieniem. – Ale co to, u diabła, ma wspólnego z poszukiwaniami skradzionego manuskryptu?

Odważyłem się wtrącić:

– Pan wybaczy, doktorze. Czy ten manuskrypt to jakiś kodeks, księga?

– Nie, to zwój. Zwój pergaminu w srebrnej szkatule.

– Mogę zapytać, dlaczego jest dla pana tak cenny?

– Bo jest stary, zabytkowy i należy do mnie. To wam nie wystarczy, żeby zaangażować wszystkie dostępne środki w akcję poszukiwawczą?

Po tej reprimendzie postanowiłem trzymać język za zębami. Doktor najwyraźniej nie zamierzał tracić czasu na odpowiadanie na nasze pytania.

– To właśnie robimy – stwierdził inspektor Nesbit. – Jak pan widzi, nawiązaliśmy współpracę z międzynarodowymi organami ścigania w celu ujęcia sprawców.

Znajdziemy pana rękopis.

– Mam taką nadzieję, panie inspektorze.

– Tymczasem najlepiej będzie, jeśli pozwoli nam pan wykonywać nasze obowiązki. Osobiście gwarantuję, że będziemy pana niezwłocznie informować o wszelkich postępach w śledztwie.

– A co z moim bezpieczeństwem?

– Pan wybaczy, ale chyba nie rozumiem.

– Wydaje mi się, że to oczywiste. Przestępcy, którzy zrabowali manuskrypt, mogą być zainteresowani zdobyciem opracowania mojego autorstwa. Być może właśnie w tej chwili planują już włamanie do mojego domu. Nie rozumiecie? Potrzebuję ochrony!

Inspektor Nesbit próbował mu wytłumaczyć, że złodzieje najprawdopodobniej kierowali się wartością materialną, nie doniosłością naukową dzieła, a w związku z tym raczej nie czyhają na artykuły i dysertacje doktora. Rosignolli nie dawał się jednak przekonać. Wciąż się upierał, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, a jeśli stanie mu się coś złego, to londyńska policja będzie za to odpowiedzialna. Uspokoił się, dopiero kiedy Nesbit obiecał mu, że postawi pod jego domem funkcjonariusza, który odstraszy ewentualnych intruzów. Nie miał wyjścia – to był jedyny sposób, żeby zbulwersowany naukowiec zgodził się opuścić komisariat i pozwolił nam pracować w spokoju. Wszyscy poczuliśmy wielką ulgę, kiedy zabrał z wieszaka swój parasol i bez pożegnania oddalił się z gabinetu.

– Głupi Francuzik... – mruknęła Child. Zaraz jednak się zawstydyła i spojrzała na Lacombe. – Przepraszam, Julie.

– Nie ma sprawy. Mnie też strasznie zirytował... A mój kolega jest z Hiszpanii, więc tym bardziej nie czuje się urażony.

– Co za postać! Mam nadzieję, że nie będzie nam się bez przerwy wtrącał przez cały czas trwania śledztwa, to nam na pewno nie pomoże.

– Sarah, wiedzieliście, że Rosignolli miał zainkasować dziesięć tysięcy funtów, gdyby rękopis został skradziony z Barbican Centre?

– Sugerujesz, że sam mógł zorganizować napad, żeby zgarnąć pieniądze z kaucji?

– Trzeba wziąć pod uwagę wszystkie możliwości...

– Z najwyższą przyjemnością wsadziłabym tego upierdliwca za kratki – stwierdziła Child – ale obawiam się, że nie da się obronić tej teorii.

– Dlaczego?

Na to pytanie odpowiedział inspektor Nesbit:

– Bo chociaż Rosignolli określił te pieniądze jako „kaucję”, to tak naprawdę wcale nią nie były. Barbican Centre przekazało doktorowi bezzwrotną subwencję w zamian za udostępnienie rękopisu na potrzeby wystawy. A pod tym eleganckim określeniem kryje się po prostu opłata za wypożyczenie.

– Dziesięć tysięcy funtów za wypożyczenie jakiegoś rękopisu na miesiąc...
– powiedziałem. – Brzmi zachęcająco.

– Niestety, musisz dać sobie spokój z podejrzeniami pod adresem doktora – stwierdziła Lacombe. – Wychodzi na to, że dostałby te pieniądze, nawet jeśli nie doszłoby do kradzieży. W jego historii wszystko się zgadza.

– Tak... A przynajmniej w tej akurat historii... – mruknąłem w zamyśleniu. Lacombe zorientowała się, że coś zaprzęta moje myśli i nie daje mi spokoju.

– O co chodzi? – zapytała.

– O zupełną bzdurę, naprawdę... Rosignolli twierdzi, że rękopis był w jego rodzinie od wielu pokoleń, a jednocześnie że zaczął go studiować zaledwie dwa lata temu. Wydaje mi się to trochę dziwne.

– Racja – przyznała Child. – Nie zwróciłam uwagi na ten szczegół. A swoją drogą mogę się założyć, że kłamał, kiedy go zapytałam, czy dzieło było ubezpieczone.

– Skąd pani wie? – zapytał Nesbit.

– Może pan to nazwać detektywistyczną intuicją. Ten typek coś ukrywa. Przeprowadziłam już w życiu sporo przesłuchań i potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kręci.

Inspektor Nesbit z zadumą potarł szorstkie resztki zarostu na niedogolonym policzku.

– No dobrze... Na wszelki wypadek będziemy go mieli na oku. Tymczasem agentka Lacombe chciałaby pewnie porozmawiać z kierowcą furgonetki, z której skradziono rękopis. Powinien jeszcze być na komisariacie.

– Bardzo chętnie – powiedziała moja towarzyszka. – To na pewno nie będzie żaden problem?

– Ależ skąd – odparła Child. – Młody może pójść z tobą, jeśli chcesz, wygląda na bystrzaka.

Wyszliśmy za panią detektyw z gabinetu i ruszyliśmy jej śladem w stronę pokojów przesłuchań w głębi budynku.

W jednym z nich czekał młodzieniec o mlecznobiałej cerze i jasnoblonde włosach opadających mu w nieładzie na czoło i uszy. Miał na sobie uniform służbowy złożony z szarych spodni i koszuli w tym samym kolorze, na której wyszyto logo firmy – słowo „Delta” pod czerwono-białym trójkątem.

Chłopak siedział za metalowym stołem i głośno żuł gumę, a jednocześnie nerwowo bawił się opaską, którą miał na przegubie. Kiedy stanęliśmy przed nim z Lacombe i detektyw Child, podniósł na nas bezbronne spojrzenie.

– Cześć – przywitała się detektyw. – Jesteś Josh Martin, zgadza się? Kierowca z Delt. To ty prowadziłeś furgonetkę, z której ktoś ukradł rękopis z Barbican Centre.

Młody energicznie pokiwał głową.

– Mogę zapalić papierosa? – zapytał.

– Przykro mi, ale w tym budynku nie wolno palić. Jeśli chcesz, mogę przynieść ci coś do picia.

– Nie, dziękuję – odparł Josh Martin, ciągle skubiąc gumkę na nadgarstku.

– Josh – podjęła detektyw Child. – Są tu ze mną agenci Interpolu, pomagają nam przy tej sprawie. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś opowiedział im, co się stało, ze wszystkimi szczegółami.

Chłopak spojrział na Lacombe, a na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

– Ale po co? Już powiedziałem wszystko, co pamiętam, jakiemuś policjantowi... Robertsonowi czy Rogersowi...? Wszystko zapisał, a ja już naprawdę nic więcej nie

pamiętam, przysięgam...

– Pracujesz dla firmy przewozowej Delta? – zapytała Lacombe.

– Tak... Delta, zgadza się... Kurde... Wkopałem się, co? To nie była moja wina, daję słowo... Wiem, nie powinienem był wysiadać z auta, ale tamten typ mnie strasznie wkurzył... Cholera! Skąd niby miałem wiedzieć, jak się to wszystko skończy? To mój kolega miał pilnować ładunku...

– Może po prostu opowiedz mi, co dokładnie się wydarzyło. Zacznij od początku. Josh westchnął nerwowo.

– Niech będzie... Punkt trzecia przyjechałem furgonetką pod Barbican. Mieliśmy przewieźć jakieś graty z wystawy na lotnisko w Luton, a po drodze podrzucić jeden z nich do domu jakiegoś faceta w Elstree... Gość miał zagraniczne nazwisko, brzmiało tak jakoś z włoska...

– Rosignolli?

– Coś w ten deseń. Jeden fant był jego, więc firma zgodziła się dostarczyć mu go do domu.

– Wasza firma często zajmuje się transportem dzieł sztuki?

– Może nie bardzo często, ale czasami się zdarza... Jesteśmy solidni, a do tego tani. Zwykle dostajemy zlecenia od małych galerii i osób prywatnych, które chcą przewieźć obrazy i inne takie, cenne rzeczy, wie pani...

– Dlaczego miałeś jechać akurat do Luton?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nikt mi się nie tłumaczy. Podejrzewam, że niektóre z tych rzeczy przyleciały z zagranicy, więc trzeba je było odesłać samolotem.

– No dobrze, czyli po trzeciej ruszyłeś spod Barbicanu furgonetką z ładunkiem w stronę Elstree, a potem miałeś jechać na lotnisko w Luton. Byłeś sam?

– Nie, takie kursy zawsze robimy dwójkami. Jeden prowadzi, a drugi pilnuje. Ze mną jechał facet z agencji ochrony pracującej dla Barbicanu, miał na imię Evan, ale nazwiska nie pamiętam... Chyba nawet mi go nie podał...

– Co było potem?

– Zaraz spod Barbicanu pojechaliśmy Golden Lane w stronę Clerkenwell Road... I tam się to wszystko stało, na Golden Lane... – Gumka na nadgarstku pękła. Nie wiedząc, co począć z wolnymi nagle rękami, Josh wcisnął dłonie w kieszenie spodni. – Jaką przecnicę czy dwie za Peabody Tower zobaczyłem nagle tego gościa. Stał na samym środku ulicy i odstawiał szopkę...

– Jaką szopkę?

– Podrzucał takie kolorowe maczugi, jakby był jakimś, kurde, zonglerem z cyrku czy co... Widuje się czasem takich gości, co wygłupiają się na ulicy za pieniądze, ale nigdy jeszcze nie spotkałem takiego na środku jezdni, którą jeżdżą samochody. Jakbym nie zahamował na czas, tobym go przejechał. A myśli pani, że koleś się przejął? Gdzie tam! Stał sobie jakby nigdy nic i bawił się tymi swoimi maczugami, kretyn... Zatrąbiłem parę razy, ale facet ani drgnął. W końcu straciłem cierpliwość, wystawiłem głowę przez okno i opieprzyłem go, żeby spadał na drzewo. Wtedy gościu podszedł, gapił się na mnie bez słowa, a potem nagle rzucił maczugą o furgonetkę... Tak! Po prostu! Odwrócił się i... bum! – Josh uderzył w dłoń zaciśniętą pięścią.

– Trafił cię?

– Nie, ale rozwalił mi lusterko boczne, głupi kutas. To już mnie strasznie wkurzyło, więc wysiadłem z auta i chciałem... sam nie wiem... Nie wiem, co mu chciałem zrobić, opieprzyć, dać w pysk czy... czy co. Wkurzyłem się na maksa. Jeśli uszkodzimy furgonetkę, firma potrąca nam z pensji, a ja i tak nie zarabiam za dużo.

– I co dalej?

– No, mówiłem, rzuciłem się na niego. Już go miałem dorwać, a wtedy on mnie walnął maczugą w głowę, o tutaj... – Wskazał niewielki guz nad prawym okiem. – No, wtedy to już mnie doprowadził do białej gorączki... Miałem ochotę powpychać mu te maczugi do gardła, żeby się nimi udławił, ale facet zaczął uciekać. Byłem taki wnerwiony, że bez zastanowienia za nim pobiegłem. Skręcił w jakąś boczną uliczkę... Zachrzaniał jak mały samochodzik, straciłem go z oczu. Wtedy się skapnąłem, że może mi się nieźle dostać za zostawienie furgonetki na środku ulicy, więc wróciłem w te pędy. Na miejscu zobaczyłem, że tamten kolega, Evan, leży na podłodze, a tylne drzwi auta są otwarte. No i wtedy zadzwoniłem na policję.

– Sprawdziłeś sam, czy nie brakuje któregoś z przewożonych dzieł?

– Nie, szczerze mówiąc, prawie się posrałem ze strachu... Bardziej się martwiłem, że zaciukali Evana czy co... Leżał tak bez ruchu, chyba porządnie mu przyłożyli.

– Wygląda na to, że zaatakowano go paralizatorem – wyjaśniła detektyw Child.

– Na razie jest w ambulatorium, jeszcze z nim nie rozmawialiśmy.

– Kto sprawdził zawartość furgonetki? – zapytała Lacombe.

– Jeden z naszych funkcjonariuszy, tuż po przybyciu na miejsce zdarzenia. Od otrzymania zgłoszenia upłynęło nie więcej niż dziesięć minut. Cały ładunek był na swoim miejscu, nietknięty, z wyjątkiem rękopisu Rosignollego.

– Ten cały Evan... – zaczęła Lacombe, znów zwracając się do Josha. – To silny mężczyzna? Wydaje ci się, że mogło dojść do walki?

– Silny? A gdzie tam! Grubas, waży chyba ze sto kilo, jak nie więcej. Nie wyglądał mi też na geniusza, rozumie pani... Nie mam pojęcia, kto go powalił, ale mogę się założyć, że nie kosztowało go to zbyt wiele wysiłku.

– Myślisz, że to robota tego zonglera?

– Raczej nie. Minęło tylko parę minut między tym, jak go straciłem z oczu, a powrotem do furgonetki. Ktoś musiał mu pomóc, pewnie jakiś wspólnik czy coś... Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Możliwe... A wiesz, czy mogli być jacyś świadkowie całego zajścia? Nie wiem, okoliczni mieszkańcy, ktoś, kto akurat tamtędy przechodził?

– Nikogo nie było, jestem prawie pewny. Tam jest zawsze pusto.

– Na razie nie znaleźliśmy żadnych świadków, ale ciągle szukamy – dodała detektyw Child.

– Jeszcze jedno, Josh – powiedziała Lacombe. – Ten człowiek z maczugami... Możesz go opisać?

Chłopak pokręcił głową.

– Miał zakrytą twarz – odparł. – Kominiarką... Nie, bardziej takim kapturem z dziurami na oczy, jak jakiś kat... Myślę sobie, że ten koleś był totalnym świrem.

Detektyw Child pozwoliła Joshowi wrócić do domu. Później zebraliśmy się we trójkę, z Lacombe, w gabinecie Nesbita. Inspektora tam nie było.

Właściwie nie brałem udziału w rozmowie. W milczeniu analizowałem własne podejrzenia dotyczące napadu, starając się zignorować myśl, która natrętnie wwiercała mi się w mózg. Dość nieprzyjemną myśl, którą powinienem za wszelką cenę ukryć przed moimi towarzyszami.

– I co? – zapytała Child. – Co o tym sądzisz, Julie?

– Dziwna sprawa. Plan napadu jak żywcem wyjęty z taniego powieścidla.

– Ale z drugiej strony to całkiem sprytne. Dwóch napastników, jeden odwraca uwagę kierowcy, drugi załatwia ochroniarza paralizatorem, zabiera mu kluczyki do ciężarówki i ucieka z rękopisem... Zastanawiam się jednak, dlaczego złodzieje zabrali tylko ten jeden przedmiot, a zignorowali wszystkie inne zabytki, często znacznie wyżej wycenione.

– Może działali na zlecenie kogoś, komu zależało na tym konkretnym obiekcie. Wiem z doświadczenia, że to bardzo częsty przypadek. Sarah, mogłabyś przekazać mi całą dokumentację dotyczącą tego rękopisu? Zwłaszcza fotografie. Jeśli Interpol ma wam pomóc, będziemy potrzebowali tych informacji.

– Oczywiście, masz to jak w banku.

W tej chwili zadzwoniła komórka Child. Pani detektyw przeprowadziła krótką rozmowę i się rozłączyła. Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu zadowolenia.

– Dobre wieści? – domyśliła się Lacombe.

– Tak, nawet świetne. Znalazł się świadek: jakaś kobieta myła okna w pobliskim domu akurat w chwili napadu. Możliwe, że uda jej się opisać osobę, która zaatakowała ochroniarza, tego całego Evana... – Child zdjęła z wieszaka znoszoną skórzaną kurtkę.

– Od razu pojedę z nią porozmawiać, chcesz jechać ze mną?

– Bardzo bym chciała, ale chyba nie powinnam. Jutro rano mam ważne spotkanie, muszę jeszcze przejrzeć wszystkie papiery.

To była moja szansa, idealny pretekst, żeby się urwać z komisariatu – szukałem okazji od chwili, gdy usłyszałem zeznania Josha Martina, kierowcy furgonetki.

– Ja się tym zajmę – rzuciłem. – Ty możesz jechać z Child, jeśli masz ochotę.

Lacombe zawahała się na chwilę, ale ciekawość wygrała – sprawa była zbyt interesująca.

– Jak chcesz – stwierdziła w końcu. – Zobaczymy się później, w hotelu.

– Świetnie... – Zacząłem niezbyt dyskretny odwrót. – Wszystko mi opowiesz. Mam nadzieję, że traficie na jakiś ważny trop... Do widzenia, pani detektyw, dziękuję za wszystko. Powodzenia ze śledztwem.

Pośpiesznie uściśnięciem dłoń policjantki.

– Nie ma za co... Hej, zaczekaj chwilę, też zaraz wychodzimy, może cię gdzieś podwieźć?

– Nie, nie, bardzo dziękuję. Ja... Naprawdę nie trzeba... Do zobaczenia!

Na łeb na szyję wypadłem z komisariatu na ulicę, gdzie czym prędzej złapałem taksówkę. Podałem kierowcy adres w Chiswick, dzielnicy na zachodzie miasta.

Tam bowiem spodziewałem się znaleźć złodzieja rękopisu Rosignollego.

Office Centrale de Lutte Contre le Trafic des Biens Culturels – Centralne Biuro ds. Walki z Nielegalnym Handlem Dziełami Sztuki (przyp. aut.). [\[wróć\]](#)

Centre National de la Recherche Scientifique (Państwowe Centrum Badań Naukowych) – francuska instytucja naukowa (przyp. aut.). [\[wróć\]](#)

BAZA

Algernon Road to niepozorna ulica w sercu londyńskiego przedmieścia Chiswick. Prosta i krótka, urocza, ale i nieciekawa. Po obu jej stronach stoją identyczne niewysokie budynki mieszkalne w stylu wiktoriańskim, z nieskazitelnie białymi wykuszami i ceglanyimi kominami, z których dym nie unosił się chyba od czasu, kiedy Winston Churchill po raz pierwszy zasiadł w Izbie Gmin.

Panuje tu absolutny spokój. Przypadkowy przechodzień mógłby uznać, że trafił do wyludnionej dzielnicy, gdyby nie liczne samochody, w większości wyglądające na drogie, zaparkowane przed domami. Jedyne znaki świadczące o obecności istot ludzkich, a przynajmniej zdolnych prowadzić pojazdy i dysponujących niemałymi środkami na kontaktach bankowych.

Algernon Road i jej okolice spowija niepokojąca cisza. Nie słyhać żadnych głosów, warkotu silników; nie rozlega się tu nawet śpiew ptaków, choć ja wiedziałem, że przy tej skromnej uliczce znajduje się przynajmniej jedno gniazdo. Gniazdo Poszukiwaczy, zwane także bazą.

W żargonie członków Narodowego Korpusu Poszukiwaczy „baza” oznacza tajne mieszkanie służące za kryjówkę. Jako Poszukiwacz wiedziałem, że Korpus dysponuje licznymi bazami w różnych stronach świata. Na przykład w Lizbonie, w Bairro Alto – sam miałem okazję kilkakrotnie ją odwiedzić. Tamtejsza kryjówka mieściła się w zapuszczonej norze i należała do Korpusu od czasów, których nie pamiętali nawet najstarsi czynni agenci.

W Londynie także znajdowała się baza. Co prawda nigdy w niej nie byłem, ale znałem adres: wszyscy Poszukiwacze mieli obowiązek nauczyć się na pamięć lokalizacji baz na terenie całej Europy. Wiedziałem również, że mieszkanie w Londynie, podobnie jak to w Paryżu, zostało nabyte niedługo przed moim wstąpieniem do Korpusu, więc w przeciwieństwie do lizbońskiej bazy były to lokale w lepszym stanie i nieźle wyposażone. Tak przynajmniej się mówiło. Teraz miałem szansę przekonać się o tym na własne oczy.

Udałem się do bazy przy Algernon Road wiedziony podszeptem serca, ale nie miałem jasno sprecyzowanych planów dalszego postępowania. Muszę przyznać, że to dla mnie bardzo typowe: bliscy mi ludzie wiedzą, że często kieruję się impulsem, daję się ponieść, zwłaszcza kiedy znajduję się pod presją. Osobiście kładę to na karb dość burzliwej młodości, o której wolę nie opowiadać szczegółowo, jeśli naprawdę nie muszę. Nie jestem zadowolony z tego, jaką osobą wówczas byłem.

Baza mieściła się w jednym z odremontowanych budyneczków wiktoriańskich, które ściana przy ścianie ciągnęły się zwartym szeregiem wzdłuż całej ulicy. Ten, którego szukałem, praktycznie nie różnił się od swoich sąsiadów: biała fasada, dwa piętra i śliczne błękitne drzwi. Niewinnie wyglądający parawan kryjący gniazdo złodziei antyków

opłacanych przez rząd hiszpański.

Nie miałem pomysłu, jak się dostać do środka, więc zdecydowałem się uciec do najbardziej prozaicznej metody: nacisnąć dzwonek.

Przy drzwiach wejściowych wisiał domofon. Wybrałem przycisk przynależący do jednego z mieszkań na pierwszym piętrze. Dobiegł mnie metaliczny brzęk i drzwi się otworzyły. Wszedłem do holu, z którego prowadziły schody na górę. Obecni właściciele tego typu domów dzielili je na osobne mieszkania i oferowali najemcom za dość wygórowane sumy. Narodowy Korpus Poszukiwaczy wynajmował jedno z nich za pośrednictwem podstawionego lokatora, tak jak w przypadku pozostałych baz.

Skierowałem kroki do mieszkania po prawej stronie korytarza, za schodami, i zapukałem. Drzwi od razu się otworzyły i stanąłem twarzą w twarz z kompletnie obcym typem – młodziakiem z gładko ogoloną głową, długim nosem i zapadniętymi policzkami. Z wyglądu przypominał jakiegoś gryzonia. W dolnej wardze miał metalowy kolczyk, a na sobie czarną koszulkę bez rękawów z logo Motörhead oraz podarte, wystrzępione dżinsy.

Wraz z osobnikiem na progu pojawiła się silna woń marihuany, przez sekundę miałem wręcz wrażenie, że zjaram się samymi oparami. Chłopak zagapił się na mnie z przechyloną głową i niedomkniętymi ustami – nie wyglądał w tej chwili zbyt błyskotliwie. Nagle wybałuszył zaczerwienione oczy.

– Ja pierdołę! – wrzasnął. – Ktoś ty, kurwa?

– Chciałem ci zadać to samo pytanie.

– Skurwysynu!

Próbował szybko zatrzaskać drzwi, ale udało mi się wepchnąć stopę w szparę. Wpadłem do mieszkania z impetem, od którego typek poleciał do tyłu, potykając się o własne nogi, i padł na zapyziałą kanapę poprzypalaną papierosami. Wstał i chyba chciał się bić, ale najwyraźniej tak się upalił, że cudem zdołał w ogóle utrzymać się na nogach.

Zamknąłem drzwi i szturchnąłem gościa w klatę, niezbyt mocno, właściwie tylko trochę go pchnąłem, ale to wystarczyło, żeby opadł z powrotem na kanapę jak szmaciana lalka. Po serii niezbornych gestów zdołał w końcu wsadzić rękę do tylnej kieszeni i wyciągnąć z niej nóż sprężynowy. Dobył go i groźnie uniósł w moją stronę.

Miałem w życiu do czynienia z zagrożeniami znacznie poważniejszymi niż amator zioła zaskoczony na totalnym haju... Poza tym ostatnimi czasy sporo trenowałem i byłem w niezłej formie. Jednym celnym ciosem w nadgarstek zmusiłem go do wypuszczenia broni. Podniosłem ją z podłogi i teraz to ja wycelowałem w niego ostrze.

Typek podniósł ręce.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – mamrotał. – Co za kanał, co za kanał. Jak on cię tu zobaczy, głowę mi urwie, ja pierdołę...

– O kim ty mówisz? Kto ci urwie głowę? – Prawie zapomniałem o najważniejszym pytaniu. – I kim ty w ogóle jesteś?

W odpowiedzi wydał absurdalnie piskliwy okrzyk.

– Aaa! Psiakrew, jestem ranny! – Kiedy upuszczał nóż, skaleczył się lekko w dłoń.
– Dźgnąłeś mnie, koleś! Pieprzony psychopata!

– To tylko zadrapanie, nawet cię nie tknąłem.

– No sam popatrz, wszędzie krew! – upierał się. – Wykrwawię się, człowieku,

wykrwawię się tu jak jakiś cholerny wieprz, ja pierdołę! Muszę jechać do szpitala!

– Przestańże się mazać, sieroto. Nie pojedziesz do żadnego szpitala przez głupie draśnięcie. – Machnąłem ręką w stronę aneksu kuchennego zainstalowanego w kącie pokoju. – Przemyj sobie ranę. I lepiej się zamknij, bo dopiero dam ci powody do strachu.

Dobrze mi idzie grożenie, znacznie lepiej niż ewentualne spełnianie pogroźek. Chłopak spojrział na mnie z przerażeniem i posłusznie powlókł się do kuchni.

Jednak zamiast wsadzić rękę pod kran nad zlewem, gwałtownie wysunął szufladę i wyciągnął z niej jakiś dziwny pistolet z metalowymi stykami na lufie. Zanim zdążyłem zareagować, facet wydał bojowy okrzyk i rzucił się na mnie, wymachując bronią.

Gdy tylko lufa dotknęła mojego brzucha, poczułem silne wyładowanie elektryczne, które wstrząsnęło całym moim ciałem. To było paskudne uczucie, jakby pod moją skórą pojawiły się nagle tysiące odłamków szkła. Szczęki mi się zacisnęły, włosy stanęły dęba. Plecy wygięły się w łuk w bolesnym skurczu.

Nóż upadł mi na ziemię, a po chwili i ja poszedłem w jego ślady. Wyciągnięty na uświnionej wykładzinie, pozbawiony możliwości wykonania najmniejszego choćby ruchu, patrzyłem, jak fan Motörhead macha mi bronią przed twarzą z obłędem w oczach. Teraz już wiedziałem, co przeżył biedny Evan, pracownik ochrony z Barbican Centre.

– Podoba ci się, sukinsynu? Co? Miło ci teraz? – wrzeszczał. Potem znowu uraczył mnie hojną dawką woltów z paralizatora. – Usmażę cię jak pierdolony bekon na śniadanie!

W tej chwili ktoś wszedł do mieszkania.

Chłopak w koszulce Motörhead znieruchomiał, siedząc okrakiem na mojej piersi, ze wzniesioną nad głową bronią. Półprzymkniętymi, załzawionymi oczami ledwie widziałem, co się dzieje wokół – dostrzegałem tylko rozmazane kształty i pojedyncze błyski.

– Zaraz, co...? – usłyszałem. – Niech cię szlag, Caleb, co ty wyrabiasz?

– Ten skurwysyn wdarł się tu siłą! – odparł mój napastnik. – To pewnie glina, na bank!

– Złazże z niego, ty upalony debilu! Na głowę upadłeś? – Ktoś ściągnął ze mnie faceta w koszulce i pomógł mi się podnieść. – Tirso... Tirso! Nic ci nie jest? Spójrz na mnie, możesz się ruszać?

Wzrok zaczął mi powracać. Dziwne błyski zniknęły, a mgliste kontury stopniowo nabierały ostrości, aż moim oczom ukazało się znajome oblicze Bańki.

Siedziałem na wyliniałej kanapie, trzymając w obu dłoniach puszkę carlinga jak filiżankę gorącej czekolady. Tętno nadal miałem nieco rozedrgane i czułem nieprzyjemne mrowienie w całym ciele.

Bańka stał przede mną z rękami założonymi na piersi i przyglądał mi się z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy. Od naszego ostatniego spotkania minęło wiele miesięcy, ale Poszukiwacz zupełnie się nie zmienił, wciąż mógł się poszczycić godną pozazdroszczenia sylwetką zawodowego sportowca. Pojawił się tylko jeden nowy element w jego wyglądzie: okulary.

Wiedziałem, że Bańka jest daltonistą, ale ta wada nie wymaga noszenia soczewek

korekcyjnych. Tak czy inaczej w okularach było mu do twarzy – przydawały mu elegancji i wyrafinowania. Przypominał teraz modela z folderu reklamującego jeden z tych drogich, prestiżowych uniwersytetów, które najwyraźniej nie przyjmują na studia niedostatecznie atrakcyjnych kandydatów.

Za nim na taborecie, skulony jak robak, siedział typ w koszulce Motörhead; stanowił całkowite przeciwieństwo mojego dawnego kolegi z pracy: brzydki, wychudzony łachmaniarz.

Pociągnąłem malutki łyżeczek piwa z puszki. Było letnie. Bańka ciągle się we mnie wpatrywał, bez słowa i z ponurym grymasem na twarzy. Zaczynałem czuć się nieswojo.

– No dobrze... – zagailem, wcześniej odkaslnąwszy nerwowo. – To... co tam słychać?

Bańka westchnął.

– Ech, młody, jak ty nic nie wiesz...

– Nie mów do mnie „młody”, wiesz, że tego nie cierpię.

– Powinienem zwracać się do ciebie dużo gorzej... Nie dajesz znaku życia przez sto lat, a potem wyskakujesz jak filip z konopi w najmniej odpowiednim momencie. Trochę żałuję, że nie pozwoliłem Calebowi usmażyć cię jak stek na grillu. – Poszukiwacz zwrócił się do faceta w koszulce, jak się domyśliłem, tego Caleba. – A swoją drogą dlaczego w ogóle wpuściłeś go do mieszkania? Mówiłem ci, żebyś nikomu nie otwierał.

– Myślałem, że to ty dzwoniłeś domofonem.

– Po cholere miałbym dzwonić, skoro mam własny komplet kluczy, debilu?

– Sorry, stary... Zapomniałem. Ale ten sukinsyn...

– Zamknij pysk i złaż mi z oczu. Coraz bardziej mnie korci, żeby ci powybijać te krzywe szczurze zęby.

Bańka uniósł groźnie pięść. Caleb skulił się jeszcze bardziej i powłókł w stronę wyjścia.

– Spoko, stary, spoko... Wyluzuj. Już sobie idę, ja pierdołę... Ale jeszcze...

– Czego?

– Nie zapłaciłeś mi, stary. Miałeś mi przynieść...

Bańka skrzywił się z obrzydzeniem. Wyciągnął z kieszeni plastikowy woreczek i cisnął go facetowi w koszulce. W środku znajdował się jakiś biały proszek. Caleb złapał torebkę w locie.

– A teraz spadaj z powrotem do swojej nory, naćpaj się albo obejrzyj ostatni odcinek *Downton Abbey* czy co tam zwykle robisz całymi dniami. I lepiej, żebyś nie puszczał pary z ust. Jeśli piśniesz choć słówko, dowiem się o tym i cię znaję, zrozumiano?

Wzrok Caleba wyrażał śmiertelne przerażenie.

– Tak, tak... Nic nie powiem. Będę milczał jak grób. Słowo.

Czmychnął do drzwi wyjściowych i zniknął nam z oczu.

– Od kiedy to dorabiasz sobie dilerką? – zapytałem Bańkę, kiedy zostaliśmy wreszcie sami.

– W tej torebce była tylko witamina B w proszku i skrobia kukurydziana. Jestem pewny, że pakował sobie do nosa już gorsze rzeczy. – Poszukiwacz wetknął do ust

papierosa i zapalił, potem poczęstował też mnie. – Do jasnej cholery, co ty tu robisz, młody?

– Tirso – poprawiłem i zaciągnąłem się dymem. – Albo Faro, jak wolisz... Naprawdę tak ci trudno dać sobie raz na zawsze spokój z tym „młodym”?

– Nie będę ci mówił „Faro”. To już nie jest twoje imię.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała uraza. Bańka wciąż miał mi za złe, że nie walczyłem zacieklej o pozostanie w Korpusie Poszukiwaczy, wyrzucał mi słabość, która nie pozwoliła mi bardziej stanowczo przeciwstawić się Alzadze. Uważałem to za zupełnie bezpodstawny i niesprawiedliwy zarzut, zwłaszcza z jego strony – on sam nigdy nie potrafiłby się sprzeciwić bezpośredniemu poleceniu przełożonego. Bańka był do szpiku kości lojalnym żołnierzem.

„Faro” to był mój pseudonim Poszukiwacza, tak samo jak „Bańka” w przypadku mojego przyjaciela. Działalność członków Korpusu jest ściśle tajna, więc kiedy decydują się wstąpić w jego szeregi, muszą pozbyć się nawet własnego imienia. To Bańka przydzielił mi pseudonim – przywilej ten przysługiwał mu przez krótki okres pełnienia zastępstwa za Narvaeza w charakterze szefa Korpusu, zanim Alzaga został nominowany na to stanowisko i wszystko zepsuł. Myślę, że Bańka równie mocno jak ja przeżywał fakt, że Alzaga pozbawił mnie imienia, którym on sam mnie ochrzcił. Może postrzegał to jako celowe działanie nowego dyrektora Korpusu w celu upokorzenia go, zresztą niekoniecznie musiał się mylić: Abel Alzaga był naprawdę perfidny.

– Młodym nowicjuszem też już wcale nie jestem – stwierdziłem.

– Faktycznie, na to wygląda – przyznał. – Co ty tu robisz, Tirso?

Poważnie zastanowiłem się nad odpowiedzią. Wiedziałem tylko tyle, że jej nie znam.

Czułem się strasznie dziwnie, jakbym nagle wpadł przypadkiem na starego znajomego, którego wcześniej przez długi czas starałem się unikać.

Nie miałem żadnych wieści o Bańce ani o żadnym innym Poszukiwaczu od czasu, kiedy wstąpiłem do Interpolu. Zresztą oni też nie próbowali nawiązać ze mną kontaktu. Członkowie Korpusu nie mieli zwyczaju utrzymywania stosunków z tymi, którzy od nich odeszli. Kiedy ktoś przestaje być Poszukiwaczem, całkowicie zrywa z dotychczasowym życiem, nieważne, jak silne więzy sympatii czy nawet przyjaźni łączyły go z pozostałymi agentami; to nie jest praca jak każda inna, więc obowiązują też zupełnie inne zasady. Nie ma mowy o wspólnych kolacjach z dawnymi współpracownikami, mejlach z życzeniami urodzinowymi czy imprezach bożonarodzeniowych z kolegami. Jeśli odchodzisz, odchodzisz na zawsze, przekreślasz cały czas spędzony w Piwnicy. To część kontraktu Poszukiwacza. Obaj z Bańką świetnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Ale w takim razie... Dlaczego dręczyło mnie teraz takie poczucie winy?

– Dziś po południu doszło do kradzieży w Barbican Centre – powiedziałem, gdy cisza zaczynała stawać się już nie do zniesienia. – Zrabowano starożytny rękopis. Podobno w sprawę mógł być zamieszany jakiś facet z zakrytą twarzą bawiący się w żonglera... Brzmi znajomo?

Bańka westchnął, wypuszczając przy tym z płuc chmurę dymu.

– Cholera... Mógłbyś być gdziekolwiek na świecie, ale nie, akurat dzisiaj musiałeś

się napatoczyć w tym przeklętym Londynie. Nie rozumiem, czemu ludzie zawsze mi mówią, że mam w życiu farta...

– Może i masz farta, ale za to bardzo ograniczoną wyobraźnię. Naprawdę uznałeś, że to świetny pomysł, żeby powtórzyć dokładnie ten sam numer, który wykorzystałeś przy okazji kradzieży Pateny z Canterbury?

– Wtedy zadziałało. Nikt się nie zorientował.

– Poza mną.

– Tak, historia lubi się powtarzać, co? – Bańka uśmiechnął się gorzko kącikiem ust i rozgniół niedopałek w popielniczce. – Scenariusz naszego życia pisze jakiś niezbyt oryginalny facet.

– Nie zwalaj winy na los i przeznaczenie, to tobie brakuje nowych pomysłów.

– Niech cię szlag, Tirso, jakie było prawdopodobieństwo, że się dowiesz o tej sprawie z Barbicanu? Wybacz, ale kiedy opracowuję plany, nie biorę pod uwagę, czy przypadkiem nie kręcisz się gdzieś w okolicy i tylko czekasz, żeby skojarzyć fakty i przypomnieć sobie o włamaniu do jakiegoś trzeciorzędnego muzeum sprzed paru lat. Miałeś siedzieć we Francji ze swoimi nowymi kumplami z Interpolu.

– Nie mam żadnych kumpli w Interpolu – odparłem. Poczuję się nieprzyjemnie, jakby wypomniał mi zdradę czy nielojalność. – Agencja nawet nie ma z tą sprawą oficjalnie nic do czynienia... Przynajmniej na razie. Dowiedziałem się zupełnym przypadkiem.

– W takim razie po cholere tu przyłazłeś? Już trzeci raz cię o to pytam i nadal nie doczekałem się odpowiedzi.

– Nie wiem, Bańko, prawdę mówiąc... nie wiem... – Westchnąłem. – Chciałem się chyba przekonać, czy moje podejrzenia są słuszne.

– W porządku: są. I co teraz? Czujesz się dzięki temu bystrzejszy?

– Jeśli mam być szczerzy, czuję się raczej rozczarowany. – Bańka spojrzał na mnie pytająco spod uniesionych wysoko brwi. – Tak, rozczarowany. Ten napad to była najgorsza amatorszczyzna, jaką w życiu widziałem, niegodna Kawalera Poszukiwacza... I o co chodzi z tym ćpunem w koszulce Motörhead? Rekrutujecie teraz członków w rynsztoku?

– Nie bądź głupi, Faro – odparł Bańka, nieświadomie zwracając się do mnie dawnym pseudonimem. – Caleb nie jest jednym z nas, to tylko nasz kontakt w Londynie, na wypadek gdybyśmy potrzebowali wsparcia.

– To on był twoim współnikiem podczas napadu?

– Tak. To nędzny szcur, ale łatwo go kupić, a kiedy trzeba, potrafi trzymać język za zębami. Potrzebowałem kogoś, kto unieszkodliwi ochroniarza i wyciągnie rękopis z furgonetki, ja musiałem w tym czasie odciągnąć kierowcę. Dlatego zwróciłem się do niego o pomoc.

– Świetny pomocnik, nie ma co. Cud, że przypadkiem nie poraził się prądem w jaja, kiedy chował paralizator do kieszeni spodni.

– Nie miałem dużego wyboru, młody. Korpus praktycznie nie ma żadnych kontaktów w Anglii.

– Ale czemu nie pomógł ci ktoś z Piwnicy? Enigma albo Danny... Razem

zrobiliście akcję w Canterbury, czemu teraz z tobą nie przyjechała?

Bańka gapił się na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

– Ty naprawdę o niczym nie masz pojęcia, co, młody?

– O co ci chodzi?

– Enigmy nie ma. Odeszła po tym, jak cię wyrzucili. A Danny nie odzywa się od paru ładnych tygodni. – Poszukiwacz zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się głęboko. – W Piwnicy nie został już nikt, Faro. W tej chwili jestem jedynym aktywnym członkiem Korpusu Poszukiwaczy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Bańka siedział w fotelu, odrzucił głowę na oparcie i palił papierosa, wypuszczając dym w kierunku sufitu. Widok ten przywodził mi na myśl obraz człowieka pokonanego. Przez głowę przemknęła mi wizja żołnierza palącego w okopie tuż po rejtardzie, w której poległa większość jego oddziału.

– Chwilę, zaczekaj – powiedziałem w końcu. – Jak to Danny się nie odzywa? Chcesz powiedzieć, że twoja siostra zniknęła?

– Zniknęła, związała... Skąd mam wiedzieć? Wiem tyle, że dwa miesiące temu poprosiła Alzagę o urlop, a on wyraził zgodę. Przez jakiś czas w ogóle nie wiedziałem, co się z nią dzieje, a potem nagle oznajmiła, że jedzie do Kalifornii. To było z półtora miesiąca temu, od tej pory się ze mną nie kontaktowała. Nie ma jej też w domu.

– Ale... Powinieneś chyba jej szukać...

Bańka spojrział na mnie z grobową miną.

– Myślisz, że nie szukałem? Zaliczyłem już etap bezsennych nocy, kiedy zastanawiałem się, gdzie ona mogła się podziać. Codziennie wydzwaniałem do niej na komórkę, o każdej porze dnia i nocy, ale miałem już dość wysłuchiwanie poczty głosowej. Namierzyłem wszystkich jej znajomych... – Poszukiwacz uśmiechnął się smutno półgębkiem. – Nie było ich wielu. Przez wszystkie te lata w Korpusie ani ja, ani Danny nie mieliśmy zbyt wielu okazji do zawierania przyjaźni... Wpadłem nawet na pomysł, żeby skontaktować się z Gaetanem Rosą z Lizbony, ale z tego też nic nie wyszło.

– A nie wpadłeś na to, żeby odezwać się do mnie?

– Co by mi to dało? Wiedziałem przecież, że jesteś ostatnią osobą, z którą chciałaby rozmawiać.

Nie miałem wyjścia, musiałem przyznać mu rację.

Może i czas leczy rany, jak mówią, ale to lekarstwo o opóźnionym działaniu. Jeśli o mnie chodzi, rana w sercu po tym, co zaszło między mną a Danny, przestała już sączyć krew, ale ciągle czułem się nieco poobijany.

Danny, siostra Bańki, wpadła mi w oko już przy naszym pierwszym spotkaniu w Canterbury. Byłem uczciwy i nigdy nie ukrywałem swoich uczuć, ale ona od początku dała mi jasno do zrozumienia, że nie interesuje się mną w takim sensie... czy raczej nie chce się czuć zainteresowana. Uważała, że bliski związek uczuciowy z drugim Poszukiwaczem to pomyłka, dość już musiała się martwić o brata, również członka Korpusu.

Jej odmowa jednak tylko spotęgowała moje uczucia. Danny mnie fascynowała, nie potrafiłem zmienić tego tak z dnia na dzień. Może i ona poczuła do mnie w końcu

nieodparte przyciąganie, a może po prostu się poddała, kiedy zdała sobie sprawę, że nie spoczną, dopóki nie przekonam jej do zmiany zdania w kwestii zadawania się z kolegami z pracy. Tak czy inaczej, po wyprawie do Mali wyglądało na to, że w końcu się zeszedliśmy. Było cudownie.

A potem wyrzucono mnie z Korpusu – żadne z nas nie przewidziało takiego obrotu spraw.

Poszukiwacze nie nadają się na partnerów osób spoza Korpusu. Zwykle nie mają czasu na niedzielne wypadki do kina, romantyczne kolacje czy spotkania ze znajomymi (chyba że z portugalskimi alfonsami czy zaćpanymi wielbicielami Motörhead); nie mogą też raczej snuć dalekosieżnych planów na przyszłość, ubiegać się o kredyt na mieszkanie czy spędzać sobotniego przedpołudnia w sklepie meblowym, zastanawiając się, która szafa będzie lepiej pasowała do dywanu w sypialni. Nie mają wakacji, nie mogą zabawiać teściów anegdotkami z pracy przy okazji rodzinnych obiadów. Nie: Poszukiwacz zdecydowanie nie mógłby tworzyć udanego związku z nie-Poszukiwaczem. Zdawałem sobie z tego sprawę... i myślałem, że Danny też to wie.

Ale ona z jakiegoś powodu sądziła, że możemy spróbować, chociaż wyleciałem z Korpusu. Może uznała, że skoro tak wiele kosztowało ją podjęcie decyzji o daniu nam szansy, miała prawo zadecydować, jak będzie wyglądał nasz związek i jak długo potrwa. Nie spodziewała się jednak, że spakuję manatki i pojedę do Francji pracować dla Interpolu.

Danny nie potrafiła zrozumieć (a przynajmniej ja tak uważałem), jak potwornym ciosem było dla mnie przymusowe odejście z Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Znalazłem tylko jeden sposób, żeby się po nim pozbierać: spalić za sobą mosty, raz na zawsze przeciąć wszystkie nitki łączące mnie ze wspomnieniami po tamtym życiu. Dotyczyło to także jej.

Myślałem, że Danny wczuje się w moją sytuację. Że zrozumie, jak trudno byłoby mi trwać u boku kogoś, kto nadal wykonywał pracę, do której – jak wierzyłem – zostałem stworzony, podczas gdy sam mógłbym tylko oplakiwać niesprawiedliwe zwolnienie. Byłem przekonany, że właśnie ona, jak nikt inny, uzna słuszność mojej decyzji, żeby cały ten świat zostawić za sobą.

Podejrzewam, że tak naprawdę nigdy się nie zorientowała, jak wiele znaczył dla mnie Korpus Poszukiwaczy.

Owszem, ona też była dla mnie ważna, i to bardzo, ale przyznaję, że kiedy przyszło do podjęcia decyzji, nie musiałem zbyt długo się zastanawiać.

Jestem przekonany, że na moim odejściu ucierpiała przede wszystkim jej zraniona duma. Danny zawsze była dumna i fanatycznie samodzielna, przeciwna jakimkolwiek zależnościom uczuciowym. Była przywiązana do Bańki, bo tak już to urządziła natura, ale w moim przypadku to ona podjęła decyzję, może po raz pierwszy od dawna, więc musiała poczuć się dotknięta do żywego, kiedy uznała, że zostawiam ją bez większego żalu, jak kogoś zupełnie nieznaczącego. Wydawało jej się, że nic mnie to nie kosztowało, ale nie miała racji.

Nie urządziła mi sceny z krzykami i wyzwiskami. Danny nie jest z tych. Uczucia trzyma szczelnie zamknięte w najgłębszym zakątku duszy i nigdy nie wydobywa ich na

światło dzienne, jeśli tylko może tego uniknąć.

Zareagowała więc chłodem. Czystym lodem, takim, który parzy, kiedy go dotknąć. Nawet się ze mną nie pożegnała przed moim wyjazdem do Francji. Odkąd zakomunikowałem jej swoją decyzję, zaczęła traktować mnie jak obcego człowieka. Wolałbym już chyba wrzaski i obelgi, przynajmniej nie czułbym się tak strasznie jej obojętny.

Nie miałem pojęcia, czy Bańka o tym wszystkim wie. Możliwe, że siostra mu się zwierzyła, ale możliwe też, że nie, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Tak czy inaczej, stary przyjaciel na pewno zdawał sobie sprawę, że w chwili mojego wyjazdu z kraju stosunki między mną a Danny nie układały się zbyt dobrze, oględnie mówiąc.

Wiadomość o zniknięciu Danny bardzo mnie zaniepokoiła. Może się to wydać absurdalne, ale z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny czułem się winny.

– Skoro twoja siostra od tak dawna nie daje znaku życia, powinieneś rozważyć udanie się gdzieś po pomoc... Porozmawiać z policją...

Poszukiwacze niechętnie zadają się z przedstawicielami prawa. Mogą wyniknąć z tego najróżniejsze komplikacje, ale wydawało mi się, że w tym przypadku mieliśmy do czynienia z sytuacją nadzwyczajną.

– Nie mogę – odparł Poszukiwacz. – Rozmawiałem już na ten temat z Alzagą, z Urquijem też. Przejęli się i powiedzieli, żebym zostawił sprawę w ich rękach. Mają kontakty, które umożliwiają im odnalezienie Poszukiwacza, jeśli postanowi się dyskretnie ulotnić. Urquijo poradził mi, że lepiej nie mieszać w to wszystko policji, bo Korpus może mieć z tego powodu problemy.

– Od jak dawna jej szukają?

– Od jakichś dwóch tygodni. Na razie niczego nie znaleźli.

– Od dwóch tygodni? – powtórzyłem zaskoczony. – Mówiłeś, że od półtora miesiąca nie masz od niej wieści, dlaczego więc tak późno poprosiłeś o pomoc?

– Przed wyjazdem do Kalifornii Danny coś mi powiedziała. Ostrzegła, że przez jakiś czas może się nie odzywać, ale żebym się nie martwił.

– A właśnie, to inna sprawa: po cholere pojechała do Kalifornii?

Bańka z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, nie powiedziała mi. – Zdjął okulary i zaczął czyścić szklą mankietem koszuli. – Szczerze mówiąc, już od pewnego czasu wydawała mi się jakaś dziwna... wycofana. Z początku myślałem, że chodzi o ciebie, wszyscy byliśmy w kiepskich nastrojach po tym, jak cię zwolnili...

– Ale potem zmieniłeś zdanie, dlaczego?

– Dowiedziałem się, że ona nadal na własną rękę prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Skrzydłowego. Pomyślałem, że jeśli sprawia wrażenie nieobecnej, to dlatego, że tak ją pochłonęła ta sprawa.

Skrzydłowy był eks-Poszukiwaczem, który zamienił służbę w Korpusie na posadę inspektora policji. Kiedy my siedzieliśmy w Mali, ktoś zastrzelił go w Madrycie, pod samym domem. Danny podejrzewała, że zabójstwo mogło mieć jakiś związek z Korpusem, i postanowiła odnaleźć mordercę. Poszukiwaczka ogromnie ceniła i szanowała starego policjanta, a do tego w pewnym stopniu czuła się odpowiedzialna za

jego śmierć.

– Myślisz, że wyjazd do Kalifornii może mieć jakiś związek z tym śledztwem?

– Możliwe. Kiedy ją zapytałem, po co tam leci, powiedziała, że zamierza uzyskać odpowiedzi na różne pytania i że mam się nie martwić, bo po powrocie opowie mi wszystko ze szczegółami... Tyle. – Z powrotem założył okulary i wyrwało mu się westchnienie. – Nic więcej nie udało mi się z niej wyciągnąć. Sam wiesz, jaka ona jest, zamknięta w sobie. Nawet przy mnie nie potrafi się otworzyć.

– Nie wspomniała, dokąd konkretnie w Kalifornii się wybiera? Nie wymieniła żadnego miasta?

Bańka pokręcił głową. Dźwignął się z fotela i poszedł do kuchni. Otworzył szafkę i wyciągnął szklankę oraz butelkę taniej whisky. Nalał trochę i wychylił na jeden raz.

Zauważyłem, że niebo za oknem ciemnieje. Żarówka ulicznej latarni zamrugowała kilkakrotnie, a potem się zapaliła. Blade światło zaczęło sączyć się do bazy przez szpary w żaluzjach.

– Myślałem o tym, żeby jechać jej szukać, wiesz? – powiedział Bańka, wbijając wzrok w pustą szklankę. – Polecieć do Kalifornii i spróbować się dowiedzieć, gdzie się podziewa, ale nie wiedziałem nawet, skąd zacząć... Zresztą nie chciałem zostawiać Piwnicy. Jak już mówiłem, jestem teraz jedynym agentem.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Bańka zasypywał mnie złymi informacjami.

– A co z Enigmą?

– Odeszła. Tak po prostu. Któregoś dnia wmaszerowała do gabinetu Alzagi i położyła mu na biurku wypowiedzenie.

– Czemu zrobiła coś takiego?

– A skąd ja mam niby wiedzieć? Nie ma chyba na świecie nikogo, kto by zrozumiał, co się dzieje w jej głowie... Ale po tylu latach spędzonych razem spodziewałem się, że przynajmniej mnie uprzedzi o swoich planach. – Twarz Poszukiwacza znowu skrzywiła się w grymasie.

Z jednej strony rozumiałem, dlaczego Bańka czuje się skrzywdzony, ale z drugiej – takie zachowanie bardzo mi pasowało do Enigmy. Zawsze była najbardziej nieprzewidywalna z naszego grona. Jej umysł przypominał zawły labirynt, po którym myśli ganiały jak szalone bez żadnej kontroli, obijając się o ściany.

– Wiesz, co zrobiła po odejściu z Piwnicy?

– Nie. Alzaga zaproponował jej pomoc w szukaniu nowej pracy, ale odmówiła. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, powiedziała, że zamierza spędzić trochę czasu z rodziną, odbudować więzi.

Poszukiwacze są tak przyzwyczajeni do pracy w tajemnicy, że często rozlewa się to na pozostałe aspekty ich życia. Jednak podczas naszej misji w Mali Enigma opowiedziała mi co nieco o swojej przeszłości: pochodziła z bogatego domu, była rozpieszczoną córeczką zamożnego tatusia, z którym zerwała kontakt na długo przed wstąpieniem do Korpusu. Z relacji Bańki wynikało jednak, że poczuła nagle przemożną potrzebę powrotu do rodzinnych korzeni. Wydawało mi się to dość dziwne, ale niekoniecznie zaskakujące: w przypadku Enigmy wszystko było możliwe.

Bańka pociągnął kolejny łyk whisky, tym razem prosto z butelki.

– Chyba wiem, dlaczego to zrobiła, młody – stwierdził, otarłszy usta grzbietem dłoni. – Uciekła z tonącego statku... Enigma może i jest trochę szurnięta, ale nie jest głupia. Wiedziała, że Korpus pieprzonych Poszukiwaczy idzie na dno, i nie mogła tego znieść, więc dała nogę. Czasem korci mnie, żeby pójść w jej ślady, ale kiedy już-już wydaje mi się, że podjąłem ostateczną decyzję, przypomina mi się Narváez i robię krok w tył. Staruszek nie rozumiałby, dlaczego chcę uciec jak szczur... On sam nigdy by tak nie postąpił.

Bańka roztaczał przede mną przygnębiające wizje. Trudno mi było uwierzyć, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy wszystko tak się pokomplikowało.

– Sytuacja nie może być przecież aż tak tragiczna.

– A co ty wiesz? Odszedłeś prawie rok temu. Potem Enigma, teraz Danny... I nikomu nie zależy na przyjmowaniu nowych członków. Tak jakby ktoś bardzo chciał, żeby Korpus umarł ze starości.

– Kto, Alzaga?

– Niewykluczone. Sukinsyn wyraźnie ma głęboko w dupie, że Korpusowi grozi upadek. Nie wiem, kto wpadł na pomysł powierzenia mu władzy, ale mam nadzieję, że duch staruszka Narvaeza prześladowuje go dniami i nocami.

– Ale wcześniej czy później Alzaga będzie musiał zatrudnić nowych Poszukiwaczy. Nie możesz przecież pracować sam w nieskończoność, nie dasz rady.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, młody? Nie ma dla nas pracy. Żadnych misji, nic! Siedzę beczynnym za biurkiem i patrzę, jak zegarek odmierza kolejne godziny, Alzaga zaś nie ma najmniejszego zamiaru nawet kiwnąć palcem, żeby to zmienić.

– A mimo to powierzył ci zadanie do wykonania w Londynie.

Bańka pokręcił głową ze znużeniem.

– Przyjechałem tu na własną rękę. Nie mam żadnego wsparcia ze strony Piwnicy.

– Teraz już rozumiem... – powiedziałem. Po tym wszystkim, co usłyszałem, spodziewałem się takiej odpowiedzi. – Zdziwiło mnie, że nie podmieniłeś rękopisu Rosignollego na falsyfikat autorstwa bliźniaków, ale domyślam się, że oni też nie wiedzieli o planowanym napadzie, zgadza się?

– Wreszcie zaczynasz łapać, młody.

Narodowy Korpus Poszukiwaczy stosował zwykle ten sam podstęp: każde odzyskane dzieło sztuki podmieniano na kopię wykonaną wcześniej w warsztacie bliźniaków Alfya i Omegi – jubilerów, których rodzina od pokoleń współpracowała z Korpusem. Dzięki temu kradzieże często pozostawały niezauważone. Bańka potwornie ryzykował.

– Źle zrobiłeś – stwierdziłem. – Jeśli Alzaga się dowie, może cię wyrzucić, tak jak mnie po tej aferze z Mali.

– W ogóle mnie to nie obchodzi. Niech mnie wywali na zbity pysk, przynajmniej wreszcie skończymy z tą powolną agonią... Ale on tego nie robi. Nie... Wydaje mi się, że ten popapraniec chce mnie trzymać przykutego do biurka w Piwnicy do samego końca, aż wszystko szlag trafi.

– Bierzesz zwykłą niekompetencję za jakieś mroczne zamiary. Nie rozumiem, czemu Alzadze miałyby zależeć na sabotowaniu własnego miejsca pracy.

Wzruszył ramionami. Widocznie nie interesowała go moja opinia na ten temat.

Moja opinia zaś była następująca: Bańka zabrnął w ślepią uliczkę. Kiepsko zaplanował napad i odstawił fuszerkę, detektyw Child z pomocą Interpolu prędzej czy później doda dwa do dwóch. Nie mogłem wyobrazić sobie nic gorszego niż sytuacja, w której byłbym zmuszony wystawić nakaz aresztowania na nazwisko starego kumpla. A nie miałem wątpliwości, że do tego dojdzie, zwłaszcza jeśli w śledztwo zaangażuje się Lacombe. Dobrze ją znałem i wiedziałem, że nigdy łatwo nie odpuszcza, przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy to mnie obrała sobie na cel. Jeśli Bańka działał bez porozumienia z Korpusem, to miał mniej więcej taką szansę wyjść z tej afery cało, jak uciec bez szwanku z płonącego budynku w ubraniu przesiąkniętym benzyną.

Zastanawiałem się, jak mógłbym mu pomóc. Niestety, nie miałem zbyt wielu opcji. Mogłem najwyżej odwrócić głowę i patrzeć w inną stronę z nadzieją, że wrodzony fart pomoże mu jakoś wykaraskać się z tarapatów.

– Nikomu nie powiem o tej rozmowie – zapewniłem.

Poszukiwacz skinął głową w milczeniu, nawet na mnie nie patrząc.

– Dzięki.

– Ale musisz jak najszybciej uciekać z Londynu. I na twoim miejscu zapomniałbym o tym rękopisie.

– Jeśli będę kiedyś potrzebował rady ze strony młodego, to cię o nią poproszę.

– Trochę szacunku, okej? Ten młody może w każdej chwili wykonać jeden telefon i ściągnąć ci na głowę całą policję z City oraz część Interpolu.

– Dobra, spoko, rozumiem: masz większego.

– Serio, Bańko. Wpakowałeś się w niezły kanał i dobrze o tym wiesz. Po co ryzykować aresztowanie dla jakichś bezwartościowych szpargałów?

– Wiem, że nie jesteś już w Korpusie, ale chyba nie zapomniałeś jeszcze, jaką mamy misję ani jak brzmi nasze motto: „Z powrotem do domu”. Rękopis musi zostać zwrócony prawowitym właścicielom.

– Właścicielem jest jakiś nudnawy profesorek, który lada chwila dostanie zawału albo udaru przez ten twój napad. Nie próbuj mi wciskać kitu, że to wielka misja Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Bańka wpatrywał się we mnie ze zmarszczonym czołem, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.

– Czekaj, Faro, moment... Ty w ogóle masz pojęcie, co ja właściwie ukradłem?

– Już miałem odpowiedzieć, ale nie dał mi dojść do słowa. – Nie, ewidentnie nie masz.

– I co z tego? Wszystko mi jedno, czy to pamiętniki Hitlera, czy zeznania autentycznego Kuby Rozpruwacza. Nie obchodzi mnie to w najmniejszym stopniu.

– Błąd. Powinno cię obchodzić, i to bardzo. Można powiedzieć, że właścicielem tego rękopisu... jesteś ty.

– To miał być żart? Bo jakoś nie załapałem.

– Wstań.

Posłusznie podniosłem się z miejsca. Bańka odsunął mnie na bok i zdjął poduchy z kanapy. Pod spodem znajdował się rozkładany stelaż. Poszukiwacz dobrał się do niego i po chwili wyjął ze środka podłużny przedmiot, mierzący około pięćdziesięciu

centymetrów, zawinięty w koc.

Położył zawiniątko na kuchennym stole i rozpakował, żeby móc zobaczyć jego zawartość. Gdy tylko mój wzrok spoczął na tajemniczym przedmiocie, wszystkie fragmenty układanki trafiły nagle na swoje miejsca.

Odkryłem między innymi, że Dennis Rosignolli bezczelnie kłamał, kiedy mówił, iż skradziony rękopis od wielu pokoleń należał do jego rodziny.

Bańka słusznie stwierdził, że jeśli ktokolwiek miał prawo uważać się za właściciela rękopisu, to tą osobą byłem ja. W końcu to ja go odnalazłem, wydobyłem z dziury pełnej kurzu i pajęczyn. Zdarzyło się to jednak tak dawno temu, a ja od tamtej pory przeżyłem już tyle niewiarygodnych przygód, że niemal całkowicie o tym zapomniałem.

A wydarzyło się to podczas mojej wyprawy do Jaskiń Heraklesa, gdy podążałem tropem Stołu Salomona. To tam, w samym sercu podziemnego labiryntu, znalazłem nie tylko rzekomą biblijną relikwię, lecz także całą masę równie tajemniczych obiektów.

W opuszczonej jaskini trafiłem przypadkiem na zwój pergaminu zamknięty w etui z pozłacanego srebra. Dokument ten spoczywał w pobliżu dzbanów wypełnionych miodem, w których umieszczono zmumifikowane głowy.

Nie miałem pojęcia, co to za rękopis ani kto go tam umieścił. Zresztą w ogóle bym go nie znalazł, gdybym nie musiał schronić się w tamtej wnęce, kiedy strop zaczął walić mi się na głowę. Tylko wtedy miałem ten manuskrypt w rękach i zdążyłem jedynie przelotnie rzucić na niego okiem (miałem wówczas ważniejsze zmartwienia na głowie). Mam jednak stuprocentową pewność, że przez ostatnie kilkaset lat nikt, a zwłaszcza zarozumiały doktor z nazwiskiem Rosignolli, nie miał dostępu do tego dokumentu, nim ja go odnalazłem.

Jedynie, co mogłem stwierdzić na podstawie pobieżnych oględzin tekstu, to że spisano go w osobliwym alfabecie, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Narodowy Korpus Poszukiwaczy postanowił przekazać rękopis bliźniakom Alfie i Omedze do dogłębnej analizy. Jubilerzy orzekli, że manuskrypt pochodzi z epoki wizygockiej, liczy więc przynajmniej tysiąc trzysta lat, ale również nie zdołali odszyfrować jego treści. Kiedy ostatni raz słyszałem o tym tajemniczym dokumencie, zanim upchnąłem wiedzę o nim w rzadko odwiedzanym zakątku pamięci, bliźniacy nadal go studiowali w swoim zakładzie jubilerskim przy ulicy Postas w centrum Madrytu.

Dlaczego więc teraz leżał przede mną na stole kuchennym w jakimś mieszkaniu w Londynie i dlaczego wykładowca uniwersytecki z Grenoble podawał się za jego prawowitego właściciela? Nie potrafiłem tak z marszu odpowiedzieć na te pytania, chociaż bardzo bym tego chciał.

– Wygląda znajomo, co, młody? – zagadnął Bańka.

– To... to ten sam zwój, który znalazłem? Jesteś pewny?

– Na sto procent. – Poszukiwacz zapalił kolejnego papierosa. – W zeszłym miesiącu, kiedy na polecenie Alzagi marnowałem beczynn timer w biurze, dowiedziałem się o wystawie w Barbican Centre, na której prezentowano kodeksy i inne dokumenty z najróżniejszych epok historycznych. Między innymi tego właśnie grata, więcej, reklamowali się nim jako najwspanialszym eksponatem. Rozpoznałem go, jak

tylko popatrzyłem na zdjęcie. Potem zdobyłem katalog wystawy i porównałem opis przedmiotu z fiszką, którą uzupełniliśmy po tym, jak go znalazłeś. Zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach. Nie miałem cienia wątpliwości, że to nasze znalezisko.

– Ale... jak to możliwe? Przecież zwój powinien leżeć sobie spokojnie w zakładzie Alfy i Omegi.

– Te dwa kurduple dały ciała na całej linii. Nie potrafili sami rozpoznać alfabetu, więc postanowili wysłać manuskrypt swojemu znajomemu ekspertowi od paleografii. Wiesz, szanowany wykładowca uniwersytecki, członek CNRS...

– Rosignolli!

– We własnej osobie. Kiedy mi o tym powiedzieli, aż mnie ręce świerzbiły, żeby ich udusić tymi ich cholernymi krawatami.

Bańka powiedział mi, że musiał się uciec niemal do gróźb karalnych, ale tak długo wiercił im dziurę w brzuchu, aż bliźniacy do wszystkiego się przyznali. Twierdzili, że na początku wysłali Rosignollemu wyłącznie skany tekstu. Jakiś czas później doktor odpisał jednak, że nie może zagwarantować rzetelnego przekładu, jeśli nie będzie miał dostępu do oryginału. Bliźniacy zgrzeszyli niewyobrażalną naiwnością, godząc się na przekazanie rękopisu Rosignollemu. Nawet przez myśl im nie przeszło, że poważany naukowiec, cieszący się uznaniem w kręgach akademickich, mógłby próbować ich oszukać.

Kiedy zwój trafił w końcu w jego ręce, Rosignolli zaczął wymyślać kolejne niewiarygodne wymówki i coraz bardziej opóźniać zwrot rękopisu, aż stało się jasne, że nie zamierza nigdy go oddać. A przynajmniej jasne dla każdego poza idealistami Alfą i Omegą, którzy wciąż byli szczerze przekonani o szlachetnych zamiarach doktora.

– Sami w nie uwierzyli – dodał Bańka. – Nie potrafią przyjąć do wiadomości, że ten pieprzony Francuzik zrobił ich w konia. Nawet kiedy wszystko z nich wyciągnąłem, ciągle się upierali, że cała ta historia to jakieś nieporozumienie.

– Alfa i Omega powiedzieli Rosignollemu, jak weszli w posiadanie dokumentu?

– Twierdzą, że nie... I raczej nie kłamią, ale założę się, że ci debile dali mu w jakiś sposób do zrozumienia, że rękopis nie ma prawowitego właściciela, a żabojad to wykorzystał. Na pewno jest nie w ciemną bitą, jak wszyscy naciągacze.

Faktycznie, bez wątplenia był niegłupi. Świadomie czy nie, Rosignolli dokonał podręcznikowej wręcz grabieży. Bliźniacy nie mogli oficjalnie domagać się zwrotu manuskryptu, bo musieliby przyznać, jak trafił w ich ręce, a to groziłoby ujawnieniem działalności Korpusu, co absolutnie nie wchodziło w grę.

– Powiedziałeś o tym wszystkim Alzadze?

– Nie. Nie chciałem wkopać bliźniaków. Zachowali się jak krety, ale nie zamierzam podsuwać Alzadze pretekstu do pozbycia się ich, straciłem już zbyt wielu współpracowników w ostatnich miesiącach. Bez konsultacji z nim podjąłem decyzję o odzyskaniu rękopisu.

– To mu się raczej nie spodoba...

– Gdybym się tym przejmował, teraz by mnie tu nie było. Zresztą wcale nie musi o niczym wiedzieć. Zawiozę rękopis z powrotem do bliźniaków, a oni będą mnie kryć, jeśli mają choć trochę oleju w głowie.

Rozumiałem motywację Bańki i bardzo możliwe, że ja w jego sytuacji postąpiłbym

dokładnie tak samo, ale mimo to wydawało mi się, że prawdopodobieństwo doprowadzenia akcji do pomyślnego zakończenia pozostawało dość nikłe.

Spróbowałem na chwilę wyłączyć pesymizm i oddałem się badaniu rękopisu. Tak jak pamiętałem, znajdował się w walcowatym etui z połączanego srebra, zdobionym reliefem z motywami roślinnymi, o średnicy mniej więcej czterech palców. Bańka pozwolił mi je otworzyć.

Wyciągnąłem ciasny zwój pergaminu wydzielający intensywną woń pleśni. Nie odważyłem się go rozprostować z obawy przed uszkodzeniem artefaktu. Wydawał się zresztą zbyt długi, żeby mógł się zmieścić na wąskim kuchennym stoliku. Rozwinąłem jednak kilkucentymetrowy fragment od góry, żeby rzucić okiem na nagłówek. Pismo zachowało się w dobrym stanie i było całkiem czytelne. Rozpoznałem słowa napisane gotykiem po łacinie. TESTATIO MENTIS – głosiły, co dosłownie można przetłumaczyć jako „świadcstwo woli”, a bardziej potocznie: „testament”.

Resztę treści stanowiły ciasne linijki zapisane w alfabecie, którego nie potrafiłem rozszyfrować. Kiedy przyjrzałem się bliżej, niektóre litery zdały mi się greckie. Bańka znał klasyczną grekę w mowie i piśmie, więc zapytałem, czy tekst zapisano w tym języku. Kategorycznie zaprzeczył. Chociaż niektóre znaki faktycznie były podobne, wyjaśnił, niewątpliwie mieliśmy do czynienia z zupełnie innym językiem. Zresztą grekę bliźniacy by rozpoznali i przetłumaczyli.

Zaczęła mnie ogarniać nieodparta chęć odkrycia sekretów skrywanych przez ten dokument.

– Myślisz, że Rosignollemu udało się dokonać przekładu? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia.

– Dobrze by było się dowiedzieć, co tu napisano, nie wydaje ci się? Może by się wyjaśniło, dlaczego zwój ukryto w Jaskiniach Heraklesa, razem ze Stołem Salomona, i do kogo należały te głowy zatopione w miodzie... – zastanawiałem się na głos. – Tak, bardzo chciałbym się tego dowiedzieć. – Zauważyłem, że Bańka przygląda mi się z jednym z tych swoich półuśmiechów, tak podobnym do tych typowych dla Danny i równie trudnym do zinterpretowania. – Co to za mina?

– Nie, nic... Po prostu twoje zachowanie wydaje mi się jakby znajome – odparł nieco kpiącym tonem. – Tęsknisz za akcją, co, młody? Czyżby Interpol nie zaspokajał twoich potrzeb w zakresie poszukiwania skarbów?

– Nie gadaj głupot.

Gwałtownym ruchem odłożyłem rękopis jak jakiś niebezpieczny przedmiot. Bańka schował go z powrotem do etui. Przez dłuższą chwilę milczałem. Miałem nieprzyjemne uczucie, że przyjaciel pomachał mi przed nosem przynętą... i że osiągnął zamierzony skutek.

– Ciągłe uważasz, że powinienem się go pozbyć? – zapytał.

– Nie... Ale musisz przyznać, że ten manuskrypt jest jak bomba zegarowa.

– Czemu tak się martwisz? Jak do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem. Nikt oprócz ciebie nie powiąże mnie z tym napadem... A ty mnie nie wsypiesz, prawda?

– Pewnie, że nie – fuknąłem. – Ale pomijając już dylemat moralny, z którym muszę sobie jakoś poradzić, nie powinienes być taki pewny, że policja cię w końcu nie złapie.

– Nic na mnie nie mają.

– Tu się mylisz. Znaleźli świadka, wiem o tym. Jakaś kobieta widziała, jak twój kumpel Caleb unieszkodliwił ochroniarza.

– Bzdura... Nawet jeśli, to nie będzie w stanie go opisać. Kazałem mu założyć kominiarkę, miał zasłoniętą twarz, tak jak ja.

– Sprawdziłeś to osobiście?

– Nie, ale... Na pewno to zrobił.

– Pewnie. Koleś, który żyje na ciągłym haju. Nie no, na pewno słusznie wierzysz, że wypełnił wszystkie twoje polecenia co do joty.

Bańka zaczął wyraźnie tracić rezon. Zdjął okulary i znowu zajął się czyszczeniem szkielek, żeby nie musieć patrzeć mi w oczy.

– No dobra. Ale... nawet jeśli ktoś rzeczywiście widział jego twarz, co jest wysoce nieprawdopodobne... On mnie nie wsypie.

– Oczywiście. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zrobiłby dla ciebie wszystko, zwłaszcza kiedy się zorientuje, że za milczenie zapłaciłeś mu workiem mąki z multiwitaminą.

– Zamknij się, młody – warknął Poszukiwacz.

– Bańko, nie oszukuj się: masz problem.

– Dobra, niech ci będzie. Przyznaję, że moja sytuacja jest nieco bardziej niepewna, niżbym sobie tego życzył, ale wcale mnie to nie martwi, jakoś z tego wybrnę. Mam spore doświadczenie.

– Nie wątpię, ale wydaje mi się, że dalej zajdziesz z moją pomocą, niż upierając się przy zgrywaniu samotnego wilka.

– Nie. Ty działasz teraz legalnie. Nie chcę cię wciągać w te ciemne sprawy.

– Masz rację, nie powinienem się w to mieszać, ale to sprawa osobista. Nie po to ryzykowałem życie w Jaskiniach Heraklesa, żeby teraz taki typek jak Rosignolli po prostu sobie przywłaszczył rękopis. Nie mogę do tego dopuścić.

– W porządku. Załóżmy na chwilę, że pozwolę ci się w to wmieszać... Przede wszystkim powinieneś mieć dobry plan.

– Mam pomysł. Nie wiem, czy bardzo dobry, ale powinien odsunąć od ciebie podejrzenia policji... O ile uda mi się przekonać cię, że wcale nie jest tak zupełnie od czapy, jak na początku pewnie będzie ci się wydawało.

Bańka zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Strzelaj.

Wyjaśniłem mu, co mi chodzi po głowie. Tak jak się spodziewałem, mój pomysł wydał mu się kompletnie absurdalny.

OKULARY

Zatrzymaliśmy się z Lacombe w hotelu niedaleko Victoria Station. Należał do sieciówki drugiej kategorii i, podobnie jak większość londyńskich hoteli, był drogi mimo kiepskiego standardu.

Po dwudziestej pierwszej zapukałem do pokoju agentki. Zza drzwi dobiegły mnie dźwięki symfonii „Reńskiej” Schumanna. Lacombe najwyraźniej pozwoliła sobie na chwilę relaksu.

– A, to ty, Alfaro. Czego chcesz? – powiedziała na powitanie. – Masz jakiś problem z raportami?

Oczywiście przez cały wieczór nawet nie tknąłem tych nieszczęsnych raportów. Ta sprawa przestała stanowić dla mnie priorytet, jeśli w ogóle kiedykolwiek nim była.

– Nie, chciałem z tobą porozmawiać o rękopisie z Barbican Centre.

– Nie możesz przestać o tym myśleć, co? Dobrze, to mi się podoba. To znak, że masz w sobie dociekliwość solidnego policjanta. Tak, to niezwykle interesująca sprawa. Po powrocie do Lyonu zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pozwolono nam oficjalnie się tym zająć. Mam liczne teorie na ten temat, właściwie nawet chciałam się z kimś nimi podzielić...

Nie dopuściwszy mnie do słowa, odwróciła się i weszła w głąb pokoju, żeby wyłączyć muzykę, jednocześnie zasypując mnie niekończącą się serią opinii i wypowiedzanych na głos przemyśleń związanych ze sprawą.

Cierpliwie czekałem na zakończenie monologu, dla zabicia czasu rozglądając się uważnie po otoczeniu. Na jednej z szafek nocnych dostrzegłem powieść Rosamunde Pilcher, strasznie zaczytaną, z kartą pokładową tkwiącą między stronami w charakterze zakładki. Bardzo mnie zaskoczył taki wybór lektury, podejrzewałem nawet, że książka została tu po poprzednim gościu.

Teraz Lacombe gadała jak najęta o przesłuchaniu świadka napadu. Tak jak się obawiałem, kobieta całkiem dokładnie i szczegółowo opisała Caleba, z koszulką Motörhead włącznie.

– Mamy już podejrzanego. Wystarczy, że pociągniemy za tę nitkę, a zaraz dojdziemy do kłębka, zobaczysz – zapowiedziała agentka. Uwielbiała uciekać się do metafor związanych z nitkami, gobelinami i kłębkami, kiedy mówiła o jakiejś sprawie.

– Wkrótce odnajdziemy skradziony rękopis.

– Słuchaj, właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać... Obawiam się, że sprawy przybrały niespodziewany obrót.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Może lepiej wytłumaczę ci to gdzieś indziej. Tu niedaleko jest pub. Chodźmy tam, wszystko ci opowiem. Zaczekam na ciebie na dole, przy recepcji.

Nawet dla mnie moje słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco, ale Lacombe

przystała na propozycję. Kilka minut później szliśmy już w stronę malowniczej piwiarni The Rose of Lancasters znajdującej się parę przecznic od hotelu. Wewnątrz było niewielu klientów. Jeden z nich siedział samotnie nad kuflem cydru przy stoliku na uboczu.

Gdy tylko przekroczyliśmy z Lacombe próg pubu, samotny piwosz posłał mi wymowne spojrzenie sponad okularów. Niewypowiedziane słowa malowały się w jego oczach tak wyraźnie, że mogłem dokładnie wyobrazić sobie ich treść, jakbym je słyszał.

„Niech to się lepiej uda, młody, bo jak nie, to cię ukatrupię”.

Skierowałem się w stronę Bańki, prowadząc za sobą agentkę Interpolu. Usiedliśmy przy jego stoliku, ale Lacombe nie od razu go rozpoznała. Może dlatego, że nie spodziewała się go już nigdy więcej spotkać, od czasu, gdy musieli zacisnąć zęby i zmusić się do współpracy podczas akcji w Mali. A może to przez okulary.

Gdy twarz Bańki wreszcie przypomniała się agentce, ta aż krzyknęła z zaskoczenia.

– To pan!

– Pani Julianne – przywitał się Poszukiwacz i uklonił nieznacznie.

– Co to ma znaczyć? Co pan tu robi?

Zrozumiałem, że podczas tego spotkania będę musiał wspiąć się na szczyty dyplomacji. Lepiej było nie wywlekać przy Lacombe kwestii związanych z misją w Mali, bo agentka nie miała pojęcia o wielu aspektach tej sprawy i, szczerze mówiąc, lepiej, żeby tak już zostało.

– Wygląda pani na zdenerwowaną – stwierdził Bańka. – Coś nie tak?

Lacombe próbowała dojść do siebie po początkowym zaskoczeniu.

– Nie... To znaczy... wiem przecież, że znaliście się z Alfarem... już... wcześniej.

– Słowo „wcześniej” wypowiedziała po bardzo długiej pauzie, jakby rozpaczliwie poszukiwała w głowie bardziej odpowiedniego określenia, ale bezskutecznie. – Przykro mi, jeśli sprawiam wrażenie zdenerwowanej. Wcale nie jestem... Ależ skąd...

– Słusznie, bo nie ma pani ku temu powodów. Gdyby nie ja, skończyłaby pani w żołądku krokodyla wielkości autobusu.

Lacombe zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Wie pan co? Wolałabym nie poruszać tego tematu.

– Świetnie. To jest nas już dwoje. – Bańka pociągnął łyk cydru. – Należy patrzeć w przyszłość, tak brzmi moje motto. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jestem pewny, że podziela pani moją opinię. Zapamiętałem panią jako rozsądną kobietę. Nieco męczącą, ale rozsądną.

– Męczącą?

– Cóż, to tylko moja opinia.

– Byłabym wdzięczna, gdyby był pan łaskaw zachować swoje nedorzeczne opinie dla tych, którzy z jakiegoś niezrozumiałego powodu pana o nie poproszą, panie... panie...

– Lacombe cmoknęła z wściekłością. – Do diabła, nawet nie pamiętam, czy kiedykolwiek przedstawił mi się pan prawdziwym nazwiskiem.

– Burgos. Proszę mówić mi per panie Burgos – odparł Poszukiwacz, przedstawiając się nazwiskiem, którym zwykle się posługiwał, gdy występował incognito.

– Smuci mnie, że pani zapomniała. Ja świetnie pamiętam pani nazwisko, agentko... Lacoste?

– Lacombe, dobrze pan o tym wie.

– Ach, rzeczywiście... Lacoste to ta marka ubrań. Ta z krokodylkiem w logo, wie pani...

Odkaszlnąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę Bańki. Poszukiwacz wciąż wspominał Lacombe z żywą antypatią, ale to raczej nie był najlepszy moment, żeby zabawiać się jej kosztem.

– Pan Burgos jest w posiadaniu pewnych informacji dotyczących kradzieży manuskryptu, które mogą nam się przydać – wyjaśniłem.

Lacombe zmierzyła Bańkę podejrzliwym spojrzeniem.

– Jakiego rodzaju informacji?

– Mamy podstawy sądzić, że obiekt, o którym mowa, pochodzi z grabieży – powiedział Poszukiwacz. – Grabieży tej dokonał nie kto inny, jak człowiek podający się za prawowitego właściciela: Dennis Rosignolli.

– Mamy? O kim pan mówi, panie Burgos?

– O pewnej hiszpańskiej instytucji, w której imieniu tu występuję. Już jakiś czas temu wpadliśmy na trop tego rękopisu.

Najlepsze kłamstwo to takie, w którym tkwi spore ziarno prawdy – przynajmniej ja zawsze wyznawałem taką zasadę.

– Jaką konkretnie instytucję ma pan na myśli?

– Tę samą, która wspierała nas w Mali, proszę pani. Tę, w której Tirso pracował przed przejściem do Interpolu – odpowiedział Bańka. – Proszę nie ciągnąć mnie za język, bo w końcu powiem za dużo. Nie zapominajmy, że jesteśmy w miejscu publicznym. Nie wątpię, że jest pani na tyle inteligentna, żeby domyślić się, o czym mówię.

– Tak... Chyba tak – odparła Lacombe, starając się nie dać po sobie poznać konsternacji. Z tego, co o niej wiedziałem, wolała skłamać, niż przyznać się do niewiedzy.

– Ale i tak cała ta sprawa wydaje mi się bardzo dziwaczna... Co ciekawe, to uczucie towarzyszy mi niemal zawsze, kiedy nasze ścieżki się przecinają.

– Ale chyba nie zaprzeczy pani, że bywało całkiem interesująco – stwierdził Poszukiwacz. Lacombe tylko westchnęła w odpowiedzi. Bańka ciągnął: – Od wielu miesięcy śledzę poczynania Rosignollego, zbieram dowody, że manuskrypt wcale do niego nie należy. Niestety, ten nieszczęsny napad zupełnie pomieszał mi szyki. Pomyślałem sobie, że może zechce pani podać pomocną dłoń staremu przyjacielowi.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie lubię pana.

– Zmieniłaby pani zdanie, gdyby poznała mnie lepiej.

Lacombe jak zwykle nie podchwyciła żartu.

– Skąd pan wie, że współpracuję z policją przy tej sprawie? – zapytała. – Jak na razie Interpol jest zaangażowany w śledztwo w charakterze nieoficjalnym.

– Mówiłem, że już od jakiegoś czasu śledzę Rosignollego. Gdy tylko dowiedziałem się o napadzie koło Barbican Centre, na własną rękę odszukałem kilka osób zamieszanych w sprawę. Niejaki Josh Martin powiedział mi, że został już przesłuchany przez policję z City i dwóch agentów Interpolu. Sądziłem, że Interpol oficjalnie zajmuje się sprawą, więc skontaktowałem się z Tirsem, licząc na uzyskanie jakichś informacji. Nie miałem pojęcia, że też jest teraz w Londynie.

– Oczywiście nie chciałem robić nic bez porozumienia z tobą – wyjaśniłem Lacombe, trzymając się wersji, którą ustaliliśmy wcześniej z Bańką. – Uznałem, że to by było nie w porządku.

– Dlaczego nie zgłosił się pan do funkcjonariuszy policji z City, panie Burgos?

– Miałem taki zamiar, ale skoro okazało się, że dawny kolega z pracy może udzielić mi dyskretnej pomocy, wolałem najpierw skorzystać z tej ścieżki. Proszę posłuchać, pani Julianne, oboje wmieszaliśmy się w tę sprawę przypadkowo, nie sądzi więc pani, że dobrze by było wzajemnie sobie pomóc?

Lacombe milczała przez chwilę niezdecydowana.

– Nie jestem tego taka pewna, panie Burgos... Nie ufam panu.

– Przecież dotychczas nie poprosiłem pani o nic, co mogłoby pani zaszkodzić. Wręcz przeciwnie, z własnej woli i bezinteresownie przekazałem pani niezwykle cenne informacje dotyczące Rosignollego. Zależy mi wyłącznie na rozwiązaniu tej sprawy.

– Dlaczego nie przekazał pan tych informacji policji?

– Powiedzmy, że wolę pomagać znajomym niż obcym ludziom... Poza tym instytucja, dla której pracuję, ceni sobie dyskrecję. Lepiej, żebym prowadził śledztwo poza oficjalnymi kanałami, że tak powiem.

– A co zamierza pan osiągnąć?

– Nie dopuścić, żeby manuskrypt wrócił do Rosignollego.

– Cóż, przynajmniej na razie nie musi się pan o to martwić. Nikt nie wie, w czyich rękach jest teraz rękopis.

– Mam pewną teorię na ten temat – oznajmił Poszukiwacz. – Proszę sobie wyobrazić zabytkowy manuskrypt ubezpieczony na zawrotną sumę pieniędzy, tak wielką, że zwykły profesor zacząłby rozważać jej wyłudzenie poprzez upozorowanie napadu... Domyśla się pani, do czego zmierzam?

– Tak, ale wcale mnie to nie przekonuje. Rosignolli szalał z nerwów, był załamany stratą.

– Oczywiście. Jeśli sam obmyślił cały plan, to niby jak miał się zachowywać?

– Taką teorię wysunęła pańska... instytucja?

– Mniej więcej.

Lacombe pokręciła głową, jakby próbowała wyrzucić z niej sprzeczne myśli.

– Nie, nie... Nie widzę tego. To się kupy nie trzyma – stwierdziła. – Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Przykro mi, panie Burgos, ale nie mogę panu pomóc. Nie chcę znowu przez pana wpakować się w jakąś szaloną historię. Wystarczyło mi to, co wydarzyło się ostatnim razem. Teraz wrócę do hotelu i udam, że do naszego spotkania w ogóle nie doszło. – Wstała z krzesła i oskarżycielsko wycelowała we mnie palec. – A ty... ty... nie powinieneś utrzymywać kontaktu z tymi ludźmi. Wydaje mi się, że to nieodpowiednie towarzystwo.

– Zaczekaj chwilę... Tylko sekundkę – błagałem, próbując ją zatrzymać. – Jesteś przekonana, że w zachowaniu Rosignollego nie było nic podejrzanego? Pamiętaj, że nawet detektyw Child uznała, że on coś ukrywa, sama nam to dziś powiedziała.

Lacombe zerkała to na mnie, to na Bańkę. Widziałem niepewność malującą się w jej oczach.

– Ale... Nie rozumiem, co niby powinniśmy według was zrobić...

– Porozmawiajmy z Rosignollim – zaproponowałem. – Tylko tyle. Nic więcej. Dobrze sobie radzisz z przesłuchaniami. Jeśli uznasz, że nie ma podstaw, żeby podejrzewać go o kłamstwo, to zapomnimy o całej sprawie.

Żyłka detektywistyczna mojej towarzyszki drgnęła na myśl o kolejnych nitkach, które mogłyby doprowadzić ją do kłębka. Bańka podsunął jej kąsek tak smakowity, że nie mogła go zignorować.

Lacombe była silną kobietą, ale nie silniejszą od swoich instynktów.

– Zastanowię się – stwierdziła w końcu. – To wszystko.

Nie chciała już dłużej zostawać w pubie, więc poszła do hotelu. Zostaliśmy z Bańką sami.

Poszukiwacz łypał na mnie ponuro.

– No, młody, nie mam bladego pojęcia, w jakim celu odstawiliśmy tę całą szopkę.

– Dla zmylenia przeciwnika. Jeśli chcesz, żeby ktoś przestał na coś patrzeć, najlepiej wywołać porządne zamieszanie tuż za jego plecami, a przez to zmusić go do odwrócenia głowy.

– A możesz mi to wytłumaczyć bez metafor, z łaski swojej? Wypiłem już dwie pinty cydru.

– Jeśli Lacombe i policja poważnie potraktują teorię, że Rosignolli sam się okradł, może zajmą się tym aspektem śledztwa na tyle długo, że ty zdążysz niepostrzeżenie wymknąć się z rękopisem.

– Ale teraz Lacombe wie, że jestem w Londynie.

– Tak, ale wie tylko dlatego, że sami jej o tym powiedzieliśmy, a to dobrze. Ona mi ufa, a nie ma na tyle bujnej wyobraźni, żeby wpaść na to, że cię kryję. Jeśli spojrzeć na tę sprawę z jej punktu widzenia, trzeba by się bardzo nakombinować, żeby dojść do prawdy, a ona nie jest kombinatorką.

– Jesteś pewny?

– Tak. Pracujemy razem już dość długo, chyba zdążyłem nieźle ją poznać.

– Nie zazdroścę ci, młody. Tyle czasu z tym babsztylem...

Zamyśliłem się. Przez głowę przemknął mi nagle obraz powieści Rosamunde Pilcher z pozaginanymi rogami i kartą pokładową wetkniętą między kartki.

– Wiesz co? Nie jest wcale najgorsza.

– Tak, jasne – mruknął Poszukiwacz z przekąsem, wyraźnie nie biorąc moich słów na poważnie, po czym pociągnął ostatni łyk cydru ze szklanki. – Przynajmniej ciało ma niczego sobie.

Nazajutrz pojechałem z Lacombe na spotkanie z konserwatorami z Tate Gallery i funkcjonariuszami policji metropolitalnej. Cieszyłem się, że wreszcie będziemy mieli tę sprawę z głowy. Zwykła formalność, upierdliwa, ale na szczęście krótka. W zasadzie nie istniał już żaden powód, żebyśmy nie mogli wrócić najbliższym lotem do Lyonu.

Nie miałem okazji zapytać Lacombe, czy podjęła już jakąś decyzję w związku z Rosignollim, a ona też nie poruszała tego tematu, więc postanowiłem nie nalegać. Lacombe nie spodobałoby się, że podwładny próbuje wywierać na nią presję.

Po wyjściu z Tate Modern, gdzie odbyło się spotkanie, poszliśmy do pobliskiego Pret A Manger po kawę i coś do jedzenia. Późne śniadanie zjedliśmy na ławce z widokiem na Tamizę, nieopodal Millennium Bridge. Woda w rzece miała brudną, szaroburą barwę, podobnie jak niebo. Londyn pełną gębą.

– Myślałam o tym twoim znajomym, panu Burgosie... – oznajmiła Lacombe niespodziewanie. – Skąd się znacie?

– Wiesz, że nie mogę opowiadać o mojej poprzedniej pracy.

– No tak... Robiłeś coś dla hiszpańskich służb wywiadowczych, zgadza się?

– Dokładnie tak.

– Alfaro, jesteś inteligentny. – Nagły komplement mocno mnie zaskoczył. – Do tego nie brakuje ci kreatywności ani odwagi. Dlatego tak mi zależało na tym, żebyś dołączył do mojego zespołu.

– Cóż... eee... dzięki.

– Zawsze wyszukuję najlepszych. Nie obchodzi mnie, skąd pochodzą, jeśli są dla mnie użyteczni. Ale nie jestem głupia i zdaję sobie sprawę, że pewne wydarzenia z twojej przeszłości nijak nie przystają do raczej zdawkowego i ubogiego CV, z jakim do nas przyszedłeś. Do tej pory w to nie wnikałam, bo udowodniłeś, że można ci ufać.

Poczułem leciutkie ukłucie winy.

– Miło mi to słyszeć.

– Chciałabym się jednak dowiedzieć, czy ten twój znajomy również jest godny zaufania.

Zdobyłem się na szczerą w takim stopniu, na jaki pozwalały mi okoliczności.

– Myślę, że nie kłamie, kiedy twierdzi, że Rosignolli coś przed nami ukrywa.

Lacombe w zamyśleniu pokiwała głową.

– W porządku – stwierdziła. Wstała z ławki i wyrzuciła resztki śniadania do kosza na śmieci. – Porozmawiajmy z nim. Wiem, że nie będę mogła spokojnie spać, dopóki nie pozbędę się tej przekłętej niepewności.

Pojechaliśmy taksówką na Victoria Station. Stamtąd złapaliśmy jeden z licznych pociągów łączących centrum Londynu z lotniskiem w Luton i wysiedliśmy w Elstree, gdzie rezydował Dennis Rosignolli. Cała podróż zajęła nam niecałą godzinę, ale wydałem majątek na środki transportu. Lacombe nie pozwoliła mi przerzucić kosztów na Interpol.

Francuski naukowiec mieszkał w niewielkim szeregowcu w spokojnej dzielnicy mieszkaniowej otoczonej terenami zielonymi. Oprócz mieszkania Rosignollego w segmencie znajdowały się jeszcze dwa, wszystkie identyczne i sprawiające wrażenie funkcjonalnych, ale raczej nieciekawych. Okolica wyglądała na wymarłą.

Kiedy stanęliśmy pod drzwiami, Lacombe zwróciła się do mnie:

– Ty się tym zajmiesz.

– Ja? Ale przecież to ty zawsze prowadzisz przesłuchania... Ja mam słuchać i się uczyć, przecież wiesz...

– Nie. To był twój pomysł, więc ty zadajesz pytania. Ja już i tak wystarczająco dużo zrobiłam: zgodziłam się tu przyjechać.

Nacisnęła dzwonek, tak że nawet nie zdążyłem zaprotestować. Rosignolli niemal natychmiast nam otworzył i od razu nas poznał, choć nie wyglądał na zachwyconego. Po

dość oschłym powitaniu zapytał, czy mamy dla niego jakieś wieści w związku z rękopisem.

– Ciągłe badamy sprawę – powiedziałem. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan wyjaśnić nam jeszcze kilka szczegółów, jeśli ma pan chwilę.

– Mam chwilę, ale nie wiem, czy chcę ją poświęcać na rozmowy z państwem. Powiedziałem już policji wszystko, co uznałem za istotne, a nadal nie doczekałem się zwrotu skradzionego mienia.

Lacombe postanowiła jednak mi pomóc, żeby Francuz nie zatrasnął nam drzwi przed nosem.

– Panie doktorze, jeśli zależy panu na naszej pomocy, będzie pan musiał z nami współpracować.

– Londyńska policja nic dla mnie nie zrobiła... Obiecali postawić pod moim domem funkcjonariusza i nic z tego, nadal czekam na ochronę. Przekłęci amatorzy.

– Ale my nie reprezentujemy policji angielskiej, jesteśmy agentami Interpolu.

Rosignolli wyraźnie się zawahał.

– Pani... jest z Francji, prawda?

– Zgadza się. Współpracuję nie tylko z policją międzynarodową, ale też z OCBC.

– No dobrze. Dam wam parę minut. Może rodaczka zdoła pojąć wagę tej sprawy lepiej niż ci *bobbies* za dychę, co to nadają się tylko do wskazywania drogi turystom i wlepiania mandatów.

W końcu Rosignolli wpuścił nas za próg. Tak naprawdę nie mieliśmy najmniejszego prawa przesłuchiwać go w domu, nie tylko dlatego że nie zajmowaliśmy się tą sprawą oficjalnie, ale także z innego powodu: agentom Interpolu pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach nie przysługują uprawnienia funkcjonariuszy policji suwerennego państwa. Żeby przesłuchanie można było uznać za legalne, musiałby towarzyszyć nam brytyjski policjant. Na szczęście Rosignolli, jak zresztą większość ludzi, nie miał o tym pojęcia.

Doktor zaprowadził nas do gabinetu na piętrze – niewielkiego pokoju z oknem wychodzącym na ulicę przed domem.

Wygląd pomieszczenia świadczył o zamiłowaniu gospodarza do porządku. Błat biurka był niemal zupełnie pusty, jeśli nie liczyć dwóch symetrycznych stosików kartek z notatkami ułożonych obok komputera. Za biurkiem stała biblioteczka zajmująca całą ścianę. Wszystkie książki ustawiono w porządku alfabetycznym i na pierwszy rzut oka nie brakowało żadnego tomu. W pomieszczeniu unosiła się woń odświeżacza powietrza.

Rosignolli niechętnie zaproponował nam, żebyśmy usiedli. Sam zasiadł w fotelu obrotowym za biurkiem.

– No więc słucham – powiedział.

Lacombe spojrzała na mnie, przekazując inicjatywę w moje ręce.

– Panie doktorze... – zacząłem. – Jeśli chodzi o ten rękopis... Mówił pan, że należy do pana rodziny od wielu pokoleń.

– Zgadza się.

– Jak pańska rodzina weszła w jego posiadanie?

– Trudno powiedzieć... To jedno z pytań, na które próbowałem odpowiedzieć

w toku śledztwa.

– I udało się to panu?

– Nie. Na razie nie.

Łatwość, z jaką temu człowiekowi przychodziły bezczelne kłamstwa, zaczynała budzić we mnie coś w rodzaju podziwu.

– Dokąd dotarł pan w swoich badaniach?

– A dlaczego, do diabła, to interesuje Interpol?

– Panie doktorze, w przeciwieństwie do policji angielskiej my zdajemy sobie sprawę z ogromnej wartości zrabowanego dzieła. Może nawet nie tyle materialnej, ile naukowej, ale to właśnie czyni ten manuskrypt tak wyjątkowym... Można by wręcz powiedzieć, że unikatowym... Niech mi pan wybaczy ciekawość, ale chciałem z pierwszej ręki dowiedzieć się, do jakich wniosków doszedł tak światły uczony.

W czasach studenckich nauczyłem się, że to właśnie najbardziej nieprzyjemnych wykładowców najłatwiej jest zmiękczyć komplementami, nawet jeśli to ewidentne lizusostwo. Okazało się, zgodnie z moimi podejrzeniami, że Rosignolli również należy do tej grupy.

– Cóż, miło się przekonać, że nie wszyscy przedstawiciele prawa lekceważą niematerialną wartość prawdziwego zabytku historiografii – stwierdził. Następnie prychnął z niesmakiem. – Bo londyńska policja prowadzi tę sprawę tak bezceremonialnie, jakby chodziło o kradzież portfela turyście. To niedopuszczalne. Nie wykazali nawet grama zainteresowania moim...

– Pańską pracą naukową?

– Właśnie! Ale pan... Tak, pan zdaje się pojmować ogrom tej straty. A przynajmniej pan próbuje.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tym rękopisie. Dlaczego jest tak ważny?

– Ze względu na swoją unikatowość! Proszę poczekać, zaraz panu pokażę... – Rosignolli włączył komputer, odszukał odpowiedni plik, a potem obrócił ekran w naszą stronę, żeby pokazać nam zeskanowany fragment rękopisu. Od razu rozpoznałem znajome szlaczki nieczytelnych znaków. – Proszę się przyjrzeć. Zeskanowałem każdą linijkę tekstu. Niech pan zwróci uwagę na to zadziwiające pismo, wie pan, co to za alfabet?

– Obawiam się, że nie.

Doktor uśmiechnął się z wyższością.

– Oczywiście, że nie, mało kto by je rozpoznał! To, proszę pana, jest ni mniej, ni więcej, tylko idealnie zachowany przykład pisma mezogockiego.

Doznałem nagłego olśnienia, jakby w mózgu wybuchły mi fajerwerki.

Pismo mezogockie. Oczywiście. Ale z nas idioci. Nie potrafiłem zrozumieć, jak Alfa i Omega mogli na to nie wpaść.

– Pismo mezogockie? A co to takiego? – zapytała Lacombe.

– Alfabet wizygocki – odparłem odruchowo. – Pisma mezogockiego nie stosuje się od ponad tysiąca pięciuset lat, od czasu gdy królowie wizygoty z Toledo przeszli z arianizmu na katolicyzm.

Rosignolli popatrzył na mnie z uznaniem.

- Zgadza się, proszę pana. Widać, że nie jest pan takim policjantem jak inni...
- Myślałem, że już nigdzie na świecie nie zachowały się rękopisy mezogockie.

– To nie do końca prawda. Zachowało się kilka stron tak zwanej Srebrnej Biblii na Uniwersytecie w Uppsali i w Bibliotece Watykańskiej, ale sądzono, że do naszych czasów nie przetrwał żaden kompletny dokument spisany tym alfabetem... aż do teraz.

Słyszałem wcześniej o tym alfabecie, ale nigdy na własne oczy nie widziałem próbki pisma, dlatego go nie rozpoznałem. Prawdę mówiąc, jeśli nie liczyć garstki ekspertów od paleografii średniowiecznej, na całym świecie istnieje może parę osób, które zdolne by były na pierwszy rzut oka rozpoznać pismo mezogockie.

Uważa się, że alfabet ten został stworzony w IV wieku naszej ery przez biskupa Wulfilę, kiedy barbarzyńscy władcy rządzący Europą zaczęli się nawracać na chrześcijaństwo. Choć konwertytom nie brakowało neofickiego zapału, frustrowały ich próby zapoznania się z Biblią – dostępna była wówczas wyłącznie po starogrecku, a Wizygoci nie grzeszyli biegłością w językach klasycznych. Biskup Wulfila wpadł więc na pomysł, by wymyślić zupełnie nowy alfabet i za jego pomocą przetłumaczyć święte teksty z greki na język Ostrogotów i Wizygotów.

Wulfila był arianinem, jak większość wczesnych chrześcijan wśród barbarzyńców. Kiedy wypleniono herezję, zniszczono pisma mezogockie i przestano stosować alfabet. Około VI wieku Goci mieli już opracowany własny alfabet, podobny do łacińskiego, więc mezogocki popadł w zapomnienie. Musiało to więc znaczyć, że odnaleziony przeze mnie w Jaskiniach Heraklesa rękopis – co do którego prawa rościł sobie Rosignolli – pochodzi z wcześniejszych czasów.

Musiałem się dowiedzieć, co zapisano w manuskrypcie i dlaczego ktoś ukrył go w podziemnej jaskini obok zmumifikowanych głów.

- Panie doktorze, udało się panu przetłumaczyć tekst? – zapytałem.

– Tak, oczywiście. Niemal w całości. Tak naprawdę pismo mezogockie nie jest wcale szczególnie skomplikowane. Trudność tkwi głównie w tym, że bardzo niewiele osób jest w stanie je zidentyfikować, poza tym to dość prosty zlepek znaków greckich, łacińskich i runicznych. Wystarczy znajomość języka gockiego, żeby rozszyfrować znaczenie słów. A ja naturalnie znam go całkiem niezłe.

- I co zapisano w dokumencie?

– Przykro mi, ale nie mogę tego panu zdradzić. Nie dokończyłem jeszcze badania. Nawet Barbican Centre wypożyczyłem rękopis pod warunkiem, że w opisie katalogowym zamieszczą najwyżej datowanie obiektu i wzmiankę o możliwym rodowodzie gockim.

Próbowałem ukryć rozczarowanie.

– Wiem. Zaglądałem do katalogu – przyznałem. – Nie wspominają tam nawet o alfabecie mezogockim, ale zauważyłem, że opisują ten dokument jako testament. Rzeczywiście mamy do czynienia z tekstem tego rodzaju?

- Być może... Jak już mówiłem, wolałbym nie...

Rosignolli nagle zamilkł. Wbił wzrok w okno znajdujące się za moimi plecami, a na jego twarzy przez ułamek sekundy mignął wyraz autentycznej paniki.

Natychmiast się odwróciłem, żeby sprawdzić, co wzbudziło w nim taki popłoch. Jedyłą rzeczą, jaką zdołałem dojrzeć, nim zaraz zniknęła mi z pola widzenia, była tylna

część białej furgonetki.

– Dobrze się pan czuje, panie doktorze? – zapytała Lacombe.

– Co?... Ja... Tak... Przepraszam na chwilę. Zaraz wracam...

Wyszedł z gabinetu, zostawiając nas pogrążonych w absolutnej konsternacji. Usłyszałem, jak idzie w stronę drzwi wejściowych i je otwiera. Kilka chwil później Rosignolli jednak do nas wrócił. Ciągłe sprawiał wrażenie mocno podenerwowanego.

– Pani agentko, gdzie ta ochrona, którą obiecała mi policja z Londynu? – zwrócił się napastliwie do Lacombe. – Czemu jeszcze się nie stawili?

– Przykro mi, panie doktorze... Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć – odparła zakłopotana agentka.

– Proszę to zarządzić! Niezwłocznie! Tamten inspektor osobiście mnie zapewnił, że otoczy mój dom ochroną policyjną, sama tam pani była i słyszała to na własne uszy! Nie zamierzam kontynuować współpracy z policją, jeśli państwo nie dotrzymują swoich zobowiązań. Ta rozmowa dobiegła końca.

– Ale, panie doktorze...

Nie chciał słuchać racjonalnych argumentów. Zachował co prawda resztki dobrych manier i nie wykopał nas na ulicę, ale stanowczym krokiem odprowadził nas do wyjścia i zatrzasnął nam drzwi za plecami. Lacombe była wzburzona.

– Niesamowite! – zawołała. – Cóż tam się wydarzyło, do diabła?

– On coś zobaczył – wyjaśniłem. – Przez okno. Cokolwiek to było, bardzo go zdenerwowało. Jestem przekonany, że ten człowiek autentycznie się boi, chciałbym tylko wiedzieć czego... albo kogo.

– Nikogo nie mógł zobaczyć, ulica jest wyludniona. Przejechała tędy tylko jakaś furgonetka.

– Tak, biała furgonetka. – Rozejrzałem się dookoła. Nie było ani śladu żadnego pojazdu. – Gdzie ona teraz jest?

– Pewnie pojechała w swoją stronę... Zresztą czy to ważne? Widziałam ją, jak przejeżdżała, najzwyklejsza furgonetka na świecie, jakiegoś serwisu technicznego.

– Skąd ta pewność, że to serwis techniczny?

– Tak było napisane na karoserii.

– A jakiej firmy?

– Voynich, tej od komputerów. Poznałam logo. – Lacombe urwała i przyjrzała mi się bacznie. – A skąd ta ponura mina? Taka furgonetka to przecież nic dziwnego... W tej chwili po całym kraju jeżdżą ich na pewno setki, a po świecie jeszcze więcej.

To właśnie budziło we mnie największy lęk. Jeździły po całym świecie.

Voynich. Znowu oni. Zawsze oni. Czaili się w mroku i deptali nam po piętach, kiedy poszukiwaliśmy Stołu Salomona. Podczas wyprawy Korpusu do Mali trwaliśmy w poczuciu nieustannego zagrożenia z ich strony. Ta międzynarodowa korporacja posiadała niecodzienny dar wywoływania zamieszania, a każde nasze spotkanie kończyło się grubszą aferą. Firma Voynich zdawała się mieć jakiś mroczny interes, a wręcz obsesję na punkcie torpedowania wysiłków Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Wiedzieli o nas wszystko. Znali nasze nazwiska i plany. Ich sieć oplatała cały

świat, jakby w każdym z milionów komputerów z oprogramowaniem Voynicha tkwiły oczy śledzące każdy nasz krok przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oczy Lilith.

Lilith – tak nazywała się królowa-czarownica, która zgodnie z legendą podarowała Salomonowi Ołtarz Imienia nad Imionami. Lilith to również pseudonim, za którym krył się reżyser tajnych poczynań Voynicha, o których nie wiedziałem niemal nic, z wyjątkiem tego, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy stanowił najwyraźniej jedyną przeszkodę na drodze do ich realizacji.

Myślałem, że z chwilą odejścia z Korpusu na zawsze uwolnię się od Lilith. A jednak się pomyliłem.

Nic dziwnego, że Rosignolli zamienił się w roztrzęsiony kłębek nerwów na widok furgonetki Voynicha. Ja sam za każdym razem, kiedy widziałem jedną z nich, odczuwałem głęboki dyskomfort. Swoje powody znałem, ale zastanawiałem się, jakie może mieć Rosignolli.

Wizyta w Elstree w najmniejszym stopniu nie rozwiązała moich wątpliwości. Wręcz przeciwnie: wzbudziła ich znacznie więcej. Pociężyłem się myślą, że Lacombe przynajmniej zaczęła brać pod uwagę możliwość, iż Rosignolli ukrywa coś przed policją.

W pociągu powrotnym do Londynu agentka zadzwoniła do detektyw Child i zasugerowała, żeby policja miała doktora na oku. Zapytała też, czy udało się zlokalizować podejrzanego, którego opisała kobieta będąca świadkiem napadu.

Zła wiadomość była taka, że policja z City bez problemu znalazła Caleba. Była też jednak i dobra: wielbiciel Motörhead nie udzielił detektyw Child żadnych użytecznych informacji. Caleb okazał się znacznie sprawniej unikać odpowiedzi na pytania przesłuchujących, niż przypuszczałem – zdołał wręcz przekonać Child, że to wcale nie jego szukała policja. Bez problemu wyszedł na wolność. Lacombe nie spodobała się ta wiadomość.

– Policja z City utknęła w miejscu. – Rozłączyła się z wyrazem frustracji na twarzy. Nasz pociąg zbliżał się do Victoria Station. – Podejrzanego ani widu, ani słychu, żadnych nowych tropów, Rosignolli zachowuje się co najmniej dziwnie, a my musimy wracać do Lyonu. Coraz bardziej mi się nie podoba cała ta sytuacja.

– Mnie też... Jak zareagowała Child, kiedy jej powiedziałaś o Rosignollim?

– Zgadza się z nami, że facet nie mówi policji całej prawdy, ale nie ma pomysłu, jak można by mu to udowodnić. – Lacombe westchnęła ciężko. – Biedna Sarah... Obawiam się, że ta sprawa ją przerasta. Bardzo ją cenię jako człowieka, ale nigdy nie należała do osób gotowych stawiać czoło wyzwaniom. Powinnam jej pomóc.

– Niby jak? Interpol nawet nie zajmuje się tą sprawą, a my musimy dziś wieczorem wracać do Lyonu.

– Może uda mi się załatwić późniejszy powrót. Jak tylko dotrzemy do hotelu, zadzwonię do centrali i spróbuję z nimi pogadać.

– Co im powiesz?

– O to już się nie martw. Znam parę sztuczek. – Tak naprawdę jej jedyną sztuczką było sięgnięcie w odpowiedniej chwili po ośli upór. W większości przypadków przełożeni Lacombe spełniali jej żądania tylko i wyłącznie po to, żeby dała im święty spokój. – Nie mogę cię zmusić, żebyś tu ze mną został, ale bardzo byś mi się przydał, mógłbyś

kontrolować tego swojego Burgosa.

Przyjąłem propozycję. Dzięki niej nie musiałem wymyślać pretekstu, żeby nie wysyłała mnie z powrotem do Lyonu. Ja również czułem, że mam w Londynie jeszcze parę rzeczy do załatwienia.

Po dotarciu na stację Lacombe zaczęła prześladować telefonami szychy z centrali Interpolu, a ja tymczasem skontaktowałem się z Bańką. Chciałem mu opowiedzieć, co wydarzyło się w domu Rosignollego, a przy okazji uspokoić go co do Caleba. Poszukiwacz odebrał, zanim pierwszy sygnał wybrzmiał do końca w słuchawce.

– To ty, młody? – rzucił, nie bawiąc się w powitania. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Słuchaj, stało się coś złego. Coś bardzo złego.

– O co chodzi?

– Ktoś dostał się do bazy i zabrał rękopis.

– Znaczący że go ukradli?

– Widzę, że w tym Interpolu zrobił się z ciebie straszny bystrzak, co? Tak, do jasnej cholery, pewnie, że go ukradli! To ci właśnie przed chwilą powiedziałem!

Rozumiałem jego wściekłość i nawet się nie złościłem, że wyżywa się na mnie. Dla Poszukiwacza nie ma nic bardziej upokarzającego, niż paść ofiarą rabunku.

– Luz, uspokój się trochę, co?

– To na pewno Caleb. Ten pierdolony ćpun komuś się wygadał. Przysięgam, utopię sukinsyna w jego własnej krwi.

– Bańko, zrób coś dla mnie, proszę: weź parę głębokich wdechów, policz do dziesięciu i mnie posłuchaj. Lacombe rozmawiała przed chwilą z policją z City. Przesłuchali Caleba, ale nic im nie powiedział. Wątpię, żeby miał cokolwiek wspólnego z tą sprawą.

– Jak chcesz, to sobie wątp. Ja go znajdę i nogi z dupy powyrywam.

– Czekaj! Muszę ci coś powiedzieć, Bańko, to ważne.

– Dla mnie ważne jest teraz tylko to, żeby upolować tego szczura, ale jeśli tak bardzo ci zależy na spotkaniu ze mną, to za pół godziny będę pod Roundhouse w Camden. Będę na ciebie czekał pięć minut i ani chwili dłużej.

Rozłączył się, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Gdybym się pośpieszył, powinienem dotrzeć do Camden w dwadzieścia minut.

Miałem nadzieję dorwać Bańkę, zanim zrobi coś głupiego.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Camden Town było jedną wielką speluną. Porządni londyńscy mieszczańcy unikali wizyt w cieszącej się złą reputacją dzielnicy pełnej *dagos*¹, jakby jej ulicami płynęły soki nowego Babilonu. Na domiar złego pierwsi hipisi i hipiski zaczęli zajmować pustostany w budynkach wciąż nieodbudowanych po bombardowaniach z czasów drugiej wojny światowej – i tak Camden stało się ośrodkiem londyńskiej kontrkultury.

Androginiczni chłopcy sprzedawali poncza, koraliki i inne wyroby rękodzielnicze na zaimprovizowanych bazarkach, imigranci z Grecji i Turcji przyrządzali gyros w picie na przenośnych straganach, a w powietrzu unosiła się woń LSD. Stateczni ojcowie rodzin zaś cmokali z dezaprobatą i zabraniali swoim dzieciom nawet się zbliżyć do tego siedliska

rozpusty.

Jak można się było spodziewać, dzielnica natychmiast stała się najmodniejszym miejscem w stolicy.

Nostalgiczni puryści twierdzą, że kiedy Camden Town zaczęło się pojawiać w przewodnikach turystycznych, jego duch zginął w zalewie cudzoziemców z cyfrowymi aparatami fotograficznymi i czapkami z Union Jackiem. Trudno mi ocenić słuszność ich skarg, bo kiedy sam po raz pierwszy odwiedziłem Camden, trafiłem już do parku rozrywki kultury alternatywnej. Hipisowskie stragany przyjmowały karty płatnicze, na każdym rogu stał policjant, a sklepy z pamiątkami przeplatały się z *charity markets*, w których ostatnie niedobitki kontrkulturowego Camden nadal sprzedawały używane ciuchy.

Mimo wszystko dzielnica zachowała pewien urok, nawet jeśli jej pozornie radykalny charakter był już w rzeczywistości równie niewinny jak piwo bezalkoholowe. Camden było – i zresztą nadal jest – ogromnym targiem na wolnym powietrzu, gdzie turyści z wycieczek organizowanych przez biura podróży mogą się przechadzać pośród sklepów i budek z ubraniami w stylu gotyckim oraz lufkami do marihuany, czując się przy tym pewnie i bezpiecznie (a może też trochę nowocześnie i światowo).

To miejsce żywe i pełne energii, może nieco zbyt krzykliwe, jak aktor, któremu zdarza się przeszarżować. Pozujący na kosmopolitów mieszkańcy Londynu oficjalnie odsądzali Camden od czci i wiary, ale w niedzielne poranki ciągnęli tu tłumnie, żeby podziwiać kolorowe fasady budynków (ozdobione ogromnymi reklamami converse'ów, artystycznym graffiti i muralami), kupować płyty winylowe albo włóczyć się bez celu po wąskich uliczkach, zajadając się tłustymi pączkami. Wizyty w Camden dostarczają autentycznej przyjemności, choć zabarwionej poczuciem winy.

Na obrzeżach dzielnicy znajdował się Roundhouse – parowozownia z epoki wiktoriańskiej przekształcona w halę widowiskową. Skierowałem się w tamtą stronę, z trudem opierając się pokusie dokonania zakupu na jednym z licznych stoisk z pączkami, które mijalem po drodze. Bańka czekał na mnie z nieprzyjazną miną.

– Właśnie miałem sobie pójść – stwierdził. – Nie mogłeś się streścić?

– Przepraszam. Straszne tu tłumy, chwilami w ogóle nie mogłem się ruszyć.

– Tu zawsze są tłumy. To przecież Camden, młody, czego się spodziewałeś? – Wiał zimny wiatr, więc Bańka postawił kołnierz płaszcza. – Idziemy.

– Dokąd?

– Mam do pogadania z tym bydlakiem Calebem.

– Mówiłem ci już przez telefon, że on nie...

– Wiem, co mówiłeś, ale mam to gdzieś. Caleb był jedyną osobą, nie licząc ciebie, która wiedziała, że rękopis jest schowany w bazie. Jeśli więc sam nie chcesz się przyznać do kradzieży, to ten pieprzony ćpun będzie musiał mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Nie miałem wyboru, jak tylko ruszyć za Bańką przez kręte zaułki i placówki zastawione straganami i budkami z jedzeniem. W najbardziej zatłoczonych punktach musieliśmy się praktycznie rozpychać łokciami, żeby przebić się przez tłum.

Bańka skręcił w boczną uliczkę, wąską i raczej nieciekawą, z dala od najchętniej uczęszczanych tras. Szliśmy slalomem pomiędzy kałużami brudnej wody i przepelnionymi kubłami na śmieci. Na końcu uliczki, obok porzuconej wyliniałej

kanapy, zobaczyłem wejście do salonu tatuażu. Bańka zatrzymał się parę metrów od drzwi.

– I co teraz? – zapytałem.

– Teraz czekamy na szczura. Kiedy się zjawi, trzymaj się z boku i pilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

W milczeniu wypaliliśmy po papierosie. Bańka nie należał do gaduł, zwłaszcza kiedy wpadał w furję, więc nawet nie próbowałem nawiązywać rozmowy.

Po upływie kilku minut ujrzałem Caleba wychodzącego z salonu. Miał na sobie podziurawioną wełnianą czapkę i długi płaszcz, o parę rozmiarów za duży. Gdy tylko pojawił się w uliczce, pocierając nos grzbietem dłoni, Bańka rzucił się na niego, złapał za klapy płaszcza i zaciągnął w kąt za kubły na śmieci.

– Ej, stary! – wrzasnął spanikowany Caleb. – Co ty odpierdalasz? Na łeb upadłeś czy co? Daj mi spokój!

Bańka zbliżył twarz do twarzy lumpa, na odległość tak małą, że mógłby mu jednym chapnięciem odgryźć nos, gdyby tylko nasza go na to ochota. Szczerze mówiąc, bałem się, że taki pomysł wpadnie mu do głowy.

– Zamknij się! Powinienem ci urwać łeb gołymi rękami, skurwysynu.

Caleb skulił się jak myszka złapana w szpony tygrysa. Twarz skurczyła mu się w wyrazie przerażenia.

– Przepraszam, kurwa, przepraszam! – wyjąkał. – Przysięgam, chciałem się zadekować, ale gliny mnie znalazły! Mówiłem ci, że jestem notowany, stary... Ktoś mnie widział, jak przywaliłem temu łachowi, strażnikowi z auta, ale ja nie wiedziałem, przysięgam, Bóg mi świadkiem! Nie miałem zielonego pojęcia... Błagam!

– Co ty pierdolisz? – zapytał Bańka.

Caleb chyba go nie usłyszał, dalej mamrotał coś nieskładnie płaczliwym tonem.

– Przyszła jakaś agentka, detektyw czy coś, taka grubsza babka, do mnie do domu, kurwa... Miała moją twarz na jakimś portrecie pamięciowym czy czymś takim! Wiedziała, że to ja zawiąłem tamtego grata z Barbicanu! Powiedziała, że jak się nie sfrajerzę, to wyśle mnie znowu do pierdła! Musiałem, stary, naprawdę musiałem, błagam, nie bij mnie, proszę... Przepraszam! Przykro mi, serio, Bóg mi świadkiem!

– Zaczekaj chwilę – przerwałem mu. – Powtórz, co powiedziałaś przed chwilą.

– Nie wtrącaj się, młody.

– Nie! To ważne! – Odsunąłem na bok Bańkę, który wypuścił z garści klapy swojej ofiary. Caleb osunął się do kałuży i zwinął w kłębek. Zaczerwienione, wilgotne oczy biegały nerwowo ode mnie do mojego towarzysza i z powrotem. – Jak się nazywała ta detektyw? Child? Nazywała się Sarah Child?

– Tak... tak... Zgadza się.

– Powiedziałaś jej, gdzie jest rękopis?

– Musiałem to zrobić! Przesłuchiwała mnie... Groziła mi! Boże... Nie chcę wracać do pierdła, stary, uprzedzałem cię, mówiłem, że za chuja ci nie pomogę, jeśli mają znowu mnie zamknąć!

– Przestańże drzeć ryja, bo ci wyrwę język z gardła – zagroził Poszukiwacz.

Caleb zamilkł jak zaklęty.

– Jesteś pewny, że powiedziałeś Child, gdzie schowaliśmy rękopis? – dopytywałem. – Nie ściemniasz?

– A po cholere miałbym mówić, że się sprzedałem policji, jakbym się nie sprzedał? – wrzasnął Caleb z ziemi. – Co by mi z tego przyszło, że ten pojeb by mnie zaciukał?

– Tu się dzieje coś bardzo dziwnego, Bańko. Detektyw Child powiedziała Lacombe, że podejrzany nie znał miejsca ukrycia skradzionego dzieła, więc puściła go, bo to nie jego szukała. Poza tym jeśli policja przesłuchała Caleba, to czemu nie siedzi teraz w areszcie?

Bańka przez dłuższą chwilę przetrawiał moje słowa. Potem znowu zwrócił się do menela, który kulił się roztrzęsiony w kącie:

– Gdzie cię przesłuchiwali? Gadaj!

– Już ci mówiłem, w domu... Przyszła do mnie do domu.

– Byli z nią jacyś inni policjanci?

– Nie. Była sama. Przysięgam, nie wsypałem cię, powiedziałem jej tylko, gdzie jest to srebrne pudło. Potem już o nic nie pytała i się zwinęła.

– Rozumiesz? – zapytałem Poszukiwacza. – Nie tylko ja i Caleb znaleźliśmy adres bazy. Detektyw Child też wiedziała, gdzie jej szukać, a zaraz po tym, jak się dowiedziała, ktoś ukradł rękopis.

– Ale... czyli... to znaczy, że...

Dosłownie na parę sekund spuściliśmy Caleba z oka, ale cwaniak zdołał to wykorzystać. Zerwał się nagle na równe nogi i walnął Bańkę pięścią w twarz. Ćpun był raczej w kiepskiej formie – skóra i kości – więc jego cios zadziałał na dobrze zbudowanego Bańkę jak delikatne muśnięcie. Niestety, niedostatek siły nadrabiał celnością: strącił Poszukiwaczowi okulary z nosa. Potem zgiął się wpół, wziął rozbieg i walnął mnie bykiem w żołądek, a ja straciłem równowagę i padłem na tyłek w kałużę. Caleb rzucił się do ucieczki.

Udało mi się złapać go za brzeg płaszcza, ale skubaniec zrzucił go z ramion. Zostałem z ciuchem w ręku, a typ wiał co sił w nogach wąską uliczką. Bańka, bez okularów, ruszył w pogoń. Caleb w biegu złapał pokrywę kubła na śmieci i cisnął ją prosto pod nogi Poszukiwacza – to był strzał w dziesiątkę.

Bańka się potknął i upadł na ziemię. Podniósł się już po chwili, ale menel i tak zdążył wypaść z zaułka i wmieszać się w gęsty tłum kłębiący się na ulicach Camden. Poszukiwacz wyhamował na końcu uliczki i mocno wyciągnął szyję, żeby spróbować wypatrzeć Caleba wśród ciżby – bez skutku. Żeby wyładować wściekłość, z całej siły kopnął w leżący nieopodal worek śmieci.

– Pieprzony farciarz! – zawołał, a potem się odwrócił. – Psiakrew, gdzie się podziało to cholerstwo?

Miał na myśli okulary. Podniosłem je z ziemi i wyciągnąłem ku niemu. Poszukiwacz wyrwał mi je z ręki i założył sobie na nos, wyraźnie przygnębiony.

– Chyba się nie potłukły... – zagadnąłem nieśmiało. – Nie wiedziałem, że aż tak ich potrzebujesz...

– Krótkowzroczność... Uwierzysz? Najpierw ten pieprzony daltonizm, a teraz jeszcze jestem krótkowidzem. Okulista powiedział, że tylko w jednym przypadku na

pierdyliard wada ujawnia się dopiero po trzydziestce... A na domiar złego mam uczulenie na silikon hydrożelowy w soczewkach kontaktowych! Masakra... Wszystko to jakaś masakra! – Osunął się na krawężnik, usiadł z przedramionami opartymi na kolanach i zwiesił głowę. – Straciłem Caleba i rękopis, straciłem wzrok, Danny, do tego Enigmę i ciebie. Zostałem w Piwnicy sam... Co się dzieje, do jasnej cholery, młody? Podobno zawsze miałem farta.

Nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć. Ja też się podłamałem: Bańka, którego znałem, ten bez okularów, nie potknąłby się o pokrywę kosza na śmieci ciśniętą na ślepo przez jakiegoś ćpuna.

Poszukiwacz miał rację. Zbyt wiele straciliśmy.

Usiadłem obok niego i spróbowałem go pocieszyć najlepszym znanym mi sposobem: poczęstowałem go papierosem. Potem sam zapaliłem. Przyjemnie paliło się z Bańką, prawie tak jak w samotności.

Brakowało mi tego.

W języku angielskim pogardliwe określenie cudzoziemców z rejonu Morza Śródziemnego (zwłaszcza Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków) (przyp. aut.). [\[wróć\]](#)

METRO

Cała ta sprawa z mezogockim rękopisem zaczynała przypominać komedię pomyłek. Najpierw Dennis Rosignolli kradnie go bliźniakom. Z niewyjaśnionych przyczyn postanawia wypożyczyć go Barbican Centre. Potem Bańka go kradnie i zabiera do bazy, skąd manuskrypt znowu zostaje zrabowany, tym razem przez detektyw Sarah Child, która teoretycznie nie miała żadnego powodu, żeby to zrobić.

Do tego dochodził niewytłumaczalny lęk Rosignollego przed furgonetkami serwisu technicznego Voynicha. Może po prostu wszystkie przestępstwa, do których dochodzi w Londynie, zaczynają w końcu przypominać zakreconą wersję kryminału Agathy Christie; niczym innym nie potrafiłem wyjaśnić takiej karuzeli podejrzanych.

Ani ja, ani Bańka nie uważaliśmy się za Herkulesa Poirota, więc postanowiliśmy poszukać wsparcia, skonsultować się z ekspertem w dziedzinie policyjnych śledztw, który mógłby udzielić nam profesjonalnej opinii na temat tej sprawy.

Umówiliśmy się na spotkanie z Lacombe, znowu w The Rose of Lancasters, parę godzin po tym, jak zgubiliśmy Caleba w Camden Town. Bańka opowiedział, jak na własną rękę namierzył podejrzanego poszukiwanego przez policję z City i jak ten przyznał się do dokonania napadu, zanim udało mu się uciec. Lacombe musiała się zmierzyć z faktem, że jej przyjaciółka skłamała.

– Nie rozumiem – stwierdziła agentka. – Po co miałyby robić coś takiego? Jest pan pewny, że ten cały Caleb to właśnie ten mężczyzna, którego opisała świadek rabunku?

– Tak, nie mam co do tego wątpliwości. Sam się przyznał. Niestety, nie zdołałem go ująć.

– Ale jak w ogóle udało się go panu znaleźć?

– Poprowadziłem śledztwo w nieco innym kierunku – odparł Bańka, zgrabnie wymigując się od odpowiedzi. – To zresztą nie ma już teraz najmniejszego znaczenia. Najważniejsze jest to, że pani przyjaciółka oszukała zarówno panią, jak i policję, a do tego z pełną świadomością wypuściła przestępcę, który przyznał się do winy. Wie pani, dlaczego to zrobiła?

Lacombe westchnęła.

– Nie... Ciągle nie mogę uwierzyć w to, co słyszę... Sarah Child! Zawsze uważałam ją za kryształowo uczciwą. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Powinnam z nią porozmawiać...

– To nie jest dobry pomysł, pani Julianne – przerwał jej Bańka. – Właściwie to bardzo kiepski pomysł. Cokolwiek ukrywa, na pewno nie będzie chciała się z panią tym podzielić. Wydaje mi się, że nie może jej pani ufać.

– W takim razie porozmawiam z jej przełożonym, inspektorem Nesbitem.

– To też raczej nie najlepsze rozwiązanie – wtrąciłem się. – Nesbit oskarży Child o sfalszowanie zeznań podejrzanego, ona wszystkiemu zaprzeczy i nikt jej nie udowodni

kłamstwa.

– Mógłby pan przedstawić swoją wersję wydarzeń – odparła agentka, zwracając się do Bańki.

– Nie, nie mógłbym. Jeśli zgłoszę się na policję, będę musiał wyjaśnić swoją rolę w całej tej sprawie, a specyfika mojej pracy nie pozwala mi zdradzić wielu szczegółów. Nikt nie powinien nawet wiedzieć, że przebywam w Londynie, poza Tirsem i panią.

– Jestem zaszczyczona – skwitowała Lacombe z przekąsem. – Kiedy następnym razem wpadnie panu do głowy pomysł, żeby mieszać mnie do swoich ściśle tajnych misji, proszę z łaski swojej dobrze się zastanowić.

– Hej, niechże pani przyzna, że świetnie się bawi. Inaczej nie siedziałaby pani teraz przy tym stoliku i ze mną nie rozmawiała. – Na wargi Bańki wypełzł złośliwy półuśmiech. – Widzę tylko dwie opcje: albo interesuje panią ta sprawa, albo ja. Niewykluczone, że w grę wchodzi oba te czynniki...

– Co za bzdura! Zapewniam pana, że w najmniejszym nawet stopniu nie interesuję się pańską osobą! – zaprotestowała Lacombe, która jak zwykle śmiertelnie poważnie potraktowała głupi żart. – Jedyne, na czym mi zależy, to znaleźć nitkę... i... i...

– Dotrzeć do kłębka? – podrzuciłem, pomagając jej dokończyć jedną z ulubionych metafor.

– Właśnie! Jeśli to jedyny sposób, żeby pozbyć się pana z mojego życia, panie Burgos, to z największą przyjemnością panu pomogę.

Ta awanturka dała mi do myślenia. Do tej pory się nad tym nie zastanawiałem, ale nagle uderzyło mnie, jak zaskakujące było to, że Lacombe tak po prostu zgodziła się na współpracę z Bańką, bez żadnych zastrzeżeń. Albo agentka Interpolu była totalną naiwniaczką (mało prawdopodobne), albo z jakiegoś powodu postanowiła ślepo mu zaufać.

Dziwne. Bardzo dziwne... Niemal tak dziwne jak fakt, że i Bańka nie odrzucił propozycji zwrócenia się o pomoc do Lacombe, która – jak by na to patrzeć – grała dla przeciwnej drużyny. Może świadczyło to o wyjątkowej desperacji Poszukiwacza, a może...

Sam nie wiem. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy.

– Skupmy się, dobrze? – zaproponowałem, bo chciałem wrócić do meritum. – Ja to widzę tak: mamy dwa priorytety. Po pierwsze, zdemaskować Sarah Child, a po drugie, dowiedzieć się, co właściwie ukrywa Dennis Rosignolli. Jeśli przy okazji załatwienia tych dwóch spraw uda nam się namierzyć ten przeklęty rękopis, to też by było nie najgorzej.

– Myślałam o tym całym Rosignollim – powiedziała Lacombe. – Wydaje mi się, Alfaro, że podczas przesłuchania skupiłeś się nie na tym, co trzeba. Straciłeś czas na wypytywanie go o jakieś kwestie techniczne i szczegóły dotyczące rękopisu, a przecież tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia.

Pewnie, że dla niej nie miało.

– Próbowałem zdobyć jego zaufanie – odparłem wymijająco.

– I nic nam z tego nie przyszło. W końcu i tak dosłownie wyrzucił nas za drzwi. Nie, w przypadku tego faceta trzeba zastosować bardziej bezpośrednie metody. – Lacombe położyła na stole grubą teczkę wypchaną dokumentami. – Przez całe

popołudnie wisiałam na telefonie z centralą w Lyonie i z wierchuszką OCBC. Na razie nie udało mi się zdobyć pozwolenia na nawiązanie oficjalnej współpracy z policją brytyjską, ale Interpol pozwolił nam zostać tu jeszcze parę dni, na wypadek gdyby inspektor Nesbit zdecydował się jednak złożyć formalny wniosek o nasze wsparcie. Z OCBC poszło mi trochę lepiej.

Wyjęła z teczki faks i mi go pokazała – dokument na firmowym papierze, napisany po francusku, pełen pieczętek i podpisów.

– Co to jest? – zapytałem.

– Ogólnie rzecz biorąc, oficjalny glejt. Jako że Rosignolli jest obywatelem Francji, w OCBC uważają, że kradzież rękopisu podpada pod ich kompetencje. Trzeba jeszcze oczywiście załatwić całą masę formalności, ale tymczasem, w drodze wyjątku, udzielają mi pozwolenia na zbieranie wszelkich informacji, które uznam za istotne. A potem, kiedy przyjdzie czas, mam je przekazać agentowi OCBC, który przyjedzie do Londynu prowadzić oficjalne śledztwo.

– No dobrze, ale co to dokładnie znaczy? – spytał Bańka.

– To znaczy, że mam teraz prawo przesłuchiwać każdą osobę w jakikolwiek sposób powiązaną z tą sprawą. Rosignolli nie będzie już mógł odmawiać odpowiedzi na moje pytania, jeśli nie chce podpaść władzom francuskim.

– Świetnie. To znaczny postęp – stwierdziłem.

– Też mi się tak wydaje. Zobaczymy, czy tym razem odważy się mnie wyrzucić za drzwi. Zamierzam złożyć mu wizytę już jutro, a jeśli śmie się stawiać, dopilnuję, żeby OCBC oskarżyło go o utrudnianie śledztwa... A wszystko dzięki temu papierkowi! – Lacombe z dumą pomachała faksem. Cieszyła się jak dziecko za każdym razem, gdy udawało jej się wykorzystać biurokrację dla swojej korzyści. Trzeba przyznać, że była prawdziwą mistrzynią w te klocki.

Na Bańce jednak najwyraźniej nie zrobiła wielkiego wrażenia.

– Wszystko super – skwitował. – Ale co z tą detektyw, Sarah Child? Ma pani w zanadrzu jakiś papierek, za którego pomocą możemy ją zmusić, żeby się przyznała do kłamstwa?

– Wszystko w swoim czasie, proszę pana. Jeśli chce pan mojej pomocy, musi pan przyzwycząić się do pracy w moim tempie.

– Wolę swoje. Wychodzi szybciej.

– Pozwoli pan, że udzielę mu pewnej rady: przed kobietami nie należy się przechwalać szybkością.

Lacombe wstała i poszła do toalety.

Bańka zmarszczył czoło.

– Co to miało być? – zapytał. – Jakiś dowcip?

– Nie jestem pewny. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby żartowała.

Poszukiwacz wziął torebkę Lacombe, którą agentka zostawiła na krześle, i zaczął grzebać w środku.

– Co ty wyrabiasz?

– Stosuję własne metody. Jeśli będę musiał czekać, aż Lady Interpol przyskrzyni detektyw Child jednym ze swoich dokumentów, równie dobrze mogę się pożegnać

z rękopisem.

– Zostaw to! Ona może w każdej chwili wrócić.

– Skąd? Z łazienki? To kobieta, będzie tam siedziała godzinę.

– Wiesz co? Ta uwaga była nieco...

– Zamknijże się wreszcie i patrz na drzwi toalety. Daj znać, jeśli się pojawi.

– Bańka odszukał w torebce komórkę. – Świetnie! Dokładnie to, czego szukałem. Zobaczmy... Kontakty... kontakty... Aha! Jest: Sarah Child. Telefon, mejl i adres. Zapamiętaj, młody: WC2E 7AU...

Kod pocztowy. Londyńczycy zwykle w ten sposób podają swój adres, zamiast nazwy ulicy i numeru budynku. Na swoim telefonie wszedłem w aplikację z mapą i wpisałem kod.

– Adres przy Bow Street w Westminsterze – powiedziałem.

– Doskonale! To już wiemy, gdzie szukać tej złodziejki.

– Super, a teraz odłóż torebkę na miejsce, tylko szybko.

– Chwila, chcę w niej jeszcze trochę poszperać...

– Co? Nie! Porąbało cię?

– No proszę, okazuje się, że jednak od czasu do czasu zdarza się jej uśmiechnąć...

Patrz, naprawdę ma świetne nogi, a nie mówiłem? Co za strata... – Bańka znalazł w telefonie zdjęcie Lacombe w kostiumie kąpielowym, na plaży, w towarzystwie dwóch mężczyzn i małej dziewczynki. – Słuchaj, myślisz, że któryś z tych gości ma pecha być jej facetem?

– Nie mam pojęcia, odłóż to w tej chwili! – Wyrwałem mu komórkę z ręki i odłożyłem na miejsce.

W samą porę. Agentka właśnie wyszła z toalety i wracała do stolika.

Nie zabawiała w pubie już długo. Minęła dziesiąta, co dla niej oznaczało środek nocy, więc zostawiła nas i wróciła do hotelu. Umówiliśmy się na spotkanie następnego ranka, w porze śniadania.

– No dobrze – powiedziałem. – Może jutro uda nam się obmyślić jakiś plan.

– Na pewno. Wy, z organów ścigania, zawsze macie mnóstwo świetnych pomysłów, ale ja niestety nie będę mógł ich wysłuchać. Mam już wszystko, czego potrzebuję.

– Co masz na myśli?

– Twoja francuska przyjaciółeczka jednak na coś mi się przydała. Znam adres tamtej detektyw, więc zamierzam złożyć jej wizytę. Odzyskam rękopis w stylu godnym członka Korpusu Poszukiwaczy.

– Zaczekaj chwilę...

– Nie próbuj mnie powstrzymywać, młody, przecież sam wiesz, jak to działa.

– Nie zamierzam cię powstrzymywać, chcę jechać z tobą.

Bańka zmierzył mnie wzrokiem z miną zapowiadającą kategoryczną odpowiedź – a przynajmniej tak mi się wydawało.

– W porządku – stwierdził w końcu i wzruszył ramionami. – Tylko zapłać za piwo.

Ja nie mam przy sobie ani pensa.

Odwrócił się na pięcie i nie czekając na mnie, ruszył do wyjścia.

Sarah Child mieszkała w nowoczesnym bloku otoczonym szacownymi budynkami z XIX wieku, niedaleko Opery Królewskiej. Pomyślałem sobie, że albo pani detektyw potrafi świetnie zarządzać swoimi finansami, albo policja City wypłaca astronomiczne pensje – dzielnica należała do najdroższych w Londynie.

Zbliżając się z Bańką do budynku, zauważyliśmy, że ktoś wychodzi przez drzwi frontowe. Od razu rozpoznałem pulchną, niewysoką kobietę – oto nasz obiekt we własnej osobie, detektyw Sarah Child.

Była sama. Pod pachą niosła podłużny pakunek. Miałem okazję dobrze się jej przyjrzeć, bo przeszła tuż obok nas, choć ona na szczęście nie zwróciła na mnie uwagi.

– Dokąd idzie, jak myślisz? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia, ale ma ze sobą rękopis.

– Jesteś pewny?

– No jasne. Podłużny, walcowaty przedmiot... Idiotce nawet nie chciało się przełożyć go do innego opakowania. – Bańka ruszył w ślad za nią. – Chodź. Nie możemy stracić jej z oczu.

Szliśmy za Child wzdłuż Bow Street przez kilka przecznic, aż skręciła w mniejszą, rzadziej uczęszczaną uliczkę. Nagle zatrzymała się przed niskim budyneczkiem z ceglaną fasadą wciśniętym między dwa nowoczesne gmachy, które dwukrotnie go przewyższały. Dostępu do jedyne go wejścia broniła kratownica, a na niej wisiała duża tablica z napisem: PICCADILLY RLY – STRAND STATION. Domyśliłem się, że to wejście na stację metra, chociaż najwyraźniej od dawna nikt z niej nie korzystał.

Przycupnęliśmy z Bańką za zaparkowanym niedaleko samochodem, żeby z ukrycia obserwować poczynania Child. Detektyw rozejrzała się dookoła. Kiedy upewniła się, że w okolicy nikogo nie ma, dała nura w wąziutką uliczkę, właściwie raczej szczelinę czy przejście obok ceglanego budyneczku. Oczekaliśmy parę chwil, po czym porzuciliśmy kryjówkę i ruszyliśmy za nią.

Uliczka okazała się ślepa, zamykał ją mur. Wyglądało na to, że w zaułku składowano śmieci ze wszystkich okolicznych budynków, bo oprócz kubłów nie było tam niczego. Ani śladu detektyw Child.

– Psiakrew – zaklął Bańka. – Co się z nią stało, do jasnej cholery?

– Nie mam pojęcia – odparłem skonsternowany. Zacząłem się zastanawiać, czy nie schowała się może w którymś śmietniku.

– Przecież to niemożliwe... Zauważylibyśmy, gdyby wróciła tą samą drogą, musi być jakieś inne wyjście.

Przeczesaaliśmy każdy zakamarek, ale nie znaleźliśmy nic oprócz śmieci oraz sporej skrzynki z okablowaniem przytwierdzonej do ściany. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że Child po prostu rozplynęła się w powietrzu.

Nagle pewien szczegół zwrócił moją uwagę. Na drzwiach skrzynki teletechnicznej zauważyłem naklejkę z logo w kształcie spłaszczonej czerwono-niebieskiej gwiazdy. Pod spodem widniał jakiś napis.

Serwis techniczny Voynich Inc. 235 Regent Street/W1B2EL

W przypadku awarii instalacji proszę dzwonić pod podany numer telefonu.

NIE DOTYKAĆ. NIEBEZPIECZEŃSTWO!

Uważnie przyjrzałem się skrzynce. Była naprawdę duża, wysokością zbliżona do wzrostu człowieka. A może...

– Bańko – zawołałem. – Masz pomysł, jak to otworzyć?

– Chyba nie myślisz, że ta babka tam weszła? Nie widzisz tego znaczka z ludzikiem porażonym prądem? To raczej nie jest najlepsza kryjówka.

– Coś mi mówi, że to tylko groźba... Spójrz: drzwiczki są pokryte warstwą brudu, ale tutaj widać ślady palców, dałbym głowę, że całkiem świeże. – W drzwiach skrzynki tkwiła rączka i pociągnąłem za nią, ale bezskutecznie.

Bańka odsunął mnie na bok. Rzucił okiem na zamek i wyjął z kieszeni małą kluczyk w kształcie walca.

– A to co?

– To, młody, jest klejnot mojej kolekcji wytrychów. Wszystkie wyprodukowane przez moją skromną osobę w wolnych chwilach – odparł, po czym wsunął kluczyk do zamka i zaczął wykonywać skomplikowane ruchy nadgarstkiem. – Nauczyłem cię, jak się to robi, ale nie zdążyłem: dałeś nogę i stanąłeś po jasnej stronie prawa, a już zaczynałem cię uważać za interesującą postać... – Coś zgrzytnęło i drzwiczki stanęły otworem. Na usta Bańki wypełził zadowolony uśmiešek. – Bingo.

Tak jak podejrzewałem, wewnątrz skrzynki wcale nie było płataniny kabli. Naszym oczom ukazały się metalowe schodki prowadzące w dół przez ciemne, wąskie przejście.

Zaczęliśmy schodzić po stopniach, świecąc sobie pod nogi komórkami i macając ściany. Z ciemności dobiegały nas dźwięki kapiącej wody, a gdzieś w oddali dało się dosłyszeć jakiś odgłos, który uznałem za kroki.

Po jakimś czasie nie musieliśmy już używać telefonów jako latarek. Schodki doprowadziły nas do betonowego korytarzyka oświetlonego żarówkami przytwierdzonymi do ścian i zabezpieczonymi żelaznymi kratkami. Emitowały dość blade, ale wystarczająco jasne światło.

Nie mieliśmy wyjścia, jak tylko podążyć dalej korytarzem. Przeszliśmy w milczeniu kilka metrów, aż trafiliśmy na metalowe drzwi. Dało się na nich dojrzeć resztki wymalowanych napisów – zniszczonych i ledwo czytelnych, ale zdołałem odszyfrować słowa FREEMASON STATION. Drzwi były uchylone.

Weszliśmy przez nie z zachowaniem najwyższej ostrożności. Znaleźliśmy się w obszernym tunelu o ścianach zaokrąglonych jak w rurze. Z sufitu zwisały smętnie rozmaite grube kable przypominające plastikowe macki. Dolną połowę ścian pokrywała biała glazura... a raczej to, co z niej zostało: większość kafelków popękała albo w ogóle ich nie było. Gdzieś tam wisiały resztki plakatów, łuszczący się brudny papier. Jedyne

czytelny afisz zapowiadał spektakl w music-hallu z udziałem Eddiego Fishera i bandu Buddy'ego Morrow, Gracie Fields oraz comeback niejakich The Merry Macs. Występ miał się odbyć w listopadzie 1947 roku.

– Gdzie my jesteśmy? Jak myślisz? – zapytałem Bańkę.

– Powiedziałbym, że na opuszczonej stacji metra. Popatrz – wskazał szyny biegnące samym środkiem tunelu, między dwoma peronami – tu są tory, a tam znak: „Freemason”... Nigdy nie słyszałem o takiej stacji. Musieli ją zamknąć kilkadziesiąt lat temu.

Gestem dałem Bańce znać, żeby zachował ciszę. Zdawało mi się, że usłyszałem echo jakichś głosów dobiegających z głębi tunelu, gdzieś po mojej prawej stronie. Zaczęliśmy się ostrożnie skradać w tamtym kierunku, a zdeformowane twarze z reklam i ogłoszeń sprzed ponad pół wieku czujnie nas obserwowały.

Po dotarciu na koniec peronu zeskoczyliśmy i dalej szliśmy już torami, po omacku w ciemności. Udało nam się pokonać tak kilkadziesiąt metrów po łuku tunelu.

Zatrzymaliśmy się na widok początku kolejnej stacji, wyraźnie również wyłączonej z użytku. Przywarliśmy z Bańką do ściany tunelu, żeby ukryć się wśród cieni. W bardzo niewielkiej odległości od nas, na jednym z peronów, znajdowały się bowiem dwie osoby.

Jedną z nich była detektyw Sarah Child. Nadal trzymała w ręku mezogocki manuskrypt i rozmawiała z jakimś nieznanym mi mężczyzną.

– Dlaczego tak się spóźnia? – zapytała policjantka. Sprawiała wrażenie bardzo spiętej.

– Cierpliwości. Czekamy przecież dopiero parę minut.

Zapadła cisza.

– Mam ją – szepnął Bańka. – I to z rękopisem. Biorę się do roboty.

Złapałem go za ramię.

– Nie. Jeszcze nie. Zobaczmy, na kogo czekają.

Mężczyzna wetknął ręce do kieszeni i zaczął się kiwać na piętach. Raz po raz pogwizdywał pod nosem jakąś melodię. Brzmiało mi to jak *Oda do radości* Beethovena.

– Mógłby pan przestać? Denerwuje mnie to – burknęła detektyw.

Facet miał jej właśnie coś odpowiedzieć, kiedy nagle w tunelu poniósł się echem odgłos zamykania metalowych drzwi, a potem rozległy się kroki. Na peron wyległo trzech mężczyzn, w tym dwóch o wyglądzie umiędzionych bramkarzy z dyskoteki. Trzeci kuśtykał powoli o kulach z plastikowymi uchwytami, na których wspierał przedramiona.

W świetle żarówek zamontowanych na peronie udało mi się dojrzeć jego twarz. Choć znajdował się w pewnej odległości ode mnie i spowijały go cienie, zidentyfikowałem go bez żadnych wątpliwości, gdy tylko usłyszałem jego głos.

Doktor David Yoonah.

Słynny amerykański matematyk pochodzenia koreańskiego, jeden z akcjonariuszy i członków założycieli korporacji Voynich, powinien robić za pokarm dla robaków w jakimś rowie w okolicy uskoku Bandiagara w Mali. A przynajmniej tak by było, gdybyśmy żyli w idealnym świecie, a ja nie miałbym takiego pecha.

Azjata o przeraźliwie błękitnych oczach próbował mnie dopaść i zabić w Mali,

z zapałem i werwą zupełnie nieprzystającymi do stereotypu matematyka. Próbowałem mu się odwdziżyć w Ogołu, mieście straszliwych Nummów, ale Yoonahowi dopisało szczęście i zdołał się wywinąć z zastawionej przeze mnie pułapki. Dobrze i to, że – sądząc po kulach – najwyraźniej nie wyszedł z zasadzki bez szwanku. Nie ukrywam, że całkiem mnie to ucieszyło.

Obecność Yoonaha na tej stacji widmie nie tylko stanowiła dowód na dość nieciekawe znajomości Sarah Child, lecz także świadczyła o tym, że Voynich – po raz nie wiem już który – znowu stanął mi na drodze i zamierzał pomieszać szyki.

– Detektyw Sarah Child, zgadza się? – powiedział Yoonah w charakterze powitania. – Proszę wybaczyć, że nie uścisknę pani dłoni, ale zapewniam, że naprawdę bardzo miło mi panią poznać. Przepraszam, że musiała pani czekać.

– A pan to...?

– Osoba, która zleca realizację przelewów z pani wygórowanym wynagrodzeniem, tyle powinno pani wystarczyć, moja droga. Żadnych nazwisk. A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym się przekonać, czy zachęta finansowa, jaką pani zaoferowaliśmy, okazała się proporcjonalna do wartości świadczonych nam przez panią usług. Jeśli byłaby pani tak uprzejma...

Jeden z towarzyszy Yoonaha podszedł do rozmawiających i wziął od Child rękopis. Podał go facetowi, który wygwizdywał wcześniej Beethovena, a ten go rozwinął i przez kilkanaście minut uważnie studiował.

– Autentyk – oświadczył w końcu.

– To dobra wiadomość – stwierdził Yoonah. – Przyznaję, że z rachunku prawdopodobieństwa wynikały raczej marne szanse powodzenia. Zwłaszcza po tym, jak doktor Rosignolli sprawił nam taki... zawód. – Na chwilę zawiesił głos, a potem przemówił tonem filozofa: – Nadmierna chciwość paradoksalnie obniża wartość człowieka, zgodzi się pani ze mną?

– Tak, chyba ma pan rację... – odparła kobieta. – Mogę zapytać, co powinnam teraz zrobić?

– Nic. Jest pani wolna, może dalej stać na straży prawa w tym pięknym mieście. Lilith serdecznie dziękuje pani za usługi. Jeśli chodzi o mnie, prawdopodobieństwo naszego ponownego spotkania szacuję na bliskie zero, pozwolę więc sobie pożegnać się z panią.

Ani Yoonah, ani jego ludzie nawet nie drgnęli. Detektyw Child po chwili wahania odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wyjścia z podziemi. Nawet nie dostrzegłem, jak i kiedy jeden z towarzyszy doktora wycelował do niej z pistoletu ukrytego pod marynarką. Rozległ się huk wystrzału. Nieszczęsna Sarah Child padła na ziemię jak kłoda, z pociskiem w karku.

Facet od Beethovena wzdrygnął się na dźwięk wystrzału i przytulił do siebie manuskrypt. Spojrzał na Yoonaha szeroko otwartymi oczami, raczej ze zdumienia niż lęku.

– A to... dlaczego? – wyjąkał.

– Wiem, wiem – mruknął doktor z pozornym przygnębieniem. – Śmierć to zawsze pewna porażka. Obawiam się jednak, że musieliśmy nieco zmodyfikować politykę firmy,

aby uniknąć nieprzewidzianych przykrości.

– Ale ona przecież by nas nie wydała, dostała pieniądze.

– Pieniądze są wartością zmienną, drogi przyjacielu. Czasem zdarza się i tak, że im więcej komuś zapłacimy, tym bardziej niewystarczająca wydaje mu się ta suma, a to skłania go do podejmowania fatalnych w skutkach decyzji. Weźmy na przykład takiego Rosignollego, co za smutny przypadek. – Yoonah pokręcił głową. – Nie, niebezpiecznie jest zdawać się na ślepy los, uwierz mi, wiem, co mówię. Uznaliśmy, że nie możemy sobie pozwolić na pozostawianie niezalążonych spraw, zwłaszcza teraz, na ostatniej prostej naszego projektu.

Tamten bez przerwy wpatrywał się jak zahipnotyzowany w zwłoki Child.

– Tak... Ja... rozumiem...

– Ale bez lęku, drogi przyjacielu, gwarantuję, że panu włos z głowy nie spadnie. Wiemy, że możemy liczyć na pańską lojalność, ponieważ docenia pan niezwykłą doniosłość naszego przedsięwzięcia. A teraz proszę zapomnieć o tym godnym pożałowania incydencie i skupić się na powierzonym panu zadaniu.

– Tak, oczywiście...

Yoonah wskazał na swoich towarzyszy.

– Pojedzie pan prosto na lotnisko w eskorcie moich ochroniarzy. Zdaje się, że musi pan złapać samolot, prawda?

– Tak, tak, ma pan rację...

– Doskonale.

Jeden z ochroniarzy, z grubym złotym łańcuchem na szyi, zwrócił się do Yoonaha:

– Którędy mamy wyjść, panie doktorze?

– Na pewno nie tędy. Wejście na tę stację jest za bardzo na widoku, mogę wyjść przez nie najwyżej ja sam. Wy wyjdźcie przez Freemason Station. Kiedy dotrzecie na lotnisko, dajcie mi znać zwykłymi kanałami.

Drugi ochroniarz – ten miał na szyi wielki tatuaż przedstawiający asa pik – wskazał na zwłoki Child.

– A co z nią?

– Opróżnijcie jej kieszenie, ale ciała nie ruszajcie. Nieprędko ją tutaj znajdą.

Łańcuch i Tatuaż posłusznie wykonali polecenia. Tymczasem doktor Yoonah opuścił peron jakimś bocznym wyjściem.

Ochroniarze przetrząsnęli kieszenie nieboszczki i ruszyli w stronę tunelu, w którym ukrywaliśmy się z Bańką. Razem z nimi szedł facet od Beethovena, wciąż ściskający kurczowo w ramionach manuskrypt, jakby się bał, że go zgubi.

Zrozumiałem, że musimy się ulotnić, zanim te typy nas zobaczą. Zacząłem się szykować do odwrotu, ale Bańka popchnął mnie w pierś, aż przywarłem plecami płasko do ściany tunelu.

– Spokojnie, młody – szepnął. – Zdaj się na mnie.

Trzyosobowa grupka zeskoczyła na tory. Zaczęli się posuwać wzdłuż szyn, przyświecając sobie małą latarką kieszonkową, która dawała tylko tyle światła, żeby żaden z nich się nie potknął.

Zbliżali się do nas. Z całej siły napierałem plecami na ścianę, jakbym próbował

w nią wrosnąć. Wstrzymałem oddech, kiedy trzech mężczyźni przechodzili na naszej wysokości, choć po drugiej stronie torów.

Minęli nas. W chwili, kiedy znaleźliśmy się za ich plecami, Bańka wyskoczył z kryjóWKi i rzucił się na nich z precyzją pantery w dżungli.

Całkowicie ich zaskoczył. Przekonałem się, że mimo okularów mój stary przyjaciel nie utracił swoich imponujących umiejętności walki, pozostał zwinny i groźny niczym bicz.

Powalił ochroniarza z tatuażem jednym celnym kopniakiem w dolną część pleców, niemal równocześnie obalając tego z łańcuchem, dźgając dłonią jak nożem w sam środek masywnej szyi goryla.

Facet z rękopisem wrzasnął, niewątpliwie przekonany, że jakiś duch atakuje ich w ciemnościach. Cofnął się o kilka kroków i potknął o szynę. Zanim upadł na tyłek, Bańka wyrwał mu z rąk manuskrypt.

Poszukiwacz rzucił się do ucieczki dokładnie w tej samej chwili, kiedy ochroniarze zaczęli dochodzić do siebie po ataku. Patrzyłem, jak pędzi w moją stronę, pewnie trzymając rękopis.

– Pora się zbierać, młody, w nogi! – krzyknął.

Zupełnie niepotrzebnie: już parę dobrych sekund wcześniej zerwałem się do biegu.

Jeden z ochroniarzy coś zawołał. Usłyszałem wystrzał, kula gwizdnęła w powietrzu i trzasnęła w ścianę. Goryle wreszcie przypomnieli sobie, że są uzbrojeni, w przeciwieństwie do nas. Na szczęście mrok panujący w tunelu sprawiał, że trafienie w ruchomy cel graniczyło z cudem.

Biegłem przed siebie ile sił w nogach, nasłuchując coraz bardziej zbliżającego się tupotu ochroniarzy. Minęliśmy peron stacji, na której spoczywały zwłoki detektyw Child, i ruszyliśmy dalej przed siebie tunelem.

Kiedy dotarliśmy do rozwidlenia, na chybił trafił wybraliśmy drogę. Ochroniarze byli szybcy jak diabli, z każdym krokiem nas doganiali. Tunel znów rozdzielił się na dwoje i ponownie bez zastanowienia pobiegliśmy jedną z odnóg – nie mieliśmy czasu się zastanawiać, dokąd zaprowadzi nas ta ucieczka.

Znowu usłyszałem wystrzał, ale tym razem huk nie dobiegł zza naszych pleców, tylko z przodu, i to z bardzo bliska. Ku swojemu przerażeniu odkryłem, że w którymś momencie pościgu ochroniarze się rozdzielili i ten z tatuażem – pewnie szczęśliwym trafem – znalazł jakiś skrót i zagroził nam drogę. Byliśmy w potrzasku.

To, co wydarzyło się później, pamiętam jako mgnienie oka, bo wszystko zajęło może z pół sekundy.

Z sufitu zwisał luźny przewód. Nie zwróciłem na niego uwagi, ale Bańka – owszem. Poszukiwacz rzucił mi manuskrypt, wykonał popisowy skok wzwyż i złapał kabel. Facet z tatuażem wycelował do mnie z pistoletu. Bańka zakołysał się uczepiony przewodu niczym małpa liany. Wymierzył kopniak w rękę goryla, wytrącając mu z ręki pistolet, a potem skoczył na niego i powalił go jednym ciosem pięści. Następnie, jakby realizował kolejne punkty starannie przećwiczonej choreografii, chwycił jedną z brył betonu walających się po ziemi i z całej siły cisnął nim w moją stronę. Pocisk o parę centymetrów minął moją głowę i uderzył w coś za moimi plecami. Odwróciłem się

i zobaczyłem, że typ ze złotym łańcuchem trzyma się za usta, a spomiędzy palców obfitym strumieniem cieknie mu krew.

Imponujący pokaz, ale nawet nie miałem czasu się zachwycić. Goryl z tatuażem zebrał się na nogi i znalazł upuszczony pistolet. Bańka w porę to zauważył i rzucił się na mnie. Upadliśmy razem na ziemię, dokładnie w chwili, w której tuż nad naszymi głowami przeleciała kula.

Ten z łańcuchem, cały pokrwawiony, wykorzystał okazję i rzucił się na nas. Zrobił się niewielki, ale brutalny młyn. Goryl złapał tubę z rękopisem i zaczął ciągnąć, ale ja trzymałem mocno, jakbym miał ją przyspawaną do dłoni.

I wtedy zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

Wokół nas rozległ się przeraźliwy huk i szyny zadrżały. Egipskie ciemności rozjaśniło nagle oślepiające światło. Do tunelu z pełną prędkością wpadł gigantyczny metalowy robak.

W tamtej chwili nie rozumiałem, co za kataklizm nadciąga. Dopiero potem dotarło do mnie, że w ferworze ucieczki opuściliśmy nieczynne odcinki podziemnej kolejki i wylądowaliśmy na jak najbardziej sprawnym torze. Ale wtedy, powtarzam, jedyne, na czym zdołał skupić się mój mózg i każda komórka mojego ciała, było rzucenie się do najszybszego biegu mojego życia, żeby uciec przed pociągiem, który lada chwila miał zrobić ze mnie mokrą plamę.

Jestem przekonany, że zginąłbym, gdyby nie Bańka. Poszukiwacz skoczył na mnie, zamknął w żelaznym uścisku ramion i przeturlał się na bok. Rozpędzone wagony metra minęły nas o mniej niż szerokość dłoni, przetaczając się z koszmarnym łoskotem i wśród oślepiających błysków. Mógłbym przysiąc, że na tych kilka okropnych sekund moje serce przestało bić.

Pociąg przejechał. W tunelu znowu zapadła cisza i niemal absolutna ciemność.

Powoli się wyprostowałem i spróbowałem stanąć na nogi. Było to niełatwe zadanie, bo żałośnie trząsałem się na całym ciele.

– Co... co to było? – wyjąkałem. – Koniec świata?

– Nie, tylko metro – odparł Bańka. Twarz miał całą brudną i pokrytą małymi rankami. Do tego pękło mu jedno szkło w okularach. – Nic ci się nie stało, Faro? Możesz się ruszać?

Zdecydowanie się stało: byłem cały poobijany, a prawa kostka pulsowała mi ostrym bólem, jakby lada chwila miała pęknąć. Miałem nadzieję, że jej nie skręciłem.

– Chyba tak – skłamałem. – Wiesz co? Właśnie uratowałeś mi życie...

– No tak... Możliwe... – odparł skrępowany. – Uznajmy, że jesteśmy kwita za tę akcję w Lizbonie, w mieszkaniu Acosty. Ale zobacz: nie wszystkim się poszczęściło.

– Poszukiwacz wskazał ruchem głowy ciało leżące na szynach... A raczej dolną połowę ciała. Makabryczna smuga krwi świadczyła o tym, że pociągiem, który o mały włos nas nie rozjechał, podróżowało właśnie pół pasażera na gapę.

Odwróciłem wzrok, bo poczułem, że kolacja wywraca mi się w żołądku.

– A ten drugi? – zapytałem.

– Nie wiem. Może udało mu się uciec, niewykluczone, że z rękopisem... To zresztą i tak by było lepiej, niż gdyby się okazało, że pociąg rozniósł manuskrypt na strzępy.

– Powinniśmy sprawdzić.

– Nie – zaprotestował stanowczo. – Wyczerpaliśmy już nasz dzisiejszy przydział farta. W każdej chwili może nadjechać następny pociąg.

Miał rację. Pomyślałem też sobie, że rozsądnie byłoby znaleźć się możliwie jak najdalej, kiedy pociąg, przed którym udało nam się uratować, zatrzyma się na następnej stacji z wątpliwą ozdobą w postaci ludzkich szczątków na przedzie składu.

Podążyliśmy wzdłuż szyn, aż dotarliśmy do najbliższej stacji. Ja ledwie kuśtykałem, musiałem się wspierać na ramieniu Bańki. Na szczęście już po kilku minutach dowlekliśmy się do peronu.

Było bardzo późno i na szczęście prawie nikt nie czekał na metro. Tylko jakiś facet wyglądający na żebraka grzebał w koszu na śmieci.

– Hej! – zawołał Bańka, próbując zwrócić jego uwagę. – Proszę pana! Tak, do pana mówię... Nie widzi pan, że potrzebujemy pomocy? – Żebrak aż podskoczył. Obrócił się, zobaczył nas, kilkakrotnie zamrugał i opadła mu szczeka. – No, człowieku! Nie będziemy tu czekać do rana.

Podbiegł i pomógł nam wygramolić się na peron. Potem zagapił się na nas i podrapał w głowę.

– Ale zaraz... Cholera jasna, co wyście tam robili?

– Zwiedzaliśmy Londyn – odparł Poszukiwacz. – Ale powiem coś panu, przyjacielu: ta część na górze jest zdecydowanie ładniejsza.

Ruszyliśmy do wyjścia, a biedny facet został na stacji kompletnie zdezorientowany.

Wykończeni i przygnębieni rozdzieliliśmy się z Bańką, żeby przez noc przemyśleć różne sprawy, a przede wszystkim porządnie wypocząć. Mieliśmy sporo do omówienia po przygodach w londyńskich podziemiach, ale dyskusja mogła – a nawet musiała – poczekać do następnego dnia, kiedy moje siniaki zaczną się goić, a dawny współpracownik zamówi sobie nowe okulary.

Wróciłem do hotelu późno w nocy. Przemknęło mi przez głowę, żeby zadzwonić do Lacombe i zrelacjonować jej najnowsze wydarzenia, ale na samą myśl poczułem śmiertelne zmęczenie. Marzyłem tylko o tym, żeby dowlec się do łóżka i przynajmniej na kilka godzin wyłączyć mózg.

Wszedłem do pokoju i zacząłem się szykować do porządnego prysznica przed zapadnięciem się w miękką pościel. Kiedy spojrzałem w lustro, zobaczyłem odbicie przywodzące na myśl twarz ofiary nalotu bombowego.

Kostka nadal mnie rwała, ale nie była spuchnięta, więc z ulgą wykluczyłem możliwość skręcenia. Woda spływająca po ciele obfitymi strumieniami zdziałała cuda dla mojego sponiewieranego organizmu. Po wyjściu spod prysznica czułem się już nieco lepiej. Wtedy zadzwoniła komórka.

Pomyślałem, że to pewnie Bańka, ale nie miałem racji. W słuchawce usłyszałem nieznamy głos. Ktoś przedstawił się jako lekarz ze szpitala w Madrycie.

Miał dla mnie złe wieści.

POWRÓT

Musisz jechać do Madrytu – oznajmiła Lacombe. – Nie myśl sobie, że udzielam ci pozwolenia, wręcz przeciwnie: to rozkaz.

Był wczesny ranek. Jedliśmy we trójkę śniadanie w kawiarni koło hotelu. Ja nawet nie tknąłem swojego. Nie mogłem jeść, miałem ściśnięty żołądek.

– Mówiłem ci już, że nie ma takiej potrzeby – odparłem. – Tutaj dzieją się ważne rzeczy, muszę się nimi zająć. To, co widzieliśmy wczoraj w metrze...

– Tak, to poważna sprawa – przerwała mi agentka. Pobieźnie opowiedzieliśmy jej z Bańką, co wydarzyło się w nocy. Potem, jako że nie miałem wyjścia, wspomniałem o telefonie, który zastał mnie już w pokoju hotelowym. – Bardzo poważna i niepokojąca, ale to nie powinien być twój priorytet.

Zdenerwowałem się, że Lacombe postanowiła w moim imieniu decydować, co jest dla mnie priorytetem, ale uświadomiłem sobie, że ona przecież nie zna wszystkich okoliczności. Bańka lepiej orientował się w moim życiu osobistym, jednak dyskretnie milczał.

– Pozwól, że postąpię tak, jak sam uznam za słuszne – powiedziałem. – Zapewniam, że moja obecność w Madrycie naprawdę nie jest konieczna, zwłaszcza w takiej chwili.

– Jako bezpośrednia przełożona mam prawo dysponować członkami mojego zespołu zgodnie z ich stanem psychofizycznym. W tej chwili nie jestem przekonana, czy jesteś w stuprocentowej formie.

– Co masz na myśli?

– Z powodu tej wiadomości nie będziesz mógł się skoncentrować.

– Co za brednie! To tylko domysły, zupełnie niesłuszne. – Spojrzałem na Bańkę, szukając sprzymierzeńca. – Powiedz jej, że nie ma racji.

– No, nie wiem, Tirso... A nie ma?

Przekłęty zdrajca, teraz nagle staje po jej stronie. Nie odpowiedziałem, tylko rzuciłem mu spojrzenie spode łba. Zdałem sobie sprawę, że wspomnienie telefonu tkwiło gdzieś w odległym zakątku mojego umysłu i nieprzyjemnie uwierało. Tak było od chwili zakończenia rozmowy. Przez całą noc nie zmrzyłem oka.

Westchnąłem ciężko.

– Czemu to musiało się zdarzyć akurat teraz? – zapytałem właściwie siebie samego.

– Nie katuj się, Tirso – powiedział Poszukiwacz. – Nic dziwnego, że się martwisz, to naturalne.

– Nie martwię się, tylko... Po prostu... Psiakrew, sam nie wiem, o co mi chodzi.

– W takim razie wracaj do Madrytu i się przekonaj. Tak będzie najlepiej.

– A co z tą wczorajszą sytuacją? Child, Yoonah, rękopis...

– Pewnie niełatwo ci się z tym pogodzić, młody, ale nie jesteś niezastąpiony. To,

co musi się teraz stać, wydarzy się niezależnie od tego, czy będziesz w Londynie.

– Nie wiem, jakie plany ma pan Burgos – dodała Lacombe. – Ale ja osobiście jestem gotowa sama poprowadzić dalej śledztwo. Nie jesteś mi potrzebny ani do rozmowy z Nesbitem o śmierci Child, ani do ponownego przesłuchania Rosignollego. Już ci zresztą powiedziałam, że nie masz nic do gadania: polecisz do Madrytu, bo taki rozkaz ci wydałam.

Zadzwęczała komórka Lacombe. Dzwonili z centrali Interpolu w Lyonie. Agentka wstała od stołu i odeszła na stronę, żeby porozmawiać na osobności.

Siedziałem w milczeniu, ze spuszczoną głową, grzebiąc widelcem w zimnych resztkach śniadania.

– Co zamierzasz? – zapytał Bańka.

– Pojadę, nie mam wyjścia – odparłem nachmurzony. – Skoro Lacombe się uparła, żeby mnie odstawić na boczny tor, nie zmienię zdania.

Bańka powoli pokiwał głową.

– Wiesz, że ma rację.

– Tak, tak. Chyba tak. – Odsunąłem talerz z jajecnicą. Na jej widok zaczynało mi się robić niedobrze. – Powinieneś z nią pójść. To znaczy do Rosignollego.

– Nie. Koniec spółki. Od tej chwili wracam do samodzielnej działalności.

– Posłuchaj: Rosignolli zeskanował cały rękopis i ma te zdjęcia w komputerze, sam mi je pokazał. Musisz je zdobyć.

– Mnie zależy na manuskrypcie, nie na kopii.

– Tu już nie chodzi o oryginalny dokument, Bańko, tylko o jego treść. Tym z Voynicha z jakiegoś powodu na nim zależy, tak samo jak potrzebowali Maski Musy, żeby dostać się do Stołu Salomona, albo *Mardudu* z Sewilli, żeby odnaleźć skarb Dżaudara Paszy. W tym manuskrypcie zapisano coś ważnego, jestem tego pewny.

– Dla kogo teraz pracujesz, Tirso? Dla Interpolu czy dla Narodowego Korpusu Poszukiwaczy?

– Dla nikogo. Próbuję tylko znaleźć...

– Właśnie – przerwał mi. – Tak podejrzewałem: chcesz wyruszyć na poszukiwania. Tak naprawdę zawsze o to ci chodziło, od kiedy cię poznałem. – Nie mówił tego ze złością, raczej stwierdzał fakt. – Nie potrzebuję jej, żeby się dostać do domu Rosignollego.

– Tu się mylisz. Pilnuje go policja. Jestem pewny, że potrafisz obmyślić tysiąc skomplikowanych planów, żeby potajemnie wykraść jego komputer, ale najrozsądniej będzie skorzystać z najprostszego sposobu. Lacombe może ci służyć za przykrywkę.

– Zastanowię się – powiedział Poszukiwacz. – A kiedy już zdobędę te zdjęcia, to co niby mam z nimi zrobić?

– Spotkamy się w Madrycie i zdecydujemy, co dalej. – Uśmiechnąłem się gorzko. – Mam teraz idealny pretekst, żeby zostać tam tak długo, jak będzie trzeba, i na ciebie czekać.

Bańka przyglądał mi się bacznie. Odniosłem wrażenie, że czymś się gryzie.

– Nie musisz tego robić, Tirso. Teraz pracujesz legalnie, masz nowe zadania, nowe cele, nowe życie... Nie powinieneś zachowywać się jak Poszukiwacz, skoro już nim nie

jesteś. To się może dla ciebie źle skończyć.

Nagle coś dotarło do mnie z całą mocą.

– Jakie nowe życie? Jakie nowe cele? Nigdy nie byłem pieprzonym agentem Interpolu, tylko banitą, rozumiesz? Mam już dość życia na wygnaniu. Chcę wrócić.

– Popatrzyłem Bańce w oczy. – Jestem Poszukiwaczem, tak jak mój ojciec. Tylko ja mogę zdecydować, kiedy przestanę nim być.

– Tirso...

– Nie – uciałem. – Nazywam się Faro.

Gwałtownie wstałem od stołu i odszedłem. Chciałem zostać sam.

Jeszcze tego samego popołudnia wsiadłem w samolot do Madrytu. Oficjalnie przebywałem na urlopie.

Po osiemnastej znalazłem się na lotnisku Barajas, z tą samą walizką spakowaną na parę dni, z którą wyjechałem z Lyonu, zanim moje życie znowu potwornie się skomplikowało. Wylądowałem w swoim kraju, w rodzinnym mieście, a czułem się jak cudzoziemiec.

Złapałem taksówkę. Kiedy kierowca zapytał, dokąd jedziemy, z początku nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Już od niemal roku nie było w Madrycie miejsca, które mógłbym nazwać swoim domem.

W końcu podałem mu jedyny adres, pod którym miałem cokolwiek do roboty, chociaż wizja załatwienia tej sprawy niezbyt mi się uśmiechała.

Zawiózł mnie do szpitala przy ulicy Juan Bravo. Nie do jednego z tych olbrzymich obiektów opieki zdrowotnej utrzymywanych ze środków publicznych, ale dyskretnej kliniki prywatnej. Przekroczyłem próg lecznicy, ciągnąc za sobą walizkę. Nie zachodziłem do recepcji – wiedziałem już, do której sali powinienem się udać.

Znajdowała się na trzecim piętrze, na końcu cichego korytarza. Zatrzymałem się przed drzwiami dłużej, niż to było konieczne, i wahałem się: wejść, zapukać czy obrócić się na pięcie i uciec na drugi koniec świata.

W końcu postanowiłem wejść bez pukania.

Pokój wypełniały kwiaty, niektóre bukiety osiągały nieprzyzwoite rozmiary. Telewizor był włączony. Akurat puszczał jakiś stary czarno-biały film – Cary Grant odstawiał błazenadę wystrojony w damski szlafrok. Matka zawsze przepadała za klasycznymi komediami.

Leżała w łóżku. Kiedy wszedłem do pokoju, nasze spojrzenia się spotkały. Nie wyglądała zbyt dobrze: bardzo szczupła i blada, o woskowej cerze. Doktor Alicia Jordán po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wyglądała na swoje lata, a nawet na parę więcej. Moja mina chyba zdradziła, jakie przykre wrażenie zrobił na mnie jej widok w takim stanie, wychudzonej i zniewolonej przez rurki i sondy, bo matka odwróciła wzrok, jakby zawstydzona. Sięgnęła na szafkę nocną po pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze.

– No proszę... – powiedziała słabo. – Przyszedełś.

Trudno powiedzieć, czy w jej głosie pobrzmiwała przygana, wdzięczność czy (to najbardziej prawdopodobne) po prostu obojętność.

– Tak, w końcu... Widzę, że nie byłem pierwszy. – Potoczyłem wzrokiem po bukietach, dzięki którym sala w klinice przypominała raczej szklarnię w szczycie okresu kwitnienia. Nagle zdałem sobie sprawę, że może ja też powinienem przynieść wiązanekę.

– Jak się dowiedziałeś?

– Wczoraj zadzwonił do mnie lekarz, niejaki doktor Fuentes.

– A, tak, oczywiście. No tak, pewnie figurujesz w mojej polisie ubezpieczeniowej jako osoba kontaktowa na wypadek... – ogarnęła całą scenę gestem dłoni – właśnie na taki wypadek. Przykro mi, że cię niepokoił, nie chciałam ci zawracać głowy. – Zauważyła moją walizkę. – Mam nadzieję, że nie musiałeś jechać z daleka.

– Przyleciałem z Londynu.

– Ach... A co tam robiłeś? Byłeś na wakacjach?

– Służbowo.

Pokiwała głową, jakby miała jakiegokolwiek pojęcie, czym się teraz zajmuję zawodowo.

– Dobrze... No to... chcesz usiąść czy...?

Usadowiłem się na krześle, zdjawszy z niego ogromny kosz pełen suszonych kwiatów. Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy.

Nigdy nie łączyły nas najlepsze stosunki. Mało powiedziane: zwykle nie łączyły nas żadne stosunki. Moja matka była indywidualistką do szpiku kości, wybitną archeolożką cieszącą się międzynarodową renomą, całą duszą i sercem oddaną pracy.

Wszyscy, którzy przypisują samicom gatunku ludzkiego silny instynkt macierzyński, najwyraźniej nigdy nie poznali mojej matki. Dla niej urodzenie dziecka przypominało napisanie pracy doktorskiej: najpierw dość długi okres trudu i znoju, potem kilka chwil cierpienia przed grupą doktorów i w końcu zaliczenie na ocenę. Po wszystkim dysertację chowa się do szuflady i można się zająć innymi rzeczami. Tak właśnie się czułem przez większość życia: jak wykonane zadanie, z którego czuła się jakoś tam dumna, ale któremu już po odhaczeniu nie warto było poświęcać więcej czasu.

Kiedy zobaczyłem ją w szpitalu, po raz pierwszy w życiu niesamodzielną i wymagającą pomocy, udało mi się wreszcie zidentyfikować jedną z odczuwanych przeze mnie emocji: konsternację. Coś takiego, co się czuje, kiedy psuje nam się samochód na środku drogi i podnosimy maskę, choć z góry wiemy, że nie mamy zielonego pojęcia, jak działa silnik, ale i tak to robimy, bo przecież wszyscy tak robią.

– No dobrze... – zacząłem. – Co się stało?

– Przecież lekarz na pewno ci powiedział przez telefon.

– Mówił tylko, że miałaś zawał.

– No to wszystko już wiesz, nie ma wiele do dodania.

– Gdzie to się stało?

– Tutaj, w Madrycie. Byłam na wykładzie prowadzonym przez jednego z moich dawnych studentów. Temat nawet za bardzo mnie nie interesował, ale czułam się w obowiązku przyjść, śledziłam jego karierę naukową przez te wszystkie lata. – Typowe dla mojej matki: wykazywać większe zainteresowanie życiem zawodowym jakiegoś byłego podopiecznego niż moim. Dlatego tak ją uwielbiali... a ja zawsze żywiłam głęboką, fanatyczną nienawiść do całego zastępu studentów, mimo że żadnego z nich

nigdy nawet nie widziałem na oczy. – Dość krępująca sytuacja, na oczach tylu ludzi... Chociaż z drugiej strony pewnie miałam szczęście, że nie byłam wtedy sama.

– A teraz już nic... – ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć „poważnego ci nie grozi” – cię nie boli?

– Oczywiście, czuję się świetnie, ale te konowały się upierają, że mam odpoczywać. To była tylko chwilowa niedyspozycja, nic poważnego. Niepotrzebnie przyjeżdżałaś z tak daleka.

Wolałem się nie przyznawać, że zostałem praktycznie zmuszony do przyjazdu. Mało prawdopodobne, żeby ją to w najmniejszym choćby stopniu dotknęło, ale lepiej nie ryzykować – w końcu dopiero co przeszła atak serca.

– Tym się nie przejmuj. Przyjechałem i zamierzam zostać jakiś czas w Madrycie, więc jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

– Dobry z ciebie chłopak – powiedziała, nie okazując przy tym żadnego konkretnego uczucia. Chryste, chyba naprawdę była poważnie chora. Prawie nigdy mnie nie chwaliła... Może była pod wpływem jakichś środków przeciwbólowych? – Ale nie musisz wokół mnie skakać. Lepiej zajmij się swoimi sprawami.

Ktoś mógłby się poczuć urażony takimi słowami, ale nie ja. Dobrze wiedziałem, że wcale nie próbuje się mnie pozbyć – po prostu nie mieściło się jej w głowie, że osoba niebędąca lekarzem mogłaby poświęcać czas na opiekę nad chorą, nawet nad własną matką. Taka właśnie była: przede wszystkim pragmatyczna.

Nie miałem pomysłu na podtrzymanie konwersacji. Zrobiłem już, co do mnie należało: przekonałem się na własne oczy, że matka nie tkwi jedną nogą w grobie. Wydawało mi się jednak, że normalni synowie nie zostawiają matek w szpitalu po odbębnieniu pięciominutowej wizyty.

A przynajmniej tak sędzę. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w stosunkach matczyno-synowskich.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego to ci się przytrafiło? – zadałem pierwsze pytanie, jakie wpadło mi do głowy.

– Kto to może wiedzieć? Nigdy w życiu nie wypaliłam papierosa, praktycznie nie piję alkoholu, zdrowo się odżywiam, dużo ćwiczę... Grom z jasnego nieba.

– Ale lekarze na pewno mają jakieś podejrzenia.

– Och, lekarze, lekarze... Wszyscy uważają się za nie wiadomo jakich ważniaków, zwłaszcza jeśli mają doktorat... Wiesz co? Ja mam trzy doktoraty i nie paraduję tu w białym fartuchu, uważając się za najmądrzejszą na świecie.

– Polemizowałbym – odparłem. – Ale zgadzam się co do fartucha.

– Twierdzą, że mam nadciśnienie, ale co oni mogą wiedzieć? Ja i nadciśnienie? Ja i stres? Od lat pracuję w tym samym rytmie i jakoś nigdy nie miałam problemów.

– Tak, tylko że nie jesteś już nastolatką.

– Jeśli przyleciałaś tu specjalnie z Londynu tylko po to, żeby mi uświadomić, że jestem stara, to mogłaś sobie darować.

– Nie wyżywaj się na mnie, chciałem tylko zasugerować, że może powinnaś trochę odpuścić. Martwię się o ciebie. – Sam się zdziwiłem, kiedy odkryłem, że powiedziałem to szczerze.

– Martwisz się? Dlaczego?

– Bo jestem twoim synem i muszę się o ciebie martwić.

– Aha... – powiedziała, jakby ta informacja ją zaskoczyła. Pewnie dopiero teraz sobie uprzytomniła, że jej życie, a także śmierć, miały wpływ i na mnie. – No nic, nie masz się czym przejmować. Nie jestem głupia, nie mam też najmniejszego zamiaru wracać w najbliższym czasie do szpitala, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Zdecydowałam już, że po powrocie do domu zrezygnuję z niektórych zobowiązań. Przyznaję, że może faktycznie ostatnimi czasy trochę za dużo wzięłam na swoje barki.

– Miło mi to słyszeć.

Choć wiedziałem o jej życiu zawodowym mniej więcej tyle, co ona o moim, to orientowałem się, że w ciągu ostatniego roku nie mogła usiedzieć na miejscu: od czasu do czasu dostawałem od niej mejle ze wszystkich stron świata – Toronto, Canberry, Barcelony czy Sztokholmu; zwykle tylko kilka linijek, ale lokalizacje bardzo szybko się zmieniały. Gdybym poświęcił nieco więcej refleksji matce, pewnie mniej bym się zdziwił, że wyładowała w szpitalnym łóżku.

– Będzie mi bardzo przykro odmówić części zleceń, niektóre zapowiadały się naprawdę ciekawie. Właśnie miałam przyjąć ofertę pracy w Ameryce Południowej, która wyjątkowo mnie zaintrygowała, ale lekarze oczywiście się upierają, że przez jakiś czas nie ma mowy o lotach międzykontynentalnych.

– A co to była za oferta? – zapytałem dla podtrzymania rozmowy. Postawiłem sobie za cel dociągnięcie wizyty do co najmniej trzydziestu minut. Jak na razie minęło dopiero dziesięć.

– Może ci się to wydać dziwne, ale trudno mi podać szczegóły... Dlatego właśnie tak mnie zaciekawiła ta sprawa.

– Nie rozumiem.

– Ze trzy tygodnie temu skontaktował się ze mną jakiś człowiek, dostał na mnie namiary od mojego starego znajomego, wykładowcy na Państwowym Uniwersytecie Kolumbii. Nie pamiętam nazwiska tego faceta, mam je zapisane gdzieś w kalendarzu, ale na pewno był Amerykaninem...

– I czego chciał?

– Szukał specjalisty od hiszpańskiej architektury wczesnośredniowiecznej i pomyślał o mnie. Z tego, co mi powiedział, kompletował międzynarodowy zespół ekspertów z różnych dziedzin, wszystkich zajmujących się średniowieczem. Chodziło o projekt badawczy w jakimś Valcabado, słyszałeś o tym miejscu?

– Wiem tyle, że to w Ameryce Południowej.

– Chyba gdzieś między Kolumbią a Brazylią, tak mi się przynajmniej wydaje... To jedna z tych malutkich republiczek, których pełno na całym świecie. Większość to po prostu raje podatkowe.

– Ale jaki projekt badawczy prowadzony w takim miejscu mógłby zainteresować grupę mediewistów?

– To właśnie najdziwniejsze: nie chciał zdradzić żadnych szczegółów, ale zapewniał, że to bardzo interesująca sprawa, która odbije się echem na całym świecie.

– Byłaś gotowa polecieć do Ameryki Południowej, żeby wziąć udział

w przedsięwzięciu, o którym praktycznie nic nie wiedziałaś?

– A czemu nie? Wiesz, że wyzwania to moja pasja, zwłaszcza jeśli pobudzają ciekawość, a poza tym zaoferowali mi krocie. Zgodziłam się bez wahania. – Matka westchnęła cicho. – A teraz będę musiała zrezygnować. Co za szkoda... Frapująca sprawa!

– Kto to organizuje? Jakiś uniwersytet?

– Nie, prywatna korporacja: Voynich, ta firma od komputerów i oprogramowania, za pośrednictwem fundacji kulturalnej Projekt Lilith...

Zaczęły mi się pocić dłonie.

– Projekt... Lilith?

– Osobliwa nazwa, prawda? Z tego, co zrozumiałam, to jakaś nowa inicjatywa. Wspominali mi o niej znajomi z różnych działów nauki i kultury. Najwyraźniej Voynich od jakiegoś czasu inwestuje w projekty dotyczące konserwacji i rekonstrukcji obiektów dziedzictwa kulturowego. Wiele globalnych korporacji prowadzi taką działalność, zwykle żeby uniknąć podatków, ale ludzie, z którymi rozmawiałam, wypowiadali się o Voynichu i Projekcie Lilith w samych superlatywach. Podobno firma wkłada w to naprawdę spore środki, a chociaż działają od niedawna, są bardzo aktywni, a zarazem dyskretni. Podpisują umowy z ośrodkami akademickimi, lokalnymi władzami, instytucjami... Najwyraźniej podchodzą do sprawy poważnie. Przykro mi będzie przegapić szansę takiej współpracy.

Te informacje mocno mnie zaniepokoiły.

– Nie żałuj tak tego zlecenia, mnie wcale się nie wydaje takie interesujące... À propos, facet, który się do ciebie zgłosił, ten Amerykanin... Na pewno nie pamiętasz, jak się nazywał?

– Wiesz, że kompletnie nie mam głowy do nazwisk. Mam to zapisane w kalendarzu, w domu... A czemu pytasz?

– Z ciekawości – odparłem, bo nie zdążyłem wymyślić bardziej przekonującej wymówki.

– Mogę sprawdzić, kiedy mnie wypuszczą. Zresztą i tak będę musiała się z nim skontaktować, żeby mu powiedzieć, że nie mogę przyjąć propozycji.

– Lekarze mówili, kiedy pozwolą ci wrócić do domu?

– Jeszcze nie, ale nie sądzę, żeby zamierzali długo mnie tu trzymać. To był tylko niegroźny epizod.

– Bądźmy w kontakcie – powiedziałem, zerknąwszy ukradkiem na zegarek. Nie minęło jeszcze trzydzieści minut. – Jak już mówiłem, zamierzam zostać jakiś czas w Madrycie.

– A masz gdzie mieszkać?

– Poszukam hotelu.

– Bez sensu, niepotrzebny wydatek! – zaprotestowała, jak zwykle oszczędna. Bałem się, że zaproponuje, żebym zatrzymał się u niej, a jestem pewny, że żadne z nas nie czułoby się wtedy swobodnie. Na szczęście okazało się, że miała na myśli inne rozwiązanie. – Moja znajoma ma mieszkanie przy ulicy Carranza, wynajmuje je turystom. Teraz na pewno stoi puste. Zadzwoni do niej i powiedz, że jesteś moim synem, policzy ci taniej.

Podawała mi nazwisko i numer koleżanki, który znalazła na liście kontaktów w komórce.

– Dziękuję. Odezwę się do niej. – Znowu zerknąłem na zegarek. Dwadzieścia pięć minut. – No dobrze... Potrzebujesz czegoś? Mogę ci przynieść jakieś gazety albo... coś.

– Nie trzeba. Szczerze mówiąc, najbardziej potrzebuję odpoczynku. Od samego rana ludzie przychodzą do mnie w odwiedzinach, jestem wykończona. – Westchnęła ciężko.

– Zadzwoń do tej mojej znajomej. Musisz przynajmniej zostawić gdzieś walizkę.

– W porządku – odparłem zadowolony, że wreszcie mogę sobie pójść. – Zajrzę do ciebie... Wkrótce.

– Dobrze.

– Na pewno nic ci nie będzie?

– Na pewno. Możesz spokojnie mnie zostawić. – Zamknęła oczy i oparła głowę na poduszce. Wycofałem się na palcach. – Tirso...

– Tak?

– Dziękuję, że przyjechałeś.

Zrobiło mi się trochę głupio.

– Nie ma za co.

– Jesteśmy dwojgiem samotników, każde z nas żyje własnym życiem i nie wchodzimy sobie w drogę. – Mówiła coraz bardziej rwanym głosem, jakby myśli same pchały jej się na usta. – Dziwna rodzina, ale mimo wszystko rodzina... W moim wieku do człowieka zaczyna docierać, że to naprawdę ważne.

Zostawiłem ją, żeby mogła odpocząć.

Dopiero jakiś czas po wyjściu z kliniki dotarło do mnie, że widziałem matkę po raz pierwszy, odkąd się dowiedziałem, że mój ojciec tak naprawdę wcale nie był pilotem lotnictwa cywilnego, wbrew temu, w co ona wierzyła.

Mój ojciec był Poszukiwaczem. Nosił pseudonim Piorun i zginął podczas misji w Republice Valcabado.

Poznałem prawdę w Mali, Bańka wszystko mi powiedział. Przekazał mi wszelkie posiadane informacje na temat mojego ojca, a choć mnie one zszokowały, w gruncie rzeczy były dość skąpe.

To również tam Hydra, była Poszukiwaczka, wyjawiała mi inny ważny szczegół. Opowiedziała mi o weteranie Korpusu Poszukiwaczy, już emerytowanym, który nosił kryptonim Hełm i osobiście znał mojego ojca. Hełm uważał, że zmarł on w Valcabado wskutek zdrady kogoś z Piwnicy, a przynajmniej tak powiedział Hydrze. Niestety, ona sama nie pamiętała imienia zdrajcy i zginęła, nie zdążywszy mi powiedzieć, jak mogę się skontaktować z Hełmem.

Zamierzałem ustalić miejsce jego pobytu na podstawie starych archiwów NKP, ale Alzaga wyrzucił mnie z Piwnicy, zanim miałem okazję przeprowadzić śledztwo. Kiedy wyjechałem do Lyonu, musiałem pogodzić się z myślą, że nigdy nie uda mi się odnaleźć Hełma ani dowiedzieć o służbie ojca w Korpusie nic ponad trzy krótkie zdania.

Nigdy też nie przeszło mi przez myśl, żeby podzielić się całą tą wiedzą z matką. Żyła sobie spokojnie, wierząc, że mężczyzna, z którym pewnej nocy się zapomniała (a ja

byłem szczęśliwym rezultatem tej jednorazowej przygody), był po prostu pilotem i zginął w katastrofie lotniczej.

Prawie nie wspominała o moim ojcu. Jeśli już – rzadko – zdarzało jej się o nim napomknąć, w jej głosie nie było goryczy, ale brakowało też czułości. Nigdy nie wątpiłem, że niezależnie od okoliczności, które doprowadziły do mojego poczęcia, w grę na pewno nie wchodziła wielka miłość.

W miarę dorastania zacząłem rozumieć, że ten brak zainteresowania z jej strony nie wynikał z urazy czy innych negatywnych uczuć, lecz z prozaicznego faktu, że mój ojciec zawsze stanowił dla niej całkowitą niewiadomą.

Tamtego wieczoru, kiedy zostawiłem matkę w szpitalu, wiedząc, że jej serce zaczyna zdradzać niepokojące oznaki zużycia i zmęczenia, po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, czy rzeczywiście miałem prawo ukrywać przed nią to, co wiedziałem o ojcu. Uznałem jednak, że nie jest to kwestia oceny, czy powinna znać prawdę, ale tego, w jakim stopniu ona w ogóle ją interesowała.

Po namyśle stwierdziłem, że matka wspominała tamtego rzekomego pilota z doskonałą obojętnością. Jeśli kiedyś nawet za nim tęskniła, jeśli czuła do niego coś głębszego niż krótkotrwały pociąg fizyczny, to chowała te sekrety na samym dnie swojego niedomagającego serca. W związku z tym postanowiłem równie pilnie strzec własnych tajemnic.

Jeśli jednak chodzi o mnie, to zdecydowanie musiałem dowiedzieć się więcej o tamtym Poszukiwaczu zwanym Piorunem oraz o osobie, która go zdradziła. Temat poszedł w odstawkę podczas mojego zesłania do Lyonu, ale teraz wróciłem do Madrytu i znów wpadłem po uszy w sprawy Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Przyszła pora powrócić do dawnego życia, wznowić sprawy, które od kilku miesięcy leżały odłogiem. Jedną z tych spraw, może nawet najważniejszą, dotyczyła mojego ojca.

Podjąłem decyzję, zostawiłem za plecami szpital i postanowiłem zająć się kwestią zakwaterowania. Chciałem mieć z głowy przynajmniej najbardziej przyziemne problemy.

Całkiem szybko udało mi się skontaktować z właścicielką mojego tymczasowego miejsca zamieszkania, ustalić cenę (która faktycznie okazała się niewiarygodnie niska) i zostawić w mieszkaniu mój skromny dobytek. Potem, żeby nie tracić ani minuty, pojechałem taksówką do centrum.

Wybierałem się do niewielkiego lokalu przy ulicy Postas, parę kroków od plaza Mayor, do staroświeckiego zakładu jubilerskiego założonego w czasach królowej Izabeli II, którego witryna nie przypominała nowojorskiego Tiffany'ego ani innych sklepów tego typu, lecz raczej zakurzony lamus. Właścicielami tego przybytku byli bliźniacy, wielbiciele eleganckich krawatów i łacińskich sentencji.

Kiedy stanąłem przed sklepikiem Alfya i Omegi, po raz pierwszy od przyjazdu przestałem się czuć obco we własnym mieście.

Wszystko było dokładnie takie jak w moich wspomnieniach. Woń kurzu i wosku, trzeszczący parkiet, półki pełne biżuterii tak niemodnej, że nawet przy najlepszych chęciach nie można by jej określić mianem „retro”. Większość stałych klientek zakładu wciąż dobrze pamiętała dzień, w którym król Alfons XIII musiał się salwować ucieczką

za granicę.

Za drewnianym kontuarem stał człowieczek w nienagannie skrojonym garniturze, zajęty rozkładaniem złotych łańcuszków na tace pokrytej czarnym filcem. Odruchowo zwróciłem uwagę na kolor jego krawata. Błękitny. W takim razie miałem do czynienia z Omegą, który – w odróżnieniu od brata – wołał dodatki w jasnych barwach.

Jubiler spojrział na drzwi i gwałtownie zamrugał oczami ukrytymi za soczewkami okularów.

– A to co? Czyżby roztropny Telemach powrócił do Itaki, by ujrzeć ojca swego w żebraka przemienionym? – Złotnik schował pod ładą tackę z naszyjnikami i obdarzył mnie serdecznym uśmiechem. – Bynajmniej, oto nieroztropny Tirso Alfaro, bez wątpienia. Specjalnie na twoją cześć ośmielę się sparafrazować Salomona i powiem ci, że *bonum amicum laetificat cor homini*¹... Jak się miewasz, drogi chłopcze?

– Cześć, Omega.

– Ave i ty. Cieszy nas bardzo twój widok, choć musimy przyznać, że twoja wizyta nieco nas zaskakuje. Przyjemnie, ale zaskakuje. – Bliźniacy mieli zwyczaj mówić o sobie w liczbie mnogiej, nawet występując z osobna, jakby jeden zawsze wypowiadał się w imieniu obojga. – Sądziiliśmy, że przebywasz obecnie we Francji.

– To długa historia, ale chętnie ci ją opowiem, jeśli masz czas.

– Dla ciebie zawsze, kochany druhu. Pozwól, że wcześniej dokonam jednak tymczasowego zawieszenia czynności stanowiących źródło mojej intraty. – Wyglądało na to, że tymczasem styl wypowiedzi bliźniaków zyskał jeszcze na kwiecistości. Nie zrozumiałem jego ostatniej wypowiedzi, dopóki nie wyszedł z za lady i nie powiesił na drzwiach zakładu tabliczki: „Zamknięte”. – Gotowe! Teraz masz już do dyspozycji całą naszą uwagę... Ach, zaczekaj jeszcze moment! Brakuje najważniejszego: *hospitis adventus causae bibendi est*². Przyniosę kawy.

Dobra wiadomość. Bliźniacy parzyli najlepszą kawę, jaką kiedykolwiek w życiu piłem.

Omega wyjął termos z szuflady biurka i napełnił papierowe kubki. Wzniósł barokowy toast i obaj się napiliśmy. Doznałem okrutnego rozczarowania: napój okazał się w smaku znacznie gorszy, niż zapamiętałem.

Drobny jubiler posmakował kawę i ze smutkiem pokręcił głową.

– Paskudztwo, prawda? – zapytał. – Obraza dla podniebienia. Muszę przyznać, że natura nie obdarzyła mnie talentem w tej dziedzinie. To specjalność mojego brata: poznał tajniki parzenia kawy podczas wyprawy do Kolumbii, gdzie handlował szmaragdami. Gagatek z nikim nie chciał się tą wiedzą podzielić, nawet ze mną.

– Wcale nie jest taka zła – powiedziałem i z uprzejmości pociągnąłem drugi łyk czarniawej wody. – A swoją drogą, gdzie jest Alfa? W warsztacie?

– Myślisz, że jeśli gdzieś by się tu kręcił, to naraziłbym twój żołądek na kontakt z tym odrażającym ichorem? Nie, Alfę nie ma w zakładzie. Można powiedzieć, że jest na zwolnieniu.

– Coś mu dolega?

Omega wzruszył ramionami.

– Wszystko. Nic. Już jakiś czas temu podupał na zdrowiu... Mógłbym zanudzić

cię skomplikowaną diagnozą, ale prawda zawiera się w jednym prostym zdaniu: starzejemy się, drogi przyjacielu... „Wczoraj minęło; jutro jeszcze nie nadeszło; dziś nieustannie pędzi przed siebie”³... Tak, starzejemy się.

– Bardzo przykro mi to słyszeć.

– Ech, nie zwracaj uwagi na moje gadanie... Ostatnio prześladowuje mnie melancholia, czuję się jak puchacz krążący wśród ruin. Ale nie martw się o Alfę, nie jest z nim najgorzej, wkrótce na pewno wróci do pracy. Ucieszy się na wieść, że poświęciłeś nieco swojego cennego czasu, by odwiedzić tę jaskinię skamieniałości.

– Stęskniłem się za wami. Możesz mi wierzyć, że w całej Francji nie ma tak dobrych jubilerów.

Wąs bliźniaka zatrząsał się z dumy.

– Francuzi... Wiesz, że René Lalique nauczył się wszystkiego od naszego dziadka? A Cartier... Czysta propaganda! Brylanty w jego oprawach wyglądają jak kamyki przyklejone na gumę do żucia, no, ale my oczywiście nie zajmujemy się strojeniem wypacykowanych gwiazdek srebrnego ekranu. Wolimy zaprzęgać nasze wybitne umiejętności w służbie słusznej sprawie, Narodowemu Korpusowi Poszukiwaczy, odrzucając przy tym jakże prawdopodobną sławę międzynarodową. – Omega wbił wzrok w dno papierowego kubeczka. – To smutne, że teraz, u kresu drogi, za nasze poświęcenie otrzymujemy wyłącznie obojętność i zapomnienie... *Inter vitia nullum est frequentius quam ingrati animi*⁴, jak powiedział Seneka.

– Domyślałam się więc, że sprawy nie mają się najlepiej?

– Obawiam się, że masz rację. Odkąd nas opuściłeś, wciągnęło nas coś w rodzaju spirali dekadencji. Enigma odeszła, bardzo nam jej brakuje... Potem Danny, która podobno przepadła bez śladu... Piwnica straciła niemal wszystkich agentów, tak jak drzewo traci liście na zimę. Już od wielu miesięcy Korpus nie powierzył nam żadnego zlecenia i obawiamy się, że to się nie zmieni, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Tam, na dole, chyba nikomu na tym nie zależy.

– Masz na myśli Alzagę?

– A kogóż by innego? Nawet nie raczy do nas oddzwaniać. – Pociągnął ostatni łyk kawy. – No nic... Wiedzieliśmy, że prędzej czy później będziemy musieli się wycofać, ale liczyliśmy na nieco bardziej uroczyste pożegnanie... Czyż aktor nie zasługuje na aplauz publiczności po opadnięciu kurtyny?

– W końcu sytuacja ulegnie zmianie, jestem tego pewny. To tylko chwilowy przestój.

– Nie, to już koniec, czuję to w kościach. Narodowy Korpus Poszukiwaczy wydaje ostatnie tchnienie. *Acta est fabula, plaudite!*⁵ – Omega westchnął ciężko. – Skończyła się pewna epoka.

Złożyłem jego pesymizm na karb tęsknoty za nieobecnym bratem, która musiała mocno mu doskwierać. Szczerze mówiąc, nawet mnie dziwnie było widzieć go bez identycznego odbicia u boku, tak jakby stanął przed wybrakowanym lustrem.

Ponury nastrój jednego z bliźniaków zaczynał niebezpiecznie mi się udzielać, więc postanowiłem sprowadzić rozmowę na inne tory.

– A właśnie, Omega, jak wam się układa z nowym uczniem?

– Ach, masz na myśli... to. Domyślaliśmy się, że będziesz ciekaw jego postępów.

– Jest tutaj?

– Tak, na dole w warsztacie. Musimy przyznać, że jest bardzo pilny, niczym irytujący Sigurd w kuźni Regina.

– Irytujący?

Bliźniak spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Powiedzmy tak: sprzedaliście go nam z Enigmą jako łagodnego Zefira, a zamiast tego dostaliśmy porywczego, nieokiełznanego Boreasza. Zasiał w naszym życiu spustoszenie, wyrócił je do góry nogami... Chociaż przyznajemy, że dysponuje wrodzonym darem, w innym wypadku już dawno byśmy się go pozbyli. – Omega dołał sobie trochę kawy. – Poza tym wydaje nam się, że żywi do ciebie pewną urazę.

– Do mnie? Dlaczego?

– Kto to wie? Ścieżki jego myśli są dla nas zupełnie niezrozumiałe, ale wydaje mi się, że czuje się nieco... opuszczony.

– Nie ma ku temu żadnych powodów. Poza tym, kiedy wyjeżdżałem, ustaliliśmy z Enigmą, że ona się nim zajmie.

– Tak, tyle że Enigma też nas opuściła, jak już ci mówiłem. Wcale mu się to nie spodobało i koniec końców to ja i mój biedny brat musieliśmy znosić jego napady złego humoru.

– Zejdę się z nim zobaczyć.

– Proszę bardzo, ale nie gwarantuję gorącego powitania.

Zdarzało mi się robić w życiu rzeczy mniej i bardziej nierozsądne. Sam jednak nie wiem, co mi strzeliło do głowy, kiedy postanowiłem podjąć się wychowania praktycznie nieznanego nastolatka.

W trakcie poszukiwań Łańcucha Proroka natknąłem się na chłopaka imieniem Nicolás, który, chcąc nie chcąc, wplątał się w nasze sprawy.

Nicolás był młodocianym hakerem o usposobieniu przywodzącym na myśl wiewiórkę naszprycowaną amfetaminą – zupełnie nie do wytrzymania. Poza tym miał jednak mózg geniusza, a jeśli znalazło się odpowiednie ujście dla jego energii, potrafił czynić prawdziwe cuda.

Nicolasa cechowały inteligencja, lekkomyślność, kreatywność oraz zero poszanowania dla dyscypliny. Brakowało mu również bliskich, którzy mogliby go nieco ucywilizować: rodzice zmarli, a on mieszkał u ciotki, właściwie dalekiej krewnej, która podjęła się jego wychowania wyłącznie z obowiązku. Chłopak z taką historią rodzinną zdawał się skazany na odnoszenie wielkich sukcesów w światku przestępczym. Tak przynajmniej sądziłem, kiedy go poznałem.

Enigma jednak nie podzielała mojej opinii. Wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, że ten chłopak to urodzony Poszukiwacz, wystarczy tylko nieco go oszlifować. To zresztą Enigma nadała mu pseudonim: Yokai.

Szybko się przekonałem, że koleżanka miała rację. Jeśli tylko dałoby się mu szansę, Yokai mógł zostać jednym z najlepszych agentów w historii Piwnicy. Co więcej, chłopak pragnął tego z całego serca.

W naszym planie tkwiło jednak kilka szkopułów. Ani ja, ani Enigma nie mieliśmy

uprawnień, żeby wcielić chłopaka w szeregi Korpusu (zwłaszcza po moim wyrzuceniu), a poza tym Yokai był niepełnoletni. Czy mu się to podobało, czy nie – a wcale mu się nie podobało – musiał mieszkać u ciotki, obowiązywały go do tego przepisy prawne.

Wtedy Enigma wpadła na świetny pomysł. Sięgnęła do swoich pokładów uroku osobistego – a miała go pod dostatkiem – i namówiła Alfę i Omegę, żeby zgodzili się przyjąć Yokaiego na staż do zakładu jubilerskiego. Enigma świetnie wiedziała, że bliźniacy wielbią ją niczym starożytną muzę, i bezwstydnie to wykorzystała. Spisała się na medal, tak że w końcu samych jubilerów podekscytowała wizja przekazywania tajników zawodu nieco zaniedbanemu uczniowi. Oczami wybujałej wyobraźni widzieli się już zapewne w rolach naśladowców centaura Chirona edukujących pryszczatego Achillesa w oberwanych dzinsach.

Dzięki takiemu porozumieniu Yokai zgodził się wrócić do ciotki (która – z tego, co wiedziałem – ucieszyła się, że chłopak codziennie na kilka godzin będzie znikał jej z oczu, a przy okazji może nauczyć się porządnej profesji) i zaczął się zaznajamiać z działaniem Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Oczywiście Alzaga nie miał o tym pojęcia. Yokaiemu nadal brakowało ponad roku do osiemnastych urodzin, więc mieliśmy z Enigmą nadzieję, że do tego czasu obmyślimy jakiś plan wprowadzenia go do Piwnicy już jako pełnoprawnego Kawalera Poszukiwacza.

Tak przedstawiała się sytuacja w chwili mojego wyjazdu do Francji. Wydawało mi się, że zgrabnie załatwiłem całą sprawę: zostawiłem Yokaiego pod opiekuńczymi skrzydłami Alfy i Omegi oraz pod bacznym okiem Enigmy, którą chłopak darzył przeogromnym szacunkiem (była jedyną osobą, przy której przeżuwał jedzenie z zamkniętymi ustami). Niestety, nikt nie przewidział, że Enigma odejdzie z Korpusu, a tym samym porzuci stanowisko mentorki przyszłego Poszukiwacza. Może to dlatego Omega sądził, że chłopak czuje się opuszczony.

Oby się mylił. Yokai już i tak mógł wypisać długą listę osób, które go opuściły. Nie zasługiwał, żeby wydłużyła się choć o jedno nazwisko.

Nie wiedziałem, co mnie czeka w warsztacie Alfy i Omegi, ale przygotowałem się na długie użeranie z rozzalonym i naburmuszonym nastolatkiem. Nie była to przyjemna wizja – cierpliwość nie należy do moich licznych zalet.

Zszedłem za Omegą po schodach do piwnicy pod zakładem. W miarę jak zbliżaliśmy się do drzwi warsztatu, do moich uszu coraz wyraźniej dobiegały dźwięki muzyki rozkręconej chyba na cały regulator. Omega cmoknął z niezadowoleniem i pokręcił głową.

– Dasz wiarę? – zapytał. – Nic dziwnego, że mój biedny brat zapadł na zdrowiu... Od rana do wieczora katuje nas tym szatańskim zawodzeniem godnym trąb apokalipsy!

– Mnie to brzmi raczej jak Billy Joel.

Omega otworzył drzwi warsztatu i wrzasnął z przerażeniem.

Yokai leżał na podłodze w ubraniu przesiąkniętym krwią, która rozlewała się gęstą kałużą wokół jego ciała.

Dobry przyjaciel raduje serce człowieka (łac.). [\[wróć\]](#)

Wizyta przyjaciela jest powodem, żeby się napić (łac.). [\[wróć\]](#)

Francisco de Quevedo, *¡Ah de la vida!* [\[wróć\]](#)

„...wśród bardzo licznych i przykrych uchybień w stosunkach [ludzkich] żadne nie powtarza się częściej niż [właśnie] niewdzięczność”, Lucjusz Anneusz Seneka, *O dobrodziejstwach* [w:] *Pisma filozoficzne*, t. 1, tłum. Leon Joachimowicz, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa 1965, s. 69. [\[wróć\]](#)

Sztuka skończona, klaszcie! (łac.). [\[wróć\]](#)

C-3PO

Omega stanął jak wryty na progu warsztatu. Ja rzuciłem się do chłopaka, powtarzając głośno jego imię. Nie reagował. Leżał nieruchomo.

Dotknąłem dłonią jego szyi i wyczułem puls. Doznałem ogromnej ulgi i znowu mogłem oddychać. Zacząłem obmacywać jego klatkę piersiową w poszukiwaniu rany stanowiącej źródło krwotoku, ale za bardzo trzęsły mi się ręce.

Nagle ktoś zaczął się śmiać.

Obejrzałem się na Omegę. Siedział na taborecie z głową między nogami, wyraźnie męczony mdłościami. Przeniosłem wzrok na twarz Yokaiego.

Mocno zaciskał wargi, próbując powstrzymać śmiech. W końcu jednak nie wytrzymał i wybuchnął donośnym rechotem. Odskoczyłem od niego, jakby prąd mnie kopnął.

– Ale... co, do cholery...?

Yokai wstał z podłogi.

– Nie mogę, stary! Żałujcie, że nie widzieliście swoich min! – wydusił, nie przestając się śmiać. Omega uniósł głowę spomiędzy kolan. Policzki miał blade jak u trupa, a jego wytrzeszczone oczy przypominały dwa baloniki, które lada chwila pękną. Yokai wskazał na niego obiema rękami. – Właśnie! Dokładnie takich!

– Szatanie zatracony... – wykrztusił Omega półgłosem, z trudem łapiąc oddech. – Znowu to zrobiłeś...

– Co? Co znowu zrobił? Co tu się wyprawia?

Yokai nie zwracał na nas uwagi. Podszedł do stołka, na którym supernowoczesny telefon stał wsparty o puszkę red bulla. Chłopak wziął komórkę do ręki i zaczął mówić do jej ekranu jak do kamery.

– Z tej strony Wielki Yok, pozdrawiam wszystkich followersów. Ziomki, koniecznie to wypróbujcie, było zajebiście. – Wyciągnął dłoń z uniesionym kciukiem, a potem schował telefon do kieszeni. – Gotowe. Teraz prosto na YouTube'a. Ale wszyscy się będą jarać!

Złapałem go za koszulkę na piersi, z całej siły się powstrzymując, żeby w jakiś brutalny sposób nie zetrzeć mu z twarzy tego głupawego uśmieszku jak u postaci z kreskówki.

– Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, co to ma znaczyć?

– Ej, spokojnie, stary, okej? To tylko żart... – odparł chłopak z przerażeniem. – To sztuczna krew, widzisz? – Zgarnął kroplę z ubrania i oblizął palec. – Wszystko w porządku, nic mi nie jest.

– Tak, widzę, niestety... Głupi gówniarz.

Wyrwał mi się z wrogim wyrazem twarzy.

– Super, ja też się cieszę, że cię widzę, bucu... Zajebiste maniery, nie ma co.

A może by tak: „Cześć, Nico, kopę lat! Pamiętasz mnie jeszcze? To ja, ten gość, który zwinął się prawie rok temu i od tamtej pory nie raczył się odezwać nawet na pieprzonym WhatsAppie, żeby się dowiedzieć, co u ciebie słychać?”

– Nie zmieniaj tematu, gnojku. Jestem na ciebie zajebiście wkurzony.

– Tak? No to świetnie. – Chłopak odwrócił się ode mnie bez ceregieli i podszedł do Omegi, który ciągle kulił się roztrzęsiony na taborecie. Yokai przykucnął obok i czułym gestem położył mu dłoń na ramieniu. – Przepraszam, Meg, nie chciałem cię tak przestraszyć, serio... Wszystko w porządku?

Jubiler pokiwał głową.

– Tylko napiłbym się teraz trochę wody...

Yokai popędził do kranu, napełnił szklanekę i przyniósł ją jubilerowi. Kiedy ten pił, chłopak przyglądał mu się uważnie z takim wyrazem twarzy, jakby patrzył na chorego szczeniaczka.

– Lepiej?

– Tak... tak...

– Super. Jeśli chcesz, wracaj na górę. Ja tu posprzątam. Przepraszam, strasznie mi przykro, naprawdę. – Chłopak uśmiechnął się nieśmiało. – Tylko teraz ty mi się nie rozchoruj, zgoda?

Mina niewiniątka, które nie skrzywdziłoby nawet muchy, zupełnie rozbroiła jubilera. Omega westchnął ciężko.

– Jestem już na to za stary. *Dimitte illis non enim sciunt quid facit*... Tylko proszę, błagam cię, żebyś mnie więcej tak nie straszył... W tym tygodniu to już piąty raz.

Jubiler wyszedł chwiejnie z warsztatu, kurczowo ściskając w dłoni szklanekę z wodą.

– Uwielbiam, kiedy zaczyna gadać po łacinie. Nic nie czuję, ale brzmi super.

– Powiedział: „Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”¹ – wyjaśniłem sucho.

– Aha, spoko...

Nagle chyba sobie przypomniał, że jest na mnie śmiertelnie obrażony, bo posłał mi mordercze spojrzenie. Potem przyniósł wiadro z mopem i zaczął zmywać sztuczną krew z podłogi, zachowując się tak, jakby mnie tam nie było.

Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku, ale w końcu to ja zdecydowałem się przełamać lody. Uznałem, że nie mam szans w pojedynku na ego z nastolatkiem.

– To jesteś teraz youtuberem, co? – zagadnąłem. – Zostawiłem cię pod opieką dwóch najlepszych fałszerzy dzieł sztuki na świecie, żebyś się czegoś od nich nauczył, a ty marnujesz czas na głupie zabawy?

– To nie zabawy – odwręknął. – Chciałem coś wypróbować.

– Co wypróbować? Metody wywoływania apopleksji u staruszków?

– Nie, kapsułki pociskowe.

– Co?

– Kapsułki ze sztuczną krwią, używają takich przy kręceniu filmów ze strzelaninami. Zresztą sam zobacz. – Wyjął z kieszeni kabel z niedużym przełącznikiem. Kiedy go wcisnął, coś trzasnęło pod jego koszulką, a na materiale zaczęła się rozlewać krwistoczerwona plama. – Widzisz? Kabel przechodzi przez dziurkę w kieszeni spodni

i jest podłączony do zbiorniczka ze sztuczną krwią, który mam przyklejony na piersi. Kiedy naciskam guzik, kapsułka pęka... Jakby trafił mnie pocisk, leci krew... Kapsułki... pocisk... kapsułki pociskowe, czaisz?

– Tak. Bardzo pomysłowe. – Yokai podniósł koszulkę i pokazał mi małe zbiorniczki pełne czerwonego płynu, które przykleił sobie plastrem do skóry. – Czy to są prezerwatywy?

– Tak... No dobra, muszę jeszcze trochę dopracować kapsułki. Próbowałem z balonami, ale pękają. Kondomy z kolei bardziej widać pod ubraniem, ale są wytrzymalsze.

– Świetny sposób na zmarnowanie prezerwatywy.

– Twoja stara też tak powiedziała, che, che. – Yokai wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. Zorientował się jednak, że wcale mi nie jest wesoło, więc znów spoważniał i wrócił do mycia podłogi. – Robię też inne rzeczy, wiesz? To wcale nie głupie zabawy, to... eksperymenty.

– I przy okazji wrzucasz je do sieci?

– Co w tym złego, że się trochę zabawię? To zresztą dobry sposób, żeby sprawdzić, czy moje wynalazki mają ręce i nogi. Ludzie oglądają, oceniają, niektórzy nawet podsuwają mi pomysły na ulepszenia.

Rozejrzałem się dookoła i zauważyłem, że w warsztacie bliźniaków nastąpiły gruntowne zmiany. Najbardziej rzucał się w oczy skomplikowany sprzęt – komputery, ekrany, płatnina kabli. Bliźniacy nigdy nie mieli takiego ustrojstwa, prawdopodobnie nawet nie wiedzieli, jak się to włącza. Z kolei na stole roboczym, dawniej utrzymanym w nienagannym porządku, teraz wały się stosy narzędzi i wybebeszonej elektroniki, stała tam też na wpół ukończona makieta Opactwa Westminsterskiego. Już zapomniałem, że Yokai był zapalonym modelarzem. Podobno w dzieciństwie budował makiety z ojcem.

Zdałem sobie sprawę, że powoli przechodzi mi zdenerwowanie.

– Jak ci tutaj leci? – zapytałem.

– Dobrze... Bliźniacy są trochę stuknięci, ale to porządne ziomki.

– Nauczyłeś się od nich czegoś?

– Paru rzeczy.

– Na przykład?

– Nie wiem. Rzeczy.

Chłopak odstawił mopa i zaczął porządnie układać graty na stole roboczym.

– Skoro już przyjechałem z tak daleka, mógłbyś opowiedzieć mi trochę dokładniej, czym właściwie się zajmujesz.

– Och, tak, przybyłeś z daleka! Dziękuję, stary, serio, to najszcześniejsza chwila w moim życiu, chyba zaraz się popłaczę... Nie, lepiej: padnę ci do stóp, a potem zrobię ci zdjęcie i każdego wieczoru będę chował je pod poduszkę.

– Za co mi się tak dostaje?

– A za kogo ty się uważasz? Zapomniałeś o mnie, jak tylko zwiąłeś do Francji, nawet nie odpisałeś mi na żadnego mejla, a teraz nagle zjawiasz się nie wiadomo skąd i zaczynasz mi prawić kazania, jakbyś był... nie wiem... moim ojcem czy co. Nie jesteś nim, więc daj mi spokój.

– Ej, słuchaj, niewdzięczny szczyłu, a myślisz, że kto ci to wszystko załatwił?

– Enigma.

– Ja też miałem w tym udział, wiesz?

– Tak, ale ona przynajmniej się mną interesowała przez cały ten czas, a ty mnie totalnie olałeś. – Zaczął się bawić śrubokrętem, unikając mojego wzroku, z zaciekle wyrazem twarzy. – Mogłeś się czasem odezwać, nie? Coś napisać, krótką wiadomość, raz na miesiąc... albo i rzadziej. Ale nie, nawet tego. Gównu cię obchodziło, co się ze mną dzieje.

– To nieprawda... To nie ma nic wspólnego z tobą. – Chłopak westchnął sceptycznie. – To nie ciebie chciałem zostawić, tylko... to wszystko, musiałem zacząć od zera. Poza tym byłem pewny, że Enigma dobrze się tobą zajmie.

– Tak? No to mam dla ciebie wiadomość z ostatniej chwili, stary: ona też się ulotniła.

– Nie tak to zaplanowaliśmy. – Wyrwało mi się przygnębione westchnienie. – Przykro mi. Masz rację. Wybacz, powinienem był wcześniej się zainteresować, co u ciebie słychać. Przepraszam.

Yokai otarł nos wierzchem dłoni.

– Nic nie szkodzi.

– Ale swoją drogą nie mam wrażenia, żebyś tkwił w piekle – dodałem pojednawczym tonem. – Dobrze się dogadujesz z bliźniakami, możesz pracować nad swoimi projektami. Te kapsułki ze sztuczną krwią to naprawdę... genialny pomysł. I przyznaję, że mina Omegi, kiedy zobaczył cię wyciągniętego na ziemi, faktycznie była dość zabawna. – Chłopak ciągle nie chciał na mnie spojrzeć, ale zauważyłem na jego ustach cień uśmiechu. – Ale następnym razem spróbuj aż tak go nie straszyć, zgoda? Bo jeszcze będziesz musiał z nim jechać do szpitala i na izbie przyjęć okaże się, że legitymację ubezpieczeniową ma wypełnioną po łacinie.

Yokai wreszcie się rozchmurzył.

– Taa – stwierdził. – Albo po starogrecku...

– Albo hieroglifami.

– Nie, to na pewno kawał kamienia z rysunkami bizonów i ziomków z włóczniami.

– A w rubryce „miejsce urodzenia” wpisał: „Pangea”.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Potem jednak Yokai w milczeniu wrócił do sprzątanego stołu roboczego. Nie wyglądał już na obrażonego, sprawiał wrażenie nieco smutnego.

– Enigma ciągle wierzyła, że wrócisz – powiedział. – Kiedy się na ciebie wkurzałem, powtarzała: „Spokojnie, prędzej czy później się tu zjawi, tak naprawdę wcale nie odszedł, tylko sam jeszcze o tym nie wie, musi to odkryć”... To brzmi trochę dziwnie, co nie?

– Tak, ale w sumie... Ona też jest trochę dziwna. Wiesz, gdzie teraz jest?

– Podała mi adres, mam też jej mejla, ale to tylko dla mnie. Prosiła, żebym nikomu ich nie przekazywał.

Kiedy to usłyszałem, poczułem się nieco zawstydzony. Enigma najwyraźniej dużo lepiej niż ja potrafiła sprawić, żeby Yokai poczuł się doceniony i szanowany. Nic dziwnego, że chłopak był do niej tak mocno przywiązany.

Teoretycznie to ja powinienem lepiej rozumieć Yokaiego, biorąc pod uwagę, jak podobne mieliśmy doświadczenia. A wyszło na to, że zawiodłem go dokładnie tak samo, jak mnie w jego wieku zawiodło otoczenie. Uznałem, że najwyższa pora zacząć naprawiać niektóre błędy, które w stosunku do niego popełniłem.

– Zamierzam trochę tu zostać – powiedziałem. – Może wykorzystamy ten czas, żebyś na spokojnie mi opowiedział, czym się zajmowałeś, omówimy twoją przyszłość, plany, projekty...

– Pogadamy też o tym, jak mógłbym wstąpić do Narodowego Korpusu Poszukiwaczy?

– Obawiam się, że przynajmniej na razie ta sprawa jest nieco skomplikowana. – Przez twarz chłopaka przemknął cień rozczarowania. – Ale nie martw się, coś wymyślimy.

Pokiwał głową. Skończył porządki i poszedł do łazienki, żeby – jak powiedział – zmienić koszulkę; ta, którą miał na sobie, była cała podziurawiona i pokryta czerwonymi plamami. Skorzystałem z okazji i wróciłem na górę do sklepu, żeby sprawdzić, jak się trzyma Omega. Nie byłem pewny, czy biedny złotnik nie zszedł jednak w końcu na zawał.

Na szczęście był cały i zdrowy. Błady, ale żywy. Kiedy wynurzyłem się z piwnicy, zgromił mnie wzrokiem.

– Wiesz, co powiedział kiedyś Seneka? – zapytał.

– Na pewno coś po łacinie.

– *Praeceptores suos adulescens veneratur et suspicit*². Nie powinni natomiast sobie z nich dworować i rozgłaszać swoich hultajstw w internecie.

– W czasach Seneki nie było jeszcze youtuberów. – Usiadłem na sfatygowanym krześle, a jubiler ściereczką glansował ladę na wysoki połysk. – Skoro tyle z nim macie problemów, to czemu go nie wyrzuciliście ze stażu?

Omega przestał pucować i westchnął ciężko.

– Sęk w tym, że to wcale nie jest zły chłopak. Chaotyczny, ale działa w *bona fides*³. Poza tym jest inteligentny, i to bardzo, co do tego nie mam wątpliwości. Na przyszłość powinien jednak zachowywać się nieco rozsądniej. Mamy z bratem bardzo niewiele tolerancji dla cudzych błędów.

– Owszem, za to bardzo wiele dla swoich.

– Do czego pijesz?

– Do pewnego manuskryptu, który przypadkiem znalazłem, a któremu lekkomyślni bliźniacy pozwolili się dostać w ręce pozbawionego skrupułów Francuza.

Błada twarz Omegi pokryła się szkarłatem. Jubiler zwiesił głowę i udawał, że całą jego uwagę pochłania jakaś plama na kontuarze.

– Kto ci o tym powiedział?

– Spotkałem się w Londynie z Bańką.

– Ach, oto i Prawda, rzuca się na mnie i potykam się o nią⁴... A więc dlatego postanowiłeś złożyć nam wizytę.

– Między innymi.

– Cóż, możesz oszczędzić sobie wyrzutów, Bańka już udzielił nam reprymendy.

*Errare humanum est*⁵.

– *Sed in errore perseverare dementia*⁶ – skontrowałem, sięgając po broń z jego własnego arsenału. – Dlaczego nikomu nie powiedzieliście, że Rosignolli ukradł rękopis?

– Bo nie wiedzieliśmy! Wierzyliśmy, że prędzej czy później nam go zwróci. Dennis Rosignolli jest jednym z najlepszych i najbardziej renomowanych paleografów na świecie, cieszy się powszechnym szacunkiem, jak moglibyśmy podejrzewać, że chce nas okraść?

– W porządku, uspokój się. Nie chcę ci prawić kazań, domyślam się, że Bańka już to za mnie załatwił.

Omega skrzywił się z niesmakiem.

– Owszem. Nie przebierając w słowach. Ten chłopak bywa bardzo srogi.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy macie jeszcze zachowane skany tekstu.

– Tylko kilka, te, które wysłaliśmy kiedyś Rosignollemu. Szkoda, że nie wpadliśmy na to, żeby na wszelki wypadek zeskanować całość – przyznał zawstydzony jubiler.

– Bańce... udało się go odzyskać?

– Powiedzmy, że nad tym pracuje.

– Oby Bóg mu sprzyjał. To bezcenne dzieło, zasługuje na uważne przestudiowanie... Największy problem w tym, że oprócz Rosignollego nie przychodzi nam do głowy nikt, kto mógłby się podjąć przekładu.

– Przynajmniej w tym zakresie zrobiliśmy postępy. Rozmawiałem z naszym uczonym złodziejem, twierdzi, że tekst napisano alfabetem mezogockim.

– Mezogocki! To świetna wiadomość!

– Dlaczego?

– Skoro wiemy, jaki to język, nie potrzebujemy żadnego tłumacza, sami możemy dokonać przekładu.

– Jak? Przecież jeszcze niedawno nawet nie umieliście zidentyfikować języka, dlatego wysłaliście rękopis Rosignollemu.

– Ach, ale wtedy nie posiadaliśmy jeszcze niezwykle cennego narzędzia, które obecnie pozostaje do naszej wyłącznej dyspozycji.

– A cóż to za narzędzie?

Omega z tajemniczym wyrazem twarzy wskazał na schodki wiodące do warsztatu.

– Twoja młoda dickensowska sierota – odparł. – Yokai nam to przetłumaczy. On już wie jak.

Yokai zasiadł w warsztacie przed monitorem komputera. Ja i Omega stanęliśmy mu za plecami i obserwowaliśmy jego poczynania. Osobiście ledwo kryłem sceptycyzm; z kolei jubiler zachowywał się niczym podekscytowany widz, który lada moment zobaczy, jak magik na scenie przecina na pół asystentkę.

Na ekranie pojawiła się tapeta z Simpsonami upozowanymi na Beatlesów z okładki albumu *Abbey Road*. Zdjęcie przesłaniały dziesiątki ikonek, które wypełniały całą dostępną przestrzeń. Nawet pulpit komputera odzwierciedlał ogólny chaos rządzący życiem Yokaiego.

Uważnie przyjrzałem się ikonom. Oprócz programów, które można znaleźć

w każdym porządnie wyposażonym komputerze, była tam również cała masa innych, których nie rozpoznawałem – większość w formie postaci z kreskówki i z dziwnymi nazwami typu „SpiderSpeed”, „FuckApple” czy „Killing-Mickey-Mouse”; trudno sobie wyobrazić, jakiego rodzaju programy mogły uruchamiać.

Yokai najechał kursorem na ikonkę przedstawiającą głowę jednego z droidów z *Gwiezdnych wojen* – złocistego pedanta, nieodłącznego towarzysza małego R2-D2.

– A to niby co? – zapytałem.

– To C-3PO – odparł Yokai.

– Wiem, robota poznaję, ale chciałbym wiedzieć, jaki program otwiera.

– Tak się właśnie nazywa ten program: „C-3PO”, sam go tak nazwałem. – Yokai obrócił się na krześle w moją stronę. – Stary, nie oglądałeś tego filmu? „Jestem C-3PO, kontakty ludzie–roboty; władam biegle ponad sześcioma milionami form komunikacji”... Przecież to klasyka!

– Z tego, co zrozumiałem, to postać z jakiegoś filmu science fiction – powiedział Omega.

Yokai z niedowierzaniem wpatrywał się to we mnie, to w jubilera.

– Jest tłumaczem – oznajmił takim tonem, jakby przemawiał do dwójki niezbyt bystrych dzieci. – A ten program tłumaczy, tak jak C-3PO, dlatego nadałem mu taką nazwę... Serio, co jest z wami nie tak?

Zabolało mnie, że Yokai oceniał moją znajomość popkultury na taki sam poziom jak u Omega, który uważał Instagram za markę kawy rozpuszczalnej. Nastolatki bywają okrutne.

– No dobrze, to program tłumaczeniowy – burknąłem. – I co w nim takiego wyjątkowego? W internecie są ich setki, zwykle dostępnych za darmo.

– Nie takich jak ten, przyjacielu – odparł chłopak. – Zobacz sam.

Obok komputera leżał stos książek. Yokai wybrał z niego dość opasłe tomiście, otworzył na chybił trafił i położył wnętrzem do dołu na szybko skanera podłączonego do komputera. Po uruchomieniu skanera na ekranie monitora pojawiło się zdjęcie tekstu z księgi – strona ciasno zapisana alfabetem greckim.

– Co to jest? – zapytałem.

– Mój egzemplarz Biblii trójjęzycznej – wyjaśnił Omega. – Jeśli się nie mylę, to akurat fragment Księgi Wyjścia po starogrecku, z Septuaginty.

– Nie chce mi się wierzyć, że rozpoznajesz coś takiego na pierwszy rzut oka, a nie masz pojęcia, kto to C-3PO – wymamrotał Yokai.

Chłopak uruchomił swój program tłumaczeniowy i załadował skan greckiego tekstu do okna, które pojawiło się na ekranie. Po kilku sekundach otworzyło się nowe okno, w którym widniał tekst po hiszpańsku. Omega przeczytał na głos pierwszą linijkę:

– „Gdy Mojżesz pasał owce swego teścia, Jetry, kapłana Madianitów, zaprowadził pewnego razu owce w głąb pustyni i przyszedł do góry Bożej Horeb”²... Tak, to z grubsza całkiem poprawne tłumaczenie.

Yokai uśmiechnął się z dumą od ucha do ucha i spojrzał na mnie.

– No i co? Czy mój C-3PO nie jest totalnie zajebisty?

Przyznaję, że zrobił na mnie wrażenie. Trochę.

– Możesz tym ustrojstwem tłumaczyć teksty z greki? Jeśli tylko masz skan tekstu?

– Z greki klasycznej i łaciny, a oprócz tego z arabskiego, rosyjskiego, sanskrytu i japońskiego. Do tego z popularniejszych języków, na przykład angielskiego, francuskiego, niemieckiego, portugalskiego... W sumie z ponad trzydziestu. Teraz próbuję załadować hebrajski, ale to jakaś masakra, ciągle nie mogę dojść do ładu z algorytmami.

– Ale... ty przecież nie znasz tych wszystkich języków – powiedziałem, chociaż zaczynałem podejrzewać, że Yokai ma w zanadrzu jeszcze wiele niespodzianek.
– Prawda...?

– Nie, no pewnie, że nie. Znam tylko angielski, i to słabo, ale nie potrzeba znajomości języków, żeby stworzyć program tłumaczeniowy. Wystarczy znać odpowiedni język programowania, a w tym to akurat wymiatam. – Yokai pociągnął łyk red bulla z puszki, którą jak zwykle miał pod ręką. – Mówiłem ci przecież, że nie marnowałem czasu.

– To niebywały artefakt – stwierdził Omega. – Brak mi słów, aby wyrazić, jak przydatny okazał się w naszej pracy.

– Ile czasu zajęło ci napisanie programu?

– Zajmuję się tym praktycznie od początku stażu. To bliźniacy niechący podsunęli mi ten pomysł. Zobaczyłem kiedyś, jak tłumaczyli jakieś tekścisko, trwało to sto lat, musieli co chwilę zaglądać do miliarda słowników i gramatyk. Pomyślałem sobie: „Kurde, musi być jakiś sposób, żeby zrobić to szybciej”. No i oczywiście jest.

– Jak to działa?

– Tak naprawdę to strasznie proste, oparte na algorytmach i statystykach... Potrzeba tylko porządnej bazy danych, a nie ma lepszej niż internet.

– Mógłbyś zaprogramować go do tłumaczenia jakiegokolwiek języka?

– Tak, jeśli znalazłbym w sieci przykłady tekstów w tym języku przetłumaczonych już na inny język, wszystko jedno jaki, to akurat nie ma znaczenia.

– Nawet gdyby chodziło o język martwy, nieużywany od wieków? – dopytywałem.

– A czemu nie? Sam widziałeś, jak świetnie działa w przypadku klasycznej greki.

– Yokai poklepał czule obudowę komputera. – To cudeńko rozszyfruje ci nawet Kodeks Hammurabiego, jeśli tylko wprowadzisz odpowiedni algorytm. Ale, powtarzam, to musi być język, który już kiedyś przetłumaczono. Nie zapominaj, że C-3PO nie myśli samodzielnie, wykorzystuje tylko statystyki i pamięć, ale wcześniej trzeba mu coś wrzucić do tego blaszanego łba.

Zaczynałem dopuszczać możliwość, że program Yokaiego zdoła odszyfrować alfabet mezogocki. W końcu ten system pisma, choć niezbyt popularny, był w gruncie rzeczy całkiem prosty. Co więcej, wcześniej już wielokrotnie tłumaczono teksty napisane w tym języku.

Razem z Omegą wyjaśniliśmy Yokaiemu, co to jest alfabet mezogocki i dlaczego potrzebujemy tego programu. Chłopak wysłuchał nas w skupieniu, od czasu do czasu tylko kiwając głową.

– Okej – powiedział w końcu, w zamyśleniu przeciągając głoskę „e”. – Myślę, że to się da zrobić. Ale to będzie wymagało czasu. C-3PO potrzebował ładnych paru tygodni,

żeby nauczyć się greckiego, a obawiam się, że to nie będzie prostsze zadanie.

– A ile godzin tygodniowo poświęcałeś na pracę nad programem? – zapytałem.

– Nie wiem, parę godzin od czasu do czasu, w wolnych chwilach.

– W takim razie od tej pory będziesz miał dużo więcej wolnych chwil i wszystkie je poświęcisz na wykonanie zadania, które ci właśnie zleciliśmy.

– Hej, to nie fair! A co z prawami pracownika?

– *Omnia vincit labor improbus*⁸ – oznajmił Omega.

– Co on powiedział?

– Że jeśli chcesz zostać Poszukiwaczem – odparłem – to lepiej nie ruszaj tyłka sprzed komputera, dopóki twój C-3PO nie będzie tłumaczył wizygockiego jak toledański droid z XI wieku.

Wydaje mi się, że Yokai jasno zrozumiał polecenie.

Nadeszła pora zamknięcia zakładu jubilerskiego. Puściliśmy Yokaiego do domu, a ja zostałem z Omega, pomogłem mu ogarnąć sklep i przygotować wszystko na następny dzień. Wydawało mi się nie w porządku pozwolić, żeby stary jubiler zajmował się wszystkim sam; bez bliźniaka u boku sprawiał wrażenie słabego i bezbronnego. Biedny Omega raz po raz ukradkiem rozglądał się dookoła, jakby go szukał, często też urywał wypowiedzi w pół zdania, ale potem przypominał sobie, że przecież Alfa ich za niego nie dokończy.

W końcu wyszliśmy na ulicę. Zapadł już zmrok.

– *Nox atra cava circumvolat umbr*⁹ – powiedział Omega z melancholią. – To był bardzo długi dzień, długi i pełen wrażeń. Ale zarazem owocny, bez dwóch zdań. Przez chwilę poczułem się nawet jak za dawnych czasów, zanim Alzaga uczynił z nas owdowiały oręż.

– Owdowiały oręż?

Jubiler milczał przez chwilę, czekając, aż wtrąci się ktoś, kogo z nami nie było. Nie doczekał się jednak i musiał sam dokończyć myśl.

– „Owdowiały oręż, bez pana/stroi się w żałobną odwagę/skromne, lecz nieugięte i waleczne drzewce”¹⁰ – wyrecytował. – Prędzej czy później ktoś jednak będzie musiał nas znowu dobyć. Może twój powrót stanowi jakiś znak. Może...

Czekałem, aż dokończy, ale tego nie zrobił. Jubiler najwyraźniej głęboko pograżył się w rozmyślaniach.

– Omega, mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało, przyjacielu, słucham cię uważnie.

– Znałeś Poszukiwacza zwanego Piorunem?

Wąsy jubilera wygięły się w nieznacznym uśmiechu.

– Ach, czyli już wiesz...

– Co, według ciebie, wiem?

– Że Piorun był twoim ojcem. Ktoś musiał ci o tym powiedzieć, w innym wypadku nie pytałbyś mnie teraz o jakiegoś Poszukiwacza, który już tak dawno temu nas opuścił.

– Odnoszę wrażenie, że wszyscy świetnie się orientują w tej sprawie, oprócz mnie – stwierdziłem nieco zirytowany. – Nigdy nie przyszło wam do głowy, żeby mi o tym

powiedzieć?

– Narváez nam zabronił, zamierzał zrobić to osobiście. Niestety, przedwczesna śmierć mu to uniemożliwiła. Powiedz mi, najdroższy przyjacielu, jak się o tym dowiedziałeś.

– Bańka mi powiedział.

– Ach, rozumiem. Tak, to ma sens... Narváez darzył go wielkim zaufaniem, wierzył weń ślepo, jak to mistrz w ucznia. Cieszę się, że nareszcie o wszystkim wiesz, nie przepadamy za ukrywaniem tego typu sekretów. – Jubiler mocniej zawiązał szalik pod szyją, żeby ochronić się przed zimnem. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak, znaleźliśmy Pioruna. Znaleźliśmy go i żywiliśmy dla niego szacunek. To był dobry człowiek.

– Naprawdę?

– Tak uważam. Najlepszy Poszukiwacz, jakiego poznaliśmy... Chociaż muszę przyznać, że i ty dokonałeś spektakularnych czynów. Wielka szkoda, że Pioruna nie ma już wśród nas, byłby z ciebie bardzo dumny.

– Miło mi... – Musiałem przerwać. Głos mi drżał. Wciągnąłem powietrze przez nos i spróbowałem jeszcze raz: – Miło mi to słyszeć.

– Żałujemy, że nie pamiętamy go lepiej, ale... minęło tyle czasu! Przewinięło się tu tylu Poszukiwaczy! Mieliśmy z bratem okazję poznać wielu z was, a zbyt wielu spotkał marny los, tak jak twojego ojca.

– Zginął podczas misji, prawda?

– Tak, chociaż w tej chwili nie pamiętam gdzie. Chyba w Azji czy... Nie, może to było w Ameryce Południowej, nie jestem pewien.

– Słyszałem, że ktoś go zdradził – powiedziałem, starając się nie okazywać emocji.

– Czyżby? Pierwsze słyszę, ale ta pogłoska jest równie zaskakująca, jak przerażająca... Trudno mi uwierzyć, że Narváez mógłby o tym wiedzieć i nie podjąć w związku z tym żadnych kroków.

– Myślałem, że może ty i Alfa wiecie coś na ten temat.

– Drogi Tirso, ani ja, ani mój brat nie jesteśmy Poszukiwaczami. Jesteśmy niczym niezmordowani kowale ze Svartalheimu, wytwarzamy artefakty bogów Walhalli, ale nie mieszamy się w ich sprawy w zakresie większym niż to konieczne. – Jubiler obdarzył mnie nieśmiałym, przepraszającym uśmiechem. – Nie wiem, jakich informacji na temat ojca poszukujesz, przyjacielu, ale obawiam się, że pytasz nieodpowiednią osobę.

Musiałem przyznać Omedze rację. Z czasów służby w Korpusie pamiętałem, że bliźniacy nigdy nie odwiedzali Piwnicy. Kontakty jubilerów z Poszukiwaczami były sporadyczne, a współpraca zawsze ograniczała się do konkretnej misji. Trudno, żeby znali szczegóły jakiejś naszej wewnętrznej plotki.

– A mówi ci coś pseudonim Hełm? Należał do jakiegoś Poszukiwacza, przyjaciela ojca.

– Możliwe... W tamtych czasach w Korpusie służyło wielu agentów. To imię... Hełm... Tak, brzmi znajomo, ale nie jestem pewny, czy dobrze go pamiętam. Podejrzewam, że nie należał do najwybitniejszych Poszukiwaczy.

Zadałem mu jeszcze kilka pytań, ale Omega nie udzielił mi żadnych przydatnych odpowiedzi. Już w tamtych czasach wiedział niewiele, a od tej pory sporo zapomniał albo

pamiętał wyłącznie oderwane fragmenty. W końcu pożegnałem się z nim i spacerem wróciłem do wynajmowanego mieszkania.

Miałem dużo spraw do przemyślenia: Hełm i śmierć ojca, manuskrypt mezogocki i postępy Bańki i Lacombe w Londynie, miejsce przebywania Danny, Yokai i jego niepewna przyszłość w Narodowym Korpusie Poszukiwaczy... Nie wspominając o mojej karierze w Interpolu, która coraz mniej mnie pociągała.

Wśród tych wszystkich trosk znalazło się też oczywiście miejsce dla matki. Martwiłem się jej stanem zdrowia, a także – przede wszystkim – faktem, że Voynich nagle zaczął się nią interesować. To nie mogło wróżyć niczego dobrego.

Za najpilniejsze zadanie uznałem zbadanie planów Voynicha i Projektu Lilith oraz ustalenie, dlaczego Davidowi Yoonahowi tak zależało na zdobyciu jakiegoś wizygockiego rękopisu.

Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie łatwo, ale chyba wiedziałem, jak zacząć śledztwo. Zamierzałem zabrać się do tego z samego rana, po porządnie przespanej nocy – bardzo potrzebowałem odpoczynku.

Łk 23,34. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)

Młodzi ludzie powinni traktować swoich mistrzów z szacunkiem i czcią (łac.). [\[wróć\]](#)

Dobrej wierze (łac.). [\[wróć\]](#)

Jorge Guillén, *Más verdad*. [\[wróć\]](#)

Błądzić jest rzeczą ludzką (łac.). [\[wróć\]](#)

Ale tylko głupiec trwa w błędzie (łac.). [\[wróć\]](#)

Wj 3,1. [\[wróć\]](#)

Ustawiczna praca wszystko zwycięża (łac.). [\[wróć\]](#)

Noc mroczna roztacza wkrąg cienie (łac.) [w:] Wergiliusz, *Eneida*, tłum. ks. Tadeusz Karyłowski. [\[wróć\]](#)

Francisco Quevedo, *Epitafio del Duque de Osuna, con sus armas*. [\[wróć\]](#)

WOTAN

Silvia była moją dawną dziewczyną z czasów studenckich. Historia naszego związku przypominała wyścig, którego uczestnik na samym początku biegnie ile sił w nogach, ale już w połowie dystansu odpada wykończony i bez tchu w płucach. Słowem – nic szczególnego. Mimo to zawsze ciepło o niej myślałem.

Na krótko przed moim wstąpieniem do Narodowego Korpusu Poszukiwaczy znowu spotkaliśmy się z Silvią. Jednorazowy seks, bez komplikacji i zobowiązań. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to tylko nic nieznaczący epizod zwykłej nostalgii.

Pewnie nie wracałbym myślami do tej sprawy, gdyby nie to, że wkrótce potem Silvia przeprowadziła się do Stanów, ponieważ dostała pracę w siedzibie Voynicha przy tak zwanym Projekcie Lilith.

Kiedy ta międzynarodowa korporacja stała się dla mnie niewyczerpanym źródłem problemów – wynajmowanie płatnych zabójców, żeby poderżnęli mi gardło w moim własnym domu, i takie tam – próbowałem skontaktować się z Silvią, ale bez skutku. W nowej pracy nie odpisywała na moje mejle ani nie odbierała telefonów, nie udało mi się też znaleźć nikogo, kto mógłby mi pomóc ją namierzyć. Silvia przepadła jak kamień w wodę.

Teraz jednak, kiedy poznałem kolejne diaboliczne szczegóły działalności Voynicha, uznałem, że warto spróbować odszukać byłą dziewczynę.

Minęły już dwa lata, od kiedy ostatnio usiłowałem się do niej dodzwonić. Może w tym czasie Silvia wróciła do Madrytu, może już nawet nie pracowała w Voynichu... A może to ona była mózgiem całej operacji, osobiście stała za przemyślnymi planami korporacji i licznymi próbami pozbawienia mnie życia (mało prawdopodobne, ale nie należy lekceważyć urażonej dumy byłej)... Nie wiem, ale tak czy inaczej nadal miałem jej numer, więc co mi szkodziło spróbować znowu do niej zadzwonić?

Tak też zrobiłem, zresztą bez większych nadziei na sukces. Toteż kiedy Silvia odebrała praktycznie od razu, w pierwszej chwili poczułem raczej zaskoczenie niż radość.

Bardzo się ucieszyła z mojego telefonu – odniosłem wrażenie, że szczerze – więc szybko odrzuciłem opcję, że przez ostatnie dwa lata knuła intrygi mające na celu wykończenie mnie i Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Powiedziała, że jest w Madrycie (łut szczęścia) i że oczywiście bardzo chciałyby się ze mną spotkać... Kiedy? Może nawet już dziś, moglibyśmy pójść razem na obiad... Tak, pewnie, nie ma problemu, ja wybiorę miejsce. Miłe spotkanie starych znajomych, pogaduszki o tym, jak leci i co porabiają. Chociaż osobiście nie zamierzałem zbyt szczegółowo się rozwodzić nad tym ostatnim.

Oboje przepadaliliśmy za kuchnią japońską, więc zdecydowałem się na małą azjatycką restaurację przy placu Luna, w której często bywaliśmy jeszcze jako para. Punktualnie o drugiej siedziałem już przy stoliku i czekałem na Silvię. Zjawiła się parę

minut później.

Nie sama – ktoś jej towarzyszył. Łysy i niewysoki, wystrojony w pajacyk ze SpongeBobem i wygodnie rozparty w wózku. Miał różową buzię nakrapianą uroczymi piegami, takimi jak te zdobiące nos Silvii. Na ten widok domyśliłem się, że moja eks dołączyła do Klubu Kobiet Fetowanych w Dniu Matki.

Faktycznie, to był jej syn. Skończył półtora roku. Przyznaję, że w przyływie paniki zacząłem dokonywać gorączkowych obliczeń, ale Silvia powiedziała, że ojcem chłopca jest przystojny informatyk, inżynier z New Jersey imieniem Andrew. Cieszyłem się z jego szczęścia. Miał niezwykle atrakcyjną żonę i bardzo sympatycznego malucha.

– Nie masz nic przeciwko temu, że z nim przyszłam, prawda? – zapytała Silvia, wskazując na małego wielbiciela SpongeBoba. – Miał zostać z moją matką, ale nagle dostała ataku migreny, a ja nie chciałam odwoływać naszego spotkania, bardzo chciałam się z tobą zobaczyć.

– Nie ma sprawy, będzie więcej osób do podziału przy płaceniu rachunku.

– Śmieję się, śmieję, on by nam mógł postawić obiad. Ma naprawdę nadzianego ojca – zażartowała.

– No tak, Andrew, inżynier informatyk... Poznaliście się w Stanach?

– Tak, niedługo po mojej przeprowadzce. Miałam chłopaka w Madrycie, ale nic z tego nie wyszło. Uwierz mi: to prawda, co mówią o związkach na odległość, nigdy nie wypalają. Zwłaszcza jeśli ktoś ma taką pracę, jaką ja wtedy miałam.

– Miałaś? – zapytałem. – Mówisz o tej posiadzie w Voynichu? Już dla nich nie pracujesz?

– Nie, i bardzo się z tego cieszę. Odeszłam miesiąc temu, skorzystałam z okazji, że Andrew trafiła się niezła oferta pracy tutaj, w Madrycie, dla Microsoftu. Biedny ciągle ma wyrzuty sumienia, bo myśli, że pokrzyżował mi plany, ale serio, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo już miałam dość tamtego miejsca.

– Dlaczego? Coś z nim było... nie tak? – spytałem niby nonszalancko.

– Żebyś wiedział... Ale nieważne, zmienmy temat. Chcę się dowiedzieć, co robiłeś przez cały ten czas, z najdrobniejszymi szczegółami.

Musiałem pozwolić jej pokierować rozmową, nie chciałem zbyt natarczywie dopytywać o Voynicha, bo stałoby się jasne, że spotkałem się z nią tylko po to, żeby przepytać ją na tę okoliczność.

Tak więc przez następne pół godziny opowiadałem jej bajki, relację z ostatnich kilku lat życia sfabrykowaną w całości w drodze z mieszkania do restauracji. Moja zmyślona historia była tak nudna, że udało mi się usnąć dziecko.

Potem przyszedł czas na snucie wspomnień o starych, dobrych czasach i wspólnych znajomych. Zacząłem zazdrościć małemu drzemki. Kończyliśmy już z Silvią drugie danie, a ja nadal nie zdołałem sprowadzić rozmowy na Voynicha.

Udało mi się dopiero przy deserze, kiedy wszystkie inne tematy można było uznać za wyczerpane. Dziewczyna w końcu zdecydowała się powiedzieć coś więcej o byłej pracy, której nie wspominała zbyt dobrze.

– To było dziwnie podejrzane miejsce – stwierdziła. – W oddziale w Madrycie było jakoś normalniej... Ale kiedy przyjechałam do Kalifornii, to jakbym trafiła do

zupełnie innego świata.

Jak wszyscy pracownicy pewnego szczebla musiała zamieszkać w ogromnym kompleksie Voynicha w Sunnyvale w Kalifornii. Miniaturowe miasto z budynkami mieszkalnymi, centrami handlowymi, terenami zielonymi... Wszystkim, co niezbędne do komfortowego życia. Nie brzmiało to wcale tak źle.

Problem w tym, że dostęp do tych wspaniałych obiektów podlegał absolutnej kontroli korporacji. Nie dość, że zabraniano wstępu osobom spoza Voynicha, to, co gorsza, samym pracownikom niełatwo było wydostać się na zewnątrz. Potrzebowali specjalnych przepustek wydawanych na podstawie mętnych procedur, a załatwienie sprawy wymagało tyle zachodu i papierkowej roboty, że większości zatrudnionych nie chciało się użerać z biurokracją. Silvia przyznała, że kompleks Voynicha był świetnie urządzony, więc tak naprawdę mało kto chciał go opuszczać, ale z drugiej strony nieraz odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że właściwie tkwi zamknięta w złotej klatce.

Dziewczyna jednak prawie o tym nie myślała. Każdą chwilę zajmowała jej praca. Spędzała długie godziny w biurze, otoczona – owszem – najróżniejszymi udogodnieniami oraz współpracownikami z całego świata, sympatycznymi i bardzo interesującymi ludźmi. Powierzano jej rozmaite zadania, ale zawsze miały jakiś związek z mecenatem kulturowym.

Voynich był młodą firmą, która zbiła fortunę na rozwoju oprogramowania. Ich produkty szybko i bez większego problemu zdystansowały konkurencję. W każdej sekundzie, o każdej porze dnia i nocy miliony ludzi na całym świecie używały jakiegoś programu Voynicha. Nieogarniona sieć pokrywająca cały glob.

Według Silvii korporacja postanowiła przeznaczyć część dochodów na projekty kulturalne i działalność filantropijną. Jeden z takich projektów znany był pod nazwą Projekt Lilith.

– Dlaczego Lilith? – zapytałem.

– Nie wiem. Nikt nam nigdy tego nie powiedział.

– A czego ten projekt dotyczył?

Silvia twierdziła, że był to ambitny program mecenatu artystycznego obejmujący różne obszary: wsparcie twórców, promocję kultury, restaurację obiektów dziedzictwa historycznego... Angażowali się na całym świecie. Projekt Lilith przekazał fundusze dla Opery w Sydney, pokrywał koszty otwarcia galerii sztuki w Rio de Janeiro, pomagał odrestaurować zrujnowane zamki w Irlandii, finansował wykopaliska archeologiczne w Nowym Meksyku... Projektów było sporo i każdy z innej parafii, nie sprawiało to wrażenia dobrze obmyślanego planu, lecz raczej nagłego ataku bulimii kulturowej.

Kiedy tego słuchałem, przypomniła mi się stara baśń o królewnie, która wyczuła ziarnko grochu przez całą stertę materaców. Wszystkie te monumentalne projekty, o których opowiadała mi Silvia, zdawały mi się po prostu puchowymi pierzynami. Miałem przecucie, że gdzieś pod spodem tkwiło ziarnko, maleńka grudka, czarna i trująca, która stanowiła źródło wszystkich moich problemów.

Z początku Silvia była zadowolona. Nieźle zarabiała, pracowała na dobrych warunkach i w przyjemnym otoczeniu, zajmowała się ciekawymi rzeczami. Potem jednak coś zaczęło się dziać.

Silvia coraz częściej zauważała nieprawidłowości w niektórych projektach, a konkretnie w tych dotyczących wykopalisk archeologicznych i prac konserwatorskich. W ich budżetach zapisano wysokie kwoty na rzecz spółki córki Voynicha pod nazwą Wotan; teoretycznie była to prywatna firma ochroniarska.

Kolega Silvii odkrył jednak, że Wotan widnieje na liście PMC publikowanej przez rząd Stanów Zjednoczonych. PMC (od angielskiego *private military company*) to prywatne firmy paramilitarne, najemne armie kontrolowane przez rady nadzorcze, bardzo aktywne w takich krajach, jak Rosja, Wielka Brytania czy Izrael. W Stanach Zjednoczonych, gdzie PMC występują powszechnie, operują na podstawie oficjalnej zgody Pentagonu, choć niektóre – nieliczne – zaczynają działać na własną rękę, wykorzystując luki prawne. Wotan najwyraźniej należał do tej grupy.

Wydawało się dziwne, że Voynich zatrudnił PMC przy wykopaliskach archeologicznych, więc kolega Silvii zaczął drążyć temat. Zadawał pytania, grzebał w archiwach, spotykał się z różnymi ludźmi... Wkrótce facet przepadł bez śladu. Firma twierdziła, że został zwolniony, ale zaczęły krążyć plotki, jakoby jego rodzina nic na ten temat nie wiedziała. Tak czy inaczej, ani Silvia, ani żaden z jej współpracowników już nigdy chłopaka nie zobaczyli.

Jakiś czas po zniknięciu kolegi Silvia trafiła na projekt realizowany przez Voynicha w Hiszpanii. Chodziło o restaurację jakiegoś kościółka z epoki Królestwa Asturii. Voynich zgłosił się na ochotnika do lokalnych władz i zaoferował pokrycie kosztów renowacji świątyni z funduszy Projektu Lilith, bez konieczności angażowania środków publicznych. Władze wspólnoty autonomicznej bez wahania przystały na propozycję.

Uwagę Silvii zwróciła jednak olbrzymia suma pieniędzy przeznaczona na opłacenie usług Wotanu. Wyglądało to tak, jakby Voynich planował nie odbudowę kościoła, lecz inwazję na Półwysep Iberyjski za pomocą najemnej armii z bazą wypadową w Asturii.

– To wszystko wyglądało bardzo dziwnie – opowiadała. – Cały oddział uzbrojonych żołnierzy! To miasteczko nad morzem, a nie Strefa Gazy.

– Jak się nazywało, pamiętasz?

– San Cristóbal de Bayura – odparła. – Parę kilometrów od Llanes, już prawie w Kantabrii. Sam kościółek był reliktem z VIII wieku, kompletnie zrujnowanym.

– Może twój były pracodawca wysłał ludzi z Wotanu na wszelki wypadek, żeby miejscowi nie ukradli nic cennego podczas prac renowacyjnych. Sama dobrze wiesz, że to się dość często zdarza, niestety.

– Ale tam nie ma czego kraść, Tirso. Z tego kościoła zostały resztki ścian. Uwierz mi na słowo, widziałam zdjęcia. Nie potrzeba całej armii, żeby upilnować kupy kamieni przed paroma wieśniakami.

– Masz rację. To dziwne.

– Poczekaj, aż usłyszysz resztę. Jakies półtora miesiąca temu, tuż przed moim powrotem do Madrytu, ktoś z kierownictwa niechcący przesłał prywatnego mejla do wszystkich zaangażowanych w ten projekt. Typowa wpadka stażysty, chociaż, co ciekawe, takie wpadki zdarzają się zwykle wcale nie stażystom, tylko tym, którzy teoretycznie powinni mieć więcej doświadczenia. Tyle że w tym przypadku natychmiast

pojawił się cały zastęp techników z serwisu, którzy wykasowali nam wszystkie, absolutnie wszystkie wiadomości ze skrzynek. Opróżnili je do czysta, rozumiesz?

– No tak, nieco drastyczne rozwiązanie.

– To nie wszystko. Później jakiś facet wyglądający na szychę, który zresztą nawet mi się nie przedstawił, spotkał się ze mną sam na sam i urządził mi regularne przesłuchanie.

– Przesłuchanie?

– Serio, nie potrafię tego inaczej nazwać. Wypytywał, czy przeczytałam tego omyłkowo wysłanego mejla albo czy zrobiłam kopię. Odpowiedziałam, że nie, skąd. Potem przypomniał mi, niezbyt subtelnie, że podpisałam klauzulę poufności, która zabrania rozpowszechniania jakichkolwiek informacji związanych z komunikacją wewnętrzną w firmie. Nie tylko ja musiałam przez to przejść, przemaglowali tak wszystkich, którzy dostali tego cholernego mejla.

– Powiedziałaś im prawdę? Faktycznie nie zdążyłaś go przeczytać?

– Rzuciłam tylko okiem, ale potem się zorientowałam, że to nie do mnie. Był bardzo długi i dziwaczny, nie rozumiem, czemu się tak zdenerwowali.

– Pamiętasz, o czym była mowa?

– Tylko pojedyncze fragmenty. Było tam coś o odkryciu jakiejś „mapy króla Alfonsa” znajdującej się podobno właśnie w tym kościółku w San Cristóbal de Bayura. Z tego, co zrozumiałam z mejla, ta mapa ma jakiś związek z testamentem jakiegoś gościa o włoskim nazwisku, który mieszka, zdaje się, w Londynie.

Testament. Gość o włoskim nazwisku, który mieszka w Londynie. Czy może chodzić o...?

– Rosignolli? – zapytałem. – Ten gość nie nazywał się przypadkiem Rosignolli?

– Tak, dokładnie! – zawołała Silvia z zaskoczeniem. – Niewiarygodne, jak to zgadłeś?

Uświadomiłem sobie, że nieźle się wkopałem, i przyszedł mi do głowy tylko jeden pomysł, jak wyjść z opresji. Wykorzystałem chwilę nieuwagi Silvii i ukradkiem trąciłem stopą kółko wózka. Dziecko się obudziło i wybuchnęło głośnym płaczem. Matka od razu straciła zainteresowanie moim darem jasnowidzenia i rzuciła się uspokajać małego.

Miałem pewne wyrzuty sumienia, ale z drugiej strony chłopak właśnie wyświadczył skromną przysługę Narodowemu Korpusowi Poszukiwaczy. Wielu uznałoby to za powód do dumy.

Pożegnałem się z Sylwią i jej małym pieguskiem. Potem zaszedłem do szpitala w odwiedziny do matki. Zastałem ją w ponurym nastroju, nie miała ochoty na rozmowy, parę razy powtórzyła tylko, jak bardzo ma już dość szpitala i że chciałaby wrócić do domu. Na szczęście lekarz stwierdził, że wszystko idzie ku dobremu, więc następnego dnia – jeśli nic się nie zmieni – ją wypuszczą.

Zostawiłem matkę, żeby dalej pławiła się w swoim paskudnym humorze, i poszedłem do zakładu jubilerskiego bliźniaków przy ulicy Postas. Chciałem się dowiedzieć, czy Yokai poczynił jakieś postępy w pracy nad automatycznym tłumaczem, a przy okazji przeprowadzić małe śledztwo i sprawdzić niektóre aspekty sprawy, o której

Silvia opowiedziała mi przy obiedzie.

Yokai siedział w warsztacie i pracował przy komputerze. Na uszach miał olbrzymie słuchawki, przez które słuchał „muzy do roboty”, jak sam ją nazywał, chaotycznej kolekcji utworów, od AC/DC po Buddy’ego Holly’ego, która podobno pomagała mu się skoncentrować. Yokai był tak pochłonięty pracą, że praktycznie musiałem nim potrząsnąć, żeby zdał sobie sprawę z mojej obecności.

Zapytałem, jak C-3PO radzi sobie z nauką alfabetu mezogockiego. W odpowiedzi chłopak zasypał mnie mnóstwem skomplikowanych terminów technicznych, zupełnie dla mnie niejasnych, ale z całej tej przemowy zrozumiałem, że sprawa rozwija się bez większych komplikacji.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedziałem.

Yokai przewrócił oczami.

– Następne? Ja pierdolę, dajże mi trochę odetchnąć. Wiesz, że prawo zabrania wykorzystywania dzieci do pracy?

– Jak to się dzieje, że jesteś dorosły tylko wtedy, kiedy akurat ci to pasuje?

– Dobra, dobra, mów, czego znowu ode mnie chcesz... Tylko potem mi nie marudź, że C-3PO jeszcze niezaprogramowany.

– Znajdź mi wszystkie dostępne informacje o Wotanie.

– Wotan? – powtórzył Omega, który najwyraźniej przysłuchiwał się naszej rozmowie, chociaż udawał, że zajmuje się szlifowaniem kamieni przy stole roboczym. – To jedno z imion Odyna, najważniejszego z Azów, dynastii bóstw z panteonu nordyckiego. Bóg magii, poezji i wojny. „Gdy mam na bój/Druhów wieść,/Śpiewam w tarczę, a oni siłą naprzód pędzą,/Zdrowi do boju/I zdrowi z boju,/Żadna ich szkoda nie spotka”¹...

– Tak, wiem, kto to jest Odyn – wtrąciłem. – Ale nie chodzi mi o boga wikingów, tylko o PMC z siedzibą w Stanach, spółkę córkę Voynicha.

– Co to jest PMC? – zapytał jubiler.

– Private military company – odparł Yokai. – Najemnicy XXI wieku, stary, na przykład Academi czy DynCorp. To najgorsi degeneraci, uzbrojone pojeby.

Wyglądało na to, że chłopak orientuje się w sprawie dużo lepiej niż ja.

– Słyszałeś już kiedyś o Wotanie? – zapytałem.

– Nie, ale domyślam się, że to też niezłe gówno. DynCorp współpracował w Bośni z ONZ, tyle że zajmowali się handlem bronią i kobietami, a żołnierze takich firm jak Titan Corp czy CACI to właśnie te skurwysyny, które torturowały więźniów w Abu Ghraib. Ci kolesie to po prostu neofaszyści.

– Muszę się dowiedzieć, czym konkretnie zajmuje się Wotan i na czyje zlecenie działa. Mógłbyś się tym zająć?

– Pewnie, nie ma problemu. Zaczniemy od najprostszego... Podejrzewam, że mają jakąś stronę w necie... – Yokai wpisał parę słów do wyszukiwarki. – Jest.

Na ekranie pojawiła się oficjalna witryna Wotanu. Projekt był nowoczesny i atrakcyjny, na stronie wyróżniała się nazwa firmy zapisana dużymi literami obok czegoś w rodzaju motta: Shields of the Future (Tarcze Przyszłości). Kojarzyło się z hasłem Voynicha. Wyeksponowano również jakiś symbol, pewnie oficjalne logo spółki.



Omega nachylił się nad moim ramieniem, żeby dokładniej przyjrzeć się ekranowi.

– Poznają ten emblemat – oznajmił, wskazując na znak firmowy. – To valknut.

Runiczne przedstawienie boga Odyna.

– Świetnie pasuje – mruknął Yokai. – Wiecie, kto jeszcze ozdabiał sobie mundury znakami runicznymi? Esesmani.

W sieci znaleźliśmy sporo zdjęć pracowników Wotanu w pełnym roboczym rynsztunku, wszystkich zaopatrzonych w broń najnowszej generacji. Uniform składał się z czarnego kombinezону, krojem przypominającego wojskowy mundur, i hełmu do kompletu – zasłaniał całą twarz jak kask motocyklowy. Widziałem już kiedyś te stroje.

– Yokai, spróbuj się dowiedzieć, czy Wotan realizował jakąś misję w Mali – poprosiłem.

Chłopak przez parę minut uważnie przeglądał stronę, aż znalazł to, czego szukał.

– Na to wygląda – stwierdził. – Popatrz, tu jest napisane. W 2014 roku rząd prezydenta Ibrahima Keity zlecił Wotanowi ochronę budynków i stanowiska archeologicznego na obszarze dziedzictwa historycznego Mali.

Wyrwał mi się szyderczy śmiech.

– Ci ludzie niczego nie chronili, wręcz przeciwnie. Enigma, Bańka i ja parę razy na nich wpadliśmy, tyle że tam nazywano ich „Ludźmi Piasku”. Prawie nas pozabijali w Mieście Umarłych w Kolodugu, a potem nad uskokiem Bandiagara.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Mieli ten sam znak na mundurach, tego valknuta. Tak jak my próbowali znaleźć Łańcuch Proroka, nie wiem tylko dlaczego.

– Może szukali go na zlecenie rządu Mali, w końcu to oni ich wynajęli – rzucił Yokai.

– Jedno mogę ci zagwarantować: może i płaciły im władze Mali, ale pracowali dla Voynicha, co do tego nie mam wątpliwości.

– Bardzo mnie martwią twoje słowa, drogi Tirso – wtrącił się Omega.

– Dopiero ci dam prawdziwy powód do zmartwienia – odparłem. – Kilka godzin temu dowiedziałem się, że Wotan działa na terenie Hiszpanii. Voynich zatrudnia ich do ochrony przy restauracji jakiegoś kościoła w Asturii.

Streściłem Omedze i Yokaiemu wszystko, czego się dowiedziałem od Silvii. Tak jak ja uznali, że jest coś podejrzanego w nagłym zainteresowaniu Voynicha starą asturyjską świątynią.

– Myślisz, że istnieje jakiś związek między tym kościołem a manuskryptem?

– zapytał Omega. Odpowiedziałem twierdząco. Jubiler zamyślił się głęboko. – San Cristóbal de Bayura... Nie, ta nazwa z niczym mi się nie kojarzy... Mogę spróbować poszukać informacji na temat historii tego miejsca, może coś nam się rozjaśni.

Była to całkiem rozsądna propozycja, ale zaczynałem mieć już dość marnowania czasu na prowadzenie śledztwa. Potrzebowałem działania.

– Dobry pomysł. Tymczasem ja pojedę do Asturii, żeby osobiście sprawdzić, co Voynich wyprawia w tamtym kościele.

– Mogę jechać z tobą? – zapytał Yokai z nadzieją.

– Nie.

– Dlaczego? Mógłbym się na coś przydać!

– Uważam, że młodzieniec ma rację. *E pluribus unum*². Oczywiście możesz jechać, dokąd chcesz, i nikomu się nie tłumaczyć, ale jeśli planujesz misję szpiegowską w San Cristóbal de Bayura, wydaje mi się nierozsądne, żebyś robił to w pojedynkę.

– To prawda, ale nie chcę, żeby Yokai mi towarzyszył. Bardziej przyda się tutaj, może szukać informacji na temat Wotanu i rozwijać program tłumaczeniowy.

– W takim razie poczekaj na powrót Bańki – zasugerował Omega.

– Nie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Bańka prawdopodobnie wróci z rękopisem, a przynajmniej z kopią zeskanowaną przez Rosignollego. W takim przypadku najlepiej, żebyście od razu zaczęli tłumaczyć tekst. *Tempus fugit*.

– Ha, to akurat już znam – pochwalił się Yokai. – „Czas ucieka”.

– Bystry chłopak. – Położyłem mu dłoń na ramieniu. – Zostań tutaj i pilnuj interesu, zgoda? Jeśli Bańka wróci pod moją nieobecność, powinien na niego czekać ktoś, kto zwięźle zrelacjonuje mu wszystko, co udało nam się ustalić, bez sentencji łacińskich i recytacji wierszy.

Yokai wyglądał na zadowolonego, że powierzyłem mu tak odpowiedzialne zadanie.

– Niech będzie – zgodził się. – Spokojnie, teraz ja tu rządę.

– Twoja stara też tak powiedziała – odparłem i puściłem do niego oko.

Chłopak odpowiedział uśmiechem.

Podjąłem decyzję i jedyne, czego w tej chwili pragnąłem, to jak najszybciej zabrać się do roboty, więc szybko się pożegnałem i wyszedłem z zakładu jubilerskiego. Jeśli uda mi się sprawnie załatwić parę rzeczy (czyli spakować niewielki bagaż i wynająć samochód), może nawet dotrę do Asturii przed kolacją.

Po kilku dniach w Londynie nie pogardziłbym pyszną północnohiszpańską kuchnią.

Edda poetycka, tłum. i oprac. Apolonia Załuska-Strömberg, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1986, s. 50. [\[wróć\]](#)

Z wielu jeden (łac.). [\[wróć\]](#)

FREEWAY (II)

Bańka bawił się pokrętłem radia samochodowego. Auto należało do wypożyczalni, stacje zostały już wcześniej zaprogramowane, więc nastawił się na konieczność słuchania czegokolwiek. Przeszukał parę programów, na których leciały piosenki Rihanny, One Direction, Sama Smitha i jakiegoś chłopca, sądząc po brzmieniu, w zbyt ciasnych spodniach, który usilnie próbował osiągnąć niskie tony.

Bańka cmoknął z niezadowoleniem. Jego zdaniem muzyka skończyła się 6 sierpnia 1996 roku w The Palace w Los Angeles, kiedy Ramones zagrali ostatni koncert przed rozwiązaniem zespołu.

Nie chciało mu się już dłużej szukać, więc został przy stacji, na której grali jakiś kawałek Arethy Franklin. Freeway of Love. Bańka co prawda uważał pop-dance za kompletną pomyłkę, haniebny epizod w dziejach ewolucji gatunku ludzkiego, ale z wszystkich piosenek, na które trafił, tylko przy tej nie miał ochoty pourywać sobie uszu, więc już nie przelączał. Rzucił okiem na drogowskaz, który mignął mu po lewej stronie. Następny zjazd prowadził do Elstree. Poszukiwacz zbliżał się do celu podróży.

Minęła dwudziesta druga, autostrada była pusta. Czuł się tak, jakby był jedyną istotą na Ziemi, która miała jakiś interes w tej okolicy.

Przejechał spory odcinek drogi przy akompaniamencie muzyki z radia.

Ain't we ridin' on the freeway of love
In my pink Cadillac...

– Sorry, Aretho – mruknął Poszukiwacz. – Nie dziś.

Wylączył radio i postanowił dalej jechać w ciszy.

Dotarł na obrzeża spokojnej, pogrążonej w ciemności dzielnicy mieszkaniowej. Sprawdził adres w nawigacji i upewnił się, że znalazł miejsce, którego szukał. To przy tej ulicy mieszkał Dennis Rosignolli.

Poszukiwacz wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Wokół nie było żywej duszy, panowała absolutna cisza. Dwie latarnie przy ulicy emitowały słabe światło, trzecia w ogóle nie działała.

Zlokalizował dom Rosignollego. Fasada tonęła w ciemności, nie dało się też dostrzec światła w żadnym z okien wychodzących na ulicę. Doktor albo spał, albo nie było go w domu. Bańka wolałby, żeby ta druga opcja okazała się prawdziwa, to znacznie ułatwiłoby mu zadanie.

Chociaż Tirso prosił go, żeby zastanowił się nad możliwością połączenia sił z Lacombe przy sprawie Rosignollego, Bańka zdecydował się nie prosić jej o pomoc. Z agentką Interpolu kręcącą mu się pod nogami nie miałby szans wykraść zawartości komputera Rosignollego, nigdy by mu na to nie pozwoliła.

Dlatego kiedy tego ranka Lacombe za radą Tirsa skontaktowała się z Bańką i zaproponowała mu, żeby razem pojechali przemaglować profesora, Poszukiwacz zmyślił na poczekaniu jakąś wymówkę i ją splawił. Uznał, że tak będzie najlepiej. Jeśli Rosignolli

rzeczywiście coś ukrywa, nie przyzna się podczas przesłuchania. Bańka musiał przywłaszczyć sobie jego sekrety ukradkiem, w środku nocy, i to właśnie zamierzał teraz uczynić. Tirso na pewno by go zrozumiał.

Na tyłach domu znajdował się niewielki ogródek okolony metalowym płotem, częściowo przesłoniętym przywiedłymi wrzosami. Bańka zdołał wypatrzeć przez ogrodzenie, że ogródek był raczej zaniedbany, z nieskoszonym trawnikiem poprzetykanym plackami gołej ziemi, wszędzie pleniły się chwasty. Rosło tam jedno jedyne drzewo – leciwa topola o nagich gałęziach.

Bańka nie był ekspertem od botaniki, więc nie potrafił stwierdzić, czy to topola, dąb, klon czy jakiś inny badył. Zresztą w ogóle go to nie interesowało. Jediną cechą drzewa, na jaką zwrócił uwagę, był fakt, że pień sterczał z ziemi całkiem blisko płotu, a gałęzie rosły nisko i wyglądały na dość solidne, żeby wytrzymać ciężar dorosłego mężczyzny.

Bańka zaklasyfikował więc drzewo do gatunku tych, które pomagają wkraść się bez zaproszenia do cudzego ogrodu. Jego ulubionego gatunku.

Poszukiwacz stanął pod gałęzią topoli wystającą za ogrodzenie i ocenił jej odległość od ziemi. Rosła całkiem nisko. Gdyby wziął odpowiedni rozbieg, mógłby bez większego problemu na nią wskoczyć.

Skoro udało mu się już znaleźć sposób na dostanie się do środka, Poszukiwacz wrócił do samochodu. Musiał załatwić jeszcze jedną sprawę, żeby zagwarantować sobie stuprocentowe bezpieczeństwo.

Na palcach wycofał się spod ogrodzenia i wyjrzał na ulicę. Na chodniku stał jakiś samochód, którego wcześniej tam nie było. Do tego ktoś przechadzał się pod domem.

Poszukiwacz przeklął w myślach swojego pecha. Julianne Lacombe.

Nie musiał się zastanawiać, co ona tam robiła o tej porze. Bańka świetnie znał odpowiedź: mieszała mu szyki. Uzbroidł się w cierpliwość i czekał przyczajony za kontenerem na śmieci, licząc na to, że agentce wkrótce odechce się włóczyć po ulicy jak ciekawski kot.

Lacombe podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nikt nie otworzył. Zadzwoiła drugi raz, potem trzeci, ale wciąż z tym samym rezultatem. Dennis Rosignolli najwyraźniej wyszedł.

Bańka zobaczył, że agentka zaczęła lustrować przesuwne okno w jednym z pomieszczeń na parterze. Okno nie było całkiem zamknięte. Lacombe wsunęła dłoń w szparę nad parapetem, podniosła skrzydło i zajrzała do wnętrza domu. Wszystko wskazywało na to, że zamierza wśliznąć się do środka. Bańka był zbulwersowany.

– Hej! – wrzasnął, wyskakując z kryjówek. – Nawet o tym nie myśl!

Lacombe aż podskoczyła i zwróciła się w stronę Poszukiwacza. Błyskawicznym gestem sięgnęła dłonią pod marynarkę.

– Stać! Jestem uzbrojona.

Bańka podniósł ręce i zrobił krok do przodu, żeby znaleźć się w kręgu światła jednej z latarni.

– Ja też – stwierdził. – Chociaż byłbym skłonny uwierzyć, gdyby powiedziała mi pani, że pani broń jest większa od mojej.

– Pan Burgos? Co pan tu robi?

– Mógłbym zadać pani to samo pytanie. Czy to nie dziś rano miała pani tu przyjechać, żeby przesłuchać Rosignollego?

– Tak zrobiłam, ale nikogo nie zastałam. Wracałam tu jeszcze trzy razy przed południem, ale za każdym razem to samo. Przez całe popołudnie wydzwaniałam na telefon domowy, ale nikt nie odbierał. Zaczęłam podejrzewać, że doktor ulotnił się w tajemnicy przed policją, więc postanowiłam wrócić i sprawdzić, czy stoi tu gdzieś jego samochód.

– Szukała pani jego samochodu w salonie i dlatego próbowała wleźć przez okno?

– Nic z tych rzeczy! – odparła oburzona agentka.

– Widziałem panią stamtąd.

– No tak, chował się pan jak szczur. Raczy mi pan wytłumaczyć, czemu w środku nocy kręci się pod cudzymi domami?

– Ja przynajmniej, w przeciwieństwie do pani, znam się na rzeczy. – Bańka wskazał Lacombe naklejkę agencji ochrony na drzwiach domu oraz sporą plastikową skrzynkę z migającą lampką. – Gdyby się pani władowała przez okno, od razu by się włączył alarm. Wydaje mi się, że w Interpolu nie byłiby zbyt zachwyceni, gdyby ich agentkę przyłapano na gorącym uczynku podczas włamania. Powinna mi pani dziękować, że w porę ją powstrzymałem.

Lacombe nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ja... Nie wiem, co pan sobie wymyślił, ale mogę zapewnić, że nie... Że ja wcale nie...

– Spokojnie, nie ma się czego wstydzić. Nie mam nic przeciwko niegrzecznym dziewczynkom.

Bańka odwrócił się na pięcie i odszedł.

– A pan dokąd? – zapytała Lacombe.

– Wracam do swoich spraw.

– Zadzwoń na policję.

– Może pani to zrobić... Ale może też pani wejść ze mną do tego domu i nie uruchomić przy okazji żadnego alarmu. Jak pani woli.

Lacombe zacisnęła mocno wargi, wyraźnie rozdarta. Sięgnęła do kieszeni po telefon, ale w końcu go nie wyjęła. Stała na środku ulicy i patrzyła, jak Bańka wyciąga z bagażnika samochodu jakiś przyrząd wielkości niedużej walizki, wyposażony w anteny.

Poszukiwacz umieścił tajemniczy aparat przy drzwiach frontowych i wcisnął przełącznik z boku maszyny. Lacombe zbliżyła się ostrożnie, obserwując jego poczynania z wielkim zainteresowaniem.

– Co to jest? – spytała.

– A pani ciągle tu jest? To zagłuszacz, służy do zakłócania sygnału domowych systemów alarmowych, pod warunkiem że są bezprzewodowe. Ten taki jest, w przeciwnym razie po fasadzie biegłoby okablowanie. – Poszukiwacz skrzywił się z niesmakiem.

– Ludzie się teraz upierają, żeby instalować alarmy radiowe, bo to taniej wychodzi... Kretyni. Są mniej więcej tak skuteczne jak puste puszki powiązane sznurkiem i przytroczone do framugi drzwi wejściowych.

– A skąd pan wziął taki gadżet?

– Można kupić w internecie. Nie trudniej znaleźć takie ustrojstwo niż na przykład używany rower.

– Nie powinnam pozwolić panu tego robić. To absolutnie nielegalne.

– Owszem, bez dwóch zdań. – Na ustach Bańki zagościł znajomy półuśmiech.

– Dlatego to taka fajna zabawa.

Poszukiwacz odszedł od wejścia i ruszył do ogródka na tyłach domu. Lacombe podążyła za nim drobnymi kroczkami. Zachowywała się jak mała dziewczynka, która tylko czeka, żeby starszy kolega zaproponował jej udział w fascynującej zabawie.

– Dlaczego idzie pan do ogródka?

– Bo zamierzam tamtędy wejść do środka.

– A czemu nie przez okno?

– Moje motto życiowe brzmi: „Nigdy nie wchodzić przez okno, jeśli możesz skorzystać z drzwi”. To jakoś mniej uwłaczające.

Poszukiwacz wrócił pod topolę, której gałęzie sięgały za ogrodzenie. Lacombe patrzyła, jak Bańka robi kilka kroków do tyłu, bierze krótki rozpęd i w końcu dokonuje imponująco czystego skoku wzwyż, dzięki któremu udało mu się całkiem pewnie uchwycić najniższej gałęzi. Poruszał się ze zwinnością godną wiewiórki.

– No dobrze – stwierdził, przycupnięty w kucki na drzewie. – Teraz pani kolej.

– Moja? Nie, nie, ja nie zamierzam tego robić. Tak nie wolno.

– Ale włożenie przez okno jest zupełnie w porządku? – Bańka wyciągnął ku niej dłoń. – No dalej, pomogę pani. Chyba nawet pani wspięła się w dzieciństwie chociaż na jedno drzewo.

– Ale...

– Julianne, albo pani wchodzi, albo stąd zjeżdża. Tylko proszę się szybko zdecydować, nienawidzę tracić czasu.

Udało mu się urazić jej dumę. Lacombe nie zamierzała wyjść przy Bańce na tchórza i niezdarę. Cofnęła się o kilka kroków i niezgrabnie podskoczyła do gałęzi. Zdołała złapać się obiema rękami, ale nie wiedziała, co zrobić dalej, więc wisiała tak niczym szyszka. Bańka patrzył na nią ze złośliwym półuśmiechem.

– Może pani pomóc?

– Nie... potrzebuję... pańskiej... pomocy... – wystękała agentka, wymachując nogami w powietrzu.

W końcu udało się jej podciągnąć na rękach i wgramolić na gałąź. Mimo jej gwałtownych protestów Bańka złapał ją w pasie i pomógł się wyprostować.

– Mówiłam panu, że sobie poradzę! – zawołała z triumfalnym uśmiechem. Na policzku miała zadrapania, a na ubraniu plamy z żywicy.

– Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem – odparł Poszukiwacz z jednym z tych swoich enigmatycznych uśmiezków.

Dłonie Bańki obejmowały talię Lacombe o kilka sekund dłużej, niż było to absolutnie konieczne, ale żadne z nich chyba tego nie zauważyło. Poszukiwacz zeskoczył z drzewa po drugiej stronie i miękko opadł na ziemię w ogrodzie. Lacombe poszła w jego ślady, ale jej nie udało się wylądować na nogach – zamiast tego zaliczyła spektakularną glebę. Tym razem jednak nie protestowała, kiedy Bańka pomógł jej wstać.

Ogródek zajmował maleńką działkę, nie większą od zwykłego tarasu. Do domu prowadziły stąd tylne drzwi, stare i sfatygowane. Bańka bez trudu otworzył zamek jednym ze swoich wytrychów. Zanim przekroczył próg, usunął się na bok i przepuścił Lacombe w ironicznym popisie dżentelmeństwa. Agentce nie przypadło to do gustu.

– Może pan sobie darować te wyglupy – powiedziała.

– Żadne wyglupy, po prostu wolę widzieć panią od tyłu. – Poszukiwacz zauważył, że jej policzki oblały się rumieńcem, więc czym prędzej zaczął się tłumaczyć: – Chodzi mi tylko o to, że... wiecznie jest pani obrażona i nie w sosie... Nie chodzi o to, że wolę patrzeć na pani tył... ani nic w tym stylu. – Bańka uświadomił sobie, że tylko się pogrąża. – Przepraszam, to była bardzo niefortunna odzywka, pod wieloma względami.

Na szczęście Lacombe już nie zwracała na niego uwagi. Gdy tylko weszła do środka, zatkąła sobie usta dłonią, jakby próbowała powstrzymać falę mdłości. Bańka nieco się zdziwił – owszem, jego komentarz nie należał do najszcześniejszych, ale nie mógł chyba wywołać aż tak gwałtownej reakcji. Zaraz jednak zidentyfikował prawdziwą przyczynę złego samopoczucia agentki: w domu unosił się mdlący odór.

Poszukiwacz zasłonił sobie nos chusteczką i wyjął z kieszeni breloczek z latarką. Kiedy ją zapalił, okazało się, że znajdują się w kuchni.

– Panu Rosignollemu chyba zepsuła się lodówka – skwitował.

– Nie. Ten zapach dobiega stamtąd. – Lacombe wskazała na uchylone drzwi.

Bańka podszedł do nich i zajrzał przez szparę. Za drzwiami były schody prowadzące w dół. Ktoś zostawił zapalone światło.

Lacombe i Poszukiwacz z najwyższą ostrożnością zeszli po stopniach. Dotarli do małej piwnicy oświetlonej samotną żarówką dyndającą na gołym kablu. To w tej scenerii znaleźli Rosignollego.

Ich oczom ukazał się potworny, groteskowy widok. Rosignolli leżał twarzą w dół na stole. Ktoś dokonał głębokiego cięcia wzdłuż kręgosłupa ofiary. Poprzerzynane, rozdzielone żebra ziały otworem niczym miniaturowe bramki zbudowane z kostek, odsłaniając narządy wewnętrzne. Spośród nich widocznie wyróżniały się płuca – dwa lekkie worki pokryte czerwoną, zakrzepłą cieczą. Można było odnieść wrażenie, że ktoś postanowił wypatroszyć nieszczęsnego Rosignollego przez plecy. W zwłokach zaległy się chmary much bzyzcących żarłocznie w otchłani tłuszczu, mięśni, krwi i mięsa.

W pomieszczeniu panował piekielny upał i odrażający smród. Bańka poczuł, że kręci mu się w głowie. Wspiął się z powrotem po schodach. Już w kuchni zapalił papierosa. Trzęsły mu się ręce. Zaciągnął się łapczywie, żeby tytoniowym dymem spróbować zabić albo chociaż złagodzić zapach krwi, który zdawał się powlekać mu podniebienie. Lacombe zjawiała się na górze wkrótce po nim, bladozielona na twarzy.

– To Rosignolli, co do tego nie ma wątpliwości. – Agentka odkręciła kurek nad zlewem, nabrała wody w dłonie i napiła się, a potem zwilżyła sobie czoło i policzki. – Nie żyje.

– Niemożliwe, serio? – rzucił Poszukiwacz sarkastycznie. – Wytrzymała pani na dole dłużej niż ja. Musi pani mieć nerwy ze stali.

– Nie pierwszy raz widziałam trupa.

– Ja też, ale...

– Wiem. – Lacombe zamknęła oczy i próbowała przełknąć ślinę. – To straszna jatka.

– Nie, to blodorn.

– Blodorn?

– Krwawy orzeł. Legendarni wodzowie wikingów mieli w ten sposób dokonywać egzekucji wrogów. Rozciągano żebra na boki od strony pleców, niczym skrzydła ptaka, i wykładano na nie płuca. Czytałem o tym, ale nigdy nie widziałem na własne oczy.

– Bańka zaciągnął się papierosem. – To... barbarzyństwo.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Podejrzewam, że te same osoby, które zamordowały pani przyjaciółkę, detektyw Child – odparł Bańka. – Mówiła pani, że Rosignolli wyglądał na spanikowanego. Cóż, teraz już wiemy, że faktycznie miał powody do strachu.

– Powinnam zawiadomić policję.

– Proszę, niech pani robi, co trzeba. – Bańka bezceremonialnie rzucił niedopalek na podłogę i przydeptał podeszwą buta. Potem zaczął się zbierać do wyjścia z kuchni.

– Co pan robi? Dokąd się pan wybiera?

– Idę załatwić to, po co tu przyszedłem. Muszę się pośpieszyć, zanim zwali się tu tabun policjantów.

Lacombe ruszyła za nim do gabinetu Rosignollego. Tam Bańka uruchomił niewielki laptop świętej pamięci Francuza. Wiedziona ciekawością agentka nie próbowała go powstrzymać.

– Niech to szlag... Tak podejrzewałem – wymamrotał Bańka, patrząc na ekran.

– Wyczyścili go.

– Kto?

– Pewnie ci sami, którzy postanowili poćwiczyć sztukę patroszenia na nieboszczyku Rosignollim.

Poszukiwacz odłączył laptop od kontaktu i schował do torby stojącej obok biurka. Przewiesił sobie torbę przez ramię i zamierzał wrócić do kuchni. Lacombe złapała go za ramię.

– Co pan zamierza z tym zrobić?

– Zabrać ze sobą, jak pani widzi. Nawet jeśli wyczyścili dyski, znam kogoś, kto może odzyskać ich zawartość.

– Chwileczkę! To dowód rzeczowy, nie może pan tak po prostu go sobie zabrać.

– Czemu nie? Ja tu byłem pierwszy.

Lacombe zmarszczyła czoło ze złością. Wiedziała, że powinna powstrzymać Bańkę przed opuszczeniem domu, niezwłocznie zadzwonić na policję i zasugerować, żeby aresztowano tego dziwnego człowieka i poddawano go przesłuchaniom, aż ujawni wszystkie sekrety. Tak postąpiłaby porządna agentka Interpolu.

Nie mogła więc zrozumieć, dlaczego jeszcze tego nie zrobiła.

– Jeśli wyjdzie pan z domu, każę pana aresztować.

– Może pani spróbować, ale oboje dobrze wiemy, że do tej pory nie wychodziło to pani zbyt dobrze. – Bańka zwrócił się w stronę Lacombe i westchnął. – Niech pani posłucha. Może i trudno uznać nas za najlepszych przyjaciół, ale naprawdę nie życzę pani

źle. Proszę skorzystać z mojej rady, pani Julianne: wrócić do Francji, zająć się sprawami Interpolu i zapomnieć o całej tej historii. Niech pani pamięta o tym, co się stało w Afryce: tak się kończy wtrącanie się w nie swoje sprawy. Założę się, że nie chce pani znów trafić do jamy pełnej krokodyli albo i czegoś gorszego.

Bańka ruszył do wyjścia, ale ona znowu go powstrzymała.

– Proszę... – powiedziała błagalnie. – Pan wie, o co w tym wszystkim chodzi. Proszę mi powiedzieć.

Poszukiwacz spojrział jej w oczy. Na moment zrobiło mu się głupio, że zostawi ją tak samą, pogrążoną w morzu pytań, na które nigdy nie zdoła znaleźć odpowiedzi. Była irytująca, owszem, ale też odważna i zdecydowana. A do tego atrakcyjna (jak cholera, nie oszukujmy się). Szkoda, że walczyła dla drużyny przeciwnika. Poszukiwacze i agenci Interpolu dogadywali się mniej więcej tak jak Monteki z Kapuletami: gdyby – co mało prawdopodobne – postanowili się sprzymierzyć, taki związek byłby skazany na niepowodzenie.

Chociaż z drugiej strony...

Bańka westchnął ciężko. Nie znajdował żadnych argumentów po drugiej stronie, choć bardzo by tego chciał.

– Przykro mi, ale nie mogę pani zaufać.

– Słucham? – wrzasnęła z oburzeniem. – Pan nie może zaufać mnie? Nigdy w życiu nie słyszałam tak kolosalnej bzdury. To raczej ja mam wystarczająco dużo powodów, żeby podejrzliwie traktować pana i pańskie intencje.

– I słusznie by pani zrobiła. Większość moich zamiarów nie ma zbyt wiele wspólnego z praworządnością, ale daję pani słowo, że nie zajmuję się mordowaniem policjantek ani patroszeniem wykładowców akademickich. W tej sprawie nie stoimy po przeciwnych stronach, ale nie jesteśmy też sojusznikami. Gdybym powiedział pani, kim jestem albo czego szukam, kazałaby mnie pani zamknąć. To pani obowiązek. Chociaż nic by to nie dało, a tylko utrudniłoby życie nam obojgu: ja nie mógłbym dokończyć swojej misji, a pani i tak nie zbliżyłaby się ani o krok do ujęcia ludzi odpowiedzialnych za śmierć Sarah Child i Rosignollego. Dlatego uważam, że najrozsądniej byłoby, gdybyśmy ruszyli każde w swoją stronę i nie wadzili sobie nawzajem.

Bańka oswobodził ramię z uścisku agentki i wyszedł z gabinetu. Lacombe została sama, zatopiona w myślach. Słowa Bańki nie miały dla niej najmniejszego sensu, ale w jej głowie pojawiła się całkiem jasna myśl: nie chciała stracić tego mężczyzny z oczu. Była nim zbyt mocno zafascynowana.

Ruszyła za nim i dogoniła go w ogródku.

– Proszę poczekać!

– Nie, nie mogę czekać. Muszę się ulotnić, zanim zjawi się policja.

– Nie wezwałam ich. Jeszcze.

– No to na co pani czeka, do cholery? Ktoś musi stąd zabrać trupa, sam sobie nie pójdzie.

– Doszłam do wniosku... – Lacombe na chwilę się zawahała. Czula się stremowana. I trochę głupia. – Doszłam do wniosku, że nigdy tu pana nie było.

– Jak to?

– Tak. Przyjechałam tu sama i znalazłam zwłoki Rosignollego. W gabinecie nie było jego komputera, nie wiem, kto mógł go zabrać. Jeśli o pana chodzi, to nic mi o panu nie wiadomo, w życiu nie widziałam pana na oczy. To, czy przebywa pan w Londynie, to sprawa angielskiej policji, a nie Interpolu, więc będą musieli dojść do tego sami, własnymi środkami.

– No... – wybąkał zaskoczony Bańka. – Ja... bardzo pani dziękuję.

– Nie zależy mi na podziękowaniach. Chcę czegoś w zamian.

Poszukiwacz pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak będzie sprawiedliwie.

– Od tej pory działamy w tej sprawie razem.

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? Odrzuca pan pomocną dłoń?

– To byłoby bardzo głupie z mojej strony, ale nie mogę pani zdradzić, dla kogo pracuję ani czym właściwie się zajmuję.

– Wcale o to pana nie proszę. To nie jest pierwsza randka, nie musi mi pan streszczać całego życia. Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje tu i teraz. Jeśli chodzi o pana osobiste tajemnice, może pan sobie zachować wszystkie, które chce. – Lacombe uśmiechnęła się kącikiem ust. – Lubię tajemniczych mężczyzn.

– Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu. Tylko tajemnica – mruknął Bańka pod nosem.

– Co pan powiedział?

– Nic, myślałem na głos.

– No to co? Co pan o tym sądzi, panie Burgos? Umowa stoi?

Bańka nie odpowiedział od razu. Musiał rozważyć wszystkie za i przeciw otrzymanej właśnie oferty. Wsparcie kogoś, kto miał wtyki w służbach bezpieczeństwa, wydawało się w obecnej sytuacji bardzo kuszące.

Nie po raz pierwszy Poszukiwacz nawiązałby sojusz z osobą spoza Korpusu. Bańka uznał, że może przecież zdradzić agentce niektóre szczegóły, ale te najtajniejsze zachować w sekrecie. Dawniej taka decyzja pewnie nie spotkałaby się z aprobatą pozostałych Poszukiwaczy, ale Bańka przypomniał sobie, że jest ostatnim czynnym członkiem Korpusu. Doszedł do wniosku, że zasłużył sobie na prawo do ustanawiania własnych reguł. Czymże bowiem był Narodowy Korpus Poszukiwaczy, jeśli nie jaskinią zbójców? A w takich miejscach nie obowiązują żadne prawa ani zasady, przestrzega się tylko tych tworzonych w zależności od bieżących potrzeb.

Lacombe patrzyła na niego niecierpliwie, wyczekując odpowiedzi.

Bańka podjął ostateczną decyzję.

– Dajmy już sobie spokój z tym całym panem Burgosem – powiedział. – Od tej pory mów mi Bruno.

CZĘŚĆ DRUGA

MAPA KRÓLA ALFONSA

KULEBRY

Nie udało mi się jednak wyjechać z Madrytu tak szybko, jak planowałem. Przypomniałem sobie, że matka ma zostać wypisana ze szpitala następnego dnia. I chociaż ani ja nie byłem przykładowym synem, ani ona wzorową matką, nie chciałem dopuścić, żeby wracała sama do pustego domu. Poza tym wołałem mieć pewność, że jej kolejny kryzys zdrowotny nie zmusi mnie do nagłego powrotu z podróży do Asturii.

Musiałem więc czekać dwadzieścia cztery godziny, żeby zrealizować swoje plany. Zawiozłem matkę do domu – nie była wprawdzie w najlepszym nastroju, ale wyglądała na zdrową – upewniłem się, że niczego jej nie brakuje, i opuściłem Madryt około pierwszej.

Wynajętym samochodem ruszyłem szosą prowadzącą do Asturii. Humor mi dopisywał, lubiłem podróżować do północnych krain, gdzie słońce tylko z rzadka wygląda zza ołowianych chmur. Od upałów mózg mi się lasuje, a czas spędzony na słońcu sprawia, że zaczynam wyglądać jak krewetka wyciągnięta z ukropu.

Podróż z Madrytu do Asturii autostradą de la Plata ma w sobie coś magicznego. Tunel Negrón jest czymś w rodzaju przejścia granicznego, które oddziela ziemie Leonu od Asturii. Podróżnik wjeżdża do niego udreńczony słońcem i znużony żółtawym, płaskim pejzażem Kastylii, a po przejechaniu czterech kilometrów wynurza się z niego i doznaje wrażenia, że przeniósł się na inną planetę. Słońce znika, ziemia wypływa mgłą i opary, a krajobraz wokół tworzą porośnięte lasami wzgórza, które wyrosły nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Często pada deszcz, czasem nawet śnieg. Zdarza się, że tunel Negrón prowadzi od lata do zimy.

Ilekoć przemierzam tę trasę, mam wrażenie, że zapuszczam się na prastare ziemie, pełne niezwykłych historii. Najbardziej niewiarygodną z nich jest chyba ta o dawnym królestwie niewielkich rozmiarów, ale o ogromnych ambicjach.

Kiedy w VIII wieku muzułmanie swoimi mieczami w kształcie półksiężyca wycięli z korzeniami królestwo Toledo, nieliczni przedstawiciele szlachty, którzy zdecydowali się stawić opór najeźdźcy, uciekli na północ, na tereny porośnięte lasami i zasnuwane mgłą. Muzułmanie wysłali za nimi nieliczne oddziały zbrojne, które miały zakończyć podbój, ale po pierwszej utarczce dały za wygraną i zawróciły, zostawiając buntowników uwięzionych pomiędzy morzem a górami, by spokojnie czcili tu swojego chrześcijańskiego boga. Byli przekonani, że jest ich zbyt mało, żeby stanowili jakieś realne zagrożenie.

Kilka wieków później potyczka ta została nazwana bitwą pod Covadongą i stała się pierwszym – acz nie ostatnim – heroicznym wyczynem nowo powstałego Królestwa Asturii.

Było to królestwo niewielkie i odizolowane od świata, jak mała rybka otoczona przez rekiny. Na południu – synowie Allacha, na wschodzie – imperium Karola

Wielkiego. Zarówno ci pierwsi, jak i ten drugi z chęcią zobaczyliby, jak ten bastion znika z mapy i przestaje być przeszkodą. Asturyjscy królowie poza granicami własnego kraju nie mieli zbyt wielu przyjaciół.

Frankowie i muzułmanie nie docenili wytrzymałości ludu potrafiącego zjeść na pierwsze danie fasolkę w gęstym sosie, a na drugie podwójny sznycel cielęcy nadziewany szynką i serem. Ich królestwo przetrwało i dokonało niezwykłych rzeczy. Monarchowie Asturii nawiązali sojusz z Cesarstwem Bizantyńskim i papieżem, rozszerzyli granice na południe, a nawet znaleźli grób jednego z dwunastu uczniów Chrystusa, albo przynajmniej okazali się na tyle sprytni, żeby przekonać innych, iż ciało apostoła cudem dotarło do północnych wybrzeży na kamiennej tratwie.

Królowie Asturii szybko zrozumieli, że jeśli mają przetrwać w tym wrogim otoczeniu, ich głos musi rozbrzmiewać donośnie i w tonach imperialnych. W gruncie rzeczy ich królestwo było jak grzechotka: niewielkie, ale robiło dużo hałasu.

Na dworze obowiązywał ceremoniał równie uroczysty, jakby chodziło o dwór samego Cezara czy Oktawiana Augusta. Asturyjscy książęta gromadzili relikwie, wznosili kościoły pod imponującymi kopułami, budowali letnie rezydencje, ozdabiali świątynie na sposób bizantyński (nie mieli wprawdzie środków, żeby wykonywać kamienne mozaiki, musieli więc zadowolić się farbami) i uczynili z Oviedo stolicę królestwa.

Zawsze fascynowały mnie opowieści, w których jakiś niepozorny gość dawał nauczkę umiśnionemu, acz niezbyt rozgarniętemu typowi, nadużywającemu swojej siły. Być może właśnie dlatego niewiarygodna przygoda Królestwa Asturii tak bardzo mnie pociągała. To historia maleńkiego państewka, które, chociaż miało wszystkich przeciwko sobie, zdołało przetrwać dzięki uporowi, przebiegłości władców i dużej dozie szczęścia.

Panowanie asturyjskich władców pozostawiło po sobie imponujące zabytki na północy. Świątynie, pałace i skarbcie pełne ponadtysiącletnich kosztowności, noszących heraldyczny symbol monarchii Asturii, Krzyż Zwycięstwa z łacińską sentencją.

Hoc signo tuetur pius. In hoc signo vincitur inimicus.

„Ten znak chroni pobożnych. Pod tym znakiem zwyciężysz wrogów”. Królowie Asturii, jak zwykle dumni, skopiowali napis użyty przez cesarza Konstantyna podczas bitwy przy Ponte Mulvio. Tak właśnie postrzegali samych siebie – jako potężnych panów niewielkiego królestwa.

Według mojej wiedzy kościół w San Cristóbal de Bayura został wzniesiony przez jednego z tych dumnych monarchów – Alfonsa II zwanego Cnotliwym, który panował w Asturii w pierwszej połowie IX wieku. Władca ten kazał zbudować w swoim królestwie wiele nowych świątyń.

Z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy będę mógł zwiedzić kościół w San Cristóbal de Bayura. Zawsze bardzo lubiłem architekturę Królestwa Asturii, może po części dlatego, że mojej matce wydawała się prymitywna, a ja wykorzystywałem każdą okazję, by się z nią nie zgodzić.

Po przyjeździe do San Cristóbal doznałem jednak wielkiego zawodu. Kościół przysłonięty był siatką maskującą i pancierzem rusztowań. Nie widać było zza nich nawet najmniejszego kamienia fasady.

Świątynia stała na skraju wioski, tuż obok niewielkiego cmentarza. Metalowe ogrodzenie broniło wstępu ciekawskim, a wielka tablica informowała, że obiekt jest remontowany dzięki dotacjom Voynich Inc. Do zakończenia prac tylko upoważniony personel mógł wchodzić na teren budowy.

Moją uwagę przykuły furgonetki z symbolami Wotanu wymalowanymi na karoserii. Zaparkowano je obok cmentarza. Pomędzy samochodami krzatali się pracownicy w firmowych uniformach i czapkach z daszkiem nasuniętych prawie na oczy, co przydawało im dość groźnego wyglądu. Przynajmniej pięciu trzymało wartę przy wejściu do świątyni.

Ruszyłem w kierunku kościoła wąską, zwirową ścieżką. Jeden z pracowników Wotanu natychmiast wyszedł mi na spotkanie i zastąpił drogę. Przywitałem się z nim uprzejmie i uśmiechnąłem, udając roztargnionego turystę. Na jego kamiennej twarzy, w połowie przysłoniętej daszkiem, nie odmalował się żaden wyraz.

– Przykro mi – powiedział, choć nie miałem wrażenia, żeby cokolwiek czuł.
– Wstęp wzbroniony, niestety musi pan zawrócić.

– Chciałem tylko rzucić okiem na kościół. Słyszałem, że jest bardzo piękny.

– Zamknięte. Do zakończenia remontu.

– Rozumiem. Czy jest tu ktoś, z kim mógłbym porozmawiać na temat przepustki?

Architekt lub archeolog nadzorujący prace?

– Nie.

– Ale domyślałam się, że jest ktoś...

– Już mówiłem, że na teren budowy nie ma wejścia. Niech pan wraca do miasteczka.

Strażnik oparł dłoń na przypiętym do pasa pistolecie. Nie sądziłem, że będzie chciał mi nim grozić, ale jego gest upewnił mnie, że próby dostania się do świątyni w sposób bezpośredni nie mają sensu.

Musiałem rozważyć inne możliwości. Coś w stylu Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Miasteczko San Cristóbal de Bayura było uroczą enklawą na wybrzeżu, otoczoną górami, lasami i stromymi klifami opadającymi ku morzu o barwie ołowiu.

Tworzyło je kilka wiejskich domów i słowo „miasteczko” było może trochę na wyrost, bliższe prawdy okazywało się określenie „wioska”.

Zabudowania, rozsiane po zalesionym terenie, tworzyły skupiska połączone drogami przypominającymi ścieżki pasterzy. Kościół znajdował się na łące okolonej drzewami. Kilka kilometrów dalej, jadąc w stronę wybrzeża, zobaczyłem ryneček, przy którym mieściły się ratusz, restauracja i kilka sklepów. Z placu widać było majaczące na horyzoncie morze i słysząc huk fal rozbijających się o stromy klif.

Poszedłem w tamtą stronę. W najwyższym punkcie klifu był punkt widokowy z drewnianą ławeczką, z której rozciągał się wspaniały widok na morze. Kontemplowałem ten cudowny krajobraz, wyrzucając sobie, że nie wziąłem aparatu.

Obok ławeczki stał niewielki, okrutnie brzydki budynek z cegły. Miał kształt sześcianu, na dachu znajdował się krzyż z kutego żelaza, a obok jedyne wejście, które

było zamknięte, ujrzałem szyld z kafelków. Dowiedziałem się z niego, że to miejsce to „Pustelnia Zbawiciela”, wzniesiona w 1932 roku dzięki hojności niejakiego Casta Prendesa Llancey. Domyśliłem się, że był kimś w rodzaju lokalnego kacyka, muszę dodać, że o niezbyt wysublimowanych upodobaniach architektonicznych.

Zacząło się ściemniać, a ja nie wiedziałem jeszcze, gdzie spędzę noc. Wróciłem więc na rynek i zapytałem w restauracji o jakiś pobliski hostel albo pokoje gościnne. Dostałem adres wiejskiego pensjonaciku, odległego o kilka minut jazdy samochodem.

Dotarłem do malowniczego domku na palach z szyldem Los Sabugos. Był to dawny spichlerz przerobiony na pensjonat, prowadzony przez sympatyczne małżeństwo w średnim wieku, bardzo zadowolone z niespodziewanego klienta, który trafił się poza sezonem. Wynająłem pokój na poddaszu z widokiem na morze.

Gospodarze zaproponowali mi możliwość zjedzenia kolacji za niewielką dodatkową opłatą. Już miałem odmówić, ale dochodzące z kuchni zapachy sprawiły, że zmieniłem zdanie.

Tego wieczoru byłem jedną z dwóch osób spożywających kolację w jadalni Los Sabugos. Drugą był staruszek o twarzy pooranej zmarszczkami i gęstych, siwych włosach. Miał na głowie marynarską czapkę. Staruszek skubał sery i winogrono, omiatając jadalnię władcym spojrzeniem właściciela.

Okazało się, że intuicja mnie nie myliła: dowiedziałem się, że jest ojcem gospodarza, a budynek, w którym urządzono pensjonat, należy do niego. Nazywał się Balbín.

Jako że w jadalni prócz mnie nie było żywej duszy, szybko znudził się swoją kolacją i zaczął zabawiać mnie rozmową, okazując tę gościnną poufałość właściwą ludziom ze wsi. Zapytał, skąd przyjechałem, jak długo zamierzam zostać, jakie miejsca planuję odwiedzić... Odpowiadałem lapidarnie, ale to go nie zniechęciło. Szybko się przekonałem, że pan Balbín woli mówić, niż słuchać.

Dowiedziałem się, że mieszka w San Cristóbal de Bayura od dziecka i że opuścił je tylko raz, w 1936 roku, żeby wyruszyć do Gijón i bronić koszar pułku piechoty górskiej „Simancas” szturmowanych przez wojska republikańskie. Tak pan Balbín stracił trzy palce prawej ręki i kawał płuca. Trudno się dziwić, że po takiej przygodzie nie miał więcej ochoty opuszczać rodzinnego miasteczka.

Pomyślałem, że człowiek, który przeżył prawie sto lat i spędził całe życie w San Cristóbal, może być znakomitym źródłem informacji, skierowałem więc dyskretnie rozmowę na temat kościoła.

– To ruina – zauważył pan Balbín. Jak wielu rdzennych Asturyjczyków miał silny akcent i musiałem się wysilać, by go zrozumieć. – Stare kamienie, a w środku nic ciekawego, mówię panu. Kiedy byłem mały, zakradaliśmy się do niego w noc świętojańską, żeby słuchać „kulebr”.

– Kulebr?

Pan Balbín roześmiał się tak donośnie, że aż drżała mu sztuczna szczęka.

– Dziecinne legendy. Kulebry to węże o błyszczących oczach. Mają skrzydła jak nietoperze i pilnują skarbów. To nasza lokalna specjalność, straszymy nimi dzieci. Mama ostrzegała mnie zawsze, że jeśli będę się kręcił w pobliżu kościoła, kulebry mnie zjedzą.

Bała się, że jeśli będziemy się bawić w kościele, polować tam na ptaki, ta ruina zawali się nam kiedyś na głowy. Ale niektórzy naprawdę wierzyli, że kulebry mieszkają w kościele i pilnują skarbów króla Alfonsa.

– Jakiego króla Alfonsa?

– Pojęcia nie mam. Jakiegoś bardzo starego, który zbudował kościół wiele wieków temu.

– I ukrył w nim skarb?

– Tak mówią. Chociaż właściwie nie chodzi o skarb, tylko o prowadzącą do niego mapę. Legenda głosi, że umieścił ją w jednym z kamieni, a potem kazał kulebrom go pilnować. Zakradaliśmy się z przyjacielem do kościoła w noc świętojańską, żeby odnaleźć mapę, ale w końcu moja matka nas na tym nakryła. – Pan Balbín znów się roześmiał. – Dostałem porządne lanie. Od tego czasu przeszła mi ochota na poszukiwanie skarbów.

– A czemu chodziliście tam właśnie w noc świętojańską?

Mój rozmówca popatrzył na mnie z litością, jakbym był tylko biednym mieszczuchem, który nie ma o niczym pojęcia.

– No jak to dlaczego? Przecież wiadomo, że w noc świętojańską kulebry tracą swoje magiczne moce i przestają być groźne. – Staruszek uniósł do ust kawałek sera i zaczął go przeżuwać w milczeniu. Zrozumiałem, że wspomina szczenięce lata, polowania na ptaki i poszukiwanie skarbów. – Aj, dziwnie to w tym życiu bywa... Kiedyś mój przyjaciel najadł się w tym kościele strachu.

– Co się stało?

– Usłyszał je, usłyszał hałasujące kulebry, tak przynajmniej twierdził. Którejś nocy zakradł się do kościoła sam, żeby udowodnić, że jest najodważniejszy ze wszystkich. – Balbín zaśmiał się złośliwie. – Wybiegł stamtąd blady jak ściana! Krzyczał przerażony: „Słyszałem je! Słyszałem! Ryczą jak demony!”. Trzeba mu było zaparzyć melisy, żeby się wreszcie uspokoił.

– Ale... naprawdę je usłyszał?

– A gdzie tam! Słyszał tylko fale rozbijające się o brzeg klifu.

– Fale?

– No tak. Klify pełne są jaskiń, a kiedy wlewa się do nich woda, wydaje dźwięk podobny do ryku jakiejś dzikiej bestii. Dlatego mój przyjaciel tak się przeraził.

Zmarszczyłem brwi. W historii opowiedzianej przez staruszkę nie pasował mi jeden szczegół.

– Przepraszam, ale kościół stoi przecież dobrych kilka kilometrów od brzegu, jak to możliwe, że pański przyjaciel usłyszał szum morza z tej odległości?

– Ach, przecież pan o tym nie wie. Kościół znajdował się kiedyś zupełnie gdzie indziej. Na samej krawędzi klifu. Na łakę przeniósł go dopiero don Casto.

Przypomniałem sobie pustelnię obok punktu widokowego. Na szyldzie wspomniany został niejaki Casto Prendes Llaneza. Zapytałem pana Balbina, czy o nim właśnie mówi.

– Tak, don Casto, nasz lokalny Indiano¹ – odrzekł. – Kiedy wrócił z emigracji z Kuby wraz z rodziną, kupił pół wsi. Zbudował sobie ogromny dom. Uciekł stąd podczas

wojny domowej, zanim przyszli czerwoni, i nikt nigdy go tu więcej nie widział. Mówią, że zamieszkał w Ferrol del Caudillo, z żoną i córkami. Domu już nie ma, zawalił się... Szkoda. Był piękny. Pomalowany na niebiesko. A córki don Casta częstowały nas cukierkami, kiedy się tam bawiliśmy.

Przestraszyłem się, że staruszek zaraz odpłynie we wspomnienia z dzieciństwa, przerwałem mu więc, żeby skierować rozmowę na właściwe tory.

– Wspomniał pan, że don Casto przeniósł kościół.

– Owszem. Jeszcze przed wojną. Kościół się sypał, podobno waliły się fundamenty czy coś w tym rodzaju. Przyjechał do nas taki pan z Oviedo, architekt, i powiedział, że jeśli czegoś nie zrobimy, to budynek runie, a byłaby to wielka szkoda, bo przecież jest taki stary. Don Casto wyłożył pieniądze z własnej kieszeni, żeby przenieść go na łąkę, gdzie stoi teraz. Jediną rzeczą, która została na miejscu, jest ołtarz.

– Dlaczego tylko ołtarz?

– Nie wiem dokładnie, don Casto mówił, że nie można go ruszać, że musi pozostać tam, gdzie stoi. – Staruszek podrapał się po dolnej wardze. Sprawiał wrażenie zamyślonego. – Spędzał w kościele dużo czasu. Studiował detale, robił rysunki. Chyba pisał o nim książkę, ale nie zdołał jej ukończyć. Sąsiedzi plotkowali, że szuka mapy króla Alfonsa.

– Znalazł ją?

– Nie, ale chyba był blisko. Tak przynajmniej uważał mój wuj Ramón. El Indiano przyjaźnił się z wujem od dzieciństwa. Chadzali razem na ryby. Potem don Casto wyjechał na Kubę. Wuj Ramón w kółko opowiadał mi tę historię... – Pan Balbín nie zapytał, czy mam ochotę jej wysłuchać, uznał to za oczywiste. – Kiedy don Casto wrócił, czasem wybierali się razem na ryby, jak za dawnych lat, chociaż mój wuj sympatyzował z anarchistami z CNT, ale nie zwracali na to uwagi. Nadal byli przyjaciółmi, jak wtedy, kiedy byli mali. Kiedy czerwoni zaczęli strzelać w trzydziestym czwartym, wuj odsiedział swoje w więzieniu, a don Casto, który miał układy z gubernatorem prowincji, wyciągnął go w końcu z aresztu.

– Rozumiem, że pański wuj brał udział w powstaniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku?

– Tak... Był w gorącej wodzie kąpany, to prawda, ale był też dobrym człowiekiem. Mądrym i czytany, chętnie dzielił się ze mną swoją wiedzą. Kiedyś odwiedził „don Casta” – tak zaczął swoją przemowę, bo chociaż się przyjaźnili, traktowali się z wielkim szacunkiem... – „Don Casto, przyszedłem pana powiadomić, że piątego października wybuchnie strajk. Pan i pańska rodzina nigdy nie zrobiliście nic złego, więc ostrzegam, jako przyjaciel, i proszę, żebyście znaleźli się w bezpiecznym miejscu, bo niektórzy mówią nawet o zabijaniu księży i paleniu kościołów”. Don Casto przeraził się nie na żarty, co dziwniejsze, nie bał się o własne bezpieczeństwo, przestraszył się palenia kościołów. Zaczął wypytywać wuja o szczegóły, ale to nie wuj kierował tym ruchem i nie wiedział dokładnie, jak to wszystko się potoczy. Wiedział natomiast, i powiadomił o tym przyjaciela, że koledzy ze związku zamierzali pojechać do Oviedo i podłożyć ładunki pod katedrę, żeby wysadzić skarbiec.

Wuj opowiadał mi, że kiedy don Casto to usłyszał, cała krew odpłynęła mu

z twarzy. Podobno w tej katedrze było coś niezwykle ważnego, coś, czego nie wolno było stracić. Don Casto chwycił mojego wuja za ramię i zaczął mówić: „Don Ramonie, pan jest mądrym i dobrym człowiekiem, szanuję pana pomimo różnic światopoglądowych. Musi pan zrobić wszystko, żeby ci ludzie nie zniszczyli katedry. Są w niej skarby, o których ani panu, ani mnie nawet się nie śniło. Ale jeśli w tym barbarzyńskim impulsive ci ludzie naprawdę zechcą wysadzić katedrę w powietrze, musi pan zrobić coś bardzo ważnego. W skarbcu znajduje się przedmiot niecodziennej wartości, który należy za wszelką cenę ocalić”. O to mniej więcej go poprosił. A wuj Ramón obiecał, że to zrobi. Nie mógł wprawdzie zapobiec temu, by czerwoni wysadzili katedrę, ale ukradkiem wyniósł z niej skarb, który tak bardzo chciał ocalić don Ramón. Wuj twierdził, że według don Casta ten przedmiot miał umożliwić znalezienie mapy króla Alfonsa w kościele San Cristóbal.

– A co dokładnie wyniósł z katedry pański wuj?

Staruszek uniósł zakrzywiony palec i wskazał na przedmiot spoczywający na gzymsie kominka.

– Ten kamień.

Wstałem i podszedłem do kominka, żeby przyjrzeć się rzekomemu skarbowi. Na pierwszy rzut oka wyglądał na zwykły kamienny blok wielkości sporej książki. Na górze dostrzegłem relief w kształcie Krzyża Zwycięstwa, herb Królestwa Asturii. Pod nim widniała wypukła łacińska inskrypcja:

UT SOLLEMNIS REX FACERE

Spróbowałem ją przetłumaczyć, ale zdanie, tak jak zostało napisane, nie miało większego sensu. Zrozumiałem tyle, że mowa jest o zostawianiu królem i o zwyczaju, a może tradycji, ale zdanie nie składało się w całość. Miałem wrażenie, że napisał to ktoś, kto nie do końca władał łaciną.

– Panie Balbinie, czy wuj zdradził panu, do czego ma służyć ten przedmiot?

– Nie, bo sam tego nie wiedział. Chciał oddać ten kamień don Castowi, ale zanim zdążył to zrobić, nasz Indiano opuścił wioskę. Potem, na łożu śmierci, przekazał go mojemu ojcu, dlatego dziś należy do mnie. – Staruszek przeżuwał ostatnie winogrono z talerza z takim wysiłkiem, jakby musiał pogryźć coś bardzo twardego. Po chwili przełknął i powiedział: – Na ołtarzu z kościoła znajduje się ten sam symbol, ale bez łacińskiego napisu.

– A gdzie teraz jest ten ołtarz?

– Tam, gdzie zawsze, na krawędzi klifu. Kiedy przeniesiono kościół, w jego miejscu zbudowano pustelnię, żeby ochronić ołtarz.

– To ta pustelnia obok punktu widokowego, gdzie stoją ławki? – Staruszek pokiwał głową. – Chciałem do niej wejść, ale drzwi były zamknięte. Wie pan, kto ma klucz?

– Oczywiście, don Manuel, nasz proboszcz. Niestety nie mieszka w miasteczku. Plebania znajduje się w Llanes, ksiądz opiekuje się kilkoma okolicznymi parafiami. Przyjeżdża do nas tylko w niedzielę, żeby odprawić mszę.

Próbowałem ukryć rozczarowanie. Do niedzieli zostało jeszcze pięć dni, nie mogłem czekać tak długo.

– A wie pan może, jak mógłbym skontaktować się z proboszczem? Naprawdę zależy mi na tym, żeby zobaczyć ten ołtarz.

– Nie mam do niego telefonu, ale może pan zapytać jutro w barze, jego właściciel chyba ma numer. – Staruszek posłał mi szelmowskie spojrzenie. – Ale jeśli naprawdę chce pan zobaczyć ołtarz, powinien pan uważać.

– Na co?

– Na kulebry. Nie chciałby pan przecież, żeby pana pożarły, prawda?

Staruszek po raz kolejny się roześmiał. Jego śmiech zabrzmiał jak krakanie złowróbnego ptaka.

Tej nocy przyśniły mi się węże, wijące się wokół mojej głowy i rozpościerające błoniaste nietoperze skrzydła. Nad ranem zbudził mnie jakiś hałas. Wyrząłem przez okno, na zewnątrz rozpętała się gwałtowna burza. To grzmoty i błyskawice wyrwały mnie z sennych koszmarów.

Nawałnicy towarzyszyła ulewa. Zasnąłem znowu, kołysany uporczywym stukaniem kropli deszczu o dach.

Kiedy obudziłem się rano, po burzy nie pozostał ślad, ale niebo wciąż było sine, przytłoczone niskimi chmurami. Na zielone łąki, osnute tumanami mgły, nadal siąpił drobny asturyjski deszczyk.

Gospodarze podali mi sute śniadanie. Zapytałem, jak się zapatrują na krótkoterminową prognozę pogody. Oboje uznali jednogłośnie, że aura nie poprawi się przez cały dzień. A wieczorem, poinformowali lojalnie, najprawdopodobniej możemy się spodziewać kolejnej ulewy.

Po śniadaniu udałem się do baru, którego właściciele, jak sugerował pan Balbín, mieli numer do proboszcza. I rzeczywiście, niestety ksiądz nie odebrał. Postanowiłem bombardować go telefonami przez cały dzień.

Wyszedłem z baru i skierowałem swoje kroki do kościoła San Cristóbal. Wciąż nie miałem pojęcia, jak mógłbym dostać się do środka, ale postanowiłem poobserwować miejsce z nadzieją, że coś przyjdzie mi do głowy.

Znalazłem dyskretny punkt obserwacyjny na zalesionym wzgórzu. Stamtąd, posiłkując się lornetką, którą przezornie zabrałem z Madrytu, miałem doskonały panoramiczny widok na kościół i jego okolice.

Świątynia była otoczona kwadratowym ogrodzeniem. Zauważyłem dwie bramy, każdej z nich strzegł ochroniarz w uniformie firmy Wotan. Dwaj kolejni ochroniarze przechadzali się po placu budowy, a piąty trzymał straż u stóp rusztowań oplatających budynek. W pobliżu zaparkowano dwie ciężarówki z valknutem, domyśliłem się więc, że wewnątrz kościoła stacjonują niewidoczni dla mnie strażnicy.

Poza dwiema furgonetkami Wotanu ujrzałem również dwie spore kamionetki z logo Voynicha i trzy niewielkie samochody osobowe. Dzięki lornetce zdołałem zauważyć, że na ogrodzonym terenie panuje wielkie ożywienie: mężczyźni i kobiety w płaszczach przeciwdeszczowych i budowlanych kaskach wchodzili do kościoła i z niego wychodzili, ładowali na taczki jakieś skrzynki, które wozili do furgonetek

Voynicha. Zastanawiałem się, co jest w tych skrzynkach.

Rozpadało się na dobre. Teren wokół świątyni zmienił się w jedno wielkie grzęzawisko. Grupa pracowników zgromadziła się pod rusztowaniem i zaczęła zawzięcie dyskutować. Potem ruszyli do furgonetek i samochodów i odjechali. Zostało tylko dwóch ochroniarzy Wotanu pilnujących wejścia i trzeci, który patrolował cały ogrodzony plac budowy.

Przemokłem do nitki, postanowiłem więc zejść z posterunku. Wróciłem na rynecek i zajrzałem do baru. Chciałem napić się czegoś ciepłego i trochę podsuszyć ubranie. Okazało się, że wielu pracowników budowy wpadło na ten sam pomysł. Siedzieli w sali restauracyjnej, przy stoliku w głębi, i jedli obiad. Dyskretnie zająłem miejsce nieopodal, by móc słyszeć ich rozmowę.

– W taką ulewę nie da się pracować – powiedział jeden z nich. – Błoto jest zbyt grząskie.

– Podobno jutro pogoda ma się poprawić – zauważył drugi.

– Też tak słyszałem. Na razie ochrona zawiezie materiały, które pozyskaliśmy dzisiaj, na lotnisko w Avilés. W kościele zostawimy na noc trzech, może czterech ochroniarzy.

– A my?

– Wracamy do Oviedo. Na dziś fajrant. Weźmiemy się do roboty jutro rano, kiedy przestanie padać.

Potem zaczęli rozmawiać na tematy niezwiązane z pracami w kościele ani niczym, co mogłoby mnie zainteresować.

Zacząłem opracowywać plan dostania się do środka. Być może nadto prosty i szalony, z góry skazany na niepowodzenie, ale nie miałem obok nikogo, z kim mógłbym przedyskutować jego wady i zalety, postanowiłem więc wcielić go w życie.

Deszcz, który, jak usłyszałem, miał lać aż do wieczora, był moim sprzymierzeńcem. Potrzebowałem też samochodu (miałem) oraz nowych ciuchów. Po nie musiałem udać się do Llanes. Nabyłem tam czarne spodnie i sweter tego samego koloru, podobny do stroju noszonego przez personel Wotanu.

Kiedy byłem Poszukiwaczem, Bańka często naśmiewał się z mojej słabości do przebieranek. Muszę przyznać, że nie brakowało mu racji.

W Llanes miałem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Z początku było to tylko nieśmiałe przeczucie, ukłucie w kark czyjegoś ukradkowego spojrzenia. Gdy się jednak rozglądałem, dostrzegałem wokół tylko przypadkowych, zupełnie niewinnie wyglądających przechodniów.

Wracając do San Cristóbal de Bayura, próbowałem się zorientować, czy śledzi mnie jakiś samochód. Wiele wozów jechało w tym samym kierunku, ale prawie wszystkie mnie wyprzedziły. Kiedy dotarłem do miasteczka, tylko dwa jechały za mną.

Zatrzymałem się na ryneczku, niedaleko baru. Jeden z wozów pojechał dalej, drugi zaś, niewielki jeep, zaparkował za mną. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni z brodami i w zapiętych kurtkach. Wyglądali mi na myśliwych. Weszli do baru, rozmawiając, i straciłem ich z oczu.

Próbowałem sobie wytłumaczyć, że jestem po prostu zdenerwowany i wyobraźnia

podsuwa mi paranoiczne podejrzenia. Nikt mnie nie śledził, nikogo nie interesowały moje poczynania. Wróciłem do swojego pokoju w Los Sabugos, powtarzając to sobie wielokrotnie, żeby się uspokoić.

Spędziłem resztę dnia w domu, prawie nie wychodząc z pokoju. Wieczorem zszedłem do jadalni na kolację. Pana Balbina nie było, ale, ku mojemu zaskoczeniu, przy jednym ze stołów zastałem dwóch domniemych myśliwych. Nie spodobało mi się to wcale a wcale.

Zapytałem moich gospodarzy o tych nowych gości. Pozornie nie powinni budzić podejrzeń: dwóch przyjaciół z Kantabrii, miłośników przyrody, wynajęli pokój do końca tygodnia, żeby odwiedzić urokliwe zakątki w tej okolicy. Zwykli przyjeżdżać tu co roku, mniej więcej o tej porze, wyjaśnili mi gospodarze.

Skończyłem kolację, wróciłem do pokoju i czekałem do północy. Dopiero wtedy wsiadłem do samochodu i udałem się do kościoła San Cristóbal, całkowicie skupiony na zadaniu.

Lało jak z cebra, co sprzyjało moim planom. Znów przyczałem się na wzgórzu i upewniłem, że po placu budowy kręci się tylko trzech ochroniarzy Wotanu. Dwóch było rozstawionych w narożnikach ogrodzenia i pilnowało bramy, trzeci stał pod rusztowaniami. Przyglądałem się im odpowiednio długo, żeby się upewnić, że prócz tych trzech mężczyzn na terenie budowy był tylko jeszcze jeden ochroniarz, patrolujący wnętrze kościoła. Od czasu do czasu strażnik pełniący wartę w środku wychodził, żeby zamienić się na miejsca z kolegami. W sumie: czterech ochroniarzy. A właściwie trzech, jeśli mój plan się powiedzie i zdołam jednego wyłączyć z gry na samym początku.

Wróciłem do samochodu i odjechałem na skraj lasu okalającego łąkę, na której stał kościół. Po chwili manewrowania udało mi się utknąć jednym kołem w szczelinie.

Teraz nadszedł czas na najmniej przyjemną część planu. Wyjąłem nóż i rozciąłem sobie czoło. Pozwoliłem, żeby krew ciekła mi po twarzy, a po chwili wytarłem ją niedbale. Miałem nadzieję, że wyglądam dość żałośnie. Kiedy skończyłem makijaż, w strugach deszczu udałem się pieszo w kierunku kościoła.

Kilka metrów przed ogrodzeniem ochroniarz Wotanu skierował na mnie snop światła latarki.

– Proszę pana! – krzyknąłem. – Czy mógłby mi pan pomóc? Miałem wypadek...

– To teren strzeżony. Proszę stąd odejść.

– Bardzo bym chciał, ale niestety nie mogę – jęknąłem. Zdawało mi się, że mój występ w roli przerażonego kierowcy zagubionego w środku nocy na odludziu wypadł całkiem nieźle. – Mój samochód ugrzązł w błocie, nie mogę ruszyć. Telefon nie łapie zasięgu. Gdyby mógł mi pan pomóc popchnąć wóz, może udałoby się nam wyciągnąć go z błota.

– Gdzie jest ten samochód?

– O tam. Na skraju lasu.

Strażnik chwilę się wahał. W końcu sięgnął po zatknięte za pas walkie-talkie i zaczął wołać kogoś z partnerów.

– Tango Północ, Tango Północ. Słyszysz mnie? Odbiór. – Miał niski głos.

Zapamiętałem to sobie.

– Tango Południe. Słyszę cię. Odbiór – odpowiedź była ledwie słyszalna na tle szumu urządzenia.

– Muszę na chwilę oddalić się ze stanowiska, żeby coś sprawdzić.

– Zrozumiano. Potrzebujesz zmiany?

– Nie, będę niedaleko, nie stracę wejścia z oczu. Bez odbioru.

Mężczyzna schował nadajnik i powiedział, żebym zaprowadził go do auta. Poszedł za mną do miejsca mojego upozorowanego wypadku i rozejrzał się, żeby ocenić sytuację.

– Widzi pan? – Pokazałem przednie koło. – Wpadłem w poślizg i ugrzązłem. Może udałoby mi się podnieść koło lewarkiem, ale potrzebuję pomocy.

– Ma pan lewarek?

– Tak, w bagażniku.

– Dobrze. Niech pan go wyjmie.

Poszedłem na tył samochodu i otworzyłem bagażnik. Zapuściłem żurawia do środka, udając, że czegoś szukam.

– Chyba nie dam rady go wyjąć – wyjąkałem. – Mógłby mi pan pomóc?

Ochroniarz skrzywił się, ale zbliżył do mnie i zajrzał do bagażnika.

– Przecież tu nic nie ma. Nie widzę żadnego...

Nacisnąłem klapę gwałtownie, tak że uderzyła gościa w tył głowy. Upadł w błoto, nie zdoławszy dokończyć zdania. Na zamku dostrzegłem niewielką plamę krwi. Pochyliłem się nad nieprzytomnym, aby się upewnić, że żyje. Ważną część treningu Poszukiwacza stanowi unieszkodliwianie rywala na tyle skutecznie, by pozbawić go przytomności, ale nie życia. Wbrew pozorom to niełatwa sztuka, ale miałem najlepszego nauczyciela. Bańka byłby ze mnie dumny.

Zaciągnąłem nieprzytomnego ochroniarza pod drzewa, związałem mu nadgarstki i kostki, zakneblowałem. Wziąłem jego krótkofalówkę i czapkę. Potem, już w samochodzie, zmieniłem mokre ubranie na ciuchy zakupione w Llanes. Włożyłem czapkę strażnika i przejrzałem się w lusterku wstecznym. Tak, w tych egipskich ciemnościach i deszczu z pewnością będę wyglądał na pracownika Wotanu. Na wszelki wypadek nie miałem zamiaru pozwolić, żeby ktokolwiek przyglądał mi się zbyt uważnie.

Wróciłem do wejścia na teren budowy i włączyłem nadajnik.

– Tu Tango Północ – powiedziałem, siląc się na niski głos. Miałem nadzieję, że brzmieć podobnie jak facet, którego zostawiłem na skraju lasu. – Wracam na stanowisko. Wszystko w porządku. Odbiór.

– Tu Tango Południe. Przyjąłem. Bez odbioru.

Na razie nie mogłem narzekać, wszystko szło zgodnie z planem.

Stałem przy wejściu jeszcze kilka minut, żeby się upewnić, że nie widzi mnie żaden z ochroniarzy. Potem ukradkiem przemknąłem się na teren budowy.

Czarna sylwetka kościoła otoczonego rusztowaniami i przykrytego płachtą ochronną mokła w strugach deszczu. Przy wejściu do świątyni stał jeden z pracowników Wotanu. Kiedy mnie zauważył, uniósł dłoń w geście pozdrowienia, odpowiedziałem mu tym samym. Poszedł dalej, a w końcu zniknął za rogiem. Podbiegłem wtedy co sił w nogach, żeby schronić się w bezpiecznych ciemnościach pod rusztowaniami.

Szczęśliwym trafem płachta była w tym miejscu rozdarta. Natychmiast

prześlizgnąłem się przez szparę, zanim ochroniarz, który przed chwilą mnie pozdrowił, zdążył ukazać się w polu widzenia.

Stałem tak pomiędzy siatką ochronną a kamienną fasadą kościoła. Dostrzegłem drewniane wrota – otwarte – a za nimi wnętrze świątyni. Na palcach wszedłem do środka, spodziewając się, że w każdej chwili mogę się natknąć na kolejnego strażnika.

Nie było go widać.

Odważyłem się zrobić kilka kroków w głąb. Gdzieś zauważyłem przymocowane do podłogi listwy z żarówkami, dzięki którym wewnątrz nie było zupełnie ciemno. I nawet w tym skromnym oświetleniu od razu rzuciło mi się w oczy coś zdumiewającego.

Kościółowi brakowało górnej części struktury oraz praktycznie całego prezbiterium. Mur z grubo ciosanych kamieni wznosił się na wysokość pięciu, może sześciu metrów, a potem zniknął, zastąpiony przez żelazne rusztowania utrzymujące płachtę.

Kamienne bloki tworzące kiedyś absydę i dach stały poukładane w stosy w całym kościele. Było też sporo skrzyń z logo Voynicha. Podeszedłem do jednej ze stert i zobaczyłem, że wszystkie kamienie są ponumerowane za pomocą specjalnego kodu. Zajrzałem do stojącego obok pudła. Znalazłem w nim starannie ułożone kamienne bloki zabezpieczone styropianem.

Na boku skrzyni naklejono etykietkę. Przeczytałem: „Ściana północna. Sek. 2F/Rz. 45–65”. Niżej widniał napis: „Lotnisko Avilés – Madryt – Caracas – La Victoria. OTWORZYĆ DOPIERO NA MIEJSCU”. Zauważyłem, że na pozostałych pudłach naklejono podobne etykietki.

Widziałem kiedyś różne prace konserwatorskie, ale to, co tu zastałem, w niczym ich nie przypominało. Miałem wrażenie, że nikt nie restauruje kościoła, lecz...

Nagle doznałem olśnienia.

Skrzynie, numerowane bloki kamienia, brak prezbiterium i dachu, obecność ochroniarzy Wotanu strzegących miejsca przed intruzami. Voynich wcale nie remontował kościoła, on go demontował i wywoził, kamień po kamieniu.

Zrozumiałem w mig, że to o tych właśnie skrzyniach rozmawiali w barze pracownicy Voynicha. Skrzynie pełne kamiennych bloków, które zostaną przetransportowane na lotnisko w Asturii, a potem wywiezione z kraju. Miałem do czynienia z rabunkiem na wielką skalę, podobnym do tych popełnianych przez LeZiona czy Williama Hearsta. Ci ludzie w absolutnej tajemnicy kradli cały kościół.

Najpierw wizygocki manuskrypt, teraz asturyjska świątynia. Te dwie sprawy z pewnością były powiązane. Voynich najwyraźniej czegoś szukał. Ale co to było? Musiałem jeszcze trochę powęszyć i zdobyć więcej informacji, zanim zawiadomię o tym Narodowy Korpus Poszukiwaczy... a raczej to, co z niego zostało.

Krażyłem po świątyni w poszukiwaniu kolejnych śladów. Tuż obok skrzyżowania naw zauważyłem stolik, a na nim laptop (Voynicha oczywiście). Spróbowałem go włączyć, ale potrzebne było hasło. Z boku tkwił niewielki pendrive z logo firmy – gwiazdą o czerwonych i niebieskich wierzchołkach.

Kradzież laptopa z pewnością zaalarmowałaby pracowników, miałem jednak

nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na brak małego pendrive'a. Miałem zamiar zbadać jego zawartość później. Nawet jeśli dostępu broniło hasło, Yokai z pewnością zdoła złamać zabezpieczenie.

Akurat kiedy wkładałem pendrive do kieszeni, jeden z ochroniarzy Wotanu wszedł do kościoła. Zaświecił mi w twarz latarką, zanim zdołałem zrobić najmniejszy ruch.

– Stać! – krzyknął. – Nie ruszaj się!

A potem wyjął pistolet i wystrzelił.

Indiano – potoczne określenie Hiszpana, któremu powiodło się w Ameryce.

[\[wróć\]](#)

OLTARZ

Huk wystrzału rozległ się dokładnie w chwili, kiedy przewróciłem stół i schowałem się za nim. Kula otarła się o blat, rozpryskując kawałki forniru. Zrozumiałem, że ludzie z Wotanu nie będą tracić czasu na przesłuchiwanie mnie. I raczej nie biorą jeńców.

Ochroniarz strzelił znowu, tym razem na oślep. Kula przeszła przez blat trochę powyżej mojego prawego ramienia, zostawiając w stole dziurę.

Nagły wyrzut adrenaliny zalał mi mózg. Chwyciłem stół, który na szczęście okazał się dość lekki, i używając go jako tarczy, rzuciłem się na napastnika. Zaskoczenie na chwilę sparaliżowało ochroniarza, być może jego trening nie uwzględniał obrony przed atakiem dokonywanym za pomocą mebli, tak czy owak – udało mi się go uderzyć. Obaj wylądowaliśmy na podłodze, on przygnieciony blatem, ja zaś na górze, napierając na niego całym ciężarem ciała.

Ochroniarz, który mógł poruszać tylko rękami, chwycił mnie za twarz. Jego kciuki zaczęły wędrować po moich policzkach w poszukiwaniu oczodołów. Puściłem stół i walnąłem go pięścią w grdykę. Cios okazał się na tyle silny, że na chwilę zabrakło mu tchu. Puścił moją głowę, a ja wykorzystałem okazję i rzuciłem się do ucieczki. Mężczyzna uwolnił się spod stołu i ruszył za mną. Po chwili znów obaj potoczyliśmy się po podłodze.

Walnąłem go pięścią jeszcze raz, zbyt słabo, by wyrządzić mu jakąś krzywdę. Oddał mi. Jego knykcie, twarde jak stal, zmiażdżyły mi wargi. Na podniebieniu poczułem smak krwi.

Próbowałem nie zwracać uwagi na ból. Za wszelką cenę chciałem sięgnąć po pistolet, który wypadł mu z ręki, kiedy uderzyłem go stołem. On starał się zrobić to samo, przez chwilę walczyliśmy o to samo trofeum, znajdujące się zaledwie kilka kroków od nas. Moje wysiłki, podobnie jak jego, koncentrowały się nie tylko na przejęciu broni, ale również na tym, by rywal nie zdołał tego dokonać. Prawie musnąłem pistolet palcami, ale nie udało mi się go chwycić.

W końcu to ochroniarz zdołał go podnieść. Przytrzymał go oburącz i wycelował mi w czoło. Na chwilę mnie puścił, a ja wykorzystałem ten moment, żeby wbić mu łokieć w żołądek. Zdołał wprawdzie oddać strzał, ale zginając się wpół, nie mógł wycelować. Kula przeleciała daleko od mojej głowy.

W walce na śmierć i życie człowiek zapomina o zasadach *savoir-vivre*'u i godności. Wymierzyłem cios kolanem prosto w krocze napastnika, jakbym chciał zmiażdżyć mu jaja, jednocześnie ugryzłem go w rękę, w której trzymał broń. Zdawało mi się, że czuję w ustach smak jego krwi. Facet zawył jak zwierzę w rzeźni i puścił pistolet.

Odepchnąłem zwijającego się z bólu ochroniarza. Już miałem sięgnąć po broń, kiedy do kościoła wpadło dwóch kolejnych pracowników Wotanu. Otworzyli ogień. Ledwo zdołałem ukryć się za stosem kamiennych bloków. Poczułem ból kłuszący mnie

w ramię. Na szczęście kula tylko mnie drasnęła.

Zostałem zapędzony w kozi róg, nie mając innej broni poza kamiennymi blokami, które ledwo mogłem unieść. Moje szanse na wydostanie się stamtąd w jednym kawałku malały.

Postanowiłem nie dać Wotanowi tej satysfakcji. Nie chciałem, żeby mogli opowiadać, jak to Tirso Alfaro, dawny Kawaler Poszukiwacz, został zastrzelony, chowając się jak tchórz za stertą kamieni.

Wyjąłem jeden z najlżejszych kamieni i cisnąłem w stronę ochroniarza. Trafiłem w kolano. Rozległ się nieprzyjemny trzask i facet runął na podłogę, miotając najgorszymi przekleństwami. Jego towarzysz zaczął strzelać, ale zdążyłem znów się schronić w mojej kryjówce. Kula odbiła się od ściany i trafiła w niewielki agregat prądotwórczy. Światła pogasły, kościół zatonął w mroku.

Wiedziałem, że muszę wykorzystać ten niespodziewany uśmiech losu. Wypadłem z kryjówki i puściłem się pędem do wyjścia. Strażnik, który dopadł mnie pierwszy, rzucił mi się na plecy. Znałem sztuczkę, żeby się uwolnić, i natychmiast ją zastosowałem: z całej siły kopnąłem napastnika między nogi, bo ta okolica, jak podejrzewałem, musiała być już mocno nadwyrężona. Doprawiłem jeszcze, waląc go łokciem w szczękę.

Gość wrzasnął i puścił mnie. Biegłem dalej. Z każdym krokiem plułem krwią i czułem tak intensywny ból ramienia, jakby ktoś parzył mnie ogniem. Udało mi się dopaść do wyjścia. Znalazłem się z powrotem w strugach deszczu. Niestety, poślizgnąłem się w błocie i wylądowałem twarzą w kałuży.

Dwaj strażnicy wybiegli z kościoła i rzucili się na mnie. Trzeci, którego zraniłem w kolano, wyszedł, kuśtykając. Miał w ręku pistolet. Dwóch pierwszych uniosło mnie za ramiona i zaczęło walić w brzuch. Do oczy napłynęły mi łzy. Poczulem koszarne mdłości. Miałem wrażenie, że któryś z organów wewnętrznych za chwilę wypłynie mi przez nos.

Walka była nierówna. Ich było trzech, a ja sam, oślepiiony przez deszcz i błoto. Jeden z napastników chwycił mnie za ramię i poczułem ostre szarpnięcie bólu. Nie mogłem nawet krzyknąć, bo po tych wszystkich ciosach w żołądek brakowało mi tchu.

Uderzyli mnie w twarz. Znów upadłem, tym razem na plecy. W ustach i nosie poczułem grząskie lepkie błoto. Strażnik, który mnie przewrócił, wbił mi podeszwę buciora w pierś. Byłem już zbyt wyczerpany i obolały, żeby stawiać poważny opór.

Nagle zobaczyłem przed sobą lufę pistoletu. Sama myśl o śmierci nie bolała mnie tak bardzo jak to, że miałem umrzeć zakrwawiony, utyłany w błocie i przyciśnięty do ziemi butem gościa, któremu dwa razy przyłożyłem w jaja.

Ciszę rozdarł niespodziewanie odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu. Część siatki okalającej kościół rozpadła się, kiedy uderzyła w nią maska jeepa. Wóz zahamował gwałtownie i wypadło z niego dwóch mężczyzn uzbrojonych w broń myśliwską.

Jeden z nich bez słowa rąbnął rękojeścią sztucera w twarz strażnika, który mnie unieruchamiał. Potem wycelował mu w głowę. Jego towarzysz złapał mnie za kark i pociągnął do samochodu. Zostawił mnie tam, a potem wycelował strzelbę w strażników Wotanu, znieruchomiłych ze zdumienia.

Pomimo niesprzyjających okoliczności i straszliwego bólu, jaki odczuwałem,

rozpoznałem tych dwóch mężczyzn. Byli to wielbiciel natury i pieszych wycieczek, którzy jedli ze mną kolację w Los Sabugos.

– To nasza zwierzyna – powiedział ten, który zostawił mnie przy jeepie. – Macie coś przeciwko temu?

Ochroniarze Wotanu też mieli broń. Obie grupy stały nieruchomo, celując w siebie nawzajem, niczym kowboje z Dzikiego Zachodu na chwilę przed śmiertelnym pojedynkiem.

– Kim wy w ogóle jesteście? – zapytał jeden z pracowników Wotanu.

– Turystami.

– Jest was dwóch, a nas trzech.

– To strzelaj. Kiedy skończymy, zobaczymy, kto zostanie. Jesteś pewien, że to będziesz ty? – Ochroniarze się nie ruszali, a tamten rzucił do mnie przez ramię: – Wsiadaj do samochodu.

Posłuchałem. Moi porywacze zajęli miejsca z przodu. Ruszyliśmy, rozpryskując błoto. Ochroniarze zaś rzucili się biegiem do kościoła.

Jeep wjechał w niewielki lasek. Mężczyźni nie odzywali się, skupieni na drodze.

– Dziękuję – powiedziałem. – Mogę wiedzieć, kim jesteście?

– Uciśnij ranę na ramieniu – odburknął mężczyzna siedzący na miejscu pasażera i rzucił mi niewielki ręcznik. – Ubabrzysz mi tapicerkę.

Nie byli mili. Złapałem ręcznik i posłusznie zrobiłem, co mi kazał. Na ramieniu, blisko obojczyka, miałem krwawiący ślad po kuli, która drasnęła skórę. Rana nie wydawała się poważna. Inwentarz moich uszkodzeń ciała zamykał się w spuchniętym policzku, rozciętej wardze i kiwającym się zębem. A wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej.

Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera wyjął komórkę i wybrał numer. Nie miałem pojęcia, z kim rozmawia.

– Mamy go... Tak... Zgubiliśmy go na chwilę, kiedy wyszedł z pensjonatu, ale potem znaleźliśmy samochód na skraju lasu. Załatwił jednego z ochroniarzy na cacy...

– Facet zaśmiał się głośno. – Tak, zdaje się, że nie bawi się w półśrodki. Potem wdał się w bójkę z pozostałymi ochroniarzami pilnującymi kościoła i musieliśmy interweniować, zanim zrobiło się naprawdę nieciekawie. Nie, nic mu nie jest, trochę poobijany, ale nic poważnego... Dobrze. Zaraz będziemy na miejscu.

Rozłączył się i znów pogrążył w milczeniu.

– Dokąd mnie wieziecie?

Nie doczekałem się odpowiedzi.

Po chwili trasa wydała mi się znajoma. Najwyraźniej kierowaliśmy się do gospodarstwa agroturystycznego Los Sabugos. Kiedy zaparkowaliśmy przed domem, kazali mi wysiąść, a potem odprowadzili do środka.

W jadalni ktoś na mnie czekał. Kobieta. Kiedy zobaczyła, że wchodzimy, odwróciła się, wstała i podeszła do mnie.

– Pan Tirso Alfaro, jak mniemam. Dawny Kawaler Poszukiwacz, obecnie agent Interpolu. Muszę przyznać, że w czerni bardzo ci do twarzy.

– Enigma?

Uśmiechnęła się. Zobaczyłem iskierki tłące się w jej zielonych oczach elfa.

– Dobry wieczór, kochanie.

Podobno śledziła moje poczynania, odkąd wylądowałem w San Cristóbal de Bayura. Może nie osobiście, lecz za pośrednictwem swoich dziwnych znajomych, rzekomych adeptów ekoturystyki i wielbicieli natury. Jeden miał na imię Juan, drugi Pedro. Enigma nazywała ich „starymi przyjaciółmi”. Obaj przekazywali jej dokładne meldunki o wszystkich moich poczynaniach, które ona przyjmowała, nie ruszając się z pokoju w Los Sabugos. Zawstydzilem się, że nie zdałem sobie sprawy z całej tej intrygi, ale Enigma powiedziała:

– Słoneczko, kiedy ty oprowadzałeś wycieczki po muzeum w Canterbury, ja miałam już wieki doświadczenia w śledzeniu innych na zlecenie Narvaeza. Jestem profesjonalistką, musiałby się stać jakiś cud, żebyś mnie odkrył.

Teraz, kiedy wszystko wyszło na jaw, nie potrzebowała dłużej pomocy Juana ani Pedra. „Starzy przyjaciele” zostawili nas samych. Żegnając się ze mną, starali się być sympatyczniejsi niż przedtem.

– Uroczy są, prawda? – powiedziała Enigma, kiedy odeszli. – Znam wiele osób, które podejmują się rozmaitych zadań za pieniądze i nie zadają zbędnych pytań, ale oni są najlepsi.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Niewiele się zmieniła od naszego ostatniego spotkania. Może tylko jej rude włosy były teraz krócej podcięte.

– Dlaczego mnie śledziłaś?

– Nie śledziłam cię, słoneczko. Opiekowałam się tobą. To nie to samo. Wynajęłam Juana i Pedra, żeby mi pomogli chronić twój tyłek. Yokai powiedział mi o wszystkim, obaj z Omegą uznali, że szaleństwem by było pozwolić ci działać w pojedynkę. I mieli rację.

– Yokai...?

– Och, tak, tylko on wie, gdzie mnie znaleźć. Uwielbiam tego chłopca. I filmiki, które mi przesyła. Ostatnio wysyła mi zwierzęta, które robią to samo co ludzie. Wiesz, koty grające na pianinie, psy prowadzące samochód. – Enigma przymrużyła oczy i zamyśliła się. – Zastanawiam się, jak to robią. Psy są bardzo mądre, to oczywiste, ale koty... Jak można nauczyć kota grać na pianinie? Przecież to takie antypatyczne stworzenia. Bardzo nie lubię kotów.

No tak, bez dwóch zdań miałem do czynienia z tą samą Enigmą co zawsze, gubiącą się w płątaniu własnych myśli, niezależnie od tego, czy rozmówca w ogóle coś z nich rozumiał. Uznałem, że powinienem przerwać tę kocia dygresję.

– Nie pojmuję jednego: skoro Yokai poprosił cię, żebyś mi pomogła, dlaczego po prostu nie skontaktowałaś się ze mną, kiedy przyjechałem? Tak byłoby o wiele prościej.

– Szczerze? Nie byłam pewna, czy mam ochotę cię widzieć.

– Co? – zapytałem ze zdumieniem. – A to dlaczego?

– Bo jestem na ciebie obrażona. Przeszedłeś na stronę stróżów prawa, opuściłeś Yokaiego, zostawiając go w rękach bliźniaków...

– To akurat był twój pomysł.

– Ale mógłbyś chociaż zainteresować się od czasu do czasu, co się z nim dzieje. On cię podziwia, Faro. I czuje, że go porzuciłeś. Postąpiłeś bardzo źle.

– Nie wiem, kiedy dokładnie stałem się przyszywanym ojcem dojrzewającego hakera?

– Zdziwiał mnie twój egoizm. Może myślisz, że twoje postępowanie nikogo nie obchodzi, na nikogo nie ma wpływu. I mogę to zrozumieć, bo zawsze byłeś sam. Ale to się zmieniło. – Enigma spuściła wzrok. – Teraz niektórzy ludzie czują się oszukani, kiedy porzucasz ich, jakby nic dla ciebie nie znaczyli.

– Yokai wcale nie czuje się oszukany – starałem się bronić, nieco oszołomiony tymi zarzutami. – Ma swój kanał na YouTube...

Enigma westchnęła, zniecierpliwiona.

– Daj spokój. Oczywiście jak zwykle nic nie rozumiesz.

– No cóż, pamiętasz, że zawsze ci powtarzałem, jak trudno cię od razu zrozumieć – powiedziałem pojednawczym tonem.

– Prawda. – Na jej wargach pojawił się smutny uśmiech. – Tęskniłam za tobą, Faro.

– A ja za tobą.

– Nie dziwię się, o mnie trudno zapomnieć. Czemu się nie odzywałeś przez cały ten czas? Ucieszyłabym się, gdybyś dał znać, jak ci leci w nowej pracy.

– Nie mogłem. Myślenie o tym, co za sobą zostawiam, było dla mnie zbyt trudne. Musiałem się odciąć, żeby móc żyć dalej.

– Powinieneś mi to wytłumaczyć. Zrozumiałabym.

– Tak, przyznaję, popełniłem błąd. Przepraszam. – Enigma milczała. Może była to jej mała zemsta, chciała, żebym trochę pocierpiał, zanim mi wybaczy. Postanowiłem zmienić temat, zanim cisza stanie się bardziej kłopotliwa. – To prawda, że odeszłaś z Korpusu?

– Kilka miesięcy temu.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Przestało mnie to bawić. Poza tym nie chciałam być dłużej podwładną Alzagi, który wyrzucił najlepszych członków Korpusu. Czułam, że to już koniec, i uznałam, że nie ma na co czekać.

– Nie chciałaś iść na dno z tonącym okrętem?

– Nie miałam ku temu żadnych powodów. Nie oddam życia w imię lojalności, to raczej cecha Bańki, dobrego żołnierza. Korpus Poszukiwaczy, jaki znałam, to był ten zarządzany przez Staruszka. Alzaga rozwalił go od środka. Nie mogłam już na to patrzeć, więc odeszłam.

– I nie tęsknisz za Piwnicą?

– Tęsknię. Codziennie. Poza tym Bańka chyba mi nie wybaczył. A jeszcze potem ta historia ze zniknięciem Danny. Chyba myśli, że stchórzyłam.

– Widzę, że nie tylko ja mam tu sobie coś do zarzucenia – zauważyłem złośliwie.

– Podejrzewam, że nie – odrzekła Enigma, nieco zmieszana. – Teraz, kiedy o tym myślę, zdaje mi się, że nie mam prawa się na ciebie gniewać. Ale w zamian ty musisz mi powiedzieć, w jakież to absurdalne poszukiwania wplątałeś się tym razem.

– Dlaczego sądzisz, że czegoś poszukuję?
– Bo zawsze to robisz, słońce. Jesteś jak rekiny, które nie przestają pływać nawet wtedy, kiedy śpią. – Enigma zamilkła na chwilę. – Lubię rekiny. O wiele bardziej niż koty.

I tak oto koło się zamyka, pomyślałem rozbawiony.

Opowiedzenie Enigmie o wszystkim, co mi się przydarzyło od czasu, gdy spotkałem Bańkę w Londynie, zajęło mi dobrą chwilę. Kiedy skończyłem, wymieniliśmy się spostrzeżeniami dotyczącymi ostatnich wydarzeń.

Enigma, podobnie jak ja, przeczuwała, że Voynich realizował jakiś plan, a kradzież mezogockiego rękopisu oraz demontaż kościoła San Cristóbal stanowiły część tego projektu, nazywanego przez nich Projektem Lilith. Oczywiście prawdziwym celem było coś o wiele mniej niewinnego niż kulturowy mecenat. Podejrzenia Enigmy szły nawet dalej niż moje.

– A może to wszystko jest ze sobą powiązane? – zaczęła zastanawiać się na głos.
– Nie mówię tylko o tym, co się dzieje tutaj czy zdarzyło się w Londynie. Mówię o wszystkich okazjach, kiedy Voynich wchodził nam w drogę. Poszukiwanie Stołu Salomona, to, co zaszło w Mali. Może to wszystko elementy tego tajemniczego Projektu Lilith.

Nie przekonywało mnie to. Jej rozumowanie nazbyt przypominało mi jedną z tych teorii spiskowych, według których człowiek nigdy nie wylądował na Księżycu, a rząd kontroluje nasze umysły za pomocą telefonów komórkowych.

– Ale co to mogłoby mieć na celu? – zapytałem.

– Nie wiem. Coś bardzo ważnego. I ściśle tajnego. Na tyle, że są gotowi zabić każdego, kto spróbuje im przeszkodzić. Tak jak zrobili ze Skrzydłowym.

– Nic nie wskazuje na to, że jego śmierć miała jakiś związek z Projektem Lilith.

– Danny sądziła inaczej. Wiem, że zanim zniknęła, badała wątek udziału Voynicha w tym zabójstwie.

– Teraz, kiedy o tym wspominasz, coś mi przyszło do głowy – powiedziałem.

– Kiedy rozmawiałem z Silvią, dowiedziałem się, że siedziba Voynicha znajduje się w Kalifornii. Bańka twierdzi, że jego siostra tam właśnie się wybierała.

– Do Kalifornii?

– Owszem. Zastanawiam się, czy nie postanowiła przenieść śledztwa do samej, by tak rzec, jaskini lwa.

Enigma się zamyśliła.

– Nie wpadłabym na to. Ale, cóż, te podejrzania mają sens. Zniknięcie Danny bardzo mnie zmartwiło. Zaczęłam nawet się obawiać, że może nie ma z nią kontaktu niekoniecznie z jej własnej woli.

– Uważasz, że... – z trudem przyszło mi dokończenie tego zdania – mogło się jej stać coś złego?

– Mam nadzieję, że nie. W przeciwnym wypadku już byśmy o tym wiedzieli. Złe wiadomości roznoszą się zwykle lotem błyskawicy.

Enigma miała rację, chociaż wolałbym dysponować solidniejszymi dowodami na

to, że Danny jest bezpieczna.

Niestety nie mogliśmy zrobić dla niej nic poza martwieniem się o nią, więc odłożyliśmy to na inną okazję.

Zaczęliśmy rozmawiać o tym, co zastałem w kościele, i pokazałem Enigmie znaleziony pendrive. Zgodziliśmy się, że należy jak najszybciej zbadać jego zawartość, udaliśmy się więc do mnie, żeby podłączyć go do laptopa, którego przywiozłem z Madrytu.

Kiedy wszedłem do pokoju, lustro przy łóżku ukazało mi całą gamę obrażeń. Zobaczyłem też wielką czerwoną plamę na ramieniu. Otarcie po kuli wciąż krwawiło.

Enigma włączyła laptop, ja zaś poszedłem do łazienki i zdjąłem sweter. Znalazłem niewielką apteczkę z zestawem pierwszej pomocy. Starannie oczyściłem ranę, upewniając się, że nie jest głęboka. Chciałem ją zakleić plasterkami, ale kiedy dotknąłem ramienia, przeszył mnie świdrujący ból i kilka fiolek z lekarstwami spadło na podłogę. Enigma, zaalarmowana hałasem, weszła do łazienki.

Zastawszy mnie przed lustrem, zapytała:

– Czy w czymś przeszkodziłam?

– Pomóż mi, proszę. Muszę jakoś zatamować to krwawienie, zanim zacznę przypominać Sissy Spacek w scenie balu maturalnego z *Carrie*. – Uważnie przyjrzałem się ranie. – Nie wiem, może powinienem pójść z tym do lekarza.

– Daj mi rzucić okiem. – Enigma stanęła za moimi plecami i nachyliła się nad ramieniem. Jej włosy połaskotały mnie w szyję. – To nic poważnego. Wystarczy porządnie zdezynfekować i opatrzyć, żeby zatrzymać krwawienie. Podaj mi, proszę, spirytus i gaziki.

Wylała trochę alkoholu na gazik i przytknęła do rany. Syknąłem z bólu.

– Uważaj. Strasznie szczypie!

– Mój bohater – mruknęła złośliwie. Oczyściła ranę i przykryła ją gazikami, a potem zabandażowała. Z zadowoleniem przyjrzała się swojemu dziełu w lustrze. – Gotowe! Swoją drogą, widzę, że ktoś tu robi dobry użytek z karnetu na siłownię.

Poczułem, jak płoną mi policzki. Nie był to pierwszy raz, kiedy Enigma widziała mnie w skąnym odzieniu (ostatnio podczas partyjki karcianej na pokładzie statku płynącego do Afryki), ale wtedy nie byliśmy sami. Poza tym teraz taksowała mnie bardzo uważnym wzrokiem. Poczułem się strasznie nagi.

Szybko naciągnąłem sweter i wyszedłem z łazienki, żeby znaleźć się trochę dalej od Enigmy. Nie chciałem dłużej czuć jej oddechu na skórze, bo traciłem panowanie nad sobą.

– Zaczekaj – rzuciła za mną. – Masz poharatany policzek. I powinieneś przemyć spirytusem tę rozciętą wargę.

Wyobraziłem sobie jej palce na moim policzku i wargach i zrobiłem się jeszcze bardziej czerwony. Ta reakcja koszmarnie mnie zawstydziała.

– Nie ma o czym mówić – odparłem, chyba zbyt oschle. – Zobaczmy, co jest na tym pendrivie.

Położyłem sobie laptop na kolanach i otworzyłem pliki. A właściwie jeden jedyny plik wideo. Został zapisany trzy dni temu, kiedy byłem jeszcze w Londynie.

Otworzyłem go i ujrzeliśmy Davida Yoonaha przemawiającego do kamery. Szybko rozpoznałem w otaczającej go scenerii kościół San Cristóbal. Miałem wrażenie, że to kolejny odcinek kroniki prowadzonych w kościele robót. Nagranie trwało najwyżej trzy minuty, doktor uparcie patrzył w kamerę. Wysłuchaliśmy z Enigmą jego słów z wielką uwagą.

Dziś zakończyliśmy demontaż prezbiterium. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mapa, której szukamy, nie została ukryta w żadnym z tych kamiennych bloków. Oczywiście ostatnie słowo będą mieli eksperci, kiedy zbadają je dokładnie w La Victorii.

Yoonah na długą chwilę zawiesił głos. Miałem wrażenie, że waha się, czy powiedzieć to, co chodziło mu po głowie:

Nie jestem pewien, czy nasi eksperci poprawnie zinterpretowali fragment Kodeksu z Rody. Dziś otrzymałem pełne tłumaczenie tekstu i starałem się sprawdzić, do jakiego stopnia ich hipotezy są słuszne.

Przyznaję, że na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się oczywiste. Kodeks z Rody to kronika sporządzona mniej więcej w dziesiątym wieku, będąca, według ustaleń uczonych, kopią wcześniejszego kodeksu, który został spisany w San Millán de la Cogolla, ale nie dotrwał do naszych czasów. W zeszłym roku jeden z naszych specjalistów znalazł fragment tego oryginalnego kodeksu w zwojach pochodzących z klasztoru Santa María la Real de Nájera. W tym fragmencie znajduje się wzmianka o mapie Alfonsa II. Autor mówi, że asturyjski monarcha polecił ukryć mapę Miasta Świętych Mężów w specjalnie w tym celu zbudowanym kościele. Podobno mapa znajduje się w jednym z kamiennych bloków, w „miejscu przejmującym grozą”, a pod koniec fragmentu cytowany jest fragment łacińskiego hymnu mającego być wskazówką dla poszukujących.

Przekład hymnu brzmi mniej więcej: „By nasze głosy wdzięcznymi pieśniami mogły sławić Twe dzieła, zmyj pył winy, co plami nam wargi, o Święty Janie”.

W jaki sposób ten psalm miałby pomóc w poszukiwaniu mapy? Na czym oparli się specjaliści, twierdząc, że owo „miejsce przejmujące grozą” to prezbiterium świątyni? I, co ważniejsze, w jaki sposób można ukryć mapę w kamieniu? To nie ma sensu... Najmniejszego...

Nasi specjaliści mają do rozwiązania niezłą łamigłówkę i mam nadzieję, że się pośpieszą, bo wolałbym nie demontować kościoła do samych fundamentów.

Na koniec chciałbym dodać, że zamierzałem zostać w San Cristóbal do końca miesiąca i odlecieć z ostatnim ładunkiem skrzyń do La Victorii, ale tymczasem w Londynie zaszły nieprzewidziane komplikacje i potrzebny był ktoś zdolny podjąć drastyczne kroki, żeby rozwiązać sytuację. Dlatego jeszcze dziś w nocy wsiadam w samolot do Londynu. Ufam, że wrócę po dwóch–trzech dniach. Jeśli źródłem naszych angielskich problemów jest ta pijawka Rosignolli, obawiam się, że będę musiał wyrwać chwast z korzeniami.

To wszystko zaczyna mnie męczyć. Jak mówiłem wielokrotnie, moją specjalnością

są liczby.

Tu nagranie się urywało. Yoonah wyłączył kamerę, a ekran zrobił się czarny.

– Więc Voynich poszukuje mapy – powiedziała Enigma. – Projekt renowacji to tylko przykrywka. – Towarzyszka wyjęła mi z ust niezapalonego papierosa. – Nie pal w pokoju, zasłony przesiąkną dymem. Co to za Miasto Świętych Mężów, o którym wspomina Yoonah?

– Nie wiem. Oddaj mi papierosa.

– Jak sobie chcesz. To twoje płuca, nie moje.

Zapaliłem i zaciągnąłem się zachłannie kilka razy. Mój umysł pracował na pełnych obrotach, potrzebowałem zastrzyku nikotyny.

Zacząłem krążyć po pokoju, wydmuchując dym przez nos, jakby poruszał on kółka zębate mojego mózgu. Powtarzałem sobie zdania zapamiętane z nagrania Yoonaha.

– „Miejsce przejmujące grozą”, prezbiterium kościoła... Tak, oczywiście, prezbiterium... Ale on tego nie wie, z pewnością nie wie, w przeciwnym razie... – Nagle pstryknąłem palcami w tryumfalnym geście. – Jasne, że nie ma o niczym pojęcia. Dlatego niczego nie znajdzie!

– O czym ty mówisz?

– Miejsce przejmujące grozą!

– No dobrze, sypialnia jest niewielka, dlatego sądzę, że nie powinieneś tu palić.

– Nie, nie! To cytat z Biblii, z Księgi Rodzaju. Jakub zasypia, składając głowę na kamieniu, i śni o drabinie opartej na ziemi, a wierzchołkiem sięgającej nieba. Po przebudzeniu Jakub mówi...

– „O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama nieba”¹ – odparła Enigma. – A potem Jakub rozlewa na kamień olej i zmienia go w ołtarz.

– No właśnie. Mapa, której szuka Yoonah, wcale nie znajduje się w bloku kamiennym z prezbiterium, tylko w kamiennym ołtarzu.

– W kościele?

– Tak się składa, że nie. W latach trzydziestych lokalny kacyk przeniósł kościół, zostawiając na właściwym miejscu tylko jedną jego część: ołtarz. Ołtarz znajduje się w pustelni na skraju klifu, ale to oczywiste, że Yoonah nie ma o tym pojęcia, nie przeoczyłby przecież tak ważnego tropu.

– To znaczy, że...

– Voynich nie znajdzie mapy, bo szuka jej w złym miejscu. Mapa jest w pustelni, nie w kościele.

Enigma się uśmiechnęła.

– Uwielbiam, kiedy dochodzisz do tak zaskakujących wniosków. Pocałowałabym cię, gdyby nie to, że właśnie skończyłeś palić, a nie chcę śmierdzieć jak popielniczka. Mogę natomiast poklepać cię po plecach.

– Muszę się dostać do tej pustelni.

– No to do dzieła. Co cię powstrzymuje?

– Jest zamknięta, a klucz ma proboszcz, z którym nie zdołałem się skontaktować. Przyjeżdża tu tylko w niedziele.

Westchnęła ciężko.

– Tak podejrzewałam: praca w Interpolu podcięła ci skrzydła. Sforsujemy zamek, nie będziemy czekać, aż ktoś raczy nam otworzyć.

– Nie bardzo umiem się włamywać. Gdyby był tu Bańka...

– Zapomnij o Bańce, do niczego nie jest nam potrzebny. – Enigma wstała, ucałowała mnie w policzek na dobranoc i skierowała się do drzwi. – A jeśli chodzi o ten hymn, o którym wspomina Yoonah, podobno taki ważny... Mam pewne podejrzenia.

– Jakie?

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Jestem za bardzo zmęczona. To był ciężki dzień. Jutro na pewno wszystko poukłada mi się w głowie.

– Spotkamy się na śniadaniu?

– Nie, lepiej przy pustelni. Planuję wstać wcześniej i pojechać do Lannes. Muszę kupić kilka rzeczy, których możemy potrzebować. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę.

Pomachała mi ręką i wyszła z pokoju.

Wrzaski mew zbudziły mnie ze snu wcześniej rano. Przywitało mnie bezchmurne niebo i apetyczny zapach świeżo parzonej kawy dochodzący z jadalni. Zapowiadał się idealny dzień na poszukiwanie skarbów.

Przejrzałem się w lustrze. Rana na ramieniu nie krwawiła i wyglądała o wiele lepiej. Już nie bolały mnie policzek ani górna warga, ale siniaki mieniły się kolorami. W sumie nic poważnego, jeśli nie zamierzałem pozować do portretu.

Biorąc długi prysznic, zacząłem porządkować wszystkie zdobyte do tej pory informacje związane z mapą króla Alfonsa. Wiedziałem (albo przynajmniej wydawało mi się, że wiem), że rzeczonyj mapy powinienem szukać w Pustelni Zbawiciela, w której znajdował się ołtarz. Potrzebowałem dwóch wskazówek, żeby go znaleźć. Po pierwsze, hymnu do Świętego Jana, który Yoonah znalazł w Kodeksie z Rody, po drugie, kamiennego bloku ocalonego przez wuja pana Balbina z katedry w Oviedo. W telefonie miałem zdjęcie widniejącej na nim inskrypcji: *Ut sollemnis rex facere*. Zresztą i tak znałem ją na pamięć.

Nie miałem bladego pojęcia, jak pochodzący z Kodeksu z Rody cytat i ta przedziwna sentencja miały mi pomóc w znalezieniu mapy, żywiłem jednak nadzieję, że odkryję to w swoim czasie.

Wyszedłem z pokoju i udałem się na śniadanie. Po drodze spotkałem się z gospodynią pensjonatu, która przywitała się ze mną serdecznie i, zgodnie z przewidywaniami, zmartwiła na widok mojej twarzy. Powiedziałem jej, że niefortunnie upadłem, spacerując po śliskich klifach.

– Niech pan uważa, to bardzo zdradziecki szlak – ostrzegła mnie. – Kilka dni temu z klifu spadł rybak. Runął do wody, do tej pory biedaka nie znaleźli.

Zapewniłem ją, że będę uważał, ona zaś powiedziała, że ktoś o mnie pytał i czeka na mnie w jadalni. Domyśliłem się, że to Enigma, i czym prędzej ruszyłem na spotkanie z nią.

W drzwiach jadalni stanąłem jak wryty. Czekał na mnie nikt inny jak doktor David Yoonah we własnej osobie.

Siedział sam przy jednym ze stołów, przed nim stała szklanka soku pomarańczowego. O krzesło oparł kule. Spojrzałem w jego błękitne oczy i poczułem się jak zwierzę oślepięone światłami samochodu.

W jadalni nie było nikogo więcej. Ani najemników z Wotanu, ani żadnych innych ochroniarzy. Tylko Yoonah i jego sok pomarańczowy.

– Nareszcie, panie Alfaro – odezwał się i upił łyk soku z godnością mandaryna. – Oczekiwałem pana niecierpliwie. Niech pan będzie tak miły i spocznie. – To uprzejme powitanie zupełnie zbiło mnie z tropu. Przecież w Mali prawie się pozabijaliśmy, nie sądziłem więc, że kiedykolwiek spotkamy się w przyjaznej atmosferze.

Ostrożnie, jakbym zbliżał się do bomby zegarowej, usiadłem obok niego. Pewnie powinienem zwać stamtąd co sił w nogach, ale ciekawość przeważała nad instynktem samozachowawczym. Niestety, zdarza mi się to często.

– Jeśli się nie mylę, ma pan coś, co należy do mnie – powiedział Yoonah. – Mam na myśli pendrive. Chciałbym go odzyskać. – Bez słowa wyjąłem z kieszeni pendrive skradziony z kościoła i położyłem na stole. Mój adwersarz podniósł go, nawet nań nie spoglądając. – Dziękuję. Rozumiem, że może pan to uważać za drobiazg, ale strasznie się złościę, kiedy je gubię. A nierzadko mi się to przytrafia. Mogę zapytać, czy obejrzał pan zawartość?

Wciąż nie wiedziałem, czy doktor zamierza spokojnie dokończyć swój soczek, czy strzelić mi prosto w głowę. Nic w jego zachowaniu nie przemawiało ani za pierwszą, ani za drugą możliwością. Uznałem, że okłamywanie go nie wpłynie na jego decyzję.

– Jeśli chodzi panu o ten filmik... Owszem, widziałem go.

– Ciekawi mnie pańska opinia. Sądzi pan, że nasi specjaliści szukają nie tam, gdzie powinni?

– Sądzę tylko, że nie powinni rozbierać historycznego zabytku, który do nich nie należy.

– Lokalne władze wydały zgodę, żebyśmy przeprowadzili prace konserwatorskie w sposób, jaki uznamy za stosowny. Wszystko odbywa się w majestacie prawa.

– Podejrzewam, że lokalne władze nie mają pojęcia, co w ogóle robicie.

Doktor skończył sok i wytarł serwetką górną wargę.

– To prawda, nie mają o tym pojęcia – przyznał. – Oczywiście może pan powiadomić, kogo trzeba, ale obawiam się, że nikt pana nie wysłucha. Chyba że zaoferowałyby pan więcej pieniędzy niż my, w co szczerze wątpię. Nie chciałbym insynuować nic na temat pańskich możliwości finansowych, obawiam się wszakże, że nie może się pan z nami równać.

Więc Yoonah zaczął grać w otwarte karty. Nawet mi się to podobało, choć nie w pełni rozumiałem, z jakich pobudek. Zawsze nudziły mnie dialektyczne pojedynki.

– Nie wysłuchaliby mnie nawet wtedy, gdybym im opowiedział, jak pańscy ludzie próbowali mnie zabić?

– To nie są moi ludzie, oni ze mną pracują. Wypełniają własny regulamin, w myśl którego mają unieszkodliwić każdego niebezpiecznego intruza, który bez pozwolenia wtargnie na teren budowy.

– Niebezpiecznego intruza?

– Czy nie napadł pan jednego z nich? Nie zostawił zakneblowanego w lesie? Nie przyznał się przed chwilą do kradzieży mojej prywatnej własności? Czy z opresji nie wyciągnęło pana dwóch uzbrojonych mężczyzn nader wątpliwej proweniencji? – Yoonah wbił we mnie swoje porcelanowe spojrzenie. – Mam wrażenie, że pański umysł wyprodukował pasjonującą historyjkę o bohaterach i czarnych charakterach, w której to my uosabiamy siły zła. Może pan nawet w nią uwierzył, ale żadną miarą nie powinien pan sądzić, że inni zrobią to samo. Nie jest pan bohaterem, panie Alfaro, jest pan pospolitym złodziejem i mordercą.

– To dość oryginalny punkt widzenia...

– Ale jeśli się pan dobrze nad tym zastanowi, całkiem słuszny. Został pan złodziejem, wstępując w szeregi Narodowego Korpusu Poszukiwaczy, mordercą zaś, kiedy zostawił mnie pan na pewną śmierć w Afryce. W tej chwili prowadzimy kurtuazyjną rozmowę, ale nie wynika to bynajmniej z tego, że żywię podziw dla pańskiej szlachetności. Wręcz przeciwnie.

– Pan też próbował mnie zabić.

– Owszem. Nie udało mi się. Nie mam o to żalu... przynajmniej się staram. Na pańskim miejscu postąpiłbym tak samo. To był wyścig, wygrał ten, któremu sprzyjało szczęście.

– Szczęście?

– Pozwoli pan, że powstrzymam się od łechtania pańskiej próżności i nie będę wspominał o kilku innych czynnikach – powiedział doktor z krzywym uśmiechem. – Różnica między nami polega na tym, że dla mnie to, co wydarzyło się w Afryce, nie było żadną osobistą kruczją. To po prostu moja praca. Kiedy uratowano mnie z tej pułapki, ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem, była zemsta. I to się wcale nie zmieniło. Nie mam ku temu powodów. W końcu jest pan tylko agentem Interpolu ostatniej kategorii. Ma pan prawo robić ze swoim życiem, co się panu żywnie podoba. Nie rozumiem jednego: dlaczego tak bardzo się pan uparł, żeby nam przeszkadzać.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Nikt nie chciałby eliminować pana z gry, Alfaro, mówię to panu ze szczerego serca. Nie bawi mnie przemoc, bawią mnie liczby i wzory. Chcielibyśmy tylko jednego, żeby przestał pan mieszać nam szyki. Dla naszego obopólnego dobra. – Yoonah niespiesznie pokiwał głową i zrobił ponurą minę. – Wczoraj w nocy nie powinien pan wchodzić do kościoła. Po co pan to zrobił?

– No cóż, nakrycie rabusiów na gorącym uczynku wydało mi się wystarczającym powodem.

– Kłamie pan, wcale nie w tym rzecz. Mógłbym uwierzyć w pańskie motywy, gdyby nadal był pan Poszukiwaczem. Ale już pan nim nie jest. – Yoonah westchnął. – Spodziewałem się, że nie mogę liczyć na pańską prawdomówność.

– Nagle stał się pan wielbicielem szczerości, doktorze? Skoro tak, może zechce mi pan wyjaśnić, co pan robił w Londynie.

– Znów wtyka pan nos w nie swoje sprawy. To mi zakrawa na obsesję.

– Oczywiście, że to moje sprawy. Pańscy ludzie, pańscy żołnierze, mam gdzieś, jak chce pan ich nazywać, ukradli manuskrypt, który należy do mnie. To ja go znalazłem

i chciałbym, żeby do mnie wrócił.

– Nie wiem, skąd podejrzenie, że ja go mam.

– Ktoś musi go mieć i niestety tą osobą nie jestem ja. Sądzę, że przejął go ten, kto przekupił londyńską panią detektyw. – Yoonah nie uznał za stosowne odpowiedzieć na ten zarzut. Udawał obrażonego, więc spróbowałem go przycisnąć. – Co pan z nim zrobił, doktorze? Wrócił do Rosignollego, żeby dalej pracował nad jego odczytaniem? Bo coś w głębi duszy podpowiada mi, że dał pan łapówkę Rosignollemu, podobnie jak detektyw Child, i przekonał go, żeby ukradł nam mezogocki rękopis.

– Ma pan bujną wyobraźnię. Powinien pan pisać książki.

– Chwileczkę, nie dotarłem jeszcze do najlepszego zwrotu akcji. Wyobrażam sobie, że dziesięć tysięcy funtów, jakie Barbican Centre zaoferowało Rosignollemu za wystawienie rękopisu, okazało się dla niego zbyt łakomym kąskiem. I zdecydował się go wypożyczyć. Co panu, jak się domyślam, mogło się nie spodobać, zwłaszcza w momencie, kiedy Narodowy Korpus Poszukiwaczy odzyskał manuskrypt. Na szczęście wspomniały doktor Yoonah ma do dyspozycji potężne środki, przekupił panią detektyw zajmującą się śledztwem, żeby go odnalazła. A potem wyeliminował ją pan z gry. Niestety, sprawy znów wymknęły się panu spod kontroli, a manuskrypt zniknął. Trzeba bardzo uważać, kiedy człowiek podróżuje metrem, prawda? Zdarza się, że zostawimy w wagonie coś bardzo cennego.

– Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Że zacznę się rozwodzić nad wspomniałymi zdolnościami dedukcji niejakiego Tirsa Alfara?

– Chciałbym się dowiedzieć, co się stało z manuskrytem. Oddał go pan Rosignollemu? – drażyłem.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje z tym człowiekiem. Obiło mi się o uszy, że jego studia nad skandynawskim folklorem zaabsorbowały go tak bardzo, że nie ma już czasu na nic innego. – Doktor pokazał zęby w czymś w rodzaju uśmiechu, chociaż mnie ów grymas bardziej skojarzył się z rekinem mającym właśnie pożreć swoją ofiarę.

– Niech pan przestanie bawić się w insynuacje – powiedziałem zirytowany. – Myślałem, że rozmawiamy szczerze.

– To tylko pańskie wrażenie. Nie przyszedłem tu, żeby z panem gawędzić, ale żeby pana ostrzec.

– Ostrzec? A przed czym, jeśli można wiedzieć?

Odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Wie pan, dlaczego tak lubię matematykę, panie Alfaro?

– Pojęcia nie mam. Może jest pan masochistą?

– Ze względu na harmonię architektury cyfr. Jest zawsze prawdziwa, nieskazitelna i... delikatna. Jeśli wprowadzi pan do tej architektury czynnik obcy, harmonia się chwieje, czasem nawet może runąć, ale matematyk dobrze wie, jak taki obcy czynnik wyeliminować. Zniszczyć go, nie zostawiając śladów.

– Jeśli to ma być ostrzeżenie, musi mi to pan lepiej wytłumaczyć. Wie pan, ja z kolei jestem humanistą...

Yoonah przymknął oczy.

– Jest pan o krok od stania się właśnie takim obcym czynnikiem. Niech pan się

zatrzyma i zrobi krok do tyłu, w przeciwnym razie zostanie pan wyeliminowany... bez śladu.

Tyle gadania po to, żeby skutecznie zwykły szantaż. Nienawidziłem matematyków.

Zastanawiałem się, dlaczego próbuje mnie zastraszyć. Jeśli naprawdę stanowiłem zagrożenie dla jego planów, mógłby się mnie pozbyć bez ceregieli, jak to zrobił z nieszczęsną detektyw Child.

– Dobrze, doktorze Yoonah. Wygrał pan. Cały trzęsę się ze strachu. Wrócę do Francji, do mojej pracy pośledniego agenta Interpolu, i przeżyję tam resztę moich dni, których, mam nadzieję, będzie całkiem sporo. To chciał pan usłyszeć?

Yoonah uśmiechnął się.

– Niech pan nie igra z ogniem, Alfaro, bo może się pan poparzyć, a nawet spłonąć. Obawiam się, że nadal nie ma pan zielonego pojęcia, kim jesteśmy. – Naukowiec zbliżył twarz do mojej. – Możemy śledzić każdy pański krok, usłyszeć każde pańskie słowo... Musiałby pan ukryć się przed nami w jakiejś jaskini i żyć jak człowiek z epoki kamienia łupanego, żeby się nam wymknąć. Jesteśmy wszędzie. Nawet przyjaciele z Narodowego Korpusu Poszukiwaczy nie ochronią pana przed nami. Tam też jesteśmy, w samym jego sercu.

Usłyszawszy te słowa, poczułem się, jakby ktoś walnął mnie obuchem w głowę. Brzmiały naprawdę złowieszczo.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że jeśli kusi pana, żeby wrócić do starych przyzwyczajęń i zacząć poszukiwania z dawnymi towarzyszami, dowiemy się o tym natychmiast. Mamy w Piwnicy oczy i uszy, podobnie jak mieliśmy wcześniej. Wie pan doskonale, o czym mówię, prawda, panie Alfaro?

– Tesla... – powiedziałem, przypominając sobie Poszukiwacza, który nas zdradził, a potem zginął w Jaskiniach Heraklesa, kiedy poszukiwaliśmy Stołu Salomona.

– Tak łatwo było go kupić... Ale popełniliśmy błąd i zaufaliśmy zwykłemu pionkowi. Tym razem kupiliśmy królową. I oczyścimy szachownicę.

Nagle dotarło do mnie, o kim mówi. Wiele szczegółów nabrało dla mnie nowego znaczenia: usunięcie mnie z Korpusu, zawieszenie naszej działalności, podejrzenia Bańki. Voynich miał kolejnego zdrajcę w Piwnicy. I tym razem był to ktoś, kto naprawdę mógł nam zaszkodzić.

Tym człowiekiem był Alzaga. I rzeczywiście dość skutecznie czyścił szachownicę.

Ogarnęła mnie furia. Yoonah, próbując mnie zastraszyć, popełnił wielki błąd: teraz nie tylko jeszcze bardziej chciałem poznać odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, ale też poczułem przemożne pragnienie zemsty.

– Żałuję, że wtedy w Mali zostawiłem pana w tej dziurze – wycedziłem przez zęby.

– Powiniennem pana z niej wyciągnąć i skrócić panu kark, żeby mieć pewność, że naprawdę pan nie żyje.

Yoonah pokiwał głową z bardzo poważną miną.

– Niech pan nie próbuje z nami zadzierać, Alfaro. – Potem spokojnie sięgnął po kule i wstał z krzesła. Spojrzał na mnie jak na jakiś mały śmieć. – Możemy pana zabić,

ale też zrobić coś o wiele gorszego: możemy pozbawić pana wszystkiego i zostawić przy życiu. Proszę nie mówić, że pana nie ostrzegałem.

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem wykrztusić słowa. Koncentrowałem całą energię na tym, żeby nie dać się ostatecznie wyprowadzić z równowagi. Nie rzucić się na Yoonaha, nie pobić go tak, żeby zamknął na zawsze te swoje diaboliczne oczy porcelanowej lalki.

Słuchałem, jak odchodzi, stukając kulami o podłogę.

Nie upłynęło wiele czasu od mojej rozmowy z Yoonahem, gdy Enigma przysłała mi wiadomość, żebym spotkał się z nią w Pustelni Zbawiciela.

Oczywiście natychmiast opowiedziałem jej o niezapowiedzianej wizycie, jaką złożył mi Yoonah. Byłem zdenerwowany i wzburzony, mówiłem bez ładu i składu, Enigma natomiast słuchała mojej opowieści bez zbytniego zdziwienia. Ja odpalałem papierosa od papierosa i chodziłem w kółko jak szalony, ona zaś siedziała na ławce na skraju klifu z dłońmi w kieszeniach płaszcz Burberry, z twarzą schowaną w szalu w kratę. Było zimno, niebo znów zasnuło się chmurami, a morskie fale z furją rozbijały się u naszych stóp.

– Więc kupili Alzagę – powiedziała, kiedy dotarłem do punktu dla mnie kluczowego. Zdziwiłem się nieco, że nie okazywała zaskoczenia. – No tak, to ma sens.

– Szef Narodowego Korpusu Poszukiwaczy! – wykrzyknąłem z teatralną emfazą. Miałem wrażenie, że do Enigmy nie dociera prawdziwe znaczenie moich słów. – Pracuje dla doktora Yoonaha!

Znów zareagowała z irytującą obojętnością.

– Co w tym takiego zaskakującego, kochanie? Wcale nie udawał, że nie ma zamiaru sparaliżować naszych działań. Do tej pory myślałam, że jest po prostu nieudacznikiem, teraz w końcu rozumiem, dlaczego tak postępował.

– Musimy coś zrobić!

– A co na przykład?

– Nie wiem... Powstrzymać go, uniemożliwić zepsucie Korpusu do końca.

– Ależ, słonko, przecież już to zrobił.

– Oskarżymy go przed przełożonymi. Ci, którzy go mianowali, muszą poznać prawdę.

– A wiesz, kto właściwie go mianował?

Oczywiście nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Na nieszczęście działalność Korpusu Poszukiwaczy była owiana tajemnicą do tego stopnia, że nawet jego członkowie nie wiedzieli dokładnie, komu podlega.

– Powiem Urquijowi.

Enigma wydawała się tracić cierpliwość.

– Zapomnij o tym, Faro. Nic nie możesz zrobić. Sądzisz, że Yoonah przyznałby, że Alzaga jest zdrajcą, gdyby było łatwo to udowodnić? Jeśli go o coś oskarżysz, on się wszystkiego wyprze. A Urquijo jak zwykle stanie po stronie tego, kto wypłaca mu pensję.

– A jednak muszę spróbować.

– Nie wiem po co. Wystarczy, że ostrzeżemy Bańkę, żeby był ostrożny, chociaż

i tak jestem pewna, że już od dawna nie ufa Alzadze, więc nie będzie specjalnie zdziwiony. Z drugiej strony, Yoonah zachował się głupio. Jakby podłożył minę, a potem udzielił wskazówek, gdzie ją znaleźć. Myślałam, że koreański król matematyki jest bardziej inteligentny.

Musiałem przyznać, że nie brakowało jej racji. Wciąż jednak buzowała we mnie wściekłość.

– Alzaga musi zapłacić za zdradę. Poza tym mam osobiste powody, żeby go nienawidzić. Wywalił mnie z Korpusu.

– Chcesz się zemścić? Świetnie! Chętnie ci w tym pomogę. Ale mam lepszy pomysł, jak to zrobić. – Zerwała się z ławki. – Ukradniemy Yoonahowi sprzed nosa mapę, której szuka. Tak właśnie postąpiłaby para Poszukiwaczy.

– Raczej byłych Poszukiwaczy.

– Jak sobie chcesz. Ja nie potrzebuję państwowej pensji, żeby wiedzieć, kim naprawdę jestem. – Enigma podeszła do drzwi pustelni i upewniła się, że są zamknięte.

– Więc mamy to otworzyć, tak?

– Mówiłaś, że umiesz to zrobić.

– Oczywiście, znam doskonały sposób. Pozwól, że pójde po coś do samochodu.

Kiedy odchodziła, przyjrzałem się drzwiom. Zwykle, drewniane, dość zniszczone, wyposażone w standardowy zamek. Miałem nadzieję, że Enigma ma jakąś imponującą kolekcję wytrychów, taką, jaką zabierał na misje Bańka. Z pewnością będzie umiała otworzyć zamek z chirurgiczną precyzją i delikatnością.

Po chwili moja towarzyszka wróciła z promiennym uśmiechem na ustach. Przyniosła ze sobą metrowej długości żelazny łom.

– Kawaleria przybywa z odsieczą! – oznajmiła. – Odsuń się, złotko.

– Serio? Łom?

– No jasne. Nie znasz tej piosenki: „Najlepszym przyjacielem dziewczyny są łomy”?

– Chyba nie do końca tak to szło.

– Może i nie. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić, a ja tymczasem rozwalę drzwi.

– Enigma wsunęła łom w szparę między płytą a futryną. Wyglądała jak harpunnik polujący na wieloryba. – I przy okazji rozejrzyj się, czy nikt nie nadchodzi.

Były to akurat zupełnie zbędne środki ostrożności. Klif znajdował się dość daleko od najbliższych zabudowań, a poranek był na tyle nieprzyjemny, że mało kto miał ochotę opuszczać dom i rezygnować z luksusu centralnego ogrzewania.

Patrzyłem, jak Enigma z całej siły naciska na łom, aż żyły na jej szyi nabrzmiewają z wysiłku. Stare drewno trzeszczało, ale drzwi ani drgnęły. Podeszedłem, żeby jej pomóc.

Kiedy spróbowaliśmy oboje, zamek wystrzelił nagle jak korek z butelki szampana i uderzył mnie w głowę. Enigma się roześmiała.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – mruknąłem. – Mógł wybić mi oko.

– No dobrze, dobrze. Pokaż. – Podeszła do mnie i przyjrzała się mojemu czołu.

– Nie widzę krwi ani kości czaszki. Będzie pan żył, panie Alfaro. – Ucałowała mnie w bolące miejsce. – Już lepiej?

– Bardzo zabawne.

– Taka już jestem, wesoła i uśmiechnięta, nawet w kryzysowych momentach. Dlatego wszyscy mnie uwielbiają.

Weszliśmy do środka. Na szczęście nie miałem jeszcze pojęcia, że cios zamkiem w czoło był najmniej bolesną z moich przygód tego ranka.

Wnętrze pustelni okazało się pozbawione jakiegokolwiek uroku. Zwykle pomieszczenie o ścianach pomalowanych na biało, ozdobione brzydkimi gipsowymi reliefami przedstawiającymi sceny religijne. Wydawały się zrobione przez dzieci na lekcjach plastyki.

Naprzeciwko drzwi stał ołtarz, element zupełnie niepasujący do pospolitego wystroju. Z czterech stron zdobiły go dość proste i zniszczone przez czas ornamenty, głównie greckie krzyże i motywy roślinne.

Obszedłem ołtarz i zobaczyłem, że na jego tylnej części znajduje się bardziej skomplikowany relief. Przedstawiał krzyż kawalerski, z którego bocznych ramion zwisały litery alfa i omega. Krzyż opatrzony był dobrze widoczną łacińską sentencją: *HOC SIGNO TUETUR PIUS. IN HOC SIGNO VINCITUR INIMICUS.* „Ten znak chroni pobożnych. Pod tym znakiem zwyciężysz wrogów”.

Krzyż Zwycięstwa, godło Królestwa Asturii.

Ołtarz był przymocowany do podłoża. Składał się z czterech kamiennych płyt sprawiających bardzo solidne wrażenie. Nie zauważyłem żadnych zawiasów ani ukrytych zamków.

A jednak wciąż podejrzewałem, że wewnątrz ołtarza ukryto mapę króla Alfonsa.

– Ładny ołtarz. Przypomina mi klimat preromańskiego kościółka Santa Cristina de Lena – powiedziała Enigma. – No dobrze. I co teraz? Jaki masz plan?

– Ciii! Słyszysz to?

– Nie. Co?

– Posłuchaj! Mógłbym przysiąc, że dźwięk dochodzi z ołtarza.

Milczeliśmy przez chwilę. Ukląkłem i przyłożyłem ucho do jednej z płyt blatu. Usłyszałem głęboki, bulgoczący szum, jakby pod ziemią coś ryczało. Odgłos najpierw przybrał na sile, po czym zaczął cichnąć, żeby w końcu zamilknąć.

Przypominał mi dobiegający z oddali lament bestii.

– Ciarki przechodzą po plecach – stwierdziła Enigma. – Co to było?

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Kulebry.

– Co?

Zamiast odpowiedzieć, wyjąłem z rąk Enigmy łom i postukałem delikatnie o wierzch ołtarza. Usłyszałem głuchy dźwięk.

– Szybko! – rzuciłem. – Poszukajmy na złączeniach płyt szpary, w którą da się wcisnąć ten pręt.

Enigma zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Ja przesunąłem dłonią po krawędziach ołtarza i znalazłem wąską szczelinę. Wbiłem łom w ten maleńki otwór.

– Pomóż mi, proszę. I uważaj na stopy.

Wspólnymi siłami zaczęliśmy pociągać za dźwignię. Był to tytaniczny wysiłek, ale udało się nam podnieść jedną z płyt ołtarza, która z hukiem roztrzaskała się o podłogę

pustelni, wzbijając w powietrze chmurę pyłu.

Z wyrwy w ołtarzu unosił się intensywny zapach wody morskiej. Ołtarz przysłaniał wejście do pieczary prowadzącej do wnętrza klifu, na tyle dużej, że można się było przez nią przecisnąć.

Znów usłyszeliśmy ów tajemniczy ryk dochodzący z dna otchłani, którą właśnie odkryliśmy. Tym razem oczywiście domyśliłem się, co jest źródłem tego dźwięku.

– Tam, pod nami, znajduje się jaskinia – obwieściłem i ogarnął mnie entuzjazm, jaki zawsze odczuwałem w podobnych chwilach. – Naturalny skalny korytarz. To odgłosy wiatru i fal rozbijających się o brzeg.

Albo monstrualne uskrzydłone węże, pomyślałem, śmiejąc się w duchu z opowieści dziwnej treści pana Balbina. Liczyłem na to, że te uskrzydłone węże można włożyć między bajki. W Mali miałem do czynienia z całkiem sporymi węzami i za nic na świecie nie chciałem powtarzać tego doświadczenia.

Rdz 28,17. [wróć]

SOLFEŻ

Range rover Enigmy był świetnie wyposażony. Wzięliśmy latarkę oraz linkę holowniczą. Dzięki niej mogliśmy zejść na dno pieczary, która okazała się niezbyt głęboka.

Kiedy dotknąłem ziemi, moje buty zachlupotały w kałuży, a w nozdrzach poczułem intensywny zapach soli morskiej. Poświeciłem wokół latarką, żeby rozejrzeć się po grocie, chociaż było tu delikatne światło naturalne, którego źródła nie udało mi się dostrzec. Na upartego moglibyśmy dać sobie radę bez latarki, ale woleliśmy nie ryzykować.

Ściany jaskini błyszczały od wilgoci, wokół rozlegał się huk morza, jakbyśmy nadal znajdowali się na klifie. Podłoże pełne było mokrych alg, dlatego musieliśmy bardzo uważać, żeby się nie poślizgnąć.

Prowadząca w głąb jaskini ścieżka schodziła w dół. Po kilku metrach ściana po mojej lewej stronie zniknęła zupełnie, ustępując miejsca otworowi o nieregularnych kształtach, z którego rozciągał się niesamowity widok na fale morskie rozbijające się o skały. Wspaniała naturalny taras widokowy. Kiedy przechodziłem obok niego, krople wody musnęły moją twarz.

Nie był to jedyny otwór, jaki znaleźliśmy po drodze. Dostrzegliśmy ich o wiele więcej, niektóre niewielkie, przez inne mógłby prześlizgnąć się człowiek; niektóre szerokie, inne wąskie jak szczeliny. Domyśliłem się, że szliśmy w dół klifu po jego wewnętrznej stronie.

Kiedy przechodziliśmy obok jednego z tych większych otworów, fala uderzyła z taką siłą, że kompletnie nas zmoczyła. Musiałem chwycić się wystającego fragmentu skały, żeby się nie przewrócić.

– Cholera jasna – zakląła Enigma, która drżała jak zmoknięty pies. – Dlaczego musiałam akurat dziś włożyć moje jedyne zamszowe botki?

– Chodź, daj mi rękę – powiedziałem. – Ta droga jest niebezpieczna.

Wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy dalej, zostawiając za plecami otwór w skalnej ścianie. Nie napotkaliśmy więcej dziur, w tunelu robiło się coraz ciemniej.

Nagle snop mojej latarki oświetlił coś niewielkiego, za to mającego liczne odnóża. Stworzenie przebiegło mi pod nogami. Odruchowo odskoczyłem. Za nim pojawiło się kolejne i następne. Była ich tu cała masa.

Przyjrzałem się uważniej stworzeniu wielkości pięści, które okazało się brązową skorupą obdarzoną parą szczypiec. Zwykły krab.

Po kilku krokach krabów zaczęło przybywać w zastraszającym tempie. Roilo się od dużych i małych, od takich wielkości chrabąszcza po wielkie jak głowa dziecka. Grupki maszerowały po martwych algach, inne wspinały się po ścianach, łąziły po sobie, chaotycznie i niezdarnie. Coś spadło mi na ramię. Oczywiście był to spory krab, jego

brudnobiała skorupa sprawiała, że wyglądał na chorego. Strzepnąłem go ręką i skierowałem światło latarki na sufit jaskini.

Było ich tam mnóstwo. Całe setki.

Wpadały do grotty przez otwory niczym deszcz szczypiec, niektóre wspinały się po wiszących jak liany algach. Wlewały się pulsującymi strumieniami przez szczeliny, wyściełały szczelnie podłoże, łączyły jedne po drugich, te większe goniły mniejsze, które uciekały niczym przerażone pajęczki. Było to tak obrzydliwe, że dostałem gęziej skórki.

– Co się dzieje? Czemu się zatrzymałeś? – zapytała zza moich pleców Enigma.

Spojrzała mi przez ramię, a kiedy zobaczyła to co ja, zaczęła się drzeć jak opętana i przywarła do ściany, zasłaniając twarz rękami.

– Spokojnie. To tylko kraby.

– Nie przejdę tędy – powiedziała cicho. Była bardzo blada.

– Co? Przecież to zupełnie niegroźne stworzenia. Przyznaję, że ich tu sporo, ale...

– Nie lubię krabów. Nienawidzę. Nie mogę nawet na nie patrzeć w sklepie, nie czując mdłości. Są jak ogromne tarantule ze szczypcami.

– No przestań, boisz się zwykłych skorupiaków? Po prostu przejdziemy bokiem...

– Nie mam zamiaru dotykać tego obrzydlistwa. Jeśli chcesz iść dalej, będziesz musiał zrobić to sam.

– Proszę, Enigmo, nie możesz się wycofać. Możliwe, że będę potrzebował twojej pomocy. – Ona pokręciła głową, przerażona. – Mam pomysł. A gdybym wziął cię na plecy? Nie będziesz musiała po nich deptać.

Enigma spojrzała na kraby i aż wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Chyba nie dam rady. One są wszędzie.

Położyłem jej dłoń na ramieniu i uśmiechnąłem się, próbując dodać jej otuchy.

– Zamkniesz oczy i wskoczysz mi na plecy. To będzie łatwe, jak przejażdżka konno. Obiecuję, że będę cię od nich trzymał z daleka. – Nadal się wahała. – No proszę.

Enigma zacisnęła usta.

– Będziesz mi winny jakąś ogromną przysługę, Tirso. I bądź pewien, że zgłoszę się po odbiór należności.

– Oczywiście. Zaproszę cię na ucztę złożoną z samych owoców morza.

– Idiota.

Pochyliłem się nieco, a Enigma wskoczyła mi na plecy. Ważyła trochę więcej, niż się spodziewałem, ale z oczywistych powodów wołałem o tym nie wspominać. Ona otoczyła mnie w pasie nogami i z całej siły złapała za szyję.

– Rozluźnij trochę uścisk, dobrze? – wydusiłem. – Nie zajdziemy daleko, jeśli mnie udusisz. – Moja towarzyszka usłuchała, a ja zdołałem zrobić kilka kroków. – To niewiarygodne, że przerażają cię zwykłe kraby.

– Zamknij się, Faro. Gdyby to były węże, to ja musiałabym cię taszczyć na plecach.

Zbliżyliśmy się do gromady skorupiaków. W miarę jak do nich podchodziliśmy, Enigma zaczęła wydawać z siebie żalosne piski niczym przerażony szczeniak. Ja szedłem z latarką w zębach, bo podtrzymałem ją za nogi. Odsunąłem pierwsze kraby stopą, ale te cholerne zwierzaki wydawały się wcale nas nie bać. Musiałem utorować nam drogę kopniakami. Chociaż rozmiar ich szczypiec nie przerażał, mimo wszystko cieszyłem się,

że włożyłem solidne górskie buty.

Szedłem przez to morze pancerzy, chwiejąc się, to w jedną, to w drugą stronę. Enigma znów zacisnęła ręce na mojej szyi, jęcząc z obrzydzenia i ze strachu. Podłóże było śliskie, gdyż wyściełał je dywan alg, a kraby miały irytującą tendencję do płużenia mi się pod nogami.

Nadepnąłem na jednego, wielkości puszki tuńczyka. Pod podeszwą mojego buta rozległ się nieprzyjemny trzask, a potem rozlała się galaretowata masa. Próbowałem utrzymać równowagę, ale druga stopa poślizgnęła mi się na martwych algach.

Upadliśmy z Enigmą na ziemię, na całą tę masę krabów.

Krzyczała, ale prawie jej nie słyszałem. Nagle te obrzydliwe stworzenia oblażyły mnie jak chmara wygłodniałych owadów. Poczulem wiele uszczypnięć w twarz i pomiędzy palcami, niektóre okazały się dość bolesne. Ogarnął mnie wstręt. Skorupiaki zdawały się być wszędzie, łaziły po moich rękach, po twarzy, wplątywały się we włosy, wędrowały po powiekach... jeden zawisł, wbijając się szczypcami w dolną wargę. Strząsnąłem go z obrzydzeniem, a potem zerwałem się na równe nogi, miotając przekleństwami. Przez kilka sekund rozdeptywałem je wściekle, strzepując inne z ramion i brzucha.

W końcu dotarło do mnie, że Enigma krzyczy. Leżała na ziemi, zakrywając dłońmi twarz. Chwyciłem ją za ramiona i podniosłem. Przywarła do mnie z całych sił i wtuliła się w moje ramię. Postanowiłem wyciągnąć ją stamtąd, zanim naprawdę dostanie ataku hysterii. Biegłem, znowu torując sobie drogę kopniakami, kolejne kraby roztrzaskiwały się o ściany jaskini.

Znów się o coś potknąłem i po raz kolejny upadliśmy na ziemię. Tym razem runęliśmy w kałużę, w której nie było szczypiących skorupiaków. Enigma krzyknęła przeraźliwie, odkryła bowiem, o co się właśnie potknęliśmy.

Zwłoki. Opuchnięty trup koloru brzucha martwej ryby. Jego ubranie było podarte na strzępy, zwisały z niego lepkie wodorosty. Na jego twarzy (a raczej tym, co z niej zostało) zrobiła sobie gniazdo rodzinka maleńkich krabów, które zdążyły już wyzreć mu oczy, usta i dużą część policzków.

Enigma rzuciła się do ucieczki, zatrzymała trochę dalej, ukucnęła i schowała głowę w ramionach. Poszedłem za nią. Krzyczała i jęczała ze strachu.

– Uspokój się, no już, wszystko dobrze – powiedziałem delikatnie, biorąc jej twarz w dłonie. – Spójrz na mnie. Już po wszystkim. Widzisz, nie ma tu żadnych krabów.

Powtarzając w kółko te same zdania, zdołałem ją uspokoić. Drżącą ręką wskazała na leżące za moimi plecami ciało.

– Tam... tam jest trup.

– Wiem.

– Kto to?

– Nie mam pojęcia, ale w Los Sabugos powiedziano mi, że niedawno jakiś rybak spadł z klifu. Chyba właśnie go znaleźliśmy.

Enigma spojrzała na mnie zatroskana.

– Masz... ranę na wardze.

– Tak – odpowiedziałem, uśmiechając się. – Miałaś rację, kraby to paskudne

stworzenia.

– Boli cię?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej.

– To dobrze. – I wtedy zrobiła zamach i wymierzyła mi cios w twarz.

– Auć! A to za co?

Wstała i wycelowała we mnie oskarżycielski palec.

– Za to, że przez ciebie upadłam. Obiecałeś, że będziesz mnie trzymał z dala od tego paskudztwa.

– Dobrze, już dobrze, zasłużyłem sobie... Ale jeśli się nad tym zastanowisz, stało się to, co najgorsze, i wcale nie okazało się takie straszne. Potraktuj to jak terapię szokową.

– Upadłam na trupa!

– Mam wrażenie, że jemu i tak jest już wszystko jedno.

– Lepiej, żebyśmy znaleźli tu tę cholerną mapę, w przeciwnym razie obiecuję, że w drodze powrotnej rzucę cię na pożarcie krabom!

Odwróciła się ode mnie obrażona i ruszyła dalej w głąb jaskini.

– Widzisz? – rzuciłem za nią. – Już wcale się nie boisz.

Nie raczyła mi odpowiedzieć.

Kiedy zostawiliśmy za sobą kolonię krabów i jej makabryczne źródło pożywienia, ściany jaskini zmieniły wygląd. Już nie szliśmy tunelem o surowych skalnych ścianach, teraz skały wydawały się gładziej, jakby ociosane ręką człowieka. Pomyślałem, że to znak. Zmierzaliśmy we właściwym kierunku.

Niespodziewanie natrafiliśmy na wykute w kamieniu schody. Tylko kilka stopni wiodących w dół, ale stanowiły niezbitą dowód, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy badają to miejsce.

Po ich pokonaniu znaleźliśmy się w przestronnym korytarzu, prostym i starannie poprowadzonym, ze ścianami z kamiennych bloków i podłogą z ubitej ziemi. Przemierzyliśmy go w milczeniu, świecąc wokół latarką. Zauważyłem na murach dziwne okrągłe otwory, trochę mniejsze niż otwory studzienek kanalizacyjnych. Zakrywały je kraty, przerdzewiały od wilgoci. Od czasu do czasu dobywały się z nich podmuchy jęczącego wiatru, przesyconego zapachem metalu.

– Co to za miejsce? – zapytała Enigma, która najwyraźniej otrząsnęła się z przerażenia.

I chyba, na moje szczęście, przeszła jej złość.

– Nie wiem, ale musimy mieć oczy szeroko otwarte. Ostatnim razem, kiedy znalazłem się w jaskini z otworami w ścianach, źle się to skończyło.

Przez skórę czułem czające się wokół niebezpieczeństwo, zimne i lepkie jak pot na moim ciele.

Przebywszy pięć, może sześć metrów korytarza, dotarliśmy do końca. Tam, w świetle latarki, ukazał się nam oszałamiający widok.

Weszliśmy do sali. Zaparło nam dech w piersiach. Niesamowity artefakt zajmował ścianę naprzeciwko wejścia, był wyższy niż ja. Złożony z różnych części wykonanych z najrozmaitszych materiałów. Na samym dole znajdował się solidny kamienny blok, przypominający zamknięty kufer, z łacińskimi sentencjami wyrytymi na wieku. Na nim spoczywało coś, co z oddali wydało mi się dwiema drewnianymi półeczkami. Jedna opierała się na drugiej, ta u góry była węższa.

Tak owe półeczki, jak i kamienny blok stanowiły część struktury wyrzeźbionej w koralu, fragmentów rafy ułożonych tak, że formowały kształty przywodzące na myśl ogromne ognisko o skamieniałych płomieniach.

W górnej części struktury zwracały uwagę rury pełne wybrzuszeń i rdzawych nacieków. Było ich trzynaście, zostały ułożone w dwóch rzędach od najmniejszej do największej, tworząc coś w rodzaju schodów. Na ich widok pomyślałem o gigantycznej harmonijce.

I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, na co patrzę.

– O matko! – wykrztusiłem zdumiony. – To organy! Takie jak w kościołach.

– Oczywiście. Też to zauważyłam – powiedziała Enigma. Wskazała na to, co wcześniej zdało mi się dwiema półeczkami. – To klawisze, a ta drewniana listwa na dole to pewnie pedał, dzięki któremu wydają dźwięki.

– Kto mógł wybudować tu taki wielki instrument?

– Pojęcia nie mam, ale musi być bardzo stary. Ze względu na kształt i liczbę rurek powiedziałabym, że to *hydraulis*... *hydraulis* Ktesibiosa.

– Co takiego?

– Organy hydrauliczne, prapradziadek organów piszczałkowych. Ktesibios był starogreckim konstruktorem. Napisał pierwsze traktaty o wykorzystaniu sprężonego powietrza. *Hydraulis* to właśnie jeden z jego wynalazków, nie wiadomo dokładnie, jak działał ten instrument, bo znamy go tylko z przedstawień na mozaikach. W Budapeszcie widziałam kiedyś rekonstrukcję takich organów, zrobioną z części datowanych na trzeci wiek. – Enigma przesunęła dłonią po elementach zrobionych z koralu. – Ten instrument to prawdziwy skarb.

– Ale my szukaliśmy mapy.

– Trochę szacunku, Faro. Każdy muzykolog na świecie popłakałby się ze szczęścia, widząc coś takiego. Instrument może mieć ponad dwa tysiące lat, a my znaleźliśmy go w jaskini. Ciekawe, czy działa.

– Umiałabyś na tym zagrać?

– Niewykluczone. Mój ojciec jest melomanem. Zmusił mnie, żebym uczęszczała na lekcje solfeżu i gry na fortepianie. Umieć całkiem nieźle grać. – Enigma uśmiechnęła się złośliwie. – Ale ten instrument w niczym nie przypomina bösendorfera, którego dostałam na trzynaste urodziny.

– Ma klawisze i pedał, nie może się tak bardzo różnić. Spróbuj coś zagrać.

– Ale co takiego mam zagrać, kochanie? Nie wiem, jakim nutom odpowiadają te klawisze, a jeśli nie zauważyłeś, nie widzę tu też żadnej partytury. Jeśli sobie życzysz, mogę spróbować z czymś w stylu ćwiczeń Hanona na fortepian albo *Heart and Soul*, ale podejrzewam, że ci, którzy umieścili tu te organy, mieli na myśli coś zupełnie innego.

Potrzebowaliśmy jakiejś wskazówki. Pochyliłem się nad kamiennym blokiem, żeby przeczytać widniejące na nim wypukłe inskrypcje. Miałem nadzieję, że znajdę tam jakiś ślad.

Inskrypcja składała się tylko z jednego zdania ozdobionego Krzyżem Zwycięstwa. Przeczytałem je na głos.

– *Ut queant laxis.*

Już miałem je przetłumaczyć, ale Enigma nie dała mi dojść do głosu.

– Ach! Już wiem! – wykrzyknęła rozradowana. – *Ut queant laxis, resonare fibris. Mira gestorum, famuli quorum. Solve polluti labii reatum Sancte Ioannes.* Mówiłam, że z czymś mi się to kojarzy! Wczoraj, pamiętasz?

– O czym ty mówisz?

– O nagraniu Yoonaha. Kodeks z Rody. *Ut queant laxis* i muzyczna notacja. – Widząc, że moja mina wyraża kompletne niezrozumienie, zaczęła niecierpliwie machać rękami. – „By zdolne były wdzięcznymi pieśniami Twe dziwne dzieła sławić nieprzerwanie”! No proszę cię! Doskonale wiesz, o czym mówię. Do, re, mi, kochanie, do, re, mi...

Zacząła nucić coś, co przypominało ponurą pieśń kościelną. Przez chwilę myślałem, że traumatyczne spotkanie z krabami zupełnie pomieszało jej w głowie.

– Enigmo, oddychaj głęboko... A teraz spróbuj mi to wytłumaczyć. Powoli i spokojnie.

Cmoknęła niezadowolona.

– Yoonah na tym nagraniu powiedział, że w Kodeksie z Rody znalazł hymn, który prawdopodobnie jest wskazówką pozwalającą odnaleźć mapę króla Alfonsa. Wyrecytował jego przekład: „By zdolne były wdzięcznymi pieśniami Twe dziwne dzieła sławić nieprzerwanie, pył wszelkiej winy, co wargi nam plami, zmyj, Święty Janie”. Wiedziałam, że już gdzieś to słyszałam. To bardzo słynny hymn *Ut queant laxis*. Każdy, kto uczył się solfeżu, zna go bardzo dobrze.

– Czemu? Dlaczego jest taki ważny?

– Zaraz ci wytłumaczę. – Enigma przeszukała kieszenie i znalazła w nich plastikowy długopis z pogryzioną skuwką i kawałek pogniecionego papieru. Zdawało mi się, że to mandat drogowy. Napisała coś na kartce i pokazała mi. Były to wersy po łacinie. Podkreśliła niektóre słowa.

Ut (do) queant laxis

Resonare fibris

Famuli tuorum

Solve polluti

Labii reatum

Sancte Ioannes.

– Teraz widzisz? – zapytała. – Do, re, mi, fa. To kolejne nuty gamy. Początek muzycznej skali łacińskiej, stworzonej na podstawie hymnu skomponowanego przez mnicha Pawła Diakona w VIII wieku. Sto lat później inny muzyk, Giovanni Donni,

zmienił sylabę „ut” na „do”. I tak koło się zamyka.

– To wspaniała wskazówka – przyznałem. – Teraz już wiemy, jakiej notacji powinniśmy użyć, żeby zagrać na tych organach.

– Tak, ale wciąż brakuje nam najważniejszego – partytury. Wiemy, w jakim języku powinniśmy przemówić, ale nie wiemy, co powiedzieć.

Następny problem. Miałem wrażenie, że układamy koszmarnie skomplikowane puzzle. Przez długą chwilę zastanawialiśmy się intensywnie, co dalej.

– Poczekaj! – rzuciłem w końcu. – Chyba już mam. To ta płyta.

– Jaka płyta?

– Mówiłem ci o niej... Ta, którą pokazał mi staruszek w Los Sabugos. Jego ojciec ocalił ją ze skarbcza katedry w Oviedo. Widnieje na niej inskrypcja: *ut sollemnis rex facere*. Próbowałem ją przetłumaczyć, ale nie mogłem się dopatrzeć większego sensu. Teraz już wiem: to nie żadna sentencja, tylko chaotyczne słowa. Ale liczy się sylaba, na którą zaczyna się każde z nich. Ut, czyli do, sol, re, fa... To nasza partytura. Nuty, które powinniśmy zagrać na organach wodnych.

Uśmiechnąłem się szeroko. Czuję się z nas bardzo dumny, ale też wykończony. W życiu widziałem całkiem sporo łamigłówek, w których zaszyfrowano wskazówki, jak znaleźć drogocenny skarb, i myślę, że *hydraulis* Ktesibiosa był drugą z kolei, jeśli chodzi o stopień skomplikowania.

A jednak był tylko dziecięcą igraszką w porównaniu z pierwszą rzeczą z listy. Ale o niej nie powinienem na razie wspominać. Jeszcze nie teraz.

Wiedzieliśmy już, co mamy zagrać na organach. Zdawało mi się, że przed nami najłatwiejsza część zadania, Enigma jednak nie podzielała mojego entuzjazmu. Stała przed tym niesamowitym instrumentem i spoglądała podejrzliwie na klawiaturę, jakby miała przed sobą ładunki wybuchowe.

– No dalej, dasz radę – powiedziałem, chcąc dodać jej odwagi. – To tylko cztery nuty: do, sol, re, fa.

– A jeśli się pomylę?

– Na pewno nie stanie się nic złego – zapewniałem, chociaż w duchu myślałem o tych dziurach przesłoniętych kratami. Doświadczenie nauczyło mnie, że podobne otwory w jaskini zawsze oznaczają kłopoty.

Palec Enigmy zawisł nad klawiaturą.

– Do... do... – mruknęła. – Który z tych klawiszy to do?

– Pewnie pierwszy.

– Tak, gdyby to było pianino Eltona Johna, wszystko byłoby łatwiejsze – odparła zirytowana. – Ach, Boże. No dobrze. Spróbuję nacisnąć... o, ten...

Odwróciła głowę, zamknęła oczy i powoli przycisnęła palcem wskazującym jeden z drewnianych klawiszy.

Wstrzymałem oddech.

Klawisz opadł i rozległ się trzask. Przygotowałem się na najgorszy kataklizm. Z jednej z najdłuższych rur dmuchnęła chmura kurzu. Rozległ się metaliczny, głęboki dźwięk, który odbił się echem po korytarzu i sprawił, że serce podeszło mi do gardła.

Wiek kufra drgnęło i uniosło się na kilka centymetrów.

Wydałem triumfalny okrzyk.

– I co? I co? – dopytywała się Enigma, która nadal nie miała odwagi otworzyć oczu.

Z podłogi nie wynurzyły się zaostrome kołki, pod naszymi stopami nie rozwarła się przepaść bez dna ani sklepienie nie zaczęło walić się nam na głowy.

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno nie stało się nic złego. Brawo! – Położyłem dłonie na ramionach Enigmy i zacząłem je masować, jakby była bokserem w narożniku ringu. – Dobrze, teraz następna: sol. Odwagi! Świetnie ci idzie!

Enigma roześmiała się nerwowo.

– Tak, doskonale... No dobrze, jeśli to było do, to sol musi być... o, tutaj.

Przygryzła górną wargę i wcisnęła kolejny klawisz. I znów z jednej z rur uniósł się tuman pyłu, a w powietrzu rozległ się metaliczny dźwięk. Tym razem zabrzmiał w moich uszach jak niebiańska muzyka. Wieko kufra uniosło się nieco bardziej.

– Tak! – wykrzyknęła Enigma. – No i co, panno Eslavo?

– Panno Eslavo?

– Och, moja nauczycielka muzyki. Okropna starucha.

Uwierzywszy we własne siły, Enigma nacisnęła trzeci klawisz prawie bez zastanowienia. Nuta re rozbrzmiała wokół nas i wieko znów się uniosło. Enigma odetchnęła z ulgą, ja klasnąłem w dłonie.

– Została już tylko jedna – powiedziałem. – Tylko jedna i mapa jest nasza.

– Wiem, wiem. No dobrze... Jestem prawie pewna, że to ten...

Nacisnęła czwarty klawisz.

I wtedy szczęście nas opuściło.

Za ścianami rozległ się przerażający dźwięk przypominający głośnie bulgotanie w starych rurach. Odwróciliśmy się prawie jednocześnie.

Wiele krat przysłaniających otwory w ścianie otworzyło się w jednej chwili. Usłyszałem metaliczne dudnienie. Coś jakby wielkie stalowe kule toczyły się w wąskim tunelu. Dudnienie dochodziło bez wątpienia z otworów.

I nagle z murów wypadły...

Wielkie kule. W sumie sześć, ogromnych jak dmuchane piłki plażowe. Wystrzeliły z otworów i spadły na ziemię z wielkim hukiem. Wykonano je z metalu pełnego wybrzuszeń i przeżartego rdzą. Enigma i ja przytuliliśmy się, a potem poszukaliśmy schronienia za instrumentem.

Po zaledwie kilku sekundach z olbrzymich kul zaczęły wylaniać się odnóża, długie, zginające się, wydające dźwięk podobny do szurających po tablicy widelców. Patrzyłem na to ze zdumieniem. Każda kula była wyposażona w całą masę wypustek, długich jak moje ramię i ostro zakończonych.

Na metalowych łapach kule zaczęły się unosić z podłoża. Zauważyłem, że ich powierzchnię pokrywały niewielkie otwory. Nagle z ich wnętrza dobiegł dziwny odgłos, jakby pracujących tłoków. Z otworów zaczęło się wydobywać, z coraz większą prędkością, sprężone powietrze. Nagle jedna z tych sfer wzbijała się w powietrze i pofrunęła w naszym kierunku.

Enigma popchnęła mnie na podłogę, dzięki czemu metalowa kula nie zmiażdżyła mi głowy. Niestety jedno z ostrych odnóży zraniło mnie w policzek, który zaczął obficie krwawić.

Obiekt uderzył z całej siły w bok organów i oderwał obszerny fragment z koralu. Z podłogi obserwowałem z przerażeniem, jak to coś obraca się w wokół własnej osi, sycząc i prychnając sprężonym powietrzem, niczym stary silnik, i poruszając paskudnymi łapami. Znow śmignął w drugą stronę, jak kula armatnia, i przeleciawszy zaledwie centymetry od Enigmy, odbił się od ściany.

Wokół nas rozpełtał się chaos. Pozostałe pięć kul również ożyło. Jedna z nich szła, niczym pająk z brązu, strasząc ostrymi odnóżami, inne zaczęły odbijać się od ścian jak szalone pociski. Ostatnia nie ruszała się z miejsca, chyba jej pradawny mechanizm był uszkodzony.

Poczułem się jak mysz w krzyżowym ogniu na polu bitwy. Te diaboliczne ustrojstwa były wszędzie, siały spustoszenie odnóżami, zderzały się ze sobą wśród koszmarnego szczęku i hałasu. Tajemnicza siła, która wprawiała je w ruch, działała niezwykle skutecznie. Na szczęście nie potrafiły zlokalizować swoich potencjalnych ofiar, tylko beładnie poruszały się w korytarzu.

W głowie miałem jedną myśl. Musiałem się stamtąd wydostać. I to jak najszybciej.

Zerwałem się na równe nogi na chwilę przedtem, jak jedna z zabójczych kul wylądowała w miejscu, gdzie wcześniej leżałem. Pomyślałem, że to dobra okazja, by ją zatrzymać. Kiedy jej dotknąłem, aż zawyłem z bólu, metalowa powierzchnia była rozgrzana i parzyła.

Kula poniosła się na swoich odnóżach i próbowała mnie ugodzić jednym z nich. Odskokczyłem do tyłu, żeby uniknąć ciosu w szyję, a wówczas ona znow wystartowała w powietrze. Rzuciłem się do ucieczki na oślep, ale niestety trasa mojego biegu skrzyżowała się z trajektorią lotu kolejnej kuli. Poczułem bardzo silne uderzenie w ramię, a potem świdrujący ból. Upadłem na ziemię. Nad głową przeleciał mi kolejny metalowy potwór.

Zacząłem się czołgać, żeby zniknąć z pola rażenia morderczych wynalazków, i znalazłem na podłodze resztki tego jednego, który nie zadziałał. Wypadając z otworu, rozpadł się na dwie części.

Zauważyłem, że kolejne monstrum leci w moją stronę. Odruchowo chwyciłem część pancerza jego towarzysza i użyłem go jako tarczy. Kula uderzyła w niego całym rozpędem i spadła na ziemię. Zacząłem walić w nią kawałkiem metalu trzymanym w rękach i w końcu udało mi się roztrzaskać ją na drobne kawałki. Zostały jeszcze cztery do unieszkodliwienia.

Łokieć rwał koszmarnie, ale starałem się ignorować ból. Spojrzałem na Enigmę, stała w kącie korytarza i wbijała właśnie łom, którego użyliśmy, żeby włamać się do pustelni, w jedną z dymiących kul. Obiekt wydał nieprzyjemny, świszczący odgłos, niczym czajnik z wrzątkiem, i znieruchomiał. Enigma wyciągnęła łom i kopnęła z furią szczątki. Nie zauważyła innej kuli, która leciała właśnie w jej stronę.

Pod wpływem impulsu rzuciłem fragmentem rozwalonego pancerza jak frisbee. Trafił w maszynę zmierzającą ku Enigmie, wydając z siebie dźwięk pozbawionego serca

dzwonu, i sprawił, że zoczyła z toru. Enigma ją zauważyła, podbiegła do niej i znów unieszkodliwiła ją łomem.

Ostatni potwór z sykiem nadlatywał na wysokości jej głowy.

– Uważaj! – krzyknąłem.

Enigma natychmiast się odwróciła, przymrużyła oczy i niczym wytrawny pałkarz uderzyła w kulę. Dymiący pocisk poleciał w drugą stronę i rozbił się o ostatnią kulę, która jeszcze działała.

Odnóża przedziwnych artefaktów splątały się i oba upadły na ziemię. Enigma zaczęła walić w nie wściekle łomem, aż rozpadły się na drobne kawałki. Biła w nie dalej, chociaż przestały stanowić zagrożenie.

Podszedłem do niej i delikatnie wyjąłem jej z rąk łom.

– Spokojnie, Lou Gehrigu, spokojnie. Już po wszystkim. Te wszystkie rzeczy są... martwe. – Enigma spojrzała na mnie. Na jej spoconej twarzy dostrzegłem mnóstwo zadrapań. – Wszystko w porządku?

Pokiwała nerwowo głową. Wciąż cała się trzęsła. Podejrzewam, że ja też.

– A ty? – zapytała.

– Bardzo boli mnie ręka. O, tutaj. Dostałem solidnie tym ustrojstwem.

Rzuciłem łom na ziemię, a Enigma przytuliła się do mnie. Staliśmy tak przez chwilę, wtuleni w siebie, próbując się wzajemnie uspokoić. Byliśmy przerażeni, ale każde z nas, wiedząc, że to drugie zbytnio nie ucierpiało, doznało wielkiej ulgi.

Kiedy się od siebie odsunęliśmy, spojrzała na mnie zmartwiona.

– Masz spore rozcięcie na policzku. – Otarła mi krew. – A ręka? Możesz nią ruszać?

Spróbowałem, ale ból był zbyt silny. Enigma poprosiła, żebym podwinął rękaw, a potem przyjrzała się mojemu łokciowi. Był opuchnięty i zaczerwieniony.

– Chyba jest wybity. Kiedy to coś cię uderzyło, usłyszałeś jakiś trzask?

– Nie jestem pewien, ale chyba nie.

– To dobrze, pewnie nie masz zerwanego więzadła. Zamknij oczy.

– Po co? Co masz zamiar...

Enigma pociągnęła mnie za przedramię. Zawyłem z bólu i poczułem, jak kości wracają na swoje miejsce. Nagle ból zniknął.

– Po sprawie – oznajmiła moja towarzyszka. – Spróbuj teraz poruszyć ręką.

Udało mi się bez problemu zgiąć ją w łokciu.

– Dziękuję, ale następnym razem uprzedź mnie, co zamierzasz zrobić – powiedziałem, a z oczu nadal ciekły mi łzy. – Jak to możliwe, że tobie nic się nie stało?

– Byłam mistrzynią w zbijaka, kochanie.

Odpowiedź typowa dla Enigmy. Kobieta, która potrafiła zaangażować płatnych morderców, pilotować samolot, nastawić wybity łokieć, grać na fortepianie, uderzyć piłkę niczym Babe Ruth i panicznie bała się krabów. Zastanawiałem się, czy kiedyś przestanie mnie zadziwiać.

Ona tymczasem przyglądała się pozostałościom po zabójczych kulach. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że obserwuję ją uważnie, póki mnie nie zawołała.

– Faro, podejdź tu i przyjrzyj się dobrze. – Posłuchałem jej prośby i spojrzałem na

to, co pokazywała. Były to trzewia jednej z tych latających machin. – Na miłość boską, co to właściwie jest?

Metalowe sfery wypełnione były siecią rurek, pręcików i nitok oraz drewnianych łożek. Zauważyłem też pozostałości kół zębatych i innych mechanizmów najrozmaitszych rozmiarów. To, co mieliśmy przed oczami, niewątpliwie dowodziło zaawansowanej wiedzy inżynierskiej projektantów owej przedziwnej broni.

Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem dokładnie określić, widok wydał mi się niezwykle niepokojący, jakbym obserwował wnętrze jakiejś istoty z innej planety.

Pośród tej plątaniny zauważyłem coś, co przypominało zbiornik na płyn, wykonany z twardego, przezroczystego materiału. Pomyślałem, że to może być alabaster albo inny podobny kamień. W środku zbiorniczka znajdowały się resztki jakiejś cieczy.

Dotknąłem go koniuszkiem palca i powąchałem. Potem delikatnie polizałem palec.

– Nie rób tego – ostrzegła Enigma. – To może być trujące.

– Nie sądzę, chyba że przesadzisz, wlewając go do sałatki – odparłem. – To ocet.

– Maszyny na ocet? Gdzie my jesteśmy, Faro?

– Pojęcia nie mam, ale jeśli za czasów Królestwa Asturii potrafili robić takie rzeczy, wielu historyków może zejść na zawał serca.

– Nie podoba mi się to coś. Mam wrażenie, że zrobili to kosmici.

Wziąłem do rąk fragment pancerza, żeby dokładnie mu się przyjrzeć, skoro już nie był śmiertelnie bronią. W częściach, gdzie rdza nie wyrządziła większych szkód, zauważyłem reliefy w kształcie Krzyża Zwycięstwa i wyryte słowa.

– W każdym razie to chrześcijańscy obcy – zauważyłem. – Spójrz tylko na tę inskrypcję: *Mea est ultio*. „Moja jest odpłata i kara”. To cytat z Księgi Powtórzonego Prawa. – Patrzyłem na pozostałości tajemniczej maszyneryi zupełnie zbity z tropu. – Nic nie rozumiem, Enigmo. Co to w ogóle jest? Kto zaprojektował te urządzenia?

– Z pewnością jakiś sadysta, który za wszelką cenę chciał bronić dostępu do tego miejsca.

– Mapa! – wykrzyknąłem nagle. Zdażyłem zupełnie o niej zapomnieć. – Pewnie jest nadal pod wodnymi organami... Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Nie mam zamiaru już na nich grać. Ciarki przechodzą mi po plecach na samą myśl o tym, z czym jeszcze, po tych morderczych kulach, będziemy musieli się zmierzyć, jeśli znów pomylę klawisze.

Tak czy owak, gra na organach nie miała większego sensu. Jedyne, co z nich ocalało po ataku tajemniczą bronią, był kamienny kufer z wiekiem otwartym na kilka centymetrów.

Zasugerowałem Enigmie, że być może udałoby się nam go otworzyć za pomocą łomu, teraz, bo mogliśmy już wsunąć go w szczelinę. We dwoje wcieliśmy mój plan w życie. Ze wszystkich sił próbowaliśmy podważyć wieko.

Serce waliło mi jak młotem, gdy zaglądałem do środka, ale doznałem wielkiego rozczarowania.

W skrytce nie było żadnej mapy ani czegokolwiek, co mogłoby ją przypominać.

A jednak nie była pusta. Znalazłem w niej metalowy przedmiot, dość duży i ciężki. Przyglądając mu się uważnie, odkryłem, że jest zrobiony z dwóch odrębnych części: jedną

z nich było koło o średnicy podobnej rozpiętości palców mojej dłoni.

Przecinała je oś, mniej więcej trzydziestocentymetrowa. Jej powierzchnia pełna była ząbków i wgłębień, trochę podobnych do ostrza piły, tyle że bardziej prostokątnych.

Na obramowaniu tej osi wyryto dwie inskrypcje, jedną na awersie, drugą na rewersie, do którego zamocowano owo dziwne ostrze. Na pierwszej widniał łaciński napis, który towarzyszył zwykle godłu Królestwa Asturii. *In hoc signo vincitur inimicus*. Spodziewałem się, że na rewersie odkryję drugą część sentencji, ale tym razem intuicja mnie zawiodła. Przeczytałem:

Urbs Hominum Sanctorum.

Miasto Świętych Mężów.

Doznałem dziwnego poczucia déjà vu. Zobaczyłem nagle siebie, z powrotem w Jaskiniach Heraklesa, kiedy byłem jeszcze początkującym Poszukiwaczem i cudem uszedłem z życiem po tym, jak zaważyło się na mnie sklepienie jaskini, w której ukryto Stół Króla Salomona. Znalazłem się wówczas w niewielkiej grocie, w której odkryłem dzbanki z głowami zabalsamowanymi w miodzie. Tam odkryłem mezogocki manuskrypt, chociaż wówczas nie wiedziałem, z czym mam do czynienia.

Na tubie służącej za opakowanie manuskryptu odczytałem ten sam napis.

Urbs Hominum Sanctorum... Miasto Świętych Mężów.

No cóż, może nie znalazłem mapy króla Alfonsa, ale coś mi podpowiadało, że dokonałem ważnego odkrycia. Może nawet ważniejszego niż sama mapa.

Dopiero później miałem się dowiedzieć, że tkwiłem w błędzie. Tak naprawdę znaleźliśmy tę mapę, choć wtedy o tym nie wiedziałem. W jednym się nie pomyliłem: rzeczywiście ten dziwny metalowy przedmiot okazał się cenniejszy niż wszystkie zabytki, które dane mi było widzieć do tej pory.

Wróciliśmy po własnych śladach, żeby wydostać się z jaskini i wspiąć z powrotem do pustelni. Nie było to wcale takie proste, zwłaszcza gdy Enigma musiała znów przejść przez kolonię krabów. Po raz kolejny zaoferowałem się, że ją przeniosę, na szczęście udało mi się utrzymać równowagę i nie upaść.

Kiedy dotarliśmy szczęśliwie na zbocze klifu, siąpił drobniutki deszczyk. Wszystko spowijała wilgotna mgła. Fortunnym zrządzeniem losu nikomu nie przyszło do głowy spacerowanie po okolicy. Nie musieliśmy nikogo epatować widokiem swoich ubłoconych i zakrwawionych postaci wynurzających się z pustelni. Podejrzewam, że w tej sielskiej miejscinie byłby to widok dość niecodzienny.

W bagażniku range rovera Enigmy schowałem łom, który okazał się tak przydatny, ów tajemniczy przedmiot znaleziony w skrytce organów wodnych oraz kilka fragmentów mechanizmu morderczych kul. Chciałem pokazać je Alfie i Omedze, być może oni będą potrafili powiedzieć, coż to za dziwny wynalazek.

– No dobrze, to chyba wszystko – stwierdziła Enigma, zamykając bagażnik. – Jak twoja ręka?

– Wspaniale. Wszystko na swoim miejscu.

– Cieszę się. Ale uważam, że w Madrycie powinieneś zajrzeć do jakiejś przychodni... I pozdrów ode mnie bliźniaków. Powiedz, że ogromnie tęsknię za ich

cytatami z poezji.

– Jak to? Nie jedziesz ze mną?

Pokręciła głową.

– Odwiozę cię do Los Sabugos, ale w podróż powrotną wyruszysz sam.

Tego się nie spodziewałem. Myślałem, że wróci ze mną.

– Czyżby nasza przygoda nie wydała ci się zabawna?

Enigma uśmiechnęła się.

– Nawet bardzo. I taka ożywcza. Do tego stopnia, że postanowiłam zostać tu przez jakiś czas i przyjrzeć się z bliska temu, co Yoonah wyrabia z kościołem. Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś nowego. A jeśli ty będziesz potrzebował pomocy, koniecznie zadzwoń. Natychmiast pośpieszę ci na ratunek.

– Obiecujesz?

– Oczywiście.

Już w samochodzie zapytała mnie, jakie mam plany po przyjeździe do Madrytu.

– Chcę pokazać te graty bliźniakom, ciekawe, czy powiedzą mi o nich coś ciekawego – odparłem. – Mam też nadzieję, że Bańka wrócił już z Londynu z mezogockim manuskryptem i będziemy mogli go przetłumaczyć za pomocą cudownego programu Yokaiego. A jeśli uda mi się przedłużyć urlop, chciałbym spróbować znaleźć Hełma.

– Ach tak, tego Poszukiwacza, który pracował z twoim ojcem... Wiesz, myślałam, że już się z nim skontaktowałeś.

– Przyznaję, że trochę zarzuciłem ten temat – powiedziałem lekko zmieszany.

– Poza tym nie bardzo wiem, jak to ugryźć. Kiedy wróciliśmy z Mali, miałem zamiar poszperać w naszych archiwach, ale teraz Piwnica jest poza moim zasięgiem. Z początku miałem poprosić o to Bańkę, ale nie chcę, żeby wpadł przeze mnie w kłopoty.

Enigma spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Faro, nie mogę uwierzyć, że na to nie wpadłeś. Przez cały czas miałeś o wiele prostszy sposób, żeby dostać się do archiwów. – Patrzyłem na nią, nic nie rozumiejąc.

– Yokai, złotko! On może to zrobić za ciebie.

Przyznaję, że nie przyszło mi to do głowy. Yokai rzeczywiście mógł włamać się do archiwów Piwnicy bez większego wysiłku; zresztą już kiedyś to zrobił, kiedy sforsował nasze zabezpieczenia, żeby zobaczyć moje CV.

– Sam nie wiem. – Wciąż się wahałem. – Myślisz, że by to zrobił, gdybym go poprosił?

– Chyba kpisz! Przeżułyby i połknął szkło, żeby cię zadowolić. Ten chłopak...

– Tak, tak, wiem, ten chłopak mnie podziwia. I to właśnie mnie martwi, nie chciałbym go wykorzystywać do własnych celów.

– Spójrz na to w ten sposób: sierota pomaga innemu sierocie w poszukiwaniu korzeni. Wydaje się to nawet wzruszające.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś pokręcona?

– Tak, dziękuję. – Enigma uśmiechnęła się przyjaźnie. – Posłuchaj mojej rady i poproś go o to. Powinieneś znaleźć tego Hełma.

– Zastanowię się.

Wróciliśmy do Los Sabugos. Tam włożyliśmy do bagażnika mojego samochodu przedmioty znalezione w jaskini. Nadszedł czas pożegnania. Miałem nadzieję, że zobaczymy się niedługo.

Nie wiedziałem dlaczego, ale zrobiło mi się smutno.

– Uważaj na siebie, dobrze? – przestrzegłem Enigmę. – Nie zbliżaj się za blisko do Yoonaha ani do kościoła, widziałas, jak traktują nieproszonych gości.

– Jestem sprytniejsza od nich, kochanie.

Uśmiechnęła się. Miała taki piękny uśmiech. Cała była piękna, chociaż miała ubłocone ubranie i twarz w zadrapaniach. Chciałem zachować ten obraz, żeby móc trzymać go zawsze w kieszeni, jak amulet przynoszący szczęście. Coś, co mógłbym pogłaskać, kiedy poczuję się smutny i zagubiony. Mógłbym spoglądać nań w samotności, patrzeć jak urzeczony niczym w kalejdoskop wzorów i kolorów zmieniających się z każdym ruchem mojej dłoni. Coraz to inny, zawsze fascynujący.

Najbardziej zdumiewające było to, że nawet nie wiedziałem, jak ona ma naprawdę na imię. Enigma. Tylko tyle. Enigma.

Chciałem wykorzystać ten moment i ją o to zapytać. Moje usta się poruszyły, ale nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Nachyliłem się jednak nad nią i ją pocałowałem.

Być może ta reakcja zaskoczyła mnie jeszcze bardziej niż ją... Zrobiłem to instynktownie, nie zastanawiając się nad przyczynami... Był to niemal odruch bezwarunkowy, ale w tej chwili zrozumiałem, że od bardzo dawna tego pragnąłem.

I chociaż tę chwilę zapamiętałem na zawsze, nie potrafię sobie przypomnieć, czy trwała długo czy krótko, była intensywna czy raczej subtelna. Może trwała całe wieki, a może przeminęła w mgnieniu oka. Kiedy ją wspominam, moje wrażenia mieszają się z rzeczywistością i nie potrafię powiedzieć, co się wydarzyło naprawdę, a co tylko sobie wyobraziłem.

Pamiętam za to, że kiedy przestaliśmy, Enigma jeszcze przez chwilę nie otwierała oczu.

– No, no – mruknęła w końcu. – Niezłe pożegnanie.

Nie wiem, czy poczuła się nieswojo, nie wiem, czy ją tym obraziłem, czy wręcz przeciwnie – pochlebilem jej. Sam miałem wrażenie, że moje policzki płoną żywym ogniem.

– Dobrze... To ja... Najlepiej będzie... jak już pojedę – powiedziałem, nie mając odwagi na nią spojrzeć. Poczulem się nagle jak ktoś, kto budzi się z potężnym kacem po nocy wstydliwych ekscesów.

– Faro...

– Tak?

– Masz pod ręką chusteczkę? Bo powinienes przyłożyć ją do rany na wardze. Trochę krwawi. W gruncie rzeczy nawet bardzo.

– O cholera – powiedziałem, zakrywając usta dłonią. – Przepraszam, naprawdę.

– Nie, nie, nic się nie stało. Wcześniej nie krwawiła. Pewnie teraz, kiedy...

– Uśmiechnęła się, jakby trochę zawstydzona, i uderzyła się pięścią w pierś. – Moja wina, przepraszam.

Miałem ochotę zapaść się pod ziemię z plastikowym workiem na głowie. Niestety

ani ziemia nie rozstała mi się pod nogami, ani też nie miałem pod ręką worka. Otworzyłem drzwi samochodu i sięgnąłem do schowka z nadzieją, że znajdę tam przynajmniej paczkę chusteczek. Nic z tego.

– Trzymaj! – Enigma wyjęła chusteczkę z kieszeni.

– Dzięki!

Chciałem powiedzieć coś mądrego, albo przynajmniej z sensem, ale wszystko, co przychodziło mi do głowy, wydawało się głupie lub niefortunne.

Wybąkałem jakieś pożegnanie, chciałem udawać, że nic się nie stało, i wsiadłem do samochodu. Ruszyłem i w lusterku wstecznym patrzyłem na Enigmę, jak oddalała się powoli w deszczu.

– Ale z ciebie głupek – powiedziałem cicho.

Miałem o czym rozmyślać w drodze powrotnej.

AUTOMATY

Siła moich impulsów jest niezbadana. Czasem mam wrażenie, że drzemie we mnie niespecjalnie inteligentny typ, który budzi się w najmniej spodziewanych momentach. Jego obecność przypisuję trudnemu dzieciństwu. Bardzo wiele wysiłku kosztowało mnie ujarzmienie tego głupkowatego i agresywnego chłopca, którym kiedyś byłem, zawsze wściekłego na cały świat i będącego pewnym kandydatem na przestępcę, i zrobienie z niego w miarę cywilizowanego obywatela.

W rzeczywistości nigdy nie udało mi się pozbyć go do końca. Wciąż we mnie tkwił, uwięziony gdzieś głęboko, akumulując adrenalinę, która pozwoli mu wyzwolić się z więzów i zrobić coś przerażającego. Na przykład skoczyć na gigantycznego krokodyla albinosa, wrzucić koreańskiego matematyka do dziury bez dna czy też całować koleżanki z pracy, nie pytając ich o zdanie.

Podczas podróży do Madrytu zastanawiałem się usilnie nad tym ostatnim wydarzeniem (jakbym nie miał poważniejszych spraw na głowie). Czuję, że popełniłem nie tylko niewyobrażalne głupstwo, ale w dodatku okazałem się niewierny Danny.

Miałem za sobą namiętny związek z zaginioną Poszukiwaczką, niestety okoliczności zmusiły mnie do jego zakończenia. Byłem jednak pewien, że wciąż coś do niej czuję, bo nie potrafiłem zbudować żadnej nowej relacji przez cały pobyt we Francji. A okazji mi nie brakowało. Za każdym razem, kiedy próbowałem, wizja Danny pojawiała mi się nagle w pamięci i uniemożliwiała wszelkie próby zapomnienia o naszej historii.

I nagle na mojej drodze zjawiała się Enigma, a Danny zmieniała się w mgliste wspomnienie zepchnięte gdzieś w najgłębsze zakamarki świadomości. Moje hormony dokonywały zamachu stanu i rzucały się do warg Enigmy, jakby były to wrota Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu.

A od Danny wciąż nie mieliśmy żadnych wiadomości. Może nawet groziło jej jakieś poważne niebezpieczeństwo.

Czuję się nie tylko winny, ale też mało oryginalny. Czy na świecie nie istniały inne kobiety poza tymi z Korpusu Poszukiwaczy? Może cierpiałem na jakieś zaburzenie psychiczne, które sprawiało, że pociągały mnie tylko koleżanki z pracy? Klasyczny przykład żywcem wzięty z kart podręcznika psychologii. Tak czy owak, na pewno winę za to ponosiła moja matka. Nie wiedziałem dokładnie dlaczego, ale i tak zwykłem ją winić za wszystkie moje problemy.

Mógłbym zadręczać się tymi myślami w nieskończoność, na szczęście w Madrycie czekały na mnie zadania o wiele poważniejszej natury, do których musiałem zaprząć swoje neurony.

Bańka wrócił z Londynu i przywiózł stamtąd nowe wieści. Śmierć Dennisa Rosignollego niespecjalnie mnie zdziwiła, wręcz przeciwnie, potwierdzała tylko moje przypuszczenia, że naukowiec ukradł manuskrypt pod auspicjami Voynicha, a kiedy jego

chciwość zaczęła stanowić problem, firma postanowiła się go pozbyć. Nasi przeciwnicy nie mieli zamiaru zostawiać żadnych tropów pozwalających rozwiązać sprawę londyńskiej kradzieży, a nieszczęsny Rosignolli był ostatnią osobą, która wiedziała zbyt wiele.

Rozczarowała mnie natomiast wieść o tym, że Bańka nie odzyskał manuskryptu. Udało mu się za to przywieźć komputer Rosignollego. Mieliśmy nadzieję, że Yokai, nasz informatyczny geniusz, zdoła odzyskać pliki z twardego dysku, wśród których znajdował się skan całego dokumentu.

Spotkałem się z Bańką i Yokaim w zakładzie jubilerskim Alfya i Omegi, kiedy udałem się tam, żeby pokazać bliźniakom przedmioty znalezione w San Cristóbal de Bayura. Ucieszyłem się, że Alfa wykaraskał się ze swoich dolegliwości i znów stanowili z bratem nierozłączny duet. Chociaż nieco się posunął, jego zamiłowanie do łacińskich sentencji i sypania cytatami z klasycznej poezji absolutnie nie ucierpiało. Zalał mnie strumieniem jednych i drugich, gdy pokazałem mu pozostałości po latającej kuli i wyjaśniłem, w jakich okolicznościach wszedłem w jej posiadanie.

– Zachwycające dzieło sztuki – powiedział jubiler, badając fragmenty dziwnego przedmiotu. – Skomplikowane i piękne zarazem. Prawda, bracie?

Stojący obok niego Omega grzebał w kółkach zębatych i innych mechanizmach artefaktu. Miał na nosie osobliwe okulary zegarmistrza z lupami zamiast szkieł, upodabniające go do jakiegoś pracowitego owada.

– Zgadzam się w zupełności – odrzekł. – Ale nie zapominajmy, że *ars sine scientia nihil est*.

– Sztuka jest nic niewarta bez nauki – przetłumaczyłem. – Święta prawda.

– W wolnym tłumaczeniu można by nawet powiedzieć, że same umiejętności, bez wiedzy, są niczym – zauważył Alfa. – Ten przedmiot jest dziełem obdarzonych niezwykle umiejętnościami rzemieślników, którzy zarazem posiadli ponadprzeciętną wiedzę. Jak powiedział wielki Witruwiusz: „Ani sam talent bez nauki, ani nauka bez talentu nie uczynią nikogo dobrym architektem”.

– Ale powiedz mi, bracie, czy twórcą tego zdumiewającego wynalazku był *architecton* czy raczej *mechanicos*.

I tak oto rozpoczęli ważką dyskusję, która ciągnęłaby się bez końca, postanowiłem więc zdusić ją w zarodku.

– Czy to naprawdę takie ważne? – zapytałem.

Alfa spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem.

– Oczywiście, drogi przyjacielu. To machina, dzieło inżynierskiego geniuszu.

– Automat – uściślił Omega. – Z greckiego *automatos*, co oznacza ni mniej, ni więcej tylko obiekt poruszający się samodzielnie. To, co nam przyniosłeś, drogi Tirso, to robot liczący sobie setki lat.

– Robot? – zapytałem zdumiony. – Czy to nie wydaje się wam... trochę szalonym pomysłem?

– Sam nam powiedz, to ty miałeś przyjemność widzieć to urządzenie w ruchu.

– Nie nazwałbym tego przyjemnością. To coś próbowało pozbawić mnie ręki.

– Mój drogi Tirso, bardzo niewiele wiemy o tym, jak zaawansowana była

znajomość mechaniki naszych najdawniejszych przodków – powiedział Omega, nie zważając na moje protesty. – Wielka część starożytnej wiedzy została utracona, ale dotarły do nas zdumiewające świadectwa. Tacy uczeni, jak Ktesibios, Heron z Aleksandrii czy Archimedes, zbadali bardzo dokładnie zasady pneumatyki. Heron w pierwszym wieku przed naszą erą napisał traktat o maszynach poruszanych własnymi mechanizmami. Wiemy, że inżynierowie starożytnego Egiptu umieli konstruować ruchome figury swoich bóstw, niektóre potrafiły nawet strzelać z oczu płomieniami. W świątyni Memnona w Etiopii istniał podobno automat napędzany energią promieni słonecznych.

– To nie wszystko – wtrącił Alfa, uzupełniając wywód brata. – W Chinach, na trzysta lat przed narodzeniem Chrystusa, inżynier Yan Shi stworzył dla cesarza z dynastii Zhou służącego, który zachowywał się zupełnie jak człowiek, z jednym wyjątkiem: nie potrafił mówić. Kilka wieków później, w średniowieczu, władcy z dynastii Ming mieli całą armię automatycznych służących.

Bliźniacy na zmianę zarzucali mnie coraz to bardziej niesamowitymi przykładami. Opowiedzieli mi o świadectwie ambasadora z Italii, który w X wieku widział na dworze w Konstantynopolu posągi lwów, które polowały i ryczały, i metalowe drzewa z gałęziami pełnymi sztucznych śpiewających ptaków. Tron cesarza, według opowieści ambasadora, wyposażony był w mechanizm zdolny unosić go ponad wodami jeziora rtęci.

Usłyszałem od nich także o muzycznych automatach z pałaców kalifów w Bagdadzie, o robotach-ogrodnikach z dworu Roberta II d'Artois i o mówiących głowach Świętego Alberta Wielkiego, który miał również automatycznego lokaja. Niestety zniszczył go jego własny uczeń, Tomasz z Akwinu, uznawszy, że poruszają nim szatańskie siły.

Ich opowieści zaczynały przypominać mi steampunkowe fantazje, zbyt nieprawdopodobne jak na moją ograniczoną wiedzę.

– No jasne – powiedziałem, zmęczony tymi historiami. – Zawsze podejrzewałem, że święci potrafili produkować androidy. Nie wiem tylko, kto ich tego nauczył. Może kosmici?

– Biedny przyjacielu, sceptycyzm cię zaślepią – odrzekł Alfa. Potem wyrecytował: – Bóg jest wysokością, długością, szerokością i głębokością. Wszechświat to rachunek i geometria.

– Piękny cytat – powiedziałem sarkastycznym tonem. – Kto to powiedział? Carl Sagan?

– Nie, Święty Bernard z Clairvaux. Napisał te słowa w dziewiątym wieku.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Omega wykorzystał moje milczenie, by zabrać głos:

– Drogi Tirso, jesteś niewątpliwie młodzieńcem o wielkiej inteligencji, cierpisz jednak na skazę charakterystyczną dla potomków naszego stulecia. Dla was przeszłość to kraina spowita mrokiem, a kiedy jakiś jej relikwyt wyłania się z zapomnienia i okazuje swoją wspaniałość, zwykliście to przypisywać przypadkowi, omyłce, a czasem nawet interwencji istot pozaziemskich. Nie potraficie przyznać, że dawna inżynieria mogła osiągnąć niespotykane wyzyny i być owocem wysublimowanej wiedzy i naukowej

ciekawości.

– Dobrze, niech wam będzie, w dawnych czasach wszyscy byli ekspertami od robotyki. I jaki z tego wniosek?

– O wiele poważniejszy, niż przypuszczasz – odparł Omega. – W tysiąc dziewięćset pierwszym roku grecki archeolog odnalazł w pobliżu wyspy Andikitira pozostałości jakiejś skomplikowanej maszyny. Po wielu badaniach ustalono, że pochodzi z trzeciego wieku przed naszą erą. Dziś sądzi się, że prawie na pewno jest to część analogowego komputera zdolnego przewidzieć pozycje i ruchy planet, a także zaćmienia. Jeśli nam nie wierzysz, możesz sam zobaczyć ten zabytek w Muzeum Archeologicznym w Atenach, gdzie się znajduje, i na własne oczy podziwiać precyzję jego wykonania.

– Popęlniasz błąd, nie doceniając naszych przodków tylko dlatego, że wierzyli w bogów i mity – zauważył Alfa. – Platon powiedział: „Bóg jest liczbą”. Dawniej sądzono, że inżynieria i matematyka są językami boga i że poznanie tych języków to jedyny sposób na dotarcie do bóstwa. Nasi przodkowie byli wielkimi naukowcami dzięki swojej wierze, a nie sceptycyzmowi. W dalekiej przeszłości wiara przenosiła góry.

Wywód zaczynał wkraczać w meandry metafizyki, w które nie miałem zamiaru brnąć. Zależało mi na tym, żeby się dowiedzieć, kto umieścił latające kule w jaskini pod pustelnią w San Cristóbal, a nie na tym, żeby wieść z bliźniakami niekończącą się dysputę o filozofii nauki. Postanowiłem skierować konwersację na bardziej przyziemne tory.

– No dobrze – powiedziałem. – Skoro dawna inżynieria nie ma przed wami tajemnic, spróbujcie ustalić, w jaki sposób poruszało się to ustrojstwo, które wam przyniosłem. To mi w zupełności wystarczy.

Pożegnałem się z bliźniakami i zszedłem do warsztatu, żeby zobaczyć, co tam słychać u Bańki i Yokaiego. Chciałem się dowiedzieć, jak idzie odzyskiwanie plików z komputera Rosignollego, a przy okazji pogadać z ludźmi, którzy nie cytują nieżyjących filozofów przy każdej okazji.

W warsztacie Yokai siedział pochylony nad twardym dyskiem Rosignollego pod czujnym okiem Bańki, który na wysokim taborecie palił papierosa.

– No i jak tam Flip i Flap? – zapytał Poszukiwacz. – Powiedzieli ci coś więcej na temat tej twojej maszyny?

– Tak, dowiedziałem się, że Bóg jest liczbą. To być może wyjaśnia, dlaczego w niedzielę nie chodzę na mszę. Zawsze byłem kiepski z matmy.

Bańka spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Nie zwracaj na mnie uwagi – westchnąłem. – To była dziwna rozmowa. W skrócie: Alfa i Omega uważają, że padliśmy z Enigmą ofiarą prymitywnych robotów.

Yokai uniósł głowę znad swojej pracy.

– Serio? To zajebicie!

– Ty zajmij się swoją działką – mruknął Bańka. – Mam nadzieję, że rozbiorz ten twardy dysk, zanim przyjdzie pora kolacji.

– Odpierdol się! To potrwa tyle, ile powinno. A jak ci się nie podoba, to przestań się opieprzać i zrób to sam!

– Uroczy chłopiec, nie ma co. Słuchaj, albo ktoś ci przepłucze tę niewyparzoną buziuchną wybielaczem, albo osobiście ci przywalę, żebyś zaczął się zwracać z szacunkiem do starszych.

– Idź się jebać!

Tu, na dole, nikt nie miał zamiaru zasypywać mnie cytatami z Platona.

Zauważyłem, że i tak już niezbyt powściągliwy Bańka miał tendencję do wtórowania Yokaiemu w jego rynsztokowych bluzgach, kiedy tylko przebywali razem. Kłócili się zażarcie, chociaż nigdy nie dochodziło do rozlewu krwi. Tak naprawdę przypominali braci przekomarzających się przy każdej okazji, niczym pospolita wersja Alfego i Omego. Podejrzewam, że Bańka lubił prowokować Yokaiego, żeby ten wypluł z siebie jak najwięcej przekleństw, im bardziej wulgarnych, tym lepiej, a chłopak w jakiś sposób to wyczuwał i wchodził w tę grę.

Bańka powiedział, że chce ze mną o czymś porozmawiać, więc poszliśmy w kątek warsztatu, żeby znaleźć się z dala od uszu Yokaiego. Nie żebyśmy mieli przed nim jakieś tajemnice, ale chłopaka rozpraszała byle mucha brzęcząca pod sufitem, dlatego nakładał słuchawki i rozkręcał muzykę na cały regulator za każdym razem, kiedy miał coś ważnego do zrobienia. Tym razem jednak nie miał słuchawek na uszach.

– Skontaktowała się ze mną Julianne – zaczął Bańka. – Podobno wpadła na interesujący trop.

Mój towarzysz miał na myśli Lacombe. Oczywiście nie spodobało mi się, że postanowił wtajemniczyć agentkę Interpolu w nasze sprawy. Uznałem to za zły pomysł. Nie tyle zły, ile fatalny. Błąd w kalkulacjach tak kardynalny, że mógł się skończyć tylko tragicznie. Oczywiście powiedziałem to Bańce, w mniej wyszukanych słowach okraszonych kilkoma obelgami.

Bańka nie przejął się zbytnio moimi zastrzeżeniami, odciął się, że to ja pierwszy zdradziłem Lacombe nasze tajemnice i zmusiłem go do spotkania z nią w Londynie. Nie brakowało w tym racji.

Tak czy siak, szkody nie dało się już naprawić. Nie udało mi się wyciągnąć od mojego towarzysza, do jakiego stopnia zdradził agentce, na czym polega jego praca (Bańka uważał, że kontroluje sytuację) ani jak to wpłynie na moją przyszłość w Interpolu. Dowiedziałem się tylko, że podobnie jak my, Lacombe pracowała teraz nad odkryciem prawdziwych intencji Voynicha, Yoonaha i Projektu Lilith.

Nie miałem zamiaru przyznawać Bańce racji, ale w głębi duszy uważałem, że Julianne Lacombe mogła być dla nas nieocenioną pomocą. Była błyskotliwą, bardzo upartą agentką i miała wsparcie struktur Interpolu. Poza tym Bańce udało się ją przekonać, żeby zaakceptowała moją dłuższą nieobecność w pracy, co okazało się dla mnie szalenie wygodne.

Zapytałem go, co takiego odkryła Lacombe.

– Rosignolli pracował dla Voynicha – powiedział. – Był na ich liście płac. Firma zatrudniła go przy Projekcie Lilith, jego i innych naukowców.

– To tylko potwierdza moją teorię. To nie Rosignolli, lecz Voynich wpadł na pomysł, żeby ukraść manuskrypt bliźniakom. Chcieli, żeby go przetłumaczył.

– I to oni go zabili?

– Najprawdopodobniej. Rosignolli popełnił błąd, wypożyczając manuskrypt Barbican Centre za dziesięć tysięcy funtów. Myślał, że zainkasuje tę kwotę, a Voynich o niczym się nie dowie. Ale potem ty ukradłeś manuskrypt i cała sprawa się skomplikowała. Sądzę, że zabili Rosignollego, bo jego zachowanie było zbyt ryzykowne. Chcieli się go pozbyć.

– W bardzo krwawy sposób. Nawet sobie nie wyobrażasz, co mu zrobili. Wypatroszyli mu bebechy, jak świni w rzeźni.

– Czy Lacombe udało się ustalić, jakie zadania przydzielono Rosignollemu w Projekcie Lilith?

– Przysłała mi mejlem kilka dokumentów, później ci je pokażę. Dowiedziałem się z nich, że w przyszłym miesiącu mieli go wysłać do La Victorii. To stolica Republiki Valcabado w Ameryce Południowej.

– La Victoria? Zaraz, zaraz... To tam Yoonah wysyłał paczki z kamiennymi blokami z kościoła w San Cristóbal de Bayura. Ciekawe, czy te dwie sprawy mają jakiś związek.

– W tym miejscu na pewno coś się szykuje. Według Lacombe Valcabado jest jedną z osi Projektu Lilith, ładują tam najwięcej funduszy i zatrudniają najwięcej personelu. Na liście, na której figurował Rosignolli, jest mnóstwo nazwisk. Sami historycy i archeologowie. – Bańka zawiesił głos. – Wśród nich twoja matka.

– Wiem o tym, sama mi opowiedziała, że Voynich złożył jej nader kuszącą ofertę pracy. Ma zamiar odmówić z powodu problemów ze zdrowiem.

– Tym lepiej dla niej. Voynich z pewnością nie robi tam nic dobrego.

– Ale na pewno coś ważnego. Być może właśnie tam znajduje się baza Projektu Lilith, skoro chcą tam ściągnąć tylu ważnych ludzi – powiedziałem, nie będąc pewny, czy nie ponosi mnie wyobraźnia. – Bardzo jestem ciekaw, co, do cholery, sprowadziło Voynicha do tego kraju.

– Dlaczego nie zapytasz o to matki?

– Nie zna szczegółów, oferta była bardzo ogólnikowa. Ale może masz rację, porozmawiam z nią jeszcze na ten temat.

– Ej, ślicznotki! – krzyknął nagle Yokai. – Będziecie się tam nadal brandzlować w kąciku czy może chcecie zobaczyć coś ciekawego? Odzyskałem całą zawartość tego pierdolonego twardego dysku. Rozpracowałem chuja! Nie chcę się chwalić, ale jestem jebanym geniuszem.

– Ten dzieciak klnie gorzej niż marine na polu bitwy – powiedział Bańka. Na ustach pojawił mu się typowy dla niego półuśmieszek. W gruncie rzeczy Poszukiwacz był jak duże dziecko.

Twardy dysk skrywał prawdziwe skarby. Cały mezogocki manuskrypt został zeskanowany milimetr po milimetrze, wszystkie szczegóły były tak wyraźne, jakbyśmy mieli go w rękach. Co więcej, mogliśmy te skany powiększać, zmniejszać i bawić się nimi, dysponując wszystkimi narzędziami, w jakie wyposażony był komputer Yokaiego. Rosignolli odwalił kawał dobrej roboty.

Oprócz skanów manuskryptu Yokai odzyskał wiele innych plików i być może

któryś z nich zawierał cenne dla nas wskazówki. Bańka zgłosił się na ochotnika, żeby dokładnie je przeanalizować. Byłem mu za to wdzięczny, bo pozwalało mi to skupić się na jedynej rzeczy, która obecnie mnie interesowała: na manuskrypcie.

Po raz pierwszy, odkąd wyciągnąłem go z jaskini, miałem okazję przyjrzeć mu się uważnie. Na pierwszy rzut oka nie olśniewał artystycznymi detalami: monotonne, dość ściśnięte pismo rozmieszczone w dziesiątkach identycznych linijek. Wszystkie napisano jednym rodzajem atramentu, pozbawione były miniatur, ozdobnych inicjałów, złotych liter czy purpurowych barwień typowych dla średniowiecznej sztuki iluminacji. Zwykła, surowa kronika.

Po chwili dostrzegłem jednak ślad koloru. Prawie cały tekst spisano czarnym atramentem, lecz niektóre litery wyróżniono żywoczerwoną barwą. Nie były to nawet słowa, ale poszczególne litery, i na pierwszy rzut oka nie istniał żaden powód, żeby je wyróżniać, z wyjątkiem woli skryby. Litery znajdowały się zarówno na początku akapitu, jak i na końcu linijki, tak na początku wyrazu, jak i w jego środku. To bardzo rzucało się w oczy.

– Pewnie to jakiś sekretny kod – zasugerował Yokai. – Jak w filmach o szpiegach. Spróbujmy połączyć te litery, może wyjdzie nam jakieś hasło.

Pomysł wydawał mi się zbyt prosty, ale nic nie traciliśmy, próbując. Prędko odkryliśmy, że litery nie składają się w żadną zaszyfowaną wiadomość. Okazało się, że wyróżniono tylko dwie: alfę i omegę, tak małe, jak i wielkie. Yokai zapisał je kolejno na kartce, ale rezultat nas rozczarował:

$\alpha\alpha\Omega\alpha A\omega\alpha\omega A\alpha A A\omega\alpha\alpha\Omega A\alpha\omega\alpha\dots$

Yokai dał sobie spokój, kiedy zmęczył się bezsensownym pisaniem ciągu tych samych liter.

– Ładny wzór – powiedział jeden z jubilerów. Dla nich widok pewnie był równie znajomy jak rodzinne zdjęcie. – Niestety pozbawiony znaczenia.

Doszedłem do wniosku, że użycie dwóch kolorów ma znaczenie czysto symboliczne. Alfa i omega to litery, których często używano jako symbolu boga.

– Bez sensu, żebyśmy łamali sobie nad tym głowę – uznał Bańka. – To pewnie nieistotne. Najważniejsze, żebyśmy mogli jak najszybciej przetłumaczyć tekst.

– Jak się miewa nasz C-3PO, Yokai? – zapytałem.

– Dobrze, zajebicie. No, może nie tak bardzo... Chyba trochę się z nim spóźnię, ale *no problem*. Dziś w nocy ostro się do niego zabiorę i jutro będzie gotowy. Mam tu gdzieś przenośną lodówkę pełną puszek red bulla, o ile ci dwaj nie wyżłopali mi wszystkich.

Yokai wskazał na bliźniaków, którzy zawstydzeni spuścili wzrok.

– To niezwykle orzeźwiający napój – wytłumaczył się jeden z nich.

– Nie chcę, żebyś spędzał tu samotnie noc, pijąc to świństwo. Nic pożytecznego nie zrobisz, a zgnije ci żołądek – powiedziałem. – Wracaj do domu i odpocznij.

Alfa spojrział na zegarek.

– Wszyscy powinniśmy posłuchać tej rady. Zrobiło się bardzo późno.

Wyszliśmy z warsztatu jubilerskiego i zaczęliśmy się żegnać. Alfa i Omega udali się do domu (albo do swojego grzybka w lesie, czasem miałem wrażenie, że tam właśnie mieszkają), podobnie jak Bańka, którego czekała długa noc przeglądania plików z komputera Rosignollego. Zostałem sam z Yokaim.

– Odwieźć cię do domu? – zapytałem. – Jeszcze nie zwróciłem samochodu, który wypożyczyłem, żeby pojechać do Asturii. Zaparkowałem niedaleko.

– Nie, dziękuję. – Chłopak potarł nos grzbietem dłoni. Ten gest oznaczał zwykle, że jest zdenerwowany albo zakłopotany. Na przykład kiedy wspominał o rodzicach, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Wówczas pocierał nos tak mocno, że robił się cały czerwony. – Nie miałem zamiaru jeszcze wracać – tłumaczył. – Chciałem się trochę przejść. Wrzucić coś na ruszt.

– Sam?

Yokai wzruszył ramionami i wbił wzrok w ziemię.

– Jak ci się układa z ciotką? – drażylem.

– Aj, do dupy, jak zwykle. A nawet gorzej. Kiedyś przynajmniej mnie ignorowała, teraz pierdoli ciągle, że po co spędzam tu tyle czasu, że marnuję sobie życie, że moi starzy... – Znów to pocieranie nosa. – Że moi rodzice umarliby ze zgryzoty, gdyby jeszcze żyli.

Skrzywiłem się.

– Bzdury... – mruknąłem.

– Wiem, wiem, ale wkurwia mnie, że to w kółko powtarza. Ja wiem, że to nieprawda. – Chłopak zacisnął usta z wściekłości. – I wiem, do kurwy nędzy, że nie żyją, nie musi mi o tym przypominać przy każdej okazji. Nie cierpię tej głupiej staruchy.

Przyjrzałem mu się uważnie. Miał na sobie tę samą koszulkę z Alem Pacino w *Człowieku z blizną* co wtedy, gdy widziałem go ostatnio, i te same podarte džinsy. Obie części garderoby były w stanie wskazującym, że dawno ich nie zmieniano. Zacząłem żywić pewne podejrzenia co do sytuacji chłopaka.

– Nico, od jak dawna nie nocujesz w domu?

Chłopiec podrapał się po nosie.

– Ze dwa dni... – Patrzyłem na niego w milczeniu. – No dobrze, może trzy albo więcej... To i tak nie ma znaczenia. Jej to nie obchodzi.

Westchnąłem. Wspaniała sytuacja. Zateśniłem za Enigmą, ona wiedziałaby, jak postąpić.

– Proszę, tylko mi nie mów, że sypiasz pod bankomatem albo na ławce...

– Co? A, nie. Śpię w zakładzie jubilerskim. Mam klucze. Kiedy bliźniacy wychodzą, wracam i kimam w warsztacie. Wychodzę wcześniej rano, zanim przyjdą do pracy. – Chłopak spojrzał na mnie podejrzliwie. – Ale nie zakablujesz mnie, co?

– Nie, ale powinienes z tym skończyć. Nie jesteś przecież bezdomny. Odwiozę cię dziś do domu i prześpisz się w łóżku, jak Pan Bóg przykazał. A przy okazji włożysz czyste ubranie. – Yokai już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale nie dałem mu dojść do słowa. – Jeśli chodzi o ciotkę, będziesz musiał ją znieść. Przykro mi, tak po prostu jest. Niedługo skończysz osiemnaście lat i będziesz mógł ją posłać do diabła. Każdy dzień przybliży cię do wybawienia. Pomyśl o tym, kiedy wkurzy cię następnym razem.

– Łatwo ci mówić.

– Owszem, bo doskonale wiem, o czym mówię. Nie jesteś pierwszą ani ostatnią osobą, która ma trudne dzieciństwo. Pomyśl tylko... – Zamilkłem. Nie miałem pojęcia, jakiej właściwie rady mu udzielić. Spróbowałem sobie przypomnieć, co mnie pomogło wyjść z czarnej dziury, ale wszystkie motywujące kwestie, które przychodziły mi do głowy, brzmiały sztucznie, jak tanie hasło z poradnika „jak być szczęśliwym”. – Nie wiem... Pomyśl o miłych rzeczach.

Yokai się uśmiechnął.

– Wiesz co, to całkiem gówniana rada.

– A czego oczekiwałeś? Nie mogę naprawić twojego życia za pomocą kilku zgrabnych zdań. Nikt nie może. To zadanie dla ciebie.

Yokai pokiwał smutno głową. Miałem wrażenie, że trochę go zawiodłem.

– No, ale coś mogę dla ciebie zrobić – dodałem. – Znam tu niedaleko świetny bar z hamburgerami. Ja stawiam.

– Ekstra – odparł Yokai. – Brzmi całkiem nieźle. Mam ochotę na hamburgera.

Kiedy go zapraszałem, nie miałem pojęcia, jak drogie jest wyżywienie dorastającego chłopaka. Yokai miał żołądek bez dna, co mnie zdumiało, zważywszy na jego szczupłą sylwetkę. Mimo wszystko miło było patrzeć, jaką przyjemność sprawia mu jedzenie. Wprawdzie nie mogłem rozwiązać jego domowych problemów, mogłem jednak postawić mu kolację w towarzystwie osoby, która nie patrzy na niego jak na chodzącą porażkę wychowawczą.

Gdy w żyłach chłopaka zaczął krążyć tłuszcz, sos barbecue i napoje gazowane, nastrój poprawił mu się do tego stopnia, że opowiedział mi, czego się uczył od Alfy i Omegi w ich warsztacie. Okazało się, że bliźniacy wtajemniczali go stopniowo w arkaną trudnej sztuki falsyfikacji oraz uczyli jubilerskiego rzemiosła. Zdaje się, że Yokai był pojętym uczniem.

Po chwili rozmowa zбочyła na osobiste tory. Chłopak opowiedział mi o rodzicach, których dobrze pamiętał, bo zginęli nie tak dawno temu. Wysłuchałem typowej opowieści o zwykłej rodzinie, umiarkowanie szczęśliwej i podobnej do wielu innych rodzin. W pewnym momencie poczułem delikatne ukłucie zazdrości. To prawda, że sytuacja zmieniła się nagle i w sposób tragiczny, ale Yokai przynajmniej przez jakiś czas mógł cieszyć się czymś, czego ja nigdy nie miałem. A jego opowieść kazała mi przypuszczać, że ominęło mnie coś bardzo dobrego.

To przypomniało mi o ojcu i postanowieniu, że odnajdę Helma. Uznałem, że pójde za radą Enigmy.

– Chciałbym poprosić cię o przysługę – powiedziałem, kiedy chłopak pożerał wielki jak cegła kawał ciasta czekoladowego. – To sprawa osobista, nie musisz tego robić.

– *No problem* – zapewnił z pełnymi ustami. – A o co chodzi?

– Chciałbym znaleźć byłego Poszukiwacza. Wiem o nim tylko tyle, że miał pseudonim Helm i że odszedł z Korpusu do NCW, ale teraz jest na emeryturze.

– Myślisz, że pozostał po nim ślad w archiwach waszej kwatery głównej? – Yokai czasem mówił tak, jakbym nadal był Poszukiwaczem.

– Przypuszczam, że tak.

– W takim razie to bułka z masłem. Macie chujowy system zabezpieczeń. Jeśli chcesz, mogę przy okazji wpakować tam jakiegoś wirusa, od którego padnie cała sieć. To pewnie nieźle wkurwi tego całego Alzagę.

Propozycja brzmiała kusząco, ale ją odrzuciłem. W końcu Bańka nadal pracował w Piwnicy, nie chciałem, żeby ucierpiał z powodu awarii komputerów.

– Po co chcesz odszukać tego gościa? – zapytał Yokai.

– Jak mówiłem, to sprawa osobista. – Nie miałem zamiaru zdradzać mu więcej szczegółów, ale zmieniłem zdanie. W końcu chłopak podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami o rodzicach. – Ten Poszukiwacz, Hełm, był kolegą mojego ojca.

– Nie pierdol! Twój stary był Poszukiwaczem? – Przytaknąłem, trochę zaskoczony. Myślałem, że Yokai o tym wie, chociaż sam nigdy mu nie mówiłem. – Zajebicie! Genialnie!

– Tak. Chociaż ma to też swoje minusy.

– Jaki był? Mam na myśli twojego ojca.

– Tak naprawdę nie wiem. Prawie go nie znałem. Dowiedziałem się o tym, że był Poszukiwaczem, całkiem niedawno. Moja matka nadal sądzi, że był pilotem.

– Aaa, rozumiem. Byli rozwiedzeni.

– Coś w tym stylu. Właściwie to nigdy nie mieszkali razem. Rzadko go widywałem. Czasem mnie odwiedzał, spędzaliśmy razem kilka godzin, ale nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Zawsze zabierał mnie do muzeów. – Zdziwiło mnie, z jaką łatwością przychodziło mi opowiadanie o nim. Nie zdarzało mi się to często. – Bardzo lubił opowiadać historie i robił to świetnie. Zginął, kiedy byłem dzieckiem.

– No tak. Słabo.

– To prawda – przyznałem, uśmiechając się lekko. – Dla mnie to było bardzo słabe. Chłopak się zamyślił.

– Ja bardzo dobrze pamiętam mojego starego. Porządny był z niego gość, chociaż ciągle się kłóciliśmy... Zawsze i o wszystko. Cholera, tęsknię za tymi kłótniami, wiesz? Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale... – Yokai potarł nos grzbietem dłoni. – Za tym tęsknię najbardziej. Głupie, co nie?

– Nie, absolutnie nie.

– Chcę powiedzieć, że przynajmniej ich pamiętam. Niektórzy myślą, że to niedobrze. Nie mają zielonego pojęcia. Moi rodzice byli... wspaniali, oboje, i nikt nie musi mi tego mówić, sam o tym wiem. – Yokai zamilkł. Ściągnął brwi. Miałem wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów. – Czasem, kiedy mówię, że jestem szczęściarzem, ludzie patrzą na mnie jak na świra. Nie rozumieją. A ja myślę... jeśli już musieli zginąć w ten sposób... jeśli naprawdę musiało ich to spotkać, cieszę się, że nie stało się to wcześniej, kiedy nie mógłbym ich zapamiętać... To znaczy...

– Chłopak się poddał. Rzucił łyżeczkę obok talerza w geście mającym chyba wyrażać frustrację. – Wszystko jedno. Pewnie ty też sądzisz, że jestem popierdolony.

– Wręcz przeciwnie, uważam, że miałeś szczęście. O wiele większe niż ja.

Yokai spojrział na mnie z wdzięcznością. To, że zrozumiałem, co chce przekazać, przyniosło mu chyba wielką ulgę.

– Znajdę ci tego gościa. Tego całego Hełma – powiedział z zapalem. – Choćbym

musiał się włamać do najlepiej strzeżonych plików świata. Jesteś wart tego, żeby ktoś opowiedział ci, jaki był twój ojciec.

Podziękowałem mu, chociaż nie sędzę, żeby zrozumiał, jak bardzo wzruszyła mnie jego obietnica. Widocznie żaden z nas nie potrafił wyrażać swoich najgłębiej skrywanych uczuć.

Jeszcze jedna rzecz, która nas łączyła. Podczas tej kolacji odkryłem, że było ich wiele.

Kelner przyniósł rachunek. Zapłaciłem, a Yokai poklepał się z zadowoleniem po brzuchu. Niewiarygodne, ile kosztowało zaspokojenie apetytu tego kościstego, chudego chłopaka. Godny pozazdroszczenia młodzieńczy metabolizm.

– Dzięki, chłopie – powiedział. – Nażarłem się jak świnia, wszystko było pyszne. Może teraz skoczmy na piwko?

– Nie ma mowy, chłopie. – Wstałem z krzesła i poklepałem go po ramieniu. – Chodź, odstawię cię do domu. Najwyższa pora spać.

– Twoja stara też tak powiedziała...

Spodziewałem się, że to właśnie usłyszę.

Zdobycie zaufania Yokaiego przyniosło jeszcze jeden skutek, tym razem niespecjalnie pożądanym. Chłopak zrobił się nagle gadatliwy. Odkąd wyszliśmy z restauracji, do chwili, gdy dojechaliśmy do domu jego ciotki na peryferiach Madrytu, dosłownie nie zamykała mu się gęba.

Słowa wypływały z niego jak woda z odkręconego kranu. Opowiadał o swojej fascynacji komputerami, o swoich makietach, o ulubionej muzyce, o dobrych i złych filmach, o tym, dlaczego *Żywe trupy* były w rzeczywistości kontynuacją *Breaking Bad*, o tym, że Hollywood popełniło niewybaczalny błąd, pozwalając, żeby J.J. Abrams wyreżyserował nowe serie *Star Treka* i *Gwiezdnych wojen*. To, że odpowiadałem monosylabami, wcale go nie zniechęcało. Jakby pragnął tylko opowiedzieć o swoich upodobaniach i niepokojach komuś, kto okazuje nimi zainteresowanie (albo przynajmniej je udaje). Miałem wrażenie, że od dawna nie miał takiego poczucia.

Zatrzymałem samochód przed jego domem w chwili, kiedy mówił mi, dlaczego jego zdaniem *Biuro*, oczywiście w wersji amerykańskiej, jest najlepszą komedią w historii telewizji. Czułem się, jakbym właśnie odbywał przyśpieszony intensywny kurs audiowizualnej kultury popularnej.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałem. Zauważyłem, że w domu nie świeci się ani jedno światło. – Ciotki chyba nie ma.

– Widać mam szczęście i poszła na jakąś akcję w swojej parafii. Ciągłe organizują jakieś pielgrzymki, czuwania, te sprawy. Mam nadzieję, że kiedyś wreszcie zamknie się w klasztorze i przestanie mnie dręczyć.

– Jeśli chcesz, mogę z nią pogadać. Powiem jej, że wcale się nie obijasz, że uczysz się zawodu. Może przestanie się nad tobą pastwić.

– Zajebisty pomysł. Na pewno bardzo się ucieszy, że dwóch nieżonatych starszusków uczy mnie, jak podrabiać dzieła sztuki. Myślę, że będzie spokojniejsza.

– No przestań, jestem przecież osobą godną zaufania, pracuję dla Interpolu

– zaprotestowałem. – Poza tym nie miałem zamiaru wtajemniczać jej w szczegóły, tylko przekonać, że jesteś pod dobrą opieką.

– Dzięki za troskę, ale to bez sensu. Poza tym już ci mówiłem, że ma w dupie to, co robię, zawsze będzie uważała, że jestem bezużytecznym palantem.

Młody wysiadł z samochodu i ruszył ku wejściu.

– Yokai! – krzyknąłem za nim. Odwrócił głowę. – Wiesz, że to nieprawda? Że ona nie ma racji?

– Tak, jasne. Chyba tak...

– Nie ma racji – powtórzyłem z naciskiem. – Jesteś wspaniałym, mądrym chłopakiem. I dokonasz wielkich rzeczy.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Ocalę świat od zagłady. A może zrobię coś jeszcze lepszego, czemu nie? – Znow odwrócił się do mnie plecami i poszedł dalej z rękami w kieszeniach i z opuszczoną głową jak więzień wracający z przepustki do znieawidzonej celi.

O ile wiem, Yokai nigdy nie ocalił świata od zagłady. To byłby błahy wyczyn w porównaniu z tym, czego miał dokonać w przyszłości.

Pisane mu bowiem było stać się legendą.

CIBOLA

Następnego dnia po południu Bańka zadzwonił na moją komórkę. Powiedział, że większość plików z twardego dysku Rosignollego to zwykle śmieci, ale znalazł kopię mejla, który być może mnie zainteresuje. Zanim się rozłączył, zdążył już mi go przesłać.

Pod wiadomością, wysłaną dwa miesiące wcześniej, podpisał się doktor Yoonah.

Szanowny Panie Doktorze,

pierwszy szkic tłumaczenia mezogockiego testamentu wydał się nam wielce obiecujący. Z całego serca pragniemy pogratulować Panu znakomicie wykonanej pracy, która tylko utwierdza nas w przekonaniu, że nie pomyliliśmy się, wierząc w Pańskie możliwości.

Z tego powodu postanowiliśmy wtajemniczyć Pana w najambitniejszy z naszych projektów, do którego pragniemy zaangażować najwybitniejszych mediewistów, a Pan bez wątpienia zalicza się do ich grona.

Podczas naszego ostatniego spotkania miałem okazję napomknąć Panu w skrócie o naszych poszukiwaniach w Republice Valcabado. Nie mogłem wówczas zdradzić więcej szczegółów, ale teraz sytuacja się zmieniła.

Kiedy zestawiliśmy wynik Pańskich badań z rezultatami innych, prowadzonych w ramach Projektu Lilith, stało się dla nas jasne, że to, co przez lata uważane było za legendę, istnieje naprawdę i możemy to odnaleźć. I bardzo chcemy to zrobić, licząc, Panie Doktorze, na Pańską pomoc.

Miasto Cibola wcale nie jest mitem. Miejsce, w którym Teobaldo i jego akolici złożyli skarb wizygockiego Królestwa Toledo, znalazło się w zasięgu naszych rąk. Jak sam Pan doskonale wie, wielu poszukiwało zaginionego miasta bez powodzenia. Dziś jest uważane za efemeryczny mit, obok Atlantydy, Eldorado... Legendy, w których nie ma ani krzty prawdy.

A jednak proszę tylko pomyśleć o wszystkich tych niedowiarkach, którzy rozdziawili gęby, kiedy Schliemann odkrył Troję (jeszcze jeden mit), albo o wrzawie wywołanej odnalezieniem Ur, gdzie przyszedł na świat Abraham (kolejna legenda). O miejscach takich, jak Machu Picchu, Kreta, Adzanta... Uważano, że są one wytworem fantazji, dopóki Hiram Bingham, Arthur Evans czy William Erskine nie odkryli ich na nowo i nie pokazali światu. Nasze nazwiska, szanowny Panie Doktorze, mogą znaleźć się na kartach historii obok nazwisk tych wspaniałych odkrywców. A nawet ponad nimi, gdyż nasze odkrycie może się okazać tysiąc razy ważniejsze dla historii ludzkości.

Wierzę, że możemy odnaleźć Cibolę. I że tego dokonamy. A Pan ma szansę przyłączyć się do nas i być uczestnikiem tego wiekopomnego wydarzenia. Nie sądzę, żeby chciał Pan zaprzepaścić tę życiową szansę.

W przyszłym tygodniu udaję się do Londynu. Jeśli ma Pan zamiar przystać na moją

propozycję, chętnie opowiem Panu w cztery oczy, na czym miałyby polegać Pańska praca w Valcabado.

Pozdrawiam serdecznie
D.Y.

PS Odpowiadając na pytanie zawarte w Pańskim poprzednim mejlu, z całą mocą powtarzam, że na to się nie zgadzamy. Mezogocki manuskrypt jest zbyt cenny, żeby wypożyczać go jakiegokolwiek instytucji, choćby nawet chodziło o Barbican Centre. Żywię nadzieję, że zdrowy rozsądek kazał Panu odrzucić tę propozycję, jeszcze zanim doczekał się Pan mojej odpowiedzi. Jeśli chodzi o pieniądze, nie bardzo porusza mnie kwota, którą Panu zaoferowano. Mam wrażenie, że honoraria, które wypłaca Panu Voynich, są aż nadto szczodre. Bardzo zawiedlibyśmy się na Panu, Szanowny Doktorze, gdyby się okazało, że próbuje Pan uciulać dodatkowe grosze, wypożyczając dzieło sztuki, które, jak wszystkim nam dobrze wiadomo, nie należy do Pana.

Nazwa Cibola brzmiała znajomo. Z pewnością coś o tym miejscu czytałem albo przynajmniej słyszałem. Jedno z tych zaginionych miast, opiewanych w legendach, jak Lemuria, Bobastro czy oaza Zorzura. Oczywiście wszystkie one skrywały pośród swych ruin wielkie skarby.

Przyznaję, że nie pamiętałem, co takiego próbowano znaleźć w Ciboli, dlatego natychmiast zacząłem szukać informacji. Dowiedziałem się, że około 713 roku powstała w Hiszpanii legenda, według której grupka mnichów, wobec nieuchronnej inwazji arabskiej, postanowiła zabezpieczyć największe skarby wizygockiego królestwa ze stolicą w Toledo, wywożąc je z półwyspu. Według niektórych źródeł mnisi pochodzili z Estremadury, konkretnie z Meridy, w innych utrzymywano, że byli Andaluzyjczykami, w jeszcze innych wyczytałem, że pochodzili z Doliny Cisy w Bierzo w prowincji León. Nigdzie nie znalazłem jednak wzmianki o Teobaldzie.

Nikt nie wie na pewno, dokąd udali się mnisi ani co ze sobą zabrali, ale z jakiegoś powodu zaczęto sądzić, że przepłynęli Atlantyk i dotarli do Ameryki. Chociaż pomysł wydaje się na pierwszy rzut oka szalony, być może nie jest aż taki absurdalny: mnisi celtyccy i wikingowie dotarli do brzegów Ameryki wiele wieków przed Kolumbem, mniej więcej w tym samym czasie, gdy uparci Wizygoci wyruszyli w swoją domniemaną podróż przez ocean. Teorie głoszące, że Polinezyjczycy, Chińczycy i Afrykańczycy mogli być pierwszymi kolonizatorami Ameryki, zawsze miały swoich zwolenników, chociaż dziś uważa się raczej, że są „pseudoarcheologiczne”. Z drugiej strony wiele prekolumbijskich mitów opowiada o spotkaniu z ludźmi przybyłymi z drugiego brzegu morza.

Czy to możliwe, że grupka mnichów z Estremadury dotarła do Ameryki kilka wieków przed swoimi ziomkami Hernanem Cortesem i Pizarrem? Nie mogłem tego zdecydowanie wykluczyć, znając upór ludzi z tamtych stron. Ale muszę przyznać, że nie brzmiało to zbyt prawdopodobnie.

Legendy, które znalazłem na temat Ciboli, były niejasne, czasami wzajemnie sprzeczne. Wielu badaczy i poszukiwaczy skarbów uważało, że mnisi podczas swej

amerykańskiej peregrynacji założyli nie jedno, lecz siedem miast. Niektórzy z hiszpańskich kolonizatorów dali wiarę tym opowieściom i próbowali je znaleźć. Chyba najślynniejszym z nich był brat Marcos z Nicei, który w XVI wieku uczestniczył w wielu bezowocnych wyprawach mających za zadanie zlokalizowanie Ciboli.

Co do jednego różne wersje legendy były zgodne: wszystkie sytuowały zaginione miasto w Ameryce Północnej, a konkretnie w jej południowo-zachodniej części.

To wydało mi się zastanawiające, bo w swoim mejlu doktor Yoonah dawał do zrozumienia, że Voynich poszukuje Ciboli w Republice Valcabado. Spojrzałem na mapę i znalazłem rzeczony kraj w regionie znanym jako Cono Sur, w dżungli, w pobliżu granicy pomiędzy Kolumbią a Brazylią. Albo Yoonah i jego współpracownicy szukali innej Ciboli niż ta znana z legend, albo ich poszukiwania bazowały na źródłach zupełnie odmiennych od tych stanowiących podwaliny powszechnie znanego mitu.

Wszystko wskazywało na to, że jednym z tych źródeł jest mezogocki manuskrypt. Jeśli mieliśmy zrozumieć, co knuje Voynich, musieliśmy jak najprędzej przetłumaczyć tekst. Niestety C-3PO, tłumacz wymyślony przez Yokaiego, nie był jeszcze gotowy.

Mijały dni, a Yokai ciągle pracował nad programem. Zadzwoniła do mnie Lacombe z pytaniem, kiedy zamierzam wrócić do pracy. Powiedziałem jej, że potrzebuję jeszcze trzech–czterech dni. Ten termin narzuciłem sobie, żeby poczekać, czy C-3PO okaże się użyteczny. Postanowiłem, że po upływie tego czasu wrócę do Francji i pozostawię całą tę sprawę w zawieszeniu.

Którejś nocy obudził mnie telefon. Yokai z powodzeniem zakończył pracę nad programem C-3PO.

Treść mezogockiego manuskryptu przestała być już dla nas tajemnicą.

Autorem podpisanym pod tym arcyciekawym tekstem był toledański mnich o imieniu Gesalio. Jego historia była równie zdumiewająca, jak fascynująca. Zaczynała się tak:

Gesalio był ostatnim z zakonników rozkwitającego niegdyś klasztoru Santa María del Melque. Pewnej nocy, kiedy spał samotnie w jego ruinach, odwiedził go dziwny gość. Nie był to nikt inny, jak jeden z siedmiu mnichów, którzy wraz z Teobaldem uratowali skarby królestwa Wizygotów przed inwazją muzułmańską.

Ów mnich opowiedział Gesaliowi swoją historię, a potem umarł, chociaż autor mezogockiego tekstu używał wyrażenia „oddać ducha”. Była to opowieść o tym, jak Teobaldo i jego towarzysze przetransportowali skarby wizygockie do miasta, które wzniesli „z Bożą pomocą” na ziemiach po drugiej stronie oceanu, dalej niż *finis terrae*, kraniec znanego świata.

Skarbem tym, według Gesalia, nie były złote korony ani kufry pełne drogocennych kamieni, lecz najważniejsza spuścizna wizygockich władców. Przedmiot obdarzony mocą nieporównywalną z żadną inną na świecie.

Szem ha-Meforasz.

Ołtarz Imienia nad Imionami. Stół Króla Salomona.

Teobaldo i jego mnisi zbudowali nie tylko miasto, ale też sanktuarium Michała Archanioła. We wnętrzu tej świątyni znajdowały się wskazówki pozwalające dotrzeć do

miasta. Skryba otrzymał z rąk Teobalda przedmiot, który nazywał na dwa sposoby: „Mieczem Archistratega” oraz dziwnym terminem *Sakal Kamu*, którego w żaden sposób nie tłumaczył. Domyślaliśmy się, że to jakaś nazwa własna.

Według Gesalia Miecz Archistratega był niezbędny do odnalezienia miasta, chociaż nie wyjaśniał, w jaki właściwie sposób.

Kiedy dawny towarzysz Teobalda umarł, Gesalio postanowił wyruszyć do Asturii na dwór Alfonsa II i oddać chrześcijańskiemu monarsze Miecz Archistratega.

Gesalio twierdzi w swej kronice, że król Alfons wysłuchał jego opowieści z wielką uwagą. Mnich stanął przed władcą w najodpowiedniejszym momencie, by ten uwierzył w jego historię: tuż po odnalezieniu w Composteli grobu uważanego za miejsce pochówku Świętego Jakuba Apostoła. Król Alfons uznał, że pojawienie się towarzysza Teobalda, który przynosił wieści o tym, że Stół Salomona jest bezpieczny, to kolejny cudowny znak, iż Królestwo Asturii cieszy się Bożym błogosławieństwem, a jego przeznaczeniem jest zajęcie ważnego miejsca pośród chrześcijańskich monarchii.

Król Alfons doszedł do wniosku, że obowiązkiem jego rodu jest przechowanie zarówno Miecza Archistratega, jak i sekretu mnicha Gesalia. Nakazał zbudować świątynię, a pod jej fundamentami ukrył Miecz.

W tym fragmencie kroniki słowa skryby stawały się dość mętne. Mówił, że osobiście pokazał królowi Alfonsowi, jak zrobić „bitewne anioły” zdolne utrzymać niewiernych z dala od Miecza Archistratega.

Gesalio pisał: *Polecą, żłobiąc bruzdy w niebie niczym ołowiane gwiazdy, uzbrojone w miecze gorejące jak ogień. Teobaldo i jego anachoreci nauczyli się sztuki tworzenia bitewnych aniołów i poznali wiele innych sekretów dzięki Ołtarzowi Imienia nad Imionami; to właśnie towarzysz Teobalda, zanim oddał ducha, pokazał mi, jak zbudować boskie maszyny, ale musiałem przysiąc, że zostaną użyte tylko do ochrony Miecza Archistratega, a nigdy podczas ludzkich wojen, taka bowiem jest wola Najwyższego. Król Alfons przyrzekł mi, że tak właśnie uczyni, i sekret tworzenia bitewnych aniołów umrze razem ze mną.*

To tylko jeden ze zdumiewających fragmentów kroniki. A w dodatku, jak na dobrego narratora przystało, Gesalio zostawił na sam koniec najbardziej zaskakującą wiadomość.

W ostatnich zdaniach swojej kroniki Gesalio wyjawia, dlaczego Teobaldo postanowił ocalić Stół Króla Salomona.

Teobaldo był ostatnim Baal Szemem.

On i jego bracia anachoreci znali sekret Ołtarza Imienia nad Imionami. Potrafili odczytać z niego słowo stworzenia, prawdziwe imię Boga. I, co najważniejsze, jedyny żyjący z siedmiu mnichów zdradził Gesaliowi sposób na przechowanie tajemnicy, żeby nie zaginęła na zawsze, wraz ze śmiercią ostatniego towarzysza Teobalda.

Tu znajduje się odpowiedź, jak przywołać Szem ha-Meforasz – pisał Gesalio – Imię nad Imionami. Zapisalem je tak, jak mi polecono. Nie została mi udzielona wiedza, żeby to zrozumieć, i dziękuję za to Bogu, gdyż daje ono moc, której żadna istota ludzka nie potrafi udźwignąć.

Sposób, w jaki należy wymówić Imię nad Imionami, będzie czekał tutaj, aż Pan

uzna, iż nadszedł czas dla nowego Baal Szema, który je pozna i będzie strzegł tajemnicy jak w dawnych czasach. Modłę się z całych sił, żeby ten człowiek był sługą Bożym, a jego dusza nie była zatruta Złem, w przeciwnym razie bowiem prawdziwa trwoga ogarnia mnie na myśl o władzy, jaką by zyskał.

Ja, Gesalio, sługa Boga Wszchemogącego, przed którego Obliczem niedługo stanę, wypełniam rozkaz mojego Pana i Władcy króla Alfonsa i zapisuję wszystko, czego byłem świadkiem. Na łożu śmierci przysięgam przed Bogiem i moim Królem na zbawienie mojej nieśmiertelnej duszy, że wszystko, co tu opowiedziałem, jest prawdą. Niech ta opowieść będzie moim testamentem i posłuży temu, aby wszyscy ludzie, bracia w Chrystusie, zrozumieli i podziwiali chwałę Tego, który stworzył ziemię, morza, gwiazdy na niebie i żywe istoty, śpiewające hymn na cześć Jego dzieł.

Deus est numerus.

Tak kończył się manuskrypt. Ani śladu owego „Imienia nad Imionami” ani niczego, co pozwoliłoby się domyślać, jak się owo imię wymawia, z czego się składa, jakby w ostatniej chwili mnich zmienił zdanie i zapomniał je umieścić w swojej kronice... A może postanowił zabrać sekret ze sobą do grobu, wiedziony lękiem, że ten mógłby się dostać w niepowołane ręce kogoś, kto użyje go do swoich złowieszczych celów.

Istniała też inna możliwość, o wiele bardziej niepokojąca, a mianowicie że Rosignolli nie zeskanował całości manuskryptu i, co za tym idzie, najważniejsza część świadectwa Gesalia, Szem ha-Meforasz, została w dokumencie oryginalnym, a my nie mieliśmy do niej dostępu.

To byłby prawdziwy problem, gdyż, zgodnie z naszymi podejrzeniami, oryginalny manuskrypt wpadł w łapy Voynicha. Z pewnością wieść o tym nie ucieszyłaby Gesalia.

Siedzieliśmy w zakładzie jubilerskim – bliźniacy, Yokai, Bańka i ja – i popijając kawę z termosu, dyskutowaliśmy nad treścią rękopisu. Próbowaliśmy wspólnymi siłami uporządkować jakoś ostatnie wydarzenia i odkrycia.

Jedno było dla nas wszystkich jasne: Cibola, której Voynich szukał w Ameryce Południowej, była tym samym Miastem Świętych Mężów, o którym wspominał Gesalio. Z tego właśnie powodu Yoonah rozbierał kościół w San Cristóbal de Bayura: próbował znaleźć Miecz Archistratega, ukryty pod jego fundamentami przez króla Alfonsa i strzeżony przez bitewne anioły. Z rękopisu wynikało niezbicie, że bez Miecza Archistratega niemożliwe jest dotarcie do miasta wzniesionego przez Teobalda i jego towarzyszy.

Przynajmniej to było pocieszające. Mieliśmy pewność, że Voynich nigdy nie znajdzie tego przedmiotu, bo Enigmie i mnie udało się wydobyć go z kryjówki, a Yoonah i jego wspólnicy o tym nie wiedzieli. Na razie.

Bańka zapytał, czy jestem pewien, że owo dziwne koło, które znaleźliśmy w Asturii, jest rzeczywiście wspomnianym mieczem.

– Bo wcale miecza nie przypomina – powiedział, przypatrując się sceptycznie przedmiotowi umieszczonemu przez bliźniaków na stole do pracy. – Powiedziałbym raczej, że to kierownica... albo klucz.

– Klucz? – zapytałem.

– Spójrz na te ząbki i wgłębienia na osi.

Musiałem poważnie się nad tym zastanowić, Bańka był przecież ekspertem od rozmaitych narzędzi służących do otwierania zamków i jeśli sądził, że to klucz, najprawdopodobniej miał rację.

– Chociaż Gesalio wspomina o mieczu, nie musi mieć na myśli rzeczywistego miecza – zauważyłem. – Może to tylko *licentia poetica*. Poza tym widnieje na nim inskrypcja: „Pod tym znakiem zwyciężysz wrogów”. Coś podobnego można by napisać na broni.

– Nie zaprzeczam, ale... – Poszukiwacz wzruszył ramionami. – No cóż, skoro ty tak mówisz. W końcu masz nosa do takich rzeczy.

– Nie zapominajmy o drugiej inskrypcji na tym dziwnym przedmiocie – wtrącił Omega. – Urbs Hominum Sanctorum, Miasto Świętych Mężów. Mam wrażenie, że ten szczególnie ponad wszelką wątpliwość każe przypuszczać, że to o nim mowa w tekście Gesalia. Podobnie jak Faro uważam, że to Miecz Archistratega.

Nie umknęło mojej uwagi, że Omega znów nazwał mnie Farem, a nie Tirsem, jak to czynił, odkąd wróciłem z Francji.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co to jest ten cały Arsych...? Archis...? No, to słowo – odezwał się Yokai.

– Archistrateg, kolego, to nie takie trudne – odparł Bańka. – To przydomek archanioła Michała, pochodzi z greki i oznacza najwyższego dowódcę.

– Ach, tak, oczywiście, to on dowodzi zastępami niebieskimi – powiedział Yokai, nieco urażony. – A Baal Szem?

– Strażnik Imienia – wyjaśniłem. – To część legendy o Stole Króla Salomona. Według hebrajskiej tradycji tylko dwie osoby potrafiły odczytać prawdziwe imię Boga, jedną był sam król Salomon, drugą kapłan z rodu Lewiego, któremu król powierzył tę tajemnicę. Ten kapłan nazywał się Baal Szem. Wiązały go śluby milczenia, które mógł złamać tylko raz do roku, podczas święta Paschy, wtedy wchodził sam do tabernakulum świątyni i szeptał imię, stojąc przy Arce Przymierza. Jego zadaniem było też wyznaczenie następcy, który przejmował od niego sekret, i tak z pokolenia na pokolenie, żeby zawsze był ktoś, kto zna Szem ha-Meforasz, na wypadek gdyby któregoś dnia lud Izraela odzyskał Stół Salomona i wiedział, jak go użyć. Legenda głosi, że ostatni Baal Szem zaginął, kiedy rzymscy cesarowie nakazali wygnanie Żydów z Jerozolimy, niecałe dwa tysiące lat temu.

– Zajebicie – powiedział Yokai. – To znaczy, że gość, który napisał ten tekst, poznał z ust tego Baal Szema, czy jak on się nazywał, sekret prawdziwego imienia Boga i gdzieś go tu zapisał? Ale gdzie?

– Obawiam się, że w żadnej z części tekstu, którymi dysponujemy – odparłem.

– Pewnie można go znaleźć w oryginalnym manuskrypcie, który straciliśmy w Londynie.

– Znów ten Stół Salomona – mruknął Bańka. – Miałem nadzieję, że nie będziemy już wracać do tego przeklętego mebla.

– Projekt Lilith – myślałem głośno. – Lilith to imię królowej wiedźmy, która pokazała Salomonowi sekrety Stołu. – Pokiwałem głową, utwierdzając się we własnych podejrzeniach. Zaczynałem widzieć wszystko jasno. – Zawsze chodziło o Stół, zawsze. To o niego chodzi Voynichowi, to jego zawsze szuka. Stołu Króla Salomona.

„I tak koło się zamyka”.

– Ale przecież znaleźliśmy ten Stół. Znajduje się teraz w Muzeum Archeologicznym.

– Nie. – Przenosiłem spojrzenie na każdego z moich towarzyszy po kolei. – Od jakiegoś czasu to podejrzewam, a konkretnie odkąd wróciliśmy z Mali. To, co znaleźliśmy, nie jest prawdziwym Stołem Króla Salomona. To tylko replika. Być może mnisi Teobalda umieścili go w Jaskiniach Heraklesa, kiedy zabrali stamtąd prawdziwą relikwię. A może prawdziwego stołu nigdy w Jaskiniach nie było. Sam nie wiem.

Zapadła ciężka cisza.

To był moment, żeby zdradzić mój sekret. Prawdę o tym, co znalazłem w Bandiagarze, w Nieprzemijalnej Oazie Ogolu. Dotychczas moi koledzy wierzyli, że znalazłem tylko zardzewiały żelazny łańcuch, domniemany skarb Dżaudara Paszy.

Nigdy nie opowiedziałem im o spotkaniu z przedziwną postacią, która nazywała siebie Strażnikiem. Nie zrobiłem tego, bo sam nie byłem pewien, że to wydarzyło się naprawdę. Wszystko to było niewiarygodne... Mężczyzna wyrósł nagle jak spod ziemi, jego obecność wywarła na mnie hipnotyzujące wrażenie. Powiedział mi, że Stół Salomona, który nazywał Ołtarzem Imienia nad Imionami, był przez wiele lat ukryty w Bandiagarze, póki ktoś go nie ukradł – być może sama Lilith. Opisał mi ów ołtarz, a opis nie pasował do przedmiotu znalezionej przez nas w Jaskiniach Heraklesa.

– Chcesz powiedzieć, że spotkałeś kogoś w tej dziurze? – zapytał z niedowierzaniem Bańka. – Gościa, który pojawił się znikąd, opowiedział ci parę starych legend, a potem zniknął bez śladu? Gościa, którego nie widział nikt prócz ciebie?

Poszukiwacz patrzył na mnie tak, jakbym wspomniiał o spotkaniu z kosmitami.

– Nie wierzysz mi.

– Nie o to chodzi... Ja... ja tylko... – Bańka najwyraźniej nie mógł znaleźć słów.

– Nie rozumiem, po jaką cholere ktoś miałby wymyślać tak absurdalną historię.

– Stres pourazowy? – zasugerował Yokai. – Nie wiem, czytałem w jakiejś książce, że to się czasem zdarza. Podczas pierwszej wojny światowej, w bitwie pod Verdun, grupa żołnierzy przysięgała, że widziała Świętego Jerzego na białym koniu. Było to coś w rodzaju... zbiorowej halucynacji.

Postanowiłem nie wspominać więcej o dziwnym Strażniku. Przynajmniej do czasu, kiedy sam nie będę pewny, że to się zdarzyło naprawdę.

– Dobrze, przypuśćmy, że to były halucynacje – powiedziałem, chcąc zmienić temat. – Zmęczenie bojowe, niedożywienie, zaburzenie dopływu krwi do mózgu, wszystko jedno. Ale jest jeszcze jedna sprawa: obiekt, który wynieśliśmy z Jaskiń Heraklesa, w niczym nie przypomina Stołu o nadprzyrodzonej mocy, o jakim mówią legendy. Jest niewielki, niezbyt kunsztownie wykonany, wygląda raczej jak element posagu, nie tak wyobrażałem sobie mityczny Stół Króla Salomona. Wszyscy byliśmy co do tego zgodni w swoim czasie, nie wiem, czy pamiętacie.

– Tu muszę przyznać ci rację – poparł mnie Alfa. – Wydaje się taki... mały. Nie wygląda na drogocenną relikwię budzącą pożądanie.

– *Parturient mones, nascetur ridiculus mus*¹ – dodał Omega.

– Pytanie brzmi: co zrobimy teraz, kiedy znamy już prawdziwe intencje Voynicha?

– dodałem.

Nikt nie odpowiedział. Bańka wykorzystał tę chwilę ciszy, żeby zapalić papierosa. Robił to spokojnie, wcale się nie śpiesząc. Zaciągnął się, wypuścił chmurę dymu i dopiero wtedy zabrał głos:

– Pozwól, młody, że wyjaśnię mój punkt widzenia, moją wizję, jako jedyne go Kawalera Poszukiwacza będącego aktualnie w służbie czynnej, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Wieki temu garstka hiszpańskich mnichów postanowiła ocalić relikwie należące do wizygockich królów. Wsiedli na statek, przepłynęli ocean i wylądowali w jakimś zamorskim piekle, gdzie postanowili ni mniej, ni więcej tylko zbudować miasto, w którym ów skarb ukryli. Teraz amerykańska korporacja chce to miasto odnaleźć i przywłaszczyć sobie wszystko, co w nim znajdzie, z hiszpańskimi skarbami włącznie. Nie wiem, jak się na to zapatrujecie, ale według mnie to zwykła grabież, podręcznikowy przypadek chamskiej kradzieży, podobnej do tych, jakich dopuszczali się Ben LeZion, William Hearst, Arthur Byne i cała banda skurwieli, którzy zrabowali nasze klasztory, nasze zamki i nasze dzieła sztuki. Gdyby Narváez żył, mogę sobie doskonale wyobrazić, co by powiedział. Musimy ich powstrzymać!

– „Z powrotem do domu” – zacytowałem hasło Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

– Tak jest, młody. – Bańka zgasił papierosa w popielniczce. – Znajdziemy to miasto i przywieziemy z powrotem do domu wszystko, co należy do nas.

– Tak, jasne, że tak! – wykrzyknął rozentuzjasmowany Yokai.

– Przykro mi, chłopcze. Ty zostajesz z bliźniakami. – Wskazał na Alfę i Omegę.

– Wciąż jesteś tylko szczeniakiem na praktykach.

– To niesprawiedliwe! – wykrzyknął znowu Yokai. – Tirsa zabierzesz ze sobą, chociaż nawet nie jest już Poszukiwaczem.

– On ma na imię Faro, a nie Tirso – poprawił go Bańka. Patrzył na chłopaka, ale zwracał się do mnie: – To ja nadałem mu to imię i straci prawo, żeby go używać, tylko wtedy, gdy ja tak zdecyduję, jasne?

– Dziękuję – powiedziałem. – Aczkolwiek obawiam się problemów ze strony Interpolu.

– Może już najwyższy czas rzucić tę pracę. Nie pasuje do ciebie, młody. W niczym nie przypominasz agenta Interpolu. Poza tym... Jak długo już nie ma cię w pracy? To dziwne, że nie wywalili cię na zbity pysk, masz szczęście, że twoja szefowa je mi z ręki.

– Jasne. Nie wątpię w to.

– Mówię serio. Szaleje za mną, biedaczka, próbuje to tylko ukryć za fasadą francuskiej powściągliwości.

Poszukiwacz był w dobrym humorze, na tyle, żeby żartować. Wobec zbliżającej się misji Bańka robił się równie wesoły jak uczeń z nadejściem letnich wakacji.

Ja z kolei starałem się okiełznać entuzjazm. Pragnienie odnalezienia Ciboli to jedno, zupełnie inną sprawą zaś było dysponowanie koniecznymi do tego środkami. Smutna prawda przedstawiała się tak: mieliśmy w swoim gronie tylko jednego Poszukiwacza, który w dodatku będzie zmuszony działać za plecami bezpośredniego przełożonego, opłacanego przez naszych wrogów. Oprócz tego nasze zasoby ludzkie

ograniczały się do dwóch leciwych jubilerów, entuzjastycznie nastawionego nastolatka i mnie, pozbawionego motywacji agenta Interpolu, który raczej prędzej niż później będzie musiał wrócić do pracy, jeśli nie chce znaleźć się na bezrobociu.

Nie zamierzałem jednak podcinać Bańce skrzydeł. Tymczasem miałem inne zmartwienie: Yokai dotrzymał słowa i odnalazł w archiwach Piwnicy Hełma. Teraz wiedziałem już, jak nazywa się naprawdę.

Dysponując tą informacją i z pomocą Yokaiego, który bez większego trudu włamał się do bazy danych Urzędu Stanu Cywilnego, ustaliłem aktualny adres zamieszkania byłego Poszukiwacza. Hełm, jako zwykły emeryt, był właścicielem domku na wsi w La Manchya, a dokładniej w Quintanar del Rey, zaledwie dwie godziny jazdy samochodem od Madrytu.

Postanowiłem natychmiast pojechać w odwiedzinach do dawnego towarzysza mojego ojca.

Zległy w połogu góry, a rodzi się śmieszna mysz (łac.). [\[wróć\]](#)

TOSTY

Dotarłem na niewielką działkę otaczającą domek z cegieł, bardzo prosty, sprawiający wrażenie, jakby zaprojektował go sam właściciel. Znajdował się pośród łąk gładkiego jak prześcieradło płaskowyżu. Na horyzoncie majaczyły sylwetki nowoczesnych wiatraków, nieśpiesznie poruszających śmigłami.

Kiedy stanąłem przed furtką, do płotu podbiegło stado kundli. Psy czekały, merdały ogonami i podskakiwały jak na sprężynach. Chyba nie chciały mnie przestraszyć, raczej darły się na cały głos, żeby powitać ewentualnego towarzysza zabaw.

Usłyszałem głos zza domu.

– Zamknijcie się, pchlarze! Co to za awantura?

Do furtki podszedł mężczyzna. Korpulentny, z brodą, o szerokich barach i wielkim, okrągłym brzuchu ukrytym pod koszulą w kratę. Wydawało się, że jej z trudem zapięte guziki zaraz wystrzelą jeden po drugim. Zarówno koszula, jak i spodnie były przybrudzone ziemią.

Mężczyzna zauważył, że ktoś stoi przed furtką jego ogrodu.

– Dzień dobry – powitał mnie uprzejmie. – Mogę panu w czymś pomóc?

– Szukam Joaquima Herrery.

– To już go pan znalazł.

– To pan? Chodzi mi o Joaquima Herrere – zawiesiłem głos – alias Hełm.

Facet zamarł w bezruchu. Długą chwilę taksował mnie uważnym spojrzeniem przymrużonych oczu.

– Czy my się, chłopcze, skądś znamy?

– Nazywam się Tirso. Moim ojcem był Enrique Alfaro. – Mężczyzna nadal patrzył na mnie podejrzliwie. – Piorun.

Z jego brzucha wydobyło się przeciągłe westchnienie.

– Boże jedyny... – szepnął. – Podszedł do furtki, żeby ją przede mną otworzyć, odganiając psy. – Idźcie sobie, kundle. Gracik, Księżniczka, siad! – Przekręcał klucz w zamku nerwowymi ruchami. – Wejdz, chłopcze, śmiało. Nie bój się, te psiaki są łagodne jak baranki.

Psy otoczyły mnie, obwąchały skrupulatnie i obśliniły nogawki spodni. Potem uznały najwyraźniej, że nie jestem wcale tak interesujący, jak im się wydawało, bo zostawiły mnie w spokoju i pobiegły gdzieś do swoich psich spraw.

Hełm wciąż przyglądał mi się z niedowierzaniem.

– Nie jesteś zbyt podobny do ojca. Mówiłeś, że jak masz na imię?

– Tirso.

– Ach, tak, to z pewnością ty. Twój ojciec nienawidził tego imienia. Usilnie próbował przekonać matkę, żeby nazwała cię inaczej, ale nic nie wskórał.

– Chciałbym z panem porozmawiać, jeśli znajdzie pan dla mnie chwilę.

– Dla syna Pioruna? Oczywiście, że tak. – Na brodatej twarzy Hełma pojawił się szeroki uśmiech. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Kiedy widziałem cię ostatnio, byłeś maleńkim chłopcem. Boże, jak ten czas leci.

– Kiedy widział mnie pan ostatnio?

– Nie osobiście, miałem na myśli zdjęcie. Ojciec nosił twoje zdjęcie w portfelu, zrobione tuż po narodzinach. Nie wiem, ile razy mi je pokazywał. Kiedy wypił więcej niż jedno piwo, zawsze, cholera, wyjmował fotografię. – Hełm roześmiał się głośno. – O mój Boże, pamiętam to, jakby zdarzyło się wczoraj.

Zaprowadził mnie na tyły domu. Znajdował się tam mały basen, niewiele większy od wanny, chyba sam go zbudował w wolnych chwilach.

Usiedliśmy na ganku, na rozkładanych krzesłach przy plastikowym stole. Poczulem się jak w barze na plaży. Hełm przyniósł dwie butelki piwa i wielką miskę pistacji. Był prostym człowiekiem, o nieco nieokrzesanych manierach, ale też radosnym. Przy pierwszej sposobności wybuchał gromkim śmiechem. Wydawało mi się, że mieszka tu sam ze swoimi psami.

Opowiedział mi, że jest rozwodnikiem i nie ma dzieci. Kiedy przeszedł na emeryturę w NCW, kupił tę działkę w pobliżu swojej rodzinnej wsi i spędził ostatnie lata, budując dom, własnymi siłami wprowadzając w nim drobne ulepszenia i uprawiając pieczarki. Pokazał mi nawet z dumą swoje ostatnie zbiory. Grzyby były wielkie jak pomarańcze. Wyjął ze skrzynki kilka garści, zapakował w plastikową torebkę i uparł się, że musi mi je podarować. Dał mi też w prezencie dwie butelki piwa domowej roboty i wielką torbę pistacji. Poczulem się przytłoczony tymi prezentami, ale zrozumiałem, że robi to dla syna Pioruna.

Na wieść o tym, że i ja zostałem Poszukiwaczem (nie wspomniałem mu, że wydalono mnie z Korpusu), tak się ucieszył, że przez chwilę myślałem, iż na liście prezentów, prócz torby pieczarek, piwa i pistacji, zamieści jeszcze swoją działkę.

Hełm nie spędził wiele czasu w Piwnicy (zaledwie pięć lat, jak sam mi powiedział), ale wspominał ten okres jako najbardziej emocjonujący w swoim życiu. Bardzo się cieszył, mogąc podzielić się tymi opowieściami z kolegą po fachu. Wyobrażam sobie, że emerytowanemu Poszukiwaczowi niezwykle trudno jest znaleźć osobę, z którą może powspominać dawne przygody.

Opowiadał mi o Narvaezie, którego wielbił prawie jak ojca (ze smutkiem przyjął wiadomość o jego śmierci, chociaż oszczędziłem mu szczegółów), i o starej Piwnicy – z jego słów wywnioskowałem, że była to ciemna i niewygodna klitka, on jednak wspominał ją z rozrzewnieniem. Bardzo się zdziwił, że Alfa i Omega nadal świadczą nam usługi.

– Muszą przypominać parę trylobitów – powiedział, wybuchając znów swoim donośnym śmiechem. – Wielkie nieba, byli staruszkami już za moich czasów! Zawsze wyskakiwali z łacińskimi sentencjami. Pamiętam, że kiedyś...

Sypał kolejnymi anegdotami jak z rękawa, miałem wrażenie, że od dawna pragnął się nimi z kimś podzielić. Zacząłem sobie uświadamiać, że życie emerytowanego Poszukiwacza musi być bardzo samotne, i zasmuciło mnie to. Zastanawiałem się, czy moim przeznaczeniem też jest wegetować w samotności, dzieląc wspomnienia z psami

i pieczarkami, jak biedny Hełm.

Wśród wszystkich historii, jakie mi opowiedział, znalazła się również ta, dlaczego Narváez nadał mu przydomek Hełm. Była to bardzo sympatyczna anegdota.

– Pojechaliśmy do Neapolu. We trzech: ja, twój ojciec i jeszcze jeden fantastyczny gość o pseudonimie Skrzydłowy. Mieliśmy odzyskać średniowieczne rzeźby zrabowane z klasztoru Santa María la Real w Aguilar de Campoo. Miał je jeden typek z camorry, niezły ptaszek. Trzymał je w swojej cholernej łazience, wyobrażasz to sobie! Jedną z nich, figura Świętego Łukasza z czternastego wieku, stała na półeczce obok kibelka, oglądał ją sobie za każdym razem, kiedy siadał na tronie. – Hełm wybuchnął śmiechem. – W każdym razie zakradliśmy się z twoim ojcem do willi tego faceta: nigdy w życiu nie widziałem niczego bardziej kiczowatego... Skrzydłowy czekał na nas na zewnątrz, w samochodzie, żebyśmy mogli zwać jak najprędzej, kiedy już odzyskamy rzeźby. Więc wślizgnęliśmy się z Piorunem do środka i zaczęliśmy przeszukiwać wszystkie łazienki. Wielkie nieba, było ich tam chyba ze sto! Nie mogliśmy znaleźć tej właściwej! I wtedy usłyszeliśmy czyjeś kroki na korytarzu, i czym prędzej schowaliśmy się w jakiejś szafie albo garderobie, sam już nie pamiętam, co to było. Potem chcieliśmy wyjść, ale okazało się, że drzwi się zacięły. Pchaliśmy z całej siły, ale cholerne drzwi nie ustępowały. Powiedziałem wtedy: „Musimy to jakoś otworzyć, Skrzydłowy na nas czeka, jeśli szybko nie wyjdziemy, złapią go, a potem nas”. Twój ojciec był wściekły, tak bardzo, że rzucił mi tylko: „Chcesz wyjść? To rozwal te drzwi łbem!”. I wiesz, co zrobiłem? Właśnie to, co mi powiedział. Rzuciłem się głową na drzwi jak tur. – I tym razem Hełm nie mógł opanować śmiechu. Nie przestawał się śmiać do końca swojej opowieści. – Tak po prostu. Bum! Drzwi wypadły z zawiasów, a my zwialiśmy czym prędzej. Kiedy dopadliśmy do samochodu, w którym czekał Skrzydłowy, twój ojciec powiedział mu: „Wiesz, co zrobił ten świr? Rozwalił drzwi głową! Co ty masz zamiast czaszki, do cholery? Stalową kulę?”. Wielkie nieba, chichotaliśmy jak wariaci. Potem Narváez dowiedział się o wszystkim, zawołał mnie do Sanktuarium i powiedział mi poważnym tonem, jakim miał w zwyczaju przemawiać: „Obiło mi się o uszy, że masz na głowie solidny kask... Postanowiłem, że nadam ci przydomek Hełm”. I tak już zostało. – Poszukiwacz postukał się knykciami w czoło. – Poza tym zawsze byłem uparty jak osioł.

Od kiedy w anegdocie pojawił się mój ojciec, Hełm zaczął koncentrować na nim swoje wspomnienia. Nawet nie musiałem go o to prosić (choć miałem wielką ochotę to wszystko usłyszeć), sam zaczął wspominać, jakim Poszukiwaczem był Piorun, i łączącą ich przyjaźń.

Nie potrafię opisać wzruszenia, z jakim go słuchałem. Pierwszy raz w życiu miałem okazję się dowiedzieć, kim naprawdę był mój ojciec. Hełm opisywał go jako mężczyznę obdarzonego niezwykłą charyzmą, godnego zaufania towarzysza, który potrafił spojrzeć na wszystko z optymizmem i poczuciem humoru.

– Wielkie nieba, był najlepszym Poszukiwaczem, jakiego kiedykolwiek poznałem – powiedział, a w jego głosie wyczułem tęsknotę. – Inteligentny, ale też urodzony pod szczęśliwą gwiazdą, cwaniak jeden. To bardzo ważne dla Poszukiwacza, żeby los mu sprzyjał.

– To prawda.

– Narváez za nim przepadał – dodał Hełm, opróżniając jednym haustem drugą butelkę piwa. – Traktował go jak syna. Przeżywaliśmy go zresztą często syneczkiem tatusia, żeby go wkurzyć. Ach, to były wspaniałe czasy. Wspaniałe... – Przez chwilę milczał, pogrążony we wspomnieniach, a potem powiedział: – Staruszek był bardzo rozczarowany, kiedy twój ojciec powiedział mu, że chce rzucić Korpus.

– Rzucić? Dlaczego?

– Dla ciebie, chłopcze. Nie wiedziałeś o tym?

Przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie słowa. Spojrzałem na Hełma.

– Nie – odrzekłem w końcu. – Nie miałem o tym pojęcia.

Poszukiwacz pokiwał głową.

– Tak właśnie było. Jeszcze zanim podjął ostateczną decyzję, niektórzy z nas się tego obawiali. To, że mógł cię widywać tylko od czasu do czasu... Zżerało go to od środka. Próbował tego nie okazywać, ale ciągle o tobie mówił. Przyszedł taki moment, że nie mógł już się skoncentrować na pracy... Jeśli mam być z tobą szczery, myślałem wówczas, że działa pod wpływem wyrzutów sumienia, poczucia winy, sam nie wiem, jak to nazwać. Ale teraz widzę, że nie zrobiłby niczego, wiedziony tylko szlachetnym porywem ducha. W gruncie rzeczy był w pewien sposób egoistą... Myślę, że... No, nie wiem... – Hełm wzruszył ramionami. – Chyba po prostu bardzo cię lubił.

Zatopiłem wzrok w butelce ciepłego już piwa, którą obracałem w rękach.

– Nic o tym nie wiedziałem...

– Tak właśnie myślałem. Dlatego uważam, że ktoś musiał ci o tym powiedzieć. Uważam, że jestem winien pamięci Pioruna to, żeby jego syn wiedział, jak wiele dla niego znaczył. Możesz być tego pewien.

Niestety wiadomość przyszła o wiele lat za późno.

Poczułem narastającą wściekłość. Nie na poczciwego Hełma ani mojego ojca. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, przeciw komu skierować to uczucie. Może powinienem mieć pretensje do głupiego, ślepego losu, któremu nigdy nie udawało się zrobić niczego dobrze.

– Szkoda, że wszystko nie potoczyło się inaczej – wyszeptałem.

Hełm pomyślał, że mówię do niego.

– Masz rację, chłopcze. Życie to paskudna dziwka... Kiedy wszystko było już postanowione, Piorun musiał pojechać na tę cholerną misję w Ameryce Południowej.

– Poszukiwacz westchnął głęboko. – Zawsze miał wielkie szczęście, cholernik. Kto by pomyślał, że w ostatniej chwili los się od niego odwróci.

– Zdrada nie ma nic wspólnego ze szczęściem czy jego brakiem.

Hełm nie odpowiedział od razu. Przez chwilę udawał, że jest zajęty głaskaniem po grzbiecie jednego z psów, które drzemały u naszych stóp. Miałem wrażenie, że kiedy nasza rozmowa przestała być zwykłym ćwiczeniem z nostalgii, przestała mu się podobać.

– Więc słyszałeś o tym... – mruknął w końcu.

– Czy to prawda?

– Krążyła taka plotka, ale rozmawialiśmy o tym ściszym głosem, zwłaszcza kiedy wypiliśmy za dużo piwa... – Poszukiwacz zawiesił głos. – Ale, wielkie nieba, ja osobiście wierzę, że to prawda. Zawsze w to wierzyłem.

– Kto to był? – zapytałem Hełma, mierząc go surowym spojrzeniem. – Kto zdradził mojego ojca?

– Narváez nawet nie chciał o tym słyszeć – odparł zamyślony Poszukiwacz. – Staruszek był prawdziwym tytanem, ale miał swoją piętę achillesową. Wierzył, że wszyscy jego agenci są bez skazy. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógłby zdradzić. To on zamiótł tę sprawę pod dywan. Ale Skrzydłowy... Skrzydłowy był jak pies gończy, nie potrafił porzucić raz złapanego tropu. – Poklepał po grzbiecie kundla. – One są mądre, wiedzą, że w każdej piwnicy czai się jakiś szczur. Skrzydłowy sądził, że w naszej kryje się szczególnie niebezpieczny i szkodliwy szczur, niestety nie miał na to wystarczających dowodów. Pamiętam dobrze jego przydomek. – Hełm wypluł to imię, jakby spluwał śmierdzącą flegmą: – Kusznik.

Kusznik.

Usłyszawszy to, nie mogłem złapać tchu. Przypomniała mi się nagle moja ostatnia wizyta w Piwnicy. Urquijo, adwokat Korpusu, powiadał mi, że zostałem zwolniony z polecenia naszego dyrektora, Abła Alzagi. Ja, wściekły, wyrzuciłem mu, że ślepo wykonuje polecenia kogoś, kto nigdy nie był Poszukiwaczem, nawet nie miał przydomka.

I w głowie rozbrzmiała mi znów odpowiedź Urquija.

„Ależ owszem, miał pseudonim. Nazywał się Kusznik”.

Alzaga, alias Kusznik, kret Voynicha, zdrajca i zabójca mojego ojca.

Moja dłoń zacisnęła się na butelce piwa tak mocno, że pobielały mi knykcie. Odstawiłem szkło szybko na stół, bałem się bowiem, że rozprysnie się na tysiące odłamków.

– Co się stało? – wycodziłem przez zęby. – Tam, w Ameryce Południowej?

– Ta misja wymagała infiltracji kartelu narkotykowego. Kusznik i twój ojciec pojechali na nią razem. Zdaje się, że ich zdemaskowano. Kusznik zdołał ująć z życiem, twój ojciec jednak nie miał szczęścia. Skrzydłowy wpadł na trop pewnych wydarzeń, które pozwalały przypuszczać, że to Kusznik wydał twojego ojca.

– Jakich wydarzeń?

– Nie wiem. Nigdy mi ich nie ujawnił – odrzekł Poszukiwacz. – Niedługo potem Kusznik odszedł z Korpusu, kilka miesięcy przede mną. Ze Skrzydłowym nie miałem już później kontaktu, ale kiedy pracowałem w NCW, kilka razy wpadłem na Kusznika. Ta świnią zajęła się polityką i pięła się po kolejnych szczeblach kariery z zadziwiającą szybkością. I wcale mnie to nie dziwi... Zawsze był oszustem, ale powiem ci jedno, chłopcze: tam, w Piwnicy, pracując ramię w ramię z kolegami, może i zdołasz zachować dla siebie kilka tajemnic, ale jednego nie ukryjesz: jaką osobą naprawdę jesteś. I mówię ci, ten człowiek był podły. – Hełm pokiwał kilkakrotnie głową, jakby na potwierdzenie swych słów. – Nie wiem, co się z nim dzieje, od lat nie mam pojęcia, czym się zajmuje, ale mam nadzieję, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby przydzielić mu odpowiedzialne stanowisko.

Biedny Hełm. Nie chciałem mu mówić, jakie stanowisko piastuje teraz jego zniechęcony wróg.

– Dlaczego uważasz, że to właśnie on sprzedał mojego ojca mordercom?

– Ten gość był śmierdzącym tchórzem, sprzedałby własną matkę, żeby tylko ocalić

skórę. Być może ci z kartelu zaczęli coś podejrzewać, a Kuszniak wydał twojego ojca. W każdym razie jestem pewien, że temu skurczybykowi przyszło to z łatwością.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie lubili się. W gruncie rzeczy żaden z nas nie chciał pracować z Kuszniakiem. Jak już ci mówiłem, nie przepadaliliśmy za nim. Mnie zawsze się wydawało, że twojego ojca nie lubił szczególnie, bo tak jak o Pioruna wszyscy się biliśmy, żeby jechać z nim na misję, tak z Kuszniakiem nikt nie chciał pracować z własnej woli. Doprowadzało go to do furii, bo uważał się za najlepszego.

– Jednej rzeczy nie rozumiem, skoro żaden z was nie ufał Kuszniakowi, dlaczego mój ojciec zgodził się pojechać z nim na swoją ostatnią misję? Przenikanie w szeregi kartelu narkotykowego nie należy do zadań, które podejmujesz w towarzystwie kogoś, do kogo nie masz bezgranicznego zaufania.

– Tę misję w zasadzie Kuszniak miał przeprowadzić samodzielnie. To było zadanie, w którym mógł się sprawdzić, miał dar przekonywania, umiał kłamać jak z nut. Twój ojciec zgłosił się na ochotnika, żeby mu towarzyszyć. Chciał pojechać do Republiki Valcabado.

– Po co?

– Wielkie nieba, chłopcze, jeśli ci powiem, pomyślisz, że kompletnie zwariowałem. Albo, co gorsza, pomyślisz, że ześwirował twój ojciec. – Poszukiwacz, ociągając się, wyjawiał mi w końcu, o co chodzi. – Piorun miał bujną wyobraźnię. Być może zbyt bujną... Miał kompletnego świra na punkcie pewnej legendy dotyczącej relikwii króla Salomona, tego z Biblii... Matko Boska, jeśli popełniłeś błąd i przypadkiem poruszyłeś przy nim ten temat, choćby nawet przez grzeczność, mógł cię zagadać na śmierć. Znał się na tym lepiej niż ktokolwiek inny. Z jakiegoś powodu sądził, że w Valcabado znajdzie coś, co pozwoli mu natrafić na ślad tej relikwii.

Zamyśliłem się w milczeniu nad słowami Hełma. On zaś błędnie zinterpretował tę ciszę.

– Nie psuj sobie krwi, rozmyślając o tym, że ojciec wpakował się w tę pułapkę w Valcabado z winy jakiejś głupiej legendy, chłopcze – poradził mi. – Nie chciałbym, żebyś tak sądził. Twój ojciec pojechał tam, bo to była jego praca, to wszystko. Wiedział, z jakim ryzykiem się wiąże, i spełnił swój obowiązek, jak robił to zawsze, przez cały czas, który spędziłem u jego boku. Powinieneś być z niego bardzo dumny.

Porzuciłem na chwilę swoje myśli i uśmiechnąłem się do Hełma z wdzięcznością.

– Oczywiście, że jestem dumny.

– To dobrze. To bardzo dobrze... – Hełm utkwił spojrzenie gdzieś w oddali. Miałem wrażenie, że chociaż patrzy na zachodzące słońce, widzi sceny z przeszłości. – Wiesz, chłopcze, ja nie byłem wielkim Poszukiwaczem. Robiłem to najlepiej, jak umialem, ale tak naprawdę nie miałem do tego talentu. A stary Piorun... zawsze nazywał mnie Młodym, ale nigdy nie przestawał mnie uczyć, jak najlepiej wykonywać tę pracę. Zresztą starał się uczyć każdego z nas, był jak starszy brat. I chyba nic na świecie nie uczyniłoby go szczęśliwszym niż to, że jego syn został Poszukiwaczem, podobnie jak on... Wielkie nieba... Nic na tym świecie...

Jest w Biblii fragment, który mówi, że dzieci powinny zapłacić za błędy swoich rodziców. Nie pamiętam już, w której księdze się znajduje, ale sens jest mniej więcej taki, że dzieci będą musiały odkupywać winy przodków przez kilkadziesiąt pokoleń. Wszystko bez ogródek i ceregieli. Starotestamentowa sprawiedliwość w całej okazałości.

Podejrzewam, że prędzej czy później wszyscy rodzice popełniają jakiś błąd, który w mniejszym lub większym stopniu ciąży na życiu ich dzieci. Może to być grzech śmiertelny, może być całkiem lekki, kara bywa surowa albo błaha, ale przekleństwo, to przekleństwo Świętej Księgi, zawsze się spełnia. W końcu do tego się wszystko sprowadza.

Naszym życiem płacimy za błędy naszych rodziców.

Jak odmiennie mogło się ułożyć moje życie, gdyby mój ojciec nie uparł się szukać relikwii w jakiejś zapadłej dziurze w Ameryce Południowej? Nigdy nie miałem się tego dowiedzieć, mogłem jedynie o tym fantazjować, jedno wszakże nie ulegało najmniejszej wątpliwości: to ja zapłaciłem cenę za jego nieostrożność.

Tak naprawdę nie mogłem go nawet za to winić. Każdy człowiek ma prawo podjąć poszukiwanie (bo to ono nadaje sens naszej egzystencji), a on po prostu szedł swoją drogą. Prawdziwym winnym śmierci mojego ojca, a przy okazji zniszczenia mi dzieciństwa i młodości, był niejaki Abel Alzaga. Kusznik.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że jedna osoba może odebrać tak wiele drugiej. Ten zdrajca wyrzucił mnie z Korpusu, ponosił odpowiedzialność za zabójstwo mojego ojca i w rezultacie pozbawił mnie możliwości lepszego życia.

Mam świadomość, że niebezpiecznie jest snuć rozważania o tym, co nigdy się nie wydarzyło. Nigdy nie miałem się dowiedzieć z całą pewnością, czy gdyby rzeczywiście mój ojciec zrealizował swoje plany i zajął się mną, miałbym łatwiejsze dzieciństwo. Niestety nie miałem do dyspozycji anioła, który pojawia się często w starych, czarno-białych filmach, żeby podpowiedzieć bohaterowi, co by się stało, gdyby postąpił inaczej – a czasem nawet, gdyby w ogóle się nie urodził.

W tych wypadkach zwykle morał polega na tym, że znane zło jest zawsze lepsze od domniemanego dobra. Bohater dochodzi do wniosku, że jest szczęśliwy, powraca do swoich, dzwoni dzwoneczek na gałęziach bożonarodzeniowej choinki, a anioł dostaje swoje skrzydła. Happy end.

Milion pozbawionych skrzydeł aniołów mogłoby w tamtej chwili zstąpić z nieba i próbować mnie przekonać, że moje życie wcale nie byłoby lepsze, gdyby to ojciec zajął się moim wychowaniem. I tak bym im nie uwierzył. Nie odzyskałyby swoich skrzydeł dzięki mnie, bo jednej rzeczy byłem absolutnie pewien: przez całe życie brakowało mi ojca. I to nie jakiegokolwiek ojca. Tęskniłem za moim własnym, za Poszukiwaczem, charyzmatycznym i wesołym, lojalnym towarzyszem, trochę egoistą i wspaniałym gawędziarzem. Tym, któremu, jak w końcu odkryłem, wcale nie byłem obojętny. Tym, którego naprawdę nigdy nie poznałem (ani on mnie), bo bezduszny tchórz sprzedał jego życie, żeby ocalić głowę.

Czy kiedyś czuliście nienawiść tak wielką, że nie pozwalała wam oddychać? Nienawiść potężną i zimną jak lodowaty sztylet, nienawiść, która pozwala uśmiechać się w mroku, planując zemstę? Zapewniam, że nie jest to przyjemne uczucie, ale żywiłem je

do Kuznika i nie potrafiłem temu zapobiec.

Po wizycie u Helma spędziłem kolejny dzień w całkowitej samotności, smakując tę nienawiść, która nie pozwalała mi myśleć o niczym innym. Zmagając się z nieprawdopodobną pokusą, żeby zrobić coś, co miałyby straszliwe konsekwencje, bo czułem, że jestem zdolny do wszystkiego.

Do wszystkiego.

W końcu uznałem, że mogę zrobić tylko jedno, żeby ta obsesja przestała mnie dręczyć. Wyciąć ją, jak wycina się złośliwy guz. Obmyśliłem plan zemsty, którego nie mógł wesprzeć nikt przy zdrowych zmysłach, i był to problem, bo nie mogłem go wcielić w życie sam. Potrzebowałem współników, więc zacząłem ich szukać.

Zatelefonowałem do Bańki.

– Faro, gdzie ty się podziewał? – wykrzyknął, słysząc w słuchawce mój głos. – Od dwóch dni próbuję się z tobą skontaktować. Już nawet myślałem, że wróciłeś do Francji, nic nam o tym nie mówiąc.

– Nie, nadal jestem w Madrycie.

– To dobrze. Odwiedziłeś Helma? Udało ci się z nim porozmawiać?

– To długa historia. Możemy się zobaczyć? Najlepiej od razu.

– Tak, oczywiście – odparł trochę skonfundowany. – Zrobiło się wprawdzie trochę późno, ale... Gdzie się spotkamy?

Podaliśmy mu adres pobliskiej restauracji i kilkanaście minut później siedzieliśmy przy skromnej kolacji. Opowiedziałem mu ze szczegółami o mojej rozmowie z Helmem, a potem wtajemniczyłem go w swoje intencje i powiedziałem, jakiej pomocy od niego oczekuję. Kiedy skończyłem, wpatrywał się w reszkę wina w swoim kieliszku z bardzo poważną miną.

– Faro, to, co zamierzasz zrobić... To kompletne szaleństwo. Nie myślisz chyba o tym poważnie.

– Spójrz na mnie, Bańko. Czy wyglądam, jakbym żartował?

Poszukiwacz ponuro pokręcił głową.

– Niech cię wszyscy diabli! Tyle rzeczy może nie wyjść. Nie zaplanowałeś tego na spokojnie.

– Myślałem o tym przez cały czas od rozmowy z Helmem. Robię to nieustannie, przez cały dzień, godzina po godzinie. Jeśli będę dalej się zastanawiał, oszaleję. Muszę coś zrobić.

Bańka milczał przez długą chwilę.

– Daj mi czas do namysłu – powiedział w końcu. – Nie mogę ci odpowiedzieć teraz, muszę się zastanowić nad paroma kwestiami.

Jego prośba wydała mi się uczciwa, przystałem więc na nią. Miałem tylko nadzieję, że nie będzie zwlekał z decyzją.

Następnego dnia spędziłem poranek w zakładzie jubilerskim przy ulicy Postas, w towarzystwie bliźniaków i Yokaiego. Bańki tam nie było, zobaczyłem go dopiero pod wieczór. Zadzwoił do drzwi mojego wynajętego mieszkania. Bez słowa wyjął z kieszeni błękitną przepustkę z magnetycznym paskiem na jednym z brzegów. Był to klucz do Piwnicy, głównej kwatery Poszukiwaczy w Muzeum Archeologicznym.

– Uważam, że to błąd i sprawy wymkną się nam spod kontroli – oznajmił z posępną miną. – Ale jeśli masz zamiar naprawdę zstąpić do piekieł, nie pozwolę ci iść samemu, młody.

– Dziękuję.

Patrzył, jak chowam do kieszeni błękitną przepustkę.

– Kiedy zamierzasz to zrobić? – zapytał.

– Za dwa dni, w czwartek. Muszę najpierw załatwić kilka spraw. Mam nadzieję, że Alzaga będzie wtedy w Piwnicy.

Pokiwał głową.

– Zwykle zostaje w pracy do późna – powiedział. – Pewnie najlepiej, żebyś poczekał, aż zamkną muzeum.

– Będziesz na miejscu?

– Tak, ale wkroczę do akcji tylko wtedy, gdy uznam, że to naprawdę konieczne.

Nie musiałem go dopytywać, czy dobrze wie, co ma robić. Bańka był wielkim Poszukiwaczem, jednym z najlepszych, i nie czułem najmniejszego zdenerwowania, powierzając mu swoje życie.

– Dobrze. W takim razie... do czwartku – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że szczęście nas nie opuści – mruknął. – Powodzenia, młody.

– Nigdy nie przestaniesz mówić do mnie młody, prawda?

Na jego twarzy pojawił się jeden z typowych dla niego półuśmiezków. Miałem wrażenie, że kosztował go wiele wysiłku.

– Nie, póki jeszcze będę mógł czegoś cię nauczyć.

Uśmiech zniknął z jego ust. Poszukiwacz wsunął ręce do kieszeni i odszedł z opuszczoną głową.

Następnego dnia od rana zacząłem załatwiać zaległe sprawy. Najpierw nagrałem się na pocztę głosową Julianne Lacombe. Podejrzewam, że wiadomość była dla niej sporym zaskoczeniem, bo próbowała się do mnie dodzwonić przez cały dzień, ale nie odbierałem telefonu.

Druga sprawa, którą postanowiłem rozwiązać, zaprowadziła mnie do domu matki. Zastałem ją w nadspodziewanie dobrym humorze. Tryskała energią raczej nietypową dla kogoś, kto właśnie przeszedł zawał. Pomyślałem, że to z powodu ładnej pogody.

– Ach, to ty – powiedziała na mój widok. – Nie miałam pojęcia, że jeszcze jesteś w Madrycie, myślałam, że już wróciłeś do Londynu, do tej swojej nowej pracy... – Na czymkolwiek ona polega, mogła równie dobrze dodać.

– Do Francji. Teraz pracuję we Francji, już ci o tym mówiłem – sprostowałem, chociaż byłem w pełni świadomy, że kiedy skończę zdanie, ona natychmiast zapomni, gdzie pracuję. – Poza tym nie wyjechałbym przecież bez pożegnania.

– No cóż, nie jestem twoją sekretarką, nie musisz mnie powiadamiać o wszystkich swoich wyjazdach – rzuciła beztroskim tonem. – Ale cieszę się, że cię widzę. Wejdiesz na chwilę? Właśnie miałam sobie zrobić herbatę, może się napijesz?

Prawie od trzydziestu lat była matką i nie potrafiła zapamiętać, że jej jedyny syn ma alergię na herbatę. Czasem sam nie mogłem uwierzyć, że ta kobieta ma trzy doktoraty.

– Chętnie napiłbym się kawy, dziękuję.

– Jak wolisz.

Usiadłem w niewielkim saloniku pełnym książek. Niektóre miały na grzbietach jej nazwisko. Ona tymczasem przygotowywała kawę i herbatę na barze swojej otwartej kuchni. Ten dom wyglądał tak, jakby należał raczej do świeżo upieczonego magistra, a nie do kobiety w średnim wieku. W każdym razie moja matka nie bardzo dbała o wystrój, być może dlatego, że nie mieszkała nigdy zbyt długo w tym samym miejscu.

Doktor Jordán wróciła do saloniku z dwiema parującymi filiżankami. Postawiła je na szklanym blacie stolika, a potem usiadła w fotelu, który wyglądał na nowy. Zapaliłem papierosa.

– Zaraz, zaraz – mruknęła zaskoczona. – Mam rozumieć, że zacząłeś palić?

– Tak, jakieś siedemnaście lat temu.

– Och... Wszystko jedno, żadnych papierosów w tym domu. To okropny nałóg. Widzisz, że twoja matka ma problemy z sercem, i nie służy ci to za motywację, żeby rzucić? Takie rzeczy bywają dziedziczne.

Nie miałem ochoty zaczynać dyskusji na ten temat, zgasilem więc papierosa i wsunąłem go z powrotem do paczki.

– Dobrze wyglądasz – powiedziałem, żeby zmienić temat. – O wiele lepiej niż w szpitalu.

– Dziękuję. Prawda jest taka, że czuję się wyśmienicie, jak nowa. Chyba potrzebowałam małego remontu, jak stary samochód... No, może nie taki stary.

– A nie mówili ci, że powinnaś prowadzić spokojniejszy tryb życia?

– Tak, tak, nie zapominałam o tym, ale... Czuję się tak dobrze! Jestem pełna energii i sił witalnych. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie przyjąć tej propozycji z Ameryki Południowej, wspominałam ci o niej.

– Tak, w Valcabado.

– No właśnie. Myślę, że to zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić... Gdybym zostawiła inne zajęcia i poświęciła się tylko temu, może nie byłoby to takie złe dla mojego zdrowia.

– Czyli jak na razie nie postanowiłaś jeszcze na pewno, czy pojedziesz, czy nie?

– Przecież to właśnie próbuję ci powiedzieć.

– Dobrze. – Upiłem łyk kawy. – Uważam, że to dobry pomysł.

– Dziękuję, synu. Cieszę się, że mogę liczyć na twoje wsparcie.

Biedna doktor Jordán całkowicie opacznie zinterpretowała sens moich słów. To tylko jedna z rzeczy, którą chciałem jej wyjaśnić podczas tej rozmowy, sęk w tym, że nie miałem pojęcia, od czego właściwie zacząć.

Teraz, kiedy wiedziałem już więcej o ojcu, nie potrafiłem patrzeć na matkę, nie zadając sobie przy tym mnóstwa pytań. Ile tak naprawdę dla siebie znaczyli? Co pojawiała się w jej głowie, kiedy o nim myślała? Czułość, obojętność? A może żal albo nawet nienawiść? I niezależnie od tego, jakie uczucia budził w niej mój ojciec, czy moja obecność je potęgowała? Może to właśnie wyjaśniało, dlaczego traktowała mnie tak przez wszystkie te lata? A może wcale nie wyjaśniało? Wszystko to były spekulacje, przypuszczenia, cokolwiek Alicia Jordán czuła do mojego ojca, przez całe życie skrzętnie

to ukrywała. Chciałem poznać jej uczucia, bo o ojcu też myślałem wiele różnych rzeczy, które potem okazały się nieprawdą. Może co do niej również się myliłem?

– Myślisz czasem o moim ojcu?

Aż podskoczyła w fotelu. Najwyraźniej nie spodziewała się tak nagle podobnego pytania.

– Co? – Uśmiechnęła się zdenerwowana. – Na Boga, skąd ci to przyszło do głowy?

– Po prostu. To zwyczajne pytanie. – Spojrzałem na nią ze szczerą ciekawością.

– Wydaje ci się niewygodne?

– Nie... raczej... zadane za późno, nie wiem sama, jak to powiedzieć. I nie wiem, co właściwie chcesz ode mnie usłyszeć.

– Tylko prawdę.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– No cóż, synu, trudno mi o nim nie myśleć. Zostawił mi po sobie pamiątkę, która właśnie pije kawę w moim salonie. – Odstawiła filiżankę na stolik i spojrzała na mnie.

– Jesteś do niego bardzo podobny.

Tego się nie spodziewałem. Zawsze sądziłem, że fizycznie raczej przypominam matkę. Nie mogło być inaczej, geny doktor Alicii Jordán okazały się dominujące. Bardzo dominujące.

– Naprawdę? – zapytałem z powątpiewaniem.

– Nie mam na myśli wyglądu. W tym jesteś podobny do mnie. To raczej gesty, spojrzenia. To na przykład, że szczypiesz się wargę. Tak jak w tej chwili!

– Uśmiechnęła się, pokazując na mnie. – W takich momentach mam wrażenie, że to on siedzi przede mną. Genetyka to bardzo ciekawa nauka, prawda? Jak dwie osoby mogą być do siebie tak bardzo podobne, a jednocześnie tak bardzo się różnić. I jeszcze ta sprawa z tostami.

– Z tostami?

– Tak, on jadł je zawsze w bardzo szczególny sposób, najpierw nadgryzał jeden róg, potem drugi. To samo z kwadratowymi herbatnikami... To bardzo ciekawe... Ty robisz tak samo.

Mnie najbardziej zainteresowało jednak to, że matka nie pamiętała, że mam alergię na herbatę ani gdzie pracuję, pamiętała natomiast, w jaki sposób jem tosty, na co zresztą sam nigdy nie zwróciłem uwagi. Pomyślałem, że to musi coś znaczyć, chociaż nie do końca wiedziałem co.

– To nie wszystko – ciągnęła. – Na przykład twój głos. Kiedy byłeś mały, miałeś bardzo wysoki głos, jeśli mam być szczerą, nieco irytujący. Ale któregoś dnia nagle ci się zmienił i od tamtej pory masz identyczny głos jak on. Czasem, kiedy słyszę cię przez telefon, aż podskakuję, bo mam wrażenie, że to z nim rozmawiam. I chociaż może ci się to wydać absurdalne, używasz wody kolońskiej, która pachnie tak samo jak ta, którą lubił twój ojciec. Zbyt mocno, jak na mój gust, powinieneś ją zmienić na coś łagodniejszego. I jeszcze włosy... Nie, nie kolor, ale są tak podobne w dotyku. Nie mówiąc już o tym, jak się uśmiechasz, trochę wykrzywiając usta, dokładnie jak on, jakbyście byli bliźniakami...
– Matka westchnęła. – Tak, genetyka jest naprawdę fascynująca. Gdybym miała przed sobą drugie życie, pewnie poświęciłabym się właśnie tej nauce. Chociaż nigdy nie jest za

późno, żeby się uczyć, zawsze to powtarzałam.

Niewiarygodne. Moja matka, której obce były najbardziej podstawowe informacje dotyczące mojego życia, wykazywała niesamowitą pamięć co do tych najmniej znaczących.

I nagle zrozumiałem. Pamiętała tylko to, w czym przypominałem mojego ojca.

I zacząłem gorączkowo się zastanawiać, jakich rzeczy nie potrafiła zapomnieć po tylu latach doktor Alicia Jordán, mimo że byli ze sobą krótko, tylko przelotnie? Pamiętała dotyk jego włosów. Pamiętała jego uśmiech, ton głosu. Pamiętała zapach jego wody kolońskiej, a nawet sposób, w jaki jadł tosty. Tosty!

W końcu wszystko do mnie dotarło.

– Chciałaś, żeby on... żeby on został? – zapytałem.

Zawahała się. Być może gdybym trafił na dzień, kiedy byłaby w gorszym humorze albo zajęta jak zwykle, wymigałaby się od odpowiedzi. Dziś miałem okazję, jedną na milion, dowiedzieć się prawdy. I ją wykorzystałem.

– Tak – odpowiedziała w końcu, wpatrując się w dno filiżanki i bawiąc się torebką.

– Tak, chciałam, nawet bardzo. – Podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się smutno.

– Ale to było niemożliwe. Nie w tym życiu.

A w jakim życiu? – pomyślałem z goryczą. W takim, w którym nie bylibyście takimi egoistami? Już miałem powiedzieć to na głos, ale się powstrzymałem. Nie byliśmy w sądzie, a matka nie siedziała na ławie oskarżonych. Nie chciałem robić jej wyrzutów.

Zamiast tego zadałem pytanie:

– Dlaczego on? – Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc. – Co miał w sobie szczególnego?

– A, o to ci chodzi. Cóż mogę powiedzieć? Byliśmy bardzo młodzi i bardzo głupi. Muszę jednak przyznać, że był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

– Tylko tyle?

Zamyśliła się.

– Nie, tak naprawdę nie tylko. Miałam przed nim innych narzeczonych, i kilku po nim, niewielu, taka jest prawda, ale ktoś tam był, nawet przystojniejszy od niego. Ale w nim było coś innego... Sama nie wiem, jak to powiedzieć... Sprawiał wrażenie kogoś o wiele bardziej interesującego, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. – Zamilkła, jakby szukała odpowiednich słów. – Tak, był fascynujący, to chyba adekwatne określenie. A poza tym umiał opowiadać, był czarujący... Mówiłam ci kiedyś, jak się poznaliśmy?

– Nie.

– Kończyłam studia podyplomowe w Bolonii. Wysłałam z koleżankami, żeby się czegoś napić. Był siedemnasty lipca, pełnia lata. Lubiłyśmy taki niewielki bar w pobliżu katedry, gdzie można było posłuchać jazzu na żywo. Tam go spotkałam, byliśmy jedynymi Hiszpanami w całym lokalu. Zaczęliśmy rozmawiać. I wtedy zauważyłam tatuaż na jego ramieniu. Były to jakieś dziwne, starożytne litery. Zapytałam, co oznacza ten napis, a on odpowiedział: „Nie wiem. Nikt tego nie wie. Dlatego właśnie je sobie wytatuowałem”. A potem zacytował Lorcę: „Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu. Tylko tajemnica”. – Matka uśmiechnęła się. – Ten napis, który sobie wytatuował, pochodził z tabliczki celtyberyjskiej znalezionej w Luzadze, spisanej w języku, którego

jeszcze nikt nie zdołał odczytać. Została skradziona jakiś czas temu i nie wiadomo, co się z nią stało. Pamiętam, jak kiedyś z uśmiechem powiedział mi, że może to on ją odnajdzie... Nie wiem... – Zachichotała jak nastolatka opowiadająca o swoim ulubionym aktorze. – Powiedział to w taki sposób, jakby naprawdę miał to zrobić.

Może i zrobił, pomyślałem w duchu. Piorun był znakomitym Poszukiwaczem.

Sądzę, że moja matka naprawdę go kochała. Może sama o tym nie wiedziała, a może rozstali się, zanim zdała sobie z tego sprawę, ale jestem pewien, że zakochała się w tym rzekomym pilocie z zagadką wytatuowaną na ramieniu.

Żadna kobieta nie pamięta tak dokładnie uśmiechu mężczyzny, zapachu jego wody kolońskiej, dotyku jego włosów ani sposobu, w jaki jadł tosty, jeśli czegoś do niego nie czuła.

Poza tym zdecydowała się mnie urodzić. Może byłem najbardziej solidnym dowodem na uczucie, jakie doktor Alicia Jordán żywiła dla mojego ojca. Byłem pamiątką po kimś bardzo szczególnym. Niczym więcej ani niczym mniej. Teraz to zrozumiałem.

Uznałem, że zasługuje na to, żeby znać prawdę. Powinna wiedzieć, podobnie jak ja, dlaczego wszystko skończyło się tak, jak się skończyło.

Dlatego opowiedziałem jej wszystko.

Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Chyba nigdy dotąd nie spędziliśmy razem tyle czasu. Wiele rzeczy zostało powiedzianych, ominęliśmy jednak niektóre tematy, których lepiej było nie poruszać. Ta rozmowa była dla mnie jak katharsis. Chwilami trudna, chwilami wpadaliśmy w gniew, ale wszystko przebiegło w dość cywilizowanej formie. Jak już wcześniej wspominałem, żadne z nas nie miało skłonności do melodramatycznych scen.

Dzięki tej rozmowie poznaliśmy się lepiej. I odkryłem coś zupełnie niespodziewanego: matka żywiła dla mnie wielki szacunek i zapewniła szczerze, że bardzo chce mi pomóc. Jej zapał graniczył wręcz z entuzjazmem.

Nie wiem dokładnie, skąd wziął się ten entuzjazm. Sądzę, że wielu rzeczy związanych z matką nie zdołam nigdy zrozumieć. Na swój sposób jest kobietą pełną tajemnic.

Być może właśnie to spodobało się w niej mojemu ojcu.

FREEWAY (III)

Abel Alzaga, alias Kuszniak, przechodząc obok posągu Damy, obrzucił ją obojętnym spojrzeniem.

Kiedy był jeszcze zwykłym szeregowym agentem pod komendą Narvaeza, wszyscy jego towarzysze mieli zwyczaj spoglądać jej w oczy przed rozpoczęciem misji. Sądziło się, że to przynosi szczęście. Dama z Elche (nie, Dama, po prostu Dama) była talizmanem Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Kuszniak nie miał pojęcia, kto zainicjował tę tradycję. Nie wiedział, kto był pierwszym Poszukiwaczem, który zdecydował, że spoglądanie na kamienną rzeźbę może mieć jakiś wpływ na kaprysy przeznaczenia. Myślał, że brakowało mu inteligencji, chociaż pewnie nie bardziej niż tym, którzy zdecydowali się pójść za jego przykładem.

Abel Alzaga uważał się za urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą i nigdy nie potrzebował magicznych zaklęć ani rytuałów, sam był kowalem własnego losu. Zaszedł tak daleko, bo wiedział, że dobre kontakty są o wiele ważniejsze niż jakiś starożytny posąg. Dlatego on, w przeciwieństwie do Pioruna, nadal żył.

Umiał nawiązywać kontakty.

Twarz Kuszniaka wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia. Zawsze kiedy przechodził obok Damy, przypominał mu się Piorun, nie potrafił temu zapobiec. Jego nieszczęsny towarzysz był jednym z tych głupków, którzy z religijną nabożnością (trudno inaczej to nazwać) szukali szczęścia w oczach Damy. Czasem nawet muskał ustami koniuszki palców i kładł je delikatnie na kamiennym policzku posągu. Biedny naiwniak. Jego Dama nie kiwnęła palcem, kiedy strzelili mu w głowę w Valcabado.

Niektórzy ówczesni Poszukiwacze (na dobrą sprawę wszyscy) naśladowali ten idiotyczny zwyczaj Pioruna, chociaż Kuszniak był przekonany, że nie przykładali do niego podobnej wagi. Wyglądali jak szczenięta imitujące gesty samca alfa. Było to w gruncie rzeczy żalosne.

Kuszniak nigdy nie potrafił wytłumaczyć sobie, dlaczego inni Poszukiwacze darzyli Pioruna taką estymą. Może i miał pewien urok osobisty, ale nie mógł on przyćmić jego prawdziwej natury: był niedojrzałym facetem, egoistą mającym więcej szczęścia niż rozumu. Mężczyzna o umyśle nastolatka, opętany chimerycznymi fantazjami. Skończył tak, jak to było do przewidzenia.

Kiedy był już wystarczająco daleko od Damy, zapomniał o Piorunie i skupił się na przyjemności samotnego spaceru po pustych salach Muzeum Archeologicznego. Był to najlepszy moment całego dnia, kiedy zwiedzający opuszczali budynek i zostawiali w nim tylko stróżę oraz niezliczone zabytki wypełniające ciszę echem przeszłości.

Kuszniak lubił snuć się po muzeum. Czuł się jak generał, który przygląda się polu bitwy po zasłużonym zwycięstwie. W jakiś sposób to wszystko należało do niego, jak kiedyś do starego Narvaeza.

Nigdy nie żywił do Staruszka szczególnej antypatii, właściwie nawet go szanował, nie mógł jednak zrozumieć jego całkowitego braku ambicji, tego, z jaką łatwością zadowolalał się kierowaniem brygadą niezbyt rozgarniętych złodziei, którzy uważali się za

superbohaterów. Dziedzictwo Narvaeza skazane było na anonimowość, chociaż (temu Kuznik nie mógł zaprzeczyć) odniósł on kilka bardzo znaczących sukcesów. Alzaga nie rozumiał, jak można poświęcić życie czemuś, za co nie otrzyma się odpowiedniej rekompensaty. Smaku zwycięstwa i chwały.

To właśnie z tego powodu znudził się Korpusem Poszukiwaczy i postanowił poświęcić się karierze politycznej. To jedyne, co mogło zaspokoić jego pragnienia i ambicje.

Z początku był ze swojej decyzji zadowolony. Jego umiejętność zjednywania sobie sojuszników zaowocowała cennymi kontaktami, które wykorzystał, żeby zyskać jeszcze wyżej postawionych sojuszników. Z czasem, dzięki sieci wzajemnie wyświadczanych przysług i powiązań, wspiął się tak wysoko, jak tylko mógł.

I właśnie podczas tej wspinaczki poznał Lilith.

Lilith to oczywiście nie było jej prawdziwe imię, ale coś w rodzaju pseudonimu artystycznego (Kuznik często się zastanawiał, dlaczego niektóre osoby muszą ukrywać się pod przydomkiem, żeby poczuć się spełnione... Lilith? Poszukiwacze? Czy wynikało to z jakiejś przeżytej w dzieciństwie frustracji?). Ona rozpoznała jego właściwy potencjał, potrafiła czytać w jego sercu i zaferować zapłatę, dla której warto było zaryzykować wszystko.

Oferowała władzę. Władzę niemal nieograniczoną.

Wspaniała kobieta. Alzaga widział ją tylko raz w życiu, gdyż prezeska Voynicha obsesyjnie strzegła swojej anonimowości, ale zapisała mu się w pamięci na zawsze.

„Możemy dokonać razem wielkich rzeczy”, powiedziała mu, „zostawić trwałe ślady w historii i sprawić, że nasze nazwiska zostaną zapamiętane na wieki”. Trudno odrzucić podobną propozycję. Alzaga zapytał tylko, czego oczekuje od niego Voynich, a ona mu to wyjaśniła.

Kobieta sądziła, że Narodowy Korpus Poszukiwaczy stanowi zagrożenie dla powodzenia jej planów, i musiała go spacyfikować. Okazało się, że nie wystarczy ktoś, kto przeniknie do organizacji, każdy kret może zostać odkryty i zneutralizowany. Chodziło o przedsięwzięcie o wiele ambitniejsze: zniszczyć powoli Korpus Poszukiwaczy, a w końcu doprowadzić do jego całkowitego zaniku. Wyciąć nowotwór.

Kuznik zgodził się na to z wielką chęcią.

Od tamtego spotkania nigdy więcej nie zobaczył Lilith. Wszelkie kontakty odbywały się za pośrednictwem jej totumfackich, głównie Davida Yoonaha. Alzaga nie do końca ufał temu człowiekowi o orientalnych rysach i niepokojącym spojrzeniu niebieskich oczu, ale podziwiał jego skuteczne i sprawne zarządzanie projektem.

Yoonah wyciągnął z więzienia Joosa Gelderohdego i zlecił mu, pośród innych zadań, pozbycie się Narvaeza, żeby umożliwić Alzadze objęcie stanowiska dyrektora Korpusu Poszukiwaczy. Po pogrzebie Staruszka wszystko potoczyło się zgodnie z planem. W krótkim czasie Kuznik zmienił Korpus w jego własną karykaturę. Jeszcze kilka miesięcy, a Poszukiwacze staną się martwymi legendami.

W aktywnej służbie został już tylko jeden – Bańka. Alzaga chciał przetrzymać go w Piwnicy do samego końca, chciał, żeby Poszukiwacz na własne oczy przyglądał się nieuniknionemu rozpadowi Korpusu i nie mógł mu zapobiec. Alzaga w głębi duszy musiał

przyznać, że Bańka w jakiś sposób przypomina mu Pioruna, i wiedział, że przyglądanie się agonii organizacji musi być dla niego trudną do zniesienia torturą. Alzaga w ten sposób miał wrażenie, że nie tylko odnosi zwycięstwo, ale również chwali się nim przed znienawidzonym duchem. Oczywiście wolalby poddać tym torturom syna Pioruna, ale Voynich był w tej kwestii nieubłagany: kazano mu wydalić Fara z Korpusu. Alzaga nie miał wyjścia, musiał wykonać polecenie.

Teraz pozostał mu jedynie strzał łaski. I jeżeli sprawy w Valcabado toczyły się tak pomyślnie, jak go zapewniano, Kuznik wkrótce zyska nieśmiertelną sławę, tak jak obiecała mu Lilith.

O tym właśnie rozmyślał, uśmiechając się do siebie, kiedy krążył po pustych korytarzach muzeum.

Opuszczył sale muzealne i ruszył w kierunku pomieszczeń socjalnych stróżów. Tam znajdował się jedyny w całym budynku czynny o tej porze automat z kawą.

Przy automacie stał ochroniarz. Apatyczny chłopak, który popijał napój gazowany z puszki. Kiedy zobaczył Alzagę, już chciał go wylegitymować, ale jego wzrok spoczął na błękitnej przepustce przypiętej do klapy marynarki, więc czym prędzej odwrócił głowę. Karta identyfikacyjna członków Korpusu zawsze wywierała takie wrażenie na personelu muzeum.

Ignorując ochroniarza, Alzaga podszedł do automatu i wrzucił do niego kilka monet. Za jego plecami chłopak nadal popijał napój z puszki. Puszki w jaskrawoczerwonym kolorze, jakiejś taniej, marketowej marki.

Freeway Cola.

Alzagę dopadły nieprzyjemne wspomnienia.

Freeway Cola. Od lat nie widział podobnej puszki. Napoje tej marki pijał zwykle Gambo. W sklepach Valcabado trudno było znaleźć coś innego. Freeway Cola, Freeway Lima, Freeway Naranja. I obrzydliwe paskudztwo zwane Freeway Tropic, o smaku i wyglądzie lekarstwa. Gambo nie brał do ust alkoholu, to była jedna z jego fobii, ale zawsze miał w dłoniach puszkę tego gazowanego świństwa. Kiedyś prawie rzucił się z nożem na jednego ze swoich ludzi, bo tamten wypił mu ostatnią freeway colę z przenośnej lodówki. Nie, w końcu tego nie zrobił, ale miotał przekleństwami jak szaleniec. Pił freeway colę także w chwili, gdy Kuznik tłumaczył mu, że Piorun jest agentem. Kiedy to usłyszał, zgniótł puszkę w dłoniach.

Kuznik wcale nie miał ochoty wspominać Gamba ani marki napojów gazowanych, od których boss był uzależniony. Zaczął się zastanawiać, skąd ten durny ochroniarz wytrzasnął napój i dlaczego musi go pić akurat teraz, za jego plecami.

Ogarnęła go wściekłość. Zapytał chłopaka:

– Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty, niż stać tu i tracić czas?

Stróż zrobił się czerwony jak burak i zniknął czym prędzej, zabierając ze sobą swoją ohydną puszkę.

Alzaga zaklął pod nosem. Czuł się zirytowany, chociaż nie bardzo wiedział czym.

Wyjął z automatu plastikowy kubek z kawą i uniósł go do ust. Wydawało mu się, że napój wydziela słodkawy, mdlący zapach freeway coli. Wyrzucił pełny kubek do kosza na śmieci i ruszył do swojego gabinetu w Piwnicy. Dobry humor ulotnił się bez śladu.

Użył swojej błękitnej przepustki, żeby wejść do Piwnicy poprzez replikę jaskiń z Altamiry. Korytarz świecił pustkami. Za biurkiem, zza którego Enigma śledziła ruchy Poszukiwaczy, po jej odejściu już nikt nigdy nie miał zasiąść. Alzaga minął je, a jego buty stuknęły na płytkach z emblematem Korpusu.

Przepełniona kolumna. Otwarta dłoń spowita płomieniami, na niej oko. Obok tych symboli zapisana po grecku dewiza Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. „Z powrotem do domu”. Już nikt nie przywiezie niczego z powrotem do domu, pomyślał Kuznik, a myśl ta nieco poprawiła mu nastrój.

Wszedł do swojego gabinetu, tego samego, który niegdyś zajmował Narváez, ochrzczonego przez podwładnych Staruszką mianem Sanktuarium. Jako szeregowy agent Kuznik był w środku kilka razy. Pomieszczenie było pełne szkockich rupiec i pamiątek, ale Kuznik pozbył się ich wszystkich. Teraz gabinet pozbawiony był osobistego charakteru, ozdób i zbędnych przedmiotów.

Usiadł za biurkiem i próbował skupić się na jakiejś pracy, ale nie potrafił. Wciąż miał wrażenie, że czuje mdlący zapach freeway coli, jakby sączył się on ze ścian. Poczul, że robi mu się trochę niedobrze.

Oparł się mocniej na krześle i przymknął oczy. Nagle stanął mu w pamięci Gambo. Jego szeroko otwarte oczy, twarz wykrzywiona w grymasie wściekłości, zgnieciona puszka w jego dłoni, brązowa lepka ciecz spływająca między palcami.

(„Ten facet już jest martwy! Słyszycie mnie? Nikt nie kpi sobie z Gamba! Nikt! Obedrę tego skurwysyna ze skóry!”)

Wyrok śmierci na Pioruna.

Kuznik otworzył oczy i poczul, że serce podchodzi mu do gardła. Piorun tu był, w gabinecie, stał naprzeciwko niego. Jego duch ukazał się w czterech ścianach Sanktuarium i Kuznik patrzył mu w oczy, w których malowała się absolutna nienawiść.

Duch przemówił:

– Witaj, Kuzniku.

Alzaga już miał wrzeszczeć ze strachu, ale ciemność się rozplynęła, duchy zniknęły i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą nie Pioruna, tylko jego syna Fara.

Kiedy Alzaga pierwszy raz go zobaczył, z trudem uwierzył, że to syn Pioruna. Fizycznie prawie nie przypominał jego dawnego towarzysza. W tej chwili jednak mógłby zauważyć pokrewieństwo, nawet gdyby wcześniej o nim nie wiedział. Było w jego spojrzeniu coś takiego... Nieudolnie skrywana pogarda, arogancja. Święty Boże, on miał oczy Pioruna!

Alzaga starał się zachować spokój. Próbował oszacować, do jakiego stopnia Faro mógł być niebezpieczny. Pomyślał o naładowanym pistolecie, który trzymał w jednej z szuflad swojego biurka. Zawsze mógł po niego sięgnąć, gdyby okazało się to konieczne.

Miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wydawało mu się, że najważniejsze to nie okazywać zdenerwowania.

– Co tu robisz, Faro? – zapytał jak gdyby nigdy nic. Starał się, żeby jego głos zabrzmiał kordialnie. – Jak tutaj wszedłeś?

Chłopak rzucił na biurko błękitną przepustkę bez imienia. Alzaga spoglądał na niego niewzruszony. Jego dłoń tymczasem powoli przesuwiała się w kierunku szuflady,

w której znajdował się pistolet.

– Skorzystałem z tego – powiedział Faro. – Nie miałeś prawa odbierać mi tej przepustki.

– To twój punkt widzenia, chłopcze. Oczywiście rozumiem, że nie zgadzasz się z moją decyzją. – Palce Alzagi dotknęły uchwyty szuflady. Pociągnął za niego bardzo delikatnie. – Przyszedłeś ze mną o tym porozmawiać? No, dalej, jestem skłonny cię wysłuchać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Kuzniku. Nie potrzebuję tego.

Faro wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej bardzo mały pistolet, berettę wielkości piersiówki. Można z niej było ranić śmiertelnie, tylko jeśli cel był blisko. A Faro stał bardzo blisko.

Alzaga poczuł, że po szyi spływa mu pot. Mimo wszystko zdołał się z trudem uśmiechnąć.

– Nie rozumiem, co zamierzasz zrobić. Jesteś inteligentnym mężczyzną, nie małym chłopcem. Jeśli masz do mnie jakieś pretensje, z pewnością możemy o nich porozmawiać, gdy nie będziesz celował do mnie z pistoletu. Jak już wspominałem, jestem gotów cię wysłuchać. – Faro milczał. Kuznik zinterpretował to jako wahanie. – Zastanówmy się nad okolicznościami twojego wydalenia z Korpusu Poszukiwaczy... Bo rozumiem, że to właśnie jest przyczyną tej demonstracji nienawiści, prawda? A gdybym ci powiedział, że mogę rozważyć zmianę decyzji?

Faro zachichotał. Alzaga nie wiedział, jak interpretować ten śmiech. Młodzieniec pokiwał powoli głową i opuścił broń. Potem wyjął papierosa i zapalił bardzo dużą zapalniczką Zippo z emblematem Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Alzaga uważał, że to żaloszny gadżet.

– Więc jesteś skłonny rozważyć zmianę decyzji, tak? – zapytał sarkastycznym tonem.

– Oczywiście. Przyznaję, że kara za twoją niesubordynację mogła być nieadekwatna do przewinienia. Nie wziąłem pod uwagę okoliczności łagodzących... Być może to mój brak doświadczenia na stanowisku dyrektora Korpusu sprawił, że zbyt sztywno zastosowałem się do przepisów... – Faro przyglądał mu się uważnie, spokojnie zaciągając się papierosem. W jego spojrzeniu był jakiś dziwny błysk drwiny, jakby cała ta sytuacja go bawiła. Zdenerwowanie Alzagi narastało. – Ale z jakiego powodu miałbyś wracać? Jesteś teraz agentem Interpolu, czeka cię wspaniała przyszłość. Masz okazję wykorzystać swoje zdolności w bardzo ważnej pracy, a nie marnotrawić je tutaj, gdzie i tak nie zdziałalbyś niczego pożytecznego. Nie sądzisz, że mam rację, chłopcze? Oczywiście, że tak... Chyba to rozumiesz.

Faro wypuścił z ust chmurę dymu. Rzucił na podłogę papierosa, nie dopalając go do końca, i zgasił podeszwą buta.

– Wiesz co? Przystaję na twoją propozycję.

– Jeśli naprawdę tego chcesz...

– Tak, bardzo tego chcę. Chcę, żebyś cofnął się w czasie do chwili, kiedy postanowiłeś wydać mojego ojca. Chcę, żebyś rozważył zmianę decyzji i postanowił zamknąć swoją parszywą gębę. Właściwie tylko o tym marzę.

Alzadze zabrakło tchu. Więc chłopak o wszystkim wiedział. Poczul bolesny skurcz żołądka. Ulga nadeszła dopiero wtedy, gdy natrafił dłonią na ukryty w szufladzie pistolet. Ścisnął go z całych sił.

– Posłuchaj, Faro... Obawiam się, że uwierzyłeś w plotki, niesprawiedliwe i złośliwe plotki. Pozwól, że wyjaśnię ci, co naprawdę zaszło. Tylko ja znam prawdziwą wersję wydarzeń, bo byłem tam i w nich uczestniczyłem.

– I jako jedyny wróciłeś, żeby o wszystkim opowiedzieć. Z tej wyprawy powinien być wrócić zupełnie inny Poszukiwacz. A ja zamierzam naprawić ten błąd. – Chłopak znów uniósł broń i wycelował byłemu szefowi między oczy. Potem, obojętnym tonem, jakby rzecz dotyczyła jakiejś błahostki, oświadczył: – Zabiję cię, Alzaga.

Nie było wątpliwości, że jest w stanie to zrobić.

Abel Alzaga nigdy nie należał do ludzi odważnych, ale potrafił być niebezpieczny, kiedy w grę wchodziły jego własne życie i zdrowie. W chwili, kiedy zrozumiał, że Faro nie pozwoli mu opuścić gabinetu, wpadł w panikę. Stracił panowanie nad sobą.

Powodowany niemal zwierzęcym instynktem samozachowawczym, Alzaga wyjął z szuflady pistolet i wymierzył w Fara. Zobaczył w jego oczach zaskoczenie, które zniknęło wraz z pierwszym wystrzałem. Na brzuchu chłopaka pojawiła się plama krwi. Alzaga strzelił jeszcze raz. Tym razem plama wykwitła na piersi Fara... Rozległ się huk ostatniego strzału i gęsta, lepka krew rozbryznęła się po całym gabinecie. Krew na biurku, na ścianach, smużki krwi na klapach marynarki Alzagi, twarz Fara zbroczona krwią. Czerwona, gęsta powódź.

Przez przeraźliwie długą chwilę ciało Fara trzymało się jeszcze na nogach, spoglądając pustymi oczami w pustkę, potem runęło na podłogę, prosto w purpurową kałużę.

Przerażony Alzaga upuścił pistolet, jakby parzył go w palce. Cofnął się, aż trafił plecami na ścianę, i patrzył na nieruchomego chłopaka.

Nagle otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Bańka. Alzaga z początku go nie zauważył. Nie miał pojęcia, że o tej porze Poszukiwacz jest jeszcze w Piwnicy.

– Groził mi – powiedział w końcu piskliwym głosem. – Miał pistolet. Rzucił się na mnie, chciał mnie zabić...

– Nie, nie, nie! – krzyknął Poszukiwacz. – Kurwa mać, Tirso! Coś ty narobił!

Pochylił się nad ciałem, wołając Fara po imieniu. Obrócił go na plecy, zobaczył twarz całą we krwi. Błady jak ściana, trzęsącymi się rękami poszukał pulsu chłopaka najpierw na szyi, potem na piersi.

– Trzeba... – Alzaga przelknął ślinę. – Musimy zadzwonić po karetkę.

Bańka spojrział na niego. W jego oczach czaił się gęsty, złowrogi cień.

– Nie ma potrzeby – powiedział. – On nie żyje.

Alzaga opadł na krzesło, jakby na jego ramionach spoczął nagle ciężar całego świata.

CZĘŚĆ TRZECIA

LABIRYNT WALKATEKÓW

LA VICTORIA, REPUBLIKA VALCABADO, DZIELNICA FLORES (SAÚL)

Dzielnica Flores była jedną z najpaskudniejszych części La Victorii, miasta zresztą i tak niezbyt atrakcyjnego pod względem urbanistycznym.

Grupka hiszpańskich eksploratorów trafiła na to miejsce zupełnym przypadkiem, podobnie jak działo się zresztą przy okazji wszystkich najdonioślejszych odkryć geograficznych, jakich dokonali podczas swoich wypraw. Działo się to w ostatnich latach XVI wieku, kiedy zdobycie każdego skrawka lądu uważano za epokowe wydarzenie, nawet jeśli nowe ziemie nie wyglądały zbyt zachęcająco.

Płaskowyż, na którym nieustraszeni pionierzy założyli osadę, był łąsą równiną, wyspą w morzu dżungli i bagien. Otoczenie sprawiało wrażenie tak nieprzyjaznego istotom ludzkim, że Hiszpanie – przez kontrast – uznali, że znaleźli prawdziwy raj. Nadali więc temu miejscu nazwę zdecydowanie zbyt pretensjonalną jak na tak jałowy i nijaki kawałek ziemi: Valle de San Miguel y de Santiago de la Victoria. Tak brzmiała pełna nazwa miasta. Z przyczyn oczywistych z czasem ulegała stopniowemu okrojaniu.

W przeciwieństwie do innych miast na kontynencie południowoamerykańskim, jak na przykład Antigua w Gwatemali czy urokliwa Cartagena de las Indias w Kolumbii, w La Victorii nie potrafiono albo nie chciano odpowiednio zachować architektury kolonialnej na przestrzeni wieków. Zabytkowe budynki zostały zniszczone lub opuszczone w imię źle rozumianego pędu ku nowoczesności. Brukowane ulice zalewano asfaltem, place przebudowywano, za nic mając względy estetyczne, a historyczne centrum miasta pogrzebano pod eklektyczną zbieraniną niedopasowanych do siebie obiektów architektonicznych. Tylko od czasu do czasu w najbardziej ukrytych zakamarkach miasta spacerowiczów zaskakiwały pozostałości z epoki renesansu, zachowane na tyle dobrze, by wzbudzić głęboki żal za pięknem utraconym z upływem czasu.

Jeden z takich reliktyw, niemal archeologicznych, stanowiły uliczki i zaułki dzielnicy Flores. La Victoria dzieliła się na dwanaście dzielnic, z których trzy pokrywały się z najwcześniejszą strukturą miasta: Flores, Santiago i Mayorazgo. Stara legenda głosiła, że na terenie dzielnicy Flores leżała niegdyś święta ziemia, w której Indianie walkateccy chowali zmarłych. Aby zaznaczyć groby, sadzili na nich orchidee o intensywnie czerwonej barwie, bujne niczym pióropusze, nazywane przez nich *kimal sal*, czyli „dusze naszych ojców”. Przez cały rok znaczne obszary doliny kwitły kolorami nieba o świcie... przynajmniej dopóki nie zjawili się tam hiszpańscy konkwistadorzy.

Stara nekropolia zniknęła pod siatką ulic i placów, która przetrwała niemal nietknięta aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku. Wtedy jednak, po upadku Republiki Nowej Granady i w obliczu licznych konfliktów zbrojnych, które wybuchały w jego następstwie, kolonialną dzielnicę Flores bez litości zbombardowano. Mieszkańcy La Victorii wpadli na niezbyt szczęśliwy pomysł ukrycia arsenału prochu pod kościołem augustianów wyznaczającym centrum dzielnicy. Zarówno świątynia, jak i wszystko, co znajdowało się w jej otoczeniu, wyleciało w powietrze w chmurze gruzu. Niektórzy twierdzą, że wśród ruin dało się dostrzec szczątki szkieletów z prymitywnych grobów

walkateckich.

Kiedy nastał pokój, osoby odpowiedzialne za naprawienie zniszczeń wolały się skupić na ważniejszych rejonach miasta (zwłaszcza na dzielnicy Mayorazgo, gdzie znajdowały się niemal wszystkie budynki rządowe). Dzielnica Flores marniała w zapomnieniu, łatana i reperowana przez samych mieszkańców. W całej okolicy zapanowała nędza, najuboższe rodziny gnieździły się w szpetnych ruinach, resztkach wytwornych niegdyś pałacyków w stylu hiszpańskim. Za dnia po ulicach włóczyli się żebracy, szukając skarbów wśród śmieci i gruzów; po zmierzchu przychodziła kolej na prostytutki, pijaków i ciemnych typków gotowych poderżnąć gardło z powodu przegranej partii w karty. Funkcjonariusze policji patrolujący tamtejsze ulice byli nie lepsi od miejscowych złodziejasków, często woleli patrzeć przez palce albo napełniać sobie kieszenie prowizjami od nielegalnych zakładów i haraczami z domów publicznych, niż mieszać się w jakieś afery. Dzielnica Flores w pewnym sensie przypominała stos chrustu – najmniejsza nawet iskra mogła wywołać tragiczny w skutkach pożar. Zwykło się mówić, że jedyny sposób, żeby nie paść tam ofiarą rabunku albo morderstwa, to pojawić się we Flores jako nagi trup.

Ojca Saula można by więc uznać za naiwnego i nieświadomego zagrożenia – nie spełniał żadnego z tych warunków, a mimo to postanowił zapuścić się po zmierzchu do serca dzielnicy. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest martwy – jak zwykle wyglądał krzepko i zdrowo, rówieśnicy mogli zazdrościć mu świetnej formy. Chociaż mało kto (a może i nikt) w La Victorii nie wiedział, ile dokładnie lat liczy sobie ksiądz. Miał bujną, zaczesaną do tyłu grzywę, często ukrytą pod panamą o wystrzępionych brzegach i zniekształconym, pofalowanym rondzie. Kiedy akurat nie nosił kapelusza na głowie, wciskał go byle jak do kieszeni. Tego wieczoru, gdy ojciec Saúl przemierzał ulice Flores, panama tkwiła dumnie na głowie, wieńcząc jego blisko dwumetrową sylwetkę.

Liczne kosmyki włosów wymykające się spod kapelusza były gęste i szarawe niczym burzowe niebo. Tę samą barwę miały jego broda oraz oczy w obwódce twardej, ogorzalej skóry, jak u marynarza, który musiał stawić czoło niezliczonym sztormom. Na widok Saula każdy miłośnik klasyki literatury od razu pomyślałby o ojcu Mapple, jednym z bohaterów powieści Hermana Melville'a, który wygłosił patetyczne kazanie o Jonaszu i wielorybie z ambony przypominającej ozdobiony galionem dziób okrętu.

Nikt jednak nie pamiętał, żeby Saúl kiedykolwiek nauczał o bojaźni Bożej w kościelnym prezbiterium, nie widziano go też nigdy w stroju choć z grubsza przypominającym szaty kapłańskie. Ojciec Saúl zawsze wkładał koszule z wieloma kieszeniami, znoszone spodnie i wymiętą panamę. Bardziej niż księdza przypominał podróżnika, który dopiero co wynurzył się z gęstwiny dżungli.

Saúl zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie pociągała za sobą decyzja o samotnej przechadzce ulicami Flores. Dilerzy na usługach karteli, alfonsi i narkomani stosowali przemoc na oślep, sprawiedliwie wobec wszystkich: kapłanów i świeckich, świętych i grzeszników. To dlatego Saúl szedł ze spuszczoną głową i pewnym krokiem, starając się cały czas pozostawać w blasku światła tych nielicznych latarni, które nie zostały jeszcze porozbijane celnie wymierzonymi kamieniami.

Ominął dwóch pijaków oddających się walce na gołe pięści przed lokalem

organizującym walki kogutów, otoczonych kręgiem dość żałośnie wyglądających bywalców speluny, którzy dopingowali ich okrzykami i zagrzewali do boju, ściskając w dłoniach brudne banknoty. We Flores każda bójka stanowiła dobry pretekst do robienia zakładów.

Saúl obszedł zbiegowisko łukiem, po czym minął wychudzone jak szkielet ciało spoczywające na stercie odpadków. Ani wygląd, ani strój istoty nie pozwalały stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna, dobrze widoczna była za to strużka wymiocin ciekąca z kącika ust, a także paskudne strupy, którymi upstrzone były żyły na przedramionach. Dwóch bosych, prawie nagich chłopaczków przeszukiwało kieszenie tego ludzkiego wraku. Jeden z nich wyrwał igłę tkwiącą jeszcze w ramieniu trupa i zaczął na żarty straszyć nią swojego kolegę, wywijać niczym zabawkowym mieczem. Zapomnieli o porzuconych zwłokach i zniknęli w jednym z pobliskich zaułków, zachwyceni zdobyczą jak małym skarbem.

Typowa scena we Flores.

Tak jak wstrzymuje się oddech podczas przejścia przez wysypisko śmieci, tak Saúl szedł przed siebie stanowczym krokiem, nie zatrzymując się i nie zwracając uwagi na otoczenie.

Miejsce, do którego zmierzał, znajdowało się w samym centrum dzielnicy. Był tam niewielki plac tuż obok ruin kościoła augustianów – tego, który w XIX wieku wykorzystano jako prochownię. Na placyku Saúl jak zwykle trafił na stragany z jedzeniem oraz starymi kłopotami – wielu mieszkańców Flores próbowało pokątnym handlem zarobić na życie. Sprzedawali tam wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, ale zdecydowana większość straganiarzy smażyła kukurydzę i ziemniaki w ogromnych kotłach pełnych wrzącego oleju – jedna plata za kolbę kukurydzy, dwie za papierowy rozek frytek, tłustych i posklejanych niczym grudy smalcu zawinięte w starą gazetę.

Saúl bez zainteresowania minął targ i skręcił w wąską, pełną śmieci uliczkę biegnącą za zrujnowanym kościołem. W zaułku wpadł na kobietę klęczącą z twarzą na wysokości krocza policjanta z rozpiętymi spodniami. Obecność osoby postronnej zdawała im się w najmniejszym stopniu nie przeszkadzać. Saúl skromnie odwrócił wzrok i ruszył w swoją stronę.

Na końcu uliczki stał trzypiętrowy budynek. Przed jedynym wejściem zalegały sterty worków ze śmieciami, a mury były pokryte ogromnymi plamami wilgoci. Saúl wszedł do środka, z całej siły starając się zignorować przytłaczający smród moczu i zgniłych odpadków.

Wnętrze nie przedstawiało się ani trochę atrakcyjniej. Saúl wspiął się po schodach na ostatnie piętro. Tam zobaczył mężczyznę ubranego wyłącznie w spodnie od dresu, który palił olbrzymiego, ręcznie skręconego papierosa. Na pierwszy rzut oka wydawał się starszkiem, choć prawdopodobnie miał nie więcej niż trzydzieści–czterdzieści lat – mieszkańcy Flores bardzo szybko się starzeli. Saúl przywitał się zdawkowo, ale mężczyzna go zignorował.

Na piętrze znajdowały się jedne drzwi. Kapłan kilkakrotnie do nich załomotał, ale nikt nie odpowiedział.

Mężczyzna z papierosem raczył w końcu się do niego odezwać:

– Szkoda zachodu, synku...

– Słucham?

– Mówię, że możesz się dobijać, aż sobie pięści rozwalisz, ale nic ci z tego nie przyjdzie. W środku nikogo nie ma.

Saúl jeszcze raz sprawdził numer na drzwiach. Miał nadzieję, że nie pomylił adresu.

– Nie mieszka tu człowiek nazwiskiem Cristino López? – zapytał.

– Mieszka, ale nie ma go w domu.

– Wie pan może, gdzie mogę go znaleźć?

– Wiedzieć wiem, ale on nie chce, żebym to wszystkim rozpowiadał. – Osobnik zaciągnął się głęboko papierosem, spalając sporą jego część. – A kto go szuka?

– Jestem ojciec Saúl – odparł ksiądz. – Przepraszam, ale trochę mi się śpieszy...

Wie pan, gdzie jest Cristino López, czy nie?

– Pewnie – odparł mężczyzna. – Siedzi tu przed tobą, synku.

– To pan?

– Na to wygląda... – odparł palacz i wzruszył ramionami. Saúl rozpoznał w nim typowego Valcabadyjczyka: ci nigdy nie odpowiadają na żadne pytanie po prostu „tak” albo „nie”, jeśli nie muszą. – Mów, co mogę dla ciebie zrobić, księżulku.

– Miał pan siostrę... Nazywała się María de los Ángeles.

– A co, to grzech? – zapytał facet z przekąsem.

– Chciałbym się upewnić, że mam rację.

– Zgadza się... Angelita. Ale już nie żyje, więc jeśli chcesz z nią porozmawiać, to będziesz miał problem, synku.

– To nie jej szukam, próbuję ustalić miejsce pobytu jej męża.

– Aaa, tak... – Mężczyzna znów mocno zaciągnął się papierosem. Tym razem spalił go niemal do końca. – Tego guanchona.

Mianem „guanchona” większość mieszkańców Valcabado określała rodaków rdzennego pochodzenia. Zwykle używali tego słowa pogardliwie.

– Właśnie – potwierdził Saúl. – Zna go pan?

– Znam, nie zaprzeczę... Rico, tak go nazywali, chociaż to przecież chrześcijańskie imię.

– Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

– Nie i nie chcę wiedzieć. Straciłem go z oczu po śmierci siostry, a od tego czasu minęło już ładnych parę lat. Dzień po pogrzebie spakował manatki i się ulotnił, całkiem mnie to cieszy. Nie podobał mi się ten guanchón, straszny był z niego krętacz. Całe szczęście, że nie doczekali się z siostrą dzieci, bo mielibyśmy jeszcze hordę metyskich gąb do wykarmienia, po tym jak koleś zwiął.

– Czemu pan twierdzi, że był krętaczem?

– Ciągle nawijał o tej historii z jakimś Anglikiem.

Saúl udawał obojętność. Podejrzewał, że jeśli facet zwietrzy jego zainteresowanie sprawą, będzie próbował wyciągnąć pieniądze w zamian za opowieść. We Flores języki rozwiązywały się tylko na widok monet i banknotów.

– Taa... Harding czy jakoś tak? – zagadnął, starając się zachować nonszalancję.

– Christopher Harding, zaginął przed laty w Los Morenos.

Starsi Valcabadyjczycy dobrze pamiętali tamto wydarzenie. W latach siedemdziesiątych rozpisywały się o nim gazety w całym kraju, nie stroniąc od taniej sensacji. Sir Christopher Harding przedstawiał się jako antropolog, choć w rzeczywistości był amatorem spragnionym sławy. Najwyraźniej nie cierpiał na brak gotówki, lecz szastał pieniędzmi na wyprawy poszukiwawcze i wydawane własnym sumptem książki pseudohistoryczne. Wszystkie opierały się na fantastycznych teoriach Ericha von Dänikena (Harding uważał się za jego ucznia) na temat wpływu przybyszów z kosmosu na życie na Ziemi. Anglik był przekonany, że starożytne cywilizacje amerykańskie miały kontakty z inteligentnymi istotami pozaziemskimi – wiara ta byłaby całkiem nieszkodliwa, gdyby Harding nie upierał się, żeby nawracać na nią każdego, kto mu się napatoczył.

Rzekomy antropolog sądził, że w sercu dżungli Los Morenos znajduje się ostateczny dowód na potwierdzenie jego teorii: zaginione miasto zbudowane przez mieszkańców innej planety. On zaś wiedział, jak je znaleźć... a przynajmniej tak twierdził.

Z niewyjaśnionych przyczyn Harding zdołał zainteresować swoją misją rząd Valcabado. Otrzymał od władz skromne wsparcie finansowe oraz zgodę na publikacje w mediach państwowych, mógł więc bez żadnych ograniczeń rozwijać swój absurdalny projekt. W dniu, w którym Harding wkroczył do Los Morenos ze świtą tragarzy i pomocników, liczna grupa przedstawicieli władzy zgotowała mu pożegnanie godne Lindbergha wyruszającego w pierwszy lot swoim *Spirit of St. Louis*. Obywatele La Victorii – którzy nie przepuściliby żadnej okazji, żeby zmarnować trochę czasu – wiwatowali i oklaskiwali go niczym bohatera.

Od tej pory słuch po Hardingu zaginął. Nikogo szczególnie nie zdziwiło zniknięcie Anglika w dżungli – Los Morenos to miejsce nieprzyjazne, bezlitosne, gdzie każde napotkane stworzenie jest albo jadowite, albo gotowe cię pożreć (czasem zaś i jedno, i drugie). Cała sprawa popadła w zapomnienie i nikt już nawet nie wspominał o Hardingu, chyba że przy okazji zakładów: czy skończył w brzuchu krokodyla, czy umarł z głodu po długich dniach krążenia po dżungli, zagubiony jak mrówka na pustyni. Zielone piekło Valcabado pochłonęło kolejną ofiarę.

– Tak, to o tego chodziło – przytaknął facet z papierosem. – Guanchón Rico twierdził, że jego ojciec gadał z Anglikiem, zanim ten polazł jak głupi do Los Morenos.

– Coś o tym słyszałem – przyznał Saúl. – Harding szukał przewodnika, Indianina, który dobrze zna dżunglę i mógłby go poprowadzić.

– Wyobrażasz sobie, synku? Bezcelne kłamstwo! Nikt nie zna tej selwy, nikt... To śmiertelna pułapka. Tylko najstarsi Indianie wiedzieli, jak się poruszać po tym przeklętym lesie, a ostatni z nich zmarł na długo przed przybyciem Hiszpanów, wieki temu, wszyscy to wiedzą, nawet oseski. Stary Rica chciał pewnie tylko naciągnąć Anglika, wmówić mu, że zna dawne ścieżki. Ale tamten nie dał się nabrać staremu oszustowi i w końcu go ze sobą nie zabrał. – Facet splunął brązową flegmą. – No i lepiej na tym wyszedł... Cudem się wywinął.

– Ma pan na myśli Hardinga czy ojca Rica?

– Jednego i drugiego.

– Czyli uważa pan, że próbowali naciągnąć Hardinga... I to właśnie opowiadał mąż pańskiej siostry?

– Bajki. Najzwyklejsze bajki, kropka – rzucił mężczyzna z pogardą. – Ten guanchón to był wielki kłamczuch. Twierdził, że to jego ojciec nie chciał pójść z Anglikiem, chociaż tamten oferował mu fortunę.

– A to niby dlaczego?

Saúl popatrzył na starego, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Mówię przecież, że to bujdy, synku... Guanchón twierdził, że jego ojciec uważał Hardinga za czubka... biednego, śmiesznego czubka. Chciał w dżungli szukać Marsjan czy coś takiego... Rico mówił, że ojciec kazał facetowi się wypchać, że to, co znajduje się w labiryncie, nie jest dla stukniętych Angoli uganiających się za statkami kosmitów.

– W jakim labiryncie?

– Nie wiem, Rico tak mówił: labirynt. Podobno jego ojciec znał do niego drogę i potrafił znaleźć wyjście, a przed śmiercią mu to przekazał.

Nie było to dla Saula nic nowego, rewelacje nieznanego pokrywały się z tym, co udało mu się już wcześniej ustalić na własną rękę. Musiał jednak znaleźć tego Indianina. Chciał z nim porozmawiać o labiryncie.

Niestety Saúl najwyraźniej zabrnął w ślepią uliczkę. Jedyna wskazówka dotycząca miejsca pobytu Rica prowadziła do jego szwagra, a ten nie tylko nie miał bladego pojęcia, gdzie go znaleźć, ale też nieszczególnie palił się do pomocy. W kółko powtarzał tylko, że tamten jest zwykłym łgarzem i naciągaczem, jak wszyscy Indianie, i że ucieszył się, kiedy po śmierci siostry zniknął z jego życia. Dopiero po całej serii dociekliwych pytań facet powiedział coś interesującego.

– Możliwe, że przeniósł się do rezerwatu – rzucił niechętnie. – Wspominał czasem, że resztę życia chciałby spędzić u swoich... Nie dziwi mnie to zresztą, ten guanchón to był jakiś pieprzony dzikus, dziś już prawie takich nie uświadczysz.

Saúl uznał, że chociaż to bardzo słaby trop, to przynajmniej otwiera nowy kierunek śledztwa.

Po podpisaniu Traktatu o Wolności, na którego mocy w XIX wieku Valcabado uzyskało niepodległość od Kolumbii, pierwszy rząd nowego kraju zezwolił na tworzenie rezerwatów, w których rdzenni mieszkańcy mogliby żyć według własnych zasad. Z początkowych siedmiu zostały zaledwie dwa, w Santa Aurorze (na północy) i w Coimarze, niedaleko granicy z Brazylią. Istniała więc możliwość, że Rico przebywa w którymś z tych miejsc.

Saúl pożegnał się ze szwagrem Rica. Ten dał mu jednak do zrozumienia, że za wysiłki związane ze wspominaniem męża siostry należy mu się uczciwa zapłata, więc Saúl musiał dać mu parę platas, które stary porwał zachłannie i schował.

W drodze powrotnej przez dzielnicę Flores Saúl myślał sobie, że przepłacił za tak skąpe informacje. Nawet jeśli Rico faktycznie mieszkał w jednym z rezerwatów – co wcale nie było takie pewne – trudno będzie ustalić, w którym konkretnie, nie mówiąc o dodatkowych trudnościach z dotarciem na miejsce.

Parę lat wcześniej rezerwat w Coimarze został tymczasowo zamknięty. W związku z przeludnieniem oraz kłopotami z lokalnymi kartelami narkotykowymi miejscowe władze zabroniły wstępu gościom niezameldowanym w rezerwacie. Jeśli zaś chodzi o Santa Aurorę, to na tle panującej tam atmosfery dzielnica Flores sprawiała wrażenie idealnego miejsca na wakacje dla całej rodziny. Kartele całkowicie przejęły władzę w rezerwacie i zapanowała tam totalna anarchia. Noga Saula nie powstałaby w Aurorze, jeśli nie byłoby to naprawdę ostateczną ostatecznością.

Było już późno, kiedy Saúl wynurzył się z labiryntu uliczek Flores. Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do rezydencji San Lázaro w dzielnicy Mayorazgo. Lepiej było jechać, niż iść pieszo, bo mimo że w centralnej dzielnicy miasta roilo się od żołnierzy wykonujących obowiązki policjantów, nikt nie mógł zagwarantować, że starego księdza nie spotka nic złego, kiedy będzie samotnie spacerował nocą ulicami La Victorii. To były niespokojne dni.

Chociaż, szczerze mówiąc, Saúl nie potrafił przywołać takiego momentu w historii, kiedy Valcabado nie przypominało gwałtownie wstrząśniętej butelki szampana, z której lada chwila może wystrzelić korek.

Saúl mieszkał w Corazón de María, wiosce na skraju Los Morenos. Chociaż z natury był tułaczem i lubił pomieszkiwać w różnych częściach kraju, w ostatnich latach wyjątkowo przyciągał go sielankowy spokój zapomnianej osady na końcu świata.

Populacja Corazón de María liczyła niespełna pięćdziesięcioro mieszkańców. Żyli w ceglanych domkach, zajmowali się uprawą ziemniaków i kukurydzy w ogródkach na tyłach posesji. W całej wiosce był tylko jeden telefon, a kobiety – jak za dawnych czasów – robiły pranie w pobliskim potoczku zwanym Guijarral, jednym z wielu dopływów, które niczym żyłki w układzie krwionośnym tworzyły sieć wraz z dwiema większymi rzekami o borych, mętnych wodach przecinającymi Los Morenos z jednego krańca na drugi. To od nich właśnie dżungla wzięła swoją nazwę – *moreno* znaczy „ciemny”.

Corazón de María leżało w odległości niemal dnia drogi od La Victorii. Jedynym dostępnym środkiem transportu był zdezelowany autobus, który pokonywał tę trasę zaledwie raz w tygodniu. Kiedy więc Saúl musiał wybrać się do stolicy, żeby przeprowadzić poszukiwania w dzielnicy Flores, postanowił załatwić sobie pokój w rezydencji San Lázaro.

Dom gościnny stanowił własność diecezji. Każdy ksiądz z Valcabado miał prawo zatrzymać się w tym budynku podlegającym biskupowi La Victorii – stary zwyczaj, jeszcze z czasów kolonialnych. Dla Saula było to idealne rozwiązanie problemu zakwaterowania: praktyczne, wygodne i tanie.

Taksówkarz zażądał od Saula dziesięciu platas za kurs (majątek dla przeciętnego Valcabadyjczyka) i wysadził go na placu katedralnym. Świątynia – ciemna i przysadzista bryła – była tyle razy łatana i naprędce reperowana, że nawet najwybitniejszy ekspert w dziedzinie historii sztuki nie zdołałby przyporządkować jej do konkretnego stylu architektonicznego. Co więcej, w oczy kłuła asymetryczna budowa kościoła: przed stu laty południowa nawa spłonęła w pożarze. Odbudowa katedry ograniczyła się do byle jakiego zabezpieczenia dwóch pozostałych naw, a resztki spalonych ruin pozostawiono

nietknięte i teraz straszyły jak zwęglone kości olbrzymiego dinozaura. Dlatego też kościół nieoficjalnie nazywano Krzywulcem.

Obok Krzywulca stał pałac biskupi zbudowany w stylu neorenesansowym, jedyna budowla w mieście – nie licząc siedziby rządu – która zachowała choć trochę tradycyjnego charakteru. W jej murach znajdowało się mieszkanie biskupa, archiwum historyczne diecezji (gdzie Saúl przesiadywał godzinami przy każdej nadarzającej się okazji) oraz rezydencja San Lázaro.

Saúl przekroczył próg domu gościnnego i przywitał się z zakonnicej siedzącą za ladą niewielkiej recepcji.

– Ach, ojciec Saulu – powiedziała na jego widok. – Mam dla ojca wiadomość od don Fernanda, sekretarza biskupa. Prosił mnie o przekazanie, żeby koniecznie zajrzał ojciec do jego gabinetu.

Saúl zerknął na zegarek, ale w tej samej chwili dzwony Krzywulca wybiły jedenastą.

– Dziękuję, ale chyba lepiej poczekam do jutra. Teraz jest już trochę za późno.

– Nie szkodzi, on czeka na księdza. Wspominał, że to pilna sprawa.

Kapłan zrobił zdziwioną minę, ale nic nie powiedział. Wspiął się na drugie piętro, gdzie znajdował się gabinet sekretarza biskupa.

Władzę w diecezji La Victoria od blisko dwóch dziesięcioleci sprawował ten sam prałat: don Manuel De Llanos. De Llanos był salezjaninem i już dawno przekroczył wiek, w którym Watykan udziela biskupom dyspensy od ich urzędowych obowiązków. Oficjalna rezygnacja prałata spoczywała na dnie szuflady w jakimś biurku w Rzymie i prawdopodobnie miała pozostać tam jeszcze długo.

Saúl miał do tej pory niewiele do czynienia z biskupem De Llanosem, a choć nie oceniał go negatywnie, to jednak bez większego entuzjazmu. De Llanos przemawiał zwykle takim tonem, jakby siedział nad łóżkiem śmiertelnie chorego, a przy tym był tak dobroduszny, że zakrawało to na naiwność. Dobry człowiek z dobrymi intencjami, ale niezbyt adekwatny kandydat na stanowisko zwierzchnika tak niespokojnej diecezji jak La Victoria. De Llanosa wyraźnie przerósł stopień złożoności powierzonego mu zadania, wegetował więc na stanowisku, wypełniając sobie czas odmawianiem aktów strzelistych i pisaniem kiczowatych bukolik, kompletnie niestrawnej szmiry; opuszczał gabinet praktycznie tylko po to, żeby odprawić mszę. Zdecydowanie nie nadawał się do rozwiązywania problemów, ale przynajmniej sam ich nie sprawiał.

Bieżącym zarządzaniem diecezją zajmował się de facto jego osobisty sekretarz, Fernando Iturbide. Iturbide należał do Opus Dei, instytucji niecieszącej się szczególną sympatią większości valcabadyjskich księży, głównie jezuitów.

W przeciwieństwie do samego biskupa jego sekretarz był człowiekiem znacznie bardziej zaradnym i przedsiębiorczym. Mimo nader konserwatywnych poglądów potrafił niezwykle dyplomatycznie kierować całą diecezją. Zwykli „szeregowi” księża w Valcabado byli mocno rozpolitykowani, z silnymi tendencjami lewicowymi (niektórych rząd wtrącał nawet do więzienia), ale Iturbide działał z silnym postanowieniem, by unikać stąpania po grząskim gruncie i wywoływania niepotrzebnych tarć. Saúl niespecjalnie za nim przepadał, ale doceniał jego praktyczny i konstruktywny

stosunek do sprawowania władzy.

Don Fernando rzeczywiście czekał na niego w swoim gabinecie, urządzonym po spartańsku. Jak zwykle miał na sobie nienaganny strój – krótki surdut z koszulą i spodnie, wszystko czarne jak smoła. Całkowicie łysa głowa tkwiła na szczycie czarnej sylwetki, której właściciel patrzył na świat przez okulary o grubych szklach, nienaturalnie powiększających mu oczy.

Kiedy Saúl wszedł do gabinetu, sekretarz wstał i przywitał go z najwyższą uprzejmością. Uścisnął mu rękę i zachęcił, by usiadł.

– To wielka przyjemność widzieć ojca u nas w diecezji, rzadko nas ojciec odwiedza. Jak się mają sprawy tam u was w... Corazón de María, zgadza się?

Saúl pomyślał, że spokojnie mógłby sobie oszczędzić odpowiedzi – sekretarz na pewno świetnie się orientował w jego poczynaniach. Iturbide wszystko widział i wszystko słyszał, świetnie pasowałby na funkcjonariusza średniego stopnia w organizacji typu Stasi czy KGB... Gdyby nie to, że nienawidził komunistów bardziej nawet niż grzechu.

– Nieprzyzwoicie wręcz spokojnie, muszę przyznać – odparł. – Ta błogosławiona wioska to prawdziwa oaza spokoju.

– Ależ ja ojcu zazdroszczę! Obawiam się, że tu, w stolicy, nie mamy takiego szczęścia... Miasto ciągle paraliżują strajki, zbiry z karteli przejmują kontrolę nad kolejnymi dzielnicami, a jedyną odpowiedzią rządu jest wypuszczanie na ulice coraz liczniejszych zastępów żołnierzy, praktycznie dzieci uzbrojonych w pistolety. Kiepskie czasy, bez dwóch zdań... Bardzo kiepskie. Gdybym był pesymistą, uznałbym, że przyszła pora, żeby przygotować się na najgorsze.

– Ale tak nie jest?

– Ufam, że nie... Słyszał ojciec o amerykańskiej korporacji Voynich?

– Zdaje się, że to firma informatyczna.

– Zgadza się. Okazuje się, że ich eksperci odkryli wielkie złoża wolframu na północy kraju. Są gotowi zainwestować w Valcabado duże sumy, żeby móc je eksploatować. Dzięki temu powstałoby wiele nowych miejsc pracy, nie wydaje się ojcu?

– Z całym szacunkiem, ale bezrobocie to nie jedyna bolączka, z jaką zmaga się ten kraj. Valcabado zacznie wychodzić na prostą, dopiero kiedy zniknie rząd prezydenta Luzona, a przy okazji kartele narkotykowe, które go finansują.

Iturbide westchnął niemal niedosłyszalnie.

– Tak... Mówi ojciec tak jak wielu innych tutejszych kapłanów. Obawiam się jednak, że nie do końca właściwie analizujecie ten problem. Owszem, bossowie narkotykowi to największe zło tego narodu. Ponieważ jednak rządzący nie dysponowali wystarczającą siłą, żeby stawić im czoło, poddali się i dali się skorumpować. Jeśli znikną kartele, skorumpowani członkowie rządu również odejdą i sprawy zaczną iść ku lepszemu.

– Cóż... Można tak na to spojrzeć – mruknął Saúl, który nie miał ochoty wdawać się w dyskusje polityczne z sekretarzem. – Ale nadal nie rozumiem, co dobrego przyjdzie nam z tego, że przyjadą tu jacyś Amerykanie i zaczną nam ryc w ziemi. Nie wątpię, że zarobią sporo pieniędzy, ale głowę dają, że ani jedna moneta nie trafi do kieszeni najbardziej potrzebujących. Połowę zysków wezmą sobie jankesi, a druga połowa pójdzie

na haracze dla *narcos*, żeby im nie przeszkadzali w robotach.

– Wiem z dobrego źródła, że Voynich nie zamierza płacić kartelom za ochronę. Saúl uśmiechnął się z przekąsem.

– W takim razie będzie się ojciec musiał bardzo żarliwie modlić, bo przyda im się porządny cud. Jeden z tych naprawdę spektakularnych.

– Może wcale nie będzie im potrzebny cud. Amerykanie zatrudniają tak zwaną *private military company*. Zna pan ten termin?

– Owszem – przyznał Saúl. – Mają najemników.

– Wydaje mi się, że nie przepadają za takim określeniem, wolą nazywać się „agencjami ochrony”. Ta konkretnie nazywa się Wotan i dysponuje podobno wystarczającymi środkami, żeby zabezpieczyć się przed kartelami. Ludzie z Voynicha są gotowi użyć rządowi usług swojej agencji ochrony, żeby wspólnie walczyli przeciwko narkobossom... To część umowy o eksploatację złóż wolframu.

– Luzón właśnie tego chce – westchnął Saúl. – Jeszcze więcej uzbrojonych typów, którzy pomogą mu utrzymać się u władzy... Przykro mi, ojcie, ale mnie cała ta historia nie wydaje się taka piękna.

– Jest ojciec inteligentnym człowiekiem, na pewno nie da się ojciec zwiść pozorom i potrafi przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. Prędzej czy później rząd Luzona będzie w tak dużym stopniu zależny od ludzi z Wotanu i pieniędzy Voynicha, że praktycznie stanie się ich własnością.

– A dlaczego niby to miałyby być lepsze niż siedzenie w kieszeni karteli?

– Jestem głęboko przekonany, że ten kraj będzie się miał znacznie lepiej pod rządami polityków sterowanych przez międzynarodową korporację niż przez handlarzy narkotyków.

– Na Boga, ojcie... – wydusił Saúl z niedowierzaniem. – Toż to najczystszej wody neokolonializm! Jak w ogóle może ojciec akceptować, a nawet dopuszczać taką możliwość?

– Ponieważ jestem realistą i dobrze wiem, że ten naród nie może liczyć na nic lepszego.

Saúl nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Przygnębiała go defetystyczna postawa sekretarza. Jeśli taka była oficjalna linia Kościoła w Valcabado, Saúl nie mógł się już doczekać powrotu do swojej wioski, gdzie na jakiś czas zapomni o całym świecie.

– Przedsiębiorstwo wykupujące państwo... – skwitował ze smutkiem. – Jakbyśmy cofnęli się do czasów Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Sekretarz rozłożył ręce w geście bezsilności.

– Niech mnie ojciec nie uważa za cynika. Po prostu z dwojga złego wolę zawsze wybrać mniejsze zło. Głęboko wierzę, że żyjemy dziś w lepszych czasach niż te, o których ojciec przed chwilą wspominał. Ludzie z Voynicha w niczym nie przypominają handlarzy niewolników ani kolonizatorów, wręcz przeciwnie: są nowocześni, mają kreatywne pomysły... Zresztą już zaczęli inwestować w ochronę dziedzictwa historycznego naszego kraju.

– Co ojciec ma na myśli? – zapytał Saúl.

– Finansują jakiś projekt kulturalny... Nazywa się Lilith, bardzo intrygująco. To

niezwykle ciekawa sprawa i między innymi w związku z tym chciałem się z ojcem spotkać. Potrzebuję ojca pomocy.

– Przykro mi, ale nie rozumiem...

– To zrozumiałe, od tak dawna siedzi ojciec w tej swojej wiosce, że nie jest na bieżąco z najnowszymi wydarzeniami. Otóż w ramach Projektu Lilith dokonano jakiś czas temu niezwykle ważnego odkrycia o charakterze archeologicznym na przedmieściach La Victorii. Zajmuje się tym duży, międzynarodowy zespół złożony z najbardziej renomowanych ekspertów.

Saúl poczuł się zaintrygowany.

– Co to za ważne znalezisko?

– Nie jestem pewny, trzymają wszystko w najgłębszej tajemnicy, ale osobiście podejrzewam, że chodzi o jakąś ruinę walkatecką. Ci ich specjaliści szukają kogoś, kto potrafiłby rozszyfrować pismo rdzennych ludów prekolumbijskich. Rozpytywali na uniwersytecie w La Victorii, ale tam odesłali ich do diecezji. Dziś po południu spotkałem się z członkiem Projektu Lilith, niejakim doktorem Croninem, i wspomniałem mu o tobie, ojcie Saulu.

– Dlaczego ksiądz to zrobił?

– O ile się nie mylę, już od wielu lat zajmuje się ojciec badaniem rdzennej kultury Valcabado.

Iturbide się nie mylił. Co więcej, Saúl był prawdopodobnie jednym z zaledwie garstki prawdziwych ekspertów w tej dziedzinie. Archeolodzy i historycy nie chcieli tracić czasu na studiowanie kultury walkateckiej: albo uważali ją za zupełnie nieistotną, albo w ogóle nie mieli pojęcia o jej istnieniu. Po Walkatekach zachowały się bardzo nieliczne, a do tego raczej nieciekawe źródła archeologiczne, chociaż Saúl był głęboko przekonany, że wiele jeszcze zostało do odkrycia.

– Ja... owszem, trochę się orientuję w tym temacie – przyznał ksiądz niechętnie.

– Obawiam się, że grzeszy ojciec nadmierną skromnością.

– Nie uważam się za wielkiego specjalistę, ale możliwe, że jestem jedynym, który akurat znajduje się pod ręką.

– To świetnie, bo bardzo mi zależy, żeby przyjął ksiądz ofertę doktora Cronina i dołączył do ekipy Projektu Lilith.

Czyli o to chodziło. Właśnie tego Saúl się obawiał. W pierwszej chwili chciał odmówić, nie uśmiechało mu się odgrywanie roli chłopca na posyłki biskupiego sekretarza, a tym bardziej nie zamierzał współpracować z ludźmi, których zamiary wydawały mu się mocno podejrzane.

Z drugiej strony musiał jednak przyznać, że sprawa bardzo go zaintrygowała... Co ci Amerykanie mogli tam znaleźć? Autentyczne przykłady pisma walkateckiego trafiały się niezwykle rzadko, może więc warto by rzucić okiem na to, co wykopali ich eksperci. Niewykluczone, że to ważne znalezisko.

Ciekawość Saula okazała się silniejsza niż skrupuły. Musiał jednak rozwiązać jeszcze ostatnie podejrzenia.

– A jaka diecezja ma interes w moim udziale w tym przedsięwzięciu?

– Nie mamy żadnego interesu... Pomyślałem sobie po prostu, że to mogłoby być

dla ojca bardzo ubogacające doświadczenie.

– Prawda nas wyzwoli, ojciec...

Sekretarz uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Ma ojciec rację... świętą rację. Szczerze mówiąc, chciałbym się dowiedzieć, co ci ludzie tam wykopali, jak pracują, jakie mają plany... Próbowałem wyciągnąć jakieś szczegóły z tego całego doktora Cronina, ale bardzo sprawnie wykręcał się od odpowiedzi.

– Czyli mam być ojca szpiegiem.

– Nie ująłbym tego w ten sposób. Chcę tylko, żeby na bieżąco informował mnie ojciec o tym, co uzna za istotne... Dosłownie przed chwilą sam mi ojciec wypominał, że za bardzo wierzę w dobre intencje Voynicha i w to, co mogą zrobić dla naszego kraju. Cóż, diecezja ma prawo wiedzieć, czy ci ludzie zamierzają... „nas wykupić”, że zacytuje ojca słowa. A jeśli ich zamiary rzeczywiście okazałyby się niezbyt szlachetne, mamy także prawo podjąć odpowiednie działania.

Sauł zaakceptował takie wyjaśnienie całej sprawy. Uznał, że może odgrywać rolę zaproponowaną przez Iturbidego, przynajmniej dopóki się nie okaże, że wplątał się w coś groźnego.

– W porządku – zgodził się. – Pojadę tam i rzucę okiem na te wykopaliska.

Iturbide wylewnie mu podziękował. Potem wstał – na znak, że spotkanie dobiegło końca – i odprowadził Saula do drzwi gabinetu. Życzył mu dobrej nocy i umówił się z nim na kolejną rozmowę, podczas której ksiądz zrelacjonuje, czego się dowiedział.

Przy pożegnaniu Saúl pomyślał, że minie sporo czasu, zanim będzie miał ochotę wrócić do tego gabinetu.

Nazajutrz po obiedzie Saúl stał w drzwiach rezydencji San Lázaro i czekał na samochód, który miał go zawieźć na wykopaliska Voynicha.

Było typowe valcabadyjskie popołudnie, pochmurne i parne. W nocy na pewno można było spodziewać się potężnej ulewy, jak zwykle o tej porze roku. Saúl miał nadzieję, że Amerykanie porządnie zabezpieczą teren wykopalisk, w przeciwnym razie następnego ranka zobaczą grzęzawisko.

Sauł zaczynał się pocić. Zdjął panamę i otarł czoło chusteczką. Skoro miał zgrywać światowej klasy eksperta w dziedzinie kultury walkateckiej, chciał wyglądać godnie i zrobić dobre wrażenie na pozostałych członkach zespołu. Przyciął nawet bujną, wiecznie zmierzwioną brodę i włożył jedyną parę spodni, która nie wyglądała jak wyciągnięta ze śmietnika.

Zielony jeep zaparkował na placu, tuż przy pałacu biskupim. Z samochodu wysiadł niziutki, grubawy osobnik. Miał jaskrawoczerwoną twarz, jak to u człowieka o bardzo jasnej skórze, który spędził zbyt wiele czasu na słońcu. Ogólnie facet sprawiał dość plebejskie wrażenie.

Podszedł i przywitał się z Saulem.

– Dzień dobry... Ojciec Saúl? – zapytał z uśmiechem. Mrugał gwałtownie, jakby męczył go jakiś nerwowy tik. – Nazywam się Cronin, doktor Josh Cronin.

Mówił po hiszpańsku z wyraźnym anglosaskim akcentem – ewidentnie trudno

przychodziło mu wyrażanie się w obcym języku.

– Miło mi pana poznać, doktorze. Czekałem na pana – odparł Saúl po angielsku.

Archeolog rozpromienił się na dźwięk ojczystej mowy.

– Mówi pan w moim języku? Bardzo się cieszę! Obawiam się, że nie opanowałem jeszcze zbyt dobrze hiszpańskiego, mimo usilnych prób. Mówi się o Brytyjczykach, że jesteśmy beznadziejni w językach obcych... I muszę przyznać, że coś w tym jest.

– Sądziłem, że jest pan Amerykaninem.

– Nie, Anglikiem. Wykładam archeologię średniowieczną na Oksfordzie... Trudno uwierzyć, że tutaj wylądowałem, prawda? – Doktor Cronin zaśmiał się nerwowo.

Saúl zgodził się z nim w duchu. Ten człowieczek był tu zupełnie nie na miejscu, niczym Eskimos na pustyni. Saúl nie potrafił sobie wyobrazić, co mediewista mógł mieć do roboty w tych stronach.

Poszedł za doktorem Croninem do jeepa. Archeologowi nawet na chwilę nie zamykały się usta, choć gadał głównie komunały. Najwyraźniej Cronin panicznie obawiał się krępującego milczenia.

Brytyjczyk sam prowadził samochód przez ulice miasta. Zapytał Saula, czy ten orientuje się w zakresie wykopalisk.

– Tylko bardzo pobieżnie – odparł kapłan. – Sekretarz biskupa nie wdawał się w szczegóły, powiedział mi jedynie, że potrzebujecie tłumacza z walkateckiego.

– Zgadza się. Nie przewidzieliśmy takiej konieczności, sytuacja nas zaskoczyła. Mamy tu uczonych ze wszystkich zakątków świata, ale nikt nie zna się ni w ząb na kulturze tutejszych rdzennych ludów, ojczyste.

– Niech pan sobie da spokój z tym ojcem, wystarczy „pan”, a na imię mam Saúl – powiedział ksiądz. – Przepraszam, nie chciałem pana urazić, ale nie wydaje się panu absurdalne, że nie sprowadzono żadnego specjalisty od Walkateków na wykopaliska prowadzone na ich dawnym terytorium?

Cronin znów zaśmiał się niespokojnie.

– Ach, tak, wiedziałem, że na pewno pan o to spyta, wiedziałem... Widzi ojciec... przepraszam, panie Saulu: chodzi o to, że nie przyjechaliśmy tu odkopać żadnego skarbu Walkateków... Nic z tych rzeczy... Szukamy tu czegoś zupełnie innego.

– W takim razie po co jestem wam potrzebny?

– Jak już mówiłem, sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Nie spodziewaliśmy się odkryć niczego, co miałoby jakiś związek z rdzenną ludnością tych ziem, ale okazało się, że nie mieliśmy racji. To znaczy... częściowo mieliśmy... Rozumie pan... – Znowu nerwowo śmieszek.

– Nie, wręcz przeciwnie, nic a nic nie rozumiem, doktorze – stwierdził Saúl z lekką irytacją. – Cóż wy tam znaleźliście?

– Sam pan zobaczy... Jestem pewny, że się pan zdziwi... Tak, bardzo się pan zdziwi.

Saúl zaczynał mieć już dość tych wszystkich sekretów. Tymczasem jednak doktorowi Croninowi najwyraźniej wielką przyjemność sprawiało robienie tajemnic. Kilkakrotnie powtórzył, że znalezisko to zostanie uznane za prawdziwy przełom w dziejach archeologii, a Saúl ma wielkie szczęście uczestniczyć w tak wyjątkowym

projekcie. On sam, mówił, uważa to za ogromny przywilej, szczytowe osiągnięcie swojej kariery, choć występuje tu wyłącznie w charakterze współpracownika.

– Sądziłem, że to pan stoi na czele prac wykopaliskowych – wtrącił się Saúl.

– Przynajmniej taki wniosek wyciągnąłem z rozmowy z sekretarzem biskupa.

– Ach, nie, ja jestem tylko pomocnikiem. Co prawda przez większość czasu dowodzę tu wszystkim, ale mózgiem projektu jest doktor David Yoonah.

– Też archeolog?

– Właściwie to matematyk. To bardzo ważna osobistość, nigdy pan o nim nie słyszał?

– Wielki świat leży bardzo daleko poza granicami Valcabado.

– Prawda, sam się już o tym przekonałem... Bardzo daleko. – Cronin zachichotał pod nosem jak królik, jakby usłyszał właśnie bardzo zabawny dowcip. – Doktor Yoonah jest jednym z akcjonariuszy firmy Voynich. Choć zawodowo zajmuje się naukami ścisłymi, jest zapalonym amatorem archeologii, osobiście nadzoruje wszystkie działania Projektu Lilith.

– A nie wydaje wam się ryzykowne powierzać nadzór nad wykopaliskami amatorowi?

– Och, nie, nie, nie. To bardzo zdolny człowiek, zapewniam, że wie, co robi. Sam będzie się pan mógł przekonać, kiedy doktor wróci do La Victorii.

– A teraz go tutaj nie ma?

– Nie, doktor Yoonah ma wiele zobowiązań, musi spędzać dużo czasu w centrali Voynicha w Kalifornii. Kiedy go tu nie ma, ja doglądam robót. Być może to dlatego ojciec Iturbide uznał mnie za szefa.

– Tak, być może – przyznał Saúl. – A właśnie, gdzie konkretnie prowadzicie te wykopaliska?

– Na peryferiach, parę kilometrów od miasta. Kojarzy pan Funzal?

Saúl znał to miejsce. Funzal był jednym z przedmieść stolicy, znajdował się na południu, na zboczu wzgórza oddzielającego równinę La Victorii od dżungli Los Morenos. W podręcznikach do geografii, atlasach i przewodnikach turystycznych szczyt ten figurował jako Góra Marszałka Garcíi Tamuda, ale żaden mieszkaniec Valcabado by tak nie powiedział. Miejscowi posługiwali się raczej nieoficjalną nazwą – Głazisko.

W Funzalu prawie nie było domów, jeśli nie liczyć luksusowej dzielnicy mieszkalnej, gdzie przedstawiciele wyższych klas La Victorii tkwili w eleganckich rezydencjach otoczonych szczelnym pancierzem środków ochrony. Reszta przedmieścia rozlewała się w lesistą zieloną plamę.

– Przepraszam, doktorze – odezwał się Saúl. – Wydaje mi się, że pomylił pan drogę: tędy nie jedzie się do Funzalu. Szybciej będzie pojechać Gran Vía del 18 de Junio, a potem...

– Tak, wiem, ale pojedziemy trochę okrężną trasą. Muszę podjechać pod hotel Embajadores, odebrać jeszcze jednego członka naszego zespołu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko.

– Nie, skąd – zapewnił pośpiesznie Saúl. – To też archeolog?

– Właściwie archeolożka. Doktor Alicia Jordán.

Saúl uniósł wysoko brwi.

– No proszę... – mruknął. – Prawdziwa znakomitość.

Doktor Cronin uśmiechnął się z satysfakcją, jakby pochwała ta została skierowana pod jego adresem.

– Zna ją pan?

– A kto jej nie zna? Czytałem jej książki, nieźle się orientuję w jej działalności naukowej. Współpraca z nią na pewno będzie niezwykle interesująca.

– Też tak sądzę. Mieliśmy szczęście, doktor Jordán zdecydowała się praktycznie w ostatniej chwili. Jakiś miesiąc temu przeszła zawał, ale wygląda na to, że bardzo szybko stanęła na nogi.

– Nie wiedziałem, przykro mi to słyszeć.

– Tak... Poza tym, z tego, co wiem, straciła ostatnio bliskiego członka rodziny. Nie znam szczegółów, nie chciałem wypytywać. Uważam, że w takich sprawach należy zachować dyskrecję, nie sądzi pan?

– Może i tak – odparł Saúl wymijająco. – Ale niepokoi mnie ta wiadomość o zawale... Na pewno już dobrze się czuje?

– Zaraz przekona się pan na własne oczy. Doktor Jordán doszła do siebie po wszystkich dolegliwościach, świetnie się trzyma, w ogóle nie wygląda na swój wiek. Poprosiła nas tylko, żebyśmy pozwolili jej przyjechać w towarzystwie asystenta, kogoś w rodzaju sekretarza, pielęgniara, ucznia czy coś takiego. Oczywiście powiedzieliśmy, że z naszej strony nie ma żadnego problemu. Udział pani doktor w tym przedsięwzięciu jest dla nas tak cenny, że bez wahania pozwolilibyśmy jej tu przywieźć cały orszak królewski, gdyby tylko o to poprosiła. – Cronin wybuchnął śmiechem.

Jeep jechał jedną z największych ulic handlowych stolicy, niedaleko siedziby rządu. W samym centrum miasta znajdował się modernistyczny gmach, na którego fasadzie wisiało smętnie kilka flag. Na pordzewiałym szyldzie widniał napis secesyjną czcionką – litery układały się w nazwę: HOTEL EMBAJADORES.

Na ulicy przed wejściem do budynku Saúl zobaczył czekającą już na nich dwójkę ludzi. Doktor Cronin zatrzymał samochód i poszedł się z nimi przywitać. Saúl także wysiadł, żeby się zapoznać. Niecierpliwie wyczekiwał spotkania twarzą w twarz z doktor Jordán.

Cronin dokonał obowiązkowych prezentacji. Doktor Jordán miała na sobie prosty, wygodny strój roboczy w kolorze khaki, na nosie ogromne okulary przeciwsłoneczne, a na głowie czapkę z daszkiem. Uścisnęła rękę Saula, uśmiechnęła się serdecznie i bardzo czarująco, po czym przedstawiła mu swojego pomocnika, nieśmiałego chłopaka imieniem Javier.

Saúl wsiadł z powrotem do jeepa, teraz już z dwojgiem archeologów i asystentem, po czym cała czwórka ruszyła w drogę do Funzalu. Podczas podróży pani doktor dała się poznać jako kobieta rozmowna i przesympatyczna, bez przerwy zasypywała Saula pytaniami. Można było odnieść wrażenie, że uważa kapłana za niezwykle interesującego mężczyznę.

– Naprawdę jest pan księdzem? – zapytała. – Proszę wybaczyć, ale zupełnie pan nie wygląda. Przypomina mi pan raczej starego wilka morskiego, kapitana okrętu, który

opłynął cały świat, zawiąwszy po drodze do wszystkich portów.

– Nie jestem taki stary, pani doktor, bez przesady...

Roześmiała się.

– Racja, przepraszam. Zadam panu niedyskretne pytanie: ile ma pan lat?

– Gdybym odpowiedział, że tylko o kilka więcej od pani, bardzo bym panią zaskoczył?

– Bardziej mnie zaskakuje, że wie pan, ile ja mam lat.

Saúl wzruszył ramionami.

– Przy okazji publikacji następnej książki proszę powiedzieć wydawcy, żeby nie umieszczał pani daty urodzenia w biogramie na okładce. To bardzo niedżentelmeńskie.

– Słusznie. Ale niech pan powie, czy nie wyglądam na dużo młodszą?

– Muszę przyznać, że owszem, pani doktor.

– Mam na imię Alicia.

– A ja Saúl.

– Miło mi. Niech mi pan więc powie, panie Saulu, jak taki czcigodny kapłan trafił między postrzelonych archeologów? Nie, chwileczkę... Pozwoli pan, że sama spróbuję zgadnąć: ktoś się wygadał o moim zawale i chcą mieć pod ręką zawodowca, na wypadek gdyby trzeba było w trybie pilnym udzielić mi ostatniego namaszczenia, zgadza się?

Saúl zaśmiał się szczerze.

– Nie wydaje mi się, żeby w najbliższym czasie potrzebowała pani tego sakramentu... Nie, odpowiedź jest inna: ktoś uznał, że mogę wam się przydać ze względu na moją znajomość kultury walkateckiej.

– Ach, czyli jest pan ekspertem od Indian... A do tego księdzem. Oryginalne połączenie.

– Czemu wydaje się to pani takie dziwne? Gdyby się nad tym zastanowić, to przecież pierwsi zachodni historycy badający kultury prekolumbijskie byli ludźmi Kościoła. Na przykład ojciec Bernardino de Sahagún czy ojciec Tomás de Torquemada...

– Coś się panu pomyliło. Tomás de Torquemada był inkwizytorem, chodzi panu zapewne o ojca Juana de Torquemadę, autora prac naukowych na temat meksykańskich religii przedchrześcijańskich.

Doktor Cronin wybuchnął tym swoim nerwowym śmiechkiem.

– Niech pan uważa, doktor Jordán nie przepuści żadnej okazji, żeby wytknąć błąd... Wszystkich nas stale poprawia.

Uśmiechnęła się zawstydzona.

– Przykro mi, obawiam się, że taką już mam przywarę – przeprosiła. – Tylko sobie żartowałam, panie Saulu. Nie wątpię, że jest pan wybitnym specjalistą w dziedzinie kultury Walkateków, cała ekipa powita pana z otwartymi ramionami. Długo szukaliśmy kogoś takiego jak pan. Cronin był już gotowy się poddać.

– Tak, obawiam się, że należę do bardzo nielicznej grupy osób zainteresowanych kulturą prekolumbijską naszego kraju – przyznał Saúl.

– A to dlaczego?

– Przez całe wieki uważano kulturę walkatecką za mało istotną, praktycznie nieznaczącą. Właściwie dopiero w latach trzydziestych dwudziestego wieku odkryto, że

Walkatekowie w znacznym stopniu różnili się od innych grup etnicznych rejonu górnej Amazonki. Wcześniej bowiem uważano ich kulturę za wariant kultury Czibcza, słabo rozwinięty, wręcz prymitywny. Portugalski lingwista Manuel Freire odkrył jednak, że na terenach dzisiejszej selwy Los Morenos kwitła niegdyś odrębna cywilizacja, o bogatej tradycji i mocno rozwinięta w porównaniu z sąsiednimi ludami. Dziś wiemy już, że Walkatekowie świetnie znali się na astronomii, dysponowali złożonym systemem pisma, a podejrzewamy również, że potrafili wznosić niezwykle zaawansowane budowle. Niestety, jak na razie prawie nikt nie zdaje sobie sprawy z tego wszystkiego i... – Saúl przerwał. – Oho, przepraszam, zaserwowałem pani cały wykład. Ale to pani wina, niepotrzebnie mnie pani zachęciła.

– Ależ nie ma pan za co przepraszać – zaprotestowała archeolożka. – To wszystko jest niezwykle interesujące. Ale proszę mi powiedzieć, skoro Walkatekowie stworzyli tak zaawansowaną cywilizację, to dlaczego nikt się nimi nie zajmował aż do lat trzydziestych?

– Nie do końca tak było. Pierwsi Hiszpanie, którzy przybyli do Valcabado, otwarcie wyrażali swój podziw dla pozostałości imponujących budowli wzniesionych przez rdzennych mieszkańców tych ziem. Don Álvaro de Toro, pierwszy gubernator La Victorii, złożył królowi Filipowi II obszerną relację, w której rozpisywał się o wspaniałych ruinach i stelach z wyrytymi inskrypcjami. Pierwszą gramatykę języka walkateckiego już w 1601 roku spisał ojciec Luis Rodríguez Quesada, dominikanin, a wielu innych interesowało się tą wymarłą już wówczas kulturą.

– Wymarłą?

– Tak... No, prawie. Uważa się, że cywilizacja walkatecka upadła na długo przed przybyciem Hiszpanów, być może z powodu serii gwałtownych zmian klimatycznych.

– No tak... Ale mimo to nadal nie rozumiem, dlaczego ta kultura popadła w zapomnienie aż do początku dwudziestego wieku.

– Nie tyle o nich zapomniano, ile wymazano z historii – uściślił Saúl. – Widzi pani, w dziewiętnastym wieku, kiedy Valcabado było jeszcze prowincją Kolumbii, kreolska elita społeczeństwa, o głęboko rasistowskich przekonaniach, dokonała autentycznej czystki kulturalnej, która odcisnęła piętno na prekolumbijskiej historii regionu. Po uzyskaniu przez kraj niepodległości sytuacja wcale się nie poprawiła. W niewiele ponad sto lat krew walkatecka uległa rozcieńczeniu w wyniku mieszania się ras, a nielicznych pozostałych Indian czystej krwi pozamykano w rezerwach. Pierwszy niepodległy rząd marszałka Garcíi Tamuda przyjął cały pakiet praw o czystości rasowej, których nie powstydziliby się naziści. Ustawy miały na celu wyeliminowanie ze społeczeństwa najmniejszych nawet przejawów kultury rdzennych mieszkańców. Z bibliotek zniknęły rozprawy historyczne i językoznawcze opracowane przez hiszpańskich misjonarzy, a pozostałości archeologiczne uległy sukcesywnemu zniszczeniu w kolejnych konfliktach zbrojnych dziewiętnastego wieku: wojnie o niepodległość, wojnach domowych, utarczkach z władzami Kolumbii i Brazylii... Resztki, które zdołały przetrwać, rozebrano pod budowę nowych domów i całych miast. Słowem, totalna katastrofa... – Saúl westchnął ciężko. – Niestety, Valcabado to kraj, który zawsze otwarcie manifestował brak zainteresowania swoim dziedzictwem historycznym. Od czasu uzyskania niepodległości

władze zmieniają się tu niemal co chwilę, niektóre rządy nie przetrwały nawet roku, a wszystkie próbowały urządzić kraj zupełnie od nowa w imię postępu i źle pojmowanego pędu ku przyszłości. Wydawało im się, że nowoczesność oznacza unicestwienie starego i budowę czegoś zupełnie innego. W tym zakątku świata zawsze tak było.

– To bardzo smutne – wtrącił się Cronin. – Ale jestem pewny, że nasze odkrycie przywróci kulturę walkatecką do łask.

– Jeśli rzeczywiście okaże się tym, na co wygląda... – dodała archeolożka.

– A o czym konkretnie mowa? Muszę przyznać, że z każdą chwilą jestem bardziej zaintrygowany – powiedział Saúl.

– Szczerze mówiąc, sama nie potrafię panu tego wytłumaczyć – odparła kobieta.

– Musi pan zobaczyć to sam i wyrobić sobie własną opinię... A już niedługo będzie pan miał szansę, dojeżdżamy na miejsce.

Cronin skręcił i wjechał jeepem w wąziutką, dziurawą ścieżkę biegnącą przez las. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów doktor zahamował przed metalowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Wjazdu pilnowało kilku mężczyzn, wszyscy ubrani w czarne uniformy. Na bramie Saúl zobaczył tablicę z napisami w dwóch językach, po angielsku i hiszpańsku:

STANOWISKO ARCHEOLOGICZNE FUNZAL

WSTĘP WZBRONIONY

(TEREN POD OCHRONĄ FIRMY WOTAN.

STRAŻNICY SĄ UZBROJENI.

NIEUPRAWNIONY WSTĘP GROZI ŚMIERCIĄ)

—

VOYNICH INC. *SECRETS FROM FUTURE* /

PROYECTO LILITH /

RZĄD REPUBLIKI VALCABADO

MINISTERSTWO KULTURY NARODOWEJ

Jeden z ochroniarzy podszedł do Cronina. Doktor wręczył mu jakieś dokumenty i strażnik zniknął w służbówce.

– „Nieuprawniony wstęp grozi śmiercią”? – przeczytał Saúl na głos i skrzywił się.

– Ach, proszę się tym nie przejmować, to tylko taki straszak – odparł Cronin uspokajająco. – Żeby zniechęcić złodziei i włóczęgów, sam pan rozumie. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

Kapłan zastanawiał się, czy nowiutkie karabiny maszynowe, ostentacyjnie noszone przez strażników, również miały tylko odstraszać nieproszonych gości.

Strażnik wrócił z kanciapy i oddał Croninowi papiery. Potem zrobił gest w stronę jednego z kolegów, który otworzył bramę za pomocą jakiegoś elektronicznego urządzenia. Doktor odpalił silnik i wjechał jeepem za ogrodzenie.

Sauł obejrzał się przez ramię i patrzył na uzbrojonych mężczyzn, którzy zostali za nimi. Nie podobali mu się ani oni, ani ich karabiny, ani odstraszające pogroźki, ani czarne mundury, ani osobliwy trójkątny symbol przypominający runę, który mieli wyszyty na piersi.

Jego oczy spotkały się z oczami doktor Jordán. Kobieta obdarzyła go uśmiechem, ale Sauł odniósł wrażenie, że tym razem dostrzega w nim jakieś napięcie.

Na terenie wykopalisk panowała ożywiona atmosfera. Wszędzie roiło się od pracowników, kręcili się w tę i z powrotem, sprawiając wrażenie bardzo zajętych, choć trudno było stwierdzić, co właściwie robią. Sauł zauważył, że większość nie wyglądała na archeologów, raczej na zwykłych robotników.

Doktor Cronin przedstawił im kolejnych dwóch ekspertów. Jeden z nich nosił jakieś skandynawskie nazwisko, drugi wyglądał na Włocha – Sauł nie zapamiętał, jak się nazywali. Obaj reprezentowali renomowane uniwersytety i specjalizowali się w archeologii średniowiecznej.

Sauł zorientował się, że trafił w sam środek niewielkiej grupki uczonych, których dokonania i tytuły naukowe mogłyby zająć gruby plik dokumentów. Przez moment poczuł się nieswojo. Zastanawiał się, czy Javier, asystent doktor Jordán, podziela jego wrażenie. Trudno jednak było się domyślić, bo chłopak praktycznie się nie odzywał, jeśli nie liczyć sporadycznych monosylab kierowanych pod adresem archeolożki, a do tego trzymał się zawsze kilka kroków za grupą, niczym milczący statysta w filmie.

Doktor Cronin i reszta ekipy weszli do baraku, w którym stał stół otoczony plastikowymi krzesłami. Wszyscy zajęli miejsca, więc Sauł poszedł w ich ślady. Brytyjski archeolog jako jedyny pozostał w pozycji stojącej, u szczytu stołu, jakby zamierzał wygłosić przemówienie.

Zaczął od kwiecistej mowy powitalnej na cześć księdza. Następnie, uzyskawszy zgodę od reszty zgromadzonych, poświęcił kilka minut na zapoznanie Saula z dokonanym odkryciem.

– Pracujemy tutaj od około sześciu miesięcy – zaczął. – W październiku ubiegłego roku ogrodziliśmy teren i zaczęliśmy kopać. Na chwilę obecną udało nam się odsłonić obiekt niemal w całości, lada moment zakończymy odgruzowywanie. Możemy stwierdzić, że przedmiot naszego badania może już zostać poddany szczegółowej analizie, co nie powinno nam przysporzyć poważnych trudności, jako że obiekt zachował się w stanie idealnym.

Głos zabrał archeolog ze Skandynawii:

– Osobiście uważam, że zakopano go około tysiąca trzystu lat temu, w siódmym lub ósmym wieku naszej ery. Z początku sądziliśmy, że obiekt został pogrzebany w wyniku osunięcia się ziemi ze zbocza Głaziska, ale dziś mogę pokusić się o stwierdzenie, że to sami twórcy obiektu go zakopali, jak najbardziej celowo. Powód, dla którego to uczynili, pozostaje nam jeszcze ustalić.

– Zgodnie z moją hipotezą jest to kapsuła czasu – wtrącił Włoch. – Olbrzymia, wystawna kapsuła czasu. To mogłoby tłumaczyć koła zębate i tryby.

– Jakie koła zębate? – zapytał Saúl.

– Te w obiekcie, rzecz jasna – odparł doktor Cronin.

Ksiądz poczuł, że wyczerpuje się jego cierpliwość.

– Błagam szanownych panów... i panią, przepraszam... Jestem bardzo wdzięczny, że zechcieli państwo poinformować mnie o dotychczasowych ustaleniach, ale czy ktoś byłby tak miły i powiedział mi, o jakim znalezisku właściwie mowa? Nie wiem, w jaki sposób mogę państwu pomóc, jeśli nie mogę zobaczyć... tego czegoś.

Doktor Jordán zerwała się z miejsca z wyrazem zdecydowania na twarzy.

– On ma rację... Zaraz wykończymy tego biedaka suspense! Pozwoli mi pan czynić honory, doktorze? – zwróciła się do Cronina.

– Ach, tak, tak, oczywiście. Bez wątpienia jest pani odpowiednią osobą – odparł Anglik. – Proszę pokazać wykopalisko panu Saulowi, a tymczasem ja omówię pewne sprawy z panami Skarsgardem i Morettim. Będziemy tu na państwa czekać.

– Doskonale. Proszę za mną. Spodoba się panu to, co zaraz mu pokażę.

Kapłan ruszył za archeolożką. Milczący Javier od razu wstał z krzesła i podążył ich śladem, jak zwykle kilka kroków w tyle.

Kobieta zaprowadziła Saula nad wykopaliska – rozległe zagłębienie w ziemi w kształcie prostokąta, które przywodziło na myśl basen olimpijski w trakcie budowy.

Archeolożka podeszła na skraj wykopu i zachęciła Saula, żeby zajrzał do środka.

Dół miał około piętnastu metrów głębokości. Do ścian przytwierdzono metalowe drabinki, po których archeologowie mogli schodzić na dno. To tam znajdowało się owo arcyważne odkrycie, o którym Saúl tyle się nasłuchał.

I rzeczywiście, znalezisko robiło wielkie wrażenie.

Był to budynek z ogromnych kamiennych bloków. Zbudowano go na planie krzyża greckiego, na środku umieszczono metalową kopułę z prostokątnymi otworami. Struktura zachowała się niemal nienaruszona, jakby wcześniej tkwiła w bańce chroniącej ją przed skutkami upływu czasu. Saúl przypomniał sobie hipotezę skandynawskiego archeologa, który datował budynek na przełom VII i VIII wieku. W duchu uznał, że albo facet jest kompletnym szarlatanem, albo sam ma właśnie przed oczami anachronizm na skalę niemożliwą do opisanania.

Spojrzał na doktor Jordán, jakby miał nadzieję, że ona mu jakoś pomoże.

– To jest... – wydusił. Nie potrafił dokończyć zdania.

Kobieta uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Tak, wiem. Z początku też nie mogłam uwierzyć własnym oczom... Chce się pan przyjrzeć z bliska?

– Oczywiście.

– Proszę za mną. Drabinki trochę się trzęsą, ale niech się pan nie obawia, są bardzo solidnie przymocowane.

Zeszli po ścianie wykopu aż na sam dół, gdzie znajdował się budynek. Saúl nie mógł otrząsnąć się z szoku i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w znalezisko. Symetryczne bloki zostały wyciosane niezwykle precyzyjnie, niewątpliwie stanowiły dzieło wybitnych kamieniarzy. W ścianach budowli nie było ani jednej szczeliny czy otworu, jeśli nie liczyć końca jednej z naw, gdzie umieszczono drzwi wejściowe.

Nad nimi Saúl dojrzał półkolisty tympanon wykuty w kamieniu. Wyrzeźbiono na nim relief przedstawiający skrzydłatego wojownika dzierżącego w ręku miecz. U jego stóp leżał wąż ze szczękami rozdziawionymi szeroko w przeraźliwym zębatym grymasie, wojownik zaś unosił miecz nad gadem w triumfalnym geście. Wizerunek był bardzo prosty, prymitywny, praktycznie pozbawiony detali, łączący elementy kanciaste i zaokrąglone, podobny do dzieł sztuki prekolumbijskiej cywilizacji Inków czy Azteków. Wokół obrazu Saúl zauważył wyryte glify, które rozszyfrował jako ceremonialne pismo walkateckie. Bez problemu odczytał ich znaczenie, napis składał się z podstawowych symboli.

– Pogromca smoka... – tłumaczył na głos. Znów spojrzał na doktor Jordán z mieszanką bezradności i desperacji. – To niemożliwe.

– Ja myślę, że możliwe – zaproponowała. – To archanioł Michał.

Ksiądz pokręcił głową.

– Ale... niemożliwe – powtórzył z uporem. – To musi być jakaś pomyłka.

– Zapewniam pana, że nie ma mowy o żadnej pomyłce. Doktor Skarsgard osobiście odpowiadał za datowanie budowli, a jest największym na świecie autorytetem w tej dziedzinie. Jeśli twierdzi, że ta budowla została zakopana przed trzynastoma wiekami, to tak musi być.

– W takim razie to nie jest Święty Michał.

– Moim zdaniem to bardzo jasny obraz. A co do tych glifów, które właśnie pan przetłumaczył... Cóż, pierwszy raz trafił się nam ktoś zdolny je odczytać, ale mnie się wydaje, że „pogromca smoka” nie pozostawia zbyt dużego pola do interpretacji. Jeśli jednak nadal nie jest pan przekonany, proszę rzucić okiem na to...

Archeolożka wskazała znak kamieniarski umieszczony na jednym z bloków, tuż przy drzwiach. Saúl przyjrzał mu się uważnie. Nagle poczuł, że robi mu się słabo.

– A niech mnie... – mruknął. – To chrystogram.

– Zgadza się. Tu jest jeszcze jeden... i tu następny, i tu... Pełno ich tutaj. Monogramy symbolizujące Jezusa Chrystusa. Jest też kilka Krzyży Zwycięstwa z alfą i omegą zwisającymi z ramion, chce pan zobaczyć?

– Żartuje sobie pani ze mnie?

– Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła w stosunku do przedstawiciela stanu duchownego... i to w jego własnym domu.

– W moim własnym domu?

– Myślałam, że już się pan zorientował. To przecież kościół. Wiem, że wydaje się to absurdalne, że nie powinno go tu być, że z punktu widzenia historii to absolutnie niemożliwe, żeby ktoś zbudował chrześcijański kościół tysiąc trzysta lat temu w dorzeczu

Amazonki. Ale... – Archeolożka wzruszyła ramionami. – Może się okazać, że po tym odkryciu parę ksiązek trzeba będzie napisać od nowa.

Choć ciągle był w szoku, Saúl spróbował zażartować:

– W Watykanie to się raczej nie spodoba.

– Niech się pan nie martwi, jak na razie nic nie wskazuje na to, że mieliby wysłać jakiegoś mnicha albinosa, żeby nas zamordował.

– Możliwe, że mają ważniejsze rzeczy na głowie.

– Pan pewnie wie najlepiej, w końcu to pan składał śluby – stwierdziła doktor Jordán. – Chce pan zajrzeć do środka?

– To chyba oczywiste.

Saúl wszedł za archeolożką do świątyni. Wnętrze oświetlały silne reflektory elektryczne rozmieszczone przez archeologów w strategicznych miejscach. Doktor Jordán wyjaśniła, że zasilane są z przenośnego agregatu.

Widok w środku okazał się jeszcze bardziej zaskakujący niż na zewnątrz. Pierwszym elementem, który przykuł uwagę Saula, była ogromna metalowa kopuła. W jej dolnej części zamocowano mnóstwo trybów i kół zębatach, które łączyły się z grubymi prętami niknącymi wewnątrz kamiennych murów.

Z kolei w murach tych pełno było dziur – okrągłych i kwadratowych. Nad otworami widniały liczne inskrypcje wyryte w kamieniu, w których Saúl od razu rozpoznał język Walkateków.

Jeśli ksiądz miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do sakralnego charakteru budowli, zostały one rozwiane, gdy tylko jego wzrok spoczął na kamiennym ołtarzu stojącym na środku transeptu, dokładnie pod kopułą. Ołtarz miał kształt prostopadłościanu. Trzy z jego ścian były gładkimi kamiennymi blokami pozbawionymi jakichkolwiek ozdób. Od frontu widniała jednak inskrypcja w języku walkateckim złożona z glików ceremonialnych i prostego pisma sylabicznego. Po obu stronach tablicy umieszczono figury schematycznie wyciosane w kamieniu. Ich głowy były zwykłymi sześcianami o ledwie zasugerowanych rysach twarzy. Jedna z postaci trzymała w ręku krzyż, druga – tabliczkę, obie zaś miały na sobie szaty przypominające tuniki.

We wnętrzu świątyni unosiła się woń gleby i skał – zapach typowy dla krypty, miejsca ciemnego, ukrytego pod ziemią, odpornego na upływ czasu. Saúl poczuł się malutki, przytłoczony ogromnym ciężarem minionych wieków. Wyczuwał w tym miejscu silną atmosferę mistycyzmu, jakby kryła się tu jakaś wielka tajemnica, która przez setki lat odżywiała się najgłębszymi sekretami tkwiącymi w ziemi, aż w końcu nagle ożyła.

Patrzyły na niego figury wykute w ołtarzu. Patrzyły na niego kamienne bloki. Metalowa kopuła wbijała w niego oczy, podobnie jak inskrypcje i glikfy cywilizacji zagubionej w czasie. Ich wzrok był dumny i pełen wyższości. Saúl niemal słyszał ich głosy.

„Jesteśmy pytaniem, na które nigdy nie znajdziesz odpowiedzi”...

Poczuł, jakby cała świątynia rzucała mu wyzwanie.

Drżały mu nogi. Zalała go silna fala euforii, nie czuł się tak już od wielu lat.

Za plecami usłyszał głos, który ubrał jego myśli w słowa.

– O, jakże miejsce to przejmuje grozą...

Saúl się odwrócił. To odezwał się Javier, asystent archeolożki. Ksiądz zupełnie zapomniał, że chłopak w ogóle im towarzyszył.

– Prawdziwie jest to dom Boga i brama nieba¹ – dodała doktor Jordán, kończąc biblijny passus. Potem zwróciła się do Saula: – Bardzo adekwatny cytat, nie uważa pan?

– Tak, zwłaszcza odnośnie do tego miejsca. Tak wiele jest tu do odkrycia... Tyle tajemnic...

– Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu. Tylko tajemnica.

Saúl spojrział na archeolożkę.

– Przepraszam, co pani powiedziała?

– Ach, nic, nieważne... Tylko taki wers z Garcíi Lorki, głupstwo... – Kobieta uśmiechnęła się, jakby chciała pozbawić swoją wypowiedź znaczenia. – Jak pan mówi, czeka nas tu dużo pracy. Teraz, skoro już pan wie, z czym mamy do czynienia, wróćmy lepiej do pozostałych, będziemy mogli zawrócić panu w głowie absurdalnymi teoriami i przy okazji powiedzieć, czego właściwie od pana oczekujemy.

– Tak, oczywiście... Chociaż, jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym o coś panią zapytać, zanim dołączymy do reszty.

– Proszę pytać śmiało.

Saúl spojrział jej w oczy.

– Mógłbym się dowiedzieć, kim pani jest, do diabła?

Archeolożka wyglądała na skonsternowaną.

– Przepraszam, ale... Nie rozumiem...

– Przecież to jasne jak słońce, pani Alicio, albo jak tam się pani naprawdę nazywa. Znam doktor Jordán osobiście. Pani nie przypomina jej ani trochę... Nawet ten pani cały asystent, czy kim on jest, jest bardziej podobny do Alicii Jordán! Proszę posłuchać, nie wiem, jakie ma pani zamiary. Szczerze mówiąc, zupełnie mnie nie obchodzi, co pani naopowiadała tamtym doktorom na górze, to nie moja sprawa, dlatego nie zdradziłem pani od razu przed hotelem. Uważam jednak, że jeśli mamy razem pracować, to mam prawo wiedzieć, w co się pakuję. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś traktuje mnie jak idiotę.

Pani doktor wierciła się nerwowo.

– Proszę się nie wygłupiać, panie Saulu, to jakiś absurd...

– Wybór należy do pani: albo odpowie mi pani w tej chwili, albo później, w obecności doktora Cronina i pozostałych, kiedy ponownie zadam pani to samo pytanie. Na pani miejscu wybrałbym tę pierwszą opcję.

Kobieta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tym razem to małomówny Javier postanowił zabrać głos.

– Daj spokój, Enigmo... Teraz to już nie ma sensu.

Saúl patrzył na swoich towarzyszy, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, i czekał na wyjaśnienia.

Rdz 28,17. [[wróć](#)]

FENIKS

Ujawnienie naszej prawdziwej tożsamości było tylko kwestią czasu. Ryzyko zostało wkalkulowane w całe przedsięwzięcie i wiedzieliśmy, że prędzej czy później będziemy musieli się z nim zmierzyć, ale przyznaję, że mimo to wkurzyło mnie zdemaskowanie przez księdza.

Nie żebym miał coś konkretnego przeciwko przedstawicielom kleru, ale odkąd we wczesnej młodości spędziłem jakiś czas w katolickiej podstawówce, gdzie moje stosunki z wychowawcami układały się – delikatnie mówiąc – nie najlepiej, traktuję wszystkich osobników w sutannie z pewną nieufnością.

Ten, który nas zdekonspirował, nie miał na sobie sutanny. Właściwie nawet nie wyglądał na księdza. Twierdził, że nim jest, więc mu uwierzyłem. Nigdy nie przyszłoby mi jednak do głowy, że oprócz tego jest detektywem amatorem.

Zresztą jakie było prawdopodobieństwo, że jakiś klecha w malutkim południowoamerykańskim państewku będzie osobiście znał moją matkę? Zawsze pilnie strzegła swojego wizerunku, nie pozwalała nawet wydawcom umieszczać swojego zdjęcia na okładce książki (gdzie autorzy wyglądają zwykle jak natchnieni potomkowie muz). Nie miała konta na Facebooku, Instagramie ani Twitterze, ani na żadnym innym z donosicielskich portali społecznościowych, na których można pokazać swoją twarz milionom nieznanym internautom. Wywiadów udzielała tylko w ostateczności, nie pojawiała się w prasie, nawet zdjęcie w dowodzie osobistym miała nieostre... Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, to czy naprawdę aż tak szalony wydawał się nasz pomysł, żeby Enigma odgrywała rolę doktor Alicji Jordán przed ludźmi z Voynicha? Moim zdaniem – nie. A moje przypuszczenia znalazły potwierdzenie w faktach: nikt się nie zorientował (choć trzeba przyznać, że na przykład taki doktor Cronin nie grzeszył bystrością umysłu). Przez ładnych kilka tygodni udawało nam się podtrzymywać tę farsę.

A potem napatoczył się ten nieszczęsny księżulek z fenomenalną pamięcią i cały plan wziął w łeb.

Sauł przyglądał się nam z rękami założonymi na piersi i z miną surowego spowiednika, a trybiki w moim mózgu pracowały na najwyższych obrotach, próbując przewidzieć możliwe konsekwencje naszego położenia.

Ksiądz nas zdemaskował. No dobrze. To było jasne. Na szczęście nic nie wskazywało, żeby zamierzał wybiec z krzykiem z kościoła i oznajmić wszem wobec, że kobieta podająca się za Alicję Jordán to uzurpatorka. Chciał tylko uzyskać odpowiedzi na kilka pytań, więc uznałem, że możemy zaryzykować i mu ich udzielić.

– No, słucham – naciskał Sauł.

Enigma spojrzała na mnie z pytającym wyrazem twarzy.

Żeby móc jasno myśleć, potrzebowałem dawki nikotyny. Wetknąłem sobie papierosa do ust i zapaliłem, wszystko to bardzo powoli, żeby dać sobie jeszcze parę

dodatkowych sekund na obmyślenie jakiejś dobrej historii.

Saúl przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem.

– Ręka chwały... – powiedział, ledwie poruszając wargami.

– Słucham? – zapytałem.

– Nadal nie doczekałem się wyjaśnień, synku.

– Dobra... – Głęboko zaciągnąłem się papierosem. – To nie jest doktor Alicia Jordán.

– Może powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

– Jesteśmy agentami Interpolu. – Wyjąłem legitymację i pokazałem ją księdzu, na tyle długo, żeby zdążył przyjrzeć się mojej fotografii i logo międzynarodowej organizacji policyjnej. Na wszelki wypadek zasłoniłem jednak kciukiem imię i nazwisko. Po chwili z powrotem schowałem dokument do portfela. – Mamy uzasadnione podejrzenia, że Projekt Lilith stanowi przykrywkę dla nielegalnego handlu dziełami sztuki i zabytkami pochodzącymi z grabieży. Nie wiadomo, czy firma Voynich jest tego świadoma, czy to prywatna inicjatywa niektórych członków projektu, działających na własną rękę. Dlatego badamy tę sprawę incognito.

Bańka nauczył mnie kiedyś, że porządne kłamstwo musi być szczegółowe i opierać się na przynajmniej jednym fakcie. Zastosowałem jego teorię do naszej obecnej sytuacji, choć może żywiłem zbyt wielką nadzieję co do łatwowierności Saula i liczyłem, że gładko przełknie moją bajeczkę. Z całego serca pragnąłem jednak, żeby nam się udało, bo jedyny plan awaryjny zakładał zdzielenie go w łeb i ucieczkę co sił w nogach.

Ksiądz przyglądał mi się bez słowa. Nie sposób było się domyślić, co mu chodzi po głowie. Twarz miał mniej więcej tak ekspresyjną jak galion okrętu.

– Interpol, co? – powiedział w końcu. – Nic lepszego nie umiesz wymyślić?

– To prawda.

– Jak się nazywasz?

– Javier. Javier Al... Alvarado – odparłem. Wymyślanie fałszywych nazwisk nie jest moją najmocniejszą stroną.

– A mogę zapytać o jej imię? – Zanim jednak zdążyliśmy odpowiedzieć, Saúl dodał: – Nie, wróć. Niech lepiej zostanie dla mnie Alicią Jordán, dzięki temu unikniemy ryzyka zdemaskowania jej przed pozostałymi doktorami. W moim wieku pamięć płata już czasem figle.

– Pan... nas nie zdradzi? – wyjąkała Enigma.

– A co bym na tym zyskał? Nie mam nic wspólnego z tymi z góry, którzy zatrudniają prywatne armie najemników i zawierają podejrzaną układy z rządem. Ja sam zostałem tu wysłany na przespiegi, tyle że przez kogo innego.

– Poważnie? – zapytała moja koleżanka. – Dla kogo pan szpieguje?

– To sprawy Kościoła, córko. Otoczenie biskupa chce się dowiedzieć, co to za ludzie pracują dla tego Voynicha. – Saúl uśmiechnął się gorzko. – Powiedzmy, że to ja jestem tym mnichem albinosem.

Zapadła niezręczna cisza.

– No dobrze... I co teraz? – zapytałem w końcu.

– Nic. Wyjdziemy stąd i wrócimy do reszty. Ta sprawa zostanie między nami,

powiedzmy, że podpada pod tajemnicę spowiedzi.

– Dziękuję. To bardzo... miłe z pana strony.

– Zaraz, zaraz, ustalmy coś, synku. Nie jestem waszym przyjacielem ani nawet sojusznikiem, a jedyne, do czego się zobowiązuję, to nadal nazywać tę kobietę Alicią Jordán. Tymczasem wy zajmujcie się swoją robotą, a ja zajmę się swoją.

– Gierki jak w filmie szpiegowskim – skomentowałem. Chociaż podejście księdza do całej sprawy mogło wyjść nam tylko na dobre, wydawało mi się nieco cyniczne.

– To wasze gierki. Może nie wyraziłem się jasno: interesuje mnie tylko i wyłącznie to, co kryje w sobie ten kościół.

– Nas też – wtrąciła Enigma.

– Jasne. Pozwolę sobie wątpić, pani... „doktor”. – Zgromił nas wzrokiem. – Mielście dużo szczęścia, że to ja was zdemaskowałem, a nie ktoś inny. Nie znoszę donosicieli. – Saúl obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, nie czekając na nas.

– Zareagowałaś błyskawicznie, Faro – pochwaliła mnie Enigma, kiedy zostaliśmy sam na sam. – Bardzo ci dziękuję. Przyznaję, że totalnie się zablokowałam. Wygląda na to, że tym razem udało nam się wywinąć.

Nie podzielałem jej optymizmu.

– Czyżby uwierzył w końcu w naszą historię...

– To chyba dobrze, nie sądzisz?

– Tak, chyba tak – odparłem bez większego przekonania. – Ale wydaje mi się to trochę dziwne.

Wyszedłem z Enigmą z kościoła i próbowałem odłożyć na bok zmartwienia, na które przynajmniej na razie nic nie mogłem poradzić. Pozostało nam tylko ufać w dyskrecję księdza i dalej działać zgodnie z ustalonym planem.

To był dobry plan. Przynajmniej ja tak uważałem. Owszem, musiałem włożyć nieco wysiłku w przekonanie moich towarzyszy o jego zaletach, ale nic przecież tak nie działa na Kawalera Poszukiwacza jak skomplikowany i zupełnie absurdalny plan. A mój miał obie te cechy.

Zacząłem wcielać go w życie tamtego wieczoru, gdy wśliznąłem się do Piwnicy dzięki błękitnej przepustce załatwionej przez Bańkę. Pamiętam, że stresowałem się niczym początkujący aktor przed premierą, a całe popołudnie poprzedzające mój występ spędziłem w domu, walcząc z rozstrojem żołądka i ćwicząc groźne miny przed lustrem.

Po zmierzchu wyruszyłem na spotkanie z Alzagą. W kieszeni miałem pistolet bez choćby jednego naboju w magazynku. Pod ubraniem zaś całe moje ciało pokrywały prezerwatywy wypełnione gęstą, czerwonałą mazią, czyli kapsułki pociskowe wynalezione przez Yokaiego. Miałem nadzieję, że uda mi się za ich pomocą oszukać zdradzieckiego Kusznika, tak jak ja i biedny Omega daliśmy się nabrać... No i że Alzaga nie należy do grona zagorzałych fanów kanału Yokaiego na YouTube.

Jeśli czegoś się nauczyłem w życiu, to że tchórze są najbardziej niebezpieczni, kiedy się ich zapędzi w kozi róg. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Alzaga należy do najgorszych przedstawicieli tego gatunku – z obawy o własną skórę posłał na śmierć kolegę. Byłem pewny, że zdołam wprawić go w stan takiego napięcia i panicznego

strachu, żeby sprowokować go do desperackich czynów.

Nie pomyliłem się.

Nie musiałem nawet za bardzo mu grozić. Samo to, że tkwił bezbronny pod lufą mojego pistoletu, wystarczyło, by wzbudzić w nim absolutne przerażenie. Wcale nie musiałem też udawać gotowości do podziurawienia go kulami. Byłem zdeterminowany. Autentycznie zdeterminowany. Do dziś się zastanawiam – z makabryczną ciekawością – czy gdyby w magazynku były naboje, zdołałbym pociągnąć za spust, a potem napawać się widokiem zabójcy mojego ojca wykrwawiającego się w gabinecie Narvaeza.

Zrobiłbym to. Bez wątpienia. Noszę ten sekret w najmroczniejszym zakątku duszy.

Na szczęście dla Alzagi mój plan nie zakładał jednak jego śmierci, tylko moją. Śmierć na niby, ze sztuczną krwią i ślepakami, ale na tyle prawdopodobną, żeby on uznał ją za jak najbardziej autentyczną.

Nie poradziłbym sobie bez Bańki. Nie tylko załatwił mi błękitną przepustkę, której potrzebowałem, żeby dostać się do Piwnicy, ale zajął się też pistoletem Kusznika trzymanym w szufladzie biurka – to dzięki niemu w magazynku znalazła się zupełnie nieszkodliwa ślepa amunicja. W całym przedstawieniu przytrafiła mi się tylko jedna pomyłka: Alzaga strzelił do mnie trzy razy, a ja odpaliłem cztery kapsułki Yokaiego. Na szczęście zdrajca był w takim szoku po tym, czego – jak sądził – się dopuścił, że nawet nie zauważył nadprogramowej rany.

I wtedy Bańka znowu odegrał kluczową rolę. Gdy tylko usłyszał strzały, wpadł do gabinetu Alzagi i przekonał go, że nie żyje. Świetnie udawał. Nie przeszarżował, nie wpadł w przesadę. Niech się wypiera, jeśli chce, ale ja uważam, że ma zadatki na aktora.

Całe szczęście, że Alzaga przeraził się prawie na śmierć. Kiedy dotarło do niego, że mnie zamordował, osunął się na fotel z pustym wzrokiem i twarzą zbiełałą niczym woskowa maska. Dowiedziałem się o tym później z relacji Bańki, bo sam, wyciągnięty na ziemi z zamkniętymi oczami i pokryty czerwoną breją, nie widziałem niczego, co nastąpiło po mojej (przyznajmy) artystycznej, malowniczej śmierci, jak z filmu. Uważam, że wypadłem całkiem przekonująco.

Poszukiwacz przekonał Alzagę, żeby jak najszybciej opuścił Piwnicę. To on miał wziąć na siebie zatuszowanie tego niefortunnego „wypadku”. Wola Kusznika osłabła do tego stopnia, że posłusznie wypełniał wszystkie polecenia Bańki, nie stawiając żadnego oporu. Tak jak przewidywałem, po brutalnym ataku zależało mu tylko na tym, żeby się uratować. Uciec, nie oglądając się za siebie.

Może uznacie, że podjąłem niepotrzebne ryzyko, ale ja tak nie uważam. Kiedy Alzaga postanowił mnie wyrzucić z Narodowego Korpusu Poszukiwaczy, nie potrafił zrobić tego sam i wysłał pośrednika. Kiedy zabił mojego ojca, działał za jego plecami jak podstępny tchórz. Alzaga to człowiek, który pod żadnym pozorem nie chce splamić sobie rąk. Wiedziałem, że tym razem też da nogę, a brudną robotę zostawi innym. Okazało się, że miałem stuprocentową rację.

Bańka powiedział mi, że Kusznik pojawił się w Piwnicy dopiero po upływie wielu dni. Gdy w końcu wrócił, zapytał go tylko, czy „tamta sprawa została załatwiona”. Mój przyjaciel stwierdził, że tak lekceważące podejście szefa wywołało w nim odrazę, jakby chodziło nie o morderstwo, lecz o przepaloną żarówkę czy awarię kanalizacji.

Bańka uspokoił go, że nie ma się czym martwić, a następnie wręczył mu swoją dymisję ze stanowiska ostatniego agenta Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Alzaga przyjął ją bez komentarza, poza niezbyt subtelną aluzją do obowiązującej wszystkich Kawalerów Poszukiwaczy zasady utrzymania w absolutnej tajemnicy wszelkich kwestii związanych ze służbą w Korpusie, pod groźbą poważnych konsekwencji. Bańka oświadczył, że nigdy w życiu nie otrzymał równie tandetnej pogroźki. Mimo to należało traktować ją jak najbardziej serio, biorąc pod uwagę rzeczywiste niebezpieczeństwa powiązane z tymi zasugerowanymi przez Kusznika.

Wszystko wskazywało więc na to, że nasi wrogowie dopięli swego. Narodowy Korpus Poszukiwaczy de facto przestał istnieć, a najbardziej upierdliwy z jego członków już nigdy nie pomiesza im szyków. Całkiem możliwe, że Alzaga i doktor Yoonah uczcili szampanem moją rzekomą śmierć i odejście Bańki – oboje pozbyli się przecież poważnego utrapienia.

Tak naprawdę jednak to wcale nie ich plan rozwijał się pomyślnie, tylko nasz.

Narodowy Korpus Poszukiwaczy się nie rozpadł. Wręcz przeciwnie, znów się zjednoczyliśmy, i to silniej niż kiedykolwiek wcześniej, tyle że tym razem bez oficjalnego wsparcia. Wsparcia, które – tak między nami mówiąc – nigdy nie było nam niezbędne do sprawnego wykonywania pracy. Członkom Korpusu wystarczy do szczęścia misja poszukiwawcza, a my ją mieliśmy.

Celem naszej wyprawy było Miasto Świętych Mężów. Wiedzieliśmy, że zdołamy odnaleźć je wcześniej niż ludzie Voynicha. Mieliśmy bowiem do dyspozycji najlepszą ekipę: Bańka, najodważniejszy Poszukiwacz, jakiego kiedykolwiek poznałem, zdolny stawić czoło wszystkiemu z wyjątkiem beczynności; Yokai, nasz mały szalony geniusz, którego największym pragnieniem było udowodnienie, na co go stać; i Enigma, błyskotliwy i niezawodny amulet przynoszący nam szczęście. Yoonah, Alzaga i ich klika nie mieli zielonego pojęcia, jaka burza nadciąga nad ich głowy.

Jeden silnie zmotywowany Poszukiwacz to groźna siła, ale kiedy jest ich czwórka, nie mają nic do stracenia i zostały im już tylko nędzne resztki zdrowego rozsądku, mogą zamienić życie swoich przeciwników w prawdziwy koszmar.

Do takich mniej więcej środków retorycznych musiałem się uciec, żeby zagrzać współtowarzyszy do boju. No dobrze, może i trochę przesadzałem, ale naprawdę uwierzyłem w każde słowo. Oni zresztą też. Do dziś jestem z tego autentycznie dumny.

Kolejny etap naszego planu zakładał podróż do Valcabado i infiltrację najgłębszych struktur Voynicha. Sprawiedliwości wreszcie stało się zadość: oni już od dłuższego czasu przenikali nieproszeni do naszej Piwnicy, my zaś postanowiliśmy tylko złożyć rewizytę. Jak powiedziałyby Enigma: „I tak koło się zamyka”.

Jak można się domyślić, żadne z nas nie miało najmniejszych szans dostać się na teren wykopalisk Projektu Lilith w La Victorii (zwłaszcza ja, skoro podobno nie żyłem). Nie, my nie mieliśmy tam wstępu... ale doktor Alicia Jordán owszem, ba, dostała nawet oficjalne zaproszenie. Matka została koniem trojańskim naszej operacji.

Przystąpiła na współpracę z takim entuzjazmem, że praktycznie odkupiła dotychczasowy brak instynktu macierzyńskiego. Może odkrycie, że ojciec jej syna był Kawalerem Poszukiwaczem, obudziło w niej jakąś uspijoną żyłkę do romantycznych

przygód. Nie wiem i bardzo możliwe, że nigdy się nie dowiem. Moja matka pod wieloma względami pozostaje dla mnie całkowitą niewiadomą.

Najważniejsze, że zgodziła się zostać w Madrycie i pozwoliła Enigmie zająć swoje miejsce na wykopaliskach Voynicha. Zaakceptowała naszą propozycję, mimo że znała zaledwie niewielką część naszego planu i nie miała pojęcia, co właściwie zamierza jej syn. Postanowiła jednak po prostu mi zaufać i zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc mi uwiarygodnić oszustwo. Muszę przyznać, że w równym stopniu mnie to zaskoczyło, jak wzruszyło.

Ci z Voynicha połknęli przynętę i przyjęli fałszywą doktor Jordán z otwartymi ramionami. Nie protestowali też przeciwko obecności jej milczącego asystenta Javiera. Wpakowaliśmy się prosto do jaskini najgroźniejszego dla nas lwa.

W niespotykanym przyływie zdrowego rozsądku postanowiliśmy, że Bańka i Yokai również polecą do Valcabado, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakiejś pomocy. Wszak żadne z nas nie wiedziało dokładnie, z czym przyjdzie nam się zmierzyć. Może i nic by nam nie przyszło z obecności tej dwójki, ale przynajmniej mielibyśmy z Enigmą poczucie, że nie działamy samotnie.

Bańka świetnie nadawał się na ochroniarza, jeśli zaś chodzi o Yokaiego... Cóż, na pewno nawet nie bralibyśmy go pod uwagę, gdybyśmy tak rozpaczliwie nie potrzebowali sojuszników, a chłopak niewyobrażalnie palił się do pomocy. Uznaliśmy, że udowodnił nam już aż nadto, jak użyteczne mogą być jego umiejętności, więc damy mu możliwość przejścia chrztu bojowego Kawalera Poszukiwacza. Pierwsza misja zanosila się na niemałe wyzwanie, ale byłem przeświadczony (być może zupełnie niesłusznie), że Yokai stanie na wysokości zadania.

Na stanowisku archeologicznym Voynicha od początku dopisywało nam szczęście Poszukiwaczy. Nikt się nie domyślał prawdziwej tożsamości archeolożki ani tym bardziej jej asystenta, który został przecież zastrzelony w Madrycie. Jedyna znajoma twarz, jaką napotkałem, należała do doktora Cronina. Od razu rozpoznałem w nim jednego z mężczyzn, którzy towarzyszyli Yoonahowi w londyńskim metrze, kiedy próbowaliśmy wraz z Bańką odzyskać rękopis mezogocki. Na szczęście Cronin nie zwrócił na mnie wtedy uwagi, więc asystent doktor Jordán był mu kompletnie nieznany.

Największe zagrożenie stanowiło dla nas pojawienie się Yoonaha na terenie wykopalisk, które musiało prędzej czy później nastąpić, ale uznaliśmy, że jesteśmy przygotowani na taką ewentualność dzięki wsparciu niespodziewanej współpracownicy.

Od kiedy Bańka i Lacombe nieoczekiwanie zawarli sojusz w Londynie, agentka Interpolu wzięła sobie za punkt honoru osobisty nadzór nad poczynaniami Davida Yoonaha, aby udowodnić jego udział w zabójstwach profesora Rosignollego i detektyw Sarah Child. Nieszczególnie mnie to zdziwiło. Dobrze wiedziałem, że moja szefowa wykazuje skłonności do fiksowania się na jakimś celu – miałem wątpliwą przyjemność przekonać się o tym na własnej skórze.

Zaskoczyło mnie jednak coś innego: mocna więź łącząca ją z Bańką. Nie znam szczegółów ich londyńskich przygód, wiem tyle, ile opowiedział mi Bańka, ale najwyraźniej doświadczenie to bardzo ich do siebie zbliżyło. Nigdy nie przewidziałbym takiego obrotu spraw.

Czy mi się podobało, czy nie, że Julianne Lacombe była tak mocno zaangażowana w sprawy Poszukiwaczy, nasza nowa partnerka niewątpliwie udowodniła swoją użyteczność. Dzięki inwigilacji, jakiej poddała doktora Yoonaha za pomocą całego arsenału środków dostępnych jej jako agentce Interpolu, byliśmy na bieżąco informowani o jego działaniach. Gdyby wylądował w La Victorii, Lacombe od razu by się o tym dowiedziała i nas ostrzegła.

Odkąd przybyliśmy z Enigmą do Valcabado, Yoonah pojawił się tu tylko raz i nawet nie raczył zajrzeć na wykopaliska. Wpadł z krótką wizytą, podczas której spotkał się z Croninem gdzieś w La Victorii. Jeszcze tego samego wieczoru wyleciał z kraju. Dokładnie w tej samej chwili doktor Alicia Jordán cudownie doszła do siebie po ataku alergii, który wcześniej zmusił ją do pozostania w łóżku w pokoju hotelowym. Wszystko szło jak po maśle, więc zaczęliśmy wierzyć, że opracowaliśmy plan idealny. Solidny jak gład.

Niestety w każdym, nawet najdoskonalszym planie może pojawić się nieprzewidziana przeszkoda. W naszym przypadku okazał się nią Saúl.

Wróciliśmy do baraku z prefabrykatów, w którym czekała na nas reszta archeologów z doktorem Croninem na czele. Oprócz niego najważniejszymi członkami ekipy wykopaliskowej byli doktor Skarsgard – arogancki Duńczyk, mniej więcej tak sympatyczny i towarzyski jak gość na pogrzebie bliskiej osoby – i doktor Moretti, który żył w stanie nieustannej paranoi, głęboko przekonany, że wszyscy spiskują przeciwko niemu i zamierzają splagiatować jego badania i teorie naukowe. Obaj byli wybitnymi specjalistami w swoich dziedzinach (o czym wspominali przy każdej nadarzającej się okazji), ale zarazem niezbyt przyjemnymi współpracownikami.

Cronin chciał poznać opinię Saula na temat kościoła.

– Czyli wszyscy uważają, że to kościół? – odpowiedział pytaniem ksiądz.

– Ku takiej hipotezie się skłaniamy, owszem – przyznał Cronin, a jego słowom towarzyszył charakterystyczny irytujący śmieszek przywodzący na myśl królika.

– Domyślam się, że już wzięli panowie pod uwagę pewną... problematyczność takiej koncepcji. Wiem, że to oczywistość, ale przypominam, że nie istnieją żadne dowody na obecność chrześcijan w rejonie górnej Amazonki przed hiszpańską konkwistą.

Cronin znowu się roześmiał. Tak często wydobywał z siebie ten dźwięk przypominający skrzypienie źle naoliwionych zawiasów, że miałem ochotę mu przydzwonić.

– Nie mamy najmniejszych wątpliwości, panie Saulu – oświadczył. – Budynek pochodzi z siódmego lub ósmego wieku. Jakiś czas po zbudowaniu został zakopany. Jest wysoce prawdopodobne, że poświęcono go Świętemu Michałowi.

– A kto miałby go zbudować? – zapytał kapłan.

– Podejrzewam, że rdzenni mieszkańcy tego obszaru, Walkatekowie.

Saúl powoli pokręcił głową.

– To jakiś absurd... Musi istnieć inne wytłumaczenie.

Enigma, z powrotem w roli doktor Jordán, zabrała głos.

– Możliwe, że istnieje. – Archeologowie wymienili niespokojne spojrzenia, jakby

zaden nie odważał się odezwać. – Powinien pan o tym wiedzieć, jeśli mamy współpracować.

– O czym mowa? – zapytał Saúl.

Cronin odpowiedział, choć z wyraźną niechęcią:

– Zgodnie z jedną z roboczych hipotez budynek mógłby być dziełem misjonarzy wizygockich.

– Bardzo przepraszam, ale ten pomysł wydaje mi się jeszcze bardziej niedorzeczny. Skąd go wytrzasnęliście?

– Z pewnego manuskrytu odkrytego w Toledo, a spisane alfabetem mezogockim – odparła Enigma. – Opisano w nim, jak grupa mnichów pod przywództwem niejakiego Teobalda wyruszyła w podróż przez morze w kierunku zachodnim. Po dotarciu na ląd mnisi mieli założyć osadę.

– I niby właśnie to odkopaliście? – zapytał Saúl, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Nie. W rękopisie jest mowa o świątyni pod wezwaniem Świętego Michała, w której można znaleźć jakiś sposób dotarcia do miasta założonego przez Teobalda. Uważamy, że to ją odkryliśmy.

– Wydajecie się bardzo pewni swego.

– Panie Saulu, wie pan, co oznacza termin *sakal kamu*? – zapytała Enigma.

– To po walkatecku. *Sakal* oznacza „maczetę”, „broń białą”. *Kamu* można przetłumaczyć jako „słońce”. Znaczy to więc coś w rodzaju „słonecznej broni” czy „miecza słońca”.

– Jest pan pewny, że to w języku walkateckim?

– Na sto procent.

– My też tak sądziliśmy... Jak jednak w takim razie wytłumaczy pan, że wyrażenie to pojawia się w tolekańskim manuskrypcie z ósmego wieku? – Saúl spojrzał na nią pytająco. – Chodzi mi o ten rękopis mezogocki, o którym już wspominałam. Występuje w nim wzmianka o niejakim Mieczu Archistratega, zwanym również *sakal kamu*. Moje pytanie brzmi więc: skąd mnich, który spisał ten tekst, mógł znać język Walkateków?

Jeśli nawet ta rewelacja zrobiła na nim wrażenie, kapłan bardzo zręcznie je ukrył.

– No dobrze... – powiedział po upływie dłuższej chwili. – Powoli zaczynam się przekonywać do państwa wersji. A teraz proszę mi powiedzieć, jak mogę pomóc.

– To chyba jasne – wyrwał się Cronin. – W budowli jest pełno inskrypcji walkateckich. Potrzebujemy tłumaczenia, myśli pan, że mógłby się tego podjąć?

Saúl nie od razu odpowiedział. Kiedy w końcu przemówił, poruszył rozmaite szczegóły techniczne, które niezwykle mnie zainteresowały.

Jak nam wyjaśnił, Walkatekowie posługiwali się dwoma systemami pisma: ceremonialnym glificznym i prostym sylabicznym. Pierwsze składało się z symboli hieroglificznych reprezentujących poszczególne idee, używało się go przede wszystkim w tekstach o charakterze sakralnym. Książd twierdził, że ich przekład nie jest trudny, bo ceremonialne pismo glificzne zostało rozszyfrowane już w 1601 roku przez dominikanina Luisa Garcíę Quesadę.

Paradoksalnie więcej problemów sprawiało proste pismo symboliczne. Opierało się ono na alfabecie, tak jak łacina, greka czy inne języki. Istniało kilka gramatyk

walkateckich, ale wszystkie były bardzo stare i niekompletne, więc Saúl obawiał się sporych luk w tłumaczeniu. Mimo to zapewniał, że zdoła rozszyfrować przynajmniej ogólny sens tekstów.

– Może pan od razu się do tego zabrać? – zapytał Cronin.

– Prawdę mówiąc, niczego bardziej nie pragnę, doktorze.

– Doskonale. Oddamy do pana dyspozycji wszystko, czego tylko będzie pan potrzebował, wystarczy powiedzieć.

– Skoro jest pan tak miły, chciałbym prosić o pomoc kogoś z państwa. Nigdy jeszcze nie brałem udziału w wykopaliskach archeologicznych, więc nie chciałbym popełnić jakiejś gafy. – Ksiądz spojrział na Enigmę z szelmowskim błyskiem w oku.

– Może doktor Jordán będzie tak uprzejma i podejmie się roli mojej mentorki?

– To świetny pomysł – przytaknął Cronin z entuzjazmem. – Będą państwo mogli się swobodnie komunikować we własnym języku. Reszta z nas nie włada hiszpańskim zbyt biegle. Ma pani coś przeciwko, pani doktor?

– Nie... Z mojej strony nie widzę... nie.

– W takim razie ustalone. – Cronin zerknął na zegarek. – Drodzy przyjaciele, przed nami dużo pracy, a czasu do zachodu słońca pozostaje coraz mniej. Proponuję, żeby wszyscy jak najszybciej wzięli się do swoich obowiązków. Czas to pieniądz!

– Podsumował swoje słowa chichotem, jakby powiedział coś niezwykle błyskotliwego.

Cronin i Skarsgard wyszli z baraku i udali się do laboratorium, żeby przeprowadzić jakies próby, Moretti zaś wrócił do kościoła. Zostaliśmy sami z Saulem i Enigmą.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała Enigma.

– Co, pani doktor?

– Dobrze pan wie. Nie potrzebuje pan przecież żadnej mentorki w kwestii wykopalisk.

– Nie, ale pani nie jest jedną z nich.

– Chodzi panu o doktorów?

– Tak, o tego wysokiego blondasa z niemożliwym do wymówienia nazwiskiem, Włocha o rozbieganym spojrzeniu i doktora Hieni Chichot. Im dalej będą się od pani trzymali, tym lepiej. Sądziłem, że podzieli pani moje zdanie... Jeśli ma pani instynkt samozachowawczy.

– Wydawało mi się, że nie zamierzał nam pan pomagać? – rzuciłem.

– I nie pomagam, po prostu lubię mieć z kim się dzielić wrażeniami podczas pracy. Spośród wszystkich tu obecnych do was czuję najmniejszą awersję.

Zaufanie, jakie pokładał w nas kapłan, wydało mi się zastanawiające – dałbym bowiem głowę, że nie uwierzył w ani jedno słowo historyjki, którą opowiedziałem mu w kościele.

Z drugiej strony, skoro najwyraźniej nie obchodziło go, czy rzeczywiście jesteśmy tymi, za których się podajemy, osobiście nie widziałem w tym nic złego, jeśli tylko mogliśmy liczyć na jego dyskrecję. Z tego punktu widzenia dobrze by było móc patrzeć mu na ręce.

– No dobrze – powiedział. – A tak między nami, co sądzicie o tym pomysle z kościołem skrywającym drogę do zaginionego miasta? Nie interesuje mnie opinia

doktor Alicii Jordán i jej asystenta, tylko wasza.

– Oficjalne stanowisko Interpolu? – zaszarżowałem.

– Nie. To również mnie nie interesuje... A zresztą nie sądzę, żebyście mogli mi je przedstawić.

– Skoro tak bardzo chce pan wiedzieć – odezwała się Enigma – to uważamy, że mogą mieć rację. W tej świątyni może znajdować się trop prowadzący do jeszcze donioślejszego odkrycia.

Saúl pokiwał głową.

– Ja też tak sądzę, ale obawiam się, że nikomu nie uda się go odnaleźć.

– Dlaczego?

– Synku, już od wielu lat żyję na tym świecie, schodziłem tę ziemię wzdłuż i wszerz. Wysłuchuję ludzi, opowiadają mi swoje historie... Legenda o zaginionym mieście w sercu dżungli Los Morenos krążyła na długo przed założeniem La Victorii przez Hiszpanów. Doktor Cronin i spółka nie są pierwszymi, którzy chcą je odnaleźć, i nie będą też ostatnimi, którzy poniosą porażkę.

– Wydaje mi się, że mają całkiem solidną wskazówkę – odparłem.

– Tak, i to bardzo spektakularną, ale naprawdę sądzisz, że wszyscy, którzy pakowali się do Los Morenos w poszukiwaniu skarbu, robili to na ślepo? Nie, oni też mieli wskazówki, które uważali za solidne. A rezultat był zawsze taki sam: dżungla ich pochłaniała.

– Pochłaniała?

– Tak właśnie powiedziałem, pani doktor. Pożerała ich niczym wygłodniała bestia. Ludzie nie mają pojęcia, co to za miejsce: zielone piekło, roślinna pustynia... Wchodzisz tam i już nie wracasz. To nawet nie jest nieprzyjazne środowisko, to miejsce jest... złowrogie.

– Oczywiście – powiedziałem, nie mogąc ukryć ironii. – Kiedy trzeba gdzieś wykryć zło, kto poradzi sobie lepiej niż ksiądz?

– Powtarzam tylko to, co mówią guanchones, tutejsi Indianie. Opowiadają o miejscu, w którym zamiast śpiewu ptaków słychać dziwaczne odgłosy, jakich nie mogłoby wydać żadne zwierzę, gdzie drzewa rosną tak gęsto, że słońce nie dochodzi do ziemi. W zielonym mroku wzrastać zdoła wyłącznie to, co groźne i groteskowe. Nie ma tam szlaków ani nawet ścieżek, nie widać nieba ani gwiazd, to trujący labirynt, po którym można błąkać się tak długo, aż straci się zmysły albo padnie bez życia na ziemię z głodu i pragnienia. Nikt nie znajdzie twoich kości, pożartych przez owady, których istnienia nawet nie podejrzewałeś. Zabójczy ekosystem, w którym istota ludzka jest po prostu... pożywieniem.

Fascynująca wizja. Przyznaję, że Saúl miał wielki talent narracyjny, prawdopodobnie owoc długich lat spędzonych na wygłaszaniu kazań do wiernych o straszliwym ogniu piekielnym. Gdyby stał teraz na ambonie, jego słowa mogłyby zrobić na mnie jeszcze większe wrażenie.

– Wie pan co? – zagadnęła Enigma. – Kiedy tak pana słucham, nabieram ochoty, żeby zobaczyć to miejsce na własne oczy. Mam tylko nadzieję, że nie ma tam krabów.

Powstrzymałem się od uśmiechu. Po minie Saula domyśliłem się, że raczej nie

spodziewał się takiej reakcji.

– Nie przepada za krabami – wyjaśniłem.

Saúl myślał pewnie, że robimy sobie z niego żarty, ale nie wydawał się oburzony. Popatrzył na nas jak na dwójkę biednych naiwniaków i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Nie, nie ma tam krabów – odparł. – Ale są mrówki ogniste, zdolne pożreć całe mięso z ciała śpiącego człowieka. Zanim się obudzisz, zostaną z ciebie już tylko same kości. Są też drapieżne roztocza, czerwone, mikroskopijne, niemal niewidoczne pasożyty... Żywią się ludzką krwią i tkankami. Są tam robaki, z którymi najsłabszy nawet kontakt wywołuje ślepotę; gzy ludzkie, które potrafią ugryźć także przez ubranie i złożyć jaja pod skórą. Tam wykluwają się z nich larwy, zamieniając ciało żywiciela w gniazdo... Czujesz je, jak poruszają się między mięśniami, ale nie możesz ich zobaczyć. Są stonogi wydzielające cyjanek, szczury wielkości psów przenoszące pasożyty wywołujące chorobę zwaną leiszmaniozą, która powoduje gnicie ciała w okolicy ust i nosa, a także na kończynach. Komary wywołujące słońiowaciznę, a także „całujące robaki”... Urocza nazwa, prawda? Gryzą zawsze tutaj – Saúl wskazał na swoje usta – w wargi. Zupełnie bezboleśnie. Infekcję odkrywasz dopiero wiele lat później, kiedy serce i mózg zaczynają ci puchnąć, aż umierasz... Ale to przynajmniej nie jest aż tak przerażająca śmierć jak ta spowodowana ukąszeniem węża papugi... Ach, to wyjątkowo piękne zwierzę: zielone jak szmaragd, smukłe niczym źdźbło trawy, nawet nie zdajesz sobie sprawy, że cię ugryzło, dopóki nie zaczyna ci lecieć krew z oczu. Ale moją zdecydowaną faworytką jest wandelia, tak zwana ryba wampir.

– Ryba... wampir? – powtórzyłem.

– Gorsza od piranii... Tych zresztą też nie brakuje, oczywiście. Wyobraź sobie, że postanawiasz się przekąpać w rzece, tak na szybko, bo nie chcesz, żeby cię zżarła anakonda... Wtedy wandelia, cienka i giętka jak jedwabna nitka, zbliża się do ciebie i wpływa ci do penisa. W środku wysuwa ostre kolce i już nie da się jej wyciągnąć. Od tej chwili zaczyna żywić się twoją krwią. Jeśli masz szczęście, to od śmierci może cię uratować kastracja.

Muszę przyznać, że opowieści o krwiożerczych pasożytach i zabójczych wężach zrobiły na mnie niemałe wrażenie. Przez chwilę poczułem nawet nieprzyjemne mrowienie w kroczu, kiedy zacząłem sobie wyobrażać rybki ludojadki zagnieżdżające się we wrażliwych częściach ciała.

– Niezwykle interesujące okazy fauny... – stwierdziła Enigma, ale wyglądała dość niewyraźnie.

– A to tylko niektóre przykłady zwierząt zamieszkujących Los Morenos. Nawet nie wiemy o istnieniu wielu innych gatunków... Ale wszystkie są jadowite i śmiertelnie groźne, więc nie bagatelizujcie mojej rady: mapa i dobry kompas naprawdę nie wystarczą, żeby przeżyć w tej dżungli.

Zrobiło mi się trochę głupio na myśl, że strach Saula przed Los Morenos przypisywałem przesądom i legendom. Ksiądz niewątpliwie wiedział, o czym mówi.

– W takim razie to niemożliwe – oznajmiła Enigma, która jak zwykle wyrażała na głos ostatnią z długiego ciągu myśli.

Spojrzeliliśmy na nią z Saulem pytająco.

– Co jest niemożliwe? Odnalezienie zaginionego miasta? – zapytałem.

– Nie, nie, mam na myśli Walkateków. W samochodzie mówił mi pan o tym Portugalczyku... Manuelu Freirem. Uważał, że cywilizacja walkatecka rozkwitła w selwie Los Morenos. To niemożliwe: żadna kultura nie może się rozwinąć w tak nieprzyjawnym otoczeniu, a już na pewno nie tak zaawansowana kultura.

– Obawiam się, że teorie pani doktor są nieco przestarzałe. – Saúl zabarwił słowa „pani doktor” wyraźnie słyszalną ironią. – Koncepcję determinizmu środowiskowego coraz częściej się kwestionuje. Wielu ekspertów uważa, że nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach mogą powstawać wysoko rozwinięte kultury. W 2005 roku antropolog Michael Heckenberger opublikował badanie, w którym dowiódł, że ludy z głębokiej Amazonii zdołały podporządkować sobie puszcę, zbudować miasta, drogi, mosty, złożone obiekty architektoniczne, a co najważniejsze – odżywiać się plonami z upraw... W samym środku dżungli! Jestem przekonany, że Walkatekowie nie tylko dorównali tym dokonaniom, ale wręcz je prześcignęli. – Saula ewidentnie pasjonował ten temat, opowiadał z autentycznym, narastającym entuzjazmem. – Weźmy na przykład drogi... W Los Morenos stworzyli całą ich sieć, w sercu selwy! Szlaki pozwalające przemieszczać się po całej dżungli i unikać przy tym wszelkich zagrożeń. W lokalnym folklorze do dziś wspomina się o tych szlakach, nazywają je „Drogami Indian”... Albo „labiryntem Walkateków”. Całkiem niedaleko stąd, w wiosce, w której mieszkam, na własne oczy widziałem coś, co mogłoby oznaczać początek któregoś z takich szlaków. Duża kamienna tablica, mniej więcej takiej wysokości... – Umieścił dłoń na poziomie biodra. – Zostały na niej resztki inskrypcji glificznej. Napis głosi: *Inthaki Jecho'k*. „Szlak Biegacza”... Niegdyś istniało na pewno wiele takich pomników znaczących punkty wyjścia Dróg Indian, rozmieszczonych wzdłuż całego skraju Los Morenos.

– Dlaczego „Szlak Biegacza”? – zapytała Enigma. – Chodzi o pieszych posłańców, takich jak w imperium Inków?

– Nie, to znak zodiaku. Tak Walkatekowie nazywali gwiazdozbiór Panny.

– Skoro potrafili wytyczyć w dżungli drogi, to bardzo prawdopodobne, że zdołali też zbudować w jej wnętrzu miasto – zauważyłem. – Albo oni sami, albo ci domniemani wizygoccy misjonarze zrobili to z ich pomocą.

– Nie twierdziłem, że nie ma takiej możliwości, ale że nawet jeśli to miasto istnieje, to nie da się do niego dotrzeć. Jedyнным bezpiecznym sposobem na poruszanie się po Los Morenos jest trzymanie się wytyczonych Dróg Indian, ale ich sekret przepadł wraz z Walkatekami.

– Jak dawno temu?

– Całe wieki. Nikt nie wie dokładnie. Kiedy przybyli tu Hiszpanie, nie został już ani jeden. Nieliczne przeprowadzone badania wskazują, że Walkatekowie po prostu nagle zniknęli.

– Z jakiego powodu? – spytała Enigma.

– Gdybyśmy to wiedzieli... Najpopularniejsza hipoteza dotyczy gwałtownej zmiany klimatu, ale szczerze mówiąc, to strzał w ciemno – odparł Saúl. – Cywilizacja walkatecka jest pełna tajemnic, a odkrycie tego hipotetycznego kościoła chrześcijańskiego ozdobionego ich pismem nie tylko nie wyjaśnia sprawy, ale jeszcze

bardziej wszystko gmatwa.

– Może sytuacja trochę się wyklaruje po przetłumaczeniu inskrypcji – zasugerowałem.

Ksiądz przyznał mi rację. Stwierdził też, że najwyższa pora zabrać się do pracy, zamiast marnować czas na pogaduszki. Cała nasza trójka wyszła więc z baraku i skierowała się w stronę świątyni.

Przez resztę dnia praktycznie nie mieliśmy już kontaktu z Saulem. Gdy tylko ksiądz wziął się do pracy, pograżył się w całkowitym skupieniu. Po naszej rozmowie zostawiliśmy go w świątyni, gdzie zaczął z zapalem robić liczne zdjęcia i notatki. Ja i Enigma musieliśmy się zająć innymi sprawami na terenie wykopalisk.

Enigma nie pracowała nad niczym konkretnym, raczej kręciła się to tu, to tam, starając się sprawiać wrażenie zajętej. Tak najłatwiej było nam zachować pozory i nie zdradzić swojej prawdziwej tożsamości – minimalizowaliśmy ryzyko popełnienia błędu, który mógłby zdemaskować nas przed resztą ekipy archeologicznej. Mnie było oczywiście dużo łatwiej, bo rola niepozornego asystenta trzymającego się spódnicy szefowej zapewniała mi niewidzialność w oczach otoczenia.

Krążąc po wykopaliskach, od czasu do czasu wpadaliśmy na Saula całkowicie pochłoniętego wykonywaniem powierzonego mu zadania. Nikt mu nie przeszkadzał, kiedy czy to w świątyni, czy w baraku zapełniał gryzmołami kolejne notatniki i mamrotał coś do siebie. Nie dołączył do reszty ekipy nawet podczas przerwy obiadowej.

Na koniec dniówki Cronin zaproponował, że odwiezie nas do La Victorii. W drodze powrotnej zapytał kapłana, czy poczynił jakieś postępy w tłumaczeniu inskrypcji.

Lakonicznie, jakby chciał uciąć temat, ksiądz odpowiedział, że na razie za wcześnie, żeby coś stwierdzić. Dodał też, że przez najbliższe dwa dni nie wróci na wykopaliska, bo zamierza pracować w diecezjalnym archiwum, żeby posprządać różne rzeczy w książkach.

Najwyraźniej nie miał ochoty rozmawiać, więc Cronin przerzucił się na Enigmę i zapytał, jak jej minął dzień. Udzieliła mu wyczerpującej odpowiedzi, przy czym zdecydowaną większość szczegółów wyssała z palca.

Cronin wysadził mnie i Enigmę przed hotelem Embajadores i się z nami pożegnał. Musiał jeszcze odwieźć Saula. Umówiliśmy się w tym samym miejscu nazajutrz z samego rana.

Kiedy zostaliśmy sami, ogarnęło mnie znajome uczucie ulgi. Udało nam się podtrzymać farsę przez cały kolejny dzień (no, prawie) i na kilka godzin mogliśmy znów stać się sobą, nie musieć nic przed nikim udawać.

Enigma doceniała tę chwilę jeszcze bardziej niż ja, bo nareszcie mogła zmyć makijaż, który wizualnie postarzał jej cerę i podkreślał zmarszczki. Na mnie nie sprawiał wrażenia szczególnie uciążliwego, ale ona wiecznie narzekała, że jej z nim niewygodnie.

Ziewnęła szeroko i przeciągnęła się jak kotka.

– Jestem wykończona – stwierdziła. – Nie mógłbyś sam pójść na spotkanie z resztą i zdać im relacji? Muszę jeszcze zetrzeć sobie z twarzy to paskudztwo.

– Dzisiaj nie. Musimy opowiedzieć im o tej sprawie z księdzem, a będą pewnie

chcieli poznać też twoją wersję wydarzeń.

– Proszę... Ty wszystko świetnie opowiesz. A ja nie lubię tam chodzić, straszny bajzel i dziwnie pachnie...

– A czego się spodziewałaś? To klitka dwóch nastolatków.

– Bańka nie jest nastolatkiem.

– Ale tak się zachowuje. Wydaje mi się, że Yokai ma na niego zły wpływ, jakby się nagle cofnął w rozwoju czy coś... – Spojrzałem na Enigmę z lekką przyganą.

– Musimy iść oboje.

– Och, no dobrze... Chociaż nie wiem, czy mi się podobasz, kiedy tak rządysz, jesteś zbyt surowy.

– A kto powiedział, że ja tu rządę?

– Ty sam, swoim zachowaniem: „Musimy zrobić to, musimy zrobić tamto”...

Przejąłeś inicjatywę, złotko, dziwię się, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Nie potrafiłem określić, czy to krytyka, czy wręcz przeciwnie.

– Przepraszam. Nie zrobiłem tego celowo – tłumaczyłem się. – Możesz zostać, jeśli chcesz. Sam spotkam się z Bańką i Yokaim.

– Ejże, zaraz... Jeden żołnierz zaczyna się troszkę stawiać, a ty już się dajesz spacyfikować? Nie tak się przewodzi drużynie, skarbie. Musisz być twardy. I surowy.

– Ale przecież sama przed chwilą powiedziałaś...

– Mówię dużo różnych rzeczy, nie musisz mnie przecież zawsze słuchać. Często nawet nie jestem pewna, czy rzeczywiście coś powiedziałam, dopóki nie zauważę, że ludzie dziwnie na mnie patrzą. Bywa to nieco krępujące.

Ruszyła przed siebie ulicą, nie czekając na mnie i mówiąc w przestrzeń, co zdarzało jej się dość często. Nie przejmowałem się tym, uważałem to za całkiem urocze. Może po prostu już przywykłem do jej drobnych dziwactw... A może w grę wchodziły uczucia nieco innej natury, nie jestem pewien.

Od tamtej chwili w Bayurze, kiedy znienacka zacząłem ją całować, starałem się unikać wszelkich myśli, które mogłyby mieć związek z moją reakcją. Miałem już zbyt wiele zmartwień, żeby dokładać sobie jeszcze dogłębną analizę uczuć. Nie byłem na to gotowy.

A jednak nie dało się ukryć, że nie postrzegałem Enigmy tak samo... A może po prostu wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jak już mówiłem, moje uczucia w tej materii były zagmatwane, skomplikowane i wstydlive; a ja na razie nie czułem się na siłach, żeby rozplątać kłębowisko sprzecznych emocji.

Jednocześnie nie mogłem też przestać myśleć o Danny, a to mi nie pomagało, wręcz przeciwnie – czułem się jeszcze bardziej zagubiony i dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Enigma zresztą też wcale mi nie pomagała swoim zachowaniem. Czy ten niespodziewany pocałunek ją uraził, sprawił jej przyjemność czy pozostawił zupełnie obojętną – nie dało się tego wyczytać z jej stosunku do mnie... a przynajmniej ja nie potrafiłem tego zinterpretować. Podobno faceci nie są za bystrzy w tych sprawach (prawdę mówiąc, ja zawsze uważałem, że to powszechne zidiocenie, niezależne od płci). Cóż, w takim razie możemy mnie uznać za podręcznikowy przykład. Odkąd pamiętam, inteligencję emocjonalną mam na poziomie pierwotniaka, może dlatego w życiu

uczuciowym zawsze czułem się jak głupi zółw biorący udział w maratonie: prze do przodu najszybciej jak potrafi i nie może zrozumieć, dlaczego mimo to dociera na metę ostatni.

Na szczęście miałem na głowie o wiele pilniejsze i poważniejsze problemy, a co za tym idzie – świetną wymówkę, żeby na jakiś czas odsunąć tę nieprzyjemną sprawę na bok.

W tej chwili myślałem więc tylko o spotkaniu z Bańką i Yokaim oraz o tym, jak im wytłumaczyć, że jakiś ksiądz imieniem Saúl nas zdekonspirował. Miałem nadzieję, że ta wiadomość nie wzbudzi niepotrzebnej paniki.

Jako że Narodowy Korpus Poszukiwaczy nie miał żadnej bazy w La Victorii, musieliśmy zaimprovizować jakąś metę dla kolegów. Bez większych trudności znaleźliśmy odpowiedni lokal w dzielnicy Mayorazgo, niedaleko hotelu Embajadores, i tam zakwaterowali się Bańka i Yokai.

Mayorazgo było najważniejszą dzielnicą miasta, to tu znajdowało się centrum władzy politycznej i gospodarczej. Okolica wyglądała bardzo bezosobowo, tylko od czasu do czasu jakiś mniej więcej zabytkowy budynek ozdabiał szerokie ulice o zdecydowanie nowoczesnym charakterze. Nie było tu pięknie ani malowniczo, ale przynajmniej czysto i bezpiecznie, co – jak się okazywało – nie było typowe dla La Victorii. W tej dzielnicy na każdym rogu wpadało się na parę uzbrojonych wojskowych.

To była prawdziwa oaza spokoju i porządku w samym sercu miasta. W Mayorazgo znajdowały się praktycznie tylko budynki rządowe i oszklone drapacze chmur, w których siedziby miały nieliczne krajowe przedsiębiorstwa. Oprócz tego mieściły się tu też dwie gigantyczne galerie handlowe, w których wyższe sfery La Victorii spędzały wolny czas. Ponieważ klasa ta nie była zbyt liczna, ulice Mayorazgo świeciły zwykle pustkami, jak w porze sjeisty w upalny letni dzień. Po zmroku dzielnica niemal całkowicie pustoszała, jeśli nie liczyć żołnierzy w dwuosobowych patrolach. Nie miałem jeszcze okazji zwiedzić pozostałych dzielnic miasta, ale z tego, co słyszałem, rozsądniej było się tam nie zapuszczać.

Bańka i Yokai zakwaterowali się w niewielkim budynku wyglądającym na wiekowy. Faktycznie – było to dawne kino, zbudowane w latach trzydziestych, a potem odnowione i przerobione na tani hotel dla niezbyt wymagających podróżnych. Jak poinformował nas konsjerż, nawet w szczycie sezonu goście nie zajmowali choćby połowy miejsc. Valcabado ogólnie nie cieszyło się popularnością wśród turystów, a tym bardziej La Victoria, która miała im bardzo niewiele do zaoferowania.

Pokoje były duże i funkcjonalne, właściwie bardziej jak apartamenty czy małe mieszkanie. Wynajęliśmy jeden dla Bańki i Yokaiego. Wystarczyło im parę dni, żeby zamienić go w śmietnik.

Po przyjeździe do La Victorii Yokai odkrył nowy napój energetyczny, jeszcze słodszy niż red bull. Nazywało się toto Freeway Xtreme i śmierdziało jak syrop na kaszel, ale chłopak złopał to hektolitrami. W każdym kącie kwatery wznosiły się sterty pustych puszek po paskudztwie, a do tego opakowania po najwstrętniejszym śmieciowym jedzeniu, jakie udało mu się upolować na mieście.

Z kolei Bańka uznał chyba, że wszystko może służyć za popielniczkę. Wszędzie

walały się niedopałki i popiół, a także puste opakowania po papierosach. W powietrzu wiecznie unosiła się intensywna woń dymu, która zdawała się nie przeszkadzać żadnemu z lokatorów. Szczerze mówiąc, ja też nie miałem nic przeciwko.

Enigma cierpiała jednak niewysłowione męki za każdym razem, kiedy musiała odwiedzić zaimprovizowaną bazę. Do pasji doprowadzał ją smród tytoniu, puste puszki, resztki jedzenia i stopy petów. Łóżka, których nikomu nie chciało się ścielić od czasu zamieszkania w apartamencie, śniły jej się po nocach, na widok rozrzuconych wszędzie brudnych ciuchów zaś zaczynały jej drzeć dłonie, jakby musiała walczyć z sobą, żeby nie pochować ich do szaf albo nie wrzucić do kubła na śmieci i oblać benzyną. Spotkania w lokum Bańki i Yokaiego przypominały imprezy w akademiku.

Jakby tego było mało, często byliśmy z Enigmą świadkami ich kłótni. Bańka uparcie próbował nas przekonywać, że to wina Yokaiego, bo ten nie okazywał mu szacunku należnego starszemu i doświadczonemu Poszukiwaczowi. Tak naprawdę jednak sprzeczały się jak bracia dzielący pokój albo dwójka współlokatorów, którzy zbyt długo już mieszkają razem. Wyraźnie wytworzyła się między nimi nieoczekiwane braterska więź, oparta na sprzeczkach, docinkach i obopólnej pasji do wzajemnego uprzykrzania sobie życia wyłącznie dla zabawy.

Choć wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, muszę przyznać, że czasem w głębi serca trochę im zazdrościłem. Nie dało się ukryć, że świetnie się razem bawili.

Tamtego wieczoru, kiedy przyszliśmy z Enigmą, żeby im opowiedzieć o Saulu, znów zastaliśmy ich w trakcie awantury. To akurat nas nie zdziwiło. Szczęki opadły nam za to na widok nieskazitelnego ładu, jaki panował w pomieszczeniu. Można by dojść do wniosku, że zburzyli poprzedni apartament i kupili nowy, prosto od dewelopera. W powietrzu unosiła się nawet delikatna woń cytrusów.

– Poczekaj chwilę... – powiedziała Enigma po wejściu. – Nie pomyliliśmy przypadkiem adresów?

Z kuchni dobiegł nas głos Bańki:

– Wcisnę ci tę twoją kreskówkową mordę do kibla i będę spuszczał wodę tak długo, aż w końcu spłyniesz do pieprzonych ścieków!

– Nie, miejsce się zgadza – stwierdziłem. Potem zawołałem trochę głośniejszym głosem: – Hej! Jest tu...?

Yokai wyszedł z kuchni z ponurą miną.

– A, to wy... – rzucił na nasz widok. – W samą porę. Przysięgam, musicie mnie stąd zabrać, ten koleś jest totalnie popieprzony. Chyba przedawkował sterydy i mu odpierdoliło, słowo daję.

– Pieprzony gówniarz – skwitował Bańka, wypadając za nim z kuchni. Wykorzystał to, że przechodził obok, żeby z całej siły pstryknąć go w kark. – Nie biorę żadnych sterydów.

– Taa, jasne, a te bicepsy to masz od ćwiczeń i zdrowego stylu życia, co? Jarasz jak smok i zresz jak świnia, nie wciskaj mi kitu, stary, przejrzałem cię. – Yokai rozwalął się w fotelu i położył sobie na kolanach laptopa. – Pierdolony mięśniak... – wymamrotał i zaczął wściekle walić w klawiaturę.

Bańka wziął głęboki wdech, jakby chciał uzbroić się w cierpliwość.

– Przysięgam, jeśli szybko nie skończymy tej misji, to go ukatrupię... Nie żartuję: uduszę go poduszką we śnie albo podmienię mu ten syf, który ciągle żłopie, na udrażniacz do rur, naprawdę to zrobię.

– Wstydzilibyś się, stary, tak grozić biednemu nastolatкови... – Yokai spojrział na nas. – Widzicie? Chory pojeb.

Bańka wetknął sobie papierosa do ust.

– Mam już dość niańczenia przerośniętej laleczki Chucky płci męskiej – wymamrotał. – Całe popołudnie próbowałem tu trochę ogarnąć, poprosiłem go tylko, żeby zaścielił pieprzone łóżko...

– Po cholere? I tak wieczorem będę musiał je znowu rozścielić! – zaprotestował chłopak. – To bez sensu.

Bańka wypuścił z ust obłok dymu i pogroził Yokaiemu ręką, w której trzymał papierosa.

– Chłopczyku, potrzebujesz porządnego lania, bardziej niż żołnierz na przepustce potrzebuje zaruchać.

– Sam sobie przylej, najlepiej w głowę.

– Cóż za piękny widok: dwóch Kawalerów Poszukiwaczy godnie podtrzymuje tradycję Korpusu – stwierdziłem. – I skąd ten nagły szal sprzątania? Jeszcze wczoraj nie miałeś nic przeciwko mieszkaniu w chlewie.

– Bo chce sobie sprowadzić panienkę – wyjaśnił Yokai. – Ja tu haruję jak wół, żeby misja zakończyła się sukcesem, a ten sobie chodzi na podryw. Widziałem go po południu w tej kawiarni naprzeciwko z jakąś niezłą laską.

– Co ty...? Śledziłeś mnie? Kazałem ci zostać tutaj!

– Spokojnie, o co ci chodzi? Zgłodniałem, a nie miałem już szamy. Jak zwykle zezarłeś mi ostatnią paczkę chipsów.

– Chwila, moment, zaczekajcie – przerwałem. – Bańko, czyś ty na głowę upadł? Nie możesz traktować tego miejsca jak... jak jakiejś garsoniery!

– Zanim uwierzysz temu niedorozwiniętemu gówniarzowi, może lepiej zapytaj mnie, jak było naprawdę. Nikogo nie podrywam, a ta kobieta, z którą mnie widział, to Julianne.

– Lacombe tu jest? Od kiedy? Dlaczego nam nie powiedziałeś? Czemu ja nic o tym nie wiem?

– Uspokój się, młody. Udławisz się tymi wszystkimi pytaniami. – Poszukiwacz urwał i irytująco powoli zaciągnął się papierosem. – Julianne wylądowała wczoraj w La Victorii, ja też nic nie wiedziałem, dopóki się ze mną nie skontaktowała dziś rano. Rozumiesz chyba, że nie mogłem wparować na wykopaliska, żeby ci powiedzieć o jej przylocie, bo goście, przed którymi zgrywasz kogoś innego, mogliby się zorientować, że coś jest nie tak.

– A po co w ogóle tu przyjechała? – zapytała Enigma.

– Tego mi nie powiedziała, ale to pewnie coś ważnego. Spotkałem się z nią dziś po południu i podałem ten adres, żebyśmy mogli porozmawiać w bardziej dyskretnym miejscu. Powinna tu być za parę godzin.

Pomyślałem, że Lacombe chciała nas ostrzec o planowanej wizycie Yoonaha na

wykopaliskach, chociaż nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego musiałyby osobiście przekazać nam taką wiadomość.

W oczekiwaniu na przybycie Lacombe opowiedzieliśmy przyjacielom o Saulu. Tylko Bańka jednak zaszczycił nas odrobiną uwagi, Yokai nie odrywał wzroku od ekranu laptopa, jakby ta sprawa go w ogóle nie dotyczyła.

– Jesteście pewni, że ten ksiądz was nie wsypie? – zapytał Bańka.

– Do tej pory tego nie zrobił, a okazji mu nie brakowało... – odparłem ostrożnie.

– On nam ufa – wtrąciła się Enigma z przekonaniem. – Jestem tego pewna.

Wyczytałam to z jego gestów.

Jednym z dziwactw Enigmy była jej ślepa wiara w tak zwaną kinezykę. Uważała się za specjalistkę od interpretacji mowy ciała.

– Nie chcę cię urazić, ale wolałbym polegać na nieco solidniejszych dowodach – skwitowałem.

– Może i nie chciałeś, ale mnie uraziłeś, skarbie. Wiesz, że nigdy się nie mylę w tej kwestii.

Zostawiła nas, jakby nudziły ją nasze problemy, i zamknęła się w łazience. Ja i Bańka dalej roztrząsaliśmy, jakie jest ryzyko, że Saúl nas zdemaskuje. Jakiś czas później Enigma wynurzyła się z łazienki – umyła twarz i wyglądała znacznie młodziej. Zamiast wrócić do mnie i Bańki, usiadła na kanapie koło Yokaiego i zaczęła zaglądać w ekran laptopa.

– Co robisz? – zapytała. – Coś ciekawego?

– Pewnie jak zwykle marnuje czas na jakąś kretyńską grę – stwierdził Bańka. – Jak się nazywa ta, przy której przesiadujesz całymi dniami? Ta z cyberżołnierzem, który strzela do gigantycznych robotów?

– *Halo* – odpowiedział chłopak, nawet na niego nie patrząc. – I już jej nie mam. Odinstalowałem. Robiłeś się strasznie wkurzający, kiedy nie mogłeś przejść jakiegoś poziomu.

Bańka oblał się rumieńcem.

– Nie mam pojęcia, o czym on gada... – wybąkał pod nosem.

– W nic nie gra, ma tu skany tego mezogockiego manuskryptu – powiedziała Enigma.

Podszedłem bliżej, żeby rzucić okiem. Rzeczywiście, Yokai poddawał stronę z rękopisu analizie w jakimś programie. Zapytałem, co dokładnie robi.

– Analizę cyfrową – odpowiedział. – Pracowałem ostatnio nad nową aplikacją... Chyba że Bańka zachachmęcał mi komputer, żeby sobie pograć w *Halo*. Skończyłem dziś rano. Powinna wykrywać i rekonstruować znaki wodne, teksty, które zostały wymazane albo poprawione w oryginalnym rękopisie... Takie rzeczy.

– Nie będzie tu żadnych znaków wodnych. O ile dobrze pamiętam, oryginał zapisano na pergaminie. Ale co do tych poprawek... Tak, to interesujące – powiedziałem.

– Znalazłeś coś?

Yokai pokręcił głową.

– Dopiero niedawno zacząłem – odparł i gestem brody wskazał Bańkę. – Potem ten tutaj zaczął mi truć dupę wiosennymi porządkami i musiałem przerwać. Muszę jeszcze

przeszukać cały tekst.

– No dobra, chłopie, przepraszam. Nie wiedziałem, że dla odmiany robiłeś coś pożytecznego. Ale nadal nie bardzo rozumiem, co właściwie spodziewasz się znaleźć.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Coś, cokolwiek... Facet, który napisał ten tekst, twierdził, że zawarł w nim tę całą formułę, imię Boga, ale nigdzie jej nie znaleźliśmy. Może ukrył ją w jakiś inny sposób.

– Taa... Zapisał ją sokiem z cytryny albo coś takiego? – zapytał Bańka z przekąsem. – Szkoda twojego zachodu. Niczego tam nie ma.

– Obawiam się, że on ma rację – dodałem. – Już ci mówiłem: możliwe, że ta część manuskryptu w ogóle nie została zeskanowana przez Rosignollego. Dopóki nie uzyskamy dostępu do oryginału, błądzimy na oślep... Zakładając oczywiście, że Gesalio faktycznie zapisał na pergaminie Szem ha-Meforasz.

– Pewnie, że zapisał – upierał się chłopak z absolutnym przekonaniem. – I to gdzieś tu jest, jestem pewny.

Bańka przyjacielsko poklepał go po ramieniu.

– Skoro tak twierdzisz, chłopie. Ja uważam, że marnujesz czas, ale miło widzieć, że próbujesz się na coś przydać.

– Nie bądź taki protekcyjny – zaprotestowała Enigma. – Mnie ta aplikacja wydaje się bardzo przydatna. A tak swoją drogą, chętnie bym się dowiedziała, czym ty się ostatnio zajmowałeś.

– Cóż, skoro już pytasz, to dowiadywałem się co nieco o historii miejsca, w którym prowadzone są wykopaliska. Spędziłem rano parę godzin w bibliotece uniwersyteckiej, przeczytałem trochę o Funzalu. Hiszpanie sądzili, że Walkatekowie mieli tam coś w rodzaju obserwatorium astronomicznego, z którego śledzili ruchy konstelacji.

– A nie wspominali nic o żadnym kościele w tamtej okolicy? – spytałem.

– Nie. Jeśli tam był, oni go nie widzieli. Ale to by miało sens, skoro twierdzicie, że zakopano go w ósmym wieku. Udało mi się jednak ustalić, że wkrótce po założeniu miasta zbudowali w Funzalu niedużą kaplicę pod wezwaniem Świętego Michała.

– Wiemy. Ci z Voynicha znaleźli resztki kapliczki, kiedy kopali w poszukiwaniu kościoła. Ale Cronin twierdził, że poświęcono ją Świętemu Franciszkowi, nie Michałowi.

Bańka pokręcił głową.

– Zmieniono jej patrona niedługo po ukończeniu budowy, kiedy koloniści zaczęli przypisywać Świętemu Franciszkowi koniec epidemii tyfusu. Czytałem dziś, że ten fakt jest często pomijany.

– Czyli co, konkwistadorzy wiedzieli, że w Funzalu jest zakopany kościół pod wezwaniem Świętego Michała, mimo że sami go nie znaleźli? – zapytała Enigma.

– Nie, to bardziej skomplikowane. Według relacji spisanej przez pierwszego biskupa La Victorii obserwatorium Walkateków w Funzalu miało swoje bóstwo opiekuńcze, jak ono się nazywało... – Bańka wyjął z kieszeni notesik i sprawdził w zapiskach. – *Pukeni Sakal Kamu*, „Wojownik z Mieczem Słońca”. Pukeni był kimś w rodzaju generała oddziałów wojskowych Tupany, boga stwórcy. Zgodnie z mitologią walkatecką u zarania dziejów Pukeni stanął na czele armii w wojnie przeciwko złym

duchom i pokonał Watuyé, demonicznego węża, swoim ognistym mieczem.

– Tak samo jak archanioł Michał – zauważyłem.

– Właśnie. O tym samym pomyśleli hiszpańscy misjonarze, dlatego poświęcili mu kaplicę. Był taki jeden facet... Niejaki brat Hernando de Aza, dominikanin, który napisał traktat o mitach walkateckich. Postawił w nim hipotezę, że Indianie czcili świętych chrześcijańskich, tylko pod innymi imionami.

– Ciekawe... bardzo ciekawe. Chciałbym się dowiedzieć, co na ten temat sądzi Saúl, nasz ekspert od rdzennych mieszkańców Valcabado.

– Nie przywiązywałbym do tego dużej wagi. Wydaje mi się jasne, że ten cały brat Hernando de Aza chciał po prostu wykazać podobieństwa między wierzeniami walkateckimi a chrześcijaństwem, żeby ułatwić ewangelizację Indian. To samo robili przecież hiszpańscy misjonarze na całym kontynencie, na przykład w imperium Azteków.

– Z tą różnicą, że kiedy koloniści przybyli do Meksyku, mieli tam jeszcze Azteków do nawracania, a tutaj nie było już w tamtych czasach ani jednego Walkateka. W takim razie kogo niby próbował ewangelizować brat Hernando de Aza? Przecież to nie ma sensu.

– Więc co sugerujesz?

– Myślę, że dominikanin naprawdę wierzył w to, co pisał: że bogowie walkateccy i święci chrześcijańscy to jedno i to samo. – Urwałem na chwilę, żeby zapalić papierosa i poukładać sobie w głowie myśli, które zrodziły się w niej w toku rozmowy. – Mam pewną teorię. Załóżmy, że Teobaldo i jego mnisi rzeczywiście przybyli na te ziemie w ósmym wieku, tak jak twierdzi autor naszego manuskryptu. Może nawiązali kontakt z tubylcami, głęboką więź, może nawet jakoś tam ich ewangelizowali. Walkatekowie przyjęli elementy chrześcijaństwa i połączyli je z własnymi wierzeniami.

– Tak, to nawet logiczne... – przyznała Enigma. – Możliwe też, że pomogli Teobaldowi zbudować kościół Świętego Michała pod nadzorem mnichów. To by tłumaczyło, dlaczego świątynia przypomina budowle wizygockie.

– To z kolei prowadzi nas do ostatniej części mojej teorii – dorzuciłem. – Miasto Świętych Mężów, miejsce, w którym Teobaldo ukrył Ołtarz Imienia nad Imionami, było miastem Walkateków.

Yokai, który do tej pory był pochłonięty pracą na laptopie, na dźwięk tych słów wtrącił się do rozmowy.

– Czyli twoim zdaniem tamci Indianie zostali strażnikami Stołu Króla Salomona i wszystkich tych jego zajebistych supermocy. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – To już trochę przegiąłeś, stary...

– Saulowi by się to spodobało – stwierdziła Enigma. – Dlaczego Walkatekom udało się rozwinąć tak zaawansowaną cywilizację? Ponieważ poznali tajemnicę Szem ha-Meforasz i posiadli boską moc stworzenia.

– Nawet jeśli, to nie umieli się nią zbyt dobrze posługiwać. Ich cywilizacja upadła – rzucił Bańka, który, podobnie jak Enigma, nie zachowywał zbyt poważnego tonu.

– Legenda o Stole Salomona głosi, że każdy, kto będzie chciał go wykorzystać, doprowadzi do ruiny i zniszczenia poprzez wyzwolenie nieokiełznanej siły – przypominałem. – Nikt nie wie, co wykończyło Walkateków, ale ja osobiście mam

nadzieję, że nie miało to nic wspólnego ze Stołem.

– A to dlaczego? – zapytał Bańka.

– Bo zdaje się, że właśnie go szukamy i zamierzamy odnaleźć. Nie wiem, jak wy, ale ja nie chciałbym, żeby się okazało, że odwaliliśmy kawał roboty tylko po to, żeby doprowadzić do upadku cywilizacji.

– Tym akurat nie musisz się przejmować, stary – powiedział Yokai. – Ten główniany świat już od dłuższego czasu zmierza ku zagładzie.

Po wygłoszeniu tej sentencjonalnej uwagi wrócił do laptopa i z powrotem zamknął się w swojej informatycznej bańce.

UNIWERSYTET

Lacombe stawiała się w bazie punktualnie o godzinie ustalonej z Bańką. Chociaż nie widzieliśmy się od czasu mojego wyjazdu z Londynu, nie okazała na mój widok praktycznie żadnych uczuć, jak zwykle nad wyraz profesjonalna i opanowana. Powitania załatwiliśmy szybko i bez ceremonii. Agentka знаła już nas wszystkich z wyjątkiem Yokaiego, ale on i tak zamknął się w sypialni z komputerem, żeby popracować. Zawsze konkretna Lacombe chciała od razu przejść do sedna, nie marnując niepotrzebnie czasu.

Tak jak oczekiwałem, powiedziała nam, że Yoonah wkrótce pojawi się w La Victorii. Nie podróżował sam, towarzyszył mu Alzaga. Wiadomość zmartwiła nas więc podwójnie. Zapytałem, kiedy spodziewa się ich przyjazdu do Valcabado.

– W czwartek – odparła. Czyli w ciągu dwóch dni. – Tak przynajmniej wnioskuje na podstawie ich biletów lotniczych.

– W takim razie obawiam się, że jutro doktor Jordán znów padnie ofiarą ataku alergii. Jak długo zamierzają tu zostać?

– Bilety powrotne mają na niedzielę.

– Cztery dni – powiedziała Enigma. – To będzie bardzo silny atak alergii. Mam nadzieję, że nikt nie zacznie niczego podejrzewać.

– No to powiedzmy, że to coś poważniejszego – stwierdziłem. – Jakieś dolegliwości sercowe, to nam pozostawi nieco większy margines.

Enigma postanowiła natychmiast wrócić do hotelu, zadzwonić do Cronina i powiedzieć mu, że nazajutrz przyjedzie na wykopaliska dopiero po południu, bo nie czuje się najlepiej. Musiała już teraz zacząć symulować, żeby nagle pogorszenie stanu zdrowia – do którego miało oczywiście dojść w czwartek – wypadło bardziej przekonująco. Bańka i ja zostaliśmy sami z Lacombe.

– Jestem bardzo ciekawy, dlaczego Alzaga towarzyszy Yoonahowi – oznajmiłem. – Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw.

– W tej kwestii nie mogę wam pomóc – odparła Lacombe. – Wiem tylko, że Voynich zarezerwował bilety lotnicze na ich nazwiska, na tej samej trasie i w tych samych dniach.

– Będziemy musieli zaszyć się gdzieś do czasu wyjazdu Alzagi, młody. Jeśli wpadnie na któregoś z nas, nici z naszego planu.

– Trochę mnie kusi, żeby w środku nocy nawiedzić go w pokoju hotelowym. W prześcieradle i pobrzękując łańcuchami. Może dostałby zawału.

– Nie żartuję, Faro.

– Wiem, wiem... – powiedziałem. – Niech to szlag. Stracimy przez to masę czasu. Mam tylko nadzieję, że kiedy będziemy się ukrywać, Voynich nie odkryje w kościele niczego interesującego.

– Wiecie co? Zaczynacie napomykać o pewnych szczegółach waszych...

projektów, o których wolałabym chyba nic nie wiedzieć – stwierdziła Lacombe. – Może lepiej już sobie pójdę, żebyście mogli porozmawiać.

– Zanim się pożegnasz, chciałbym się dowiedzieć, po co przyjechałaś do Valcabado – zagadnąłem. – Oczywiście doceniam fatygę, ale wystarczyłoby przecież wysłać nam wiadomość. To kawał drogi z Lyonu.

Lacombe wyjaśniła nam, że nie przyjechała z Lyonu, tylko z Londynu. Jako że poszukiwania Yoonaha nie przynosiły rezultatów, postanowiła zmienić taktykę i zabrać się do śledztwa z innej strony.

Kiedy dowiedziała się od nas, że doktor Cronin był świadkiem zabójstwa detektyw Child, uparła się, żeby znaleźć jakiegoś haka na brytyjskiego archeologa. Sądziła, że może tą drogą dotrzeć do Yoonaha. Po długim i żmudnym śledzeniu poczynań Cronina w Londynie odkryła wreszcie coś interesującego.

Jak nam powiedziała, Cronin był zamieszany w co najmniej kilka przypadków grabieży dziedzictwa artystycznego. Z wielu wykopalisk, w których uczestniczył, ginęły przedmioty, ukrywano znaleziska lub fałszowano dane na temat zabytkowych obiektów, które rzekomo znajdowano, ale których potem nikt nie mógł zlokalizować, do czasu gdy pojawiały się nagle i w podejrzanych okolicznościach na licytacjach w prywatnych domach aukcyjnych. W Egipcie, przed obaleniem Husniego Mubaraka, Ministerstwo Starożytności oficjalnie uznało Cronina za persona non grata i zabroniło mu wjazdu do kraju. Z kolei we Włoszech oskarżono go o grabież podczas prac na stanowisku archeologicznym w Lecce.

Cronin składał zeznania w kilku procesach i wielokrotnie płacił grzywny, ale nigdy nie udało się postawić mu mocnych zarzutów. Tymczasem otrzymywał znaczne sumy pieniędzy z niewiadomych źródeł – trop urywał się na zagranicznych rachunkach bankowych. W związku z licznymi skandalami władze Uniwersytetu Oksfordzkiego były bliskie rozwiązania umowy z doktorem, ale właśnie wtedy z odsieczą przybył mu Voynich, za pośrednictwem Projektu Lilith. Korporacja przekazała uczelni hojną dotację, po czym zwerbowała Cronina. Lacombe uważała to za ewidentny przykład korupcji i miała nadzieję, że zdoła na tej podstawie oskarżyć także Yoonaha.

– Od dziesięciu dni we współpracy z policją angielską próbuję zebrać niezbite dowody na winę Cronina – powiedziała. – Władze brytyjskie lada dzień złożą oficjalny wniosek do Interpolu o ogłoszenie w jego sprawie czerwonego alertu i zwrócą się do rządu Valcabado z prośbą o ekstradycję. Korzystając z okazji, że i tak musiałam ostrzec was przed przybyciem Yoonaha, postanowiłam wybrać się do La Victorii, żeby przyspieszyć cały proces i upewnić się, że Cronin nie spróbuje się zmyć, zanim angielska policja wystawi list gończy.

Przestępcze skłonności Cronina nie zaskakiwały mnie w najmniejszym stopniu. Pewnie bardziej bym mu współczuł losu, jaki go czekał, gdyby facet wydał mi się sympatyczniejszy, ale od samego początku sprawiał na mnie wrażenie odrażającego typu. Mimo wszystko jednak wieści Lacombe mocno mnie zaniepokoiły.

Jeśli Cronin zostanie poddany ekstradycji do Wielkiej Brytanii, stanowisko archeologiczne w Funzalu zostanie bez szefa. Do głowy przychodziły mi dwie możliwości rozwiązania tego problemu: albo wykopaliska zostaną zamknięte do

odwołania, albo ktoś inny będzie musiał przejąć stery, a najbardziej prawdopodobnym następcą Cronina wydawał się jego bezpośredni przełożony David Yoonah. To by oznaczało, że matematyk zostanie w Valcabado na stałe, a my z Enigmą będziemy musieli uciekać gdzie pieprz rośnie, żeby nas nie zdemaskował.

Obie opcje oznaczały sporo ryzyko dla powodzenia naszych planów.

– Ile mamy czasu, zanim przyjdą po Cronina? – zapytałem.

– Tydzień.

Skrzywiłem się.

– To mało... Bardzo mało. Wizyta Yoonaha unieruchamia nas na cztery dni, zostają nam więc tylko trzy na dalsze badanie wykopalisk. Nie możesz załatwić nam trochę większego luzu?

– Przykro mi, Alfaro, ale to już nie zależy ode mnie, sprawa jest w rękach policji brytyjskiej. To przeze mnie w ogóle wszczęli to śledztwo, więc pewnie by się zdziwili, gdybym próbowała grać na zwłokę, kiedy wszystko jest już dopięte na ostatni guzik.

Tydzień. Tyle czasu mieliśmy na odnalezienie jakiejś wskazówki w kościele w Funsalu. Potem nasza obecność na wykopaliskach będzie już niemożliwa.

Nienawidzę działać pod presją i na wyścigi.

– No nic. – Westchnąłem zrezygnowany. – Dzięki za wieści.

Lacombe odparła, że nie ma o czym mówić, po czym dodała:

– Chciałabym też porozmawiać z tobą na osobności, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Bańka stwierdził, że dobrze mu zrobi wyjście na papierosa i rozprostowanie nóg, po czym ulotnił się dyskretnie i zostawił nas samych.

Byłem nieco skrupowany, podejrzewam, że ona też. Co prawda przez ostatnie tygodnie utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt, ale nie mieliśmy jeszcze okazji do długiej, poważnej rozmowy o tym, co się wydarzyło po naszym pobycie w Londynie. Najważniejsze informacje o działaniach byłych członków Korpusu przekazywał jej Bańka, nie ja.

Po dłuższej chwili milczenia Lacombe postanowiła przełamać lody.

– Całkiem niezłe wyglądasz... Oczywiście jak na nieboszczyka.

Uśmiechnęła się blade i dopiero wtedy dotarło do mnie, że właśnie rzuciła – kiepskim, bo kiepskim – żartem. Uznałem za dobry znak, że próbuje złagodzić napięcie.

Zmusiłem się do odwzajemnienia uśmiechu.

– Tak... Wszyscy mi to mówią.

Agentka jak zwykle miała przy sobie teczkę z dokumentami. Wyjęła jeden i podała mi.

– Nie przyjechałam tu tylko ze względu na Cronina. Chciałam ci to przekazać...

– powiedziała, unikając mojego wzroku. – Uznałam, że powinnam to zrobić osobiście.

– O co chodzi?

– Ogólnie rzecz biorąc, nie pracujesz już w moim zespole... Ani w żadnym innym... To znaczy... nie jesteś już agentem Interpolu.

– Rozumiem. Czyli to wypowiedzenie.

– Coś w tym rodzaju. – Lacombe przygryzła dolną wargę. Wyraźnie czuła się

nieswojo. – Przykro mi. Nie miałam innego wyjścia.

– Spokojnie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że mnie to zaskakuje. Przez ostatnie tygodnie raczej nie byłem wzorowym agentem, zgadza się?

Uśmiechnąłem się niewyraźnie, żeby wiedziała, że nie żywię do niej urazy. Nieco się odprężyła.

– Owszem, nie bardzo. Twoje... obecne zajęcia nie pozwalają na zaangażowanie, jakiego wymagam od członków mojego zespołu. – Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu Lacombe westchnęła cicho. – A szkoda. Nadal uważam, że w Interpolu mógłbyś bardzo daleko zajść. Posiadasz niezwykle umiejętności, Alfaro. Chętnie bym z nich skorzystała, ale cóż, to chyba nigdy nie było możliwe... Zawsze miałeś w głowie... coś innego.

Przytaknąłem.

– Próbowałem – odparłem. – Przysięgam, że próbowałem. Dobrze mi się z tobą pracowało. Sporo się nauczyłem i myślę, że... – Urwałem. Chciałem powiedzieć: „tworzyliśmy zgrany zespół”, ale uświadomiłem sobie, że to nieprawda, nigdy się nie zżyliśmy. – Myślę, że dobrze się dogadywaliśmy.

– Tak... Tak, ja też tak sądzę – odparła Lacombe z zadumą, jakby dopiero teraz uderzyła ją ta myśl. Potem wyskoczyła nagle z całkowicie nieoczekiwanym pytaniem: – Opowiadałam ci kiedyś o moim dziadku?

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Nigdy nie poruszała tematów tego rodzaju. Julianne Lacombe była bardzo skryta, jeśli chodzi o sprawy prywatne.

– Był Malgaszem, rdzennym mieszkańcem Madagaskaru. Wyemigrował na Reunion w bardzo młodym wieku. To tam urodził się mój ojciec, który ożenił się później z białą Europejką, moją matką. Dziadek mieszkał z nami aż do śmierci, byłam wtedy jeszcze mała. Uwielbiałam go, wiesz? Bardzo sympatyczny człowiek. Opowiadał mi historie o malgaskich królach Madagaskaru, o ludzie Vazimba... No i o piratach. Uwielbiał opowieści o piratach. Najbardziej lubił tę o Olivierze Levasseurze. – Lacombe uśmiechnęła się melancholijnie. – To był typowy pirat, z przepaską na oku i nieprzebranymi skarbami. Powieszono go na wyspie Reunion w 1730 roku. Kiedy stał już ze stryczkiem na szyi, rzucił w tłum gapiów kartkę z szyfrogramem i zawołał: „Niech mój skarb odnajdzie ten, kto zdoła rozwiązać zagadkę!”, po czym wyzionął ducha. Dziadek opowiadał mi tę historię setki razy... Setki. Mówił, że wartość łupów Levasseura szacowano na miliony funtów, a poszukiwacze skarbów z całego świata bezskutecznie próbowali rozszyfrować zagadkę. Dziadek często bladym świtem wyciągał mnie z łóżka i z promiennym uśmiechem mówił: „Wstawaj, Julie, idziemy poszukać skarbu Levasseura”. Każdą wyprawę porządnie przygotowywał: koszyk z kanapkami, bidony z napojami... Wyruszałyśmy z domu same, we dwójkę, i przez cały dzień eksplorowałyśmy okolice Saint-Denis. To piękne miejsce: pełno tam plaż, lasów i jaskiń, w których według dziadka piraci kryli się przed okrętami króla Francji. Było cudownie. Oczywiście nigdy nie znaleźliśmy żadnego skarbu, ale mnie to nie przeszkadzało. Kiedy powiedziałam o tym dziadkowi, odparł: „Pewnie, to nie ma żadnego znaczenia, Julie, bo w życiu już tak jest, że poszukiwanie skarbu sprawia zawsze więcej radości niż jego odnalezienie”.

– Piękne słowa.

– Prawda? Pamiętam je do dziś. Kiedy dziadek zmarł, było mi bardzo przykro. Najbardziej bolała mnie myśl, że już nigdy nie poznam nikogo takiego jak on. Kogoś, kto... wolałaby szukać skarbów, niż je znajdować.

Nic już nie dodała. Mnie też nie przychodziło do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, każde słowa wydawały mi się nieadekwatne.

Po chwili Lacombe spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– To, co tutaj robicie... To, co robiliście, kiedy się poznaliśmy... Bruno co nieco mi opowiedział. Chcę ci tylko powiedzieć, że... że chyba cię rozumiem. Więc gdybyś potrzebował ode mnie jakiegokolwiek pomocy, poproś bez wahania, Alfaro. Chcę ci pomóc w poszukiwaniach.

Słuchając tej oferty, pomyślałem sobie, że Lacombe nadal wspomina tamtą małą dziewczynkę, która bawiła się w poszukiwanie skarbów piratów w jaskiniach na Reunion, i że prawdopodobnie bardzo za nią tęskni.

Czasem najbardziej niewiarygodne okazują się te tajemnice, które ludzie kryją w swojej duszy. Myślę, że Julianne Lacombe była tego świetnym przykładem.

Przez kilka kolejnych dni mój stan wahał się pomiędzy niepokojem, zniecierpliwieniem i frustracją. Wcale nie było to przyjemne.

Jako że nie mogliśmy z Enigmą pojawiać się na terenie wykopalisk, mieliśmy bardzo dużo wolnego czasu na zamartwianie się. Ona zносиła to jednak znacznie lepiej niż ja – pewnie się cieszyła, że wreszcie nie musi każdego ranka malować się na doktor Jordán.

Jeśli chodzi o resztę, to Yokai rzucił się w wir pracy nad nową aplikacją i przeczesywał każdy centymetr manuskryptu mezogockiego z nadzieją, że odkryje coś ważnego. Zaangażował się do tego stopnia, że zacząłem się obawiać, czy nie dostał obsesji na tym punkcie. Spędzał całe dni przed komputerem, więc nie miał okazji klócić się z Bańką. Zresztą Poszukiwacz i tak rzadko pojawiał się w bazie. Od czasu przybycia Lacombe do La Victorii wykorzystywał każdą sposobność, żeby spotkać się z agentką Interpolu, niemal nigdy nas o tym nie informując. Zacząłem się zastanawiać, czy ci dwoje nie knują czegoś za naszymi plecami.

Z bezczynności miałem ochotę łązić po ścianach, więc znalazłem sobie zajęcie. Dopóki Yoonah i Alzaga przebywali w Valcabado, moja noga nie mogła postać na wykopaliskach, ale to nie oznaczało, że nie mogę poprowadzić własnego śledztwa.

Zacząłem regularnie odwiedzać miejskie biblioteki, gdzie spędzałem długie godziny na lekturze wszystkich książek związanych z historią kraju i Walkateków. Muszę przyznać, że nie poczyniłem imponujących postępów, czułem się raczej jak ktoś, kto porusza się po omacku w ciemnym pokoju, obmacując ściany w poszukiwaniu włącznika lampy. Jak na razie nadal tkwiłem w mroku.

W La Victorii działały tylko dwie biblioteki z prawdziwego zdarzenia. Jedna znajdowała się na uniwersytecie, ale nie miałem do niej wstępu. W ostatnich dniach doszło do zamieszek z udziałem studentów i profesorów, protestowano przeciwko rządowi. W odpowiedzi armia zajęła sale wykładowe i zablokowała wejścia na kampus.

Raz po raz dochodziło do scysji między żołnierzami a manifestantami, którzy próbowali się dostać na teren uczelni. Jedni i drudzy zwykle byli uzbrojeni, więc okolice uniwersytetu przypominały pole bitwy. Radio, telewizja i gazety upierały się, że rząd kontroluje sytuację, ale w mieście aż huczało od plotek, że starcia stają się coraz bardziej brutalne i wkrótce mogą się rozprzestrzenić na inne dzielnice.

Druga biblioteka znajdowała się w archiwum diecezjalnym, niedaleko katedry. Tam więc spędzałem większość wolnego czasu.

W dzielnicy Mayorazgo panował jeszcze spokój, chociaż wyraźnie przybywało wojskowych na ulicach. Któregoś dnia wystraszyłem się nie na żarty, kiedy zobaczyłem, że regularnemu patrolowi żołnierzy towarzyszy dwóch mężczyzn w uniformach Wotanu. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie na mojej trasie z archiwum do hotelu. Opowiedziałem o tym reszcie podczas wieczornego spotkania w bazie.

– Jak to, nie słyszałeś? – zdziwił się Bańka. – Rząd prezydenta Luzona podpisał porozumienie z Wotanem za pośrednictwem Voynicha. Wszystkie gazety o tym piszą.

– Jakie znowu porozumienie?

– Podobno Voynich otrzymał od władz pozwolenie na eksploatację złóż wolframu na terenie kraju. W zamian Wotan wspiera wojsko w kwestiach bezpieczeństwa. Obawiam się, że od tej pory będziemy znacznie częściej spotykać tych typów na ulicach.

Chyba jako jedyny nie byłem na bieżąco z najnowszymi wydarzeniami, bo wszyscy pozostali omawiali ten temat tak, jakby uzyskali informacje z pierwszej ręki.

– Szkoda mi tych biednych ziomków z uniwerku – stwierdził Yokai, który jak zwykle dzielił uwagę między naszą rozmowę a ekran komputera. – Te faszystowskie sukinsyny ich zmasakrują.

– Te „biedne ziomki z uniwerku”, jak ich określiłeś, są uzbrojone po zęby – odparł Bańka. – To nie garstka wykładowców domagających się podwyżek i studentów, którzy żądają większych stypendiów. Populistyczne organizacje partyzanckie wykorzystują ich, żeby obalić rząd. Julianne mi wszystko wytłumaczyła. Żadni z nich męczennicy.

– Taa, ta sama gadka co zwykle – westchnął Yokai. – Stary, nie rozumiesz? To tylko pieprzona propaganda tych z góry.

– Ale... o czym ty mówisz? „Ci z góry”, czyli kto?

– Nieludzkie, kapitalistyczne i skorumpowane rządy, takie jak ten w tej dziurze. Jak tylko ludzie zaczynają się buntować, rządzą masakra. Nie wierzę, że próbujesz ich usprawiedliwiać. Niezły z ciebie faszysta, stary.

– No nie, trzymajcie mnie! Mam dwie magisterki i doktorat, a teraz mam wysłuchiwać, jak Che Guevara w wersji na Androida wyzywa mnie od faszystów.

– Jak tam sobie chcesz, stary... *Sieg heil!*

– Pyskaty gówniarz.

– Kutas na sterydach.

Postanowiłem nie wtrącać się w ich merytoryczną dyskusję i wrócić do hotelu.

Nie podobała mi się ta umowa między Wotanem a rządem Valcabado. Z ostatnich wiadomości wynikało, że prezydent Luzón doprowadził państwo na skraj przepaści i podpisanie paktu z diabłem stanowiło jedyne wyjście z sytuacji. Nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, w co myśmy się wpakowali.

Następnego dnia wróciłem do archiwum diecezjalnego. Chciałem zajrzeć do opracowania brata Hernanda de Azy na temat podobieństw między religią walkatecką a chrześcijaństwem, a bibliotekarz obiecał, że pomoże mi je znaleźć.

Na placu przed katedrą moim oczom ukazała się radosna, pełna życia scena typowa dla każdego słonecznego poranka. Trudno było uwierzyć, że znajduję się w centrum stolicy kraju, w którym rząd i opozycja dyskutują między sobą przy użyciu broni. Stoiska z jedzeniem, stada gołębi przechadzające się leniwie przed wejściem do katedry, zespół ulicznych muzyków wygrywających melodie ludowe na fletach i bębenkach... Jedyne zgrzyt stanowili uzbrojeni żołnierze pilnujący porządku. Trafiały się wśród nich także czarne mundury Wotanu.

Nagle stanąłem jak wryty, jakbym wpadł na niewidzialną ścianę. W drzwiach wejściowych archiwum stał Abel Alzaga.

Na szczęście zdążyłem się schować za przenośnym straganem z jedzeniem, zanim mnie zauważył.

W pierwszym odruchu chciałem zrobić w tył zwrot i uciekać do hotelu, ale Alzaga tak się ustawił, że gdybym wystawił z ukrycia choć palec, na pewno od razu by mnie zauważył. Nie pozostało mi nic innego, jak siedzieć bez ruchu i cierpliwie czekać.

Alzaga tkwił zaledwie kilka metrów od mojej kryjówki. Miał okulary słoneczne i kapelusz, ale wszędzie poznałbym tę twarz. Ubrany był w nienaganny jasnobezowy garnitur, ale bez krawata; w jednej ręce trzymał skórzaną teczkę, w drugiej zaś papierosa, którym zaciągał się krótko i płytko. Raz po raz spoglądał na zegarek. Sprawiał wrażenie podenerwowanego.

Dopalił papierosa i cisnął go na ziemię. Potem wszedł do budynku, w którym mieściło się archiwum.

Wiem, wiem, w mojej sytuacji najrozsądniej byłoby zwiewać co sił w nogach, ale skoro do tej pory nie grzeszyłem rozsądkiem, uznałem, że jeszcze jedna nie najszcześniejsza decyzja nie robi już większej różnicy. Wychylnąłem zza straganu i ruszyłem do archiwum. Chciałem sprawdzić, co Alzaga tam robi.

Nie zauważył, że go śledzę. Zobaczyłem, że idzie w stronę czytelnicy, a potem skręca w wąski boczny korytarzyk. Z największą ostrożnością wystawiłem głowę za róg i ujrzałem, jak znika w drzwiach na końcu korytarza. Zbliżyłem się do nich ukradkiem i spojrzałem na tablicę z napisem: „GABINET C”.

Kucnąłem i przycisnąłem ucho do drzwi. Wydawało mi się, że słyszę szmer rozmowy, ale mogłem odnieść mylne wrażenie. Próbowałem wyostrzyć słuch, kiedy nagle za moimi plecami odezwał się jakiś głos.

– Przepraszam bardzo, mogę panu jakoś pomóc?

Młody ksiądz trzymał w ręku teczkę z fiszkami bibliotecznymi. Natychmiast się wyprostowałem i wybąkałem kiepską wymówkę, że szukam toalety. Bibliotekarz łypnął na mnie podejrzliwie i oświadczył, że w tej części archiwum znajdują się wyłącznie prywatne gabinety, a wstęp do nich jest wzbroniony osobom nieupoważnionym. Wróciłem do czytelnicy ogólnej, przepraszając stokrotnie.

Sięgnąłem po pierwszą z brzegu książkę z najbliższego regału. Potem znalazłem miejsce, z którego miałbym dobry widok na korytarzyk prowadzący do gabinetów.

Usiadłem przy biurku i czekałem na powrót Alzagi, licząc na to, że uda mi się ustalić, z kim się spotykał w archiwum.

Czas mijał. Dziesięć minut. Dwadzieścia. Czterdzieści... Godzinę później Alzaga nadal nie dawał znaku życia. Po kolejnych trzydziestu minutach znudziło mi się gapienie w pusty korytarz. Zacząłem się zastanawiać, czy dawny dyrektor Narodowego Korpusu Poszukiwaczy przypadkiem nie opuścił budynku jakimś innym wyjściem.

Upewniłem się, że wszyscy pracownicy są czymś zajęci, i wróciłem pod gabinet C. Kiedy przystawiłem ucho do drzwi, nie dobiegł mnie zza nich żaden dźwięk.

Nagle w gabinecie rozdzwonił się telefon. Dzwonił i dzwonił, aż w końcu umilkł. Nikt nie odebrał.

Wtedy po drugiej stronie drzwi rozległ się jakiś inny dźwięk. Przypominał dyszenie albo bardzo głębokie westchnienie. Bardzo ostrożnie przekręciłem gałkę i uchyliłem drzwi na wąziutką szparę. Nikogo nie zauważyłem, chociaż odniosłem wrażenie, że jakiś cień porusza się gdzieś poza moim polem widzenia.

Po całej sekundzie namysłu błyskawicznie wśliznąłem się do gabinetu.

Zobaczyłem Alzagę. Siedział na krześle zakneblowany, z rękami związanymi za plecami. Głowa opadła mu na pierś, a lewa strona jego marynarki była przesiąknięta krwią. Nie ruszał się. Nie oddychał.

Patrzyłem na zwłoki zabójcy mojego ojca całkowicie wyprany z uczuć, jakbym trafił na rozjechanego ptaka na środku drogi szybkiego ruchu. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się we wciąż powiększającą się plamę krwi, której ciemnoczerwone kropelki kapały na parkiet.

Nie byłem w stanie wykrzesać z siebie żadnych emocji. Ani radości. Ani triumfu. Ani nawet odrazy czy elementarnego współczucia. Nic. Czuję tylko chłód.

Jednocześnie nie potrafiłem oderwać wzroku od trupa. Jak gdybym chciał wytatuować sobie ten obraz na siatkówce.

Wtedy Alzaga się poruszył. Wierzgnął lekko nogami i szarpnął głową w bok. Zdałem sobie sprawę, że resztkami sił jeszcze oddycha. Czyli jednak nie był martwy.

Wreszcie coś poczułem. Ogarnęła mnie ciekawość, kto postanowił dokonać egzekucji zdradzieckiego Kuznika.

Podszedłem do niego i wyjąłem mu z ust knebel. Nawet się nie zorientował, był półprzytomny. Może i tliło się w nim życie, ale nie miało to potrwać już długo. Ten człowiek był praktycznie trupem.

Kiedy dotarło do niego, że ktoś pozbawił go knebla, zadrżały mu wargi i powieki. Przykląknę przed nim, złapałem pod brodę i zmusiłem, żeby na mnie spojrzął.

– Kto ci to zrobił? – zapytałem.

Z wyraźnym trudem otworzył oczy. W źrenicach mrugały ostatnie iskierki życia. Na mój widok rozbłyły jaśniej, jakby mnie rozpoznał.

– Piorun...

– Nie jestem Piorunem. Odpowiedz mi: kto cię postrzelił?

– Pośród zmarłych... – wydusił, już niemal bez tchu. – Ty... powinieneś być... pośród zmarłych... Piorun...

Tak brzmiały jego ostatnie słowa. Głos mu się załamał, wydał z siebie

nieprzyjemny dźwięk i serce przestało mu bić.

Trudno wyobrazić sobie żałośniejszy koniec ostatniego dyrektora Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Nie zostawił po sobie żadnej schedy, jego marna egzystencja nie zdała się na nic dobrego, a wręcz przyczyniła się do zła. Teraz, kiedy już nie żył, nie zamierzałem zaszczycać go nawet nienawiścią. Czułem tylko spokój, ulgę, że pozbyłem się ciężaru z serca, oraz pewną wdzięczność w stosunku do zabójcy. Dzięki niemu uniknąłem pokusy zamordowania Kuszniaka i nie musiałem brać jego śmierci na swoje sumienie. Nie zasługiwał na to.

Porzuciłem nędzne szczątki i rozejrzałem się po gabinecie z nadzieją, że dostrzegę jakiś szczegół, który pomoże mi wyjaśnić, co tam właściwie zaszło.

Jedynym interesującym przedmiotem był leżący na biurku pistolet wyposażony w tłumik. Broń okazała się znajoma – to z niej Kuszniak strzelał do mnie w Piwnicy. Cóż za ironia losu. Prawda?

Zamierzałem dokładniej zbadać pistolet, kiedy nagle drzwi gabinetu się otworzyły i na progu stanął jakiś ksiądz z kilkoma książkami pod pachą. Na widok zastanej sceny wydał z siebie gardłowy okrzyk przerażenia i upuścił książki na podłogę.

– Nie, chwileczkę – zacząłem się tłumaczyć. – To nie tak, jak może się wydawać...

Bez skutku. Kapłan wrzasnął przenikliwie („Morderca!”) i rzucił się do ucieczki.

Robiło się coraz ciekawiej.

Popędziłem za nim. Sługa boży piszczał cienko, jakby stanął właśnie twarzą w twarz z samym szatanem, i rozgłaszał każdemu, kto się napatoczył, że jestem niebezpiecznym zabójcą. Nieliczni czytelnicy rozpierzchli się po kątach biblioteki i przerażeni przywarli do ścian i regałów.

Do czytelnicy wkroczyło dwóch wojskowych. Ksiądz coś do nich mówił i wskazywał na mnie. Wycelowali do mnie z karabinów automatycznych. Wyhamowałem w miejscu i podniosłem rękę.

– Ty! – wrzasnął do mnie jeden z nich. – Nie ruszaj się!

Czy naprawdę byłby gotów otworzyć ogień w budynku kościelnym, wzbudzając panikę wszystkich obecnych? Uznałem, że warto się przekonać i zaryzykować, jeśli nie chcę zgnieć w celi valcabadyjskiego więzienia. Zrobiłem w tył zwrot i rzuciłem się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Miałem szczęście, bo żołnierz nie strzelił, ale już po chwili ruszył za mną w pogoń.

Pędziłem jak szalony, bez wahania odpychając stoły, krzesła, a nawet czytelników, którzy mieli pecha stanąć mi na drodze. Żołnierz wyskoczył do przodu i złapał mnie za nogi, przewracając na ziemię.

Moje dłonie wymacały na podłodze grube tomiszczce oprawne w skórę. Złapałem je mocno i z całej siły wyrzuciłem żołnierza w twarz. Kantem książki zadałem mu krwawiącą ranę koło oka. Napastnik wrzasnął z bólu, a ja wykorzystałem ten moment, żeby kopnąć go w żołądek.

Żołnierz uwolnił mnie z uścisku. Znowu puściłem się biegiem i po chwili napotkałem wózek wyładowany książkami i fiszkami. Popchnąłem go w stronę ścigających i zagroziłem im drogę. Jeden potknął się niezgrabnie i zawartość wózka rozsypała się na wszystkie strony, dokładnie w tej samej chwili, kiedy ja jednym susem

omijałem mężczyznę, który postanowił zgrywać bohatera i próbował mnie zablokować. Głupiec! Nic nie powstrzyma Poszukiwacza, kiedy ucieka na łeb na szyję.

No, może oprócz pocisków.

Żołnierze zmęczeni już zabawą w kotka i myszkę i zaczęli strzelać. Jeden karabin wypluł serię, kule latały ze świstem po całym archiwum, wbijały się z hukiem w ściany, regały i książki, które wybuchały deszczem konfetti.

Mimo to biegłem dalej, zakrywając głowę rękami. Potknąłem się na pierwszym stopniu schodów i sturlałem na sam dół, aż moje kości gruchnęły o podłogę. Porządnie walnąłem się w nos i zaczęła mi lecieć krew.

Nie miałem jednak czasu się nad sobą uzalać. Żołnierze pędzili już po schodach w moją stronę. Pozbierałem się i rzuciłem do ucieczki na oślep. Na szczęście tuż przede mną znajdowało się wyjście z archiwum.

Znowu znalazłem się na placu katedralnym. Szybki rzut oka w prawo i w lewo pozwolił mi stwierdzić, że żołnierze wezwali posiłki. Z obu stron placu dwójki uzbrojonych mężczyzn biegły w moją stronę z wyraźnym zamiarem pojmania mnie.

Czułem klucie w piersi, brakowało mi tchu, krew ciekąca z nosa zalewała mi usta, dopadła mnie kolka. Musiałem jednak biec, inna opcja nie wchodziła w grę, więc puściłem się sprintem na drugi koniec placu.

Miałem pecha. Mijając jeden ze straganów z jedzeniem, nadepnąłem na obgryzioną kolbę kukurydzy i się pośliznąłem. Co prawda nie runąłem na plecy, ale wykręciłem kostkę i przeszywający ból sparaliżował mi na chwilę nogę. Upadłem na kolana, jakbym błagał o łaskę.

Zacisnąłem zęby i spróbowałem się podnieść. Uniemożliwiło mi to jednak kolejne szarpnięcie bólu w kostce, jeszcze mocniejsze niż wcześniej. Żołnierze byli coraz bliżej, a prawdopodobieństwo, że zdołam im uciec, niebezpiecznie zbliżało się do zera.

Nagle tuż przede mną zatrzymał się jakiś samochód i zablokował mi drogę ucieczki. Stary renault 4 z rozpadającą się karoserią i silnikiem zawodzącym głośno jak w startującym samolocie. Kierowca otworzył drzwi po stronie pasażera i krzyknął do mnie:

– Wsiadaj! Szybko!

To był Saúl.

Kiedy kapłan bierze sobie do serca ósme błogosławieństwo („Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości!”¹), lepiej go nie ignorować, więc wskoczyłem do pojazdu. Saúl wcisnął gaz i wyjechał z placu, rozjeżdżając po drodze stragan, z którego jakaś biedna kobieta sprzedawała poncza. Czasem trzeba się liczyć ze stratami cywilnymi.

Żołnierze też mieli samochody. W lusterku zobaczyłem jadącego za nami zielonego jeepa. W zdezelowanym gruchocie Saula mieliśmy małe szanse zostawić go w tyle.

Ksiądz gwałtownie skręcił kierownicą i wjechał w wąską przecznicę. Lusterka boczne krzesły iskry, ocierając się o fasady budynków po obu stronach uliczki. Jeep pojechał naszym śladem, ale szeroka maska utknęła we wjeździe do zaułka i samochód ugrzązł na dobre, bez możliwości ruszenia ani w przód, ani w tył. Saúl wcisnął gaz do

dechy.

– Kretyni – mruknął.

Silnik wył, jakby miał lada chwila wybuchnąć. Wyjechaliśmy na drugim końcu uliczki i trafiliśmy na szeroką, ruchliwą aleję. Kolejny wojskowy jeep wyjechał nam na spotkanie z prawej strony.

Ksiądz wykręcił samochodem i pod prąd wjechał na jezdnię. Inne samochody pędziły na nas i w ostatniej chwili unikały zderzenia. Kierowcy trąbili wściekle i wyrzaskiwali obelgi pod naszym adresem.

Nagle przed moimi oczami wyrosła zwałista sylwetka piętrowego autobusu dla turystów. Saúl puścił wiązanek bluzgów, jakiej nigdy nie spodziewałbym się usłyszeć z ust duchownego. Obrócił kierownicę, aż jego ramiona się skrzyżowały. Samochód przejechał przez pas zieleni między jezdniami i wylądował na pasie w przeciwnym kierunku.

Obejrzałem się przez ramię. Goniący nas jeep nie zdołał wykręcić, autobus nie miał czasu wyhamować i zderzył się z nim czołowo, jak rozpędzona lokomotywa. Jeep kilkakrotnie przeokoziółkował i wylądował na dachu na środku alei.

– Są jeszcze jacyś? – zawołał Saúl.

Za tamtym jeepem jechał jeszcze jeden, który zdołał uniknąć zderzenia z autobusem, a teraz siedział nam na ogonie.

– Tylko jeden.

– Cholera!

Saúl przyśpieszył. Pędziliśmy slalomem między wolniejszymi samochodami. Ksiądz panował nad kierownicą z wprawą godną kierowcy rajdów NASCAR. Niestety, również i jeepa prowadził najwyraźniej doświadczony kierowca. Wydawało się niemożliwe, żebyśmy zdołali zgubić pościg.

Saúl zaciskał wargi tak mocno, jakby próbował zjeść własną brodę. Szarpnął kierownicą, zjechał z głównej alei i zapuścił się w labirynt bocznych uliczek. Po przejechaniu kilku przecznicy nagle gwałtownie zahamował. Uderzyłem klatką piersiową o schowek.

Saúl wysiadł.

– Co ty wyrabiasz? Jadą za nami!

– Chodź ze mną i się zamknij!

Rzucił się do ucieczki. Ruszyłem za nim. Kątem oka zobaczyłem, że jeep też się zatrzymał i wyskoczyło z niego trzech żołnierzy.

Usłyszałem strzały i wybuch straszego zamieszania, ale dźwięki dobiegały z przodu. Popędziłem dalej za Saulem, aż dotarliśmy na jakiś plac. Toczyła się tam regularna walka. Zewsząd otaczali nas mężczyźni biegający we wszystkie strony. Wielu miało twarze zakryte chustkami i kapturami, ale wyglądali na bardzo młodych. Krzyczeli z wysoko uniesionymi pięściami, skandując lewicowe hasła. Inni, bardziej radykalni, oprócz sloganów miotali też kamieniami i koktajlami Mołotowa w kierunku sporego oddziału żołnierzy wyposażonych w sprzęt do tłumienia zamieszek.

Panował totalny chaos. Zamaskowani manifestanci ścierali się z wojskowymi, w ruch szły kamienie, kije bejsbolowe i proce ze stalowymi kulkami. Jedna przebiła

szybkę w hełmie żołnierza, trysnęła krew. Kiedy padł na ziemię, doskoczyło do niego dwóch mężczyzn z zasłoniętymi twarzami i zaczęli dźgać go nożami. Kawałek dalej trzech członków brygady przewencyjnej waliło pałkami młodą dziewczynę o twarzy zboczonej krwią, która próbowała osłaniać się ramionami.

Ktoś rzucił bombę dymną. Dały się słyszeć kolejne strzały. Poczułem cios w plecy, a potem przeszywający ból. Byłem pewny, że trafiła mnie kula. Zgubiłbym się w tym bałaganie, gdyby Saúl nie trzymał mnie mocno za rękę.

Ksiądz zdołał wyprowadzić nas z najbrutalniejszego pola walki i w końcu znaleźliśmy bezpieczne schronienie pod estakadą autostrady. Tam już nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Chyba... chyba mnie postrzelili – wydusiłem. – W plecy.

– Gdzie? Pokaż, zobaczę. – Ksiądz podniósł mi koszulkę i przyjrzał się bolącemu miejscu. Zajęło mu to tylko parę sekund. – Eee, to nic takiego. Gumowa kula. Do wesela się zagoi, najwyżej będzie cię trochę bolał krzyż. Zaufaj mi, na tym akurat księża dobrze się znają.

– Taa. Krzyż. Załapałem – odparłem z grymasem bólu. – Boki zrywać.

Nagle pojawiło się koło nas dwóch chłopaków, którzy też szukali schronienia. Jeden z nich, z flagą Związku Radzieckiego zawiązaną pod szyją i zarzuconą na plecy w charakterze peleryny, miał na czole ogromną krwawiącą ranę. Był niewiele starszy od Yokaiego. Ksiądz podszedł do niego zaniepokojony i zaczął ocierać mu ranę chusteczką.

– Spokojnie, chłopcze... Wszystko w porządku?

Chłopak niepewnie pokiwał głową. Chyba ledwie trzymał się na nogach.

– Skurwysyny! – zawołał jego kolega. – Sadyści od Luzona! Niedługo dostaną to, na co zasłużyli! Będą wisieć na latarniach!

– Zaprowadź kolegę do lekarza, a potem wracaj do domu – zaordynował ksiądz.

– Na pewno masz tam lepsze rzeczy do roboty niż eksterminacja rodaków.

Chłopcy sobie poszli, ten drugi podtrzymywał rannego przyjaciela. Saúl patrzył za nimi z zaciętym wyrazem twarzy.

– Takie owoce wydaje nienawiść. Dzieci pragnące zostać oprawcami – stwierdził.

– Prezydent Luzón zasiał ziarna, a populistyczne bojówki podlewały je i pielęgnowały. Jakie to proste, jak zatrwając łatwo można bronić ideałów do ostatniej kropli krwi z cudzych żył...

– Gdzie jesteśmy?

– Na kampusie uniwersyteckim. Tamci żołnierze pewnie próbują nas jeszcze znaleźć w tym młynie, ale na wszelki wypadek lepiej stąd spływać.

Wróciliśmy do samochodu. Zanim wsiedliśmy, Saúl z niesmakiem otaksował jedno z bocznych lusterek. Szkło było zbite, a obudowa wisiała smętnie na kablu.

– Mój Boże... – szepnął. – Martín się wścieknie.

– Kto?

– Ojciec Benítez. Kolega z rezydencji San Lázaro, pożyczyłem od niego samochód.

Wsiedliśmy do auta – Saúl zajął miejsce kierowcy – i odjechaliśmy. Tym razem nikt nas nie gonił. Ksiądz zapytał, czy odwieźć mnie do hotelu Embajadores. Poprosiłem,

żeby dla bezpieczeństwa odstawił mnie w jakieś bardziej dyskretne miejsce, gdzie trudniej byłoby mnie namierzyć, na wypadek gdyby władze postanowiły okleić miasto plakatami z moim zdjęciem i podpisem: POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY. Saúl zbagatelizował jednak moje obawy.

– Zapomnij o policji. Tutejsze służby to bezużyteczny organ na usługach karteli narkotykowych. Nie będą cię szukać, jeśli jakiemuś bossowi nie będzie na tym zależeć. Jeśli zaś chodzi o armię, mają teraz pilniejsze sprawy na głowie: w Valcabado lada moment wybuchnie ogólnokrajowa rebelia.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie. Te zamieszki na uniwersytecie to dopiero początek, pierwsze petardy przed spektakularnym pokazem sztucznych ogni. – Saúl poprosił mnie o papierosa. Zapalił i mówił dalej: – Powiem ci, co się teraz stanie: mając do dyspozycji prywatną armię Wotanu, rząd poczuje się pewniej i spróbuje uderzyć w organizacje partyzanckie. To poważny błąd. Wetkną kij w mrowisko. Bojówki tylko czekają na pretekst, żeby poderwać połowę kraju do zbrojnego powstania. Kiedy już do tego dojdzie, kartele wykorzystają ogólny zamęt, żeby się wzajemnie atakować i walczyć o kontrolę nad poszczególnymi terytoriami. Zapanuje totalna anarchia.

– Nie brzmi to dobrze.

– Nie da się ukryć, synku. Na twoim miejscu uciekałbym stąd pierwszym samolotem. Valcabado czekają ciężkie czasy.

– Nie mogę wyjechać z La Victorii. Nie skończyłem jeszcze pracy na wykopaliskach.

– Tak. Spodziewałem się takiej odpowiedzi...

Książd w milczeniu prowadził samochód.

– Dlaczego mi pomogłeś? – zapytałem.

Saúl sprawiał wrażenie pogrążonego w rozmyślaniach, musiałem więc powtórzyć pytanie.

– Sam nie wiem... – przyznał. – Przechodziłem obok archiwum, kiedy zauważyłem, że ścigają cię żołnierze, i pomyślałem sobie: „Co jest, kurwa...”.

– Wzruszył ramionami. – Kiedy w La Victorii żołnierze kogoś gonią, to zwykle niewinną, przypadkową osobę, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Sam parę razy im podpadłem.

– A to czym?

– Kto to wie? Tutaj możesz dostać kulkę zupełnie bez powodu, bo ktoś uzna, że wyglądasz podejrzanie. – Saúl wyrzucił niedopałek przez uchylone okno. – A ciebie dlaczego gonili? Pytam z czystej ciekawości.

Powiedziałem Saulowi, że znalazłem w bibliotece zwłoki, a żołnierze uznali mnie za mordercę.

– A tak było? Zabiłeś go?

– Nie, przysięgam. Kiedy go znalazłem, już nie żył.

– Skoro tak twierdzisz...

– Wydaje mi się, że ta historia nie zrobiła na tobie większego wrażenia, może powinienem jakoś lepiej ją opowiedzieć?

– Synku, w tym mieście codziennie dochodzi do kilkudziesięciu zabójstw, kartele traktują to jak rozrywkę. Straciłem już rachubę, ile osób opowiadało mi, że widziało trupa albo było świadkami, jak ktoś się trupem stawał.

– Kartele mają zwyczaj zostawiać ofiary w archiwach diecezjalnych?

– W archiwach, pod drzwiami katedry, w domach, na ulicach... W zeszłym roku poderżnęli gardło ministrowi bezpieczeństwa wewnętrznego w jego własnym gabinecie, a nieudanych zamachów na życie sekretarza biskupa było już kilka.

W takiej sytuacji uznałem za całkiem logiczne, że moja historia niezbyt nim wstrząsnęła.

– Wiesz, kto to był? Chodzi mi o tego faceta, którego znalazłeś.

– Prawdę mówiąc, wiem.

Duchowny spojrział na mnie z ironicznym uśmiechem.

– Rozumiem.

– Powtarzam: nie ja go zabiłem.

– Słuchaj, twoje sprawy mnie nie interesują. Jak chcesz, to chodź sobie po mieście pod fałszywym nazwiskiem i strzelaj do ludzi w bibliotekach, nie moja broszka.

– Nikogo nie zastrzeliłem! Ile razy mam to powtórzyć, żebyś mi uwierzył?

– Już dobrze, synku, spokojnie. Nie jesteś zabójcą, w porządku, niech ci będzie. Nie ma co się denerwować... No dobra, a skąd znalazłeś tego nieboraka?

– Był zamieszany w Projekt Lilith. Nazywał się Abel Alzaga.

– No proszę, jak to się dziwnie plecie... Okazuje się, że ja też go znam.

– Serio?

– Owszem. Ale nie osobiście. Wczoraj na wykopaliskach doktor Cronin wspomniał, że ten typ wpadnie dziś rano rzucić okiem na postępy prac archeologicznych. Ten Chińczyk z niebieskimi oczami, niejaki Yoonah, przywiózł go z Kalifornii.

– Nie jest Chińczykiem, to Koreańczyk – sprostowałem. – Yoonah był na wykopaliskach?

– Tak, kręci się tam już od czwartku. Nie miałem z nim wiele do czynienia, nie podobają mi się jego oczy, wyglądają jak u wiktoriańskiej lalki z filmu grozy.

– A tak swoją drogą, nie powinieneś być właśnie tam?

– Oczywiście, podobnie jak doktor Jordán... A właśnie, mam nadzieję, że wkrótce dojdzie do siebie – stwierdził Saúl tonem wręcz ociekającym sarkazmem. – Nie muszę już wracać na wykopaliska. Przetłumaczyłem wszystkie inskrypcje walkateckie z kościoła.

Zaskoczył mnie tą informacją.

– Wszystkie? Zupełnie wszystkie?

– Prawie. Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewałem.

– A ten przekład... Dałeś go Croninowi?

Ksiądz zawahał się na chwilę, zanim udzielił mi odpowiedzi:

– Nie.

– Dlaczego? Obawiasz się, że nie jest prawidłowy?

– Oczywiście, że jest prawidłowy – zaprotestował z lekką urazą. – Nie dałem go Croninowi tylko dlatego, że chciałbym jeszcze przemyśleć parę spraw.

– Jakich spraw?

Saúl uśmiechnął się pod nosem.

– Synku, skoro ja pozwalam ci mieć tajemnice, to dobre wychowanie nakazuje, żebyś odwzajemnił mi się tym samym. – Ksiądz zatrzymał samochód. – Jesteśmy na miejscu: hotel Embajadores.

– Dziękuję, ale...

– Phi, mnie nie dziękuj. Podziękuj Kościołowi, Matce naszej. W ramach rewanżu możesz zmówić pacierz przed pójściem spać... Albo zaprosić biedaka na obiad, jak wolisz.

Nie wysiadałem z auta.

– Chciałbym się dowiedzieć, co jest w tych przekładach.

– A ja bym chciał wiedzieć, kiedy będzie Sąd Ostateczny, ale obawiam się, że oboje będziemy musieli zacisnąć zęby i cierpliwie czekać.

– Ale dlaczego? Przecież jeśli dasz je Croninowi, on podzieli się ich treścią z resztą członków ekipy i tak czy inaczej ją poznam. Co ci szkodzi powiedzieć mi trochę wcześniej?

– Synku, wysiadka. Muszę zabrać samochód do mechanika, zanim go zwrócę ojcu Benitezowi.

– Nie – upierałem się.

Musiałem jak najszybciej uzyskać dostęp do tekstów przetłumaczonych przez Saula. Nie wiedziałem, jak długo będzie jeszcze zwlekał z przekazaniem ich Croninowi, poza tym istniało ryzyko, że doktor zostanie wcześniej ujęty przez policję brytyjską, a Projekt Lilith ulegnie zawieszeniu. W takim wypadku nigdy bym się nie dowiedział, co odkrył Saúl. Jeśli jedynym sposobem na osiągnięcie celu było okupowanie samochodu, dopóki ksiądz nie spełni mojego żądania, byłem na to gotowy.

Chyba że Saúl postanowi wykopać mnie na ulicę... Chociaż miałem nadzieję, że chrześcijańskie miłosierdzie powstrzyma go przed tak drastycznymi środkami.

– Słuchaj... Możemy tak tu siedzieć cały dzień – powiedział. – Nie zamierzam pokazywać ci tych przekładów, synku, lepiej przyjmij to do wiadomości. Jak sam powiedziałeś, będziesz musiał poczekać, aż przekażę je Croninowi.

Postawa duchownego dała mi do myślenia. Coś mnie tknęło. Zaryzykowałem i wyraziłem swoje wątpliwości na głos.

– Wcale mu ich nie dasz, prawda? – Twarz Saula przybrała nieprzenikniony wyraz. Pokerowa mina utwierdziła mnie w przekonaniu, że trafiłem w sedno. – Nie zamierzasz przekazywać ich Croninowi... a może tak, ale niekompletne albo wręcz fałszywe. Nigdy nie zamierzałeś współpracować z ludźmi z Voynicha. Oszukiwałeś ich od samego początku.

Saúl łypnął na mnie wrogo. Przez sekundę obawiałem się, że walnie mnie pięścią. On jednak tylko wycedził przez zęby:

– Trzeba naprawdę wielkiego cynizmu, żeby oskarżać mnie o coś takiego.

– Ale to prawda. – Saúl unikał mojego wzroku. – Cała ta sytuacja to jakiś absurd. Co mnie obchodzi, czy Cronin dostanie te przekłady czy nie? Absolutnie nic, zero. Nawet mi się podoba, że nie chcesz mu ich dać, niezależnie od tego, co tobą kieruje.

Saúl milczał długo, wbijając ponury wzrok w boczną szybę.

– Mam czyste sumienie, niczego nie ukrywam – oznajmił w końcu. – Nie chcę udostępnić tych tekstów nikomu z Voynicha, bo zapisano tam, jak dotrzeć do miasta ukrytego w dżungli Los Morenos.

Serce zaczęło bić mi szybciej.

– Jesteś pewny? Droga została szczegółowo opisana?

– Nie, właściwie to tylko wskazówki, niewiele więcej. Wiele z nich nie ma dla mnie żadnego sensu, ale obawiam się, że będą go miały dla Cronina i pozostałych naukowców.

– Saúl wreszcie na mnie popatrzył. – Nie chcę, żeby znaleźli to miasto. Nie oni.

– Dlaczego?

– Mam swoje powody. To nie twoja sprawa.

– Pozwól mi zgadnąć... Czy w tych walkateckich tekstach jest mowa o artefakcie zwanym Ołtarzem Imienia nad Imionami? Może o Stole...? – Saúl znów odwrócił wzrok.

– Tak, trafiłem. Przedmiot ukryty w zaginionym mieście, zdolny wyzwolić niewyobrażalną potęgę. Szem ha-Meforasz... Imię nad Imionami. To właśnie tego Voynich ma nie odnaleźć.

– Ja im na pewno w tym nie pomogę.

– Ale może zrobią to bez twojej pomocy... Chyba że ktoś ich ubiegnie.

– Ach tak? I kto miałby być tą osobą?

– Na przykład ja.

Saúl popatrzył na mnie z uśmiechem niedowierzania.

– Bez urazy, synku, ale to zupełnie nieprawdopodobne. To jakby sardynka próbowała pożreć rekina. Za mały masz pyszczek, udławisz się.

Uznałem, że nadeszła pora na porządny blef.

– Wystarczy mi tylko rzucić okiem na przetłumaczone przez ciebie inskrypcje, żeby dokładnie wiedzieć, gdzie znajduje się zaginione miasto. I nigdy nie przekażę tej informacji Croninowi. Dostanę się tam własnymi środkami.

Moja brawura wyraźnie rozbawiła księdza.

– No proszę... A po co chcesz tam dotrzeć? Żeby zdobyć tę niewyobrażalną władzę? Poznać sekret Imienia nad Imionami?

Zastanowiłem się chwilę. Odnosiłem wrażenie, że tylko od mojej odpowiedzi zależy, czy duchowny zgodzi się udzielić mi pomocy, i że da mi tylko jedną szansę. W myślach układałem już pełną pasji przemowę o potrzebie ratowania skarbów przeszłości, ukazywania światu splendoru starożytnych cywilizacji. W mojej głowie brzmiało to bardzo wzniośle, niemal lirycznie, niczym pełna patosu oda.

Coś mi jednak mówiło, że ta publika tego nie doceni.

Czas płynął. Saúl wpatrywał się we mnie pytająco, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Zaczynałem czuć frustrację, że nie mogę znaleźć odpowiednich słów, aż w końcu wypaliłem pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Nie chcę go znaleźć. Chcę go szukać. – Zabrzmiało to tak banalnie, że aż się zarumieniłem. Próbowałem się ratować, ale chyba jeszcze bardziej się pograżyłem. – To znaczy... szukanie to zawsze fajniejsza zabawa niż znajdowanie.

Saúl zamknął oczy i powoli pokręcił głową, jak ktoś, kto właśnie był świadkiem

katastrofalnej gafy.

– Na pewno mocno tego pożałuję... – powiedział. – Pozwolę ci zerknąć na moje tłumaczenia, ciekawe, czy wydadzą ci się takie fajne. Kto wie, może i ja będę się przy tym dobrze bawić.

Uruchomił silnik i odjechaliśmy spod hotelu.

Mt 5,10. [\[wróć\]](#)

GWIAZDOZBIORY

Saúl zabrał mnie do zapuszczonego pensjonatu, który znajdował się poza Mayorazgo, w dzielnicy mieszkalnej ze skromnymi domkami o fasadach pomalowanych w pastelowe barwy.

Pensjonat stał przy ulicy, gdzie życie mieszkańców toczyło się na świeżym powietrzu. Przed zakładem fryzjerskim grupa mężczyzn siedziała na plastikowych krzesłach lub bezpośrednio na chodniku. Rozmawiali, pijąc piwo z puszek, słuchali muzyki z przenośnych magnetofonów, część grała w domino na składanych stolikach turystycznych. Na przeciwległym chodniku rozgrywała się podobna scena, tyle że z udziałem kobiet. Wszystkie miały krągłości opięte bardzo dopasowanymi koszulkami i kusymi szortami, niezależnie od wieku. Tylko te najstarsze przyodziwały się w nieco skromniejsze stroje. Większość miała też niemożliwie natapirowane włosy i bardzo mocny makijaż. Podobnie jak mężczyźni, gadały, piły i grały w karty lub w domino. Między obiema grupami biegła spora gromadka pokrzykujących wesoło dzieci.

Saúl wyjaśnił mi, że jesteśmy w Santiago, dzielnicy biednej, ale położonej na tyle blisko Mayorazgo, że mafiom narkotykowym nie udało się doprowadzić jej do zupełnej ruiny. Niektóre z tych kolorowych budyneczków pochodziły jeszcze z epoki kolonialnej, dodał. Uwierzyłem w to bez oporów, bo można było odnieść wrażenie, że od tamtej pory nikt ich nie odnawiał. Szkoda, bo gdyby zadbano o architekturę i posprzątało ulice, dzielnica mogłaby służyć za urokliwą starówkę.

Pensjonat mieścił się w jednym z tych zabytkowych domów. Saúl wynajmował mikroskopijny pokój, spartański niczym klasztorna cela, co w sumie całkiem pasowało do lokatora.

– Mieszkasz tutaj? – zapytałem.

– Tak. Wcześniej ulokowałem się w rezydencji San Lázaro, ale się wyprowadziłem. Sekretarz biskupa ciągle zawracał mi głowę. Tutaj przynajmniej mogę sobie popracować spokojnie, nikt mi nie siedzi na karku, a cena jest przystępna.

Przez okno wpadała do pokoju muzyka z taśm odtwarzanych przez ludzi na ulicy. Nie tworzyła zbyt przyjemnego tła dźwiękowego.

– Dziwi mnie, że możesz się skupić w takim hałasie.

– Masz na myśli muzykę? Wcale mi nie przeszkadza... Lubię słuchać muzyki przy pracy. Właściwie to stale czegoś słucham. – Ksiądz zdjął z głowy panamę i powiesił ją na zagłówek łóżka. – Zwłaszcza klasyków. Uwielbiam klasyków.

– Tak podejrzewałem... Msze Mozarta, oratoria Händla?

– Nie. Eric Clapton, Rod Stewart, The Moody Blues... Tacy klasycy.

– The Moody Blues? Wiedzą o tym w Watykanie?

– Synku, mamy papieża z Argentyny. Wolę nawet nie myśleć, jakiej muzyki oni tam teraz słuchają... – Saúl wyjął spod łóżka lodówkę turystyczną. W środku znajdowały

się butelki piwa w lodzie. – Napijesz się?

– Chętnie, dziękuję. Domyślam się, że w San Lázaro nie serwowali takich trunków.

– Nie, oni tam wolą whisky, ale ja dostaję od niej zgagi – odparł. Nie byłem pewny, czy mówi poważnie, czy żartuje. Saúl miał bardzo specyficzne poczucie humoru. – No dobrze, pokażę ci te przetłumaczone teksty, ale pozwól, że najpierw wyjaśnię parę rzeczy.

Duchowny powiedział mi, że podzielili inskrypcje walkateckie z kościoła na dwa zbiory. W skład jednego wchodziły krótkie teksty rozmieszczone na ścianach świątyni. Zapisano je glifami ceremonialnymi, więc Saúl uważał, że to słowa, którym przypisywano charakter sakralny. Takich tekstów było kilkadziesiąt, a wszystkie wyryto obok niewielkich otworów wykutych w kamiennych blokach; wiele z nich się powtarzało.

Saúl wręczył mi kartkę, na której widniały przetłumaczone napisy glificzne oraz cyfry oznaczające, ile razy powtarzały się one w całym kościele.

Chwała Ojcu Wiecznemu. (3)

Niech przyjdzie do Ciebie nasze wołanie. (6)

Ja jestem Światłością Świata¹. (8)

Ja chronię pobożnych. (1)

Ja jestem Prawdą i Życiem². (2)

Jam jest Pierwszy i Ostatni³. (5)

Do Mnie należy pomsta⁴. (9)

Ja jestem Drogą⁵. (1)

Dwie inskrypcje okazały się zbyt zniszczone, żeby w całości je odczytać, ale Saúl odcyfrował słowa „Ojciec” i „Świat”, wydedukował więc, że są identyczne jak zdania z pierwszej i trzeciej grupy.

W sumie było trzydzieści siedem sentencji. Ani ich liczba, ani treść nie przywoływały mi na myśl niczego konkretnego, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Drugi zbiór tekstów znajdował się na ołtarzu stojącym dokładnie pod kopułą. Jeden z boków ołtarza pokrywała długa inskrypcja, w której mieszały się ceremonialne glify z prostym pismem sylabicznym, z wyraźną przewagą tego drugiego. Saúl pozwolił mi przeczytać swój przekład:

„Tako rzecze Tupana, Ojciec Wieczny. Zanieście Ołtarz Imienia nad Imionami do miasta, które kazałem wznieść. Tam pozostanie do końca świata i żaden człowiek go nie posiadzie. Tam są (nanej makajmucharu), które zmiążdżą niewiernych. Drogą gwiazd, w kolejności, w jakiej zapisano słowo, od pierwszego aż do ostatniego. Miecz jest kluczem. Klucz jest drogą. Tam jest Stół Króla. Tam jest (Szem ha-Meforasz).

Tako rzecze Tupana, Ojciec Wieczny. Niebo stanie w płomieniach, gdy zabrzmi moje Imię. Tysiące ran otworzą się w skórze ziemi, gdy zabrzmi moje Imię. Przeklęty będzie język i dusza tego, kto wymówi me Imię, a jego cierpienie nie będzie miało końca.

Tako rzecze Tupana, Ojciec Wieczny. Nie wypowiesz nigdy mojego Imienia”.

Kilkakrotnie przeczytałem całe tłumaczenie, po czym oddałem je Saulowi.

– No i co? – zapytał. – Widzisz tu coś fajnego?

– Może i tak... To o ranach w ziemi i płonącym niebie jest całkiem zabawne

– odparłem. – A co znaczy *nanej makajmucharu*? Tych słów nie przełożyłeś.

– Nie, bo nie jestem pewien ich dokładnego znaczenia. *Nanej* oznacza „rzecz”, opisuje przedmioty nieożywione, na przykład kamień albo drzewo. Jeśli chodzi o *makajmucharu*, przybliżone tłumaczenie brzmi „to, co się rusza”. Tak więc *nanej makajmucharu* to przedmiot nieożywiony, który jednak się porusza.

– To nie ma sensu.

– Wiem, dlatego nie zdołałem tego przetłumaczyć. – Saúl spojrział na mnie podejrzliwie. – A nie zapytasz mnie o słowa Szem ha-Meforasz?

– Nie, bo wiem, że to nie po walkatecku.

– A wiesz, co znaczą?

– Tak. – Podniosłem głowę i wytrzymałem spojrzenie księdza. – A ty?

– Mniej więcej się orientuję...

– W takim razie wiesz, o czym mowa w tej inskrypcji. Nie chodzi tylko o zaginione miasto.

– Wiem, o czym mowa – przyznał Saúl. – Dlatego nie mam najmniejszego zamiaru przekazywać tej kartki Croninowi. Gdybym musiał mu to wyjaśnić, uznałby, że postradałem zmysły.

– Nie sądzę. On dobrze wie, czego szuka.

– Taaak... Tego się obawiałem. – Wyjął z lodówki pod łóżkiem następne piwo i odkapslował o kant biurka. – Ale, jak już ci powiedziałem, nie znajdzie tego z moją pomocą... Ani nikogo innego. Ten galimatias jest zupełnie niezrozumiały.

Jeszcze raz przeczytałem tekst, tym razem powtarzając na głos fragment, który najbardziej przypominał konkretne wskazówki.

– „Drogą gwiazd... W kolejności, w jakiej zapisano słowo, od pierwszego aż do ostatniego”... od pierwszego aż do ostatniego czego? I jakie słowo zostało zapisane?

– Nie jestem pewny, ale „słowo” wyryto pismem ceremonialnym, w formie glifu przedstawiającego kółko wewnątrz kwadratu. – Saúl narysował ideogram na kartce. – Widzisz? A wokół kółka są takie linie, przypominające promienie słońca. Kółko symbolizuje Tupanę, boga stwórcę, a kwadrat to kamienna stela, typowy nośnik dla świętego pisma. Słowem, sugeruje to słowo Tupany zapisane na tablicy, czyli tekst religijny.

Uznałem, że to pewnie ważne, chociaż na razie nie potrafiłem stwierdzić dlaczego.

– „Drogą gwiazd”... – powtórzyłem. Coś mi się z tym skojarzyło. – Parę dni temu mówiłeś nam o Drogach Indian. Pamiętam, że wspominałeś o jednej zwanej „Szlakiem Biegacza”. Tłumaczyłeś nam, że Biegaczem Walkatekowie nazywali gwiazdozbiór Panny. Znasz nazwy innych szlaków?

– Tak. Na przykład Wąż to odpowiednik Skorpiona. – Gestem zachęciłem go, żeby mówił dalej. – Rybak, czyli Baran. Szaman to Bliźnięta... To wszystko znaki zodiaku.

– Właśnie. Gwiazdozbiory, widzisz?

– Ach tak, już rozumiem... „Droga gwiazd”, czyli szlaki Indian. Tą drogą można się dostać do miasta. Ma to sens, ale niestety nie wyjaśnia naszych wątpliwości. W sumie istniało dwanaście takich szlaków, tworzyły w całej dżungli sieć przypominającą labirynt. Znamy ich nazwy, ale nie wiemy, gdzie się zaczynały ani jaki miały przebieg, a ta

inskrypcja z kościoła niewiele nam mówi. Poza tym musielibyśmy wiedzieć, którą z dróg należy podążyć, żeby dotrzeć do miasta, a ja nigdzie w tekstach z kościoła nie widzę tej informacji.

Sauł miał rację. Wskazówka prowadziła nas w ślepą uliczkę, więc postanowiłem przyjrzeć się bliżej innemu fragmentowi przekładu.

– „Miecz jest kluczem. Klucz jest drogą”... – zastanawiałem się na głos. – Klucz... klucz... Każdy klucz coś otwiera, zgadza się? Jakiś zamek...

– Nie traktuj tego tak dosłownie, synku. Obawiam się, że akurat w tym miejscu dokonałem dość swobodnego przekładu. W oryginale pojawia się słowo *japaj*, które oznacza raczej jakieś narzędzie.

– Czyli to nie klucz?

– Może i tak... Klucz albo jakikolwiek inny przedmiot, który służy do uruchomienia czegoś, otwarcia: koło wprawiające w ruch, klamka otwierająca drzwi albo okno, klamra zatrzasku, sprężyna... Coś w tym stylu.

Przygryzłem dolną wargę w zamyśleniu.

– A słowo „miecz”?

– *Saka! kamu*. W takiej formie pojawia się w tekście na ołtarzu. Wydaje mi się, że spotkałeś się już z tym terminem, w tamtym manuskrypcie z Toledo, o którym mówiła mi twoja koleżanka.

– No tak... tak. Myślę, że...

Poprosiłem Saula, żeby jeszcze raz pokazał mi drugi przekład, ten inskrypcji na ścianach. Kiedy go czytałem, coś drgnęło mi w piersi i ogarnęło mnie znajome poczucie, że dostrzegam wyraźne kształty w rozgardiaszu idei i koncepcji.

Uwielbiam to uczucie.

Na moich ustach pojawił się uśmiech.

– *In hoc signo vincitur inimicus* – mruknąłem.

– Coś mówiłeś, synku?

Podniosłem wzrok na Saula. Jestem pewien, że ksiądz dostrzegł błysk w moich oczach.

– Mam to. Klucz, miecz... Już wiem, co trzeba zrobić. – Jak zwykle w tego typu sytuacjach mówiłem z przeświadczeniem znacznie silniejszym, niż nakazywałby rozsądek. – Dopiero teraz zaczyna się zabawa.

Zadzwoiłem do Enigmy na komórkę i poprosiłem, żeby spotkała się ze mną w pensjonacie. Nic nie wyjaśniałem, powiedziałem tylko, że to pilne i żeby się pośpieszyła. Przybycie na miejsce zajęło jej niecałe dwadzieścia minut. W podnieceniu zapomniałem jej chyba wspomnieć, że jestem z Saulem, bo bardzo się zdziwiła na jego widok.

– Chwila... Myślałam, że jesteś sam! – zawołała i stanęła jak wryta w progu pokoju.

– Co...? A, nie, on jest ze mną – powiedziałem niecierpliwie. Ten szczegół wydawał mi się w tej chwili całkowicie nieistotny. – Przyniosłaś? To, o co cię prosiłem przez telefon?

– Ale, Faro, on... Nawet nie nałożyłam makijażu.

– I co z tego? Przecież i tak już wie, że nie jesteś Alicją Jordán. Przyniosłaś?
– powtórzyłem coraz bardziej rozgorączkowany. Prawie zerwałem jej z ramion plecak i zacząłem w nim grzebać.

– Moment... zaczekaj! – zaprotestowała. Odepchnęła mnie brutalnie, po czym wyjęła z plecaka przedmiot zawinięty w plastikowe siatki. – Masz, trzymaj. Mógłbyś mi wyjaśnić, co tu się dzieje, do jasnej cholery?

– On twierdzi, że się fajnie bawi – odparł Saúl. – Miło znów widzieć panią doktor. Zdecydowanie wolę panią bez makijażu, dużo lepiej pani wygląda. Ma pani coś przeciwko temu, żebyśmy przeszli na ty? Biorąc pod uwagę okoliczności...

Przestałem ich słuchać. Niecierpliwie rozpakowałem przedmiot przyniesiony przez Enigmę, rzucając reklamówki za plecy.

– Świetnie! – zawołałem na jego widok. – Oto i on. Wiedziałem, że warto było go tu przywieźć.

– Mógłbym się dowiedzieć, co to takiego? – zapytał Saúl.

– *Sakal kamu*. Miecz Archistratega. – Triumfalnie zaprezentowałem go Saulowi.
– Oto właśnie klucz, który wskaże nam drogę.

Ksiądz skrzywił się w grymasie.

– Wygląda mi to raczej na rozpolowioną oś... Jesteś pewny, że to miecz?

– W sensie metaforycznym.

– Aha.

– Proszę się tu nie śmiać z naszego miecza – powiedziała Enigma, która stała w kącie pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi i z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy. – Musiałam przebić się przez jakiś milion krabów, żeby się do niego dostać.

– Chętnie bym posłuchał tej historii...

– Nie wątpię. A ja chciałabym się dowiedzieć, co tu robisz.

– Oho, widzę, że koniec z kurtuazją, co, pani doktor? – zażartował Saúl. – I bardzo dobrze, to mi się podoba. W gronie przyjaciół nie trzeba ceremonii. Proszę, weź sobie piwo, on wypił już dwa.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Uratowałem twojego przyjaciela przed wylądowaniem w valcabadyjskim więzieniu. Już chociażby za to powinniście być mi wdzięczni, biliby się tam o niego jak o nowiutką zabawkę.

Enigma zignorowała jego słowa.

– Co tu się wyrabia, Faro? Czemu nagle wciągnąłeś tego księżulka w nasze sprawy? Powinieneś skonsultować taką decyzję.

Słuchałem jej jednym uchem.

– Popatrz – powiedziałem, pokazując jej inskrypcję na Mieczu. – *In hoc signo vincitur inimicus*, widzisz? To właśnie jest klucz... Klucz do wszystkiego!

– Na miłość boską! Zachowujesz się jak dziecko po wizycie Świętego Mikołaja! Mógłbyś zostawić ten grat i przez chwilę mnie posłuchać? – Enigma wyrwała mi z ręki Miecz i rzuciła go na łóżko. – Ksiądz. Co tu robi ten cholerny ksiądz?

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem.

– Co robi...? No... pomaga nam odnaleźć Miasto Świętych Mężów, to chyba jasne. Nie mówiłem ci o tłumaczeniach? I o Alzadze?

Enigma prychnęła jak rozwścieczona kotka. Bałem się, że zaraz mi przyłoży. W końcu uświadomiłem sobie, że znalazła się w sytuacji aktorki, która trafiła na plan filmowy już po rozpoczęciu zdjęć i bez znajomości scenariusza. Czasem, kiedy dam się zbyt łatwo ponieść entuzjazmowi, zdarza mi się zapominać o drobnych szczegółach.

W ciągu następnych kilku minut streściłem więc Enigmie wszystko, co przydarzyło mi się od rana, kiedy wyszedłem z hotelu do archiwum diecezjalnego. Pomiąłem tylko to, co – jak sądziłem – udało mi się odkryć dzięki przekładom Saula. Nie chciałem ujawniać tej informacji, zanim przyjdzie stosowny moment, kiedy zrobi największe wrażenie.

Przyznaję, że mam słabość do efekciarstwa.

Kiedy Enigma zapoznała się już z sytuacją, trochę się uspokoiła, chociaż nadal nie była zachwycona obecnością Saula.

– A ty co niby będziesz miał z tego wszystkiego? – zapytała. – Wydaje mi się to bardzo podejrzane.

– Och, ja nic z tego nie będę miał, pani doktor. – Ksiądz uparcie tytułował Enigmę fałszywym stopniem naukowym. – Prawdę mówiąc, twój przyjaciel rozbudził moją ciekawość. Chciałbym się dowiedzieć, jak ta cała sprawa się skończy, to wszystko.

– A tobie... tobie to nie przeszkadza? – zwróciła się do mnie Enigma.

Odparłem, że nie mam nic przeciwko. Stwierdziłem, że Saúl zapracował sobie na zaufanie, w końcu pomógł mi uciec przed żołnierzami i pokazał swoje przekłady, a wszystko to bez zadawania niewygodnych pytań. Owszem, mnie również wydawało się to nieco dziwne i podejrzewałem, że duchowny nie udziela nam pomocy z pobudek czysto altruistycznych, ale nie pierwszy raz mieliśmy współpracować z osobą o nie do końca jasnych intencjach. Swoimi czynami Saúl udowodnił, że przynajmniej nie jest naszym wrogiem. Poza tym wierzyłem, że jego wiedza może nam się jeszcze bardzo przydać.

– Zgoda, niech ci będzie – skapitulowała Enigma. – W takim razie przekształcimy się w kółko parafialne... I co niby mamy teraz robić?

– Nic. Czekać.

– Na co? – zapytał Saúl.

Zerknąłem na zegarek.

– Za parę godzin będziemy mogli wrócić na wykopaliska bez ryzyka natknięcia się na Cronina, Yoonaha czy kogoś innego. Tymczasem możemy coś zjeść. Czy tylko ja jestem głodny?

Przetrzymałem towarzyszy trochę dłużej niż parę godzin. Przez cały ten czas ze stoickim spokojem znosiłem ich nieustające pytania, jak również obiekcje względem stawienia się na wykopaliskach, kiedy będą tam już tylko ludzie z Wotanu, jakbyśmy zamierzali zrobić coś nielegalnego.

Przyznałem, że w pewnym sensie było to zgodne z prawdą. Planowałem przeprowadzić w kościele mały eksperyment i zamierzałem zrobić to za plecami naukowców z Projektu Lilith. Jeśli chodzi o najemników z Wotanu, niespecjalnie się nimi przejmowałem. Nie powinno ich zdziwić, że troje członków ekipy archeologicznej będzie

chciało się dostać na teren robót pod jakimkolwiek pretekstem. W naszych umowach zapisano, że zarówno doktor Alicia Jordán, jak i ojciec Saúl mają prawo swobodnie wchodzić na wykopaliska i wychodzić z nich, kiedy im się podoba.

Na podstawie harmonogramu prac ustalonego przez Cronina doszedłem do wniosku, że archeolodzy powinni opuścić stanowisko punktualnie o dwudziestej. Na wszelki wypadek postanowiłem odczekać jeszcze godzinę, zanim się tam udamy.

Było już po zmroku, kiedy wsiedliśmy z Enigmą i Saulem do jego zdezelowanego auta i ruszyliśmy w drogę do Funzalu. Zostawiliśmy za sobą ulice La Victorii i znaleźliśmy się pod pięknym nocnym niebem, bezksiężycowym, bezchmurnym i usianym gwiazdami. Ponad naszymi głowami lśnił srebrny deszcz.

Strażnik z Wotanu zatrzymał nas pod bramą prowadzącą na wykopaliska. Kiedy pokazaliśmy mu identyfikatory, wpuścił nas, niczego nie podejrzewając.

Na terenie wykopalisk panowała atmosfera przerwanej nagle pracy. Puste baraki, porzucone narzędzia i pojazdy, ani śladu żywej duszy, nie licząc facetów z Wotanu stojących na straży kawał drogi od dziury w ziemi, w której znajdował się kościół. Cronin zabronił im się zbliżać, żeby nie naruszyli stanowiska archeologicznego. Na to właśnie liczyłem.

Zeszliśmy z Saulem i Enigmą po drabinkach aż na samo dno. W ciemnościach nocy, pod baldachimem gwiazd świątynia zdawała się jeszcze bardziej tajemnicza, niczym obiekt z innego świata.

Przed wejściem do budowli Enigma zadarła głowę, spojrzała w niebo i wyrwał jej się okrzyk zachwytu. Zrobiłem to samo. Widok naprawdę zapierał dech w piersiach. Płachta aksamitu upstrzona milionami diamentów. Można się było poczuć, jakby patrzyli na nas wszyscy bogowie wszechświata.

– Imponujące, prawda? – zagadnął Saúl. – To właśnie tutaj, w Funzalu, Walkatekowie obserwowali gwiazdy.

– Wiem – odpowiedziałem, przypominając sobie słowa Bańki sprzed kilku dni. – Podobno tutaj mieli obserwatorium.

– Zgadza się. Chociaż chyba trzeba będzie zweryfikować tę hipotezę. Gdyby tak było, ruiny budynku zostałyby wykopane razem z kościołem.

Skończyliśmy się rozpląwać nad urodą nocnego firmamentu i weszliśmy do świątyni. Wewnątrz panował nieprzenikniony mrok, ale na szczęście mieliśmy przy sobie latarki.

Enigma podeszła do ołtarza i zatrzymała się przed nim, przyglądając się kopule nad transeptem.

– No jasne – oświadczyła nagle. – Możliwe, że jesteśmy w środku...

Ksiądz popatrzył na nią z zaskoczeniem. Mnie z kolei jej zachowanie zupełnie nie zdziwiło.

– Znowu to robisz – powiedziałem do Enigmy, jednocześnie wyjmując z jej plecaka Miecz Archistratega. – Myślisz na głos.

– Co...? Ojej, poważnie? Przepraszam, nie wiedziałam.

Uśmiechnąłem się w ciemności. Nie potrafiłem sobie wyobrazić bardziej uroczej kobiety.

– Oświeć nas, jesteśmy prawdopodobnie w środku czego? – zapytałem.

Wskazała na kopułę.

– Spójrz na te wielkie prostokątne otwory. Widać przez nie gwiazdy. Może nie odkryliśmy innych pozostałości po starożytnym obserwatorium, bo właśnie w nim jesteśmy... i tak koło się zamyka.

Saúl pokiwał głową w zamyśleniu.

– To... to ma całkiem sporo sensu, pani doktor.

– Zwróćcie też uwagę na te wszystkie koła i sprężyny pod kopułą. – Enigma poświęciła latarką we wspomniane miejsce. – Jakby mogła się obracać wokół własnej osi. Gdyby umieścić tam gigantyczny teleskop, można by podziwiać całą galaktykę.

– Niemożliwe, żeby to był jakiś mechanizm – oznajmił stanowczo Saúl. – Walkatekowie nie znali takiej technologii. To pewnie zwykłe elementy dekoracyjne.

– Nie, to tryby. Widać to jak na dłoni.

– Walkatekowie nie znali takich maszyn. Nikt zresztą ich nie znał w czasach, kiedy zbudowano ten kościół.

– Tak? Muszę ci opowiedzieć, co widziałam podczas niedawnej podróży do Asturii...

– Może innym razem – wtrąciłem się. Wyjąłem z kieszeni jeden z przekładów autorstwa Saula i poprosiłem go o pomoc.

– Czego ci trzeba, synku?

– Chodzi mi o to zdanie: „Ja chronię pobożnych”. Pamiętasz, w której części kościoła je umieszczono?

– Proste, to jedna z niewielu inskrypcji, która pojawia się tylko raz. Jest tam.

– Książd podszedł do ściany od strony północnej i wskazał na kamienny blok z otworem wielkości monety. – A czemu pytasz?

– To jest zamek – podniosłem Miecz Archistratega na wysokość wzroku Saula – a oto klucz. Spójrz na inskrypcję: *In hoc signo vincitur inimicus*. Wiesz, co to znaczy?

– „Pod tym znakiem zwyciężysz wrogów”.

– Owszem... Nie brzmi ci to znajomo? – Duchowny wzruszył ramionami. – To druga część królewskiego motto. Całość brzmi: „Ten znak chroni pobożnych. Pod tym znakiem zwyciężysz wrogów”. Ten artefakt to element układanki. Drugi fragment tkwi tutaj, w tym murze. – Wskazałem walkatecką inskrypcję na ścianie. „Ja chronię pobożnych”. To zdanie nie powtarza się nigdzie indziej na terenie kościoła, żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości. Klucz pasuje tylko tutaj, w ten sposób motto zostanie uzupełnione. „Ja chronię pobożnych...”

– „...pod tym znakiem zwyciężysz wrogów” – dopowiedziała Enigma. Popatrzyła na Saula i uśmiechnęła się szeroko. – Strasznie lubię, kiedy tak robi.

Na jednym z końców Miecza znajdował się ząbkowany wihajster, który idealnie pasował do otworu w kamiennym bloku. Złapałem za drugi koniec, ten w kształcie koła, i popchnąłem, aż rozległ się metaliczny zgrzyt. Miecz mocno tkwił w ścianie.

Saúl pokiwał głową z aprobatą, jakby próbował nie okazać całego podziwu, jaki odczuwał.

– No, synku, nieźle ci to wyszło...

– Dzięki.

– I co teraz?

Rozpierająca mnie duma nieco osłabła. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Założyłem, że w momencie wpasowania Miecza w odpowiednie miejsce od razu ukaże się naszym oczom kolejna wskazówka albo w ogóle rozwiązanie całej tajemnicy. Przynajmniej do tej pory tak to zwykle działało.

Tym razem jednak Miecz sterczał sobie spokojnie ze ściany, a nasze otoczenie pozostawało bez zmian: żadnych sekretnych przejść czy ukrytych kufków, które nagle by się otworzyły. Żadnego skutku. Nic.

Skończyły mi się pomysły.

Zaczęło mnie ogarniać pewne zakłopotanie.

– Nie wiem... Myślałem, że coś się stanie... cokolwiek...

Saúl położył mi dłoń na ramieniu i przemówił protekcyjnym tonem:

– Nie przejmuj się, synku, ważne, że próbowałeś. Dam ci jednak pewną radę... Lekcję życiowej mądrości od starego wyjadacza, jeśli nie masz nic przeciwko. Czasem wkładamy tyle wysiłku w rozwiązanie skomplikowanych problemów, że nie przychodzą nam do głowy najbardziej oczywiste metody.

– Tak, dziękuję, ale...

– Nie, nie, nie – przerwał mi Saúl, unosząc palec. – Chwileczkę, zadam ci pytanie: kiedy wkładasz klucz do zamka, co zwykle robisz potem?

– Eee... przekręcam go?

– Bingo.

Saúl popluł na dłonie, chwycił koło na końcu Miecza i zaczął nim skręcać jak kierownicą. Okazało się to niełatwym zadaniem, musiał się porządnie wysilić, żeby klucz chociaż drgnął. Zacisnął zęby, wyraźnie napięły mu się ścięgna na szyi, naszych uszu dobiegł kolejny zgrzyt, tym razem głośniejszy, i koło zaczęło się obracać.

Saúl puścił koło, które dalej kręciło się już samo, powoli. Nad naszymi głowami rozległ się metaliczny pomruk, który rozniósł się echem po całym kościele. Podnieśliśmy wzrok na kopułę nad transeptem i zobaczyliśmy, jak tryby w jej wnętrzu obracają się kolejno, wywołując reakcję łańcuchową. Spomiędzy zębów spadały na nas tumany ziemi i kurzu.

Kopuła zaczęła się obracać wokół własnej osi niczym gigantyczne zwierzę, które wybudza się ze stuletniej hibernacji. Wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni, po czym znieruchomiała.

Saúl stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzył na nas z nieukrywaną satysfakcją.

– Wystarczyło przekręcić. Załapałam – powiedziała Enigma z promiennym uśmiechem. – Świetnie. Dobra robota.

– Taa... Cóż... jestem pewny, że prędzej czy później każde z nas by na to wpadło – skwitowałem.

– Bez wątplenia, synku, bez wątplenia. – Saúl znów poklepał mnie krzepiąco po ramieniu.

Trochę mnie już to drażniło.

Ustawiliśmy się pod kopułą, żeby sprawdzić, czy nie pojawiła się na niej jakaś potencjalna wskazówka. Z początku wyglądało na to, że zmieniło się wyłącznie jej położenie.

Czyli odkrycie Saula wcale nie okazało się takie przełomowe. Oczywiście było mi z tego powodu przykro.

Może nie przesadnie, ale przykro.

– Wróciliśmy do punktu wyjścia – stwierdziłem.

– Niekoniecznie. Zwróćcie uwagę na te cztery otwory w kopule. Widać przez nie niebo – zauważyła Enigma.

– Wcześniej też było je widać.

– Tak, ale teraz wskazują konkretne gwiazdozbiory.

– Rozpoznajesz je?

– Oczywiście, złotko. Znam mapę nieba jak własną kieszeń, zarówno na półkuli północnej, jak i na południowej. Byłam przewodniczącą kółka astronomicznego przez trzy lata z rzędu.

– A co się stało w czwartym roku? – zapytał Saúl.

– Zerwałam ze skarbnikiem. – Enigma wskazywała kolejno otwory w kopule. Widać było przez nie poszczególne konstelacje. Piękny widok, ale dla mnie zupełnie niezrozumiały. – Spójrzcie: tam jest Byk, później Wodnik, dalej Skorpion i w końcu Lew.

– Wszystkie odpowiadają znakom zodiaku – powiedziałem. – Walkateckie Szlaki Indian też nosiły nazwy gwiazdozbiorów, prawda, Saulu? Pamiętam, wspominałeś, że jeden z nich miał związek ze Skorpionem.

– Zgadza się, Droga Węża. Istniała też Droga Myszy, czyli Lwa. Droga Pajaka to odpowiednik Byka, a Droga Wędrowca to nasz Wodnik.

– „Drogą gwiazd, w kolejności, w jakiej zapisano słowo, od pierwszego aż do ostatniego” – przywołałem fragment walkateckiego tekstu wrytego na ołtarzu. Spojrzałem na towarzyszy, wskazując na kopułę. – Oto mamy gwiazdną trasę: Mysz, Wąż, Pajak i Wędrowiec.

– No tak, mapa króla Alfonsa – powiedziała Enigma. – Czyli pod kościołem w San Cristóbal de Bayura rzeczywiście ukryto mapę... a przynajmniej sposób dotarcia do niej. Konstelacje wskazują nazwy szlaków, którymi trzeba podążać, żeby dotrzeć do Miasta Świętych Mężów.

– No dobrze, ale w jakiej kolejności? Od którego powinniśmy zacząć i kiedy przejść z jednego szlaku na drugi? – zapytał Saúl. – Macie rację, to faktycznie mapa, ale nadal jest niekompletna.

– W kolejności, w jakiej zapisano słowo – powtórzyłem, mówiąc raczej do siebie niż do nich. – Od pierwszego aż do ostatniego... w kolejności, w jakiej zapisano... słowo... słowo...

Cmoknąłem z niezadowoleniem. Nic mi nie przychodziło do głowy.

– Możesz powtórzyć to sobie i z tysiąc razy, synku. Nadal nie ma to żadnego sensu.

– Ale to przecież musi coś znaczyć. Jestem pewny, że w tym zdaniu zawarto wskazówkę, od którego szlaku powinniśmy zacząć.

– Nawet jeśli masz rację, i tak brakowałoby nam informacji. Powtarzałem ci nie

raz, że w dzisiejszych czasach nikt nie zna przebiegu Szlaków Indian. Te wskazówki może i były użyteczne w czasach Walkateków, ale teraz są już na nic. – Saúl westchnął ciężko i spojrział mi w oczy. Wyglądał na przygnębionego. – Przykro mi, synku. Odwaliłeś kawał świetnej roboty, ale nawet teraz, kiedy mamy już wszystkie wskazówki, odnalezienie tego miasta pozostaje niemożliwe.

Zapadła niezręczna cisza. Spojrzałem błagalnie na Enigmę, licząc na jej wsparcie.

– Obawiam się, że on ma rację...

– Nie, nie ma – zaprotestowałem. – Oboje się mylicie.

Zdawałem sobie sprawę, że nie przedstawiam żadnego argumentu, tylko urządzam sceny jak krnąbrne dziecko. W głębi duszy przyznawałem Saulowi rację, jego obiekcje miały solidne podstawy. Żadna mapa na nic się nie przyda, jeśli opisana na niej trasa nie istnieje albo jest niemożliwa do namierzenia. Wskazówki tak starannie ukryte przez Teobalda i jego mnichów dotarły do nas o trzysta lat za późno i ani my, ani nikt inny nie mógł już z nich skorzystać.

W kościele nie było dla nas więcej wskazówek, więc wróciliśmy do samochodu Saula i opuściliśmy wykopaliska.

W drodze powrotnej nie miałem ochoty na rozmowy, zachowywałem się wręcz gburowato. Bolało mnie poczucie porażki oraz brak wsparcia ze strony koleżanki. Przyznaję, że to infantylna postawa, ale nie zawsze można łatwo pogodzić się z porażką i okazać szlachetność ducha. A jeśli chodzi o mnie, nigdy nie potrafiłem godnie przegrywać.

Saúl wysadził nas pod hotelem Embajadores. Pożegnaliśmy się szorstko i bez ceremonii. Na pewno wszyscy troje uznaliśmy, że już nigdy nie spotkamy się w takim gronie. W końcu nie było ku temu żadnych powodów.

Skoro wszystkie tajemnice skrywane przez starą świątynię zostały już ujawnione, nie było sensu, żebyśmy zostawali z Enigmą na wykopaliskach. Jediną pociechę stanowił dla mnie fakt, że Miasto Świętych Mężów pozostawało równie daleko poza naszym zasięgiem, jak poza zasięgiem Voynicha. Remis techniczny. Oboje przegraliśmy.

W hotelu ruszyliśmy w stronę swoich pokoi, które znajdowały się obok siebie. Enigma próbowała nawiązać ze mną rozmowę, ale ciągle byłem nie w sosie. Z moich ust padały tylko monosylaby. W końcu oboje zamilkliśmy i na jakiś czas zapadła cisza.

– Jutro powinniśmy chyba zadzwonić do Cronina i powiedzieć mu, że twoje problemy z sercem się nasiliły – powiedziałem w końcu lodowatym tonem. – Że nie czujesz się na siłach, żeby dalej pracować na wykopaliskach. Spakujemy manatki i ewakuujemy się z tej dziury. Wszyscy.

– Skoro tego właśnie chcesz...

– Tak, tego właśnie chcę. Saúl ma rację: nie uda nam się odnaleźć tego miasta. Lepiej pogódźmy się z tym jak najszybciej i dajmy sobie spokój z tymi bzdurami, póki jeszcze nie jest za późno. – Enigma nie odpowiedziała. Nawet na mnie nie popatrzyła. Wydałem z siebie westchnienie znużenia. – Nie wiem, co mi odpierdoliło. Upozorowałem własną śmierć, kazałem ci udawać moją matkę, przywlokłem Bańkę i Yokaiego do kraju, w którym lada moment wybuchnie wojna, zrezygnowałem z posady w Interpolu...

Wszystko na nic. Kompletna pomyłka.

– Cóż... – odezwała się z wyraźnym skrepowaniem. – Wszyscy od czasu do czasu popełniamy błędy.

– Ten akurat był kolosalny, dałem prawdziwy popis głupoty. Możesz podziwiać efekty.

Enigma zamyśliła się głęboko. Po kilku chwilach milczenia powiedziała:

– Rozczulanie się nad sobą, defetyzm, szczypta wulgarności... To fascynujące poznawać te mroczniejsze aspekty twojej osobowości. Zaczynałam już wierzyć, że wcale ich nie masz.

– A co to za psychoanaliza z dupy?

– Chcesz się poddać i uciekać gdzie pieprz rośnie na podstawie opinii człowieka, któremu jeszcze parę dni temu nie ufałeś. Ciekawe... – Enigma przyglądała mi się jak preparatowi pod mikroskopem. – To nie w twoim stylu.

– Nie w moim stylu? A co mam powiedzieć o tobie? Tam, w kościele, to ty chętnie zgadzałaś się z jego obiekcjami. Zdecydowanie chętniej niż ja.

– Chodziło mi tylko i wyłącznie o to, że tok jego rozumowania wydał mi się logiczny, ale przez myśl mi nie przeszło, że nie istnieje rozwiązanie naszego problemu, nawet jeśli bardzo trudno będzie nam je znaleźć.

– Mogłaś wyrazić to takimi słowami. Przydałoby mi się nieco wsparcia.

– Zależy ci na moim wsparciu? Świetnie. Będę biła brawo, krzyczała jak wariatka i wymachiwała pomponami za każdym razem, kiedy ktoś powie coś, co nie przypadnie ci do gustu. Każę Bańce i Yokaiemu nosić koszulki z napisem: „Nigdy się nie poddawaj, Faro!”, bo ewidentnie potrzebujesz nie ekipy Poszukiwaczy, tylko grupy motywacyjnej. – Chcąc nie chcąc, uśmiechnąłem się pod nosem. – Co cię obchodzi moje zdanie? Jeśli nie zgadzasz się z moją opinią, możesz mnie skrytykować, ale nie musisz od razu dochodzić do wniosku, że wszystko jest bez sensu.

– W tym sęk, że twoje zdanie się dla mnie liczy – powiedziałem. – Jest dla mnie ważniejsze niż opinia kogokolwiek innego.

Spojrzałem w jej oczy. Intensywnie zielone. Takie piękne.

Nachyliłem się nad nią.

– Zaczekaj chwilę – wypaliła nagle. – Zamierzasz mnie pocałować?

Pytanie podziało na mnie jak kostka lodu wrzucona za kołnierz koszuli.

– Eee... nie wiem... – wyjąkałem. – Mogę?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak mam na to zareagować. Nastawiłam się na klótnię, a nie na to, że będziesz mnie chciał pocałować. Tak jak wtedy w Asturii: myślałam, że po prostu się pożegnamy, a tu nagle... Podsumowując, wolałabym, żebyś mnie uprzedzał, kiedy zamierzasz zrobić coś takiego.

– Wiesz co? Zapomnij. To najwyraźniej nie jest mój dzień. W żadnej dziedzinie. Dobranoc.

Wśliznąłem się do swojego pokoju jak mysz, która z podkulonym ogonem zmyka do norki. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie plecami, a policzki płonęły mi żywym ogniem.

Nagle usłyszałem pukanie.

Otworzyłem. Enigma.

– Co?

– Nic. Tylko... to mój pokój.

Spojrzałem na numer.

– No tak. Zgadza się. Mój jest obok, jasne. – Palnąłem się w czoło. – Idiota!

Czym prędzej ruszyłem do wyjścia, z opuszczoną głową, pilnując, żeby nie zdeptać swojej godności, która zapewne poniewierała się gdzieś w strzępach po podłodze.

Wtedy Enigma złapała mnie za ramię. Odwróciłem się, a ona ujęła moją twarz w dłonie i jej usta wylądowały na moich wargach. Pocałunek jak grom z jasnego nieba. Długi i mocny, jakby chciała za wszelką cenę mnie zatrzymać. Nawet kiedy nasze wargi już się rozdzieliły, ona nadal trzymała ręce na moich ramionach i obejmowała mnie za szyję.

– Przepraszam – powiedziała. – Tym razem to ja cię nie uprzedziłam.

– A jakie to ma znaczenie, do cholery?

Znowu się na nią rzuciłem i nie mogłem myśleć o niczym innym, chciałem tylko zapamiętać ją całą swoimi ustami.

Przyjęła mnie entuzjastycznie i łapczywie. W naszych pocałunkach nie było śladu delikatnej zmysłowości. Oboje już od tak dawna używaliśmy łóżka wyłącznie do spania, że nasze hormony wybuchnęły radością jak przed imprezą niespodzianką.

Przebiegałem dłońmi po jej plecach, jakbym chciał wyciągnąć cały ogień z jej skóry. Sprawy przybrały poważny obrót, kiedy Enigma od tyłu wsunęła ręce w moje spodnie. Potykając się, dotarliśmy do pierwszej poziomej powierzchni, która się nawinęła. Na szczęście było to łóżko, więc upadliśmy na miękkim materacu, nie przestając się całować i dotykać.

Pierwszą nieszczęsną ofiarą tej zacieklej rundy zapasów padły guziki mojej koszuli. Przepadły bezpowrotnie we wszystkich kątach pokoju, bo Enigma uznała, że szkoda tracić czasu na ich rozpinanie, a ja podzielałem ten pogląd. Tymczasem próbowałem pozbyć się spodni wierzgnięciami, gdyż ręce miałem zajęte w znacznie ciekawszych miejscach.

Potem ona ściągnęła koszulkę i cisnęła ją gdzieś na bok jak najbardziej bezużyteczny przedmiot wytworzony przez człowieka. W tamtej chwili niewątpliwie tak właśnie było. Kolejne części odzieży fruwały w powietrzu, a nasze pocałunki coraz częściej przechodziły w lekkie gryzienie. Kiedy poczułem na płatku ucha ukłucie jej zębów, aż zadrzałem od przyjemnego bólu.

Enigma popchnęła mnie na łóżko i usiadła na mnie okrakiem. Wyrznąłem głową o wezglowie – ten ból sprawił mi nieco mniej przyjemności. Wyrwał mi się jęk i złapałem się za czubek czaszki. Enigma wybuchnęła śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, nie przestając mnie całować.

– Nic się nie stało. – I znowu się uderzyłem, tym razem jeszcze mocniej. – Ała!

Ona znów się roześmiała. Ten dźwięk brzmiał cudownie, zapragnąłem do niej dołączyć. Przestaliśmy eksplorować wzajemnie swoje ciała i nie mogliśmy przestać zanosić się śmiechem, jak dwójka stukniętych nastolatków, którzy chichrają się z żartu zrozumiałego tylko dla nich.

Kiedy już się uspokoiiliśmy, postanowiłem przez chwilę przyjrzeć się jej w ciszy

i skupieniu, bo nagle poczułem się tak, jakbym do tej pory złopał bardzo drogie i ekskluzywne wino wielkimi haustami, prosto z butelki, zamiast się nim delektować. Ująłem jej twarz w dłonie i z zachwytem wpatrywałem się w jej zielone oczy, oczy barwy fortuny.

– Jesteś przepiękna...

– Wiem.

Pocałowała mnie. Teraz postanowiliśmy się już nie śpieszyć. Jej usta dotykały moich w sposób, jakiego nie potrafiłbym sobie nigdy wyobrazić. Pobudzała nerwy pod moją skórą, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Zacząłem myśleć, że to będzie niezapomniana noc.

Wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. W krótkiej chwili, kiedy mój mózg odzyskał zdolność reakcji bardziej złożonej niż zlecenie pompowania krwi do zupełnie innej części ciała, gdzieś na obrzeżach umysłu mignął mi jakiś obraz.

Twarz Danny.

Efekt był piorunujący.

Właśnie w tym momencie zupełnie nie chciałem o niej myśleć, ale okazało się to niemożliwe. To była jedna z tych okropnych, męczących sytuacji, kiedy ktoś mówi ci nagle: „Nie myśl o kangurach”. Zwykle raczej nikt nie myśli o kangurach... Dopóki ktoś nie powie ci, żebyś tego nie robił, a wtedy nie jesteś w stanie wybić sobie tych głupich torbaczy z głowy.

„Nie myśl o Danny... nie myśl o Danny...”

Ale z chwili na chwilę wizja stawała się coraz wyraźniejsza, przyćmiewała wszystko inne.

Poczułem w sercu silne ukłucie winy, które zagłuszyło wszelkie inne odczucia, czy to powyżej, czy poniżej pasa.

„Nie myśl o Danny...”

„O Danny, która zniknęła, być może wpadła w poważne tarapaty. O Danny, którą zostawiłeś i wyjechałeś do Francji, bo uznałeś, że nie możesz pozostawać w związku z członkinią Korpusu Poszukiwaczy. O tej Danny. Nie myśl o niej”.

Enigma zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

– Co się dzieje?

Niech to szlag...

Nie mogłem tego ciągnąć. Czułem się tak, jakbym dopuszczał się najgorszej zdrady. Zaczął mnie nawet trochę pobolewać brzuch. Usiadłem na brzegu łóżka, oparłem głowę na rękach i powiedziałem coś, czego – byłem tego pewny – miałem potem żałować.

– Nie mogę. To nie... Nie możemy tego zrobić, to nie w porządku. – Enigma spojrzała na mnie pytająco. Zdołałem wydusić jeszcze tylko jedno słowo: – Danny.

Powoli pokiwała głową. Pomyślałem (a raczej chciałem tak myśleć), że mnie rozumie, że jakimś cudem zna myśli kłębiące mi się w głowie.

Usiadła obok i pogładziła mnie po włosach. Dotyk jej palców prześlizgujących się po mojej głowie był niesamowity. Zdecydowanie nie ułatwiała mi sprawy. Nie zmieniłem jednak zdania, nadal uważałem, że postępuję niewłaściwie.

– Szkoda... – powiedziała. – Ale może to i lepiej. Nigdy nie czułam się dobrze

w roli ciała z cudzą głową.

Wstała i zaczęła się ubierać. Nie wiem, czy była obrażona, czy rozczarowana, bo nie odważyłem się spojrzeć jej w twarz i wyczytać uczucia z oczu.

– Nie o to chodzi – zaproponowałem. Próbowałem się wytłumaczyć, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. – Muszę się upewnić, że nic jej nie jest. Muszę zobaczyć ją całą i zdrową.

– A co potem, Faro? – zapytała bardzo poważnym tonem. – Będziesz kontynuował sprawę od punktu, w którym przerwałeś? To świetnie, ale chciałabym wiedzieć, do kogo właściwie zamierzasz wrócić.

– Do ciebie – oznajmiłem stanowczo. – Chciałbym być z tobą.

Najwyraźniej nie wypadłem jednak zbyt przekonująco.

– Może i tak – odparła. – Lepiej już sobie idź. W tej chwili nie mam ochoty przebywać z tobą w jednym pomieszczeniu.

Ubrałem się i wyszedłem z jej pokoju, zgarbiony i ze zwieszoną głową, przytłoczony ciężarem całej masy złych decyzji.

J 8,12. [\[wróć\]](#)

J 14,6. [\[wróć\]](#)

Ap 1,17. [\[wróć\]](#)

Hbr 10,30. [\[wróć\]](#)

J 14,6. [\[wróć\]](#)

REZERWAT

Nazajutrz unikałem Enigmy jak ostatni tchórz, podejrzewałem zresztą, że i ona raczej nie chce mieć ze mną do czynienia.

Z samego rana wyszedłem z hotelu i udałem się do bazy, żeby porozmawiać z Bańką i Yokaim. Miałem im do przekazania spory pakiet nowych wieści.

Yokai zajmował swoje stałe miejsce na kanapie, z laptopem na kolanach, a jego palce jak zwykle tańczyły po klawiaturze. Na moje powitanie odpowiedział nieartykułowanym mruknięciem.

– Chyba ciągle próbuje dłużyć w manuskrypcie – wyjaśnił mi Bańka. – Co wczoraj robiliście z Enigmą? Nie odzywaliście się do nas przez cały dzień.

Zrelacjonowanie wydarzeń minionego dnia zajęło mi dłuższą chwilę: od znalezienia ciała Alzagi w archiwum do wyprawy na wykopaliska z Saulem i Enigmą. Na tym zakończyłem moją opowieść. Uznałem, że koledzy nie muszą wiedzieć o późniejszym incydencie, zwłaszcza Yokai, który ciągle był przecież niepełnoletni.

Również dyskusja, która nastąpiła po mojej relacji, była długa i szczegółowa. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że śmierć Alzagi, przynajmniej na razie, pozostaje niewyjaśnioną zagadką, ale bardzo dla nas korzystną, więc postanowiliśmy nie roztrząsać tej sprawy. Znacznie bardziej ożywiona okazała się jednak wymiana poglądów w kwestii dalszych kroków, jakie powinniśmy podjąć.

Bańka uznał, że najrozsądniej i najbezpieczniej by było, gdybyśmy odcięli się z Enigmą od Projektu Lilith i nie wracali już na wykopaliska. Tak naprawdę ten plan nie podobał mu się od samego początku. Zgadzał się ze mną, że wyciągnęliśmy z kościoła w Funzalu już wszystkie możliwe wskazówki.

Z dużo większą rezerwą podszedł jednak do pomysłu natychmiastowego wyjazdu z Valcabado. Choć przyznał, że nasze szanse na odnalezienie miasta założonego przez Teobalda i jego mnichów są raczej niewielkie, a ogólna sytuacja panująca w kraju nie zachęca do pozostawania w nim dłużej niż to absolutnie konieczne, nie chciał przyjąć do wiadomości, że nasza misja dobiegła końca. Bańka, podobnie jak ja, postawił całą swoją przyszłość na jedną kartę, żeby ta wyprawa doszła do skutku, zamierzał więc walczyć do upadłego.

Zaproponował, żebyśmy przedłużyli nasz pobyt w La Victorii przynajmniej do czasu wydania nakazu ekstradycji Cronina przez policję brytyjską, chociażby po to, żeby się przekonać, jak się skończy ta sprawa. Lacombe twierdziła podobno, że ma to nastąpić lada chwila, nie później niż w ciągu dwóch, może trzech dni.

Zapytałem o zdanie Yokaiego, ale chłopak wykręcił się od odpowiedzi.

– Ja tam głosuję za tym, co powie Bańka – odparł, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa. – W tych grubasnych szklach to na bank on jest najbystrzejszy z waszej trójki.

– Po powrocie do Madrytu zamierzam się zoperować – burknął Poszukiwacz.

– Przysięgam, że pozbędę się tych pieprzonych denek od słoików, nawet gdyby miało to być ostatnie, co zrobię w tym życiu.

– Nie rób tego, złotko, moim zdaniem bardzo ci w nich do twarzy.

Komplement ten padł z ust Enigmy, która musiała zaledwie chwilę wcześniej przekroczyć próg bazy.

Stała na baczność, jak szeregowiec na widok generała. Enigma tymczasem witała się z resztą ekipy. Potem zwróciła się do mnie i zapytała, dlaczego na nią nie poczekałem i sam poszedłem do bazy.

Zachowywała się, jakby poprzedniej nocy nic się nie wydarzyło, podczas gdy ja nie czułem się na siłach spojrzeć jej w oczy. Już któryś raz totalnie nie nadażalem za jej tokiem myślenia.

– Ja... Nie wiem... Było jeszcze bardzo wcześnie. Myślałem, że może nie chcesz...

– Co? Spędzać ze mną czasu? Nigdy więcej się do mnie odezwać? – ...się zrywać.

– Tak pomyślałeś? No widzisz, a ja musiałam sama pójść na śniadanie. Nie lubię jadać sama w miejscach publicznych, zawsze odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy gapią się na mnie z politowaniem. – Usiadła na kanapie obok Yokaiego. Wybrała kąt pokoju najbardziej odległy ode mnie. – No nic, może przynajmniej ucieszy cię wiadomość, że kiedy ty haniebnie mnie opuściłeś, ja zrobiłam coś pożytecznego. Zadzwoiłam do Cronina. Nie musimy już wracać na wykopaliska.

– Zajeście – ucieszył się Bańka. – Łatwo poszło.

– Łatwo? Nic z tych rzeczy. Musiałam posłużyć się moim najbardziej przekonującym głosem obłożnie chorej i wmówić mu, że jestem już jedną nogą w grobie, a jeśli natychmiast nie wrócę do Hiszpanii, dostanę zawału i będzie mnie miał na sumieniu. To była długa i bardzo rzewna rozmowa. Nic przyjemnego.

Chciała się dowiedzieć, co robiliśmy pod jej nieobecność, więc streściliśmy jej nasze wnioski i decyzje. Podobnie jak Bańka, uważała, że warto zostać parę dni w Valcabado.

– Jak sobie chcecie – oznajmiłem. – Ale nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Czuję się całkowicie zablokowany.

– Wielka szkoda, złotko. Mam wrażenie, że ostatnimi czasy często ci się to zdarza... – skwitowała złośliwie.

Bańka zasugerował, żebyśmy spisali wszystkie wskazówki, które do tej pory udało nam się uzyskać. Twierdził, że pomoże nam to usystematyzować myśli, a przy okazji sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie przegapiliśmy.

Wyjął zeszyt i długopis i zaczął robić notatki.

– No dobrze, popatrzmy: mamy teksty przetłumaczone przez księdza i gwiazdozbiory z kościoła. Byk, Lew, Skorpion i Wodnik. Wszystko wskazuje na to, że chodzi o szlaki, ale nie wiemy, w jakiej kolejności mamy nimi podążać.

– Ani gdzie w ogóle są. Nikt tego nie wie.

– Nie zniechęcaj mnie, młody, próbuję zrobić coś konstruktywnego – zbeształ mnie. – W tekście walkateckim stoi: „w kolejności, w jakiej zapisano słowo, od pierwszego aż do ostatniego”. Ale o jakie słowo chodzi?

Powtórzyłem Bańce to, co Saúl powiedział mi o formie, w jakiej „słowo” pojawiało

się w inskrypcji jako glif nawiązujący do tekstów sakralnych.

Poszukiwacz zamyślił się głęboko.

– Tekstów sakralnych, co? – mruknął. – Cztery konstelacje... Byk, Lew, Skorpion i Wodnik.

– U Walkateków: Pająk, Mysz, Wąż i Wędrowiec – dodałem.

Bańka chyba jednak mnie już nie słuchał. Intensywnie wpatrywał się w swoje zapiski, postukując końcówką długopisu o grzbiet zeszytu.

Nagle na jego wargi wypełził szelmowski półuśmiech.

– Nie mogę uwierzyć, że to przegapiłeś, młody – powiedział.

– O co ci chodzi?

– Nie, zaczekaj, chcę się trochę ponapawać tą chwilą. – Spojrzał na mnie, ciągle szczerząc się szyderczo. – Gdzie ty masz głowę, młody? Zakochałeś się czy co?

– Dawaj to. – Wyrwałem mu zeszyt z rąk. – Co niby miałem zauważyć?

– Ile mamy gwiazdozbiorów?

– Cztery?

– A gdzie były?

– Na niebie.

– Nie, kretynie. Z której części kościoła dało się je zobaczyć?

– Z kopuły – odparłem ze złością. – Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– Z kopuły. Dobrze. Cztery symbole na kopule kościoła. Powiedz mi teraz jedną rzecz: jeśli staniesz pod kopułą jakiegokolwiek kościoła na świecie, popatrzysz w górę i zobaczysz cztery obrazy, to uznasz, że co one przedstawiają?

– Hej, to akurat wiem! – wyrwał się Yokai. – To...

– Nie, trochę szacunku dla starszych, chłopcze. Pozwól odpowiedzieć szefowi – rzekł Bańka. – No dalej, Faro, nie mów mi, że nie znasz odpowiedzi.

W końcu mnie olśniło, iskra natchnienia rozbłysła w ciemności.

– Tetramorfa – stwierdziłem. – Czterech ewangelistów: Marek, Mateusz, Łukasz i Jan. – Z podnieceniem spojrzałem na Bańkę, który skinął głową. – Jak mogłem na to nie wpaść? Cztery konstelacje, czterech ewangelistów... To przeklęta tetramorfa!

– Bardziej na miejscu byłoby tu określenie „błogosławiona”, ale owszem: to właśnie to – zgodził się Poszukiwacz. – W ikonografii chrześcijańskiej każdemu z ewangelistów odpowiadał symbol, w Biblii zwany „istotą żyjącą”, a on z kolei powiązany był z konkretnym znakiem zodiaku. Święty Marek to Lew, Świętemu Łukaszowi odpowiada wół, czyli Byk. Świętego Mateusza symbolizuje anioł, skrzydlaty mężczyzna, którego utożsamia się z Wodnikiem, jedynym znakiem zodiaku przedstawianym pod postacią człowieka.

– A Bliźnięta? – wtrącił się Yokai.

– To dwoje ludzi, bystrzaku, a nie jeden człowiek.

– A co ze Świętym Janem? – zapytała Enigma. – Symbolizuje go orzeł, a to nie ma żadnego związku ze Skorpionem, czyli ostatnim gwiazdozbiorem, który było widać z kościoła.

– Ze Skorpionem może nie, ale łączy się z Antares, najjaśniejszą gwiazdą w tej konstelacji. Starożytni astronomowie zaliczali ją do czterech „gwiazd królewskich”

i uważali za strażniczkę niebios, podobną orłom.

– Łukasz to Byk, Jan to Skorpion, Marek to Lew, a Mateusz to Wodnik – podsumował Yokai z nutką podziwu w głosie. – Ja cię kręcę, stary, wygląda na to, że w tych brylach faktycznie jesteś mądrzejszy.

– Dwie magisterki i doktorat, chłopie. Mówiłem ci to już milion razy.

– Tak, i nigdy mi się nie znudzi wysłuchiwanie, jak to powtarzasz – rzucił chłopak z przekąsem.

Odkrycie Bańki nie tylko zrobiło na mnie wielkie wrażenie, lecz także zasugerowało mi nowe podejście do całej zagadki. Do głowy zaczęły mi przychodzić kolejne pomysły.

– „W kolejności, w jakiej zapisano słowo, od pierwszego aż do ostatniego” – powtórzyłem cytata. Z podniecenia zerwałem się na równe nogi i zacząłem chodzić tam i z powrotem po pokoju. – „Słowo” odnosi się do ewangelii. Teksty sakralne, Słowo Boże, więc w inskrypcji walkateckiej niewątpliwie chodzi o kolejność, w jakiej je spisano, od pierwszej aż do ostatniej. Od najstarszej do najnowszej.

– Marka, Mateusza, Łukasza i Jana – oznajmiła Enigma, zdradzając znajomość podstaw teologii. – Uważa się, że w takiej kolejności powstawały ewangelie, prawda?

– Zgadza się. I w takiej właśnie kolejności należy podążać Szlakami Indian, żeby dotrzeć do Miasta Świętych Mężów: najpierw Drogą Myszy, czyli Marka, potem Wędrowca – Mateusza, następnie Pajaka – Łukasza i w końcu Węża, czyli Jana. Wreszcie mamy kompletną mapę!

Nie posiadałem się z radości. Żałowałem nawet, że nie ma z nami Saula, mógłbym rzucić mu dumnie w twarz: „A nie mówiłem?”. Książulek już nigdy nie podałby w wątpliwość umiejętności Kawalerów Poszukiwaczy.

Unosiłem się wysoko na chmurze triumfu, ale jedno zdanie Enigmy wystarczyło, żeby brutalnie sprowadzić mnie na ziemię, na łeb na szyję i bez spadochronu.

– Nadal nie wiemy, któredy przebiegają Drogi Indian.

Na jedną cudowną chwilę udało mi się zapomnieć o tym szczególe.

– Jesteście pewni, że nikt nie ma tej informacji? – zapytał Bańka.

– Prawie na sto procent – odparłem. – Walkatekowie zabrali tę tajemnicę ze sobą do grobu. Wszyscy, którzy orientowali się w tych szlakach, nie żyją już od wieków.

Nagle odezwał się Yokai:

– Poza tym facetem.

Bańka, Enigma i ja jednocześnie zwróciliśmy głowy w stronę chłopaka, który nadal jak gdyby nigdy nic pracował na laptopie.

– Jakim facetem?

– Tym tutaj – powiedział nieświadomy pełnego oczekiwania napięcia, jakie w nas wzbudził. – Pogrzebałem trochę w Google’u, po tym jak wspomniałeś o labiryncie Walkateków.

– Kiedy? – zapytałem.

– No teraz, kiedy wy przynudzaliście o horoskopach i ewangelistach. Zobacz, co znalazłem.

Przekręcił laptopa, żebym mógł zobaczyć ekran. Wyświetlał się na nim wpis

z bloga wielbiciela anegdotek historycznych opowiadający o wydarzeniach, do których doszło w Valcabado przed około czterdziestu laty. Bohaterem historii był angielski podróżnik nazwiskiem Christopher Harding, który zorganizował wyprawę do dzungli Los Morenos, żeby odnaleźć zaginione miasto. W relacji pojawiała się wzmianka o pewnym Indianinie z La Victorii, niejakim Juanie Domingu, z którym Harding miał nawiązać kontakt. Anglik wierzył, że Domingo był potomkiem Walkateków i znał przebieg Szlaków Indian, więc próbował go namówić na dołączenie do ekspedycji. Z jakiegoś powodu, niewspomnianego w blogu, Domingo odmówił i Harding wyruszył do selwy bez niego. Od tamtej pory słuch po nim zaginął.

– To nic nie znaczy – skwitował Bańka. – Ten cały Juan Domingo pewnie już nie żyje, a nawet jeśli jest wśród żywych, to może być przecież zwykłym oszustem.

– Ale tu stoi czarno na białym – zaprotestował chłopak. – Harding miał dowody, że w La Victorii nadal mieszkają osoby, w których żyłach płynie krew Walkateków, przeczytał o tym w książce jakiegoś innego typu, Manuela Freirego. On akurat znalazł tylko tamtego gościa, ale to nie znaczy, że nie ma ich więcej.

– Skąd ta pewność?

– W dziewiętnastym wieku w Valcabado mieszkało sporo Indian, ale po odzyskaniu niepodległości pierwszy rząd zaczął dokonywać masowej eksterminacji. Ludobójstwo w pełnym tego słowa znaczeniu, tak jak w tych samych czasach w Kongu.

– Wiem – powiedziałem. – Saúl nam o tym opowiadał. Marszałek García Tamudo powybijał Indian.

– Nie, nie do końca. Wytlukł większość, ale nie wszystkich. Czytałem o tym na jednej stronie. Tych, którzy przeżyli, pozamykali w rezerwach, tłumacząc, że tam niby będą mogli żyć sobie zgodnie z własnymi prawami, rzekomo samorządnie i autonomicznie. Totalna ściema. Tak naprawdę chodziło o to, żeby odizolować ich od społeczeństwa kreolskiego i odsunąć od stanowisk rządowych. Pozbawili ich dostępu do opieki zdrowotnej, edukacji, podstawowych usług publicznych... Od tamtej pory zupełnie ich sobie podporządkowali i traktują jak zwierzęta.

– Obawiam się, że ktoś tu znowu się naczytał ulotek populistycznych bojówek – stwierdził Bańka. – Cała ta historia o tajnych rezerwach Indian brzmi absurdalnie.

Pograżyli się z Yokaim w ożywionej dyskusji, która wkrótce przerodziła się w wymianę niezwykle kreatywnych obelg i wulgaryzmów. Nie zwracałem na nich uwagi. Umysł miałem zaprzątnięty innymi sprawami.

– Muszę iść – oznajmiłem znienacka.

– Sam? Dokąd? – zdziwił się Bańka.

– Nie, nie sam – odparłem po chwili namysłu. – Przyda mi się twoje towarzystwo. Muszę dokręcić komuś śrubę, a to akurat twoja specjalność.

– Nie ma sprawy, młody. Kogo trzeba przycisnąć?

– Jednego załganego księżulka.

Po tych słowach wyjaśniłem mu szczegóły mojego planu.

Załomotałem do drzwi pokoju wynajmowanego przez Saula w pensjonacie. Wiedziałem, że jest w środku, bo przez szparę nad progiem sączyły się dźwięki

sentymtalnej piosenki Moody Blues.

Ksiądz otworzył. Wparowałem do pokoju, nie tracąc czasu na powitania ani inne uprzejmości.

– Co to ma być? Niezapowiedziana wizyta? – zapytał.

– Raczej przesłuchanie – rzuciłem zdecydowany nie okazywać litości. – Mówi ci coś nazwisko Christopher Harding?

– Nie. Kto to? Jakiś aktor?

– Kłamiesz i pójdziesz do piekła, bo księżom nie wolno kłamać – postraszyłem. – Christopher Harding, Anglik, który przyjechał do Valcabado w poszukiwaniu zaginionego miasta w Los Morenos. Na pewno pamiętasz tę historię, swego czasu było o niej bardzo głośno, przez parę tygodni praktycznie nie mówiło się o niczym innym.

– Ach, ten Christopher Harding... Co mam ci o nim powiedzieć? To było kilkadziesiąt lat temu, a ja teraz czasem już nawet nie pamiętam, gdzie zostawiłem buty przed pójściem do łóżka.

– Podejrzewam, że w takim razie nie pamiętasz też Juana Dominga, Indianina, którego Harding próbował namówić, żeby towarzyszył mu w charakterze przewodnika po labiryncie Walkateków. Ten Indianin znał rozkład starożytnych szlaków w dżungli.

– Na miłość boską, synku, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Cały kraj zna tę historię z wyjątkiem eksperta od rdzennych kultur? Tego samego eksperta, który nigdy się nawet nie zająknął o istnieniu rezerwatów, w których rząd pozamykał potomków Walkateków? – Saúl milczał. – Wmówiłeś nam, że wszyscy ci Indianie nie żyją już od wielu wieków, a świetnie wiedziałeś, że to nieprawda. W swojej pracy na temat Walkateków Manuel Freire udowodnił, że ich kultura pozostała w znacznym stopniu żywa wśród społeczności rdzennych mieszkańców kraju. Znasz tę książkę, powoływałeś się na nią w dniu, kiedy nas sobie przedstawiono, ale przez cały czas zatajałeś tę informację. Zadaję sobie pytanie, czy nie ukrywałeś przed nami niczego innego.

Saúl cofnął się o krok, zapędzony w kozi róg. Zwilżył językiem wargi i nerwowo zerknął za plecy.

– No dobrze... Możliwe, że... pominąłem parę szczegółów. Ale miałem powody.

– Jakie?

– Wyjaśnię ci to, ale najpierw... Pozwól, że ściszę nieco muzykę.

Złapał magnetofon ustawiony nad łóżkiem. Był to stary model z lat osiemdziesiątych, duży, z okrągłymi głośnikami po bokach. Zanim się zorientowałem, co się święci, ksiądz z całej siły się nim na mnie zamachnął. Miał świetnego cęla, trafił mnie prosto między nogi. Złożyłem się wpół jak scyzoryk.

Saúl wykorzystał okazję i rzucił się do drzwi. Słyszałem, jak pędzi w dół po schodach, potem moich uszu dobiegł tumult, krzyki, protesty, a po paru minutach ksiądz znowu znalazł się w pokoju. Nie wrócił jednak z własnej woli – Bańka trzymał jego ręce w żelaznym uścisku, żeby nie mógł się ruszyć.

Wiedziałem, że dobrym pomysłem będzie postawienie mojego przyjaciela na straży potencjalnych dróg ucieczki.

– Wszystko w porządku, młody? – zapytał, kiedy zobaczył mnie zwiniętego

w klębek na podłodze z dłońmi między udami. – Niczego ci nie złamał?

– Matko, mam nadzieję, że nie... – odparłem. Ból zelżał na tyle, że zdołałem się wyprostować. – Trzymaj go porządnie, dobra? Ten koleś jest naprawdę niebezpieczny.

Ksiądz najwyraźniej zaakceptował swoje położenie ze stoickim spokojem. Nie opierał się, nie szamotał, nie próbował się wyrwać z niewoli.

– Przepraszam, synku. Celowałem w żołądek.

– Ładne mi przeprosiny – skwitowałem. – Teraz odpowiesz wreszcie na moje pytania?

– Nie wiem, to zależy. Do jakiej przemocy fizycznej jest w stanie posunąć się twój koleżka, żeby zmusić mnie do mówienia?

– Przypomnij sobie męczeństwo Świętego Wincentego, ojczulku – powiedział Bańka. – Mniej więcej coś w tym stylu.

Saúl pokiwał głową z wyrazem uznania na twarzy.

– Tak, to bardzo wymowny przykład... Muszę przyznać, że nieczęsto można spotkać goryłów tak obeznanych w żywotach świętych męczenników. Jestem pod wrażeniem.

– Ma dwie magisterki i doktorat.

– Rozumiem. Powinienem był się zorientować po tych okularach. – Saúl zwrócił się do Bańki: – Możesz mnie już puścić, chłopcze. Zapewniam, że nigdzie się nie wybieram. Jeśli czegoś się nauczyłem w seminarium, to rozpoznawać, kiedy lepiej nie zadzierać z fałszywym archeologiem i cynglem w okularach.

Bańka zwolnił uścisk.

– Ciekawe seminarium – stwierdził.

– Tak, jedno z tych tańszych – odparł Saúl, po czym usiadł na łóżku, rozcierając obolałe nadgarstki. – Przekłeta starość... Słowo daję, dwadzieścia lat temu dałbym radę powalić cię jednym ciosem. No nic, jestem do waszej dyspozycji, to wy będziecie mieć na sumieniu napaść na biednego, leciwego księdza.

– I łgarza – dopowiedziałem. – Dlaczego nam nie powiedziałaś o rezerwatach ani o tamym Indianinie, z którym kontaktował się Harding?

– Z tego samego powodu, dla którego ukrywałem moje przekłady przed Croninem. Fakt, że raz czy dwa ci pomogłem, nie oznacza, że ci ufam, synku.

– Pozwól, że podzielę się z tobą pewną teorią – powiedziałem. – Myślę, że poza mną i Voynichem ktoś jeszcze chce odnaleźć miasto Walkateków. Podejrzewam, że pewien ksiądz również wpadł na ten pomysł, ale chce zrobić to samodzielnie, czy to przez wzgląd na osobiste ambicje, czy *ad maiorem Dei gloriam*, nie wiem i wcale mnie to nie interesuje. Wiem za to, że ten sam ksiądz najpierw posłużył się Croninem, żeby dostać się na teren wykopalisk, a potem spotkał tam fałszywą doktor archeologii i jej asystenta. Pomógł im albo udawał, że im pomaga, żeby wydobyć od nich wskazówki co do położenia zaginionego miasta, których nie zdołałby odnaleźć samodzielnie. Przekazał im tylko wybrane informacje, tak by nie wpadło im przypadkiem do głowy, żeby na własną rękę udać się na poszukiwania, postarał się też ostudzić ich zapał... i prawie mu się udało. To bardzo sprytny ksiądz, niemal do cna pozbawiony skrupułów, nie muszę chyba ci mówić, jak się nazywa.

– To bardzo ostre słowa, biorąc pod uwagę, że uratowałem ci skórę przed żołnierzami.

– Uważam, że spłaciłem ten dług, kiedy pokazałem ci Miecz Archistratega i pomogliśmy ci rozwiązać zagadkę kościoła w Funzalu. W zamian nie otrzymaliśmy od ciebie nic.

– Pokazałem wam tłumaczenia.

– Zimna kalkulacja. Sam nie mogłeś w nich znaleźć żadnego tropu, więc postanowiłeś spróbować szczęścia ze mną. Myślę, że odkąd się poznaliśmy, ani razu nie udzieliłeś mi bezinteresownej pomocy.

– A nawet jeśli, to co z tego? Czyżbyś ty na tym nie skorzystał?

– Pewnie, dlatego chcę do ostatniej kropli wycisnąć tę naszą piękną przyjaźń – odparłem. – Juan Domingo, ten Indianin, z którym rozmawiał Harding, wcale nie był oszustem, prawda? Rzeczywiście znał przebieg Szlaków Indian, jestem też pewny, że zdajesz sobie sprawę, że nie był jedyny. W rezerwach na pewno można znaleźć jemu podobnych.

– Potrzebujemy tylko nazwiska, ojcze – dodał Bańka groźnym tonem.

Saúl zachował zimną krew.

– Możesz zwracać się do mnie po imieniu, chłopcze, tyle już razem przeszliśmy...

– powiedział z ironią. – Czyli to wszystko, tak? Stwierdziliście, że przyjdziecie tutaj, trochę mi pogroziecie, a szemrany ksiądz wyciągnie z kapelusza nazwisko, które przez cały ten czas ukrywał. Klucz do wszystkiego, jak w powieściach. Cóż, muszę was zmartwić: to nie taka prosta sprawa.

– To odmowa?

– Nie, geniuszu z dwiema magisterkami. Chodzi o to, że podobnie jak wy utknąłem w martwym punkcie. – Saúl przenosił wzrok ze mnie na Bańkę i z powrotem. – Owszem, znałem historię Hardinga i tamtego Indianina. Wszyscy w tym kraju ją znają. I tak, jestem przekonany, że Juan Domingo potrafił poruszać się po szlakach Walkateków, ale chciałbym zwrócić uwagę na pewien szkopuł: wbrew temu, co Manuel Freire pisze w swojej książce, umiejętności tej nie posiadają wszyscy potomkowie tego ludu, wiedza ta nie była rozpowszechniona nawet wśród samych Walkateków; dostęp do niej mieli nieliczni członkowie społeczności. Czy przekazali ją dalej? Możliwe, ale osoby, które przechowały ją do dzisiejszych czasów, można policzyć na palcach jednej ręki. Jest wielce prawdopodobne, że Juan Domingo był pojedynczym przypadkiem. Harding przez wiele miesięcy przeczesywał kraj, żeby go odnaleźć, a po drodze musiał odrzucić wielu ochotników, którzy okazali się najzwyczajniejszymi oszustami. Sam spotykam takich na pęczki.

– A gdzie teraz jest tamten Indianin?

– Nie żyje.

– Skąd mam wiedzieć, że znów mnie nie okłamujesz?

– To niestety prawda. Szukałem tego faceta przez lata. Przejechałem cały kraj wzdłuż i wszerz... Wiesz, jak trudno jest znaleźć Indianina w Valcabado? Nie wystarczy otworzyć książkę telefoniczną i poszukać nazwiska. Są tu traktowani jak pariasi. Rząd uznaje ich wyłącznie w rejestrach mieszkańców rezerwatów, a dostęp do tych danych

mają tylko wybrani urzędnicy.

– W takim razie skąd pewność, że Juan Domingo nie żyje?

– Przede wszystkim stąd, że upłynęło już ponad czterdzieści lat od czasu, kiedy Harding się z nim kontaktował, a przeciętna długość życia Indian w Valcabado jest bardzo niska. Po trzydziestce wyglądają na staruszków, nieliczni przekraczają pięćdziesiątkę. Żyją w koszmarnych warunkach.

– To o niczym nie przesądza.

– Chcesz więcej dowodów? Parę lat temu udało mi się namówić znajomego, który pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, żeby poszukał dla mnie Juana Dominga w spisach mieszkańców rezerwatów. Przyłapali biedaka i wyrzucili go z pracy, ale wcześniej udało mu się ustalić, że w 1995 roku Juan Domingo trafił do rezerwatu w Coimarze. Powiedział mi też, że sześć miesięcy później wybuchła tam epidemia tyfusu, która wykończyła trzy czwarte mieszkańców, a rząd zataił ten fakt. Powtarzam, synku: nie mam najmniejszych wątpliwości, że Juan Domingo opuścił ten padół.

Historia brzmiała wiarygodnie. Nie wydawało mi się, żeby Saúl znowu nas okłamywał. Coś jednak mi się nie zgadzało.

– A mimo wszystko nadal próbujesz go znaleźć – stwierdziłem.

– Nie słuchasz mnie, synku? Po kiego czorta miałbym podążać tropem nieboszczyka?

– Tego nie wiem, ale to właśnie robisz. Sam się zresztą do tego przyznałeś, kiedy napomknąłeś, że napotykasz wielu oszustów. – Saúl nie odpowiedział. – Tymczasem twierdzisz, że dowiedziałeś się o śmierci Juana Dominga kilka lat temu, więc kogo szukałeś przez cały ten czas?

– Jest jeszcze ktoś – oświadczył Bańka. – I on o tym wie.

– Co na to powiesz, Saulu?

Ksiądz łypnął na nas złowrogo.

– Do wszystkich diabłów... – wymamrotał. – Za kogo wy się macie, za Sherlocka i Watsona?

– Odpowiedz na moje pytanie.

Musieliśmy dłuższą chwilę poczekać na odpowiedź.

– Miał syna – przyznał w końcu niechętnie. – Juan Domingo. Miał syna imieniem Rico. W czasach sprawy z Hardingiem chłopak miał jakieś dwadzieścia lat.

– A dlaczego jego syn miałby znać przebieg Szlaków Indian?

– Istnieje taka możliwość. Ojciec znał te trasy, a tego typu wiedzę Walkatekowie zwykli przekazywać z pokolenia na pokolenie.

– A wiesz, gdzie Rico jest teraz?

Saúl pokręcił głową.

– Nie udało mi się go namierzyć. Nie jestem nawet pewny, czy żyje, niewykluczone, że podzielił los ojca.

– Ale jestem pewny, że znalazłeś parę solidnych wskazówek, co?

Saúl przeszył mnie spojrzeniem.

– Domysły i spekulacje. Powiedziałem ci już uczciwie wszystko, co wiem, ale nie podzielę się z tobą bezinteresownie swoimi hipotezami. Zapłaciłem za nie zbyt wysoką

cenę.

Choć wcześniej odrzuciłem skrupuły, teraz znów je poczułem. Bańka byłby co prawda zdolny wyciągnąć z księdza informacje poprzez zastosowanie przemocy, ale zwykle uciekał się do niej tylko w przypadku typów, którzy naprawdę na to zasługiwali. Może i Poszukiwaczy nie można stawiać za wzór prawości i szlachetności, ale nigdy nie zniżamy się do poziomu pospolitych bandziorów.

Bańka zerknął na mnie i poszliśmy na stronę.

– Młody, mogę go zmusić do mówienia – szepnął mi dyskretnie – ale szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś mnie o to nie prosił. To nie byłby dla nas powód do dumy.

Miał rację. Nasz plan zakładał, że tylko trochę go postraszymy, a nie spierzemy na kwaśne jabłko. Takie zachowanie nie jest w stylu Kawalera Poszukiwacza.

– Jeśli zamierzacie mnie tłuc, to przynajmniej chodźmy do łazienki – powiedział ksiądz zza naszych pleców. – Nie chcę krwią poplamieć łóżka.

– Na razie nikt nikogo nie będzie bił – oznajmiłem. – Mysz, Wędrowiec, Pająk i Wąż.

Spojrzał na mnie z głęboką nieufnością.

– Co to ma znaczyć?

– To kolejność, w jakiej należy podążać Szlakami Indian, żeby dotrzeć do zaginionego miasta.

– Skąd wiesz, że jest poprawna?

– Długo by tłumaczyć. Powiedzmy, że to tylko hipoteza, ale całkiem solidna, owoc heroicznego wysiłku. – Ksiądz wpatrywał się we mnie bez słowa. Wzruszyłem ramionami. – Obaj szukamy tego samego, zgadza się? Może lepiej by było przestać rzucać sobie wzajemnie kłody pod nogi, a zamiast tego podzielić się posiadanymi informacjami? Wszystkimi. Z hipotezami i domysłami włącznie.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Rywalizacja, ale między dżentelmenami.

– Można tak to ująć.

– Zaczynam podejrzewać, że świetnie się bawisz w tej sytuacji, synku – stwierdził i powoli pokręcił głową. – No dobrze, przyjmuję twoje zasady. Wydają mi się uczciwe. Ale może się okazać, że ofiarowałeś mi coś znacznie cenniejszego niż to, co ja mogę ci dać.

– Pozwól, że ja to ocenię – odezwałem się. – A teraz powiedz nam, co wiesz o Ricu.

– Z tego, co udało mi się ustalić, możliwe... zaledwie możliwe, że żyje i mieszka w jednym z rezerwatów. Na terenie Valcabado są dwa: w Coimarze i w Santa Aurorze. Nie mam pojęcia, w którym z nich może przebywać, ale skłaniam się ku Santa Aurorze. Władze Coimary kilka lat temu zamknęły rezerwat z powodu przeludnienia.

– Istnieje jakiś sposób, żeby to sprawdzić? – zapytał Bańka.

– Jak już wam mówiłem, rząd prowadzi rejestry mieszkańców rezerwatów, ale to poufna dokumentacja. Dostępem do danych dysponuje wyłącznie personel wysokiego szczebla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Saúl zwrócił się bezpośrednio do mnie: – Przykro mi, synku. Ty mi przekazałeś kluczowe informacje, a ja wskazałem ci tylko ślepą uliczkę. Żeby nie było, że cię nie ostrzegałem.

– A jak u nich z informatyzacją? – zapytałem, ignorując jego usprawiedliwienia.
– Chodzi mi o to, czy istnieje cyfrowa baza danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w której przechowuje się takie rejestry?

– Nie wiem... Ale myślę, że na pewno. W końcu to dwudziesty pierwszy wiek. Podejrzewam, że tego typu dane wklepuje się do komputerów.

Wymieniliśmy z Bańką triumfalne spojrzenia.

– Doskonale – powiedziałem. – W takim razie możemy do nich zajrzeć.

– Słuchasz, co mówię? To poufna dokumentacja, praktycznie tajemnica państwowa. Nie wisi sobie po prostu na stronie internetowej ani nic w tym stylu. Musielibyście być jakimiś... piratami czy hakerami, żeby się do niej dostać.

– Ciekawe, że akurat o tym wspomniałeś. Bo tak się składa, że mamy pod ręką hakera.

Bańka energicznie pokiwał głową.

– Owszem... A do tego chłopak jest naprawdę zajebisty.

Yokai potrzebował zaledwie paru godzin na obejście zabezpieczeń systemu informatycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Valcabado. Zafascynowany przyglądałem się temu spektaklowi, bo nigdy wcześniej nie widziałem chłopaka przy pracy – był naprawdę w swoim żywiole.

Nie przestawał mówić przez cały czas, kiedy próbował uzyskać dostęp do rejestrów – pokrzykiwał, przeklinał, wybuchał śmiechem, ryczał triumfalnie i na cały głos wyśpiewywał refreny piosenek; przy tym ani na chwilę nie odrywał rąk od klawiatury laptopa. Jego palce sprawiały wrażenie wyposażonych w znacznie więcej stawów niż przeciętnie.

– Dobra, zobaczymy... – powiedział, zwracając się do komputera niczym do żywej istoty. – Zapory sieciowe, zapory sieciowe... *Yeah*, tu cię mamy...! Ale zaraz, co to? Ashampoo FireWall? Ja pierdołę, to jakiś żart? Ludzie, skąd wyście się urwali, z jebanego średniowiecza? Kuuurwa... Zobaczymy... Tak, kochanie, tak... Chuj w dupę firewallom! A teraz co? IDS? HIDS, wypad... NIDS, wypad... Jeszcze ci mało, skurwysynu? Chcesz więcej? Zobacz, zaraz ci rozpierdołę bastion hosta... A masz! Zdziwko, co? Wprowadzić hasło? Pewka, nie ma sprawy, wprowadzę ci to hasło, aż będziesz wył jak suka... Ha, i co ty na to? Chryste, zaraz się spuszczę...

Tak mniej więcej można streścić jego monolog wygłaszany przez dwie pracowite godziny. Pozwoliłem sobie pominąć wypowiedzi co wulgarniejsze, plugawe i obrażające niektóre grupy społeczne.

Zaciekła walka z ministerialnymi systemami zabezpieczeń zakończyła się druzgocącym zwycięstwem chłopaka, właściwie można by mówić o całkowitej zagładzie. Yokai zmasakrował przeciwnika i nie brał jeńców.

– Ej, wszyscy, jestem w środku – oznajmił w końcu. – Cały system informatyczny tych faszystowskich urzędasów jest na widoku, każdy może sobie do niego zajrzeć. Następnym razem dajcie mi coś trudniejszego.

– Dobra robota, stary – pogratulował mu Bańka. – Jestem z ciebie dumny. – Yokai podniósł rękę i przybili sobie piątkę. Ich relacja nie przestawała mnie zaskakiwać.

– Możesz namierzyć spis mieszkańców rezerwatów?

– Tak, na pewno się tu gdzieś pałęta. W tej chwili jestem chyba na kompie sekretarza obrony... Kurde, koleś ogląda totalnie pojebane pornosy.

– Zajmijmy się może naszym interesem, co? – poprosiłem.

– Twoja stara się zajmuje moim interesem...

Yokai wrócił do przeszukiwania sieci, aż w końcu po jakimś czasie udało mu się zlokalizować rejestry. Syn Juana Dominga figurował w spisie mieszkańców rezerwatu w Santa Aurorze od kwietnia 2011 roku, kiedy to się tam zameldował.

Umowa z Saulem wymagała od nas podzielenia się z nim tą informacją, więc ponownie udaliśmy się z Bańką do pensjonatu, tym razem z nieco bardziej pokojowym nastawieniem, choć nie mniej nieufnym. Ksiądz nadal wzbudzał w nas poważne podejrzenia.

Saula wcale nie ucieszyła wiadomość, że Rico, syn Juana Dominga, może przebywać w rezerwacie w Santa Aurorze. Uważał to za najgorszą z możliwości. Nie rozumiałem dlaczego, więc go o to zapytałem.

– To bastion karteli – wyjaśnił. – Weź fawelę z Caracas, dorzuć do tego township z Johannesburga i wyjdzie ci rezerwat w Santa Aurorze w spokojny dzień. Nie ma tam prawa, nie ma rządu, niczego, co pozwoliłoby zachować choć minimum ładu społecznego. Jeśli Rico rzeczywiście tam przebywa, możemy położyć na nim krzyżyk.

Uznałem, że Saúl z pewnością przesadza.

– Mimo to warto się tam wybrać i przynajmniej rzucić okiem – zasugerowałem.

– Chyba nic nie ryzykujemy, jeśli zachowamy ostrożność?

– Synku, nikt nie jeździ sobie na wycieczki do Santa Aurory, żeby „rzucić okiem” – odparł ksiądz. – To współczesne gniazdo piratów. Nawet mucha nie może tam wlecieć bez wiedzy narkobossów, a kiedy tylko pojawi się ktoś nowy, chętnie urządzają mu powitanie. W swoim stylu.

– Miewaliśmy już do czynienia z groźnymi typami.

– Nie aż tak groźnymi, synku, nie aż tak. Santa Aurora jest pod kontrolą kartelu z Valcabado. To najkrwawszy, najbardziej przerażający ze wszystkich... Zabijają nie tylko dla zysku, ale też dla rozrywki, żeby udowodnić, że mogą wszystko, a nikt ich nie powstrzyma. Od szybkiej śmierci wolą tortury, prawdziwą rozkosz sprawia im zadawanie jak najstraszniejszego cierpienia. Kiedy wpadniesz im w łapy, egzekucja jest aktem łaski, a nie każdy może na niego liczyć. Po prostu... zostawiają cię, żebyś umarł.

Dobrze wiedziałem, do czego są zdolni baroni narkotykowi z Valcabado. Jeden z nich zamordował mi ojca.

Z ciężkim sercem słuchałem opowieści Saula o metodach stosowanych przez kartel. Wprawdzie wiedziałem, że ojciec zginął z ich rąk, ale nie wiedziałem, w jaki sposób. Teraz nagle dowiedziałem się, że jego śmierć mogła być potwornie bolesna, i niełatwo było mi pogodzić się z tą świadomością.

Próbowałem ukryć wrażenie, jakie zrobiły na mnie te rewelacje, ale Bańka chyba zauważył jakąś zmianę w mojej twarzy, bo czym prędzej skierował rozmowę na inne tory.

– Dzięki za ostrzeżenie, ale my i tak tam pojedziemy, czy są tam ci *narcos*, czy nie. Saúl na chwilę pograżył się w milczeniu i z niepokojem pocierał brodę.

– Pojadę z wami – oznajmił w końcu takim tonem, jakby ustalał właśnie, o której godzinie ma zostać powieszony.

– Nie – zaprotestował Bańka. – Ani cię o to nie prosiliśmy, ani nie potrzebujemy twojej pomocy. To tylko i wyłącznie nasza sprawa.

– Pozwolę sobie się z tobą nie zgodzić – odparł Saúl. Odniosłem wrażenie, jakby nagle postarzał się o wiele lat. – Dwójka cudzoziemców kręcąca się po Santa Aurorze... Nawet para ufoludków nie zwróciłaby na siebie więcej uwagi ani nie wzbudziłaby większych podejrzeń. Jeśli nawet jakimś cudem udałoby się wam znaleźć Rica, nigdy by wam nie zaufała.

– A tobie niby tak?

– Indianie darzą duchownych zaufaniem, bo większość z nich zawsze starała się poprawić warunki ich życia. W Santa Aurorze więcej drzwi otworzy wam towarzystwo księdza niż jakiegokolwiek innej osoby. Jeśli macie trochę oleju w głowie, pozwolicie mi jechać z wami.

– Ty... naprawdę chcesz nam towarzyszyć? – zapytałem.

– Zdecydowanie – odpowiedział zgodnie z moimi przewidywaniami. – Habit nie ochroni mnie przed bossami, wręcz przeciwnie: będę narażony na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż wy. Ale chcę znaleźć tego Indianina.

Wymieniliśmy z Bańką spojrzenia. Po tyłu wspólnych misjach wystarczył nam jeden rzut oka na twarz drugiego, żeby odczytać jego myśli.

– No dobra, niech jedzie – stwierdził Poszukiwacz. – Upilnuję was dwóch, nie ma problemu.

Całą trójką zaczęliśmy planować szczegóły wyprawy do rezerwatu, na którą zamierzaliśmy wyruszyć następnego dnia. Ksiądz przez cały czas miał mocno przygnębioną, wręcz grobową minę, ani razu nie sięgnął do swojego bogatego repertuaru kąśliwych uwag. Przywodził na myśl żołnierza, któremu przydzielono właśnie samobójczą misję.

Przekazaliśmy nowiny Enigmie i Yokaiemu. Tak jak się spodziewałem, oboje chcieli wziąć udział w poszukiwaniach Rica, ale udzieliliśmy im z Bańką kategorycznej odmowy. Uznaliśmy, że nie mogą nic wnieść do naszej misji, jeśli nie liczyć dobrej woli. Enigma pogodziła się z sytuacją, w przeciwieństwie do Yokaiego, który aż do wieczora chodził naburmuszony. Nie miał ochoty nawet na kłótnie z Bańką.

Następnego popołudnia wyruszyliśmy z Bańką na spotkanie z Saulem. Umówiliśmy się na placu katedralnym, skąd miał nas zgarnąć samochodem. Zdziwiłem się na widok koloratki pod jego szyją. Po raz pierwszy zobaczyłem u niego jakiś atrybut stanu duchownego.

Santa Aurora leżała około trzydziestu kilometrów na północ od La Victorii. Żaden z naszej trójki nie miał ochoty na głupie pogawędki o niczym, więc całą podróż przebyliśmy w złowrogiej ciszy. Do rezerwatu dotarliśmy tuż po zmierzchu.

Tyle się nasłuchiwałem o rezerwatach Indian w Valcabado, że wyobrażałem sobie Santa Aurorę jako biedną, żalostną dziurę. Rzeczywistość okazała się jednak nie przystawać do moich oczekiwań: było znacznie gorzej.

Rezerwat stanowił olbrzymią plamę nędzy, brzydoty i niedoli w środku pustej,

bezludnej ziemi. Wyrastał po obu stronach rzeczki ścieków niczym paskudne przedłużenie jej błotnistych, szlamowatych brzegów. Teren rezerwatu otoczony był ogrodzeniem z drutu kolczastego, pasującym raczej do obozu koncentracyjnego niż do osiedla mieszkalnego. Wstępu broniło dwóch żołnierzy pełniących straż w odrażającej kanciapie o powybijanych oknach i betonowych ścianach pokrytych graffiti i wstrętnymi plamami. Kiedy mijaliśmy stróżówkę, siedzący w niej wojskowi machnęli tylko ręką na znak, że możemy iść dalej.

Wkroczyliśmy więc z Bańką i Saulem na teren rezerwatu, a naszym oczom ukazał się przynębiający widok.

Indianie przesiedleni do Santa Aurory mieszkali w prowizorycznych ruderach, byle jak skleconych z kawałków blachy, drewnianych palet i złomu. Domy wznosiły się na gliniastym podłożu, jeden przy drugim, bez ładu i składu ani żadnego zamysłu. Przerwy między chałupami były często tak wąskie, że trzeba było przeciskać się bokiem. Nie było tam asfaltowych ulic, chodników ani żadnych innych cech charakterystycznych dla miasta. Tylko azbest na błocie.

Nad głowami wisiały nam przewody elektryczne podłączone do słupów utrzymujących bardzo niepewną równowagę. Z chałup sterczało jeszcze więcej kabli, które mieszkańcy podłączali do słupów, żeby czerpać prąd. Używali ich także jako zaimprovizowanych sznurów do suszenia prania. Całość przypominała zbieraninę namiotów cyrkowych, z których wiatr zerwał zadaszenie i zostawił tylko strzępy płótna.

Na brzegach strumyka dzielącego teren rezerwatu na dwie części ustawiono przenośne toalety, jakie spotyka się na placach budowy, które miały najwyraźniej wynagrodzić mieszkańcom brak łazienek w domach. Zawartość sanitariatów opróżniano wprost do rzeki, zamieniając ją w cuchnący, odrażający ściek. Mimo to sporo dzieci kąpało się beztrudnie w jej wodach, a kobiety prały ubrania przy brzegu. Z drugiej strony zauważyłem też, że wielu miejscowych ignorowało toalety i wolało załatwiać swoje potrzeby w pierwszym lepszym kącie. W rezultacie wszędzie panował smród nie do wytrzymania. Człowiek miał tam dwie możliwości: albo wciągać nosem odór przyprawiający o mdłości, albo oddychać przez usta, ryzykując przy tym połknięcie muchy z otaczających nas zewsząd rojów tłustych owadów.

Gdziekolwiek padał mój wzrok, widziałem ruinę, rozpacz i biedę. Nędzę panującą w tym miejscu czuło się na skórze niczym egzemę. W mojej duszy zaś wywoływała ona równie głęboki lęk, jak oburzenie na myśl o ludziach, którzy zmusili swoich bliźnich do życia w tak upokarzających warunkach.

Mimo to Indianie mieszkający w rezerwacie wyraźnie usiłowali zachować normalność. Jakby nie było nic złego w tym, że zesłano ich do tych żałosnych osad i zapewniono wyłącznie absolutne minimum niezbędne do przeżycia. Krążyli wśród tego plugastwa i nie sprawiali wrażenia zniesmaczonych czy załamanych, dekorowali chałupy bukietami przywiedzionych kwiatków albo poplątanymi sznurami lampek choinkowych; garderobę z czwartej czy piątej ręki nosili z godnością i elegancją, starając się ukryć niedożywione ciała. Jakby bronili się z całych sił, żeby nie dać po sobie poznać desperacji, choć sporo im brakowało do osiągnięcia tego celu.

U niektórych tubylców zauważyłem szlachetne rysy twarzy, choć niemal zatarte tak

ciężkimi warunkami życia. Większość była bardzo wysoka, o długich, szczapowatych członkach. Przedstawiciele obu płci mieli bardzo mocne rysy – ostre kości policzkowe i wydatne zuchwy. Mężczyznom przydawało to urody, ale kobietom wręcz przeciwnie – ich twarze wyglądały bardzo męsko. Wszyscy mieli ciemne włosy i lekko skośne oczy o jasnych tęczówkach. Ich walkateccy przodkowie musieli być niezwykle atrakcyjnymi ludźmi.

Wśród mieszkańców rezerwatu zauważalnie wyróżniali się mężczyźni o bardziej zachodnim wyglądzie i jaśniejszej cerze. Nosili ubrania dobrej jakości, ich skórę pokrywały tatuaże, zdawali się też w znacznie lepszej formie fizycznej niż miejscowi Indianie. Niejeden z nich był uzbrojony w pistolet wciśnięty za pasek spodni, z wyraźnie widoczną kolbą, jakby zupełnie nie próbowali ukryć broni.

Saúl dyskretnie wskazał mi jednego z nich.

– Żołnierze – powiedział. – *Sicarios* kartelu. Tutejsza policja. Trzymajcie się od nich z daleka, nawet na nich nie patrzcie.

Przechadzaliśmy się pomiędzy chatami, aż dotarliśmy do czegoś, co wyglądało na rynek czy targ. Znajdowały się tam kontenery przemysłowe, takie jak te wykorzystywane w transporcie morskim, z których Indianie sprzedawali najróżniejsze towary: odzież, narzędzia i utensylia kuchenne, przedpotopowe urządzenia elektroniczne... Minęliśmy jeden, w którym Indianin bez koszulki sprzedawał kawałki surowego mięsa z plastikowego stolika pokrytego krwią i chmarami much. W górnej części kontenera z haków zwisały się obdarte ze skóry i wypatroszone zwierzęta. Wołałem nie zastanawiać się, jaki gatunek reprezentowały.

Saúl podszedł do rzeźnika, który posłał nam spojrzenie aż ociekające podejrzliwością. Jednak gdy tylko zauważył koloratkę pod szyją księdza, zdecydowanie złagodniał, a jego postawa z wrogiej zmieniła się w niemal przyjacielską. Ta dwójka zaczęła gawędzić w języku, który dla mnie brzmiał kompletnie niezrozumiale. Jakies dziesięć minut później ksiądz do nas wrócił. W przesiąkniętym świeżą krwią papierze gazetowym niósł zawinięte jedno z tych oskórowanych zwierzątek.

– Co ty tam masz, do diabła? – zapytał Bańka.

– Kota.

– Co?

– Tak, tutaj często je jedzą. Łatwo je upolować i wszędzie ich pełno. Kiedyś nawet skosztowałem, ale nieszczególnie mi smakował: głowę gotują zwykle z dużą ilością kolendry.

Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Boże święty, pozbadźże się tego biednego zwierzaka... Po co w ogóle go kupiłeś? – zapytałem.

– To się nazywa public relations, synku. Ten człowiek przekazał mi sporo informacji, uznałem, że wypada coś u niego kupić. Masz, potrzymaj chwilę. – Saúl wepchnął kota Bańce, który z odrazą wyrzucił go do najbliższego przepełnionego kosza na śmieci. – Rzeźnik powiedział mi, że Rico mieszka chyba w chałupie na drugim końcu rezerwatu, z dwunastką wymalowaną na drzwiach.

– Doskonale. To oznacza, że żyje.

– Na to wygląda, ale nie róbnmy sobie zbyt wielkich nadziei, może chodzi o jakiegoś innego Rica.

Zaczęliśmy się oddalać od placu handlowego.

– W jakim języku rozmawialiście? – zapytałem. – Z tym rzeźnikiem?

– W walteckim – odparł. – Obecnie to raczej dialekt niż samodzielny język, pochodzi podobno od prymitywnego walkateckiego. Oczywiście wszyscy Indianie w kraju mówią po kastylijsku, ale bardzo ich wzrusza, kiedy biały odzywa się do nich po waltecku. To dla nich równoznaczne z deklaracją przyjaźni.

Zacząło do mnie docierać, że zabranie Saula było strzałem w dziesiątkę. Z Bańką nie mielibyśmy nawet pojęcia, od czego zacząć poszukiwania Rica w tym przedziwnym miejscu, gdzie koty stanowiły podstawę zróżnicowanej diety.

W miarę jak oddalaliśmy się od targu, widzieliśmy po drodze coraz mniej ludzi. Od czasu do czasu mijaliśmy tylko jakiegoś Indianina siedzącego przed chałupą z papierosem albo przenośnym radiem.

Przechodziliśmy teraz przez okolicę bardziej wyludnioną. Było tam mniej domów, a pomiędzy nimi zostawiono więcej wolnej przestrzeni. Jeśli to możliwe, wyglądały jeszcze żałośniej niż chałupy w innych częściach rezerwatu, jakby zbudowano je znacznie dawniej. Każdy dom miał numer wypisany na drzwiach albo fasadzie, ale nie zachowano żadnego konkretnego porządku. Siódemka stała koło pięćdziesiątki jedyńki, pięćdziesiątka jedyńka koło szesnastki... Zlokalizowanie dwunastki Rica mogło nam więc zająć sporo czasu.

W trakcie poszukiwań natknęliśmy się na samotną uliczkę. W jednym kącie wychudzony pies buszował w stertach śmieci, skądś dobiegał płacz niemowlęcia zmieszany z muzyką z tranzystora.

Nagle zauważyliśmy, że ktoś biegnie w naszą stronę. Młoda Indianka wrzeszczała przeraźliwie, wyraźnie udręczona. Saúl złapał ją i powiedział coś po waltecku. Dziewczyna łkała i wskazywała na swoje plecy.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Mówi, że jacyś ludzie biją jej wujka.

– Gdzie?

– To nie nasza sprawa – stwierdził Saúl stanowczo. – Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale i tak nic nie możemy zrobić. Najważniejsze to nie rzucać się w oczy.

Roztrzęsiona dziewczyna patrzyła na nas z policzkami mokrymi od łez.

– Widzę, że nie brak ci chrześcijańskiego miłosierdzia, ojczulku – skwitował Bańka szorstko. Potem zwrócił się do dziewczyny: – Gdzie jest twój wujek?

Złapała Poszukiwacza za rękę i pociągnęła go za sobą w biegu.

– Niech to szlag! – rzucił Saúl. – To nie czas na donkiszoterię! Twój głupi kumpel ściągnie nam na głowę niebezpieczeństwo!

Nie odpowiedziałem i ruszyłem pędem za Bańką i dziewczyną. Saúl poszedł w moje ślady, ale nie przestawał protestować.

Dziewczyna zaprowadziła nas do chałupy na uboczu. Podniszczona drewniana płyta służąca za drzwi leżała na ziemi strzaskana w drzazgi. Z wewnątrz dobiegały krzyki i odgłosy ciosów.

Bańka wszedł do środka pierwszy, za nim ja i Saúl. Naszym oczom ukazało się dwóch wytatuowanych mężczyzn, którzy bez litości tłukli starszego Indianina. Ten leżał na podłodze zwinięty w kłębek i próbował osłaniać się ramionami wątlymi niczym cienkie gałązki. Twarz pokrywała mu maska krwi, ran i siniaków.

Bańka bez słowa rzucił się na jednego z napastników i zmiażdżył mu nos łokciem, a następnie uderzył kantem dłoni w bark, tuż pod szyją. Dwa proste, szybkie ruchy, celne jak strzał snajpera. Nos zachrząścił głośno i buchnął potokiem krwi. Potem, kiedy kant dłoni Bańki wbił się w szyję, facet zaskowytał z bólu i upadł na ziemię.

Drugi skoczył na Bańkę, ale ten wykonał obrót, chwycił go za rękę i pociągnął do tyłu, aż dało się słyszeć trzask. Napastnik wrzasnął i osunął się na kolana. Bańka wykorzystał sytuację i zdzielił go kolanem w splot słoneczny. Facet zaczął gwałtownie łapać powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że ani ja, ani Saúl nie mieliśmy okazji się wtrącić.

Wtedy jednak pierwszy typ chwilowo unieszkodliwiony przez Bańkę wyciągnął pistolet zza paska i wycelował w jego głowę.

– Rozpierdolę ci łeb, sukinsynu!

Rozległ się huk wystrzału. Facet z tatuażami zawył i wypuścił broń. Spojrzałem w prawo i w dłoni Saula zobaczyłem rewolwer, z którego lufy unosiła się jeszcze smużka dymu.

– Może jednak się zastanów, synku – powiedział. Wyglądał teraz jak koniokrad z Dzikiego Zachodu... I potrafił równie celnie strzelać. Księżulek nie przestawał mnie zaskakiwać.

Napastnicy z przerażeniem popatrzyli na Saula. Jeden zerwał się nagle na równe nogi i pędem wypadł z chałupy, brutalnie odpychając mnie na bok. Drugi ruszył w jego ślady, ale zanim zniknął nam z oczu, rzucił jeszcze pogroźkę na pożegnanie:

– Już jesteście martwi! Słyszycie? Martwi!

I wziął nogi za pas. Bańka rzucił się w pościg, ale Saúl złapał go za rękę.

– Zostaw ich – nakazał surowo. – Już i tak wystarczająco zwróciliśmy na siebie uwagę.

Poszukiwacz wyswobodził się jednak i wyskoczył na zewnątrz, żeby się upewnić, czy zbiry nie wracają. Saúl schował rewolwer pod koszulą, gdzie ukrywał go wcześniej.

– Przyjechałeś tu z bronią? – zapytałem.

– Oczywiście. Myślisz, że zapuściłbym się tu tylko z koloratką? – Duchowny podszedł do półprzytomnego staruszka i pomógł mu wstać. Z największą ostrożnością usadził go w zdezelowanym fotelu bujanym, który stał w kącie pokoju. – Spróbuj znaleźć wodę, dobrze? – poprosił mnie.

Chałupa wyglądała jak skład rupieci. Przekopałem wszystkie kąty w poszukiwaniu jakiegokolwiek płynu, ale bez rezultatu. Wtedy w domu pojawiła się młoda Indianka, która podała Saulowi plastikową butelkę z wodą i zwilżoną szmatkę. Ksiądz otarł nią twarz staruszka.

– Dziękuję, ojcze... – wymamrotał mężczyzna, który powoli zaczynał wracać do siebie. – Dziękuję.

– Mnie nie dziękuj, ja nie miałem z tym nic wspólnego – odparł Saúl zgodnie

z prawdą. – Masz tu gdzieś coś w rodzaju apteczki?

Staruszek wskazał na blat kuchenny obok mnie. Zajrzałem do jedynej szuflady i znalazłem woreczek foliowy z małym kłębkim waty, pudełkiem tabletek i paroma plastrami. Podałem wszystko Saulowi.

– To będzie musiało wystarczyć.

Ksiądz opatrzył rany Indianina, jak umiał najlepiej. Na szczęście wyglądały na groźniejsze, niż były w rzeczywistości. Musieliśmy pojawić się tuż po tym, jak zaczęli go bić.

– To byli ludzie z kartelu? – Saúl zwrócił się do staruszka. Ten, wciąż roztrzęsiony, skinął głową. – Dlaczego cię pobili?

– Pieniądze – odparła dziewczyna, która asystowała Saulowi niczym zawodowa pielęgniarka.

Wujek zaraz ją uciszył.

– Cicho, córeczko... To nie ich sprawa.

– Pożyczyłeś od nich pieniądze? – zapytał Saúl. Staruszek niechętnie przytaknął.

– Rozumiem. Chcieli ściągnąć dług, a ty nie miałeś jak zapłacić.

– Miałem – odparł mężczyzna, próbując odzyskać urażoną godność. – Miałem całą sumę, co do grosza, ale powiedzieli, że to za mało, że narosły odsetki. Oszuści. Nie wspominali o odsetkach, kiedy pożyczali mi pieniądze.

– Nie? No cóż, teraz przynajmniej wiesz, na jakich zasadach działają pożyczki od bandziorów – stwierdził Saúl, przemywając mu skaleczenie na czole. – Skoro tutaj mieszkasz, powinieneś orientować się w ich numerach, staruszk.

– Nigdy wcześniej nie pożyczałem od nich pieniędzy, skąd miałem wiedzieć?

– zakwilił. Przez chwilę myślałem, że zaraz wybuchnie płaczem, ale się opanował. – Skąd miałem wiedzieć? Na pewno wrócą, a teraz będą jeszcze bardziej wściekli... Och, ojciec, co ja mam zrobić?

Saúl westchnął ciężko. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, żaden z nas jej nie znał. Zacząłem się obawiać, że zamiast rozwiązać problemy biedaka, tylko pogorszyliśmy jego sytuację.

– Jak ci na imię? – zapytał ksiądz.

– Rico – odparł starzec. – A to Sita.

W tej samej chwili Bańka wrócił do chałupy.

– Ej, nie uwierzycie – powiedział. – Ale na resztkach drzwi zauważyłem wymalowany numer dwanaście.

Kolejny już raz Fortuna postanowiła się uśmiechnąć do Kawalerów Poszukiwaczy.

Sita przygotowała napar z liści rośliny, którą nazywała *pinnata*. Pociągnąłem łyk, nie chcąc okazać się nieuprzejmy. Napój miał słodki smak, może nawet nieco mdły. Jak wyjaśnił nam Rico, roślina ta miała liczne właściwości lecznicze. Walkatekowie nazywali ją także „powietrznym zieleń”.

Okazało się, że Rico wcale nie był taki stary, na jakiego wyglądał. Nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki, ale ciężkie warunki życia sprawiły, że sprawiał wrażenie przynajmniej o dekadę starszego.

Z piętnastoletnią Sitą nie łączyły go więzy krwi. Jak nam opowiedział, rodzice dziewczyny byli jego przyjaciółmi. Kiedy oboje umarli na tę samą chorobę i osierocili malutką wówczas córkę, Rico się nią zaopiekował. Wyjaśnił, że tacy przyszywani krewni zdarzali się w rezerwacie bardzo często. Wszyscy Indianie z Santa Aurory tworzyli coś w rodzaju wielkiej rodziny, w której ramach starali się wzajemnie o siebie troszczyć, choć oczywiście zdarzały się też wyjątki.

Rico, ogromnie nam wdzięczny za przegonienie zbirów, odpowiadał na nasze pytania chętnie i bez cienia podejrzliwości. Rzec jasna, przede wszystkim chcieliśmy się dowiedzieć, czy to on jest synem Juana Dominga, którego Harding starał się namówić na udział w ekspedycji do Los Morenos.

Potwierdził prawdziwość całej historii. Rico dobrze ją pamiętał: miał osiemnaście lat, kiedy Anglik próbował zatrudnić jego ojca, brał nawet udział w jego spotkaniu z Hardingiem w barze hotelu Embajadores. Doszło do niego niespełna tydzień przed tym, jak podróżnik wyruszył do Los Morenos, skąd miał już nigdy nie wrócić. Przekonaliśmy się, że Rico ma godną pozazdroszczenia pamięć długotrwałą.

Świetnie pamiętał Hardinga. Opalony, wysportowany, bardzo atrakcyjny mężczyzna, przypominał gwiazdora kina. Nie przypadł jednak do gustu jego ojcu, który powtarzał, że Anglik myśli i zachowuje się jak dziecko. Harding proponował mu duże pieniądze za pójście z nim do puszczy, ale Juan Domingo niewzruszenie odmawiał. Powiedział, że nigdy nie odnajdzie zaginionego miasta, nawet gdyby potrafił poruszać się po dżungli niczym dzikie zwierzę. Miasto to bowiem było domem Tupany, Ojca Wiecznego, a On nie życzył sobie, żeby ktokolwiek je odnalazł.

– Twój ojciec wiedział, gdzie znajduje się to miasto? – zapytałem.

Rico zareagował na moje słowa przerażeniem, kilkakrotnie się przeżegnał.

– Och, nie, nie – odparł. – On nie wiedział, nie. Nawet nie chciał tego wiedzieć. Tata potwornie się bał tamtego miejsca. Kiedyś zapuścił się do dżungli sam i zaszedł za daleko. Bardzo długo nie wracał, zaczęliśmy się bać, że się zgubił. Wrócił do domu po dwóch dniach. Powiedział nam, że zobaczył coś w Los Morenos, coś strasznego, ale nie chciał nam zdradzić, co to było. Od tamtej pory już nigdy nie wrócił do dżungli. Ja myślę, że spotkał tam *nanej makajmucharu*.

– Co? – zapytał Bańka.

– To tylko bajki... – stwierdziła Sita.

Wujek skarcił ją surowym spojrzeniem.

– Żadne bajki, córeczko. Tata sam mi opowiedział tę historię.

Legenda głosiła, że przed wiekami Tupana, Ojciec Wieczny Walkateków, zaprowadził grupę Świętych Mężów do dżungli Los Morenos. Tam spotkali Indian, którzy pomogli im wznieść wielkie miasto w samym sercu puszczy. W zamian Święci Mężowie podzielili się z nimi swoimi sekretami, które zapewniały im wielką moc.

Kiedy zmarł ostatni z wybrańców Tupany, to Walkatekowie zostali strażnikami tych sekretów. Dzięki nim powołali do życia *nanej makajmucharu*, armię strażników dzień i noc pilnujących miasta oraz najcenniejszego skarbu znajdującego się na jego terenie: *Semmakeraj*, Zakazanego Słowa. Artefaktu stworzonego przez samego Tupanę.

Z czasem Walkatekowie, pijani chorobliwą ambicją, zapragnęli zdobyć jeszcze

więcej sławy i potęgi, a fantastyczne nauki Świętych Mężów już ich nie zadowalały. Chcieli dorównać bogom. Chcieli być tak wspaniali jak Tupana. Powodowani żądzą władzy dopuścili się straszliwego świętokradztwa: wymówili *Semmakeraj*. Nie wiedzieli, że wyłącznie Ojciec Wieczny potrafi zapanować nad potęgą, jaka płynie z Zakazanego Słowa. Ta właśnie potęga doprowadziła do ich upadku. Walkatekowie zostali unicestwieni przez nieokiełznaną siłę nie z tego świata.

Kiedy Indianie zniknęli, nie został już nikt, kto zdołałby kontrolować *nanej makajmucharu*, którzy od tamtej pory wędrują po ścieżkach dżungli Los Morenos i niosą śmierć każdemu, kto odważy się zbyt zbliżyć do Miasta Świętych Mężów Tupany.

Kiedy Rico skończył opowiadać, Sita pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Bajeczki – powtórzyła z naciskiem. – Do straszenia dzieci, tyle.

– Nic z tych rzeczy. Mój tata ich widział, jestem tego pewny. Dlatego nie chciał zaprowadzić Anglika do Los Morenos i dlatego sam nigdy nie wrócił do dżungli.

Zaintrygowała mnie ta historia. Zwłaszcza fragment dotyczący *Semmakeraj*. Słowo to brzmiało bardzo podobnie do Szem ha-Meforasz i zastanawiałem się, czy to nie w ten sposób Walkatekowie nazywali Imię nad Imionami.

– Czyli twój ojciec już nigdy nie zapuścił się do dżungli – podsumował Saúl. Rico kiwnął głową. – A ty? Znasz Szlaki Indian?

– Tak, znam. Tata nauczył mnie je rozpoznawać... Sam nauczył się od swojego ojca. W naszych żyłach płynie krew *mauakaro*.

– *Mauakaro*? – powtórzyłem.

– Myśliwych – wyjaśnił Saúl. – W prymitywnym społeczeństwie walkateckim nie wszyscy mężczyźni orientowali się w Szlakach Indian. Wyłącznie posłańcy, kapłani i łowcy. – Rico przytaknął. – Wasza rodzina pochodzi od *mauakaro*?

– Bez dwóch zdań. Przyjrzyj się dobrze, ojcze, popatrz... – Indianin podszedł do Saula i rozwarł powieki najszerszej, jak potrafił, żeby pokazać mu swoje oczy. Miały barwę zgaszonej zieleni. – Oczy myśliwego, widzi ojciec? Tego samego koloru co dżungla. W czasach Walkateków wszystkich urodzonych z zielonymi oczami od małego szkolono na *mauakaro*.

– Ale, wujku, moje oczy mają inny kolor – wtrąciła Sita.

Indianin czule pogłaskał ją po włosach.

– Tak, córeczko, ty takich nie masz, ale to nieważne. Nie mam własnych dzieci, więc musiałem nauczyć ciebie.

To dopiero niespotykany łut szczęścia. Szukaliśmy przewodnika, a trafiliśmy na dwoje, być może jedynych w całym kraju. Teraz musieliśmy już tylko przekonać albo wujka, albo jego przybraną krewną, żeby pomogli nam w naszej misji.

Postanowiłem nie owijać w bawełnę i od razu przejść do rzeczy.

– Rico, potrzebujemy twojej pomocy – oznajmiłem. – Chcemy z przyjaciółmi przemierzyć dżunglę Szlakami Indian. Mamy wskazówki... Coś w rodzaju mapy, można tak to ująć, na której zaznaczono cztery z tych dróg: Myszy, Wędrowca, Pajaka i Węża. Mógłbyś pomóc nam je odnaleźć?

– Mógłbym... Tak – przyznał Indianin, choć bez większego entuzjazmu. – Mysz... Wiem, gdzie się zaczyna, łatwo trafić. Ojciec zawsze wchodził do dżungli tą drogą, ale...

– Ale co?

– Jestem już stary, synku. To długa droga, w dżungli czyha wiele niebezpieczeństw... Nie wiem, czy podołam.

– Och, wujku, tak, zróbmy to! – przerwała mu Sita. – Zabierz mnie ze sobą, proszę. Indianin nieustępliwie pokręcił głową.

– Nie, Sito. To zbyt ryzykowne... To nie jest miejsce dla dziewcząt i starców. Przykro mi, ale nie możemy wam pomóc.

Nic nie wskazywało na to, żeby miał zmienić zdanie, ale tak bardzo potrzebowaliśmy pomocy tego człowieka, że byłem gotów przekonywać go przy użyciu wszystkich możliwych środków, jakimi dysponowałem, nawet najbardziej nieuczciwych.

– Nie sądzisz, że pozostanie w rezerwacie nie jest najlepszym pomysłem?

– zapytałem. Nie byłem dumny ze słów, które miały za chwilę paść z moich ust: – Ci, którzy cię pobili, pewnie tu wrócą, sam to powiedziałeś, a nas już nie będzie, żeby ci pomóc. Jeśli zastaną cię samego z dziewczyną, nie okażą wam litości. Chcesz tego? Domyślałem się, że nie. Jedyne szansa, żeby tego uniknąć, to pójść z nami.

Granie na lękach biednego staruszka było bardzo nieczystym chwytem, ale nie miałem w ręku już żadnego innego atutu.

Moje słowa wzbudziły w Ricu pewne wątpliwości, ale jeszcze nie zdołałem go namówić. Przystąpiliśmy więc do ostrych negocjacji z tym uparciuchem, starając się go przekonać, że decyzja o zostaniu naszym przewodnikiem po Los Morenos będzie najlepszą w jego życiu. Indianin wiał się i plątał, grał na zwłokę, odpowiadał wymijająco... Okazało się to strasznie wyczerpujące.

Podczas gdy ja i Saúl go urabialiśmy, Bańka stracił cierpliwość i wyłączył się z rozmowy. Zaczął krążyć po biednej izbie, aż w końcu wychylił się przez okno i zapalił papierosa. Na zewnątrz zapadła już głęboka noc.

Pertraktacje z Rikiem utknęły w martwym punkcie. Choć nawet dziewczyna próbowała go namówić, żeby nam pomógł, Indianin wciąż się opierał, uparty jak osioł. Tonem marudnego dziecka powtarzał nam ciągle, że może kiedy indziej... że nie jest pewien... że musiałby się zastanowić... że jest już taki stary... Zaczynałem tracić nadzieję.

Wtedy Bańka nas zawołał.

Zwróciłem głowę w jego kierunku. Poszukiwacz wyglądał przez okno i sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Nie jestem pewny... ale... – Nagle cisnął papierosa na ziemię i wrzasnął:

– Kurwa! Na ziemię, na ziemię! Wszyscy na ziemię!

Skoczył w naszą stronę i zmusił nas, żebyśmy położyli się płasko, z policzkami przy ziemi. Nad naszymi głowami rozpełtała się burza pocisków, które rozniosły liche ściany chałupy Rica.

Czułem się tak, jakby ktoś postanowił odpalić naraz całą skrzynię petard i fajerwerków. Otaczające nas ścianki z azbestu i płyt pilśniowych kruszyły się, podziurawione jak szwajcarski ser, a nędzne graty, którymi urządzone był dom Rica, rozpadały się w drobny mak. Połatana kanapa, na której jeszcze kilka sekund wcześniej

siedzieliśmy z Saulem, eksplodowała deszczem skrawków materiału. Gdyby nie refleks Bańki, skończylibyśmy jak tarcze na strzelnicy.

Strzały ucichły i usłyszałem głos dobiegający z zewnątrz.

– Masz nauczkę, żeby z nami nie pogrywać, guanchonie pierdolony!

Świetnie. Goście z kartelu wrócili się zemścić. I to z posiłkami.

Kolejna seria pocisków przeszła chatę na wylot, obracając w perzynę nieliczne sprzęty, które jeszcze się ostały. Ściany były tak gęsto podziurawione kulami, że ledwie mogły utrzymać ciężar zadaszania. Wśród huku kolejnych strzałów, które zdawały się nie mieć końca, usłyszałem złowróżbne trzeszczenie. Słabe ściany chałupy, już praktycznie nieistniejące, w końcu się załamały. Cały dach budynku zapadł się wprost na nas.

Na szczęście chałupy w rezerwacie budowano z lekkich materiałów. Płyty z azbestu i włókna szklanego oraz zbutwiałe drewniane listewki tylko trochę nas posiniaczyły, kiedy runęły nam na głowę.

Sicarios wstrzymali ogień.

Wygrzebaliśmy się jakoś z rumowiska i rzuciliśmy do ucieczki ile sił w nogach.

– Kurwa! Żyj! – usłyszałem. – Nie dajcie im uciec!

Znowu rozległy się strzały. Kula wybiła dziurę w arkuszu blachy tuż przed moim nosem. Wbiegliśmy w labirynt wąskich przejść między chatami, próbując zgubić goniących nas zbirów.

– Saúl, daj mi pistolet – rzucił Bańka.

Ksiądz podał mu broń i Poszukiwacz strzelił w powietrze. Usłyszeliśmy głos jednego z *narcos*:

– Tam są, między tymi barakami po prawej!

– Po jakiego czorta to zrobiłeś? – zapytał Saúl.

– Ty uciekaj z Rikiem i dziewczyną. Ja i Faro zwabimy ich, żeby gonili nas tędy.

– Saúl próbował protestować, ale mój przyjaciel nie dał mu dojść do słowa: – Na co czekasz? Wyciągnij ich stąd!

Saúl zabrał dwójkę Indian i pobiegli dalej, a Bańka z całej siły załomotał w ścianę pobliskiej chałupy metalową pokrywą kubła na śmieci.

– Słyszę ich! Tędy, za mną!

– W nogi, młody. Biegnij szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Nie musiał mi dwa razy powtarzać.

Puściliśmy się obaj sprintem jak rącze jelenie między chałupami, wciąż słysząc za plecami kroki *sicarios*. Nie wiedziałem, ilu ich jest, niewykluczone, że ściągnęliśmy sobie na kark całą przeklętą bandę. Na szczęście noc była bardzo ciemna i zamieniała uliczki rezerwatu w chaotyczny labirynt, co chyba zniechęciło naszych prześladowców do próby powstrzymania nas strzałami.

Pędziliśmy slalomem pomiędzy barakami i kontenerami, gnając przed siebie bez celu, jak dwie osaczone antylopy. Chcieliśmy zająć zbirów jak najdłużej, żeby umożliwić ucieczkę Saulowi i Indianom. Kwestia tego, jak sami mieliśmy sobie poradzić, pozostawała otwarta.

Stopniowo przestałem słyszeć tupanie i obelgi zbirów. Może w końcu udało nam się ich zgubić. Biegnący przede mną Bańka zwolnił kroku, aż w końcu całkowicie się

zatrzymał. Staliśmy w ciemnym zakamarku. Bańka znieruchomiał, zamilkł i zaczął nasłuchiwać.

Kilka metrów od naszej kryjówki zza kontenera wynurzyło się dwóch mężczyzn z wytatuowanymi twarzami. Obaj mieli w rękach broń.

– Widziałeś ich? – zapytał jeden.

– Na pewno są gdzieś blisko – odparł drugi. – Cholera! Ciemno tu jak w dupie.

Przywarliśmy z Bańką plecami do ściany i wstrzymaliśmy oddech. Tamci przechodzili tak blisko nas, że moglibyśmy na nich bez trudu napluć.

Nagle coś zaplątało mi się pomiędzy nogami. Wzdrygnąłem się i trąciłem kostką coś miękkiego i włochatego. Nocną ciszę przeszyło przenikliwe miauknięcie kota, który smyrnął mi spod nóg i przy okazji poprzewracał masę puszek.

– Tam są!

Przeklęte bydłę. Teraz zrozumiałem, dlaczego je tu obdzierają ze skóry i jedzą. Sam z najwyższą przyjemnością zrobiłbym temu głupiemu sierściuchowi przynajmniej to pierwsze.

Sicarios rzucili się w naszą stronę, nie dając nam nawet chwili na ucieczkę. Po raz kolejny dziękowałem losowi za Bańkę, który jak zwykle mnie osłaniał. Powalił jednego z napastników brutalnym kopniakiem w żołądek, a potem dołożył uderzenie w kark. Mogę się założyć, że facet stracił przytomność, zanim runął na ziemię.

Bańka już miał wymierzyć cios pięścią drugiemu zbirowi, ale ten zdzielił go kolbą pistoletu w policzek. Okulary mojego przyjaciela poszybowały w powietrze.

Schyliłem się, bykiem wyrznąłem bandziora w plecy i powaliłem go na ziemię. Bez większego problemu udało mu się ode mnie uwolnić – był znacznie większy i silniejszy. Chociaż nie zrobiłem mu poważniejszej krzywdy, to dzięki mnie Bańka przynajmniej zyskał kilka cennych sekund, żeby chwycić jakąś zardzewiałą rurę i z całej siły zdzielić go w czaszkę. *Narco* aż się zachłysnął. Bańka poprawił cios i facet padł jak kłoda.

– Nic ci nie jest, młody? – zapytał.

– Nie, w porządku. Świetnie sobie poradziłeś z tą rurą.

– Bez przesady. Ciesz się, że nie rozwaliłem ci głowy, widzę tylko zarysy kształtów.

– Gdzie twoje okulary?

– Nie mam pojęcia, upadły chyba gdzieś tutaj...

W tej samej chwili usłyszeliśmy kolejnych dwóch zbirów, którzy biegli w naszą stronę. Niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze całkowicie zażegnane.

– Spadamy stąd – zarządził Bańka. – Biegnij. W stronę wyjścia.

– Czekał... A okulary?

– Będę musiał sobie radzić bez nich.

Narco wyskoczył zza jednej z chałup i wskazał nas pozostałym. Nie było czasu na dyskusje o okularach, znowu musieliśmy wiać. Tym razem to ja prowadziłem, z Bańką za plecami. Modliłem się w duchu, żeby jego problemy ze wzrokiem nie uniemożliwiły mu ucieczki.

Sicarios deptali nam po piętach przez spory kawał drogi i znowu musieliśmy wspiąć się na wyżyny zwinności i sprytu, żeby zgubić ich w szczelinach i przejściach

między prowizorycznymi zabudowaniami rezerwatu. Kompletnie straciłem orientację w terenie, nie miałem pojęcia, czy zbliżamy się do wyjścia, czy od niego oddalamy.

Przestałem słyszeć pościg, więc odważyłem się zatrzymać i poszukać jakiegoś punktu odniesienia, który pozwoliłby mi ustalić, w jakim miejscu rezerwatu się znajdujemy.

Wtedy zorientowałem się, że jestem sam.

Rozejrzałem się dookoła z narastającym niepokojem. Nigdzie nie widziałem Bańki. Musieliśmy się rozdzielić w jakimś zakamarku tego przeklętego labiryntu, ale nie miałem pojęcia, kiedy to nastąpiło.

Nie było też śladu *narcos*, więc postanowiłem zaryzykować i wrócić drogą, którą przybiegłem, z nadzieją odnalezienia przyjaciela. Niestety, niełatwo było się zorientować w egipskich ciemnościach panujących w rezerwacie. Wszystkie baraki, rozrzucone bez ładu i składu, wydawały mi się identyczne. Nawet za dnia poruszanie się po osadzie nastroczało niemałych trudności, a teraz, w środku nocy, graniczyło z niemożliwością.

Z całej siły starałem się zachować zimną krew. Bańka na pewno szuka drogi do wyjścia, więc jeżeli zrobię to samo, prędzej czy później się spotkamy. Dałem sobie spokój z rozglądaniem się za zgubionym towarzyszem i próbowałem na węch zlokalizować rzekę, przekonany, że jeśli ją odnajdę, uda mi się wreszcie wydostać na zewnątrz.

Zdołałem zrobić zaledwie kilka kroków, gdy wpadłem prosto na chudego, łysego typka z wielkim tatuażem na środku ogolonej czaszki. Na mój widok uśmiechnął się szeroko, szczerząc kły ze złotymi koronkami.

– No proszę, kogo my tu mamy? – powiedział. – Trochę późno na spacer, co, stary? – Dobył ogromnej maczety. – Na pewno nic nie wiesz o tych skurwysynach, których szukamy...

Wykonałem w tył zwrot i rzuciłem się do ucieczki, ale potknąłem się o przewrócony kubeł na śmieci, z którego wysypywały się skrawki mięsa. Pośliznąłem się na czymś miękkim i runąłem na ziemię. *Narco* złapał mnie za włosy i siłą odchylił mi głowę do tyłu, odsłaniając szyję.

– Zrobię sobie nowy portfel z twojej skóry, kolego – wysyczał mi do ucha.

Wymacałem lepki kawałek mięsa i mocno ścisnąłem go w dłoni. Zgadywałem, że to wątroba, nerka albo inne flaki. To jedyne, co miałem pod ręką do obrony, więc wepchnąłem ochłap facetowi w gębę, wciskając tak mocno, jakbym próbował wetknąć mu go przez gardło do żołądka.

Wziąłem go przez zaskoczenie i udało mi się wyswobodzić. *Sicario* dostał gwałtownych torsji, posłał mi zabójcze spojrzenie i rzucił się na mnie z uniesioną maczetą. Zrobiłem unik, na sekundę nim zdążył mnie wypatroszyć, i złapałem go za ramię. Nie przyszło mi do głowy nic lepszego niż wbicie mu zębów w najbardziej mięsistą część dłoni, aż poczułem ohydny smak krwi.

Narco wrzasnął i wypuścił maczetę. Próbowałem ją złapać, ale skoczył na mnie i wymierzył cios pięścią w twarz, chociaż niezbyt mocny. Facet składał się praktycznie wyłącznie ze skóry i kości.

Mimo to walczył naprawdę zaciekle. Tarzaliśmy się po ziemi – raz ja lądowałem na górze, raz on – i próbowaliśmy się wzajemnie unieszkodliwić. Znów pośliznąłem się

na jakimś kawałku mięsa i zbir zdołał na mnie usiąść. Wbił mi palce w oczy, poczułem dotkliwy ból. Z całej siły wciskał paznokcie w moje powieki, jakby próbował mi wyrwać gałki oczne wraz z nerwami.

Pomacałem dookoła i nagle wyczułem rękojeść maczety. Bez chwili namysłu złapałem ją mocno i na oślep wbiłem w napastnika.

Ucisk palców na moich oczach zelżał, zdołałem rozchylić powieki. *Sicario* miał groteskowy wyraz twarzy, z szeroko rozdziawionych ust obficie płynęła krew. Jego własna maczeta przebiła mu na wylot szyję.

Wydał paskudny charkot, któremu towarzyszyła kolejna fala krwi, i w końcu opadł na mnie już jako trup.

Zrzuciłem go z siebie z okrzykiem obrzydzenia i czym prędzej uciekłem, gwałtownie, niemal brutalnie ocierając w biegu krwawą maź z policzków. Serce waliło mi tak mocno, że bałem się, iż lada chwila dostanę zawału.

Nagle wpadłem na metalową siatkę ogradzającą rezerwat. Poczułem niewysłowioną ulgę na widok dziury wystarczająco dużej, żebym mógł się przez nią przecisnąć. W końcu mogłem się wydostać z tego przeklętego miejsca i spróbować odnaleźć przyjaciół.

Musiałem przeczołgać się w błocie, żeby znaleźć się za ogrodzeniem. Już miałem się wyprostować, kiedy ktoś skierował snop światła prosto w moją twarz, na chwilę zupełnie mnie oślepiając.

– Co tu się wyrabia? – usłyszałem. – Dokąd to się wybierasz, zawszony guanchonie? Wracaj do swojej przeklętej nory!

Zamrugalem kilkakrotnie, żeby odzyskać wzrok, i zobaczyłem przed sobą dwóch żołnierzy. Jeden celował mi w twarz latarką, drugi, mniej sympatyczny, karabinem.

– Potrzebuję pomocy – wydusiłem oszołomiony. – Ścigają nas jacyś ludzie. Są z kartelu...

Ten z latarką nie chciał słuchać moich tłumaczeń.

– A czemu ma nas obchodzić, co się tam dzieje w tym waszym pierdolonym rezerwacie? – rzucił. – Mówiłem, że masz wracać, skąd przylazłeś, jebany indiańcu!

– Nie jestem Indianinem, jestem Europejczykiem. – Wstałem powoli z uniesionymi rękami. – Hiszpanem... Mam przy sobie dokumenty.

Żołnierze wymienili skonsternowane spojrzenia.

– Idziesz z nami – zarządził ten z latarką.

Drugi nadal mierzył do mnie z karabinu.

– Dokąd?

– Głuchy jesteś czy co? Mówiłem, że idziesz z nami! – powtórzył żołnierz. Jego towarzysz stanął za mną i brutalnie popchnął lufą karabinu. – Morda w kubek. I nawet nie próbuj opuszczać rąk.

Nie miałem wyjścia, musiałem posłusznie spełnić polecenie. Prawdopodobieństwo spotkania z Bańką i resztą ekipy z każdą chwilą coraz bardziej zbliżało się do zera.

NIEWOLA

Żołnierze zaprowadzili mnie do budki wartowniczej znajdującej się poza rezerwatem. Na nic zdały się próby przemawiania im do rozsądku czy wyjaśnienia mojej sytuacji. Za każdym razem, gdy się odzywałem, natychmiast kazali mi milczeć, coraz agresywniej. W końcu sobie darowałem, kiedy jeden z wojskowych zdzielił mnie w twarz uchwytem latarki. Przekonałem się, że najrozsądniej będzie się zamknąć i obserwować dalszy rozwój wydarzeń.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wpakowali mnie do pomieszczenia wielkości szafy i zamknęli drzwi na klucz.

Nie wiem, jak długo siedziałem w tym schowku, zżerany niepokojem. Żołnierze odebrali mi zegarek, portfel, telefon i wszystko, co uznali za przydatne czy wartościowe. Czas zdawał się płynąć coraz wolniej, a ja zaczynałem się poważnie obawiać o swoją skórę.

Po upływie – jak mi się zdawało – wielu godzin wyciągnęli mnie z pokoiku i władowali do wojskowego samochodu. Wstał już nowy dzień. Znowu zabronili mi się odzywać, a sami oczywiście w żaden sposób nie dali mi do zrozumienia, co zamierzają ze mną zrobić. Byłem już zresztą tak wyczerpany i zgnębiony, że sił wystarczało mi wyłącznie na posłuszne wypełnianie rozkazów.

Zawieźli mnie do czegoś w rodzaju koszar znajdujących się na całkowitym odludziu. Tam, bez żadnych pytań ani udzielenia mi głosu, zrobili mi parę zdjęć i zamknęli w celi, gdzie za jedyne towarzystwo miałem pryczę i obrzydliwy sedes.

Na pryczy leżał twardy, wąski materac bez pościeli, za to upstrzony ciemnymi plamami. Mimo niezbyt zachęcającego wyglądu łóżka rzuciłem się na nie i zasnąłem z wyczerpania, jakbym zapadł w śpiączkę.

Obudziłem się, kiedy jakiś żołnierz wszedł i zostawił mi tacę z jedzeniem – chlebem, wodą i gęstą zupą z fasoli czy grochu, zimną i stężałą jak galareta. Kiedy się podniosłem i usiadłem na łóżku, poczułem się tak, jakbym miał najbardziej potwornego, bolesnego i otumaniającego kaca w historii ludzkości. Głowa pulsowała mi nieznośnym bólem i chyba wszystkie części ciała miałem kompletnie zdrętwiałe.

Z całej tacy tknąłem wyłącznie wodę – pociągnąłem łyk, bo język miałem suchy i obrzmiały. Letnia ciecz o nieco rdzawym posmaku niespecjalnie mi ulżyła, ale zyskałem słabą pociechę, że nie zamierzali pozwolić mi umrzeć z głodu i pragnienia. Przynajmniej na razie.

Kolejne godziny spędziłem w czterech ścianach celi, dręczony całą masą pytań bez odpowiedzi. Dlaczego mnie tu przetrzymują, jaki los spotkał moich przyjaciół i ile czasu minie, zanim ktoś wyciągnie mnie z tej dziury – to tylko kilka spraw, które wzmagały już i tak piekielny ból mojej biednej głowy.

Kiedy poczułem, że lada chwila oszaleję ze strachu i niepewności, drzwi się

otworzyły i do celi weszło dwóch żołnierzy. Nakazali mi zachować milczenie i pójść za nimi, znowu nie udzieliwszy mi żadnych wyjaśnień.

Zaprowadzili mnie do pomieszczenia z kratami w oknach, wyposażonego w stół i metalowe krzesła. Polecili mi usiąść, skuli moje ręce łańcuchem przymocowanym do stołu, a potem znowu zostawili mnie samego.

Niebawem ktoś wszedł do pokoju. Na widok pierwszej od dawna znajomej twarzy poczułem ulgę tak wielką, że prawie uroniłem kilka łez.

Julianne Lacombe usiadła naprzeciwko mnie.

– Bogu dzięki, Alfaro... – powiedziała. – Musiałam poruszyć niebo i ziemię, żeby cię znaleźć.

– Julianne, co się dzieje? Dlaczego wojsko mnie tu trzyma?

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Wyciągnę cię stąd, obiecuję.

– A Bańka? I Saúl? Są cali i zdrowi? Weszliśmy do rezerwatu i...

Uciszyła mnie niecierpliwym gestem.

– Nic im nie jest. Wszystko w porządku. Teraz nie ma na to czasu. Posłuchaj mnie uważnie. – Julianne ujęła moje dłonie i spojrzała mi w oczy, żeby podnieść mnie na duchu. – Pół miasta się zbuntowało, to chyba jakiś zamach stanu czy coś w tym stylu... Nie wiem... Panuje ogólny chaos i zamieszanie... Pozamykane lotniska, zamieszki... Będziemy musieli mieć dużo...

Ktoś wszedł do pokoju, więc Lacombe urwała w pół zdania. Był to umundurowany mężczyzna w średnim wieku, z twarzą pokrytą bliznami po ospie i z surową miną. Zwrócił się od razu do Lacombe, nawet na mnie nie spojrzawszy, i krótko uścisnął jej dłoń.

– Pułkownik Salcillo, żandarmeria – przedstawił się. – Pani Julianne Lacombe?

– Interpol – dopowiedziała agentka. Usiedli. – Panie pułkowniku, muszę wyrazić mój kategoryczny sprzeciw wobec zaistniałej sytuacji. Pan Tirso Alfaro, którego zatrzymali panowie w sposób całkowicie niezgodny z jakimikolwiek uregulowaniami, jest członkiem międzynarodowej organizacji policyjnej i jako takiemu przysługuje mu cała seria gwarancji prawnych, które panowie haniebnie naruszają. Nie zamierzam się na to godzić.

Kolejne zdania padały z ust Lacombe niczym pociski z pistoletu, agentka nie dała się zastraszyć napuszonemu pajacowi w mundurze. Nie miałem wątpliwości, że mój los jest w dobrych rękach. Zrozumiałem, że będzie walczyła o mnie do upadłego, w chwili gdy usłyszałem, jak przedstawia mnie jako agenta Interpolu. W gruncie rzeczy to już nie była prawda, ale Lacombe nie przejmowała się formalnościami, zależało jej tylko na tym, żeby mnie stąd wyciągnąć.

Pułkownik pokazał jej jakiś dokument wyjęty z teczki, którą ze sobą przyniósł.

– Niech pani to przeczyta, proszę. To rozporządzenie rządu, podpisane przez prezydenta. Ogłasza się w nim wprowadzenie stanu wyjątkowego z uwagi na niestabilną sytuację w stolicy. Oznacza to, że żandarmeria wojskowa Republiki ma prawo aresztować każdego, kto stanowi zagrożenie dla porządku publicznego.

Lacombe z pogardą odsunęła dokument.

– To skandal! Pan Alfaro jest nie tylko agentem pracującym w moim zespole, lecz

także obywatelem Europy. Nie mają panowie prawa trzymać go w areszcie wojskowym! Nie jest winny żadnego przestępstwa!

– Obawiam się, że jest pani w błędzie. Pani podwładny jest oskarżony o zabójstwo.

– Słucham?

– Innego Europejczyka – wyjaśnił pułkownik, zaglądając do swoich papierów.

– Niejakiego... Abła Alzagi, narodowości hiszpańskiej. Mamy licznych świadków, którzy widzieli, jak ten oto człowiek popełnił tę zbrodnię, a następnie uciekł z miejsca zdarzenia.

Nie mogłem uwierzyć, że przeklęty Kuznik z za grobu nadal utrudnia mi życie. Dla niektórych ludzi nawet piekło nie jest wystarczająco daleko.

– Absurdalne... Kompletna bzdura... Aż słów mi brak... – powiedziała Lacombe.

– Jeśli pan Alfaro rzeczywiście jest winny jakiejś zbrodni, będziecie musieli to udowodnić. Przysługuje mu obrona, należy ustalić wysokość kaucji, poinformować władze hiszpańskie... Panie pułkowniku, dopuścili się panowie tak licznych i tak poważnych nieprawidłowości, że muszę udzielić panu poważnego ostrzeżenia: ta sprawa może wywołać międzynarodowy konflikt prawny.

Oficer wstał.

– Widzę, że nie rozumie pani sytuacji – rzucił ostro. – Do czasu zniesienia stanu wyjątkowego sprawy bezpieczeństwa kraju leżą w gestii armii i to my będziemy decydować, co jest najlepsze dla utrzymania porządku publicznego. Żaden organ zagraniczny czy międzynarodowy nie może ingerować w nasze wewnętrzne procesy. Sprawą pani agenta zajmie się sąd wojskowy w trybie przyśpieszonym, a jeśli oskarżony zostanie uniewinniony, wyjdzie na wolność.

Zabrakło mi tchu w płucach. Lacombe była zbulwersowana.

– Proces w trybie przyśpieszonym! To jakiś żart?

– Będziemy żądać kary śmierci.

– Nie! – zawołałem. – Nie mówi pan poważnie!

Lacombe była blada jak ściana. Przyswojenie sobie słów pułkownika przychodziło jej z wyraźnym trudem.

– Zupełnie poważnie. A pani nie może nic zrobić, żeby nas powstrzymać – stwierdził oficer. – Nasze spotkanie dobiegło końca. – Dał znak w stronę drzwi i dwóch żołnierzy weszło do pomieszczenia, żeby odprowadzić mnie z powrotem do celi.

Tym razem musieli jednak zawlec mnie siłą.

– Nie zrobiłem tego! – wrzeszczałem. – Nikogo nie zabiłem! Julianne, Julianne, błagam, musisz mnie stąd wyciągnąć! To jakieś nieporozumienie!

Patrzyła na mnie wstrząśnięta, nie mogąc wydusić słowa. Przybyła tu zaopatrzona w cały arsenał argumentów prawnych, którymi potrafiła się posługiwać najlepiej na świecie, pewna, że zdoła mnie uratować. Podejrzewam, że w obliczu zupełnie nielogicznej odmowy pułkownika biedna Lacombe całkowicie się zablokowała i teraz miała pustkę w głowie.

Smutne. Ale i tak weselsze niż wizja mojej przyszłości.

Kara śmierci... Tych dwóch słów nikt nie chciałby usłyszeć w połączeniu z własnym nazwiskiem.

Ostatnim, co zobaczyłem, zanim żołnierze siłą wyciągnęli mnie z pokoju, były oczy agentki, w których malowała się całkowita bezradność. Coś do mnie powiedziała, ale nie dosłyszałem słów. Byłem nieco rozkojarzony – właśnie dostałem gwałtownego ataku paniki.

Jeden z żołnierzy uderzył mnie w głowę i zapadłem w czarny stan nieświadomości. Od tej pory miało być już tylko gorzej.

Odzyskałem przytomność w celi, ale innej niż ta, w której przetrzymywali mnie wcześniej. Była zdecydowanie mniejsza, zamiast pryczy leżała w niej tylko mata na podłodze, nie było też okna, a jedyne źródło światła stanowiła nieustannie mrugająca jarzeniówka pod sufitem.

Cela nie miała krat, tylko ściany z surowego betonu i metalowe drzwi z wąską klapką na wysokości niecałego metra od podłogi, otwieraną wyłącznie z zewnątrz.

Okropnie bolała mnie głowa, czułem mdłości. Dolegliwości te stanowiły jednak najmniejszy z moich problemów. Wszystkie moje myśli owładnęła wizja stanięcia przed trybunałem wojskowym i ewentualnego wyroku śmierci.

Wiele wskazywało na to, że zginę w tym samym kraju, w którym życie stracił mój ojciec. Bardzo makabryczna tradycja rodzinna.

Nie zamierzałem jednak popadać w rozpacz. Gdzieś poza tymi murami ciągle byli odważni, pomysłowi i zaradni ludzie, którzy nie dopuszczą do wykonania na mnie egzekucji jak na zwykłym kryminaliście. Przyjaciele Poszukiwacze uwolnią mnie od tej gehenny. Byłem tego pewny.

A przynajmniej starałem się zachować tę pewność.

Położyłem się na macie i zamknąłem oczy. Nawet jednak przez zaciśnięte powieki przebijało się uparte miganie jarzeniówki, a towarzyszyło mu buczenie, które po jakimś czasie zrobiło się nie do wytrzymania.

Nie wiem, ile czasu spędziłem, leżąc zamknięty w tym piekle, za jedyne towarzystwo mając własny strach. Zdawało mi się, że trwało to całą wieczność.

Nagle drzwi celi się otworzyły. Dwóch żołnierzy weszło do środka i kazało mi wstać. Jeden bez słowa zakuł mi ręce w kajdanki za plecami, a drugi wepchnął do ust kawałek gąbki, po czym mnie zakneblował. Z gąbki sączył się gorzki płyn, który chcąc nie chcąc, połknąłem, przerażony, że zaraz się uduszę. Na koniec zarzucili mi na głowę worek z czarnego materiału.

Ogarnęła mnie panika. Próbowałem krzyczeć, ale udawało mi się wydobyć jedynie stłumione stęknienia, które prędko zmieniły się w bolesne torsje z winy tej przeklętej gąbki. Żołnierze ciągnęli mnie brutalnie przez spory odcinek. Nie widziałem absolutnie nic.

Zatrzymaliśmy się. Kazali mi wyciągnąć z tyłu ręce, po czym przymocowali łańcuch łączący kajdanki do czegoś nad moją głową. Zawisłem, tak że mogłem ustać tylko na czubkach palców, a ramiona rozciągały mi się boleśnie w tej nienaturalnej pozycji. W końcu ktoś zerwał mi worek z głowy.

Znajdowałem się w pustym pokoju o szarych ścianach, pozbawionym okien i jakichkolwiek sprzętów. Przedem stał żołnierz uzbrojony w strzelbę z uciętą lufą,

a obok drugi z gumową pałką w dłoni. Oboje patrzyli na mnie jak na kawał mięsa.

Ten z pałką podszedł bliżej i uderzył mnie w żołądek, tuż pod żebrami. Przeszywający ból sprawił, że z oczu popłynęły mi łzy. Nie mogłem nawet krzyczeć, a jedynie żałośnie pojękiwać.

Żołnierz odczekał chwilę, po czym wymierzył kolejny cios, dokładnie w to samo miejsce. Tym razem ból okazał się jeszcze dotkliwszy. Gardło skurczyło mi się w odruchu wymiotnym, a posmak żółci na podniebieniu zmieszał się z gorzkim paskudztwem sączącym się z gąbki. Żołnierz uderzył po raz trzeci. Stopy mi się poplątały i zawisłem bezwładnie pod sufitem, czując, jak ścięgnięta w ramionach napinają mi się do granic możliwości, niczym zbyt mocno naciągnięte struny. Czwarty cios pozbawił mnie wszelkich odczuć poza bólem tak intensywnym, że nigdy nie spodziewałbym się doświadczyć czegoś takiego i nie postradać zmysłów.

To był jednak dopiero początek długiego lania.

Żołnierz walił mnie pałką po brzuchu, po nerkach, po plecach. Wybierał miękkie miejsca, pozbawione kości, wyłącznie narządy, które tłukł z takim zapamiętaniem, jak gdyby chciał je rozwalić na kawałki. Nie broniłem się. Nie miałem jak. Jedyne, co mogłem zrobić, to zmuszać się do oddychania i marzyć, żeby któryś z ciosów pozbawił mnie przytomności, bo nie sądziłem, żebym mógł jeszcze długo to znosić.

Kiedy moje ciało zmieniło się już w kłębek pozrywanych nerwów, ktoś odpiął mnie od haka, który utrzymywał mnie pod sufitem. Runąłem jak kłoda. Złapali mnie pod pachy, podnieśli i znowu założyli na głowę czarny worek. Potem zaciągnęli mnie z powrotem do celi, gdzie zdjęli mi worek, kajdanki i wyjęli knebel, po czym cisnęli na materac.

Potem odeszli. Bez słowa.

Zgiąłem się wpół w gwałtownym ataku torsji, aż zwymiotowałem mieszanką krwi i żółci. Nawet oddychanie przysparzało mi niewyobrażalnego cierpienia. Kompletnie pozbawiony sił mogłem tylko leżeć bez ruchu na podłodze i marzyć, żeby ból jak najszybciej zelżał.

Po jakimś czasie światło w celi zgasło i pograżyłem się w całkowitych ciemnościach. Potem pamiętam już tylko czarną pustkę wypełnioną bólem i strachem.

Wyrwałem się z niej dopiero po całej wieczności, kiedy ktoś chlusnął mi prosto w twarz kubłem lodowatej wody. Oszołomiony otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła.

Zorientowałem się, że nie jestem już w celi, tylko w pokoju, w którym spotkałem się wcześniej z Lacombe. Posadzili mnie na krześle i znów przykuli mi ręce do stołu. Cały tors miałem odrętwiały, a przy każdym oddechu z mojego gardła wydobywało się charczenie.

Byłem sam.

Po dłuższej chwili ktoś wszedł do pokoju i zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Spojrzał na mnie skośnymi, błękitnymi oczami. Intensywnie błękitnymi.

– Tirso Alfaro... No proszę, czyli wcale nie jest pan martwy... A może jednak. Może obaj nie żyjemy, a teraz przebywamy w czymś w rodzaju czyścica. Co pan o tym sądzi?

– Yoonah... – wyrzuciłem z siebie to słowo niczym najgorszą obelgę. Doktor

przyglądał mi się jak jakiemuś niezwykle zabawnemu i interesującemu okazowi. Gdybym nie został przykuty do stołu, rzuciłbym się teraz na niego i własnymi rękami wydlubał mu te jego oczy porcelanowej laleczki. – To pan jest winny temu wszystkiemu.

– Ja? Ależ skąd, drogi przyjacielu; przecenia pan mój wpływ na decyzje podejmowane przez tutejsze siły bezpieczeństwa. Znalazł się pan w tej sytuacji tylko i wyłącznie dzięki własnym dokonaniom. Nie powinien pan być zabijać Abła Alzagi, to był błąd.

– Kiedy go znalazłem, już nie żył.

– Rozumiem... W takim razie kto, pana zdaniem, jest zabójcą?

– Nie wiem. Możliwe, że właśnie z nim rozmawiam.

Yoonaha bardzo rozbawiła moja odpowiedź.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan solidniejsze argumenty na swoją obronę – powiedział z uśmiechem. – Nie, to nie ja zabiłem Abła Alzagę alias Kuszniaka. Wręcz przeciwnie, jego śmierć to dla mnie bardzo niefortunny incydent. Pan Alzaga był dla nas bardzo użyteczny... Tykająca bomba zegarowa w samym sercu Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Odwalił kawał świetnej roboty, naprawdę doskonałej, a my premiujemy doskonałość.

– My?

– Pozwoli pan, że kogoś panu przedstawię. Osobę, którą zapewne już od dłuższego czasu chciałby pan poznać. Zaproponuje panu pewien układ, a ja radzę, żeby dla własnego dobra pan na niego przystał. – Yoonah podszedł do drzwi, otworzył je i wpuścił do pokoju jakąś kobietę. – Tirso, przedstawiam panu Lilith.

Kobieta, która usiadła obok doktora Yoonaha, musiała mieć jakieś sześćdziesiąt lat, może trochę więcej. Mimo to poruszała się z młodzieńczą gracją, niczym jedna z eleganckich gwiazd kina w złotych latach Hollywood, jakaś Lauren Bacall czy Bette Davis w sile wieku.

Miała piękne oczy o złotawych tęczęwkach pełnych najróżniejszych odcieni, ogromne i nieco wyłupiaste. Siwe, a raczej srebrne włosy i twarz o delikatnych rysach, której jedyny niesymetryczny element stanowił nos, może ciut zbyt długi. Była prawie nieumalowana, nie próbowała ukrywać drobnych zmarszczek rozchodzących się promieniście z kącików ust i oczu.

Nawet poobijany i obolały nie mogłem oderwać oczu od tej twarzy, przyglądałem się jej z fascynacją. Było w niej coś, co nieodparcie przyciągało spojrzenie, jakby ujrzało się oblicze starożytnego posągu wyłaniające się nagle spośród ruin. Jednocześnie piękna i wiekowa. Delikatny relikwiarz przeszłości. Ta kobieta miała w sobie coś, przez co pragnąłeś, żeby jej oczy spoczęły na tobie, udzieliły ci aprobaty. Emanowała niesłychaną charyzmą, do tego stopnia, że przez chwilę poczułem się głęboko zawstydzony tym, że ogląda mnie w takim stanie: przykutego kajdankami do stołu, z ciałem zdruzgotanym bólem i z przerażeniem pulsującym w skroniach. Niczym jeniec wojenny na audiencji u cesarzowej.

Kobieta spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Pan Alfaro, wreszcie się spotykamy – powiedziała, jakbyśmy znajdowali się nie

w okropnej sali przesłuchań, a w eleganckim klubie towarzyskim. – Nazywam się June Lockhard, jestem prezeską firmy Voynich Incorporated.

– Lilith... – zdołałem wydusić.

– Tak, Lilith – przytaknęła z lekkim zażenowaniem. – Musi mi pan wybaczyć. Czuję głęboką niechęć do wystawiania się na widok publiczny, graniczącą z odrazą. To takie... lekkie zaburzenie. Unikam tego z całych sił, wolę ukrywać przed nieznanymi zarówno swój wizerunek, jak i nazwisko. Obecny tu doktor Yoonah od dłuższego czasu jest twarzą mojej firmy. Bardzo sobie cenię naszą współpracę. – Wywołany odpowiedział na pochwałę skromnym skinieniem głowy. – Mówię o tym, bo zależy mi, żeby pan zrozumiał, jak wielkim szacunkiem pana darzę. Nigdy nie decyduję się na spotkanie twarzą w twarz z nieznanym, jeśli sytuacja nie jest naprawdę wyjątkowa. Chociaż oczywiście... nie jesteśmy sobie tak zupełnie obcy, prawda?

Podczas tego spotkania mogłem zachować się na różne sposoby. Mogłem okazać gniew, zaskoczenie lub urazę; mogłem być zgryźliwy albo opryskliwy, mogłem zaatakować ją nieskończoną serią pytań i wymagać jeszcze więcej wyjaśnień... Każda z tych postaw wydawała się zrozumiała, skoro miałem do czynienia z kobietą, która – jak wszystko wskazywało – była mózgiem stojącym za większością moich niedawnych niepowodzeń. Wciąż jednak byłem oszołomiony i skołowany, nie tylko z powodu niecodziennych wydarzeń, lecz także na skutek zadanego mi przez żołnierzy fizycznego bólu, który wciąż przeszywał cały mój organizm.

Skupienie uwagi na rozmowie wymagało ode mnie nadludzkiego niemal wysiłku i czułem się jak w środku psychodelicznej jazdy, nie do końca pewny, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy doznaję delirycznych wizji, leżąc zwinięty w kłębek na podłodze celi. Wyartykułowanie nawet kilku słów wymagało ode mnie potężnej siły woli.

– Nie jesteśmy... sobie obcy? – powtórzyłem.

– Nie do końca, proszę pana – odparła. – Śledziłam pańskie poczynania z niezwykle dużym zainteresowaniem, orientuję się w pańskich dokonaniach w szeregach Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Zasluguje pan na najwyższe pochwały. Ma pan wrodzony talent, a do tego sporo uporów, za to tak pana cenię.

Wystarczyło mi sił, żeby zmusić usta do bolesnego uśmiechu.

– Po co...? – zapytałem. – Po co to wszystko? Nie rozumiem...

– Domyślam się. Na pewno chciałby mi pan zadać masę pytań, ale ja nie zamierzam na nie odpowiadać. Nie po to tu przyszedłem. Chcę położyć kres pańskim cierpieniom, chcę panu pomóc. Ale pan w zamian będzie musiał pomóc mnie.

– Jak?

– Znalazł pan coś w kościele w Funsalu. Może dowiedział się pan, jak dotrzeć do zaginionego miasta Walkateków. Wystarczy, że zdradzi mi pan, jak to zrobić. Proszę mi to powiedzieć, a wyjdzie pan stąd jako wolny człowiek.

Złotawe tęczęwki wwiercały się w moje oczy, jakby próbowały przeniknąć aż do najgłębszych zakamarków mózgu. Jej słowa brzmiały tak słodko, tak pociągająco... Wyjść stąd. Być znów wolnym człowiekiem. Dojść do siebie, uśmierzyć ból, nie musieć wracać do ciemnej celi ani znów lękać się o życie. Proponowała mi niegłupi, rozsądny układ. Nie musiałem zostawać męczennikiem, nikt tego ode mnie nie wymagał.

Byłem taki zmęczony, taki słaby...

– Są szlaki – wyszeptałem niemal niedosłyszalnie. – Nazywają je Szlakami Indian. Wytoczyli je Walkatekowie, każdy ma swoją nazwę. Trzeba przejść... – Przełknąłem ślinę. Gardło zapiekło mnie, jakbym miał je zdarte do żywego mięsa. – Trzeba przejść cztery z nich, w kolejności... – Głos mi się załamał. Czułem złotawy blask oczu Lilith niczym jasne, pałace światła. Zamknąłem powieki.

– Tak? – zapytała z ledwie uchwytną nutką niecierpliwości. – Kolejność. W jakiej kolejności? Proszę mi powiedzieć, a każę pana uwolnić. Mam taką moc.

– W kolejności...

Wolny. Wreszcie na wolności. Musiałem tylko wymówić parę słów. Koniec bicia. Nigdy więcej bólu. Znowu spotkam się z przyjaciółmi.

I właśnie wtedy, kiedy o nich pomyślałem, dotarło do mnie, że nie mogę się zgodzić na ten układ. Wiedza, którą Lilith chciała ode mnie wyciągnąć, nie należała do mnie. Odkrycia tego nie dokonałem sam, lecz z pomocą całego Narodowego Korpusu Poszukiwaczy. Nie tylko Enigmy, Bańki i Yokaiego; także Danny, która zaginęła; Narvaeza, zamordowanego przez Voynicha; Skrzydłowego, straconego na rozkaz Alzagi.

Pioruna, zdradzonego przez Kusznika, współnika Lilith.

Nikt mi nie bronił sprzedać tej kobiecie owoców moich własnych wysiłków, ale nie miałem prawa zdradzić krwi moich towarzyszy.

– Nie znam kolejności – odparłem słabym głosem.

Lilith mocno zacisnęła usta. Zerknęła na Yoonaha, a ten odpowiedział jednym słowem:

– Kłamie.

Kobieta znów zwróciła się do mnie, tym razem z dużo chłodniejszym nastawieniem.

– Kolejność, proszę pana. Proszę nam ją podać. W tej chwili.

Siedziałem w milczeniu z opuszczoną głową. Nie chciałem patrzeć w oczy tej kobiety, bo bałem się, że jeśli to zrobię, natychmiast się złamię.

Lilith znów zadała mi to samo pytanie. Potem zrobił to Yoonah. Oboje na zmianę prosili mnie i grozili. Nie powiedziałem już jednak ani słowa.

W końcu Lilith wstała od stołu.

– Cóż za niepotrzebne poświęcenie... Naprawdę to do pana nie dociera? Pan tu umrze.

– Nie ja zabiłem Alzagę – wychrypiałem. – Jestem niewinny.

– Biedny głupiec – odparła kobieta z pogardą. – Nie będzie żadnego procesu. Wyrok został już wydany.

Obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Po chwili pojawiło się dwóch żołnierzy, którzy podnieśli mnie od stołu. Yoonah patrzył, jak prowadzą mnie z powrotem do celi, a raczej ciągną moje bezwładne ciało.

– Żegnam pana, Tirso – powiedział i pomachał mi z ironią.

Założyli mi na głowę kaptur i już nic nie widziałem.

Po tamtym spotkaniu rozpoczął się koszmar, którego nie jestem w stanie opisać.

Pojedyncze obrazy i nieskładne wspomnienia do dziś wyrywają mnie ze snu w środku nocy – krzyk więźnie mi wtedy w gardle, a ciało mam zlane potem.

Ostatnie, co pamiętam jasno i wyraźnie, to dwaj żołnierze prowadzący mnie do obskurnego, przejmującego zimnego pomieszczenia z kratkami odpływu w podłodze. Ściągnęli mi z głowy kaptur, kazali się rozebrać, a potem trysnęli we mnie obfitym lodowatym strumieniem z węża, aż upadłem i leżałem w kącie zwinięty w kłębek, przytłoczony ciśnieniem wody i powalony bólem. Raz po raz kopniakami zmuszali mnie do wstania, po czym znowu chlustali na mnie wodą, aż ponownie się przewracałem.

Dużo później, kiedy zmieniłem się już w roztrzęsioną kupkę nieszczęścia, wrzucili mnie wciąż nagiego z powrotem do celi i tam zostawili. To był jednak dopiero początek. Pozbawili mnie nie tylko ubrań, lecz także siły i woli. Odebrali mi wszystko oprócz bólu i paniki. Sprowadzili mnie do poziomu stworzenia utrzymującego się przy życiu wyłącznie dzięki czysto zwierzęcemu instynktowi.

Ubrany w szmaty, które mi dali – cienkie jak papier i kompletnie wyświechtane – przeszedłem prawdziwą drogę przez mękę, czasu jej trwania nie jestem w stanie dokładnie ocenić. Brakowało mi najbardziej podstawowej metody określania upływu czasu, bo w mojej pozbawionej okien celi non stop paliła się ta przeklęta migająca lampa jarzeniowa, która wwierała mi się w źrenice i nie pozwalała spać. Kiedy zaś moje oczy w końcu się zamykały i już, już miałem zapaść w stan słodkiej nieświadomości, do celi wpadali żołnierze – z upiornie świetnym wyczuciem czasu – wyciągali mnie brutalnie jak kukłę i zabierali gdzieś, żeby poddać najróżniejszym torturom.

Oblewanie strumieniami lodowatej wody pod dużym ciśnieniem należało do ich ulubionych. Potem odstawiali mnie totalnie przemoczonego do celi, gdzie wstrząsały mną drgawki silne jak spazmy. Tę metodę stosowali zamiennie z biciem, podczas którego zawsze wieszali mnie za nadgarstki na haku pod sufitem. Czasem tłukli mnie pałkami, czasem używali pięści; nigdy w kości, zawsze celowali w miękkie miejsca. Kiedy indziej z kolei razili mnie prądem o wysokim natężeniu – w brzuch, między palcami, w jądra. Ból był nie do zniesienia. Zdarzało się też, że kładli mnie na wznak na podłodze, zakrywali twarz ręcznikiem, po czym umieszczali głowę pod strumieniem wody płynącym wprost na moje usta – ręcznik nasiąkał, co wywoływało przerażające wrażenie tonięcia. Trzymali mnie tak przez kilka minut, które ciągnęły się jak długie godziny, a potem znów zawieszali na łańcuchu jak tuszę w rzeźni i spuszczały lanie. Później – z powrotem do celi.

Tam z kolei buczenie jarzeniówki wbijało mi się w mózg jak ostra igła i jestem przekonany, że to nie był przypadek, że strażnicy tak manipulowali lampą, żeby jak najbardziej mi dokuczała, a uporczywe mruganie kłuło mnie w oczy przez całą dobę, niezależnie od tego, czy powieki miałem otwarte, czy zamknięte. Wyspanie się graniczyło z niemożliwością. A kiedy wyczerpanie dawało mi się we znaki tak mocno, że ani najjaśniejsze światła, ani najgłośniejsze dźwięki świata nie przeszkodziłyby mi w zaśnięciu, przychodzili po mnie żołnierze i wszystko zaczynało się od nowa: bicie, podtapianie i rażenie prądem.

Nie karmili mnie, nie odzywali się ani słowem. To były maszyny do zadawania tortur, sprawne i nieludzkie, o twarzach zupełnie pozbawionych wyrazu. Wszystko, co działo się w tym lochu, wspominam jak serię obrazów z koszmarnego snu. Widzę siebie

w tym piekle, jak wrzeszczę, błagam rozpaczliwie o choć sekundę snu. Pórnagi i bezbronny jak zwierzę prowadzone na rzeź. Pustka w głowie, umysł opanowany bólem, zmysły stępione przez deliryczną mgłę. No i strach. Wieczny strach. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym odczuwać go tak intensywnie i nie zwariować... A może w końcu zwariowałem.

Często podczas niekończącego się, uciążliwego czuwania zdawało mi się, że znów mam przed sobą złote oczy Lilith. Jakby na widok mojego cierpienia Los postanowił obdarzyć mnie cudem i pozwolił cofnąć się w czasie, wrócić do chwili, w której Lilith dała mi możliwość ucieczki z tego piekła, a ja ją odrzuciłem. Kiedy nawiedzały mnie te wizje, byłem tak zdeterminowany, żeby przestać odczuwać ból (albo żeby zdrzemnąć się choć minutę... o Boże... dałbym wszystko za jedną jedyną minutę snu), że w kółko powtarzałem jej to, co chciała usłyszeć.

– Mysz... Wędrowiec... Pająk... Wąż...

Kolejność Szlaków Indian.

Połączenie bicia, zimna, głodu i niewyspania doprowadziło mój umysł na skraj załamania. Po jakimś czasie bez przerwy powtarzałem te cztery słowa. Kiedy żołnierze mnie bili czy razili prądem, kiedy trząsałem się w swojej celi, kiedy udawali, że mnie topią, albo masakrowali moje obolałe ciało pociskami lodowatej wody z węża, ja wciąż powtarzałem te cztery nazwy, raz za razem.

– Mysz... Wędrowiec... Pająk... Wąż...

Krzycząc, a raczej wrzeszcząc. Bełkocząc niewyraźnie. Czasem w trakcie ataku histerycznego płaczu spowodowanego bólem i wyczerpaniem. Tak jakbym się spodziewał, że Lilith może jakimś cudem je usłyszeć, zrozumieć ich znaczenie i położyć kres mojej gehennie, zgodnie z obietnicą, którą mi złożyła.

Nic się jednak nie zmieniało. Ciągłe te same tortury następowały po sobie w nienagannym porządku.

Aż pewnego dnia, w momencie, którego nie potrafię sprecyzować, znów zaprowadzono mnie do sali przesłuchań. Tym razem nawet nie zadawali sobie trudu z przykuwaniem mnie do stołu. Potraktowali mnie jak ranne zwierzę, którym zresztą wówczas byłem, zostawili zwiniętego w kłębek na podłodze w kącie. Żalodne, dezorientowane, roztrzęsione stworzenie.

Z trudem uniosłem głowę i mój wzrok trafił na złotawe oczy Lilith. Towarzyszył jej doktor Yoonah. Wydawało mi się, że mam halucynacje.

– Wygląda na to, że jest już gotowy – oznajmił Azjata.

Lilith spojrzała na mnie zupełnie bez wyrazu i wypowiedziała jedno jedyne pytanie:

– Jaka jest prawidłowa kolejność szlaków?

Zacząłem szlochać jak dziecko.

– Mysz... Wędrowiec... Pająk... Wąż...

Skinęła głową, po czym wyszła z pokoju. Yoonah zwrócił się do obecnych tam żołnierzy:

– Możecie go sobie zabrać, już go nie potrzebujemy.

– Panie doktorze, otrzymaliśmy rozkaz niezwłocznego opuszczenia koszar w celu

wzmocnienia sił bezpieczeństwa w stolicy. Co mamy zrobić z więźniem?

– Nie mam pojęcia. Możecie go gdzieś przenieść, zostawić tutaj albo strzelić mu w łeb. To już nie nasza sprawa.

To powiedziawszy, Yoonah wyszedł.

Żołnierze podnieśli mnie z podłogi i odprowadzili do celi. Zarejestrowałem, że panowały w niej ciemności, nie było też słycać żadnego buczenia. Jarzeniówka została wyłączona.

Rzucili mnie na matę. Gdy tylko moje ciało przybrało pozycję leżącą, powieki mi się zamknęły i natychmiast zapadłem w głęboki sen. Jakbym dał się ponieść śmierci.

Śniłem o miejscu, które wydawało mi się znajome. Kroczyłem przez bardzo rozległą grotę pełną bujnej roślinności. Pod stopami miałem dywan mchów i traw, miękki i puszysty niczym puchowa kołdra. Było tam pełno roślin najrozmaitszych gatunków, a ich łodygi uginały się pod ciężarem mięsistych, różnokolorowych kwiatów. Wydzielały niesamowity zapach. Między płatkami latały zadziwiające owady o opalizujących pancerzykach, niektóre wyglądały jak z kamieni szlachetnych. Gdzieś z głębi jaskini dobiegał szmer wody.

Spojrzałem w kierunku centrum groty i zauważyłem coś w rodzaju sarkofagu oplecionego szmaragdowozielonymi pnączami.

Doznałem nagłego olśnienia, tak typowego dla marzeń sennych. Zrozumiałem, gdzie się znajduję. To Nieprzemijalna Oaza w Ogołu nad uskokiem Bandiagara. To w tym miejscu znalazłem Łańcuch Proroka, tyle że w onirycznej rzeczywistości wyglądało ono znacznie piękniej i żywiej niż w moich wspomnieniach.

Jakiś mężczyzna siedział na sporym głazie. Miał na sobie haftowaną tunikę, na głowie turban. Czubkiem gałęzi rysował sobie coś na ziemi.

– Witaj, Poszukiwaczu – przywitał się, nawet na mnie nie patrząc. Jego głos brzmiał przyjaźnie. – Chodź, zbliż się. Miło znowu cię widzieć.

Podszedłem do niego i z zaciekawieniem popatrzyłem, co rysuje. Ujrzałem mysz, węża, pająka i ludzika z tobołkiem na ramieniu. Mężczyzna podniósł na mnie wzrok. Gdy tylko zobaczyłem te intensywnie zielone oczy, od razu go poznałem: tajemniczy strażnik oazy, którego spotkałem podczas poszukiwań skarbu Dżaudara Paszy.

– Zdajesz się nieco zmęczony, Poszukiwaczu. Usiądź, odpocznij. Jesteś tutaj bezpieczny – powiedział. – Wiesz, co to za miejsce?

– Nieprzemijalna Oaza – odparłem. – Przynajmniej tak sędę... Wygląda znacznie lepiej, niż kiedy widziałem ją poprzednim razem.

Pokiwał głową z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Rzeczywiście, prawda? Teraz, kiedy Nummowie nie niszczą już tej ziemi, mogę odwiedzać ją częściej – wyjaśnił. – Powiedz mi, Poszukiwaczu, jak tam twoje sprawy.

– Nieźle. Powiedzmy.

– Powiedzmy?

– Teraz akurat mam pewne trudności.

– Ach, rozumiem, rozumiem... Przykro mi to słyszeć, ale można się było tego spodziewać. Droga ku wiedzy nie jest drogą łatwą. Czasem poznanie nie przynosi nam

satysfakcji, wręcz przeciwnie. – Spochmurniał. – Strach, frustrację... Tak, czasami lepsza jest niewiedza. Może nie daje nam szczęścia, ale zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Sam się o tym przekonasz, kiedy znajdziesz Ołtarz Imienia nad Imionami.

– Nie dojdzie do tego. Już nie.

– Dlaczego? Czyżbyś się zmęczył poszukiwaniami? Nie chce mi się w to wierzyć. Poczulem ukłucie wstydu, spuściłem wzrok i wbiłem go w ziemię.

– Zdradziłem im kolejność, w jakiej powinni podążać Szlakami Indian. Teraz Lilith dotrze do Ołtarza Imienia nad Imionami przede mną. – Poczulem gulę w gardle, jakbym był dzieckiem, które wie, że zawiodło ojca. Może tak zresztą było.

– Ach, tak, szlaki... – powiedział strażnik Oazy, nie okazując szczególnego zmartwienia. – Mysz, Wędrowiec, Pająk i Wąż. Cóż za osobliwe nazwy... I twierdzisz, że to jest poprawna kolejność? Jesteś pewien?

– Tak. Tak właśnie jest w inskrypcji: „W kolejności, w jakiej zapisano słowo”. Słowo oznacza ewangelie, które...

– Wiem, wiem, nie musisz mi tłumaczyć. To twój sen, Poszukiwaczu, twoje własne wspomnienia. – Strażnik uśmiechnął się do mnie. – Marek, Mateusz, Łukasz i Jan: od pierwszego aż do ostatniego. Pewnie masz rację. Już kiedyś ci mówiłem, że nie wyznaję się za dobrze na tych świętych tekstach. – Znów zaczął rysować na ziemi. Tym razem napisał rzymską cyfrę VII. – Od pierwszego aż do ostatniego... – powtórzył, po czym otoczył siódmką kółkiem.

Na widok tego symbolu nagle dotarło do mnie coś niezwykle ważnego, z czego do tej pory nie zdawałem sobie sprawy.

– Siedem – powiedziałem. – Niech to szlag... Siedem...

– Co się stało, Poszukiwaczu?

– Pomyliłem się! – zawołałem. – To wcale nie jest poprawna kolejność!

Strażnik powoli pokiwał głową.

– Tak, też tak sądzę – przytaknął. – Kimkolwiek jest osoba, której przekazałeś tę informację, wygląda na to, że niechcący ją oszukałeś.

– Szlak Myszy wcale nie jest pierwszy! Lilith wyruszy w nieodpowiednim kierunku, przy odrobinie szczęścia zgubi się, krążąc w kółko po dżungli, a wtedy ja będę mógł... – Mój entuzjazm gwałtownie ostygł. – Nie, nic nie będę mógł. Umrę w tej celi. Pewnie mam już delirium.

– Nie umrzesz, Poszukiwaczu... Przynajmniej nie dzisiaj. Najpierw musisz odnaleźć Ołtarz Imienia nad Imionami i... podjąć decyzję.

– Jaką decyzję?

– Czy pragniesz uzyskać wszystkie odpowiedzi, czy zależy ci raczej na jeszcze liczniejszych pytaniach. – Twarz strażnika spoważniała. – Ale uważaj, Poszukiwaczu. Absolutne poznanie czyni nas absolutnie nieludzkimi. Niepewność to dar od Boga, każe nam poszukiwać odpowiedzi, a poszukiwanie nadaje sens naszemu życiu. Bez niego nie mamy duszy.

W oazie pociemniało, jakby nagle zapadł zmierzch.

– Co się dzieje?

Strażnik podniósł wzrok ku niebu.

– Nic, czym musiałbyś się martwić. – Wstał i wytarł dłonie o tunikę. – Muszę już iść, ale ty możesz tu jeszcze trochę zostać, jeśli masz ochotę. Odpoczywaj, nadrabiaj zaległości we śnie, odzyskuj siły. W mojej oazie jesteś zawsze pod moją ochroną.

Chciałem coś powiedzieć, ale poczułem nagle przemożną senność, ledwie byłem w stanie utrzymać otwarte oczy. Ułożyłem się wygodnie na posłaniu ze świeżego mchu i poczułem się bezpieczny. Bez oporów pozwoliłem, by sen zawładnął moim ciałem.

Nagle się obudziłem.

Ból zaatakował wszystkie moje mięśnie i znów leżałem półnagi na podłodze więziennej celi. Ktoś potrząsnął mnie za ramię, a ja wzdrygnąłem się jak spłoszone zwierzątko.

– Spokojnie... spokojnie... – usłyszałem. Głos brzmiał znajomo, więc pomyślałem, że nadal mam halucynacje albo śnię o spotkaniach z duchami przeszłości. – Tirso, to ja.

Spróbowałem wyostrzyć wzrok, żeby móc odróżnić kształty w półmroku. Drzwi celi były otwarte, wpadało przez nie światło z korytarza. Przede mną stała jakaś postać. Jej twarz robiła się coraz wyraźniejsza.

To na pewno zjawą. Kolejna deliryczna wizja, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Danny...?

Uśmiechnęła się. Tylko połową ust, tak jak zawsze. Ale jej uśmiech nie trwał nawet sekundy.

– Boże święty, Tirso... – powiedziała drżącym głosem. – Co oni ci zrobili?

Zakryłem twarz dłońmi i rozplakałem się z niewysłowionej ulgi.

Danny przyniosła mi koc, żebym mógł chociaż trochę okryć swoje łąchmany. Poczęstowała mnie też wodą z bidonu.

Siedziałem na macie, trzęsąc się jak zmarznięty wróbel. Danny delikatnie głaskała mnie po głowie, jakby uspokajała psa przybłądę. Pozostawałem w stanie kompletnej dezorientacji, zdecydowanie nie w pełni władz umysłowych i fizycznych. Ogarnęło mnie jednak głębokie przekonanie, że najgorsze już minęło.

Chciałem zadać jej całą masę pytań, ale oszołomienie nie pozwalało mi artykułować pełnych, logicznych wypowiedzi, wyrzucałem z siebie tylko strzępki myśli, które kołatały mi się po głowie.

– Ty... jesteś tutaj... – wydusiłem. – Jak...?

– Później – odparła stanowczo. – Najpierw spróbujmy wydostać się z tej dziury.

– Żołnierze... żołnierze... – Przełknąłem ślinę. Nie mogłem zbudować nawet prostego zdania, mózg zupełnie mi się zablokował.

– Nie ma już żołnierzy, wszyscy wyjechali. – Zarzuciła sobie moją rękę na ramię i pomogła mi wstać. Nogi drżały mi tak mocno, że nie mogły utrzymać ciężaru ciała.

– Dasz radę iść?

– Daj mi... tylko... chwilkę... – Opierałem się o Danny i próbowałem zebrać siły.

– Żołnierze... dlaczego... ich nie ma...?

Danny udzieliła mi jakiejś odpowiedzi, ale w tamtej chwili nie potrafiłem jej sobie

przyswoić. Dopiero znacznie później, kiedy wysłuchałem całej historii w bardziej sprzyjających okolicznościach, dowiedziałem się, co się stało ze strażnikami więzienia.

Okazało się, że podczas gdy przebywałem w niewoli, napięta sytuacja polityczna w kraju doprowadziła w końcu do wybuchu. Stało się dokładnie tak, jak przewidział Saúl: rząd uderzył w populistyczne organizacje partyzanckie, a te odpowiedziały przemocą, skoordynowaną na niespotykaną dotychczas skalę. Pół kraju powstało zbrojnie, doszło do zamachu stanu z prawdziwego zdarzenia, a rząd stracił grunt pod nogami. Wydarzenia zaczęły się toczyć z zawrotną prędkością. Prezydent Luzón musiał wezwać na pomoc wszystkie jednostki wojskowe w okolicy La Victorii, żeby utrzymać kontrolę w mieście, nawet jeśli oznaczało to pozostawienie koszar na pastwę losu. Żołnierzy przerzucano do stolicy szybko i chaotycznie.

Do opuszczonych garnizonów należał właśnie ten, w którym mnie przetrzymywano. Miałem wielkie szczęście, że nie chciało się im tarabanić z niewiele wartym więźniem ani nie postanowili mnie wykończyć. Uznali zapewne, że jeśli zostawią mnie pod kluczem w tak pożałowania godnym stanie, to obrażenia i głód dopełnią dzieła i zaoszczędzą im fatygi. Prawdziwy cud, że Danny mnie znalazła.

– Jak długo... – próbowałem zapytać – byłem...?

– Złapali cię cztery dni temu.

Cztery dni. Cztery dni tortur i braku snu. Nic dziwnego, że czułem się jak żywy trup.

Danny pomagała mi iść i wspólnie przemierzyliśmy korytarze budynku, aż do wyjścia. Po raz pierwszy kroczyłem tą drogą bez worka na głowie. Wokół nie było żywej duszy, tylko puste pomieszczenia, przewracane meble i sterty papierów walających się po ziemi. Niezaprzeczalne dowody gorączkowego wymarszu.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, blask słońca wbił mi się w oczy niczym ostrze noża. Zasłoniłem twarz rękami i dalej szedłem na oślep, prowadzony przez Danny. Spomiędzy palców dostrzegłem samochód czekający na nas z włączonym silnikiem. Było to zdezelowane auto Saula, ale w tamtej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zobaczyłem, jak Bańka wysiada z wozu od strony pasażera i idzie w naszą stronę z wściekłą miną.

– Banda pierdolonych skurwysynów! – zawołał. – Co oni z tobą zrobili... Przysięgam, że wypruję im za to flaki, kurwa mać! – Danny usiadła za kierownicą, a Bańka pomógł mi się wdrapać na tylne siedzenie. Obchodził się ze mną jak z jajkiem, mało brakowało, a wzięłby mnie na ręce. Musiałem wyglądać naprawdę koszmarnie.

Zacząłem odpływać. Ledwie mogłem zachować przytomność.

– Szlaki... – wymamrotałem. – Bańko, szlaki... Pomyliłem... się... kolejność... jest nie taka...

– Spokojnie, młody, spokojnie. Jesteś już bezpieczny, słyszysz? Jesteś bezpieczny.

– Powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, jakby chciał się upewnić, że na pewno go rozumiem.

– Gdzie ten ksiądz? – zapytała Danny. – Musimy już jechać.

Saúl zjawił się kilka chwil później, zbliżał się do samochodu szybkim krokiem.

– Widziałem, jak wychodzicie – powiedział. – Znaleźliście go?

– Siedzi z tyłu – odparła Danny.

– Bogu niech będą dzięki! – Duchowny nachylił się nade mną, żeby mi się przyjrzeć. Chyba coś powiedziałem, ale nie jestem pewny. Zresztą większość szczegółów, które tu opisuję, przypomniałem sobie dopiero jakiś czas później. – Bardzo kiepsko wygląda... Nie chcę nawet myśleć, co te bydlaki mogły mu zrobić. Gdzie go znaleźliście?

– W celi w podziemiach – wyjaśniła Danny. – Na szczęście ktoś zostawił klucze w jednym z gabinetów, w innym razie nie wiem, jak udałoby mi się go stamtąd wyciągnąć.

– Na coś byśmy wpadli... Wiesz co? Znałem kiedyś gościa, który wyważył drzwi własną głową. – Saúl poklepał mnie krzepiąco po ramieniu. – Możesz już spać spokojnie, synku. Jesteś w dobrych rękach.

Spać, tak. Najśłodsze słowo świata. Zapaść w głęboki sen, niczym niezakłócony, bez obawy, że nagle obudzę się znowu w celi. Pragnąłem tego każdą cząstką jestestwa, nie byłem zdolny myśleć o niczym innym. Spać. Tyle i nic więcej.

Padłem wycieńczony niehumanitarnym cierpieniem i pozwoliłem, żeby koszmar rozplynął się w kojących wodach odpoczynku.

FREEWAY (IV)

David Yoonah wyszedł z pałacu rządowego z uczuciem niesmaku.

Doznawał tego wrażenia, zawsze gdy okoliczności zmuszały go do przetrwania jednego z niekończących się spotkań z prezydentem Luzonem. Facet był bardziej męczący niż ciężka niestrawność. Pyszałkowaty dyktatorzyna, agresywny i krótkowzroczny, wytwór państwa do szpiku przeżartego korupcją przez długie dziesięciolecia rządów identycznie głupich polityków. Valeriano Luzón był po prostu ostatni w tym długim szeregu, może nawet i nie najgorszy, ale Yoonah dałby głowę, że najbardziej irytujący. W skrócie: imbecyl posiadający władzę.

Spotkanie jak zwykle sprowadziło się do długiego monologu prezydenta, który zawsze przemawiał tak, jakby tkwił wysoko na piedestale. Luzón prawdopodobnie nie potrafił nawet zapytać o godzinę, tak żeby nie zabrzmiało to jak diatryba o paskudnie nacjonalistycznym wydźwięku.

Podczas zebrania omawiano ataki organizacji partyzanckich. Luzón przeplatał płaczliwe skargi histerycznymi tyradami. Rząd stał w obliczu rychłego pokonania przez nieprzyjaciela, który groził przejściem kontroli nad całym krajem. Prezydent prosił więc Voynicha, aby więcej ludzi z Wotanu wzmocniło armię i powstrzymało falę rewolucji. Panika pobrzmiwała w każdym zdaniu wypowiedzianym przez Luzona, i nie bez przyczyny: gdyby zamach stanu się powiódł (a coraz więcej na to wskazywało), to on jako pierwszy musiałby się zaprezentować przed plutonem egzekucyjnym na rozkazach nowych władców Republiki.

Już chociażby z tego powodu Yoonah odczuwał cień sympatii dla rebeliantów.

Interes Voynicha musiał jednak wziąć górę nad odrazą, jaką budził w nim Luzón. Aby z powodzeniem doprowadzić swoje plany do końca, Projekt Lilith potrzebował stabilnego państwa z przyjaznym i przekupnym rządem. Nie żeby Yoonah nie wierzył, że populistów nie można by jakoś kupić (wszystko na świecie ma swoją cenę, a Voynich dysponuje wystarczającymi środkami, żeby zapłacić, za cokolwiek zechce), ale nawiązanie stosunków z nowym rządem to długie i nużące przedsięwzięcie, które trzeba by rozpocząć od zera. Podobne opóźnienie w takiej chwili zupełnie im nie leżało... A do tego dochodziła kwestia złóż wolframu. Nowy rząd z całą pewnością chciałby je znacjonalizować, a stanowiły one dla Voynicha zbyt smaczny kąsek, żeby dał je sobie wydrzeć z rąk.

Czy to się Yoonahowi podobało, czy nie, Voynich musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby wesprzeć prezydenta Luzona i jego zgraję durnych ministrów.

– Kiedy będę miał do dyspozycji więcej ludzi, doktorze? – pytał, niemal krzyżąc, szefrządu. Wpadł w takie wzburzenie, że zaczął pluć. – Ci komuniści stoją u bram stolicy!

Yoonah otarł kroplę śliny z czubka nosa. Pomyślał, że chętnie połamałby na głowie tego faceta jedną z kul, którymi ciągle musiał się podpierać.

– Zapewniam, że gdyby to ode mnie zależało, panie prezydencie, nastąpiłoby to niezwłocznie – odparł absolutnie spokojnie. – Ale to nie ja kontroluję Wotan. Jestem zaledwie skromnym udziałowcem Voynich Incorporated, decyzja nie należy do mnie.

– Kiedy podpisywaliśmy umowę, twierdził pan co innego!

– Owszem, ale liczba funkcjonariuszy, których teraz pan ode mnie żąda, jest znacznie wyższa niż ta pierwotnie określona w umowie. Sytuacja uległa zmianie.

– A może chciałby pan, żeby ci sprzedawczycy, zdrajcy ojczyzny przejęli władzę?

– Luzón pogroził mu grubym, krótkim palcem. – Jeśli do tego dojdzie, może się pan pożegnać z umowami! Ci wszarze wyrzucą was wszystkich za granicę! A wasze wykopaliska archeologiczne... Z tym też możecie się pożegnać!

Yoonah westchnął ciężko. Luzón nie miał nawet pojęcia, kim właściwie są jego przeciwnicy. Czasami nazywał ich „socjalistami”, innym razem „komunistami”, jeszcze kiedy indziej „robołami spod ciemnej gwiazdy”, a najczęściej „zdrajcami ojczyzny”. Niuanse polityki okazały się zbyt skomplikowane dla jego prostego intelektu: jedynym, czym się zajmował w kontekście rebeliantów, była utrata ciepłej posadki.

– Rzecz jasna nie chcemy dopuścić do takich radykalnych zmian – powiedział Yoonah. – Dlatego pani Lockhard jest gotowa spotkać się z panem osobiście, żeby omówić szczegóły bardziej zaawansowanego porozumienia między nami a pańskim rządem.

Znacznie bardziej zaawansowanego, niż mógłbyś sobie wyobrazić, napuszony karaluchu, dodał w myślach. Taka umowa oznaczałaby w praktyce wykupienie całego kraju przez Voynicha, byłby to odpowiednik wrogiego przejęcia. Chociaż podejrzewał, że miano „marionetkowego prezydenta” raczej nie spędzałoby Luzonowi snu z powiek, jeśli mógłby dalej bez przeszkód zasilać swoje konta bankowe w Belize.

– Czy w grę wchodziłoby więcej funkcjonariuszy Wotanu?

– Och, tak... bez porównania.

Prezydent nieco się uspokoił.

– Doskonale. Możemy uznać porozumienie za zawarte. Kiedy będę mógł się spotkać z panią Lockhard? Czas działa na naszą niekorzyść!

– Łąduje za około trzy godziny. Właściwie powinienem już być w drodze na lotnisko, żeby ją odebrać. Tak więc, jeśli pan prezydent pozwoli...

– Tak, tak, proszę jechać. Nie ma czasu do stracenia.

– Dziękuję. – Yoonah wstał i wsparł się na kulach. – A propos, jeśli chodzi o tego hiszpańskiego więźnia, o którym panu wspominałem...

Luzón machnął ręką ze zniecierpliwieniem, jakby temat ten w najmniejszym stopniu go nie interesował.

– Tak, wszystko załatwione. Żandarmeria trzyma go w areszcie, zgodnie z pańską prośbą, i czeka na dalsze instrukcje. Aha, poinformowali mnie, że agentka Interpolu, jakaś Francuzka, pojawiła się w koszarach i zaczęła się powoływać na rozmaite argumenty prawne. Chciała zabrać tego waszego człowieka.

– Mam nadzieję, że go jej nie wydano, prawda? – zapytał Yoonah z niepokojem.

– Przypominam, że sporo za niego zapłaciliśmy. Naprawdę sporo.

– Nie, powiedzieliśmy jej, że więźnia czeka sąd wojskowy. Ale liczę na to, że prędko się pan tym zajmie: ta kobieta groziła konfliktem międzynarodowym, a ja nie potrzebuję już więcej problemów, rozumie pan?

– Puste frazesy i bezpodstawne groźby, panie prezydencie, proszę się tym w ogóle

nie przejmować. Niezwłocznie załatwię moje sprawy z tym więźniem.

Odpowiedź zadowoliła Luzona. Yoonah opuścił gabinet prezydenta, nawet nie próbując ukrywać, że bardzo mu zależy, żeby uczynić to jak najszybciej.

Na ulicy przed pałacem czekał już na niego szofer w imponującym czarnym audi. Prezent od rządu Valcabado dla nowych panów i władców z Voynicha. Wygodny, szybki i skandalicznie luksusowy, mimo to przyprawił Yoonaha o ciarki: zanadto kojarzył mu się z karawanem.

Matematyk usadowił się na tylnym siedzeniu i skrzywił się w grymasie cierpienia. Nogi znowu potwornie mu dokuczały. Nigdy nie było z tym za dobrze, ale wilgotny klimat La Victorii sprawiał, że ból stawał się nie do zniesienia.

Nieprzyjemna pamiątka porażki w Mali. Yoonah pocieszał się jednak myślą, że wkrótce odplaci winowajcy. Odplaci mu z nawiązką.

Szofer ruszył w drogę na lotnisko. Yoonah wyglądał przez okna i obserwował stopniową transformację stolicy w twierdzę przygotowaną na nadciągający szturm bojówek partyzanckich. Po ulicach chodziło więcej żołnierzy uzbrojonych po zęby niż cywilów – nieomylny znak, że lada chwila sytuacja bardzo się skomplikuje. Yoonah spodziewał się jednak, że kiedy to nastąpi, on będzie już w sercu Los Morenos cieszył się trofeum, za którym przez tyle lat gonił. To będzie podniosła chwila.

Parę godzin później przyglądał się z terminalu lądowaniu jedyne samolotu. Był to mały samolot z dynamicznym logo linii lotniczych na kadłubie. Freeway Airlines. Kilka lat wcześniej Voynich kupił to podupadające przedsiębiorstwo i od tej pory skromna flota służyła głównie do półprywatnych podróży kierownictwa wyższego szczebla.

Tym akurat samolotem przyleciała June Lockhard, prezeska i główna udziałowczyni korporacji Voynich.

Yoonah czekał na nią z lekkim łaskotaniem w żołądku.

Zawsze przed spotkaniem twarzą w twarz z tą kobietą czuł się jak nędzny poddany czekający na audiencję u cesarzowej. Uczucie rodem ze średniowiecza. Yoonah był absolutnie pewny, że na całym świecie istniało zaledwie kilka osób zdolnych wzbudzić tak wiernopoddańczy podziw samą swoją obecnością.

Kiedy ją zobaczył, poczuł nowy przypływ fascynacji aurą splendoru, która zdawała się ją otaczać. Może chodziło o jej oczy majestatycznej barwy złota, może o wrodzoną elegancję godną antycznego posągu... Równie trudno było ustalić źródło jej charyzmy, jak próbować jej się oprzeć.

Yoonah pracował u jej boku już od wielu lat. Niektórzy uważali go za jej najbliższego współpracownika i nie mylili się, ale mimo to nadal nie wiedział bardzo wielu rzeczy na jej temat. June Lockhard tak zazdrośnie strzegła swojej prywatności, że można było odnieść wrażenie, jakby zadawanie się z nią stanowiło swego rodzaju świętokradztwo.

Z tego, co Yoonah wiedział, prezeska Voynicha nie miała żadnej przeszłości, korzeni, rodziny, przyjaciół ani, wydawałoby się, życia poza sporadycznymi kontaktami z otoczeniem. Być może sama podtrzymywała tę aurę tajemnicy, żeby wzmocnić swoją charyzmę, może nie, ale tak czy inaczej dla większości ludzi związanych z Voynichem June Lockhard stanowiła raczej coś w rodzaju wpływowego, wszechmocnego bytu niż osoby

z krwi i kości. Podobnie jak bogini, do której często się odwoływała, a która ukazywała się śmiertelnikom tylko po to, żeby dać świadectwo swego majestatu. Przy takich okazjach materializowała się *deus ex machina* i można było mieć pewność, że wydarzy się coś ważnego. Coś, co zmieni życie przynajmniej kilku osób.

Tak. Ona posiadała taką moc. Yoonah dobrze o tym wiedział, miał przywilej to obserwować w wielu sytuacjach. Czuł się zaszczycony tak bliskimi stosunkami z tą kobietą. Wszelki sprzeciw czy nawet próba pokrzyżowania jej planów oznaczały błąd, za który przychodziło słono zapłacić. O tym Yoonah również przekonał się na własne oczy.

Prezeska Voynicha stanęła przed doktorem w otoczeniu swojej zwykłej świty – sztabu milczących asystentów o ponurych minach i w niemal identycznych strojach. Nie po raz pierwszy ich widok nasunął Yoonahowi na myśl orszak kapłanów, dzierżących w dłoniach urządzenia mobilne zamiast kadzielnic i odzianych w garnitury od Armaniego zamiast w sutanny.

– Davidzie, skarbie – powitała go szefowa. – Miło znów cię widzieć.

– Dzień dobry pani. – Matematyk skłonił głowę w niemal służalczym geście. – Mam nadzieję, że podróż upłynęła przyjemnie.

– Nie przepadam za długimi lotami, sam wiesz, ale uznałam, że powaga sytuacji usprawiedliwia fatywę... Przynajmniej taki wniosek wyciągnęłam z twoich raportów. Wydarzyło się coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

– Właśnie wracam ze spotkania z prezydentem Luzonem. Domaga się więcej ludzi z Wotanu.

– Wiem – stwierdziła. Yoonaha to nie zdziwiło: oprócz wyczerpujących raportów, które składał jej niemal codziennie, prezeska Voynicha dysponowała licznymi innymi źródłami informacji, o których matematyk nic nie wiedział. – Sama to z nim załatwię, skoro nie ma innego wyjścia. Uważasz, że powinnam potraktować tę sprawę priorytetowo?

– Obawiam się, że tak. Sytuacja w kraju gwałtownie się pogorszyła w ciągu ostatnich godzin, partyzanci okazali się znacznie bardziej wojowniczo nastawieni i wykazali więcej inicjatywy, niż spodziewał się rząd.

– A w jakim stopniu wpłynie to na nasz główny projekt?

– Lilith już się nie zatrzyma – zapewnił Yoonah z zapalem. – Lada chwila uzyskamy informację, która jest nam niezbędna do realizacji ostatniej fazy. Wszystko wyszczególniłem w moich raportach.

– Tak, w tym też się orientuję. Znalazłeś jakiegoś przewodnika na wyprawę do Los Morenos?

– Nie było łatwo, ale się udało. W rezerwacie w Coimarze namierzyliśmy Indianina imieniem Diego, który potrafi się poruszać po walkateckich szlakach.

– Godny zaufania?

– Na sto procent, sprawdziliśmy go – oświadczył Yoonah. – Jedyne, czego jeszcze nie znamy, to trasa, jaką musimy pokonać, a jestem pewny, że tę informację nasz... więzień znalazł w kościele w Funzalu.

Kobieta skinęła głową.

– Tirso Alfaro... Czyli jednak nie zginął.

– Nie. Zatrzymano go w rezerwacie w Santa Aurorze, został zidentyfikowany przez organy bezpieczeństwa w La Victorii. Kiedy nasi ludzie z Wotanu poinformowali mnie o jego aresztowaniu, przemaglowałem personel stanowiska archeologicznego. Nie ma wątpliwości: pan Alfaro kręcił się po wykopaliskach pod przybranym nazwiskiem.

– To niezbyt dobrze świadczy o naszych środkach bezpieczeństwa, Davidzie.
– Matematyk oblał się rumieńcem. Chciał powiedzieć coś na swoją obronę, ale kobieta nie dopuściła go do słowa. – Przyjrzymy się tej sprawie później. Co się teraz dzieje z panem Alfarem?

– Pozostaje w areszcie. Przesłucham go niezwłocznie.

Kobieta zamyśliła się głęboko.

– Zrobimy to razem – oznajmiła w końcu. – Chcę go poznać osobiście, przekonać się, jakim jest człowiekiem. Poza tym mnie powie prawdę.

Yoonah nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jeśli ta kobieta czegoś zapragnęła, zawsze to osiągała. Pod spojrzeniem tych złotych oczu Poszukiwacz zamieni się w mokrą glinę.

– Umówię spotkanie, kiedy go już nieco zmiękczymy. Dopilnuję, żeby był zdecydowany z nami współpracować.

– Ostrożnie, Davidzie – powiedziała surowym tonem. – Ten chłopak ma na koncie niezwykle dokonania i zasługuje na nasz szacunek. Popelniliśmy błąd, nie zdając sobie sprawy z jego potencjału od samego początku, mógł okazać się bardzo cennym sojusznikiem naszej sprawy wewnątrz Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

– Nie musimy się już przejmować tą instytucją. Kusznik przed śmiercią bardzo sprawnie wywiązał się ze swojego zadania.

– Na to wygląda... – odparła bez większego przekonania. – Mimo to nie pozostawiamy niczego losowi. Wyciągniemy informacje z pana Alfara, oczywiście, ale poszukamy też zastępstwa dla Kusznika. Musimy się na bieżąco orientować w poczynaniach naszych przeciwników.

– Co konkretnie ma pani na myśli?

Szefowa wszystko mu wyjaśniła. Yoonah po raz kolejny doszedł do wniosku, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Lilith odniesie absolutne zwycięstwo, a on będzie miał zaszczyt stać u jej boku i napawać się jej triumfem.

Uważał się za wielkiego szczęściarza.

CZĘŚĆ CZWARTA

MIASTO ŚWIĘTYCH MĘŻÓW

Z POWROTEM DO DOMU

Obudziłem się z cudownym uczuciem błogości, jakiego doznaje – mogę się tylko domyślać – ktoś, kto właśnie podążał za światelkiem błyszczącym na końcu tunelu.

Usłyszałem (jak przypuszczam, tak właśnie się dzieje w podobnych sytuacjach) kojące tony anielskiej muzyki. Po chwili jednak okazało się, że nie stoję na chmurce obok złotej bramy i nie spowiadam się ze swoich rozlicznych grzechów brodatemu facetowi z pękiem kluczy w dłoni. Spostrzegłem, że leżę w łóżku w pomieszczeniu, które zdawało się wnętrzem wiejskiej chaty. Nad moją głową obracały się leniwie śmigła wentylatora.

Dochodząca mych uszu muzyka zaczęła brzmieć znajomo. Był to klasyczny utwór, który słyszałem wcześniej, nie pamiętałem jednak jego nazwy. W gruncie rzeczy niewiele mogłem sobie przypomnieć: moja pamięć była dziurawa jak sito.

Było bardzo gorąco, a wilgoć panowała nieznośna, tak gęsta, że można ją było kroić nożem. Całe ciało miałem zlane potem. Ubrany byłem tylko w kalesony, które z całą pewnością pamiętały lepsze czasy. Może dlatego mówią, że w podróż trzeba wyruszać w najlepszej bieliźnie, jaką mamy: nigdy nie wiadomo, czy człowiek nie obudzi się w łóżku w samych gaciach, otoczony nieznajomymi.

Na szczęście dla mnie pierwsza twarz, którą ujrzałem, nie była nieznajoma... Należała do kogoś, kto już wcześniej widział mnie zupełnie nagiego.

– Cześć, kochanie – zaszczębiotała Enigma. – Co tam słyhać w krainie snów?

Chciałem odpowiedzieć, ale zaschło mi w ustach tak bardzo, że popłynęły z nich tylko nieartykułowane, gardłowe dźwięki. Kojąca dotąd muzyka ustąpiła męczącym fioryturom, które świdrowały mi skronie niczym wiertła.

– Spokojnie, przyniosę ci wody. – Moja towarzyszka przyłożyła mi plastikowy kubek do warg.

Przytrzymałem go drżącymi rękami. Czuję się bardzo osłabiony.

Woda wypłukała zalegającą mi w ustach watę i wreszcie mogłem powiedzieć coś zrozumiałego.

– Ta muzyka... musi grać tak głośno? – Enigma przeprosiła i wyłączyła odtwarzacz CD stojący przy moim łóżku. – Dziękuję. Co to miało być?

– *Ciel e terra armi di sdegno* – odpowiedziała, czytając na okładce płyty. – *Tamerlano* Händla. Aria Bajazyda. Chociaż nie sądzę, żeby tureccy sułtani zwykli śpiewać głosem kastratów.

– Nie, nie, pytałem, dlaczego w ogóle gra.

– Twoja francuska przyjaciółka bardzo nalegała. Według niej ten rodzaj muzyki wywiera niezwykle wpływ na chorych, jest czymś w rodzaju terapii. To bardzo dziwna kobieta, polubiłam ją.

– Lacombe? – zapytałem. – Julianne Lacombe tu jest?

– Nie w tej chwili. Ostatnio pojawia się i znika, próbuje znaleźć bezpieczny sposób

na wyjazd z kraju. Ale wszyscy dotrzymujemy ci towarzystwa w miarę możliwości: Lacombe, Bańka, Yokai, Saúl, nawet Danny, co wydaje mi się równie nieprawdopodobne jak właściwości lecznicze barokowej opery.

Danny. Powoli w mojej głowie zaczynało się przejaśniać. Okropne obrazy z celi. Wiele dni bez snu... Lilith... i Danny. Danny, która pojawiła się znikąd niczym anioł stróż.

Uniosłem się nieco na łokciach. Zauważyłem, że całe moje ciało pokrywają siniaki i stłuczenia we wszystkich możliwych kolorach tęczy, jakbym wyszedł właśnie z pracowni tatuażu, której właściciel przesadza z halucynogenami. Widok był paskudny, czym prędzej spróbowałem więc nakryć się prześcieradłem. Enigma mi pomogła.

– Dziękuję, poradzę sobie sam – powiedziałem nieco zirytowany. Zazwyczaj nie budziłem się w najlepszym humorze.

– Wiem, kochanie, ale widok rannych budzi we mnie instynkt macierzyński.

– Spojrzała na mnie czule. – Jak się czujesz?

– Dobrze... Tylko trochę skołowany... i zmęczony...

– To pierwsze mogę zrozumieć, ale drugie, zważywszy, że przespałeś dwa dni z rzędu, wydaje mi się cokolwiek dziwne. Z początku myśleliśmy, że zapadłeś w śpiączkę. Potem lekarze powiedzieli, że po prostu ładujesz baterie wycieńczonego ciała, od tej pory dyżurowaliśmy przy tobie na zmianę, żebyś zobaczył znajomą twarz, kiedy się obudzisz. Wyszło tak, że większość tych dyżurów przypadła w udziale mnie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem... Może postanowiłam sobie, że to moją twarz zobaczysz, kiedy otworzysz oczy. Poza tym nie śpiam zbyt dobrze, odkąd cię porwano. A może macie rację, mówiąc, że trudno mnie zrozumieć. Co o tym myślisz?

Myślałem, że kiedy tak na nią patrzę, pomimo wyczerpania mam ochotę dokończyć to, co zaczęliśmy w hotelu w La Victorii, ale uznałem, że to nie czas i miejsce na podobne wyznania.

– Myślenie to wysiłek, do którego w tej chwili nie bardzo jestem zdolny. Gdzie jesteśmy?

– W wiosce, która nazywa się Cauacaró, chciałabym móc powiedzieć „uroczej”, ale niestety to zapadła dziura. Ludzie są za to bardzo mili, no i ambulatorium też niczego sobie, jak zresztą widzisz.

– To jest ambulatorium? – zdziwiłem się. – Wygląda raczej na domek kempingowy... Jak się tu znalazłem?

Enigma opowiedziała mi, co zdarzyło się w ostatnich dniach. Była to długa i pełna dygresji opowieść, bardzo w jej stylu. Śledziłem ją z wielkim trudem.

Z jej słów zrozumiałem, że La Victoria przestała być bezpiecznym miejscem ze względu na starcia partyzantów z wojskiem. To Saúl wpadł na pomysł, żeby poszukać schronienia w Cauacaró. Tu znajdował się prymitywny szpital prowadzony przez misjonarzy redemptorystów, a Saúl miał wśród nich przyjaciół. Oni mogli się mną zaopiekować.

Cauacaró, jak się dowiedziałem, od dawna było bastionem populistycznych

guerilli, a wielu tutejszych redemptorystów aktywnie wspierało partyzantkę. To oznaczało dla nas wiele korzyści. Po pierwsze, misjonarze mieli wprawę w leczeniu ofiar brutalnych żołdaków prezydenta Luzona, po drugie, enklawa, dzięki swojemu ustronnemu położeniu i licznej obecności partyzantów, stanowiła trudny cel dla oddziałów rządowych. Jak powiedziała Enigma, potyczki zbrojne nie dotarły jeszcze tak daleko na północ, chociaż było to tylko kwestią czasu.

Podczas podróży kilkakrotnie odzyskiwałem na chwilę przytomność (w ogóle tych chwil nie pamiętam). Podobno jęczałem wtedy i mamrotałem coś bez ładu i składu, wyglądało na to, że nie dotarło do mnie, że zostałem uwolniony.

Kiedy dotarliśmy do Cauacaró, misjonarze zbadali mnie i stwierdzili, że moje obrażenia nie są tak poważne, jak wydawało się moim towarzyszom. Spałem jak kamień przez dwa dni, a lekarze żywili mnie kroplówkami.

Chociaż środki, jakimi dysponowali misjonarze, były nader skromne, ich brak rekompensowali doświadczeniem. Podobno mieli do czynienia z o wiele cięższymi przypadkami, więc nie stanowiłem dla nich szczególnego wyzwania. Postanowiłem zapamiętać sobie ten szczegół: zamierzałem ofiarować szczerą sumę na misje redemptorystów, jeśli kiedyś będę miał okazję. W ten sposób ureguluję rachunek za pobyt w szpitalu.

– Powinnam powiadomić całą resztę, że się obudziłeś – powiedziała Enigma, gdy skończyła swoją opowieść. – Czujesz się na siłach, żeby pójść na zebranie?

– Jeśli mam być szczerzy, nie bardzo – odparłem. – Chciałbym coś zjeść. I trochę odpocząć. Czuję się, jakby mój mózg pracował na zwolnionych obrotach.

– Rozumiem. A jednak powiadomię najwyższego kapłana tego plemienia, ojca Sergia, który przez ten czas się tobą opiekował. Musi cię zbadać i potwierdzić, że wszystko w porządku. – Enigma wskazała na odtwarzacz CD ze złośliwym uśmieszkiem.

– Mam ci znowu puścić *Tamerlana*?

– Jeśli o mnie chodzi, możesz go zakopać w ogrodzie.

– Nie powtórzę tego Lacombe, pękłoby jej serce. – Enigma uśmiechnęła się do mnie. – Cieszę się, że nic ci nie jest, Faro. Napędziłeś mi niezłego stracha. Więcej tego nie rób, proszę.

Obiecałem zrobić, co w mojej mocy.

Zanim wyszła, zadałem jej jeszcze jedno pytanie:

– Naprawdę Danny tu z nami jest?

Wydawało mi się, że jej mina zrobiła się poważniejsza, ale może było to tylko złudzenie.

– Tak.

– Co się z nią działo? Gdzie się podziewała przez cały ten czas? I jak nas znalazła?

– Zbyt wiele pytań naraz, kochanie, a ty potrzebujesz odpoczynku. Sama ci o tym opowie, kiedy poczujesz się lepiej.

– To wspaniała wiadomość, prawda? Prawdziwy łut szczęścia?

– Oczywiście. – Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Może nawet zbyt wielki. Cała ekipa znów razem. Wszyscy zadowoleni.

Potem zostawiła mnie samego. Zasnąłem, chyba jeszcze zanim wyszła

z pomieszczenia.

Ojciec Sergio był przysadzistym Meksykaninem o zachrypniętym głosie. Obudził mnie bez żadnych ceregieli i poddał pośpiesznemu badaniu. Nie był niemły (wprost przeciwnie), ale czułem się przy nim jak użalający się nad sobą hipochondryk, który zawraca mu głowę błahymi dolegliwościami. Wyobrażałem sobie, że misjonarze w tym odległym zakątku świata, zapomniani przez wszystkich i pozbawieni sprzętu i leków, mieli na co dzień do czynienia z o wiele poważniejszymi przypadkami. Dla nich pacjent ze śladami pobicia i niewyspany był zapewne rutyną. Jak po badaniu oświadczył sam ojciec Sergio: „Do wesela się zagoi”.

Powiedziałem mu, że jestem bardzo głodny, a on uznał to za dobry znak. Obiecał, że przyniosą mi coś do jedzenia, a potem wyszedł z pomieszczenia tak szybko, jak do niego wkroczył. Czułem się o wiele lepiej, wydawało mi się, że mój umysł zaczął pracować. Poczulem się nawet na siłach, żeby usiąść na brzegu łóżka i zapalić papierosa.

Kiedy napawałem się moją pierwszą od dawna racją nikotyny, usłyszałem za plecami głos:

– Hej, Poszukiwaczu! Wzywałeś room service?

Odwróciłem się. To była Danny. Przyniosła mi kawałek mięsa z ryżem.

Na jej widok poczułem dość absurdalne zdenerwowanie. Chciałbym móc przygotować się na nasze ponowne spotkanie, ale i tym razem, jak podczas całej naszej znajomości, to ona wyznaczała terminy.

Położyła talerz na stoliku i oparła się o framugę, z tym swoim półuśmiechem na ustach, którego znaczenia nigdy nie potrafiłem się domyślić. Jakby między jej wargami czało się pytanie, na które można odpowiedzieć na wiele sposobów.

Nic się nie zmieniła od czasu, kiedy ostatnio widzieliśmy się w Madrycie. Wydawała mi się równie atrakcyjna jak kiedyś, a może nawet bardziej, bo jej twarz kojarzyła mi się z końcem męczarni w wojskowym więzieniu. Każda część jej ciała, każdy fragment skóry przypominały mi o tym, jak kiedyś uzależniłem się od całowania jej ust, od pieszczot, jej dotyku, choćby najbardziej przelotnego.

Samo patrzenie na nią elektryzowało mnie od stóp do głów. Zrozumiałem, że tym, za czym najbardziej tęskniłem, z czym najtrudniej było mi się rozstać, były dotyk jej skóry i ten przekrzywiony uśmiešek, na którego widok traciłem głowę.

Znów zwróciłem uwagę na swój skąpy strój i poczułem zakłopotanie. Nie wstyd (nie było takiego fragmentu mojego ciała, którego by wcześniej nie widziała), ale coś w rodzaju bezbronności, jakbym został wystawiony na cel ukrytego snajpera.

Nie wiedziałem, co zrobić, jak się zachować ani co powiedzieć, a przecież zawsze wyobrażałem sobie, że kiedy tylko znów ją zobaczę, słowa same się znajdą. W końcu wybąkałem głupotę w stylu:

– Danny... to ty...

– Jak się czujesz, Tirso? Enigma mówi, że zaczynasz znowu przypominać człowieka.

– Mniej więcej. Jestem trochę poobijany, jak widzisz, ale ojciec Sergio mówi, że to tylko siniaki.

Przyjrzała się śladom na mojej skórze. Podeszła i pogładziła mnie po boku pełnym stłuczeń, bardzo delikatnie, jakby się bała, że zrobi mi krzywdę.

– Tirso... To... okropne. Bardzo mi przykro... naprawdę... Nie powinno cię to spotkać.

Odsunąłem się delikatnie. Nie chciałem mieć dłuższego kontaktu z jej skórą, bałem się, że stracę panowanie nad sobą.

– Nie mów tak, Danny. To przecież nie twoja wina. Znowu wpakowałem się w coś, w co nie powinienem, i zapłaciłem za to. Ty mnie stamtąd wyciągnęłaś, jeszcze ci za to nie podziękowałem.

– Prawie nic nie zrobiłam. To Lacombe ustaliła, gdzie jesteś, a ten ksiądz, Saúl, dowiedział się, że żołnierze opuszczą koszary. Bańka i ja odwaliliśmy tylko brudną robotę.

– Jak na parę Poszukiwaczy przystało.

– Poszukiwaczy? – zapytała ze zdziwieniem. – Już od dawna nikt mnie tak nie nazywał i nie sądziłam, że jeszcze kiedyś to usłyszę.

– Wiesz już, że...

– Tak, o wszystkim mi opowiedzieli. – Danny znów się uśmiechnęła, tym razem jednak jej uśmiech przypominał grymas. – Sporo zmian, prawda? Ale nie jestem zaskoczona, wiedziałam, że Alzaga jest kretem.

– Wiedziałaś?

– Dowiedziałam się podczas... – Zamilkła na chwilę. – Nie wiem, jak to powiedzieć. Może nieobecność będzie najlepszym słowem.

Nadszedł czas, żeby rozwiązać niektóre wątpliwości.

– Gdzie się podziewałaś przez cały ten czas, Danny?

Westchnęła, jakby nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie.

– To długa historia i o wiele mniej interesująca, niż sądzisz. Może powinieneś trochę odpocząć i dopiero potem...

– Nie. Chcę usłyszeć ją teraz – powiedziałem. Mój ton zabrzmiał szorstko, więc postanowiłem go złagodzić. – Proszę.

– Dobrze, jak sobie chcesz. Opowiadałam to już tyle razy, że teraz tylko recytuję, jak gotowy scenariusz. Wszystko zaczęło się od Skrzydłowego.

– Skrzydłowego?

– Tak, a właściwie od jego zamordowania. Byłam pewna, że odkrył coś dotyczącego Projektu Lilith i dlatego go zabili. Chociaż kosztowało mnie to wiele pracy i byłam zmuszona skorzystać z pomocy moich najmniej sympatycznych kontaktów, odkryłam, że operacja Lilith polegała ni mniej, ni więcej tylko na masowym rabunku zabytków, oczywiście starannie zakamuflowanym. Problem w tym, że moje dochodzenie zawiodło mnie w ślepą uliczkę. Miałam wiele poszlak, ale żadnego solidnego dowodu, nic, co pozwalałoby połączyć projekt ze śmiercią Skrzydłowego, podjęłam więc drastyczną decyzję: postanowiłam pojechać do jedyne miejsce, gdzie mogłam znaleźć odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania.

Zrozumiałem, co miała na myśli, i poczułem podziw dla jej odwagi.

– Siedziba Voynicha w Kalifornii. – Pokiwała głową. – Zaczęłaś pracować dla

Voynicha?

– Tak – odpowiedziała, nie przywiązując do tego zbytnej wagi. – Już wcześniej robiłam takie rzeczy. Kiedy Narváez dowodził Korpusem, ilekroć chodziło o infiltrację, zawsze wyznaczał do tego mnie... Pamiętasz, jak spotkaliśmy się pierwszy raz w Canterbury? Myślałeś, że jestem kasjerką w tym muzeum o idiotycznej nazwie. Te rzeczy dobrze mi wychodzą. Staruszek zawsze powtarzał, że mam talent do oszukiwania. – Danny się uśmiechnęła. – A ja zawsze uznawałam to za komplement.

Jeszcze raz przekonałem się, jak znakomicie Narváez potrafił oceniać swoich podwładnych. Może wyrażenie „talent do oszukiwania” nie brzmiało zbyt dobrze, ale zgadzałem się, że Danny była mistrzynią w ukrywaniu tego, co naprawdę myśli.

– Czemu nie powiedziałaś nikomu o swoich planach? Twój brat umierał przez ciebie ze strachu... Wszyscy się martwiliśmy.

– Biedny Bruno – skwitowała. – Ale nie mogłam go w to wtajemniczyć. Gdyby poznał moje zamiary, pojawiłoby się poważne ryzyko, że odkryje je również Alzaga. Bardzo go pilnował.

– Ale... ty wiedziałaś już wtedy, że Alzaga pracuje dla Voynicha?

– Wiedziałam, że nie można mu ufać, to wystarczyło. Dopiero później odkryłam, że kupił go Voynich. Kiedy już pracowałam w tej firmie.

– Czyli udało ci się przedostać do ich siedziby?

– Przecież mówiłam, że jestem w tym dobra. Miałam nowe imię, nową tożsamość. Niczego nie podejrzewali.

– Jak to zrobiłaś?

– Przykro mi, Tirso Alfaro, to tajemnica prestidigitatora. Może kiedyś zdradzę ci kilka szczegółów, ale nie wszystkie. Gdybym zdradzała każdemu moje sekrety, nie szłoby mi aż tak dobrze.

Było mi trochę przykro, że uznała mnie za „każdego”, chociaż rozumiałem jej obawy.

– I co tam odkryłaś? – zapytałem.

– Wszystko, czego szukałam. Wszystko. Ich cele, kontakty, prawdziwe założenia Projektu Lilith. To przedsięwzięcie tak ambitne, że z początku nie mogłam w to uwierzyć. Plan realizowany od lat, niemal od chwili, gdy powstała firma. To coś... – Danny zawiesiła głos. Potem z nieskrywanym podziwem w głosie dopowiedziała: – To coś niebywałego. Cel, do którego dążą od lat, realizując plan skrupulatnie punkt po punkcie.

– Jaki plan? Co chcą osiągnąć?

– Znaleźć Szem ha-Meforasz – odparła. – Zawsze chodziło o Stół Salomona. Voynich przeczeszał cały świat w poszukiwaniu wskazówek mogących doprowadzić ich do miejsca, gdzie ukryty jest Stół. Całe zastępy archeologów, uczonych i zwykłych poszukiwaczy skarbów brały udział w tym projekcie. Niektórzy robili to świadomie, inni nie. W końcu Voynich miał trzy hipotezy na temat miejsca ukrycia relikwii i nad wszystkimi pracował równolegle. Jedna z nich zakładała, że stół jest w Hiszpanii, tak jak sądzili Warren Bailey i Ben LeZion. Drugą teorię sami nazwali „afrykańskim śladem”. Podejrzewali, że zanim Salomon wszedł w posiadanie Stołu, mógł on znajdować się w Mali, i to właśnie był Łańcuch Proroka, którego szukał Dżaudar Pasza. Według trzeciej

i ostatniej hipotezy Stół Salomona znajduje się właśnie tutaj, w Valcabado, w mieście założonym przez Teobalda i jego mnichów w dżungli Los Morenos. – Danny spojrzała na mnie przenikliwie. Rozumiesz, co to oznacza, Tirso? Szukali Stołu w trzech różnych miejscach, a w dwóch pojawił się ktoś, kto zniweczył ich plany.

– My – powiedziałem, zaczynając rozumieć wiele spraw. – Narodowy Korpus Poszukiwaczy.

– Otóż to. Dlatego Voynich tak bardzo pragnął naszego rozwiązania. Byliśmy ich rywalami, jedynymi, którzy mogli pokrzyżować im plany, chociaż nasze środki są nieporównywalnie uboższe. A okazało się, że nie tylko jesteśmy szybsi. Na dodatek ich upokorzyliśmy.

Teraz wreszcie zrozumiałem, dlaczego Lilith, Yoonah i wszyscy ich sympatyczni przyjaciele zdawali się mieć niezdrową obsesję na punkcie naszej skromnej instytucji zajmującej się odzyskiwaniem dziedzictwa narodowego. Nie wiedząc o tym, trochę niechcący, stanęliśmy na drodze bardzo niebezpiecznemu przeciwnikowi. I bardzo mściwemu.

Potem Danny powiedziała coś, co mocno mnie zaskoczyło.

– Gdybyśmy nie uparli się tak, żeby szukać tych skarbów, Voynich nigdy nie zwróciłby na nas uwagi. Nasza sytuacja teraz byłaby... zupełnie inna. Niewykluczone, że Narváez i Skrzydłowy nadal by żyli.

Nie bardzo rozumiałem, co właściwie miała na myśli. Jej słowa zabrzmiały w moich uszach gorzko, odczytałem je jako coś w rodzaju pretensji.

– No cóż... Tak czy siak, teraz już za późno, żeby się wycofać, nie sądzisz? – powiedziałem cicho.

– Co? Ach, jasne, że tak. Oczywiście nie żałuję niczego, co zrobiliśmy do tej pory. Tyle że teraz patrzę na to zupełnie inaczej.

Wydawało mi się, że zatoneła we własnych rozmyślaniach. Coraz mniej podobał mi się tok jej rozumowania, postanowiłem więc go przerwać.

– Co jeszcze odkryłaś?

Danny powiedziała, że gdy Voynich zrozumiał, że Stołu nie ma ani w Hiszpanii, ani w Mali, postanowił skoncentrować się na trzeciej hipotezie i przerzucić do Valcabado większość personelu i środków.

Ona zaś uznała, że czas wracać do Madrytu i dać znak życia. Zanim jednak opuściła Kalifornię, skontaktowała się z Bańką i dowiedziała się, że jest z towarzyszami z właściwie nieistniejącego Korpusu Poszukiwaczy w La Victorii. Postanowiła do niego dołączyć. Wylądowała w Valcabado niedługo po moim porwaniu w rezerwacie Santa Aurora.

– Słyszałam, że wy również nie próżnowaliście przez ten czas – powiedziała. – Nie dziwię się, skoro ty byłeś w to zamieszany. Jeśli istnieje ktoś, kto potrafi wskrzesić z martwych Korpus Poszukiwaczy, kiedy wydaje się, że jest już tylko historią...

– Nie jest żadną historią – przerwałem jej. – Mamy misję do wykonania.

– Nadal masz zamiar odnaleźć zaginione miasto?

– Uważam, że powinniśmy przynajmniej spróbować.

Danny spojrzała na mnie tak, jakby nie było już dla mnie żadnego ratunku.

– Nie poturbowali cię dostatecznie w tym więzieniu, Tirso? – Westchnęła. – Wiem, że mnie nie posłuchasz, ale chciałabym, żebyś zastanowił się poważnie nad tym, czy nie należy się wycofać.

Martwiła się, bała się o moją przyszłość i o to, co może mnie spotkać.

– Wycofać się? Ale dokąd, Danny? Kiedy spoglądam za siebie, nie widzę żadnego miejsca, do którego chciałbym wrócić, niczego, czego chciałbym się znów uchwycić.

– Pokręciłem głową. – Nie, ja nie mam innego wyjścia, chcę iść dalej naprzód, aż droga się skończy.

– A co z resztą? Z Enigmą? Moim bratem? Yokaim, który nadal jest dzieckiem? Zmusisz ich, żeby poszli za tobą? Wiesz, że to nie w porządku.

– Masz rację – przyznałem. – I nie, nie będę ich nakłaniał do niczego, czego sami nie będą chcieli zrobić. Jeśli wolą zatrzymać się w tym miejscu, zrozumie to.

– Obrzuciłem ją uważnym spojrzeniem. – Zrozumie też, jeśli ty postąpisz tak samo.

Uśmiechnęła się smutno. Patrząc jej w twarz, przewidywałem, że powie zaraz, iż ona zrobiła już dostatecznie dużo i że zdrowy rozsądek podpowiada jej (jak i nam wszystkim), że pora spakować manatki i przestać się uganiać za mrzonkami, do których tylko ja przywiązywałem tak wielką wagę. Nie dyskutowałbym, gdyby tak powiedziała.

Ale usłyszałam coś zupełnie innego:

– Podobnie jak ty, ja również nie mam wyboru, jak tylko iść dalej. – Miałem wrażenie, że te słowa sprawiają jej ból, ale nadal siliła się na uśmiech. – Przynajmniej jedno z nas musi ci towarzyszyć, nie uważasz? Sam z pewnością zrobiłbyś jakieś głupstwo.

Pogładziła mnie po policzku i przytrzymała na nim dłoń o wiele dłużej, niż wymagał ten gest. Nasze twarze się zbliżyły.

Wtedy ktoś ukazał się w drzwiach.

– Hmm... Przepraszam – powiedziała Enigma, wyraźnie zmieszana – ale przyjechała Lacombe. Ma nam coś do powiedzenia i chce, żebyś ty też był przy tym obecny, Faro.

Danny i ja odskoczyliśmy od siebie, jakbyśmy robili coś niestosownego. Może zresztą tak właśnie było.

Odpowiedziałem, że szybko zjem, ubiorę się i zaraz do nich dołączę. Danny i Enigma wyszły, zostawiając mnie samego.

Patrzyłem, jak odchodzą razem, i zrozumiałem, że muszę podjąć bardzo trudną decyzję.

Enigma miała rację, opisując Cauacaró jako niezbyt przyjemne miejsce. Wyszędłszy z ambulatorium, napotkałem chaotyczną zbieraninę chat, które wyglądały raczej na rozrzucone wokół niż zbudowane według jakiegoś planu. Nawet termin „osada” wydawał mi się zbyt ambitny, żeby je opisać.

Wilgotność była tu zupełnie nie do zniesienia. Dopiero co się ubrałem, a już cała moja garderoba była mokra od potu i sytuacja miała się nie zmienić przez kilka najbliższych dni. Przez cały czas, czy to w dzień, czy w nocy, miałem wrażenie, że wyszedłem właśnie spod ciepłego prysznica.

Spotkałem się z resztą grupy w salonie domu misjonarzy redemptorystów. Moi towarzysze siedzieli przy dużym stole, pod czujnym okiem papieża i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, których wizerunki wiszące na ścianie upodabniały nasze spotkanie do synodu biskupów.

Zaczęliśmy od nieuniknionej wymiany zdań na temat mojego stanu zdrowia. Jeszcze raz usłyszałem znane mi już szczegóły mojego uwolnienia. Saúl także był obecny, chciałem go zapytać, co się stało z Indianinem Rico i jego przybraną krewną Sitą, ale najwyraźniej Lacombe miała dla nas jakieś niecierpiące zwłoki wiadomości, więc ten punkt musiałem przesunąć na dalsze miejsce porządku obrad.

Agentka wróciła właśnie z miasta o nazwie Rozales, drugiego co do wielkości w kraju i znajdującego się niedaleko od Cauacaró. Tam skontaktowała się z pracownikami przedstawicielstw dyplomatycznych w Valcabado i dowiedziała się, że ambasada Francji ewakuuje cały swój personel samolotami. Ponieważ było to jedno z niewielu państw Unii Europejskiej mające misję dyplomatyczną w Valcabado, rząd francuski oferował dyplomatom innych krajów transport do Kolumbii, gdzie mogliby ubiegać się o pomoc własnych ambasad i wrócić do domu. Podobno Stany Zjednoczone oferowały podobną pomoc przy ewakuacji.

Lacombe powiedziała, że może załatwić nam miejsca we francuskich lub amerykańskich samolotach, które wylatują z Rozales następnego dnia. Był to szybki i bezpieczny sposób opuszczenia Valcabado, zanim starcia pomiędzy rządem a partyzantką zmienią się w regularną wojnę domową.

– Biorąc pod uwagę sytuację, nie bardzo mamy wyjście. Tutaj robi się zbyt niebezpiecznie – oceniła Lacombe.

Przyjęliśmy propozycję w pełnym napięcia milczeniu. To oznaczało porzucenie poszukiwań Miasta Świętych Mężów, a zarazem koniec ostatniej misji Kawalerów Poszukiwaczy.

Ja nie miałem wątpliwości, że nie zamierzam wyjeżdżać. W najgorszym wypadku zostanę sam w Cauacaró i samodzielnie lub w towarzystwie Saúla, który jako obywatel Valcabado nie mógł skorzystać z oferty Lacombe, wyruszę na wyprawę poszukiwawczą.

W Madrycie nie czekało na mnie nic, do czego chciałbym wracać.

Wolałem nie zdradzać swojej decyzji, dopóki się nie dowiem, co postanowili pozostali. Nie chciałem w żaden sposób na nich wpływać. Mieli prawo okazać więcej zdrowego rozsądku niż ja.

Po długiej chwili ukradkowych spojrzeń i westchnień głos zabrał Bańka:

– Co robi Voynich?

Lacombe chyba nie spodziewała się tego pytania.

– Nie jestem pewna – odparła. – Ktoś z ambasady USA powiedział mi, że nikt z korporacji się z nimi nie kontaktował. Co więcej, zdaje się, że przygotowują jakąś ekspedycję do Los Morenos.

– Rozumiem – powiedział Poszukiwacz. – Chcą odnaleźć miasto. W takim razie ja też wiem, co powinienem zrobić: zostaję.

– Co? Nie, nie, Bruno, popełniasz błąd – tłumaczyła agentka. – Tu nie jest bezpiecznie. Musisz zrozumieć, że...

– Przykro mi – uciał Poszukiwacz. – Nie mogę się teraz wycofać. Złożyłem przysięgę, że będę sprowadzał skradzione zabytki z powrotem do domu.

– Z powrotem do domu? – zapytał Yokai.

– To nasza dewiza, przyjacielu. Nasze hasło. Z powrotem do domu. Odzyskujemy to, co do nas należało. Przysięgałem Narvaezowi, że to właśnie będę robił, do tego mnie wyszkolono. – Bańka po kolei obrzucił wzrokiem każdego z nas. – Nie wiem, co kryje się w tej dżungli. Ale wiem, do kogo należy. I nie jest to Voynich. Znam swoje obowiązki, nie zmieniły się, odkąd Narvaez uczył mnie, jak je wypełniać. To proste, jak jedno krótkie zdanie widniejące na naszym emblemacie: „Z powrotem do domu”.

Lacombe patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, czemu trudno się dziwić, nie mówił przecież do niej, lecz do nas.

Wyciągnąłem z kieszeni zapalniczkę i przyjrzałem się jej pod stołem. Emblemat Korpusu Poszukiwaczy. Kolumna, korona, płomień i otwarta dłoń. Greckie litery składające się w dewizę, o której wspomniał właśnie Bańka. Zdanie nadające sens dziwnemu, niezrozumiałemu życiu każdego z nas.

Po długiej chwili ciszy przemówiła Enigma:

– Z powrotem do domu. Zawsze lubiłam to hasło. Jest proste i eleganckie. Lubię spełniać obowiązki zdefiniowane w tak kunsztowny sposób. Ja też zostaję.

Danny wzruszyła ramionami.

– Ja tam nie mam czego szukać w Kolumbii – powiedziała. A potem, jakby podejmowała właśnie decyzję, powtórzyła: – Z powrotem do domu.

– Z powrotem do domu – rzekłem i ja. – Nie zostawię was tu przecież samych.

– No, mam nadzieję, młody, to był twój pomysł. – Bańka spojrzął na Lacombe. – Podjęliśmy decyzję, Julianne. Ty i chłopak możecie jechać, reszta zostaje. Mamy tu coś do załatwienia.

– To absurd – powiedziała agentka, która miała chyba wrażenie, że znalazła się w domu wariatów. – O jakim przyrzeczeniu mówicie? Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem.

– I niech pani nie próbuje – wtrącił Saúl przyglądający się całej sytuacji z niekłamanym rozbawieniem. – Mam wrażenie, że ci ludzie są bardzo specyficzni.

– Dziękuję, słonko – ucieszyła się Enigma, która uznała to za komplement. – Często to słyszę.

– Zaraz, zaraz, a co ze mną? – obruszył się Yokai. – Nie wybieram się nigdzie z tą panią.

Próbowaliśmy go przekonać różnymi argumentami. Zabranie go ze sobą tam, dokąd się udawaliśmy, było wariactwem, może nawet nielegalnym. Dyskusja się przeciągała, bo chłopak nie miał zamiaru ustąpić: wyzywał nas, złorzeczył, sięgając do swojego nader bogatego repertuaru przekleństw i bluźgów. Zagroził Lacombe, że będzie musiała go związać i siłą zaciągnąć do Rozales, i przyrzekał zmienić jej podróż w piekło. Wszystko to okraszył bardzo chamskimi stereotypami na temat Francuzów.

Dyskusja utknęła w martwym punkcie. Lacombe, która miała już powyżej uszu wyzwisk Yokaiego, powiedziała, że musi jechać do Rozales. Obiecała wrócić następnego dnia rano, do tego czasu mogliśmy jeszcze przemyśleć ostateczną decyzję. Potem nie

będzie już odwrotu.

Cała ta awantura bardzo mnie zmęczyła, postanowiliśmy więc zakończyć zebranie. Zanim zdołałem się wymknąć z powrotem do łóżka, Enigma powiedziała, że musi ze mną porozmawiać.

– Nie będę ci długo zawracać głowy, słonko, wyglądasz na zmęczonego. – To prawda, wciąż czułem się bardzo osłabiony. Może zbyt dużo wzięłem na siebie pierwszego dnia rekonwalescencji. – Mam tylko jedno pytanie: dlaczego nie pozwolimy chłopcu iść z nami?

– Bańka ma rację, Yokai jest niepełnoletni. Zabierać go do dżungli to zbyt duże ryzyko.

– On jest gotów iść za nami z naszym pozwoleniem lub bez niego.

– Bo nie ma pojęcia o niebezpieczeństwach, jakie tam na nas czekają.

– Ja też nie mam o tym pojęcia, kochanie. Mamy usta pełne górnolotnych słów, haseł, przyrzeczeń i Bóg wie czego. To wszystko brzmi bardzo elegancko, wręcz bohatersko. Ale w gruncie rzeczy to dziecinada. W rzeczywistości nikt z nas nie wie, co nas tam czeka, a i tak jesteśmy gotowi iść. Czemu nie pozwolimy na to chłopakowi, skoro tego chce?

– Bo jest tylko dzieckiem i dziwi mnie, że tego nie widzisz.

– Ja widzę w nim osobę, którą naprawdę jest, a nie tego, kogo akurat wygodniej jest mi zobaczyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kiedy kazałeś mu się włamać do bazy danych Interpolu i zdjąć czerwony alert, był dzieckiem czy dorosłym? A kiedy przeszukiwał rejestry mieszkańców indiańskich rezerwatów? Wtedy nie przeszkadzał ci jego wiek, nie zasłaniaj się nim teraz, kiedy chce podjąć samodzielną decyzję. To niesprawiedliwe.

– Uważasz, że rozsądnie byłoby pozwolić mu na oślepkę pakować się w awanturę w dżungli?

– Nie. Ale równie nierozsądne wydaje mi się, żebyś pakował się w nią ty, a nie będę cię przekonywać do zmiany zdania. Mogę natomiast pójść z tobą i pomóc ci, kiedy spróbuje cię pożreć anakonda.

Po plecach przeszły mi ciarki. Zupełnie zapomniałem o węzach.

– Tam... są anakondy?

– Och, tak, słońce. Gigantyczne, lepkie i wilgotne. – Potem, niby mimochodem, napomknęła: – Yokai nie boi się węży, prawda? Za to pająki budzą w nim paniczny lęk.

– Wydaje mi się, że jest ich tam całkiem sporo. I to ogromnych.

– Cudownie. On ci pomoże z węzami, ty jemu z pajakami. Idealna symbioza. Przydacie się sobie nawzajem bardziej niż ja, bo nie znoszę ani jednych, ani drugich. W gruncie rzeczy chyba powinnam wrócić do domu.

Uśmiechnąłem się, słysząc jej słowa.

– Wiesz, że to nie spodobałoby mi się wcale a wcale.

– No myślę, jestem twoim amuletem, przynoszę ci szczęście – odparła. – Pozwól, żeby Yokai z nami poszedł, Faro. Wiem, że tak będzie lepiej, mam przeczucie, a moje przeczucia są nieomyłne.

Westchnąłem ciężko. Musiałem natychmiast się położyć, zamknąć oczy i przemyśleć kilka spraw.

– Zastanowię się – powiedziałem, niczego nie obiecując.

I tak właśnie się stało, Yokai poszedł z nami. Nie mogło być inaczej od momentu, kiedy Enigma zdecydowała się stanąć po jego stronie. Chłopak wykazał się sporym sprytem, zyskując sobie sojusznika w jedynej osobie, której nie potrafiłem niczego odmówić.

Tej samej nocy, przespawszy całe popołudnie, odbyłem rozmowę z Bańką i Saulem. Chciałem wiedzieć, co się stało z Rikiem i Sitą, bo jeśli naprawdę chcieliśmy się zapuścić do Los Morenos, potrzebowaliśmy dobrego przewodnika.

Uspokoiła mnie wieść o tym, że oboje są bezpieczni w Cauacaró. Saúl i Bańka zdołali wyciągnąć ich z rezerwatu i Rico zgodził się z nami współpracować. Indianin rozumiał, że po tym, jak zadarł z *sicarios*, nie ma wielkiego wyboru. Nie byłem tylko przekonany, czy dziewczyna powinna iść z nami, obecność jej i Yokaiego upodabniała naszą niebezpieczną wyprawę poszukiwawczą do jakiejś obłąkanej wycieczki licealnej młodzieży.

– Indianin nie ruszy się nigdzie bez dziewczyny – odparł Saúl. – Nie chce zostawiać jej samej. Poza tym twierdzi, że ona też zna drogę i może nam się przydać. Sam ją wszystkiego nauczył.

– Wspaniale. Yokai będzie miał się z kim bawić – syknął Bańka. Nie podobał mu się pomysł, żeby towarzyszył nam kandydat na Poszukiwacza.

Zaczęliśmy we trzech omawiać szczegóły naszej ekspedycji w głąb dżungli. Saúl uważał, że powinniśmy poczekać przynajmniej trzy dni, co pozwoliłoby mi zregenerować się fizycznie, jemu zaś zgromadzić niezbędne wyposażenie dla naszej ekipy. Zamierzał je zdobyć z pomocą kontaktów, o których wspomniał tylko przelotnie.

Ja i Bańka zgodziliśmy się, chociaż mój towarzysz wyraził zaniepokojenie, że Voynich nas wyprzedzi.

– Jeśli plotki, które słyszała Julianne, są prawdziwe, mają nad nami przewagę – powiedział. – Podejrzewam, że oni również odkryli mapę konstelacji w kościele w Funzalu.

Przyznałem zawstydzony, że niestety miałem w tym swój udział. Ani Saúl, ani Bańka nie mieli o to pretensji, zapewnili, że na moim miejscu zrobiliby to samo, ale jednocześnie byli bardzo zatroskani.

– Może już znaleźli przewodnika, który poprowadzi ich Szlakami Indian – zastanawiał się Saúl. – Teraz mają te same informacje co my, ale dysponują nieporównywalnymi środkami.

– To nie do końca prawda – wtrąciłem. – Przynajmniej jeśli chodzi o informacje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Porządek szlaków. Ten, który im podałem, nie jest prawidłowy.

– Wspaniale, młody. Więc ich oszukałeś.

– W gruncie rzeczy nie. Sam się myliłem, ale zrozumiałem to dopiero później.

– Spojrzeli na mnie pytająco, więc wyjaśniłem: – Każdy ze szlaków odpowiada jednemu

ewangelicie, prawda? I trzeba je przebyć w kolejności, w jakiej spisano ewangelie, od najstarszej do najmłodszej, czyli Marek, Mateusz, Łukasz, Jan.

– Owszem. Nie widzę, na czym polega błąd.

– Nie popełniliśmy go my, tylko budowniczości kościoła w Funzalu. Pamiętajcie, kiedy go wzniesiono. W siódmym wieku! Rozumiecie? W siódmym wieku.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ogromne, ponieważ wpływa na kolejność ewangelii. Chrześcijanin z siódmego wieku nigdy by nie pomyślał, że Ewangelia według Świętego Marka jest najstarsza, gdyż ojcowie Kościoła, począwszy od Świętego Augustyna z Hippony, byli przekonani, że pierwszym ewangelistą był Mateusz. Ta omyłka w datowaniu została odkryta dopiero w dziewiętnastym wieku. Biorąc to pod uwagę, prawidłowy porządek szlaków przedstawia się następująco: Wędrowiec, Mysz, Pająk i Wąż, czyli Mateusz, Marek, Łukasz i Jan.

– Do licha, to prawda! – wykrzyknął Bańka. – Jak mogliśmy na to nie wpaść?

– Właściwie to wielkie szczęście, że nie wpadliśmy na to od razu. Dzięki temu Voynich zacznie poszukiwania od złego szlaku.

Bańka postanowił uczcić tę wiadomość, zapalając papierosa.

Później zapytaliśmy Rica, czy wie, gdzie zaczyna się szlak Wędrowca. Indianin powiedział, że w południowej części dżungli, w pobliżu osady zwanej Bocagua. Musieliśmy jak najszybciej ustalić, jak do niej dotrzeć.

– Zostawcie to mnie – odparł enigmatycznie Saúl. – Dajcie mi parę dni, a wszystko będzie gotowe.

Nie chciał nam zdradzić więcej szczegółów. Następnego ranka dowiedzieliśmy się, że wyjechał z Cauacaró, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera.

Nie mieliśmy zresztą zbyt wiele czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Koło południa Lacombe przyjechała z Rozales, żeby zabrać ze sobą wszystkich, którzy byli gotowi opuścić kraj. Nie zdziwiła się specjalnie na wieść o tym, że żadne z nas nie zmieniło zdania, z wyraźną ulgą przyjęła natomiast wiadomość, że Yokai też zostaje.

Mimo to agentka martwiła się bardzo o nasz los. Uważała nas za bandę wariatów.

– Wyrwałeś się właśnie z więzienia i nie przychodzi ci do głowy nic mądrzejszego, niż pakować się do dżungli w poszukiwaniu nie wiadomo czego – narzekała, próbując jeszcze raz przekonać mnie do zmiany planów. – Gdybym chociaż mogła zrozumieć, dlaczego to robisz.

– Już wiesz... Poszukiwanie po prostu mnie bawi – próbowałem zażartować.

Odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Chyba po raz pierwszy zorientowała się, że żartuję, może to był znak, że wreszcie zaczęliśmy się poznawać.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała. – Udało mi się to wydobyć z ambasady francuskiej.

Wręczyła mi niewielki plecak. W środku było coś w rodzaju plastikowego talerza, kilka kabli i małe trójkątne urządzenie, podobne do przenośnego odtwarzacza DVD.

– Co to jest?

– Internet satelitarny. Niezwykle prosty w obsłudze: antenę podłączasz tym kablem do routera. Kiedy będziesz z niego korzystał, upewnij się, że antena skierowana jest na

zachód. Router zasilany jest baterią, która działa mniej więcej pięć godzin, więc ją oszczędzaj.

Zważyłem plecak w dłoni, był bardzo lekki, a antenę można było rozłożyć na dwie części, więc nie zajmowała też zbyt wiele miejsca.

– Bardzo dziękuję, ale nie wiem, do czego ma mi się to przydać, skoro nie będę miał komputera.

– Nie służy do surfowania po necie, ale po to, żebyś mógł nadać waszą pozycję.

– Lacombe wzięła do ręki niewielki router. – Jeśli będziecie mieli kłopoty, podłącz go i wciśnij ten guzik, urządzenie wyśle wasze współrzędne przez satelitę do centrali Interpolu w Bogocie. Będę tam, żeby je odebrać. To francuska technologia ratownicza, bardzo dobra. Korzysta z pasma L, co oznacza, że transmisja danych przebiega bardzo powoli, ale za to zasięg jest praktycznie nieograniczony, więc nawet jeśli znajdziecie się w najbardziej nieprzystępnym zakątku dżungli, odbiorę wasz sygnał i wyślę posiłki. Nie opuszczę Bogoty, dopóki nie będę pewna, że wróciliście cali i zdrowi.

Muszę przyznać, że był to naprawdę fantastyczny prezent, i powiedziałem o tym agentce. Uważała, że przesadzam. Jej gest mnie wzruszył, ale także zaskoczył. Nigdy nie podejrzewałem, że zaprzyjaźniliśmy się na tyle, żeby tak troszczyła się o mój los. Wydało mi się to dziwne.

– Yokai na pewno wpadnie w zachwyt na widok tego ustrojstwa – powiedziałem.

– Dziękuję. Naprawdę nie musiałaś tego robić.

– Pamiętaj, co mówiłam ci o baterii, zaledwie pięć godzin, może nawet mniej. Potrzebujesz tylko kilku minut, żeby wysłać wasze współrzędne, ale i tak bardzo uważaj. Jeśli bateria się wyczerpie albo urządzenie popsuje, zostaniecie sami.

Przytaknąłem, chociaż i tak miałem zamiar przy pierwszej okazji wręczyć urządzenie Yokaiemu. Będzie się umiał nim posłużyć o wiele lepiej niż ja.

Lacombe nie wróciła od razu do Rozales. Została z nami w Cauacaró jeszcze przez kilka godzin, próbując namówić każdego po kolei, żeby jednak wyjechał. Ja nie rozmawiałem z nią zbyt długo, bo byłem zajęty planowaniem naszej ekspedycji i pogawędkami z moimi towarzyszami. Musiałem również zwolnić łóżko w ambulatorium, gdyż według ojca Sergia nie byłem już ciężkim przypadkiem, on zaś potrzebował go dla innych chorych. Yokai i Bańka zrobili mi miejsce w pokoju, który dzielili w domu misjonarzy.

Po obiedzie znalazłem chwilę, kiedy akurat nikt mnie nie potrzebował i nie chciał ze mną rozmawiać. Postanowiłem wykorzystać ją na odpoczynek w moim nowym pokoju i zastanowienie się nad kilkoma banalnymi kwestiami, na przykład nad tym, w jaki sposób zdobędę w dżungli papierosy.

Do tej pory szabrowałem bez zahamowań rezerwy Bańki, ale Poszukiwacz robił się coraz mniej sympatyczny za każdym razem, gdy prosiłem go o nową paczkę.

I to właśnie jego głos usłyszałem, kiedy podszedłem do okna, żeby sobie zapalić. Spojrzałem w dół i zobaczyłem Poszukiwacza w towarzystwie Lacombe. Zdaje się, że rozmowa miała charakter prywatny. Żadne z nich nie zauważyło mojej obecności kilka metrów nad ich głowami.

Z tego, co usłyszałem, domyśliłem się, że agentka wyjaśnia Poszukiwaczowi

działanie nadajnika satelitarnego.

– Musicie kierować antenę zawsze...

– Na zachód, wiem – powiedział Bańka. – Już mi to tłumaczyłaś.

– To tam... tam znajduje się satelita. – Lacombe zawiesiła głos, a potem smutnym tonem dodała: – Francuska technologia, najlepszej jakości.

– To też powtarzałaś mi już wiele razy. – Poszukiwacz położył dłonie na ramionach agentki. – Wszystko będzie dobrze, nic nam się nie stanie... Mimo całej tej francuskiej technologii.

– To nie było zbyt zabawne...

– Przepraszam, chcesz czegoś naprawdę zabawnego?

Bańka nachylił się nad nią delikatnie. Myślałem, że wyszepta jej coś do ucha, ale zamiast tego pocałował ją w usta. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale oboje zamknęli oczy, jakby chodziło o jakieś bardzo intensywne doświadczenie.

Zakrztusiłem się dymem z własnego papierosa. Czym prędzej zasłoniłem usta, żeby stłumić kaszel, i wypuściłem dym przez nos. Na szczęście ani Lacombe, ani Bańka mnie nie zauważyli, zbyt zaaferowani uprawianiem mnie w osłupienie.

Odsunęli się od siebie.

– Rzeczywiście, to było... zabawne. – Chociaż Julianne miała ciemną skórę, zdawało mi się, że zaczerwieniła się jak nastolatka, którą ktoś pocałował po raz pierwszy. Ja natomiast miałem wrażenie, że śnię na jawie. Zacząłem się zastanawiać, czy nie robią mi przycieżkiego kawału. – Czemu to zrobiłeś?

Bańka wzruszył ramionami.

– Bo nie wiem, kiedy wrócę z tej dżungli. A wydawało mi się, że przed wyruszeniem na wyprawę wypada dać ci znać, że współpraca z tobą nie jest taka zła.

– Nie powinieneś być tego robić, Bruno. Teraz wszystko będzie o wiele trudniejsze.

– Julianne – odezwał się, unosząc brodę agentki, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Wyprawa do dżungli z pewnością będzie trudna. Pocałowanie ciebie okazało się jedną z najłatwiejszych rzeczy w życiu.

I na potwierdzenie swoich słów znów zaczął ją całować. Tym razem wszystko trwało o wiele dłużej, tak że nawet nie czekałem do końca. Uznałem, że potrzebuję prywatności, ja zaś potrzebowałem chwili, żeby przyswoić, że Lacombe nie martwi się tak o moje bezpieczeństwo jak o bezpieczeństwo mojego towarzysza.

Biedaczka. Musiał jej się spodobać akurat ten z Poszukiwaczy, który zawsze obrywał najbardziej podczas naszych misji.

Saúl wrócił do Cauacaró dzień po wyjeździe Lacombe. Nie przyjechał sam.

Wjechał do wioski na siedzeniu pasażera wielkiego i głośnego jeepa, który grzechotał na każdej dziurze jak kupa złomu. Za kierownicą siedział Metys o ciemnej skórze, z wąsami i grubym złotym łańcuchem na szyi. Wyglądał jak przebrany Cygan.

Saúl przedstawił go nam jako Rodriga, Kolumbijczyka zamieszkałego w Valcabado, zarabiającego na życie handlem obwoźnym.

– A czym właściwie handluje? – zapytałem.

– Wszystkim – odparł duchowny. – Po prostu mówisz i masz.

– Dobre hasło.

Rodrigo wybuchnął śmiechem.

– Tak, tak – przyznał – ale nie pomyślałem o tym, żeby je wykorzystać. Wydrukuję je sobie na wizytówkach. Jak sądzisz, staruszk, przybędzie mi klientów? – I klepnął Saula w plecy tak mocno, że rozchodzące się echo zabrzmiało jak huk wystrzału.

– Znamy się z Rodrigiem od bardzo dawna. Niełatwo było go znaleźć, bo ciągle gdzieś kursuje, ale postanowiłem, że nie spocznę, póki go nie odnajdę. To właśnie człowiek, którego potrzebowaliśmy.

– Do czego? – chciałem się dowiedzieć.

– Do wszystkiego, synuś – odparł Rodrigo swoim głosem tenora. – Mam w samochodzie wszystko, czego możecie potrzebować. Chodź, sam zobaczysz.

Wyjął z bagażnika mnóstwo pudeł i zaczął je rozpakowywać. Przywiózł ze sobą podstawowy ekwipunek pozwalający przetrwać w dżungli, nowoczesny, prawie nowy i, jak zapewniał raz po raz Rodrigo, po tanioci, po prostu czysty biznes.

Stłoczyliśmy się z towarzyszymi wokół jeepa niczym wokół bazarowego straganu, podczas gdy Rodrigo demonstrował nam po kolei każdy z elementów swojego zestawu odkrywcy, wychwalając pod niebiosa jego jakość i absurdalnie niską cenę.

Zaczął od ubrań. Koszulki, kapelusze, kauczukowe buty większe niż płetwy nurka, grube skarpetki, spodnie trekkingowe. Wszystko bardzo trwałe, wykonane z nieprzemakalnych materiałów w jasnych kolorach. Podobno ciemne przyciągają owady. A nieprzemakalne tkaniny docenimy na pewno, kiedy zaskoczy nas jedna z typowych dla dżungli gwałtownych ulew.

Pokazał nam też namioty, hamaki, śpiwory, moskitiery, latarki czołowe na korbkę, do których nie potrzeba baterii, i wiele innych rzeczy koniecznych, żeby przetrwać w dżungli. Miałem wrażenie, że bagażnik jego jeepa jest bez dna.

– Potrzebny wam będzie krem z filtrem, mnóstwo kremu z filtrem – powiedział, wyjmując kilka tubek. – I woda. Trzy litry dziennie, co najmniej. Będziecie się pocić jak świnię i jeśli nie uzupełnicie płynów, z łatwością się odwodnicie. Weźcie też opakowanie tego: to pastylki do uzdatniania wody, ale uważajcie, niedobrze pić uzdatnianą wodę dłużej niż trzy dni z rzędu, używajcie ich tylko w wyjątkowych wypadkach. Tak jak mówiłem, jedno opakowanie, nie, lepiej dwa. Za tę cenę grzechem byłoby kupić tylko jedno.

Rodrigo prawie wczuł się do bagażnika i wyjął z niego maczetę długości przedramienia. Ostrze świsnęło, przecinając powietrze.

– Ja pierdolę! – krzyknął Yokai. – Chcę to!

– Oczywiście, że tak, synuś. Proszę, po jednej dla każdego. Dla ciebie... i dla ciebie... A to dla pięknej pani... – Rodrigo rozdał maczety wszystkim. – Lekkie, ale bardzo wytrzymałe, idealne, żeby torować sobie drogę w gęstwinie.

– To chyba nie najlepszy pomysł wręczać chłopcu broń białą – zaprotestował Bańka, widząc, jak Yokai ćwiczy z maczetą ruchy ninja.

– Zapewniam, że jest inaczej – odrzekł Saúl. – W dżungli nie zrobisz bez tego trzech kroków. Uważajcie na nie i broń Boże nie zgubcie.

Potem Rodrigo otworzył pudełko, w którym znajdowało się mnóstwo szklanych

ampulek pełnych bezbarwnej cieczy. Była to antytoksyna przeciw węzom. Wziąłem kilka.

– Bierz, bierz, nie krępuj się – namawiał Rodrigo. – Mam antidotum na grzechotniki, żararaki lancetowate i inne żmije. – Zapytałem, czy nie ma czegoś, co pozwoli utrzymać z daleka mordercze anakondy. – Oczywiście, że mam, synuś! Weź to!
– I wręczył mi zwykły scyzoryk.

– Nabija się pan ze mnie?

– Ależ skąd. To jedyny skuteczny sposób, żeby uwolnić się od anakondy. – Rodrigo położył mi rękę na ramieniu, jakby chciał poczynić przyjacielskie wyznanie. – Posłuchaj mnie, synuś, anakonda to paskudne stworzenie, wredne i okropne. Widziałem takie, co miały dziesięć metrów długości, z łbem wielkim jak głowa niemowlaka. Dobre jest to, że są leniwe... Złe, że przepadają za ludzkim mięsem. Jesteśmy idealnym łupem: niezdarni, głośni, powolni i zostawiamy po drodze ślad intensywnych zapachów. Nie powinienes nigdy zatrzymywać się pod drzewami, bo często wylegują się na gałęziach i widząc apetyczną ofiarę, po prostu na nią spadają. Nikt nie lubi, żeby sto kilo węża spadło mu na ramiona, prawda, synuś?

– Nie, jasne, że nie... – odpowiedziałem, czując, że robi mi się trochę słabo.

– No właśnie. Więc żadnego spania pod drzewem. Ale i tak może się zdarzyć, że anakonda podpełźnie do obozowiska, kiedy wszyscy śpią. Pełźnie i pełźnie, powoli, śladem miłego zapachu moczu. Ważna rada: nie sikaj w pobliżu obozowiska. Jak mówiłem, zbliża się w środku nocy, bezszelestnie jak kot. Dociera do twojego namiotu, a ty myślisz: „E tam, nic mi nie będzie, wieczorem zapiąłem dobrze suwak, a węże nie potrafią rozpinąć suwaków”. Duży błąd, synuś, anakonda potrafi. Rozdwojonym językiem maca w poszukiwaniu otworu, zawsze zostaje mały otwór, i tam wkłada pysk, powoli, powoli. Głową wielką jak pięść pcha i rozsuwa zamek... Wolniutko, nie robiąc hałasu. W końcu udaje się jej wejść, a ty śpisz sobie w najlepsze. Jesteś jak kolacja podana na stół. Anakonda rozwiera pysk i zaczyna cię połykać od stóp, a ty przez sen czujesz, że masz wilgotne stopy, jakby lizał cię jakiś pies, rozumiesz, synuś? Budzisz się i co robisz? Oczywiście w pierwszym odruchu chcesz wstać i rzucić się do ucieczki! Jeśli to zrobisz, już jesteś martwy, zanim zdołasz się podnieść, anakonda oplecie cię swoim cielskiem i udusi, nie przestając cię połykać. Nie wolno ci uciekać, nie wolno poruszyć ani jednym mięśniem. Na szczęście masz scyzoryk, który sprzedał ci poczciwy Rodrigo, i tylko dzięki niemu masz szansę ująć z życiem.

– A co powinienem zrobić? Wbić w nią ten scyzoryk?

– Nie, nie! Przynajmniej nie od razu. Sądzisz, że tak łatwo przebijesz stukilową bestię gównianym nożykiem? Jej łuski są twarde jak kamień. Rodrigo powie ci, co masz zrobić, może nie jest to miłe, ale to jedyny sposób. Musisz leżeć nieruchomo, z ramionami przy ciele i mocno trzymając rękojeść, z ostrzem skierowanym ku stopom. Pozwól, żeby anakonda cię połykała: kostki, kolana, uda. Staraj się nie patrzeć, jak jej paszcza otwiera się w groteskowy sposób, żeby dopasować się do wielkości twojego ciała, to nie jest przyjemny widok. Jeśli chcesz, możesz nawet zamknąć oczy, ale musisz być bardzo uważny. W chwili, kiedy twoje ręce znajdują się w paszczy anakondy: wbijasz jej czubek scyzoryka w podniebienie! Aż zobaczysz czubek wynurzający się między oczami bestii. Potem pociągasz go do siebie i rozcinasz jej mózg. Teraz jest już martwa i nic ci nie robi.

O jednym tylko pamiętaj: jej ślina jest trująca, musisz natychmiast się umyć. Zrozumiałeś, synuś? – Pokiwałem głową, nieco roztrzęsiony. Rodrigo poklepał mnie po policzku. – Ile szczyrzyków chcecie?

Wszyscy moi towarzysze wzięli po jednym, z wyjątkiem Enigmy, która kupiła dwa.

Uzupełniliśmy nasz ekwipunek o zapasy żywności: potrawy w puszkach, w proszku i liofilizowane. Rodrigo miał ich całkiem spory wybór. Na koniec wzięliśmy płyn odstraszający owady.

– Tu mam coś całkiem niezłego – powiedział handlarz, wręczając nam trzy wielkie opakowania. – Notipex, Menticol i kamfora. Mieszając je w równych proporcjach, uzyskacie najlepszy płyn odstraszający kleszcze, muchówki i inne takie. Komarami nie musicie się martwić, w Los Morenos prawie ich nie ma.

Saúl wyjaśnił nam, że dwie rzeki, od których dżungla wzięła swoją nazwę, mają bardzo wysoki poziom pH, przez co komary nie mogą składać w nich jaj. Była to jedyna zaleta Los Morenos.

Ostatnią rzeczą, na jaką namówił nas Rodrigo, była oleista substancja w szyfcie, pachnąca amoniakiem. Handlarz powiedział, że jeśli coś nas ukąsi albo otrzemy się o trującą roślinę, powinniśmy nałożyć ten lek i broń Boże się nie drapać. Saúl przyznał mu rację.

– To typowy błąd – powiedział. – Swędzi cię, więc się drapiesz. W większości przypadków tylko rozprzestrzeniasz truciznę i jest jeszcze gorzej, w przypadku ukąszenia owada możesz zainfekować ranę, a konsekwencje bywają obrzydliwe.

I zaczęli przerzucać się anegdotami o nieszczęśnikach, którym po ukąszeniu owada pod skórą wykluły się przerażające paskudztwa. Zdawało się, że urządzili konkurs na najohydniejszą historię. Rodrigo wygrał w cuglach, wspominając szwedzkiego biologa, który spędził pięć dni z zatrzesieniem żywych larw pod skórą. Facet widział, jak się poruszają, jak wystawiają łebki przez rany w skórze, niczym odrażające maleńkie peryskopy. Kiedy wrócił do cywilizacji, wyciągnięto z niego pięćdziesiąt robali, niektóre miały nawet trzy centymetry długości.

Yokai był zachwycony, Enigmie natomiast przy opowieści o biednym szwedzkim biologu zebrało się na wymioty.

– To najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

– Nie wątpię – przytaknął Saúl z bardzo poważną miną. Spojrzał na całą naszą grupę, jakby miał zamiar uraczyć nas kazaniem, co w istocie uczynił. – Nie opowiadam wam tego wszystkiego po to, żeby zrobiło się wam niedobrze. Chcę, żebyście zrozumieli, że Los Morenos to trująca, zabójcza dżungla, żebyście mieli jakieś wyobrażenie o tym, co was tam czeka. Sądzicie pewnie, że byliście już w trudnych, może nawet koszmarnych miejscach, w ekstremalnych warunkach... To przewyższa je wszystkie. Przygotujcie wasze ciała i umysły na najgorsze, a być może, powtarzam, być może uda nam się wrócić, nie poniosłszy wielkich strat. Pomyślcie o tym, co wam powiedziałem. To, co nas czeka, to nie bułka z masłem.

WĘDROWIEC

Jeszcze przez tydzień zostaliśmy w Cauacaró. Rodrigo, Saúl, Rico i Sita udzielili nam przyspieszonego kursu przetrwania w dżungli.

Wszystkie ich nauki wydawały mi się bardzo pożyteczne, najbardziej fascynowała mnie jednak wiedza Rica, bazująca na tradycjach *mauakaro*, walkateckich myśliwych.

Rico nauczył nas, jak odróżniać owoce jadalne od trujących (najprostsza zasada: jeśli jedzą to małpy, to i tobie nie zaszkodzi), rozmaitych sztuczek pozwalających unikać bliskich spotkań z pajakami i innymi jadowitymi zwierzętami. Opowiadał nam też o roślinach, z których przyrządza się maści i wywary o niesamowitych właściwościach, często nawet skuteczniejsze od syntetycznych leków, które sprzedawał nam Rodrigo. Czuliśmy, że Rico okaże się świetnym przewodnikiem.

Po upływie tygodnia Kolumbijczyk zawiózł nas swoim jeepem do Bocagua, niewielkiej osady będącej bazą wypadową dla śmiałków chcących zapuścić się w dżunglę. Tam mieliśmy pójść w głąb selwy pierwszym z indiańskich szlaków naszej marszruty.

Tu Rodrigo pożegnał się z nami, zadowolony, że znalazł tak wspaniałych klientów, a jeszcze bardziej z tego, że nie musi nam towarzyszyć. I tak oto w gorący, deszczowy ranek zrobiliśmy pierwsze kroki w naszej wyprawie w poszukiwaniu Miasta Świętych Mężów. Szliśmy wzdłuż niewielkiej rzeki.

Maszerowaliśmy mniej więcej trzy godziny, nie mając w zasadzie powodów do skarg poza koszmarną wilgocią, do której powoli się przyzwyczajaliśmy, i przelotnych, ale gwałtownych deszczów, które zmieniały ziemię w grząskie błoto. Nie napotkaliśmy żadnej przeszkody, której nie mogliśmy pokonać dzięki wspaniałemu ekwipunkowi eksploratorów.

W miarę jak szliśmy wzdłuż rzeki, otaczająca nas roślinność gęstniała. Dżungla Los Morenos nie miała jasno wytyczonej granicy, żaden znak nie oddzielał zielonego czyścica od zielonego piekła, po prostu z każdym krokiem w głąb robiła się coraz bujniejsza, jak opatulająca nas coraz szczelniej mgła.

Pochód otwierali Rico i Sita. Yokai biegał wokół dziewczyny, usiłując nawiązać z nią rozmowę.

Postanowiłem do nich dołączyć. Rico szedł z opuszczoną głową, miał postrzępiony wojskowy plecak i zwyczajny strój. Nie chciał, żebyśmy kupili mu ubrania podobne do naszych.

– Jesteśmy już na Szlaku Wędrowca? – zapytałem, a on pokręcił głową.

– Nie. Dopiero zanurzamy się w dżunglę.

– Szlak rozpoczyna się dalej – wyjaśniła Sita. – Na razie musimy jeszcze przez jakiś czas iść brzegiem Strumienia Węży.

– Więc tak nazywa się ta rzeczka – powiedziałem. – Mam nadzieję, że nie

spotkamy ich zbyt wielu.

Zaśmiała się, jakbym palnął jakąś głupotę.

– Nie, tu nie ma węży – wytłumaczyła. – Nazywa się tak, bo wije się jak wąż.

– Ja tam nie boję się węży – wtrącił chłopak, próbując zaimponować Indiance.

– Miałem jednego w terrarium. Karmiłem go nieżywymi myszami, był zajebisty.

Sita zmarszczyła zabawnie nos.

– Dawalesz mu myszy? To obrzydliwe!

Yokai poczerwieniał po same uszy.

– No tak... Jasne... Obrzydliwe, tak... Biedne myszy... Tak naprawdę wcale nie lubiłem tego węża. Właściwie nawet nie był mój, tylko mojego kumpla, który...

Chłopak zaczął się plątać w zeznaniach, wymyślając absurdalną historię, postanowiłem więc przyjąć mu z pomocą.

– Yokai, nie zapomnialesz włożyć routera satelitarnego do plastikowej torby, jak kazał Rodrigo? – zapytałem młodego, który sprawował pieczę nad urządzeniem i odpowiadał za jego transport.

– Spoko, wszystko pod kontrolą. Będę uważał na to ustrojstwo jak na swoje...

– spojrzał kątem oka na Sitę i odkaszlnął zakłopotany – jak na swoją własną głowę. Włączałem je przed chwilą i działa bez zarzutu.

– Nie powinienes tego robić. Lacombe wiele razy powtarzała, żebyśmy nie marnowali baterii.

– To konieczne. Tu jest bardzo wilgotno, muszę co jakiś czas sprawdzać, czy router się nie zjebał. – Kolejne spojrzenie w kierunku dziewczyny. – To znaczy czy działa. Tylko go włączam, sprawdzam, czy wszystko w porzo, i zaraz wyłączam.

– Dobrze, to ty rzadzisz tą maszyną – powiedziałem. – Masz krokومتر?

Yokai wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej niewielkie cyfrowe urządzenie w kształcie jajka. To był pomysł Danny, która w ostatniej chwili uznała, że powinniśmy mniej więcej wiedzieć, ile kilometrów dziennie przemierzamy. Podobnie jak ona i chłopak, Enigma też miała taki krokومتر.

Po kolejnej godzinie oderwaliśmy się od brzegu rzeki i skręciliśmy w głąb dżungli. Tu roślinność formowała nad nami coś w rodzaju sklepienia. Parna wilgoć sprawiała, że czułem się skołowany, jak w ostatniej fazie kaca. Podniosłem wzrok i zobaczyłem na drzewie pierwsze wyjce o ciemnym umaszczeniu i nieco niepokojącym wyglądzie. Przez kilka kolejnych dni mieliśmy przywyknąć do ich obecności.

Rico stanął. Podeszedł do pnia drzewa i wskazał nam wystającą spod oplatającego ją listowia skałę.

– *Ejawá* – powiedział. – Wędrowiec. Tu się zaczyna.

Podeszedłem, żeby przyjrzeć się skale. W rzeczywistości był to fragment steli z pozostałościami reliefu. Zapytałem Saula, czy napis na niej sporządzono w języku Walkateków.

– Tak, ale nie sposób odczytać niczego poza imieniem Tupany. – Zwrócił się do Indianina: – Jesteś pewien, że to właściwy szlak?

Rico nie odpowiadał. Klęczał na ziemi z zamkniętymi oczami jak w jakimś transie.

– Nie można mu teraz przeszkadzać – wyjaśnił nam Saúl. – Przypomina sobie

drogę.

Cała grupa z wyczekiwaniem wpatrywała się w nieruchomego Rica. Po kilku minutach otworzył oczy, wstał i ruszył przed siebie. Jego usta poruszały się, jakby nucił jakąś melodię. Podążyliśmy za nim w milczeniu, uważając, żeby go nie zdekoncentrować.

Podszedłem do dziewczyny.

– Sito, co właściwie robi twój wujek? – zapytałem. – Wygląda, jakby się modlił.

– Nie, nie modli się, śpiewa – odrzekła. – *Lumana ejawá*, pieśń wędrowca. Pozwala nie zboczyć ze szlaku. To sposób dawnych *mauakaro*. My możemy rozmawiać między sobą, to mu nie przeszkadza, ale nie powinniśmy zwracać się do niego. Nie może się zatrzymać ani pomylić zwrotek, bo byśmy się zgubili.

– Czyli już weszliśmy na szlak? – Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakichś znaków, śladów, że ta ścieżka została wytyczona przez człowieka, ale wokół nie było nic poza dziką przyrodą. – Skąd o tym wiesz? Są tu jakieś znaki?

– Nie, szlakiem jest pieśń – odpowiedziała dziewczyna. Potem zanuciła po cichu: – *Kalé epú ejawá, Tupana waphe kalé epú ejawá*. Tak zaczyna się pierwsza zwrotka Szlaku Wędrowca. Każdy szlak ma własną pieśń, a *mauakaro* znali je wszystkie. Recytuje się ją w całości, idąc na północ, gdzie mieszka Tupana, a kiedy dojdiesz do ostatniej zwrotki, zaczynasz od nowa, tym razem kierując się tam, gdzie zachodzi słońce. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Zawsze to samo, trzeba tylko pamiętać, żeby zmienić kierunek, kiedy skończysz ostatnią strofę i zanim zaczniesz pierwszą. I tak tworzy się szlak.

Więc to w ten sposób Walkatekowie stworzyli w dżungli labirynt. Nie była to kamienna droga ani specjalnie oznaczone szlaki, lecz śpiewana mapa. Teraz zrozumiałem, dlaczego archeologowie ani badacze nie znaleźli najmniejszego śladu tej sieci ścieżek. Byłem pod wielkim wrażeniem.

– A skąd twój wujek wie, w którym kierunku powinien iść, kiedy kończy się pieśń? – spytałem.

– To zależy, dokąd chcesz dojść. Sekwencja zmienia się w zależności od celu wędrowki. Idąc Szlakiem Wędrowca, możesz albo przejść przez dżunglę, albo napotkać pozostałe trzy szlaki. My szukamy Szlaku Myszy, tak właśnie prowadzi nas wujek. To słowa pieśni dyktują ci sekwencje kierunków w zależności od celu podróży.

– A gdyby zapomniał jakiejś zwrotki? Zgubilibyśmy się?

– Nie, ja bym mu ją przypomniała. *Mauakaro* zapuszczają się w dżunglę tylko w parach, dlatego wujek tak nalegał, żebym wam towarzyszyła.

Niesamowite. System był genialny w swej prostocie. Obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji poproszę Rica, żeby nauczył mnie tej pieśni. Byłem jej bardzo ciekaw i chciałem mu zadać wiele pytań na temat tego fascynującego systemu.

Tak właśnie, idąc śladami Indianina nucącego pieśń-drogowskaz, zapoznawaliśmy się z przerażającą dżunglą Los Morenos.

Na początku szliśmy w niemal nabożnym milczeniu, wpatrując się w otaczającą nas rozbuchaną roślinność. Cedry o nieprawdopodobnie wielkich pniach, gigantyczne paprocie, palmy o liściach ostrych jak sztylety. Czuję się, jakbym wędrował we wnętrzu szmaragdu. Pośród tej zielonej gęstwy zawieszono w powietrzu orchidee wabiły niemożliwym do opisanego bogactwem barw, jedne nieduże, inne zaskakująco wielkie.

Tutaj wszystkie elementy przyrody ożywionej zaskakiwały nierealnymi proporcjami, jakby pochodziły z zupełnie innego świata.

Sieć lian i powietrznych korzeni oplatała każdą piędź roślinności, jakby były arteriami jakiegoś żywego organizmu. Staralem się do nich zbytnio nie zbliżać, gdyż Saúl ostrzegł nas, że węże lubią odpoczywać wśród splątanych, guzowatych korzeni. Chociaż prawdę mówiąc, rzadko wspominałem te przerażające stworzenia, bo wspaniałość dżungli wywierała na mnie efekt isticie hipnotyczny. Czulem się jak mrówka, która weszła do katedry.

Gęstwina drzew już wkrótce przysłoniła słońce i znaleźliśmy się w zielonkawym półmroku, w którym pobrzmiwały dziwne dźwięki, niesprawiające wrażenia odgłosów ani ludzkich, ani zwierzęcych, lecz ich mieszaniny. Od czasu do czasu rozlegało się nad naszymi głowami wycie wyjców, jakby przelatywała nad nami pokutująca dusza.

Szybko okazało się, że przemierzanie dżungli to nie taka prosta sprawa. Drzewa, inne rośliny, gałęzie blokowały przejście jak kraty w celi. Bańka, który szedł na początku razem z Rikiem i Sitą, zaciskał zęby i kłął pod nosem, machając maczetą, żeby utorować nam drogę. Czasem ściana zieleni była tak gruba, że do jej przebicia potrzeba było kilku osób z maczetami. Było to wyczerpujące zadanie ze względu na parny upał, a po każdym większym wysiłku musieliśmy odpoczywać przynajmniej przez kilka minut, żeby uspokoić oddech i zetrzeć pot zalewający nam powieki i wargi. Woda sączyła się z naszych ciał jak z wyciskanych gąbek.

W pewnej chwili przestraszyłem się nie na żarty: zamachnąłem się maczetą i usłyszałem syk podobny do dźwięku powietrza ulatującego z kaloryfera. Pod nogami wylądowała mi połowa węża o czarnym grzbiecie w białe pierścienie, która jeszcze przez chwilę wila się na ziemi. Krzyknąłem i cofnąłem się o krok z obrzydzeniem.

– Co się stało? – zapytał Saúl, zaglądając mi przez ramię. – Ach, już widzę. Wąż. Spokojnie, jest niegroźny. To znaczy był. – Poklepał mnie po plecach i poszedł dalej.

Danny, która szła za nim, przystanęła obok mnie. Po jej twarzy spływał pot, pozlepiane, sterczące kosmyki na czole sprawiały, że wyglądała jak Gotka.

– Bardzo specyficzny ksiądz, prawda? – powiedziała.

– Podejrzewam, że kler w tych krajach różni się od tego, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni.

– Ach, więc pochodzi z Valcabado? Nie sądziłam, prawie nie ma akcentu.

Wyczułem w jej głosie podejrzliwy ton. Danny nie ufała księdzu do tego stopnia, że prawie z nim nie rozmawiała.

– Nigdy go o to nie pytałem, uznałem to za oczywiste.

– Nie widziałam też, żeby zbyt często się modlił...

– Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć? Jeśli tak, wyłóż kawę na ławę, nie jestem teraz zdolny do wylapywania aluzji. – Zorientowałem, że zabrzmiało to trochę niegrzecznie. – Przepraszam, przez ten przekłety upał stałem się drażliwy.

– Nie ma sprawy, na wszystkich tak działa. Nie chciałam cię zdenerwować, wiem, że mu ufasz, ale pamiętaj, że niektórzy mają wielką łatwość podawania się za kogoś, kim nie są. – Na jej ustach pojawił się krzywy półuśmiešek. – Wiem to z doświadczenia.

Szliśmy dalej, oddychając ciężko. Zmęczenie zaczęło się nam dawać we znaki.

W końcu Rico zaproponował, żebyśmy zrobili postój i zjedli obiad. Zatrzymaliśmy się więc. Po obiedzie zamierzaliśmy iść jeszcze kilka godzin, a potem znaleźć miejsce na nasz pierwszy nocleg w dżungli.

Na miejsce posiłku i odpoczynku wybraliśmy niewielką polankę otoczoną cedrami. Bańka i Danny długimi kijami macali listowie na ziemi, żeby się upewnić, że nie kryje się pod nim żaden wąż. Ja tymczasem wyjmowałem z plecaka prowiant. W dzisiejszej karcie była ryba z puszki i jajka w proszku. Palce lizać.

Pomogłem naszym przewodnikom rozpalić ogień, żeby usmażyć jajka. Kiedy sięgnąłem po zapalniczkę z emblematem Narodowego Korpusu Poszukiwaczy, pewien szczególnie zwrócił moją uwagę.

Zapatrzyłem się na nasz symbol, a konkretnie na otwartą dłoń z okiem. Ten widok sprawił, że zaczęła się we mnie rodzić pewna myśl, nieokreślona, jak słowo, które ma się na końcu języka.

Rico coś do mnie powiedział.

– Słucham?

– Ogień, synku, trzeba rozpalić ogień. – Indianin się uśmiechnął. – Bujasz w obłokach.

Rozkojarzony zapaliłem zapalniczkę i przysunąłem ją do ułożonego przez Rica stosu gałązek. Na dnie mojego umysłu wciąż kołatała się ta niesprecyzowana, niedająca mi spokoju myśl.

Miałem przeczucie, że chodzi o coś bardzo ważnego.

Poczułem, że coś piecze mnie w palec. Sparzyły mnie płomienie. Odsunąłem rękę od ognia i włożyłem kciuk do ust.

– Musisz uważać. Mam wrażenie, że pobyt w dżungli pomieszał ci w głowie.

– Głowa... – mruknąłem, nie wyjmując palca z ust. – Głową... w gabinetach... ludzie... w gabinetach...

– Co mówisz, synku?

Westchnąłem ciężko i zdałem sobie sprawę, że cały drzę.

– Nic, nic... ja tylko... – mruknąłem, wstając. Odszedłem stamtąd, zataczając się, jakbym był pijany, i oparłem się o pień pobliskiego drzewa. Moi towarzysze pomyśleli, że zrobiło mi się słabo z odwodnienia. Bańka podszedł do mnie i uparł się, że mam się napić wody. Posłusznie wykonałem jego polecenie. Moje ciało znajdowało się na tej polanie, ale duchem byłem zupełnie gdzie indziej, zagubiony w gwałtownej nawałnicy myśli.

Między innymi o mężczyźnie, który potrafił wyważyć drzwi głową.

Resztę dnia spędziłem pogrążony w posępnym milczeniu, chociaż nikt nie zwrócił na to uwagi, bo nie odstawałem specjalnie od nastroju ogółu. Nasz pierwszy szturm na dżunglę Los Morenos sprawił, że czuliśmy się wyczerpani, wręcz znokautowani.

Ostatni kawałek drogi, zanim zatrzymaliśmy się na nocleg, wydał się nam szczególnie ciężki. Nie napotkaliśmy jeszcze chmary zabójczych owadów ani olbrzymich węży, ale nie było to konieczne, żeby dać nam w kość. Tutejszy klimat, gęsta wilgoć, przez którą cały czas oblepiała nas warstwa potu, obolałe nadgarstki i ramiona, dłonie

pełne pęcherzy i zadrapań po wielogodzinnym torowaniu sobie drogi maczetami – już samo to wystarczyło, żeby uświadomić nam, że ta wyprawa będzie morderczą.

Zabarwione na zielono światło słońca nikło powoli, ustępując budzącym lęk ciemnościom, w których pomiędzy drzewami czaiły się rozmaite sylwetki i rozlegały dziwne dźwięki. Wkrótce te dźwięki stały się coraz głośniejsze, by w końcu przekształcić się w kakofonię hałasów. Selwa w nocy była miejscem, w którym panował skandaliczny harmider.

– Słyszysz to? – zapytał mnie Bańka, kiedy rozbijaliśmy namiot. – Te odgłosy, brzmią jak krzyki przerażenia.

– Bo tak jest – wtrącił Rico, który przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Ptaki boją się, kiedy zachodzi słońce. Nie rozumieją, co to wieczór, myślą, że nadszedł koniec świata.

Skończyliśmy rozbijać namiot w przygnębiającym milczeniu.

Nasz obóz był dość prymitywny: składał się z trzech małych namiotów, w których zamierzaliśmy się jakoś rozlokować, zapominając o podziałach ze względu na płęć, rozbitych z dala od drzew, żeby nie zaskoczyły nas węże albo owady mające gniazdo nad naszymi głowami. Jedyne światło, jakie mieliśmy, pochodziło z naszych latarek czołowych. Rico powiedział, że nie powinniśmy w nocy rozpałać ogniska, bo ciepło mogłoby zwabić gady albo innych równie niepożądanych gości.

Kolacja podniosła nieco morale naszej wycieczki. Rico opowiadał nam o jadalnych zwierzętach, co pozwoliło Saulowi wpleść kilka anegdot o tym, jak pierwszy raz jadł węża, małpę i inne mało apetyczne dania. Potrafił snuć opowieść w bardzo zajmujący sposób i miał specyficzne poczucie humoru, jego żarty wzbudziły kilka bardzo pożądanых wybuchów śmiechu.

Nie siedzieliśmy jednak długo. Bańka, który napracował się najciężej, idąc na czele pochodu, szybko schował się do namiotu. W jego ślady poszli Indianin i Sita, a chwilę później Danny.

Saúl i Enigma gawędzili na uboczu. Nie słyszałem o czym, ale musiał jej opowiedzieć coś bardzo zabawnego, bo śmiała się głośno. Ja siedziałem w pewnej odległości od nich, obracając w dłoniach zapalniczkę. Nie mogłem przestać na nią patrzeć.

Jeszcze w Cauacaró Rodrigo sprzedał mi spory zapas marlboro, postanowiłem więc zapalić. Odkryłem z obrzydzeniem, że za sprawą wilgoci papierosy zrobiły się miękkie i smakują inaczej.

Oddaliłem się nieco od centrum obozowiska i wpadłem na Yokaiego, który sprawdzał, czy router satelitarny wciąż działa.

– Co tam, chłopie? – zapytałem. – Jak to znosisz?

– E? A, w porządku. To znaczy padam na pysk, ale jeśli nie czeka nas nic więcej, dam radę.

– To dobrze. A jak sprzęt?

– Działa, póki co – odrzekł, chowając go do nieprzemakalnej torebki.

– Patrzyłeś na krokومتر? Jestem ciekawy, ile zrobiliśmy dziś kilometrów.

– Właśnie to zapisywałem. Od wyjścia z Bocagui do Los Morenos mniej więcej

dwadzieścia kilometrów. W samej dżungli sześć.

– Tylko sześć? No nie, a ja się czuję, jakbyśmy przebiegli maraton.

– Przemieszczyliśmy się tak wolno przez te pierdolone drzewa i inne zielsko. Mam nadzieję, że to zaginione miasto nie leży zbyt daleko, bo będziemy szli całe wieki.

– A co to za cyfry, które zanotowałeś?

– To? Zapisuję sobie odległości, które przemierzamy, zanim Rico zmieni kierunek.

– Po co?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, żeby się czymś zająć. Sam marsz jest nudny. Tęsknię za moim kompem.

Spodobało mi się, że Yokai próbuje robić coś pożytecznego. Porządny z niego chłopak.

– Bardzo sprytny pomysł, rób tak dalej – powiedziałem, a on zrobił zadowoloną minę. – Ale teraz najlepiej połóż się spać. Wyglądasz na zmęczonego.

– Tak, już miałem się kłaść, muszę tylko to wszystko pochować. – Pochylił się nad plecakiem, żeby włożyć do niego router.

– Poczekaj, nie ruszaj się, masz na plecach wielką ćmę...

Tym, co naprawdę spacerowało po koszuli Yokaiego, była tarantula wielkości otwartej dłoni, płowa, z grubymi, włochatymi odnóżami. Szła spokojnie w kierunku jego szyi. Strzepnąłem ją daleko ręką maczety, spadła w listowie, ciężka jak kamień. Na szczęście bałem się węży, a nie pajaków, te ostatnie budzą we mnie uczucia podobne jak trochę większe mrówki.

– Już? – zapytał chłopak.

– Wszystko okej.

– Dzięki. Dobrze, że to nie był pajak. Saúl mówi, że są tu tarantule, ja pierdołę, mam nadzieję, że żadnej nie spotkam. Posrałbym się ze strachu.

– Żaden tam pajak, zwykła ćma. Przestraszyłem ją i sobie poleciała.

– No to luz. – Yokai zapiął plecak i zarzucił go na ramię. – Idziesz?

– Jeszcze nie, mam jedną rzecz do zrobienia. Zaraz przyjdę.

– *Okey dokey*. Aha... – Podrapał się po karku z zakłopotaniem. – Tylko nie mów Sicie, że boję się pajaków, dobra?

– Będę milczał jak grób.

Yokai uniósł kciuk w geście zadowolenia i zniknął w namiocie. Ja wypaliłem do końca papierosa i wróciłem do centrum obozowiska. Enigma i Saúl rozmawiali dalej, w świetle małej lampki kempingowej.

Usiadłem trochę z boku, ściskając w rękach zapalniczkę.

Zacząłem przypominać sobie dzień, kiedy Saúl wywiózł mnie spod archiwum diecezjalnego starym gruchotem, po tym jak znalazłem w gabinecie trupa Alzagi. Tego dnia ksiądz uratował mnie przed żołnierzami, nie wiedząc, co zrobiłem, dlaczego mnie ścigają. Nie miał nawet pojęcia, jak się nazywam.

Zresztą do tej pory tego nie wiedział.

Obdarzył mnie niewyobrażalnym kredytem zaufania. Przypomniałem sobie, co powiedział po tej szalonej ucieczce, kiedy już byliśmy bezpieczni.

„Słuchaj, twoje sprawy mnie nie interesują. Jak chcesz, to chodź sobie po mieście pod fałszywym nazwiskiem i strzelaj do ludzi w bibliotekach, nie moja broszka”.

„Strzelaj do ludzi w bibliotekach”.

Nie pierwszy raz zdarzało mi się, że w mojej pamięci gromadziły się obrazy i słowa, których znaczenie miałem zrozumieć dopiero po jakimś czasie, patrząc na nie z odpowiedniej perspektywy.

„Strzelaj do ludzi w bibliotekach”. Tak powiedział. Mógł powiedzieć „zabijaj”, „morduj”, a nawet „likwiduj”. A użył czasownika „strzelać”, byłem tego pewien. Ale skąd wiedział, że Alzaga zginął od strzału, skoro mu tego nie powiedziałem?

Dotarli do mnie strzępki rozmowy Enigmy i Saula.

Saula.

– Naprawdę? – dopytywała z niedowierzaniem. – Tatuaż?

Ksiądz się zaśmiał.

– Och tak, szanowna pani, grzechy młodości. Nawet my, księża, mieliśmy kiedyś dwadzieścia lat.

– Mogę go zobaczyć czy jest w jakimś wstydlwym miejscu?

– Nie, na ramieniu. Aj, wstydę się go pokazywać, stracił już pewnie kolor i cały się pomarszczył. Lepiej, żebyśmy oszczędzili sobie tego widoku.

– Powiedz mi przynajmniej, co przedstawia.

– Ja wiem, co na nim jest – powiedziałem, nie podnosząc wzroku znad zapalniczki. Saúl i Enigma zamilkli i spojrzeli na mnie zdziwieni, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę z mojej obecności. – Brązowa tabliczka z Luzagi.

Saúl popatrzył na mnie, kiwając głową.

– No, no, widzę, że ktoś tu ma dar jasnowidzenia – rzucił. – Chyba popsuleś mi niezłą anegdotę, synu.

– To prawda? Tabliczka z Luzagi? – zapytała Enigma. – Skąd wiedziałeś?

Zamiast odpowiedzieć, podniosłem się i podszedłem do nich. Rzuciłem zapalniczkę Saulowi na kolana, jakby była oskarżeniem.

– Jak to nazwałeś? – zapytałem.

– Jak co nazwałem, chłopcze?

– Zapalniczkę. Kiedy widzieliśmy się pierwszy raz na wykopaliskach archeologicznych w Funzalu, a ty powiedziałeś, że Enigma nie jest Alicią Jordán. Zapaliłem papierosa, a ty coś powiedziałeś... Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że powiedziałeś to w chwili, gdy ujrzałeś zapalniczkę z naszym emblematem. – Popatrzyłem mu w oczy. – Rozpoznałeś ten symbol i jakoś go nazwałeś. Jak?

Saúl odwrócił wzrok. Przez długą chwilę obracał zapalniczkę w palcach, nie odzywając się słowem.

Potem westchnął głęboko. Jego westchnienie zabrzmiało tak, jakby przyznawał się do klęski.

– Ręka chwały – szepnął. Kolejna długa chwila ciszy. Saúl nie miał odwagi na nas spojrzeć. – To starożytna legenda. Wierzono, że jeśli obetniesz rękę kobiecie oskarżonej o czary, która zawisła na szubienicy, ta dłoń będzie świecić w ciemności. Była talizmanem, przede wszystkim dla złodziei.

– Złodziei takich jak ty – dodałem. – I takich jak my. Na państwowej posiadzie...

– Jak to? – zapytała Enigma.

– Dlatego nigdy nie interesowałem się, kim jesteście – ciągnąłem, zwracając się tym razem do Enigmy. – Bo nie musiał, wiedział wszystko, kiedy rozpoznał nasz symbol na mojej zapalniczce. Domyślił się, że jesteście na misji i dlatego nie używamy prawdziwych imion. Nigdy nas nie wydał, bo sam jest jednym z nas: Poszukiwaczem. – Znów spojrzałem na Saula, który sprawiał wrażenie przygniecionej jakimś ogromnym ciężarem. – Albo przynajmniej kiedyś nim był.

Enigma otaksowała księdza bacznie spojrzeniem.

– To prawda?

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz, synu – zaproponował, oddając mi zapalniczkę. – Jestem zwykłym księdzem.

Westchnąłem. Byłem potwornie zmęczony, a to, co zamierzałem zrobić, wymagało ode mnie nie lada wysiłku. Nie byłem pewien, czy mu podołam.

– Zabiłeś Abła Alzagę?

Moje pytanie oburzyło Enigmę.

– Ależ, Faro...!

– Chcę, żeby odpowiedział.

– Dlaczego miałbym go zabijać?

– Bo kiedyś znałeś mężczyznę, który wyważył drzwi głową... – Enigma patrzyła na mnie, jakbym kompletnie zwariował. Saúl nawet się nie poruszył. – To mgliste wspomnienie z dnia, kiedy uwolniliście mnie z więzienia. Powiedzieliście: „Znałem kiedyś faceta, który wyważył drzwi głową”. Wiesz co, ja też go znam. Nazywa się Hełm i był Poszukiwaczem. Podobnie jak Alzaga, który miał przydomek Kuszniak. Dawno temu Kuszniak odbywał misję w Valcabado, miał przeniknąć razem z towarzyszem do struktur kartelu narkotykowego. Ale coś poszło nie tak, *narcos* zaczęli ich podejrzewać i Kuszniak, żeby ocalić skórę, zdradził tożsamość drugiego Poszukiwacza, z którym współpracował. Kartel pozwolił zdrajcy uciec, ale jego towarzysz nie miał tyle szczęścia: został zamordowany... albo przynajmniej tak myślą wszyscy.

Wiele lat później Kuszniak wrócił do Valcabado i ku swojemu zdumieniu, ku swojemu niepomniemu zdumieniu odkrył, że towarzysz, którego wsypał, nadal żyje, chociaż wyobrażam sobie, że jego zdziwienie było nieporównywalne z tym, jakie ogarnęło zdradzonego Poszukiwacza na widok zdrajcy. Ten Poszukiwacz, którego uznawano za zmarłego, dostrzegł okazję do zemsty i postanowił jej nie zmarnować. Umówił się z Kuszniakiem w archiwum diecezjalnym, gdzie mógł się swobodnie poruszać, nie wzbudzając podejrzeń, i tam, w jednym z gabinetów, przywiązał go do krzesła i wykonał wyrok, bo o to chodziło: to nie było morderstwo, lecz wykonanie wyroku. Potem ja, czystym zbiegiem okoliczności, znalazłem konającego Kuszniaka i zapytałem, kto był jego zabójcą. Wymówił twoje imię, Saulu.

– Jestem pewien, że to nieprawda – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Powoli pokręciłem głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie wspomniał o żadnym Saulu, bo nie miał pojęcia, kto to jest... Przed śmiercią wymówił twoje prawdziwe imię. – Głos mi się załamał

i musiałem zrobić przerwę. – O zabójstwo oskarżył Poszukiwacza Pioruna.

Zobaczyłem, że Enigma nie może zaczerpnąć tchu.

Saúl nadal stał nieruchomo i się nie odzywał.

W dłużej się w nieskończoność ciszy czekaliśmy, aż ksiądz potwierdzi tę historię lub jej zaprzeczy. W tej chwili nawet odgłosy dżungli brzmiały jak odległe echa.

Saúl podrapał się po brodzie.

– Z powrotem do domu – powiedział. – To była dobra dewiza, tak... Z powrotem... Ja nigdy nie mogłem wrócić. Ten sukinsyn mi to uniemożliwił. Bóg mi świadkiem, że zasłużył sobie na śmierć.

– Co takiego się stało? Przed laty, podczas tamtej misji? – zapytała Enigma.

– Przepraszam, ale nie sądzę, żeby to była wasza sprawa – odparł Saúl. – To moje rany, stare rany. Równie stare jak ten wyblakły tatuaz. Nie warto już nikomu ich pokazywać.

Czułem, że powinienem coś powiedzieć, ale byłem emocjonalnie wycieńczony. Nie mogłem ubrać w słowa choćby najprostszej myśli.

– On musi się dowiedzieć – powiedziała Enigma, wskazując na mnie.

– Chyba już i tak sporo się dowiedział – odparł ironicznie Saúl. – Nie zrobię mu krzywdy, jeśli część historii zachowam dla siebie. Mam do tego prawo.

Wstał i ruszył do jednego z namiotów. Nadal czułem się kompletnie zablokowany. Nie mogłem mówić. Może tak będzie lepiej, myślałem. Zostawić wszystko tak, jak jest, nie zagłębiać się w przeszłość.

Niewiedza nie czyni nas szczęśliwsiymi, ale bardziej pewnymi siebie... Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie słyszałem to zdanie.

Enigma patrzyła nerwowo to na Saula, to na mnie.

– Tirso – odezwała się niespokojnie.

Saúl się zatrzymał.

– Jak cię nazwała?

– Po imieniu – odpowiedziałem. – Tak właśnie się nazywam. Tirso Alfaro.

Poczułem, że spada ze mnie niewyobrażalny ciężar.

Ojciec patrzył na mnie jak na kogoś, czyja obecność była mniej prawdopodobna niż pojawienie się ducha. Podzielałem jego uczucia.

– Mogłabyś...? – zwrócił się do Enigmy. – Mogłabyś zostawić nas samych?

Enigma dyskretnie zniknęła w namiocie. Mężczyzna, którego wcześniej uważałem za księdza Saula, usiadł obok mnie.

Przez długą chwilę milczeliśmy, zasłuchani w nocne jęki dżungli, jakbyśmy mieli nadzieję znaleźć w nich słowa odpowiednie na tak nieprawdopodobną okazję.

To on pierwszy odważył się przemówić, co uznałem za szczęście, bo gdybym ja miał się odezwać, siedzielibyśmy tak do świtu.

– Nie jestem księdzem.

Prawie ryknąłem śmiechem. Spodziewałem się wszystkiego, ale na tę deklarację nie byłem przygotowany.

– Domyślałem się.

Nabrał powietrza, jakby miał zamiar skoczyć w pustkę.

– Wiele lat temu – zaczął – dwóch facetów zabrało mnie do dżungli. Nie mówili po co, ale ja przeczuwałem prawdę. Kiedy dwóch żołnierzy kartelu zabiera cię do lasu, mała jest szansa, że stamtąd wrócisz. Na miejscu jeden z nich poprosił mnie, żebym poszedł przodem. Ruszyłem i po kilku krokach usłyszałem za plecami odgłos ładowanej broni. Chciałbym móc ci powiedzieć, że pomyślałem o tobie. Byłoby to logiczne, bo ciągle o tobie myślałem. „Kiedy ta misja się skończy”, powtarzałem sobie, „wrócę, żeby z nim zostać. To już ostatnia misja. Naprawdę ostatnia”. To napędzało mnie do działania. Ale nie będę cię okłamywał, Tirso, nie myślałem o tobie, ale o tym, jak bardzo się boję i że nie chcę umierać... – Zamknął oczy, przytłoczony złymi wspomnieniami. – Bałem się tak bardzo, że nie mogłem nawet oddychać.

Wyjąłem papierosa, a on poprosił, żebym też go poczęstował. Drżącymi rękami uniósł go do ust i zaciągnął się kilka razy.

Potem kontynuował opowieść:

– Zatrzymałem się. Pragnąłem tylko, żeby to była szybka śmierć, chociaż wiedziałem, że nie będę miał tego szczęścia. Kartel z Valcabado nie miał w zwyczaju okazywać litości. A jednak nie miałem pojęcia, co szykował dla mnie los. Ocaliło mnie widmo... *pechu jimarené*, „piękny duch”, jak Walkatecy nazywają jaguara. Wyszedł z gęstwiny jak cień i rzucił się na mężczyznę, który miał do mnie strzelać. Jaguar skoczył mu do gardła i zabił jednym wprawnym kłapnięciem szczęk. Drugi wrzasnął z przerażenia, wyjął pistolet i zaczął strzelać na oślep. Biedny głupiec: pięknego ducha nie tak łatwo zabić. Jaguar rzucił się na niego i rozdarł mu brzuch pazurami. Potem spojrzał na mnie. Z pyska wciąż kapłała mu krew.

Nigdy nie zapomnę tych oczu, tak intensywnie zielonych.

Dlaczego mnie też nie zabił? Nie wiem. Nigdy nie przestanę się nad tym zastanawiać. On tylko... popatrzył na mnie. Nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu, paraliżował mnie strach. Po dłużącej się w nieskończoność chwili jaguar sobie poszedł. Po prostu zniknął w dżungli, nie zadał sobie nawet trudu, żeby pożreć swoje ofiary albo przynajmniej zabrać je ze sobą. Jak zjawa, jak wysłuchana modlitwa, ocalił mi życie i zapadł się pod ziemię. Czasem nawet ogarniają mnie wątpliwości, czy to zdarzyło się naprawdę. Przedziwna historia... – Milczał, jakby sam sobie odpowiadał na jakieś pytania.

– Co się stało potem?

– Rzuciłem się do ucieczki, bez żadnego określonego celu, gonił mnie mój własny strach. Zgubiłem się. Błądziłem po dżungli dwa dni, szukając wyjścia. Wielu rzeczy nie pamiętam, bo chorowałem. Potem znalazł mnie jakiś człowiek. Bredziłem w gorączce, byłem odwodniony. To był zbieracz kauczuku, mieszkał w wiosce o nazwie Salvador, czyli Zbawiciel... Nomen omen. W wiosce nie mieszkało wiele więcej osób poza rodziną tego zbieracza i księdzem, misjonarzem, który, kiedy przybyłem na miejsce, zapadł na malarię. Umarł, kiedy ja dochodziłem do siebie.

– Życie za życie – powiedziałem, nie mogąc się powstrzymać.

– Tak się wydaje. Ale moje problemy wcale się nie skończyły. Pewnego dnia ludzie z kartelu zjawili się we wsi, żeby zebrać haracz, jak to robią na wszystkich terytoriach

będących pod ich kontrolą. Moja obecność od razu zwróciła ich uwagę, bo byłem jedynym Europejczykiem. Zapytali zbieracza kauczuku, kim jestem, i ten mężczyzna, ten wspaniały, dobry człowiek skłamał, żeby ocalić mi życie: powiedział, że jestem misjonarzem, że przyjechałem właśnie z La Victorii, żeby zastąpić poprzedniego, który zmarł na malarię. Jego rodzina to potwierdziła.

Ludzie z kartelu zostali w wiosce jeszcze parę dni i przez ten czas musiałem udawać księdza. Dowiedziałem się, że kartel nadal mnie szuka i że za moją głowę wyznaczono cenę. Kiedy *narcos* odeszli, zostałem jeszcze przez jakiś czas, bo się bałem, że kartel mnie znajdzie. Mijały dni, miesiące... Czuję się coraz mocniej związany z tymi dobrymi ludźmi, z początku wszyscy nazywali mnie Saulem, potem księdzem Saulem albo po prostu ojczulkiem. Przywłaszczyłem sobie tożsamość zmarłego misjonarza i powoli przyzwyczaiałem się do tej sytuacji. Często powtarzałem sobie: zostaną jeszcze kilka dni... najwyżej tydzień, w końcu ludzie z kartelu przestaną mnie szukać... Ale czas mijał, a ja wciąż byłem w wiosce, z daleka od groźnych *narcos*.

– Jak długo tam zostałeś?

– Prawie dwa lata – odrzekł. – Nie powinienem był tak zabawić, ale wydarzyło się coś, co zmieniło moje plany.

– Co takiego?

– Walkatekowie opowiedzieli mi o zagubionym mieście w dżungli. Ja od jakiegoś czasu miałem powody, żeby przypuszczać, że to właśnie tutaj ukryto Stół Salomona, więc postanowiłem wypełnić tę ostatnią misję. Dzięki mieszkańcom Salvadoru odkryłem, że te legendy miały realną podstawę, więc postanowiłem szukać. Dowiedziałem się o Walkatekach tyle, ile ci ludzie mogli mnie nauczyć, ale w końcu ich wiedza się wyczerpała. Potem, pragnąc dowiedzieć się więcej, postanowiłem opuścić Salvador. Zaczęłem jeździć po kraju, szukając informacji o Walkatekach i ich zaginionym mieście, przedstawiając się jako Saúl, misjonarz. Przekonałem się, że otwiera mi to wiele drzwi we wsiach i osadach, a poza tym uwalnia mnie od podejrzeń kartelu. Im więcej rzeczy odkrywałem, tym więcej pragnąłem wiedzieć, byłem pewien, że w końcu zdołam sam poznać położenie miasta. Zaczęłem studiować spuściznę Walkateków z innymi duchownymi z diecezji La Victoria, którzy bez cienia podejrzliwości zaakceptowali moją fałszywą tożsamość... W tym kraju jest tylu misjonarzy, że biskup bardzo rzadko pyta o ich pochodzenie, ogranicza się do zaakceptowania ich obecności. Czas płynął nieubłaganie. Za rokiem mijał rok, a potem kolejny. Moje poszukiwania zaabsorbowały mnie do tego stopnia, że nie było już Pioruna, lecz ksiądz Saúl.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas ani razu nie przyszło ci do głowy, żeby wrócić? Odzyskać swoje dawne życie?

– Było to życie Poszukiwacza – powiedział po prostu. – Robiłem z grubsza to samo, tyle że nazywałem się inaczej. Różnica nie była znów tak wielka.

Mogłem zrozumieć to wyjaśnienie. Był człowiekiem bez korzeni, dla którego życie ograniczało się do poszukiwań, nieważne gdzie i jak, ważne było, żeby je prowadzić.

Rozumiałem go, bo w tej kwestii bardzo go przypominałem.

– No tak – skonstatowałem. – Nie miałeś niczego, do czego chciałbyś wracać.

Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak wyrzut. Nie miałem zamiaru robić wyrzutów

człowiekowi, który do niedawna niewiele dla mnie znaczył. Nie ponosił winy za moje fałszywe nadzieje.

Znów zapadło długie milczenie, potem on uśmiechnął się nieśmiało.

– Byłem taki głupi, Tirso – powiedział. – Pamiętam, jak zabierałem cię do muzeów. Byłeś dla mnie najdziwniejszą rzeczą na świecie... jakby ktoś nagle włożył mi do rąk maszynę pełną dźwigni i guzików i powiedział: „No dobra, zrób coś, żeby działała”. Nie miałem pojęcia, co z tobą począć... Nie mam podejścia do dzieci. Nie potrafię myśleć jak dziecko, nie wiem, jak mówić do dzieci, nie wiem, co lubią, a co je nudzi... Tylko w muzeach czułem się trochę bardziej pewny siebie, jakbym grał mecz na własnym boisku, rozumiesz? – Wzruszyłem ramionami, bo nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. – Nie wiedziałem, o czym z tobą rozmawiać, i nie przyszło mi do głowy nic lepszego niż to, żeby opowiedzieć ci o Stole. Sam się nim pasjonowałem, więc pomyślałem, czemu nie spróbować?

– Pamiętam to...

– Tak, uwielbiałeś tę historię. Słuchałeś jej jak urzeczony.

– Opowiadałeś ją bardzo zajmująco.

– Dziękuję. Przyznaję, że jestem niezłym gawędziarzem. – Uśmiechnął się i powiedział po raz drugi: – Mój Boże, byłem taki głupi. Młody, z głową pełną absurdalnych pomysłów... Widząc, jak wsłuchujesz się w moje opowieści, pomyślałem, że... Nie wiem, może... że będziemy poszukiwać razem... Kiedy dorośniesz. Zacząłem marzyć, żebyś i ty został Poszukiwaczem, bardzo tego pragnąłem, dlatego chciałem się tobą zająć.

– To nie ma sensu. Hełm mówił, że chciałeś porzucić Korpus.

– No tak, taki był plan... Poświęcić kilka lat na twoje wychowanie, a potem, kiedy będziesz dorosły, wrócić do Korpusu, we dwóch. Narváez zapewniał, że przyjmie mnie z powrotem, kiedy tylko będę chciał, a ja zamierzałem to zrobić, ale z tobą. Byłem pewien, że Staruszek mi nie odmówi. Nigdy niczego mi nie odmawiał. Byłem jego ulubieńcem. – Mówiąc to, puścił do mnie oko, jakby śmiał się z samego siebie. – Wyobrażasz sobie, co za idiotyczny pomysł? A ja święcie w niego wierzyłem. Chyba możesz sobie wyobrazić, jakim człowiekiem wtedy byłem. Pod wieloma względami kompletnie niedojrzałym.

– I to się zmieniło?

– Powiedzmy, że teraz już wiem, że syn to ktoś o wiele więcej niż przyszły towarzysz przygód. Moje doświadczenia tutaj, w Valcabado, uświadomiły mi, że masz prawo do normalnego życia, a tego nie potrafię ci zapewnić, choćbym nie wiem jak bardzo się starał. Nie umiem robić nic innego poza tym, co robiłem zawsze.

– Rozumiem – rzuciłem, nawet się nie starając, żeby mój ton nie zabrzmiał sarkastycznie. – Pomyślałeś, że tak będzie dla mnie lepiej.

– Nie chciałem, żebyś kiedykolwiek doświadczył, jak się czuje człowiek, kiedy *narco* mierzy mu w głowę z pistoletu – odparł, nie dając zbić się z tropu. – Bałem się, strasznie się bałem. Nie potrafię ci opisać jak bardzo... Przez cały czas mojego pobytu w Salvadorze nie miałem odwagi wyściubić nosa z pokoju. Przez pierwszych parę lat nie potrafiłem zrobić kilku kroków bez oglądania się za siebie. W tym kraju wyrok śmierci

wydany przez kartel to poważna sprawa. Kiedy w końcu miałem środki i odwagę, żeby wrócić, ty nie byłeś już dzieckiem i chociaż bardzo się starałem, nie widziałem sposobu, jak wytłumaczyć tobie, twojej matce, całemu światu, że wcale nie zginąłem, i przekonać ją, żeby pozwoliła mi się tobą zająć. Potem zacząłem bać się czegoś innego: a jeśli ty nie będziesz chciał mnie znać? W gruncie rzeczy byłem dla ciebie kimś obcym, spędziliśmy razem zaledwie kilka godzin w muzeach. Plany, które miałem względem ciebie, wydały mi się nagle bezsensowne i żałosne. Tu miałem swoje poszukiwania, tam nie miałem właściwie nic, postanowiłem więc nie wracać. – Zamyślił się na kilka sekund. – A teraz okazało się, że poszedłeś w moje ślady i razem szukamy Stołu. Zawsze tego pragnąłem, ale czuję się tak, jakby ktoś zrobił mi najmniej zabawny kawał świata.

Nagle obaj poczuliśmy się niezręcznie, jak dwaj aktorzy, których ktoś zmusił, żeby zagraли w melodramacie, i wypchnął na scenę, zanim nauczyli się roli.

– Nie bardzo wiem, co powinniśmy teraz zrobić – dodał. – Powinniśmy paść sobie w ramiona i płakać, że znów się spotkaliśmy? Nadrobić czas, który straciliśmy w naszej relacji?

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Nie byłem wcale pewien, czy powrót ojca spośród umarłych budzi we mnie poczucie niespotykanego szczęścia, czy tylko wprawia w osłupienie. Nie byłem na coś takiego przygotowany. Każda reakcja, która przychodziła mi do głowy, wydawała mi się śmieszna: od rzucenia mu w twarz pretensji, po wybaczenie mu i okazanie synowskiej miłości. Nie wiedziałem nawet, co mu wyrzucać ani co wybaczając.

Kiedy powiedział, że byłem dla niego jak urządzenie bez instrukcji obsługi, to zdanie wydało mi się bardzo trafione, to samo wrażenie miałem w tej chwili z nim.

– Na razie skoncentrujmy się na misji – zaproponowałem. – To coś, co nam obu świetnie wychodzi.

Byłem wyczerpany fizycznie i emocjonalnie. Myśl o tym, że wejść do swojego śpiwora, zamknę oczy i przez kilka godzin nie będę musiał nad niczym się zastanawiać, wydała mi się niezwykle kusząca.

Wstałem i ruszyłem w stronę namiotu.

– Tirso...

– Tak?

– Cieszę się, że cię znalazłem.

Chociaż były to miłe słowa, uznałem, że to o wiele za mało.

– To ja cię znalazłem – odparłem. – Ty zawsze wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

Wszedłem do namiotu i zostawiłem ojca samego w ciemnościach.

Uznałem, że na razie będzie o wiele lepiej, jeśli Piorun pozostanie dla moich towarzyszy Saulem. Bałem się, że gdyby odkryli nasze więzy i pokrewieństwo, atmosfera tej wyprawy, sama w sobie i tak dość dziwna, popsułaby się do końca. Mój ojciec także zachowywał prawdę dla siebie, chociaż wcale go o to nie prosiłem, ale byłem mu bardzo wdzięczny.

Ruszyliśmy w drogę, jak tylko zrobiło się jasno. Jak pierwszego dnia prowadził nas Rico i jego walkatecka pieśń. Po dniu marszu mieliśmy już wprawę w przedzieraniu się

przez gąszcz i szliśmy szybciej, w dodatku krajobraz często się zmieniał i gęste zarośla raz po raz ustępowały miejsca polankom, dzięki czemu droga okazała się łatwiejsza.

Wykorzystałem pierwszą nadarżającą się okazję, żeby porozmawiać z Enigmą. Chciałem ją poprosić, żeby nie mówiła nikomu o rozmowie, którą słyszała poprzedniej nocy. Ona też była zdania, że to najrozsądniejsze wyjście.

Zapytała, jak się czuję.

– Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Z jednej strony cieszę się, że on żyje. Bardzo się cieszę... Z drugiej czuję się zawiedziony, że przez cały ten czas ani razu się ze mną nie skontaktował... Chyba rozumiem, dlaczego tak się stało, a jednak... – Westchnąłem.
– To skomplikowane. Jak uważasz, co powinienem zrobić?

Spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Słońce, uważam, że wiem sporo o ludzkiej psychice, ale to zdecydowanie mnie przerasta. Mogłabym ci tylko powiedzieć, co czytałam u Tołstoja i V.C. Andrews, przykro mi. – Zamyśliła się na chwilę, podczas gdy ja ścinałem maczetą blokujący nam przejście korzeń. – To zabawne. Teraz powiedzenie: „nie zarzekaj się, że nigdy nie napijesz się tej wody, a ten ksiądz nie jest moim ojcem” nabrało dla mnie zupełnie nowego znaczenia.

– Tak naprawdę nie jest księdzem – powiedziałem, wycierając mokrą od soku maczetę w spodnie.

– Szkoda, bo wtedy sytuacja byłaby lepsza niż dramat Jacinta Benaventego. Opowiedział ci, jak udało mu się uciec przed mordercami z kartelu?

Streściłem jej to, co wczoraj usłyszałem od ojca.

– Jaki ojciec, taki syn – stwierdziła. – Obaj macie niebywałe szczęście do wychodzenia cało z najgorszych oparów. Prawdę mówiąc, jak się teraz nad tym zastanawiam, widzę, że jesteście do siebie całkiem podobni. W sposobie mówienia, sarkastycznym humorze, gestach. Aż sama się sobie dziwię, że nie zauważyłam tego wcześniej.

– Tym razem kinezyka zawiodła? – zażartowałem.

– Słońce, to był cios poniżej pasa – powiedziała, odgarniając liany. – A teraz, mówiąc poważnie, jeśli chcesz znać moje zdanie, on mi się podoba. Jest odważny, sympatyczny... i atrakcyjny.

– Atrakcyjny? – zapytałem z niedowierzaniem, krzywiąc się okropnie. – Mój Boże, mógłby być twoim ojcem.

– Wiem, ale okazało się, że to twój ojciec. To czyni go tylko jeszcze bardziej pociągającym.

– Zabrzmiało perwersyjnie. I obrzydliwie.

– Może, ale skoro syn nie potrafi się zdecydować, chyba będę zmuszona przeskoczyć o pokolenie w tył.

– Proszę, daj mi trochę czasu. Na pewno rozumiesz, że jestem trochę rozbity emocjonalnie, i to na wielu frontach.

– Ale nie widzę, żebyś robił cokolwiek, żeby rozwiązać sprawy na którymkolwiek z tych frontów. Nie żebym się tym bardzo przejmowała, Faro, to nie w moim stylu czekać, aż facet podejmie decyzję, ale myślałam, że po spotkaniu z Danny trochę rozjaśni ci się

w głowie – powiedziała, a w jej głosie wyczułem żal. – Tak przynajmniej obiecywałeś.

– Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi o tym w tej chwili.

– Prawdę mówiąc, sama nie bardzo to rozumiem... Może dlatego, że spacerując po dżungli, człowiek nie ma nic lepszego do roboty, niż rozmyślać nad niektórymi sprawami. Na przykład nad tym, czy warto na ciebie czekać. I jak długo. – Zamilkła na chwilę, jakby chciała dokładnie przemyśleć to, co zamierzała powiedzieć. – Podobasz mi się, Faro, myślę, że to oczywiste, ale nie do tego stopnia, żeby narażać na szwank moją miłość własną i walczyć o twoje uczucia z kimś innym.

– Absolutnie na to nie liczyłem.

– Może ty nie, ale tak się czuję, odkąd zjawiała się Danny, i wcale mi się to nie podoba. – Enigma zmarszczyła brwi. – Nie, zupełnie mi się to nie podoba.

– Co mogę zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

– Nie wiem, Faro. Nie chodzi tylko o naszą sytuację, która oczywiście jest bardzo irytująca. Odkąd pojawiła się Danny, mam złe przeczucia. To dziwne, bardzo dziwne...

Nie wiedziałem, o co jej chodzi, i poprosiłem, żeby mi to wyjaśniła, ale w tej chwili podszedł do nas Bańka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, bo zostaliśmy bardzo z tyłu. Trochę nas za to obsztorcował, a potem oświadczył, że Rico ma zamiar zatrzymać się na obiad.

Kolejny etap okazał się trudniejszy. Przedzieraliśmy się przez duszny gąszcz, który zdawał się nie mieć końca, otoczeni chmurami dokuczliwych owadów, uporczywie obsiadających nasze usta, nosy i gałki oczne. Rico nazywał je „słodkimi muszkami”. Wyjaśnił nam, że składają jaja na błonach śluzowych. Nie były niebezpieczne, ale bardzo irytujące, a możliwość, że nasze oczy miałyby się stać siedliskiem ich larw, nie wydawała nam się zbyt pociągająca.

Szybko znudziło nam się mlócenie rękami w powietrzu i uderzanie się we własne nosy i czoła, więc włożyliśmy ciemne okulary i przysłoniliśmy twarze chustkami – był to jedyny sposób, żeby słodkie muszki zostawiły nas w pokoju. Wyglądaliśmy jak komando terrorystów.

Po południu Rico i Bańka zapolowali na tapira. To brzydkie zwierzę przypominające świnie, czarnego koloru i z wydłużonym pyskiem w kształcie niewielkiej trąbki. Indianin postanowił, że to będzie nasza kolacja, co miało urozmaicić nasze menu składające się głównie z tuńczyka w puszcze i potraw w proszku.

Rico oskórował tapira, poćwiartował go, nadział kawałki mięsa na patyki i upiekł nad ogniem. Nie smakował źle, trochę jak dzik albo inna dziczyzna, pewnie mógłbym się nim delectować, gdybym nie słyszał, jak wrzeszczy, kiedy Bańka wbił mu maczetę w szyję.

Zapytałem Yokaiego, ile udało się nam przejść. Krokومتر wskazywał o wiele więcej kilometrów niż poprzedniego dnia. Chyba zaczęliśmy się przyzwyczajać do warunków panujących w dżungli.

Tej nocy spaliśmy spokojnie. Nie zdarzyło się nic godnego zapamiętania, prócz drobnego incydentu, kiedy to Enigma znalazła w swoim śpiworze zielonego węża drzewnego. Zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, a wąż zwiął z namiotu, prawdopodobnie jeszcze bardziej przerażony niż ona.

Im głębiej zapuszczaliśmy się w dżunglę, tym dziwniejszą i groźniejszą faunę napotykaliliśmy. Istoty zamieszkujące ten zielony świat wydawały się tworamami czyjejs bardzo bujnej wyobraźni. Mieszkały tu puchate gąsienice przypominające poruszające się samodzielnie kule waty cukrowej. Sita nazywała je „pluszowymi gąsienicami”, ale chociaż ich wygląd zachęcał do głaskania, podobnie jak wiele zwierząt w tej dżungli, były bardzo jadowite.

Mniej niebezpieczne, chociaż równie ciekawe okazały się modliszki – można było zobaczyć ich całkiem sporo, jeśli było się uważnym, bo do złudzenia przypominały liście, dzięki unerwionym chitynowym szmaragdowym pancerzykom. Z kolei gigantyczne stonogi przyciągały wzrok jaskrawymi kolorami: miały fioletowe ciało, czerwoną głowę i żółte odnóża. Mimo swych radosnych barw nie przedstawiały zbyt miłego widoku, bo były wielkie jak węże. Ta, którą zauważyłem, pożerała żabę, wcześniej sparaliżowaną jej jadem. Na wspomnienie tego obrazka do dziś odczuwam mdłości.

Niektóre zwierzęta wyglądały jak nie z tego świata: widziałem „szklane motyle” o przezroczystych, delikatnych skrzydłach, motyle monarchy o skrzydłach wielkich jak ramię dziecka, chrząszcze o barokowych rogach przypominające miniaturki wozów bojowych... Wszystkie te stworzenia wydawały się nam tak fascynujące, że na chwilę zapomnieliśmy, jak bardzo są groźne.

Przypomnieliśmy sobie o tym w najgorszy możliwy sposób. Trzeciego dnia naszej wędrówki, kiedy zbliżała się pora obiadu, Bańka nagle wydał okrzyk, który przeraził nas wszystkich. Został ukąszony przez „mrówkę kulę”, zwaną tak dlatego, że jej ugryzienie bolało jak rana postrzałowa. Miejscowi mówią na nią też „mrówka 24 godziny”, bo tyle trwa cierpienie jej ofiary.

Owad zdołał ukąsić Bańkę przez spodnie, trochę powyżej kolana. Rico działał szybko i skutecznie. Nie pozwolił Poszukiwaczowi dotykać rany, żeby nie rozprościć trucizny wstrzykniętej przez owada pod skórę, po czym sam wyjął żądło i posmarował ukąszenie różnymi preparatami z naszej apteczki oraz pastą z manioku, którą samodzielnie przyrządził.

Wielokrotnie widywałem Bańkę rannego na rozmaite sposoby: od bełtu z kuszy, ugryzionego przez krokodyla, ale nigdy nie skarżył się tak bardzo jak tym razem. Zobaczyłem nawet, jak w jego oczach pojawiają się łzy. Sam opisał później ten ból jako pulsujący, nie do wytrzymania, jakby ktoś wbił ci w kolano rozgrzaną do czerwoności igłę.

Nie udało się go uśmierzyć przez wiele godzin. Kolano Bańki spuchło i zaczął się z niego sączyć płyn. Musieliśmy zatrzymać się na cały dzień i poczekać, aż Poszukiwacz się wykuruje. Dzięki lekom antyhistaminowym, antybiotykowi i środkom przeciwbólowym z naszej apteczki mogliśmy trochę ulżyć mu w cierpieniu, mimo to Bańka przeszedł prawdziwe piekło, nim opuchlizna zeszała i ból ustąpił na tyle, że mógł ruszyć w dalszą drogę.

To, że najlepiej przygotowany fizycznie uczestnik naszej ekspedycji zmienił się w jęczącego z bólu i niezdolnego do najmniejszego ruchu pacjenta za sprawą dwucentymetrowego owada, stanowiło dla nas pierwsze ostrzeżenie, żebyśmy traktowali dżunglę poważnie. Niestety, nie miało to być ostrzeżenie ostatnie.

Po pięciu dniach marszu zacząłem wątpić, że kiedykolwiek dotrzemy do tego miasta. Może się zgubiliśmy, a Rico nie chciał się do tego przyznać, a może tak naprawdę wcale nie znał drogi. Zmęczenie podsuwało mi najbardziej paranoiczne podejrzenia.

I wtedy, pod koniec piątego dnia, wreszcie coś znaleźliśmy.

MYSZ

Ukazała nam się niespodziewanie, ukryta w krzakach. Tak dobrze schowana, że nie zauważylibyśmy jej, gdybyśmy przeszli kilka metrów dalej.

Struktura z kamienia, podobna do wartowni zbudowanej na planie koła i zarośnięta pnączami. Równie zdumiewająca była jej obecność w tym miejscu, jak materiał, z którego ją zbudowano. Zastanawialiśmy się, skąd wzięły się te kamienie.

Zafascynowani obeszliliśmy ją dookoła, szukając jakiegoś wejścia. Znaleźliśmy w murze otwór o takiej wysokości, że swobodnie mógł przejść przez niego człowiek. Na framudze dostrześliśmy wyryte walkateckie glify. Mój ojciec przetłumaczył nam inskrypcję.

– Szlak Myszy – przeczytał. – Tutaj zaczyna się drugi etap naszej wyprawy.

W jego głosie pobrzmiwały z trudem tłumione emocje. Jeśli mnie to odkrycie wydawało się niesamowite, to dla niego, który poświęcił całe lata na badania cywilizacji, która wzniosła tę budowlę, musiało to być odkrycie na miarę Kamienia z Rosetty.

Przyglądał się budowli z niemal dziecięcą radością.

– Spójrzcie na te kamienie, na to, jak je oszlifowano, prawie perfekcyjnie. Obrońców teorii determinizmu środowiskowego ten widok przyprawiłby o ból głowy. Budowla z kamienia! – Patrzył na nas błyszczącymi oczami. – W samym środku dżungli! Wyobrażacie sobie, co to może znaczyć?

Rico nie podzielał jego entuzjazmu. Zobaczyłem, jak przesądny Indianin zegna się nerwowo.

– To nie wróży niczego dobrego – powiedział. – Nie podoba mi się.

– Czy to konstrukcja walkatecka? – zapytała Danny. – Wydaje się bardzo prosta. Jak myślisz, Saulu, jaką funkcję pełniła?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Ale te glify nasuwają myśl o budowli o charakterze religijnym.

– Co tu jest napisane?

– „Tupano, Ojciec Wieczysty, ożyją Twoi umarli, zmartwychwstaną ich trupy”.

– Ładne – orzekła Enigma.

– „Obudzą się i krzykną z radości spoczywający w prochu” – dodał Bańka – „bo rosa Twoja jest rosą światłości, a ziemia wyda cienie zmarłych”¹.

– Co to? – zapytałem.

– To pełen cytat: „Ożyją Twoi umarli, zmartwychwstaną ich trupy. Obudzą się i krzykną z radości spoczywający w prochu”... i tak dalej. Z Księgi Izajasza.

Rico znów się przeżegnał, coraz bardziej wystraszony.

– Coś mi się zdaje, że teoria, według której Teobaldo i jego mnisi schryścianizowali Walkateków, staje się coraz bardziej niepodważalna – zauważyłem. – Wejdźmy tam.

Przeszliśmy wszyscy przez otwór w murze i znaleźliśmy się w pomieszczeniu

przypominającym obszerny salon. Wysoki dach był całkowicie zasłonięty korzeniami. Zarośla wdarły się do środka przez prostokątne otwory pod sufitem i objęły w posiadanie całe wnętrze. Kiedy weszliśmy, wyfrunęło stamtąd kilka przestraszonych ptaków.

Danny podeszła do ściany, przy której piętrzyły się gliniane naczynia. Było ich ze dwadzieścia, może nawet więcej, wszystkie okrągłe, brzuchate i przykryte kawałkiem skóry przewiązanym sznurkiem.

Zauważyłem, że każde naczynie ozdabiał ten sam glif. Mój ojciec wyjaśnił nam, że to symbol Tupany, Wieczystego Ojca.

– Co może być w środku? – zastanawiała się Danny. – Może słynne złoto Walkateków? – Nie czekając na naszą odpowiedź, zdjęła skórzaną pokrywę jednego z naczyń i zajrzała do środka. Zrobiła zdziwioną minę i krzyknęła: – O mój Boże! To największa tarantula, jaką widziałam w życiu! Zobaczcie! – Yokai zaklął i rzucił się do ucieczki. Danny wybuchnęła śmiechem. – Spokojnie, młody, tylko żartowałam... Wracaj!

Westchnąłem, starając się znaleźć w sobie głęboko ukryte pokłady cierpliwości.

– Bądź łaskawa nie nabijać się z dzieciaka, dobrze? To nie fair.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. – Pokazała mi zawartość naczynia.

– Nie ma żadnych pajaków, jest za to miód.

Miód?

– Na to wygląda. – Włożyła palec do środka, wyjęła z naczynia trochę gęstej, żółtawej substancji i polizała. – I to bardzo smaczny. Dziś po kolacji będzie deser, super, prawda?

– Zaczekaj. – Wyjąłem jej garnek z rąk i cisnąłem o ziemię. Tak jak się obawiałem, kiedy rozprysnął się na kawałki, ujawnił przerażającą zawartość: zmumifikowaną, zanurzoną w miodzie ludzką głowę.

Danny z trudem opanowała mdłości.

– Cholera! – krzyknęła. – Ja tego spróbowałam!

– Należało ci się za robienie głupich kawałów – powiedziałem, przedrzeźniając jej krzywy uśmieszek. Podałem jej bidon, żeby mogła przepłukać usta.

– Ale z ciebie kanalia, powinieneś mnie ostrzec. A w ogóle skąd wiedziałeś?

– Raczej podejrzewałem. W Jaskiniach Heraklesa znalazłem podobne naczynia w tym samym miejscu, gdzie był mezogocki manuskrypt. I też były w nich głowy zabalsamowane w miodzie.

Podeszli do nas Bańka i mój ojciec. Bańka przyglądał się czaszce pokrytej lepкими kosmykami.

– Po co, do diabła, wkładali te głowy do miodu? – zastanawiał się. – Co chcieli osiągnąć? Żeby lepiej smakowały?

– To dość typowa dla Walkateków praktyka pogrzebowa – wyjaśnił Piorun. – Myśleli, że dusza ludzka znajduje się w głowie, dlatego zachowywali tę część ciała zmarłego. Balsamowanie w miodzie było powszechne w wielu starożytnych kulturach, robili to na przykład Egipcjanie.

– Wszystko wskazuje na to, że znaleźliśmy coś w rodzaju nekropolii – powiedziałem. – Sami zobaczcie, jest tu mnóstwo naczyń, podejrzewam, że w każdym

kryje się głowa... Przykro mi, Danny, chyba jednak nie będzie dziś deseru.

Enigma zawołała nas z innego krańca pomieszczenia.

– Chodźcie zobaczyć, co znalazłam. Jest tu taki jeden, którego zapomnieli obtoczyć w miodzie.

Poszukiwaczka pokazała nam szkielet, a raczej jego pozostałości spoczywające w kącie na posłaniu z liści. Całe szczęście, że Yokai tego nie widział, bo tym razem naprawdę były tam pająki, kilka o czerwonych odwłokach i odnóżach cienkich jak szpileczki, które czym prędzej schowały się w oczodołach szkieletu, gdy Enigma poświeciła nań latarką.

Nie były to szczątki dawnego Walkateka. Miał na sobie strzępy ubrań bardzo przypominających nasze stroje eksploratorów, na nogach parę poczerniałych butów firmy Panama, a z pozbawionego skóry nadgarstka zwisał pasek od zegarka.

Obok trupa leżała przegniła torba. Mój ojciec podniósł ją i zbadał jej zawartość. Znalazł paszport i niewielki plik dolarów. Był to paszport brytyjski.

– O mój Boże! – powiedział Piorun, otwierając dokument na pierwszej stronie.
– To Christopher Harding.

Przez chwilę przyglądaliśmy się szczątkom w milczeniu. Osobiście uznałem je za makabryczną przestrożę.

– Biedaczysko – mruknął Bańka. – Okazuje się, że nie zaszedł daleko.

– A może dalej, niż sam się spodziewał – odrzekł mój ojciec, rzucając paszport obok szkieletu. – Wyjdźmy stąd, chyba nie znajdziemy tu niczego ciekawego. Same trupy.

Opuściliśmy ten szczególny cmentarz w milczeniu. Na zewnątrz odkryliśmy, że zaczęło się ściemniać, postanowiliśmy więc rozbić obóz i spędzić tu noc.

Podczas kolacji panowała przedziwna atmosfera. To, że znajdowaliśmy się na dobrej drodze, podniosło nas na duchu po ostatnich wyczerpujących dniach. Jedyńm, któremu nie udzielił się nasz optymizm, był Rico. Indianin ciągle milczał i był w ponurym nastroju. W ogóle nie spodobał mu się pomysł obozowania w pobliżu walkateckich ruin.

Jadłospis stanowiła tradycyjna kombinacja jajek w proszku i konserw. Tego wieczoru jedzenie wydało mi się szczególnie mdłe, a po kolacji nadal byłem głodny. Zateśniłem za tapirem, którego Rico przyrzędził kilka dni temu. Żeby oszukać głód, zacząłem przeglądać w swoim telefonie zdjęcia, które zrobiłem na cmentarzu. Pomyślałem, że może walkatecka budowla kryje w sobie jakąś wskazówkę.

– Cześć, Faro – usłyszałem za plecami. – Mogę się przysiąść?

To był mój ojciec.

Nie rozmawialiśmy w cztery oczy od tej nocy, kiedy przyznał, że nie jest żadnym księdzem ani nie nazywa się Saúl. Przyznaję, że go unikałem, nie bardzo wiedziałem bowiem, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Nadal budziła we mnie ambiwalentne uczucia.

Usiadł obok. Po tych kilku dniach przeprawy przez dżunglę wyglądał znacznie gorzej, podobnie jak my wszyscy. Schudł kilka kilogramów i sprawiał wrażenie starszego, głównie z powodu brody, która bardzo urosła, tworzyły ją teraz sztywne siwe pasma.

Chociaż nie był księdzem, w tym momencie mógłby bez charakteryzacji zagrać biblijnego patriarchę.

– Chciałem ci podziękować – powiedział.

– Za co?

– Bez ciebie nie zaszedłbym tak daleko. Od lat zajmuję się tą sprawą. I mimo trudności czuję, że odmłodniałem.

– Cieszę się – odpowiedziałem lakonicznie. I w milczeniu dalej oglądałem zdjęcia.

– Faro. Więc tak brzmi twój pseudonim Poszukiwacza. Podoba mi się. To Staruszek go wymyślił?

– Nie, Bańka. Narváez zginął, zanim zdążył mnie ochrzcić.

– Ach tak... Enigma mi opowiadała. Było mi naprawdę przykro. Bardzo go szanowałem, był wspaniałym człowiekiem, może najwspanialszym, jakiego w życiu poznałem.

Wiedziałem, że Enigma opowiada mu, co działo się z Korpusem w ciągu lat jego nieobecności. Muszę przyznać, że ich zażyłe stosunki coraz bardziej mnie irytowały.

– Tak. To znaczy tak słyszałem. Nie miałem okazji zbyt dobrze go poznać.

– Szkoda... Jestem pewien, że bardzo by cię polubił, zawsze cenił Poszukiwaczy utalentowanych, którym nie brakuje wyobraźni. Takich jak ty. – Ten słabo zakamuflowany wysiłek, żeby zbliżyć się do mnie za pomocą pochlebstw, przestał mi się podobać. Próba nawiązania relacji wydawała mi się spóźniona o całe długie lata. – Może opowiesz mi, jak to się stało, że zostałeś Poszukiwaczem? Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

Westchnąłem ciężko.

– Słuchaj... Wiem, co próbujesz zrobić. Nie żebym miał coś przeciwko, nawet doceniam starania, ale w tej chwili nie jestem w nastroju.

– Tak... Oczywiście... Rozumiem. Powinniśmy dać sobie trochę więcej czasu, o to chodzi, prawda?

– Mniej więcej – odpowiedziałem szorstko.

– Jak chcesz. Ty narzucasz tempo, synu – ustąpił. Niechętnie podniósł się z ziemi.

– Ach, byłbym zapomniał. Łap!

I rzucił mi coś, co wyjął z kieszeni. Batonik z karmelem i migdałami. Na sam jego widok pociekła mi ślinka, po pięciu dniach odżywiania się produktami w proszku i w puszkach był to niesamowity luksus.

– Skąd go wytrzasnąłeś? – zapytałem zdziwiony.

Puścił do mnie oko.

– Stary wyga wie, gdzie schować zapasy na czarną godzinę.

Rozdarłem opakowanie i rzuciłem się na batonik. Pożarłem go, mlaskając, a smak wydał mi się tak cudowny, że z rozkoszy przymknąłem oczy.

Piorun się uśmiechnął.

– Co w tym zabawnego? – rzuciłem.

– Nic... Pomyślałem tylko, że od ostatniego razu, kiedy poczęstowałem cię takim batonikiem, upłynęło ze dwadzieścia lat. Bardzo je lubiłeś.

– Wszystkie dzieci lubią słodkie.

– To prawda. – Przez chwilę milczał. – Wiesz, Tirso? Byłeś bardzo niekłopotliwym dzieckiem... Jak już ci mówiłem, opieka nad dziećmi nie należy do moich specjalności. Nie żebym ich nie lubił, po prostu nie umiem się z nimi obchodzić. To sprawiało, że nigdy nie czułem się dobrze w ich towarzystwie, ale z tobą było inaczej. Prowadziłem cię za rękę po tych muzeach i nigdy, przenigdy nie protestowałaś ani nie powiedziałaś mi, że się nudzisz.

Smak czekolady poprawił mi nieco humor, odważyłem się więc powiedzieć coś miłego:

– Bo się nie nudziłem. W sumie... lubiłem te wizyty w muzeach.

– Dziękuję, synu. Prawdę mówiąc, ja też. – Włożył ręce do kieszeni i zapatrzył się w niebo. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo tęskniłem za tym chłopcem każdego dnia, który tu spędziłem.

– Nie na tyle, żeby do niego wrócić.

– Bałem się, że ten chłopiec zmienił się w nastolatka, który mnie nienawidzi.

– Nigdy cię nie nienawidziłem. Jeśli mam być szczerzy, do niedawna myślałem o tobie zupełnie obojętnie.

– Do niedawna? I co się zmieniło?

– Uwierzyłem, że mimo wszystko coś dla ciebie znaczyłem.

– Nie, nie coś – powiedział tonem niezdradzającym emocji. – Byłeś dla mnie wszystkim.

Słuchanie podobnych deklaracji w najmniejszym stopniu nie pomagało mi w uporządkowaniu własnych uczuć... Poza tym cukier rozplwający się właśnie w moich żyłach sprawił, że stałem się drażliwy.

– Jeśli to prawda, dlaczego, do cholery, nie wróciłeś? – odparowałem, starając się nie pokazywać, jak bardzo jestem zły. – Tak, tak, wiem, twoje poszukiwania. Były bardzo ważne. Wiesz, mogę to zrozumieć i chyba masz wielkie szczęście, bo jestem jedną z niewielu osób na tym świecie, która potrafi pojąć, jak ważne może stać się dla kogoś poszukiwanie. Do tego stopnia, że wszystko inne przestaje się liczyć. Ale...

– Przerwałem, bo nie chciałem dać ujścia lawinie uczuć, jaka się przeze mnie przetaczała. – Ja chciałem mieć ojca.

Piorun spojrzał na mnie strasznie smutnym wzrokiem.

– Bardzo mi przykro, Tirso.

– Wszystko jedno, i tak nie da się już tego zmienić.

– Będzie ci lepiej, jeśli powiem, że teraz możesz mieć tego ojca, o którym marzyłeś? Chociaż wiem, że jest o wiele za późno.

– Nie, tak naprawdę to nie, nawet czuję się zażenowany, słuchając takiej deklaracji. To zdanie z kiczowatej powieści w odcinkach.

– Przepraszam. Chciałem ci powiedzieć coś miłego... Ale, cholera, nie jestem zbyt dobry w te klocki. Nigdy nie znosiłem melodramatów ani łzawych scen.

Ciekawe, zawsze myślałem, że tę cechę odziedziczyłem po matce, a okazało się, że byłem obciążony genetycznie z obu stron. Tworzyliśmy niezłą rodzinę.

– Dobrze, następnym razem, zamiast silić się na czułośćkowość, spróbuj raczej z czekoladą. W tej chwili to coś, za co jestem najbardziej wdzięczny.

Wyjął z kieszeni kolejny batonik.

– Cieszę się, że to mówisz, bo mam jeszcze trochę słodczy.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Daj mi to. Czy masz w swoim ekwipunku coś poza batonikami?

– Tak, pierśiówkę z dzinem, ale wyłącznie do własnego użytku.

Uśmiechnąłem się znowu. Musiałem przyznać, że ojciec miał przynajmniej poczucie humoru. I, jak twierdziła Enigma, był odważny i atrakcyjny. Doświadczony Poszukiwacz, posługujący się rewolwerem niczym kowboj, władający starożytnymi językami i potrafiący w niezrównany sposób opowiadać historie. A do tego miał w kieszeniach batoniki, żeby osłodzić trudne momenty.

Naprawdę musiałem przyznać, że to całkiem niezły ojciec.

Czemu nie potrafiłem przestać się zamartwiać starymi błędami, których nie dało się naprawić, i po prostu cieszyć się tym, że w końcu go odnalazłem? Niestety sprawa nie była taka prosta. Przynajmniej tak mi się wydawało w tej chwili. Wciąż nie potrafiłem uporządkować swoich emocji.

Podczas gdy pochłaniałem drugą porcję cukrów prostych, która zrobiła mi jeszcze lepiej niż pierwsza, coś poruszyło się w krzakach za moimi plecami. Piorun i ja zastygliśmy w bezruchu, oczekując jakiejś dzikiej bestii, ale był to tylko Yokai.

Kiedy nas zobaczył, z maczetami w pogotowiu, podniósł ręce.

– Ej, spokojnie, to tylko ja.

– Co robiłeś w tych krzaczorach? – zapytałem.

– Poszedłem się odlać. Podobno nie powinniśmy tego robić zbyt blisko obozu.

– Ach, tak, rozumiem. – Ojciec wskazał na jego rozporek. – Zapomniałeś zamknąć drzwi.

– Ups. – Chłopak zapiął suwak. – Dzięki za ostrzeżenie, biedny Faro boi się wielkich węży – powiedział, dając popis swojego wysublimowanego poczucia humoru. – Ej! Czy ja widzę czekoladę?

Podaliśmy mu resztę batonika, którą w całości wpakował do ust. Gryzł jak koń przeżuwiający jabłko.

– Sprawdziłeś, czy router działa? – Zdążyłem się zorientować, że lubi, kiedy zadaję mu to pytanie co wieczór, czuł się wtedy potrzebny.

Powiedział, że właśnie zamierzał się upewnić.

Usiadł obok nas i wyjął z plecaka sprzęt. Wszystkie jego elementy nadal były zapakowane hermetycznie. Yokai położył router na kolanach i go włączył.

– O nie, to dziwne... – mruknął, marszcząc czoło. – Bateria nie powinna się tak bardzo rozładować od wczoraj.

– No ale przecież włączasz to i wyłączasz co wieczór, od pięciu dni – zauważył Piorun.

– Nie, nie, włączam go tylko na kilka sekund, żeby się upewnić, że działa. Ale wskaźnik baterii pokazuje o jedną trzecią mniej, sam zobacz. To za dużo.

– Może wczoraj zapomniałeś go wyłączyć? – zapytałem.

– Niemożliwe, bardzo na to uważam, poza tym gdybym naprawdę zapomniał, urządzenie w ogóle by padło. Podobno ma baterię na pięć godzin, a minęła doba, odkąd

włączyłem je po raz ostatni. – Yokai obejrzał resztę aparatury. – Kurwa, ktoś go używał.

– Jesteś pewien?

– Tak. Spójrz na ten kabel, ktoś wrzucił go do torebki byle jak, a pamiętam, że wczoraj zwinąłem go i spiąłem gumką. Mówię ci, ktoś go używał, i musiało to być wczoraj w nocy, kiedy spałem. To jedyny moment, kiedy nie mam tego ustrojstwa przy sobie.

– Gdzie je zostawiłeś, kiedy szedłeś spać? – zapytał ojciec.

– Jak zwykle w twoim namiocie.

Piorun dzielił namiot z Rikiem. Spali tylko we dwóch, więc cała reszta ekspedycji składała w nim wspólny ekwipunek, taki jak apteczka, przybory kuchenne i urządzenie łączności satelitarnej.

– Ktoś wchodził, żeby wziąć router? – zapytałem ojca.

– Nie jestem pewien. Zawsze ktoś wchodzi do namiotu w poszukiwaniu apteczki, po plastry, maść na ukąszenia i tak dalej. Czasem kiedy śpimy. Nawet tego nie zauważam.

Mówił prawdę. Dwa dni temu sam zajrzałem tam w środku nocy po środek na ból pleców, który nie pozwalał mi spać. Ani Piorun, ani Rico się nie obudzili.

Wszystko wydało mi się bardzo dziwne. Przecież wiedzieliśmy, że urządzenie ma nam służyć tylko w nagłych wypadkach. Poszliśmy do obozu, gdzie reszta grupy przygotowywała się do noclegu, i zapytaliśmy, czy ktoś korzystał z routera. Nikt nie przyznał się, że użył go wczoraj w nocy lub kiedy indziej.

Nie rozumiałem, dlaczego ktoś miałby ukradkiem używać aparatury, więc uznałem, że Yokai musiał to sobie wymyślić. Postanowiłem nie przywiązywać wagi do tego wydarzenia.

Okazało się, że popełniłem gruby błąd, którego przyszło mi gorzko pożałować.

Rico twierdził, że nie będziemy zbyt długo iść Szlakiem Myszy. Według walkateckich wskazówek krzyżował się on szybko ze Szlakiem Pająka. Zła wiadomość była taka, że teraz mieliśmy się przedzierać przez najgęstszy fragment dżungli.

Dni spędzone w selwie coraz bardziej dawały nam się we znaki. Wszyscy ucierpieliśmy z powodu tutejszej fauny i flory, mieliśmy ślady po jadowitych roślinach, ukąszeniach owadów, problemy żołądkowe i inne tego typu kłopoty. Żaden nie był zbyt poważny, wszystkie – uciążliwe.

Z każdym krokiem otaczająca nas roślinność stawała się gęstsza. Przyszedł moment, kiedy cała nasza egzystencja zaczęła się ograniczać do posuwania się naprzód, spożywania posiłków i nocnego odpoczynku. Byliśmy coraz bardziej wycieńczeni i coraz bardziej ponurzy. Nasz rozkład dnia nie różnił się zbytnio od tego, co robiła każda inna zamieszkująca ten las istota. Po jakimś czasie dżungla odczłowiecza.

Drugiego dnia marszu tym szlakiem natknęliśmy się na rzekę. Ujrzelśmy w oddali drzemiące na brzegu kajmany, na szczęście nie było śladu po anakondach. Szliśmy brzegiem, szukając sposobu, żeby przepłynąć na drugą stronę, i natknęliśmy się na pozostałości kamiennego mostu. Kolejny zdumiewający ślad obecności Walkateków i dowód na to, że podążamy dobrą drogą.

Most był zbyt zniszczony, by z niego skorzystać, uznaliśmy jednak, że zdołamy

przejsć na drugą stronę, przeskakując z kamienia na kamień.

– Musicie bardzo uważać – ostrzegł nas Piorun. – Jeśli wpadniecie do wody, kąpiel może nie być najgorszą z konsekwencji.

– Spokojnie, nie mam zamiaru stać się posiłkiem kajmanów – powiedziała Danny.

– Nie martwiłbym się specjalnie o te gady, są za daleko. Myślałem raczej o piraniach.

Przechodziliśmy po kolei na drugą stronę bez większych problemów, póki nie przyszła kolej na Yokaiego. Chłopak poślizgnął się na kamieniu i wpadł do rzeki, na szczęście Bańka i Enigma byli blisko. Wyciągnęli go, machającego w panice rękami, zanim zmienił się w karmę dla ryb. Bardzo się przestraszył, ale szybko doszedł do siebie, a wieczorem przed pójściem spać powiedział nawet, że trochę żałuje, że nie widział żadnej piranii. Wszedł do namiotu i nie upłynęło kilka minut, a usłyszeliśmy potworne wrzaski. Rzuciłem się tam biegiem. Yokai trzął się jak ptak na mrozie. Miał na całym ciele mnóstwo pijawek.

Ojciec, Bańka i ja pomogliśmy mu się rozebrać i usunęliśmy ich ponad tuzin, z pomocą mojej zapalniczki i całych ton cierpliwości. Operacja była delikatna, bo niektóre z tych paskudnych stworzeń postanowiły żerować w najdelikatniejszych partiach ciała biedaka.

– Chłopie, przestań się tak trząść, jeśli nie chcesz, żebym ci osmalił jaja – powiedział Bańka, zbliżając zapalniczkę do wewnętrznej strony uda. – Do cholery! Nie miałem nigdy zamiaru wchodzić w tak intymne relacje z żadnym towarzyszem wypraw.

– A twoja stara nie miała nic przeciwko – odpowiedział chłopak drżącym głosem.

Przynajmniej miał jeszcze ochotę żartować, chociaż może był to efekt dżinu, którego kazał mu łyknąć ojciec, żeby dodać mu animuszu. Później, kiedy już zasnęliśmy ściśnięci jak co noc w namiocie, od czasu do czasu wzdrygał się przez sen.

Następny dzień był ostatnim naszej wędrówki Szlakiem Myszy. Po kilku godzinach natknęliśmy się na kolejny niesamowity przykład architektury walkateckiej. O wiele piękniejszy niż wszystko, co widzieliśmy do tej pory, ale też o wiele bardziej niebezpieczny.

Na naszej drodze wyrosła nagle skalna ściana, porośnięta drzewami, pnącymi się korzeniami i oszalałymi kolorowymi orchideami, pośród których fruwały ptaki przypominające kolibry, ale o wiele od nich większe. Przez szczeliny w skałach sączyły się strumyczki. Był to naprawdę piękny widok.

Do skalnej ściany przylegała budowla niewątpliwie stworzona ludzką ręką. Miała kształt piramidy schodkowej złożonej z trzech pięt, przez korzenie prześwitywały jej kamienne mury.

Wydawało mi się, że przez gałęzie i korzenie dostrzegam płaskorzeźby przedstawiające rozmaite sceny, i chciałem tam podejść, by przyjrzeć im się bliżej, ale Rico mnie powstrzymał.

– Uważaj! – ostrzegł. – Pomiędzy pnączami zawsze kryją się węże. Lepiej się nie zbliżać.

Piramida miała jeden otwór służący za wejście, niemal przesłonięty zaroślami. Utorowaliśmy sobie drogę maczetami i weszliśmy do tej dziwnej budowli.

Stanęliśmy w korytarzu pod fałszywym sklepieniem. Dżungla zdołała wdrzeć się do środka i choć rośliny szczelnie porastały ściany, zdawało mi się, że dostrzegam pod nimi malowidła. Nie odważyłem się jednak o tym przekonać, ze strachu przed węzami.

Korytarz miał mniej więcej dwadzieścia metrów długości. Przemierzywszy go, znaleźliśmy się w dość obszernym pomieszczeniu, w którym prawie nie było śladów dzikiej flory.

Zarówno podłogę, jak i ściany wykonano z dużych kamiennych bloków, co ujrzałem, świecąc dookoła latarką. Zobaczyłem również w jednej ze ścian portal: metalowe wrota i górujące nad nim kamienne nadproże z walkatecką inskrypcją. Ojciec się jej przyglądał.

– Co tam jest napisane?

– Szlak Pajaka – odparł. – Jeśli chcemy pójść dalej, musimy otworzyć te wrota.

Nie było żadnych zamków, drzwi ani drgnęły, kiedy próbowaliśmy je popychać, były zbyt ciężkie. Kiedy zbadałem je dokładnie, okazało się, że zamontowano je na wielkich kamiennych dyskach.

Przed portalem stał dość duży, kwadratowy kamienny blok, przypominający ołtarz. I na nim widniały walkateckie inskrypcje, które mój ojciec zaczął tłumaczyć. Na blacie dostrzegłem sześć metalowych prętów długości dłoni. Wydawało mi się, że można je przekręcić podobnie jak krany, i już chciałem spróbować, ale Bańka mnie powstrzymał.

– Nie dotykaj niczego, dopóki się nie upewnimy, że to nam nie zaszkodzi, dobrze, młody?

Dobra rada oparta na doświadczeniu, chociaż wokół nie zauważyłem niczego, co mogłoby wskazywać na obecność śmiertelnych pułapek, i powiedziałem to przyjacielowi. Wówczas on skierował snop latarki na dwa przedmioty, na które nie zwróciłem uwagi.

Rozmieszczono je naprzeciw siebie, na dwóch krańcach pomieszczenia. Dwie duże kamienne kolumny, pokryte skomplikowanymi, abstrakcyjnymi reliefami i dziwnymi znakami. Obie wieńczyły ciekawe ozdoby: okrągłe metalowe struktury podobne do gigantycznych obwarzanków, które ktoś nie wiedząc czemu tam umieścił.

Ołtarz z inskrypcjami znajdował się dokładnie w połowie drogi między pilastrami. To usytuowanie wzbudziło we mnie złe przeczucia.

Podeszliśmy z Bańką do jednej z kolumn. Usłyszałem cichy dźwięk, który narastał, w miarę jak zbliżaliśmy się do niej, jakby dobywał się z jej wnętrza. Było to coś w rodzaju bzyczenia.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytałem.

– Pojęcia nie mam, ale wcale mi się nie podoba... Słyszysz to?

– Tak, wydaje odgłos jak lampka ze źle dokręconą żarówką.

– No właśnie, to niepokoi mnie najbardziej. Ten hałas zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

Rozumiałem, co chce powiedzieć, i podzielałem jego obawy. Bańka przyglądał się kolumnie, a ja wróciłem do Pioruna, który wciąż walczył z inskrypcjami na ołtarzu. Zapytałem, czy to coś ważnego.

– Nie jestem pewien, ale wygląda mi to na jakąś modlitwę.

– A tam, na górze? – Wskazałem miejsce, gdzie znajdowały się te niby krany. Na

każdym widniał jakiś symbol. – To chyba glify.

– A dokładniej symbole oznaczające cyfry.

– Cyfry?

– Tak, od jednego do dziewięciu. – Wymienił po kolei ich nazwy: – *Iná, iyamá, kele, pau...* – I tak do ostatniej.

– Ponumerowane dźwignie. Myślisz, że któraś z nich służy do otwierania drzwi?

– Ma to sens, ale nie chciałem próbować na chybił trafił. Skończę najpierw tłumaczyć tekst, może zawiera jakiś trop.

Ojciec powiedział, że może mu to chwilę zająć, postanowiliśmy więc rozbić obóz przy piramidzie, niedaleko od wejścia, i przygotować obiad.

Piorun zjawił się jakiś czas potem z tłumaczeniem tekstu zapisanym w zeszycie. Był to swego rodzaju poemat o stworzeniu, nieco podobny do początków Księgi Rodzaju.

Pierwszego dnia był Tupana. Na początku była Liczba.

Drugiego dnia Tupana był sam i dał początek swoim kształtom. Trzy kształty połączyły się z Liczbą i tak powstał Wszechświat.

Trzeciego dnia Tupana podwoił Wszechświat, aby zaludnić go duchami.

Czwartego dnia Tupana stworzył Świat. Tupana wyjął żywoły ze Wszechświata, żeby dać je Światu, zrobił tak dwukrotnie, raz na Północy, raz na Południu.

Piątego dnia Wszechświat rozpadł się na pół: w górze zostało mieszkanie Tupany, w dole zaś królestwo demonów.

Szóstego dnia było cztery.

Liczba otwiera szlak.

Nikt z całej grupy nie potrafił odnaleźć żadnych wskazówek w tych wersach, prócz jednej, dość oczywistej, że trzeba znać liczbę symbolizującą Tupanę, żeby otworzyć wrota Szlaku Pająka. Doszliśmy do wniosku, że dźwignie nad ołtarzem mają służyć do wybrania odpowiedniej liczby, jak w równaniu.

Nie mieliśmy natomiast pojęcia, o jaką liczbę chodzi. W poemacie cytowano wiele rozmaitych cyfr, ale tej najświętszej, symbolizującej Tupanę, nie.

Urządziliśmy improwowaną burzę mózgów, rozważając różne hipotezy. Enigma była zdania, że właściwą kombinacją jest cyfra stworzona ze wszystkich liczb wspomnianych w poemacie. Danny uważała, że chodzi o liczbę cztery, która pojawiała się w najbardziej enigmatycznym z wersetów, według niej najważniejszym. Bańka sądził, że należy je wszystkie dodać, a suma będzie poszukiwanym przez nas kodem... Wszystkie wydawały się prawdopodobne, ale żadna nie opierała się na niczym więcej niż czysta intuicja.

Utknęliśmy w martwym punkcie. Zacząłem się zastanawiać, czy rozwiązanie tej zagadki nie jest przypadkiem o wiele prostsze, niż się wydaje.

– Czy Walkatekowie mieli jakąś świętą liczbę? – zapytałem ojca.

– Mieli wiele świętych liczb – odparł. – Te od jednego do dziewięciu miały dla nich znaczenie symboliczne, ale, o ile mi wiadomo, żadna nie była ważniejsza niż pozostałe.

Przeczytałem poemat jeszcze raz. Pierwszy wers brzmiał mi znajomo. „Na

początku była Liczba” ... Skąd znałem ten cytat? W końcu przypomniałem sobie, że jeden z bliźniaków cytował podobne zdanie z Platona. „Bóg jest Liczbą”, to przypomniało mi mezogocki manuskrypt Gesalia, w którym pojawiała się to samo zdanie po łacinie. *Deus est numerus*. Może to była ważna wskazówka?

Ale nie wiedziałem, w jaki sposób miałyby nam pomóc.

Zauważyłam natomiast, że podczas kiedy my łamaliśmy sobie głowę nad tym problemem, Rico i Sita kłócili się, nie podnosząc zbytnio głosu. W końcu Indianin, głuchy na protesty dziewczyny, zostawił ją i sam wszedł do walkateckiej budowli.

– Nie, wujku, nie! – krzyknęła za nim Sita.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Dokąd on się wybiera?

– Och, mój Boże, mówi, że wie, jak otworzyć wrota prowadzące do szlaku, ale ja myślę, że się myli. Proszę, powstrzymajcie go, bo mnie nie chce słuchać.

Dziewczyna była bardzo przestraszona. Pobiegliśmy za Indianinem i znaleźliśmy go przed ołtarzem. Trzymał dłoń na jednej z dźwigni.

– Rico! – krzyknął ojciec. – Co ty robisz?

Na ustach przewodnika pojawił się głupkowaty uśmiech dumy.

– Już wiem, ojczulku. Znam liczbę. Teraz Rico wam pomoże, zobaczycie.

Spojrzałem na dwie kamienne kolumny strzegące ołtarza niczym dwaj wartownicy. Indianin wydawał się przy nich maleńki. Maleńki i kruchy.

Miałem złe przeczucia.

– Zaczekaj chwilę. – Piorun podchodził do Rica powoli, jak do osoby, która ma nabity pistolet i celuje sobie w skroń. – To świetnie, że chcesz nam pomóc, ale lepiej się tak nie śpiesz. Zanim zrobisz cokolwiek, powiedz nam po prostu, co to za liczba, dobrze?

On nadal się uśmiechał z tym absurdalnym entuzjazmem.

– To siedem, ojczulku! – powiedział. – Siedem jest liczbą świętą, bo w siedem dni Tupana stworzył świat. Ojciec mi kiedyś o tym opowiedział.

– Dobrze, więc siedem, tak, to logiczne. Ale najpierw porozmawiajmy o tym jeszcze, tylko żebyśmy mogli być pewni, że...

– Nie, nie ma o czym mówić. Zobaczycie, że mam rację.

– Rico, nie!

Za późno. Rico nacisnął wajchę i przypieczętował swój los.

Nagle poczułem coś bardzo dziwnego, jakby mrowienie w całym ciele. Dostałem gęsiej skórki, a włosy zjeżyły mi się na głowie pod działaniem jakiejś dziwnej elektrostatycznej siły. Buczenie dochodzące z kolumn zrobiło się głośniejsze, aż w końcu zmieniło się w sekwencję suchych trzasków. Na naszych oczach rozegrało się coś tak zdumiewającego, jak przerażającego.

Z ornamentów wieńczących kolumny spłynęły dwa niebieskie pioruny, które jak świetliste lance dosięgły biednego Rica. Indianin wygiął się do tyłu w gwałtownym spazmie i wydał okrzyk. Przez kilka kolejnych sekund widzieliśmy tylko bicze światła smagające wstrząsane drgawkami ciało Rica. Rozległ się kolejny trzask, pioruny zniknęły, a buczenie cichło, aż w końcu stało się ledwie słyszalne. W powietrzu unosił się swąd palonych włosów i ciała. Rico padł na ołtarz, a potem zsunął się z niego i runął na podłogę.

Podbiegliśmy tam, chociaż bałem się, że niewiele zdołamy dla niego zrobić. Jego skóra była poparzona, miał szeroko otwarte, czerwone oczy, z nosa i uszu ciekła mu krew. Ciałem Indianina nadal wstrząsały drgawki, kiedy Bańka położył mu rękę na piersi i sprawdził, że serce przestało mu bić.

Ojciec patrzył na kolumny z ogromnym lękiem, jak na coś naprawdę przerażającego.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Co to za maszyna?

Na to pytanie nikt z nas nie potrafił odpowiedzieć.

Zabraliśmy ciało biednego Indianina do obozu. Enigma i Yokai starali się okazać wsparcie Sicie. Podziwiałem spokój, z jakim dziewczyna przyjęła śmierć wuja. Poprosiła, żebyśmy zostawili ją samą na samą ze zmarłym, nie mieliśmy serca jej odmówić. Ułożyliśmy zmarłego w korytarzu prowadzącym do wnętrza piramidy, jedynym miejscu, gdzie dziewczyna mogła się cieszyć odrobiną intymności.

Śmierć Rica wstrząsnęła nami, nie tylko ze względu na solidarność z jego przybraną krewną, ale również z bardziej egoistycznego powodu: nagle zostaliśmy pozbawieni przewodnika.

Jak łatwo się domyślić, w obozie panował ponury nastrój. Nikt nie miał ochoty rozmawiać o tym, co robić dalej i jak kontynuować podróż, jakbyśmy się umówili, żeby milczeniem uczcić pamięć Indianina.

W pewnej chwili odszedłem na bok, żeby zapalić papierosa. Nie mogłem przestać myśleć o Ricu usmażonym przez dwa widmowe płomienie. Jakby biedak padł ofiarą bezlitosnego gniewu bogów. Czuję, że ogarnia mnie zupełnie dla mnie niezrozumiały, zabobonny lęk.

Wciąż rozmyślałem o tym, nerwowo zaciągając się papierosem, kiedy podeszła do mnie Danny.

– Zapada zmrok – powiedziała. – Pomyśleliśmy, że trzeba porozmawiać o tym, co dalej, i chcemy, żebyś był przy tym obecny.

– Tak, rozumiem. Masz rację. Daj mi tylko skończyć papierosa.

Usiadła obok mnie.

– Co się stało tam w środku, Danny? – zapytałem po krótkiej chwili milczenia.

– Widziałaś to samo co ja, prawda? Nie była to żadna wizja wywołana zmęczeniem, majaki w tropikalnej gorączce ani efekty halucynogennej substancji, którą spożyliśmy, nie wiedząc o tym? To się zdarzyło naprawdę.

– Obawiam się, że tak.

– Boże – mruknąłem pod nosem. – Te przekłete błyskawice...

– Jeśli cię to uspokoi, nie sądzę, żeby Bóg miał z tym cokolwiek wspólnego. Jeśli rzeczywiście gdzieś jest, myślę, że miałby coś lepszego do roboty niż zabijanie karzącymi piorunami biednego człowieka tylko dlatego, że się pomylił w rozwiązaniu głupiej zagadki.

– No, jasne. Też tak sądzę, ale... Cholera, skąd się wzięło to urządzenie?

– To nie żadna tajemnica: dwa wielkie generatory prądu.

– Generatory?

– Tak. – Poszukiwaczka strząsnęła chrząszcza wspinającego się po jej nogawce.
– Pomyślałam... Kiedy Rico nacisnął na dźwignię, słyszałeś to bzyczenie? Czuleś, jak włosy stają dęba, a powietrze zaczyna pachnieć elektrycznością?

– Tak. Ty też? Myślałem, że to tylko moje wrażenie.

– Wszyscy to czuliśmy. Rozmawiałam z Bańką i Yokaim, uważamy, że te pioruny nie miały w sobie nic z magii. Dwie kamienne kolumny po obu stronach ołtarza są po prostu generatorami prądu... A ściśle rzecz biorąc, to transformatory Tesli, dwa gigantyczne transformatory Tesli.

Już chciałem oponować, zdecydowałem jednak, że wolę myśleć, iż Rico zginął wskutek jakiejś anachronicznej maszynierii niż interwencji sił nadprzyrodzonych.

– Generatory prądu zbudowane przez przedstawicieli prekolumbijskiej kultury – powiedziałem. – Proszę, znajźmy jakieś bardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

– Już próbowałam, ale nie potrafię.

Westchnąłem.

– Transformatory Tesli, jasne... A kto nauczył Walkateków je konstruować? Obcy? A może Indianie posiadli sekret podróży w czasie?

Wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, wszyscy widzieliśmy, co się stało we wnętrzu piramidy, ty też tam byłeś, byłeś też z Enigmą w tej krypcie w Asturii, kiedy zaatakowały was roboty. Chcę przez to powiedzieć, że źródłem wiedzy pozwalającej wytworzyć tamte automaty mogli być ci sami mnisi, którzy na innym kontynencie nauczyli Walkateków konstruować generatory.

– Danny spojrzała na mnie. – Wiesz, to ciekawe, od tak dawna szukasz tego Stołu, a nigdy się nie zastanowiłeś, czy to, czego szukasz, jest prawdziwą magiczną relikwią czy tylko legendą.

Te słowa zabrzmiały dziwnie w ustach Danny. Zawsze była najbardziej sceptycznie nastawiona z nas wszystkich. Chociaż właściwie należałoby powiedzieć, że nie mieliśmy pojęcia, w co wierzy, a w co nie, bo większość swoich przemyśleń zachowywała dla siebie.

– Czy jest prawdziwą relikwią? – zapytałem. – Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwa”?

Milczała chwilę, zanim zdobyła się na odpowiedź.

– A gdyby to było prawdą? Te wszystkie opowieści o Stole Salomona, Ołtarzu Imienia nad Imionami, jak zwał, tak zwał. Co by było, gdybyś go znalazł i okazało się, że jest on źródłem niezwykłej mocy? Może nie nadprzyrodzonej, ale w jakiś sposób dla nas niezrozumiałej. – Znów popatrzyła na mnie nieco wyzywająco. – Co byś wtedy zrobił, Tirso?

– Nie wiem... – odpowiedziałem. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Mówiłem prawdę. Nigdy nie zaprzątałem sobie głowy tym, co nastąpi, kiedy już poszukiwania dobiegną końca. Biblijna relikwia, skarb, magiczny przedmiot... Każdej z tych rzeczy szukałbym z takim samym zapalem. Nie chodziło mi o nagrodę, zadowalałem się samą przyjemnością szukania.

– Może powinieneś o tym pomyśleć – zasugerowała. – I czy jesteśmy odpowiednimi osobami, żeby znaleźć coś podobnego.

– A czemu nie?

Na ustach Danny pojawił się typowy dla niej półuśmiešek.

– Jesteśmy tylko bandą włóczęgów, niczym więcej. Nie mamy głębszych zainteresowań, własnych projektów. Może tak potężny obiekt powinien jednak przypaść w udziale komuś, kto ma lepszy pomysł, co z nim zrobić.

– Na przykład komu? Voynichowi?

– Oczywiście, że nie. Zupełnie opacznie interpretujesz moje słowa.

– W takim razie wyjaśnij mi, co właściwie chciałaś powiedzieć, bo przyznam szczerze, że trochę się pogubiłem. Nie chcesz, żebyśmy znaleźli ten Stół?

Pogłaskała mnie delikatnie po policzku.

– Chcę, żebyś ty go znalazł – powiedziała. – A kiedy już go znajdziesz, żebyś wiedział, jak masz postąpić.

Odruchowo przechyliłem nieco głowę, żeby przedłużyć jej dotyk. Wciąż wydawała mi się niezwykle pociągająca, do tego stopnia, że nie mogłem myśleć jasno.

W tej chwili pojawił się Piorun, żeby zapytać nas, czy widzieliśmy Sitę, bo zaczął się o nią niepokoić.

– Może dalej jest przy wejściu do piramidy – odpowiedziałem.

– Biedna dziewczyna – stwierdził ze smutkiem mój ojciec. – Pójdę jej poszukać. Powinna coś zjeść i odpocząć, dobrze jej to zrobi.

Zaoferowałem się, że zrobię to za niego. Czułem się odpowiedzialny za tragiczny koniec jej wuja, bo to ja namówiłem go do udziału w naszej ekspedycji.

Znalazłem Sitę w korytarzu piramidy. Siedziała obok ciała wuja, przykrytego moskitierą. Kolejnym problemem, któremu musieliśmy stawić czoło, była kwestia, co zrobić z ciałem. Wilgotna dżungla na pewno nie była najlepszym miejscem, żeby pozostawić zwłoki bez pochówku.

Kiedy podszedłem bliżej, dziewczyna uśmiechnęła się do mnie przez łzy. Miała mokre oczy i policzki, ale już nie płakała.

– Zawsze był uparty jak osioł – powiedziała. – Biedny wujek... Czasem taki naiwny, ale bardzo go kochałam. Opiekował się mną, odkąd zabrakło rodziców.

– Przykro mi. To nie powinno się zdarzyć.

– Tak. No cóż. Był już staruszką... Wiedziała, że nie pożyje długo, sam mi to wiele razy powtarzał. Czuł się zmęczony, nie miał sił... Wiedział, że już go nie potrzebuję, właściwie ostatnio to ja opiekowałam się nim, żeby nie czuł się samotny. – Przez chwilę milczała, przyglądając się nieżyjącemu wujowi. – Kiedyś opowiedział mi, że *mauakaro*, kiedy się starzeli, szli samotnie do dżungli i już z niej nie wracali. Tupana ich znajdował i na ramionach przenosił do nieba, żeby mogli odpocząć. Piękna opowieść, prawda?

– Tak. Bardzo.

Pokiwała głową.

– Wujek był bardzo dumny ze swojego pochodzenia, z tego, że jest *mauakaro*. Bardziej niż z czegokolwiek na świecie. Z pewnością by się ucieszył, wiedząc, że spocznie w dżungli jak jego przodek.

– Sito – zacząłem. Wiedziałem, że z trudem przyjdzie mi powiedzieć to, co miałem do powiedzenia, wiedziałem jednak, że muszę to zrobić. – Jeśli chcesz, możemy zawrócić.

Możemy zabrać ciało twojego wuja i pochować tam, gdzie zechcesz.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– A co z miastem, którego szukacie?

– Możemy spróbować wrócić potem na szlak – odparłem, starając się brzmieć przekonująco. – Znajdziemy innego przewodnika. Wszystko jedno, w tej chwili nie ma to znaczenia.

– Nie znajdziecie innego przewodnika – odparła. – Niewielu zna szlaki jak mój wuj... albo ja.

– Jeśli nie ma innego wyjścia...

– Ależ jest! Ja mogę was poprowadzić. Wiem jak.

– Ale twój wuj...

Sita czule pogłaskała wujka po głowie.

– Powiedział pan, że możemy go pochować tak, jak zechcę. Więc chcę go pochować jak *mauakaro*. Żeby spoczął w dżungli. – Dziewczyna spojrzała mi w oczy. – A potem chcę iść z wami do tego miasta skarbów.

Uczciwie muszę przyznać, że właśnie to chciałem usłyszeć. Może nie świadczy to o mnie najlepiej (wręcz przeciwnie), ale wiem też, że jeśli dziewczyna sama by mi tego nie zaproponowała, nigdy nie śmiałybym jej o to prosić. Zaklinam się na mój honor Kawalera Poszukiwacza.

Z pewnością jest to honor wątpliwy i kontrowersyjny, ale innego nie mam.

Pochowaliśmy Indianina najlepiej, jak potrafilismy. Mój ojciec, który wciąż dla wszystkich pozostawał księdzem, znalazł się w delikatnym położeniu: oczekiwano od niego, że odprawi ceremonię pogrzebową. Poprosiła go o to Sita. Jak na fałszywego kapłana nie poszło mu wcale źle i mam nadzieję, że Bóg (czy Tupana) nie będzie miał za złe Ricowi tej farsy, kiedy stanie u wrót królestwa niebieskiego.

Byliśmy bardzo zmęczeni, więc prędko udaliśmy się do swoich namiotów. Teraz, kiedy nie było już Rica, Bańka zajął jego miejsce w namiocie mojego ojca. Chociaż nie zabrzmi to najlepiej, ucieszyłem się z dodatkowej przestrzeni, jaką zyskaliśmy z Yokaim. Bańka był ogromnym facetem.

Schowałem się w śpiworze, rozkoszując się wygodą, i zamknąłem oczy. Obok mnie Yokai siedział dalej, nie gasząc latarki czołowej.

– Zgaś to, nie widzisz, że próbuję zasnąć? – powiedziałem. – A w ogóle co ty, u licha, robisz?

– Czytam wiersz przetłumaczony przez Saula. Nie wiem, czy pamiętasz, ale nadal nie wiemy, jak otworzyć te pieprzone drzwi.

– Trochę szacunku, chłopcze. – Tak, zaczynałem przejmować sposób mówienia mojego ojca. – Rico dopiero co odszedł. Zajmiemy się tym jutro.

– A myślisz, że dlaczego to robię? – zapytał urażony. – Facet zginął przez ten cholerny poemat, a jedyne, co możemy dla niego zrobić, to spróbować rozwiązać zawartą w nim zagadkę, a nie zapominać o tym, jakby to była rzecz kompletnie bez znaczenia.

Chłopak po części miał rację... a ja nie miałem ochoty na kłótnie, więc przestałem się czepiać i postanowiłem zasnąć. Do zalet całodziennego przemierzania dżungli należy

to, że zasypiasz wszędzie i w każdych warunkach. Zacząłem śnić, kiedy tylko zamknąłem oczy.

Obudziło mnie szarpanie za ramię. Jak co rano, pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, były przekleństwa na zbyt krótki sen, z którego budziłem się bardziej zmęczony, niż kiedy kładłem się spać wieczorem. Mamrocząc coś pod nosem i poruszając się jak lunatyk, usiadłem automatycznie i zacząłem się przygotowywać na spotkanie nowego dnia.

Problem w tym, że, jak po chwili zauważyłem, ciągle panowała noc.

– Faro! Faro! Mam to – oznajmił siedzący obok mnie Yokai. – Pięć!

– Co? Która jest godzina, do diabła?

Jak wspominałem wcześniej, budzę się raczej w kiepskim nastroju.

Światło latarki Yokaiego mnie oślepiło. Chłopak nawet nie był w śpiworze, pewnie nie zmrużył oka ani na chwilę.

– Nie wiem, druga albo trzecia, nieważne. Już wiem, jaka to liczba. Pięć.

– Co pięć? O czym ty, kurwa, mówisz? – Chłopak nie odpowiedział i wypadł z namiotu. – E, Yokai? Dokąd idziesz? Wracaj natychmiast, do cholery!

Wstałem, potykając się o własne nogi i w biegu wkładając buty. Widziałem, jak znika w korytarzu prowadzącym do wnętrza piramidy. Kiedy tylko nie byłem już bosy, pobiegłem jak szalony. Przeraziłem się, że ten postrzelony worek buzujących hormonów ma zamiar zrobić coś potwornie głupiego.

Moje podejrzania się potwierdziły: zastałem go przed ołtarzem, w tym samym miejscu, w którym Rico padł martwy na podłogę.

Zakląłem w myślach. Widziałem już wcześniej tę scenę. I nie skończyła się dobrze.

– Durny smarkaczu! – krzyknąłem. – Co masz zamiar zrobić?

– Rozwiązałem zagadkę. Odpowiedź brzmi: pięć. Pięć to święta liczba.

– Skąd ten pomysł?

– Długo by gadać. To wyjebicie skomplikowane. Najlepiej, jeśli ci pokażę.

– Nie, nie, nic z tego. Zabierz stamtąd rękę, do cholery.

Puścił do mnie oko.

– Twoja stara też tak powiedziała...

To były jego ostatnie słowa, zanim runął na podłogę.

Jednak to nie mordercze błyskawice go powaliły. W tej samej chwili, kiedy Yokai nacisnął wajchę, rzuciłem się na niego, żeby odciągnąć chłopaka od ołtarza, zanim będzie za późno. Wiedziałem, że albo ocalę go od śmierci przez porażenie prądem, albo oboje zmienimy się w grillowane befsztyki. Kiedy upadaliśmy na ziemię, rozległo się gwałtowne uderzenie, zdające się dochodzić spod naszych stóp, podobne do dźwięku wielkiej maszyny parowej. Nie chciałem nawet sobie wyobrażać, jaki rodzaj gwałtownej śmierci nas czeka.

Dyski, na których opierały się skrzydła drzwi, zaczęły się obracać, wydając nieprzyjemny pisk. Drzwi otworzyły się powoli, ukazując nam korytarz prowadzący do dżungli.

Szlak Pająka.

Symfonia dźwięków dobywająca się z piramidy musiała dotrzeć do naszego obozowiska, bo kiedy się podniosłem, ujrzałem Bańkę i Pioruna, jak ze zdumieniem obserwują otwarte wrota.

Yokai wstał, otrzepując ubranie z kurzu.

– Człowieku, następnym razem, kiedy będziesz miał zamiar zrobić coś takiego, mógłbyś mnie ostrzec – marudził pod nosem. – Obiłem sobie tyłek.

– Co tu się stało? – zapytał zdumiony Piorun. – Wrota są otwarte? Jak...?

– Tak, to było zajebiste – zaczął mówić Yokai. – Stałem przed ołtarzem, o tu, i powiedziałem, mówię ci, gościu, że chodzi o pięć, a Faro: „Nawet nie próbuj, gówniarzu!”, a ja na to: „Spoko” i przekręciłem ten klucz, a on skoczył na mnie, żeby te błyskawice nie przypaliły mi jaj. Sztosik, normalnie. Szkoda, że tego nie widzieliście.

Opowieść chłopca niczego nie wyjaśniła, więc ja zrelacjonowałem wszystko jeszcze raz od chwili, kiedy wybiegłem z namiotu.

– Przecież ci mówiłem – dodał Yokai, kiedy skończyłem. – Mówiłem, że święta liczba to pięć, i nie chciałeś mi wierzyć. Nigdy mi nie wierzysz, kiedy ci coś mówię!

– Pięć? – zapytał Bańka. – Jak się domyśliłeś. Miałeś farta!

– Nie, palancie, nie chodzi o farta. To algebra. – Yokai popatrzył na nas jak na głupców. – Tak, algebra. Ten wiersz to zagadka matematyczna.

– Synku, chyba musisz nam to wyjaśnić o wiele spokojniej – powiedział Piorun.

– To jak... – Nie potrafił wyrazić swoich myśli, zawsze brakowało mu słów. – To jak kiedy ktoś mówi: „Pomyśl jakąś liczbę od jednego do dziesięciu, potem dodaj coś tam, odejmij coś tam, podziel przez to, pomnóż przez tamto, a wynik zawsze będzie 9, abrakadabra! Nigdy wam nie robili czegoś podobnego?

– Tak – odparłem. – Jako sztuczkę magiczną. Czytanie w myślach.

– Gównu nie czytanie w myślach, zawsze chodzi o wykonanie działania. Jak w tym wierszu, jego autor myślał o jakiejś liczbie i trzeba było zgadnąć o jakiej. – Dalej nie rozumieliśmy, Yokai wyjął więc zeszyt, w którym zapisał wiersz, i wyjaśniał nam krok po kroku. – Zobaczcie, pierwszy wers: „Na początku była Liczba”, dobrze, to właśnie nasza sekretna liczba. Nazwijmy ją X, dobra? W kolejnym wersie czytamy: „Trzy kształty połączyły się z Liczbą”, czyli do X należy dodać trzy, sumą jest coś, co poemat nazywa Wszechświatem. Idźmy dalej: „Tupana podwoił Wszechświat, aby zaludnić go duchami”. Czyli mnożymy wszystko przez dwa, nadażacie?

– Chyba tak – mruknął Bańka, który zapisywał coś na kartce. – Co dalej?

– Dobrze, czwarty wers jest w chuj trudny: „Tupana wyjął żywioły ze Wszechświata, żeby dać je Światu”. Wyobraziłem sobie, że chodzi o cztery żywioły: wodę, ogień, ziemię i powietrze; więc cztery. Ale uwaga, tekst mówi, że Tupana zrobił to dwukrotnie, więc trzeba jeszcze raz odjąć cztery. W sumie więc odejmujemy osiem.

Mój ojciec patrzył na Yokaiego, gładząc się po brodzie.

– Mądry chłopak.

– Już prawie skończyłem. Piąty wers mówi o tym, że Wszechświat rozpadł się na pół, czyli kolejnym działaniem jest dzielenie przez dwa. A potem czytamy: „Szóstego dnia było cztery”.

– Cztery co?

– Cztery nic. To wynik wszystkich poprzednich działań.

– No dobrze, geniuszku – powiedział Bańka. – Rzuć na to okiem i powiedz, czy o to ci chodziło.

Podał mu kartkę, na której notował, kiedy Yokai tłumaczył poszczególne działania. Widniało na niej równanie.

$$\frac{2(x+3)-8}{2} = 4$$

– Tak! – wykrzyknął chłopak. – X to rozwiązanie zagadki, którą jest poemat, nasza niewiadoma. Wynik wynosi pięć, ale nie musiałem nawet liczyć.

Bańka uśmiechnął się z przekąsem.

– Już i tak szczęki nam opadły, nie znęcaj się nad nami jeszcze bardziej. To nie fair.

– Nie, no poważnie mówię, to bardzo stara sztuczka, znałem ją wcześniej. Jeśli do jakiegokolwiek liczby dodasz trzy, pomnożysz to przez dwa, odejmiesz osiem, a potem podzielisz przez dwa, wynikiem zawsze jest ta właśnie liczba minus jeden. Zawsze. Można zabawić się w ten sposób, że czytasz komuś w myślach i w ogóle.

– Synu, może dla ciebie to zwykła sztuczka, ale nie ma chyba wielu osób zdolnych czytać w myślach poecie zmarłemu wieki temu – powiedział mój ojciec. Yokai był dumny jak paw. – Przyznaję, że jestem pod wrażeniem.

Ja też byłem pod wrażeniem. Zawsze byłem humanistą, niezbyt lotnym, jeśli chodzi o przedmioty ścisłe, nie wiem nawet, czy potrafiłbym rozwiązać proste równanie z jedną niewiadomą.

Ale było coś, co zdumiewało mnie jeszcze bardziej niż umiejętności Yokaiego. Byli to sami Walkatekowie. Ich cywilizacja знаła nie tylko równania algebraiczne, ale i technologię niezbędną do skonstruowania automatycznych drzwi otwieranych przez naciśnięcie dźwigni.

W Madrycie bliźniacy opowiedzieli mi, że Heron z Aleksandrii wymyślił mechanizm, który otwierał drzwi, jeszcze w starożytnej Grecji. Nie pamiętam szczegółów, ale był to chyba mechanizm lin i dźwigni napędzany parą. Mogłem sobie wyobrazić, wysilając trochę wyobraźnię, że starożytni Walkatekowie mogli wynaleźć coś podobnego.

Ale ani Heron z Aleksandrii, ani cały legion starożytnych mędrców nie zdołali nigdy wymyślić nic przypominającego transformator Tesli. A Walkatekowie, lud otoczony wrogą dżunglą, zdołali to zrobić.

Ich wiedza była wyzwaniem dla logiki, chyba że, jak sugerowała Danny, uzyskali ją dzięki biblijnej relikwii, w której drzemał sekret boskiej mądrości.

Jeśli było to prawdą (a opierałem się, żeby w to uwierzyć), możliwość, że naprawdę ją odnajdziemy, wydawała się bardzo niepokojąca. Wejście w posiadanie źródła boskiej mocy bowiem było zadaniem przekraczającym aspiracje skromnej grupy Poszukiwaczy.

Iz 26,19. [\[wróć\]](#)

PAJĄK

Dżungla się zmieniała.

Na początku tego nie zauważyłem. Bujna roślinność wokół Szlaku Pająka nie różniła się zbyt od tej, którą zostawiliśmy za sobą, ale pierwszego dnia marszu, idąc śladami Sity, zacząłem dostrzegać subtelne zmiany.

Zobaczyłem nowe rośliny o zastrzonych i budzących respekt liściach, w innym odcieniu zieleni, powiedziałbym, że mniej realnym.

Zdarza się, że w chwilach poprzedzających burzę kolory się zmieniają. I chociaż robi się ciemniej, wszystko zyskuje nieco bardziej jaskrawą, sztuczną tonację, jakby pod wpływem naelektryzowanej atmosfery... Poczuję się nagle, jakbym znalazł się w miejscu, w którym nadciągająca burza nigdy jednak nie nadchodzi.

Korzenie powietrzne, pnącza i liany zdawały się bardziej powykęcane, nawet pnie drzew sprawiały wrażenie powyginanych, jakby każdy centymetr wzrostu kosztował je bolesny wysiłek. Kwiatów było mniej, a tych niewiele, które udało się nam zauważyć, miało groteskowe, jakby niedokończone kształty i bardzo intensywne barwy: krwistą czerwień, fluorescencyjny błękit, płonące odcienie pomarańcza. Sprawiały wrażenie sztucznie farbowanych i ich widok na dłuższą metę nie był przyjemny, chociaż trudno było wyjaśnić dlaczego.

Było w tym fragmencie dżungli jeszcze coś niepokojącego. Nie potrafiłem dokładnie powiedzieć co, póki nie uświadomił mi tego Bańka.

– Słyszysz? – spytał, nie przerywając marszu.

– Nic nie słyszę.

– No właśnie. Panuje tu kompletna cisza.

Dżungla zwykle aż huczy od rozmaitych dźwięków: zwierzęta krzyczą, pieją, wyją i ryczą; słychać ptaki podrywające się do lotu, przemykające stworzenia, szum gałęzi. To jak ruch uliczny w wielkim mieście, odgłos, który nigdy nie milknie.

Ale w tej chwili nie było słychać niczego. Tylko nasze kroki. I oddechy.

Marsz przez tonącą w ciszy dżunglę jest równie niepokojący jak wyjście z domu znajdującego się w środku miasta na puste ulice, bez przechodniów, bez samochodów. Od razu wiadomo, że dzieje się coś niezwykłego, że coś jest nie tak.

Nie widzieliśmy też żadnych zwierząt. To też było bardzo dziwne. Przyzwyczailem się już do wędrówki w otoczeniu najrozmaitszych owadów, pod uważnym spojrzeniem ptaków i wyjców skaczących po gałęziach. Tu ich nie było. Tylko rośliny w dziwnych kolorach. I cisza.

Pierwszą żywą istotę, z wyjątkiem moich towarzyszy, zauważyłem dopiero po wielu godzinach marszu. I ściśle rzecz biorąc, nie była to już istota żywa.

Szedłem razem z ojcem, w nieznacznym oddaleniu od reszty grupy, kiedy nagle na to wpadłem.

Na ziemi wśród liści leżał dziwny stwór wyglądający na stawonoga; nieruchomy, do góry brzuchem, z odnóżami przyciśniętymi do ciała. Był wielki jak mój but, jego gruby odwłok porastały kręcone włoski. Odnóża były grube jak palce i dwa z nich miały na końcach niewielkie szczypcy. Na jego głowie (albo tym, co ją przypominało) zobaczyłem dwie ostre żuwaczki o nieregularnych kształtach, podobne do żuwaczek mrówek, a nad nimi kilka mętnych kulek, być może oczu.

Ojciec odwrócił go czubkiem buta i zobaczyliśmy parę błoniastych, przezroczystych skrzydeł.

– Co to jest? – zapytałem z obrzydzeniem.

– Nie wiem. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego owada – odparł ojciec. – Ale powiem ci jedno: cieszę się, że nie żyje.

Rozejrzałem się uważnie wokół, oczami wyobraźni bowiem ujrzałem podobny okaz lecący zygzakiem prosto na moją szyję.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie wspomnieliśmy nikomu o tym, co zobaczyliśmy.

Ucieszyłem się, gdy znów pojawiły się owady i inne okazy fauny, do jakich zdążyłem przywyknąć, chociaż nadal widywaliśmy je o wiele rzadziej niż w poprzednich dniach.

Spotkania ze zwierzętami zdarzały się rzadko, za to coraz częściej natykaliśmy się na pozostałości walkateckich budowli. Zaczęliśmy się przyzwyczajać do widoku ruin niewielkich konstrukcji, zachowanych tak kiepsko, że trudno było się domyślić ich funkcji. Czasem były to fragmenty murów, wejść, słowem – kupa kamieni w krzakach.

Pierwszego dnia naszego marszu Szlakiem Pajaka dotarliśmy do polany.

Roślinność zniknęła nagle, ustępując otwartej przestrzeni z widocznymi gdzieniegdzie pozostałościami po zwęglonych drzewach. Ziemia była tu ciemna, jakby zmieszana z popiołami.

Na środku polany znajdowała się zrujnowana budowla z kamiennych bloków, wiele z nich pokrywała gruba warstwa sadzy. Pomiędzy kamieniami zauważyliśmy potłuczone, osmalone naczynia, z których sączył się miód. Domyśliliśmy się, że to walkatecki cmentarz podobny do tego, który widzieliśmy kilka dni temu.

– Chyba był tu jakiś pożar... – zauważyła Enigma, rozglądając się dookoła.

– Nawet jeśli, zdarzyło się to dawno temu – powiedział mój ojciec. – Proponuję, żebyśmy rozbili tu obóz i spędzili noc.

Zaczęliśmy rozstawiać namioty.

Cała grupa była w kiepskim nastroju. Podejrzewam, że przyczyną tego było nie tylko zmęczenie, ale i ponure otoczenie, w jakim się znaleźliśmy. Nawet powietrze wydawało się dziwne.

To wrażenie wcale nie zniknęło, gdy jedliśmy wspólnie skromną kolację przy niewielkim ognisku. Posilaliśmy się w milczeniu, patrząc w ziemię, otoczeni cieniami, które nie poprawiały naszego samopoczucia.

Pomyślałem, że trzeba temu jakoś zaradzić. Nie wiedziałem, jak daleką drogę mamy jeszcze do przebycia, i ten nagły spadek morale był obciążeniem, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Próbowałem zagaić jakąś rozmowę, żeby trochę rozluźnić atmosferę, zapomnieć na chwilę o zmęczeniu i przygnębieniu, ale mi się nie udało. Moi

towarzysze odpowiadali monosylabami, więc dałem za wygraną.

I wtedy Sita o coś mnie zapytała.

– Panie Faro – zaczęła. Wszyscy tak się do mnie zwracali, więc myślała, że to moje prawdziwe imię. A tego pana nie mogłem jej wybić z głowy, chociaż wielokrotnie próbowałem. – W tym mieście, którego szukamy, jakie skarby właściwie się znajdują?

– No cóż, Sito... Nie jestem pewien, ale pewna stara legenda głosi, że Walkatekowie ukryli w nim przedmiot o wielkiej wartości.

– A co to było?

Zanim odpowiedziałem, wymieniliśmy spojrzenia z ojcem.

Uśmiechnąłem się, ale w ciemności nikt tego nie zauważył.

– Wiesz? – zacząłem. – Mógłbym ci to opowiedzieć, jeśli chcesz, ale znam lepszą historię.

Słowa same popłynęły z moich ust, a towarzysze słuchali. Historia o mądrym i potężnym królu i przeklętym podarunku od wiedźmy Lilith. Powtórzyłem opowieść zasłyszaną z ust ojca, która w dzieciństwie wyryła się na zawsze w mojej pamięci. Użyłem jego konstrukcji fabularnej, korzystałem z jego formuł i środków stylistycznych, nawet, dla większego efektu, zawieszałem głos w tych samych miejscach, nie tworzyłem tej historii, byłem tylko aktorem odtwarzającym znany scenariusz.

Odpowiadając na pytania Sity, połączyłem opowieść z moimi własnymi przygodami. Mówiłem o Jaskiniach Heraklesa, Masce Musy, o Benie LeZionie i pamiętniku markiza Miraflores... A potem o Mali, o skarbie Dżaudara Paszy i przerażających Nummach. Ale nawet wtedy używałem słów ojca i posiłkowałem się jego technikami narracyjnymi.

Sita słuchała jak urzeczona. Zmartwiła się śmiercią Narvaeza, wstrzymała oddech, gdy Bańka niemal zginął w Mieście Umarłych, i trzęsła się ze strachu, kiedy pojawił się Zugu, bóstwo Nummów. Zdarzało mi się pominąć jakiś szczegół, ale wtedy moi towarzysze poprawiali mnie i uzupełniali opowieść. W gronie Kawalerów Poszukiwaczy snuliśmy tę opowieść w środku nocy, przy ognisku, tak jak zawsze opowiadano najlepsze historie.

Z tym jednak wyjątkiem, że nasza nie miała zakończenia. Nadal go nie napisaliśmy. Dlatego zatoczyłem koło i skończyłem wątek na Stole Salomona, sile napędowej wszystkich naszych działań.

– Mit głosi, że Baal Szem, Strażnik Imienia, jest jedynym człowiekiem zdolnym wypowiedzieć boskie słowo stworzenia, zapisane na Stole i nazywane przez Walkateków *Semmakeraj*, ale kiedy to uczyni, wyzwoli niszczącą siłę, której nikt prócz Boga nie potrafi powstrzymać.

– Nawet Baal Szem? – zapytała zafascynowana Sita.

I wtedy po raz pierwszy zabrał głos mój ojciec.

– Nawet on. – Płomienie ogniska żłobiły cienie na jego twarzy. W tej chwili jego podobieństwo do starego proroka było jeszcze bardziej wyraziste. – Ale żył kiedyś pewien biskup, który później został świętym, niejaki Izydor, któremu udało się rozwikłać wiele tajemnic związanych ze Stołem. On sądził, że wie, jak zapobiec niszczycielskiej mocy *Semmakeraj*.

Słuchałem bardzo uważnie. Nie znałem tej części opowieści, ale ojciec owszem. To logiczne: od samego początku to były jego poszukiwania.

– Jak? – spytałem.

– „Oddajcie Bogu, co boskie” – odparł ojciec, cytując znane mi słowa świętego Izydora. – *Semmakeraj*, Imię nad Imionami, obdarza mocą stworzenia, ale jeśli Baal Szem, użyje Stołu, żeby zapisać je na odwrót, od końca do początku, słowo powraca do Boga, który jest początkiem wszystkiego.

– Powraca – szepnął Yokai. – Z powrotem do domu, jak w naszym haśle.

Bańka patrzył na niego z uśmiechem, widać słowa Yokaiego bardzo przypadły mu do gustu.

– Tak jest, mały. Jak w naszym haśle.

Znów zapadła cisza, ale tym razem nie była to cisza ponura, lecz milczenie następujące po wysłuchaniu ciekawej historii, kiedy słuchacze przypominają sobie ulubione szczegóły, żeby na zawsze zachować je w pamięci.

– No dobrze, to była doskonała opowieść na dobranoc – oznajmił w końcu Piorun.

– A teraz, za waszym pozwoleniem, chętnie udam się na spoczynek.

Był to znak, że wszyscy powinniśmy się położyć, ale byliśmy teraz w o wiele lepszych nastrojach niż wcześniej. Kiedy pozostali rozchodzili się do namiotów, ja poszedłem zapalić na skraju polany. Zapatrzyłem się w usiane gwiazdami niebo.

– Zawsze lubiłem tę historię – usłyszałem głos za plecami. Stał za mną Piorun.

– Gratuluję. Potrafisz ją dobrze opowiedzieć.

– Nie tak dobrze jak ty.

– Cieszę się, że jeszcze ją pamiętasz. Dzięki temu mogę myśleć, że jednak coś ode mnie dostałeś. Nawet jeśli to tylko stara legenda umilająca wieczór przy ognisku.

– Dostałem o wiele więcej – odpowiedziałem. – Zostałem Poszukiwaczem.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Ale dziękuję za te słowa, chociaż wiesz, że to nieprawda. Bardzo tego żałuję. Ale mam powody, żeby czuć się z siebie dumny. – Zawiesił głos i wciąż spoglądając w gwiazdy, dodał: – Świetny z ciebie facet, Tirso. Tak, mój syn wyrósł na świetnego faceta. – Pokręcił lekko głową, uśmiechając się. – Nie wyobrażasz sobie, jak miło jest móc to powiedzieć.

Zapewne nie tak miło, jak usłyszeć te słowa z ust własnego ojca.

– Z ciebie też jest fajny gość.

Zaśmiał się.

– Para niezłych gości. Może powinniśmy ich sobie przedstawić, żeby się poznali i zaczęli wspólnie spędzać czas. Coś mi się wydaje, że mogliby się polubić. – Odwrócił się i ruszył w stronę obozu. – Dobranoc, synu.

Ja zostałem jeszcze chwilę, licząc gwiazdy nad głową. Nie mogłem się nacieszyć wrażeniem, jakie zrobiło na mnie to, że najlepszy Poszukiwacz w najnowszej historii Korpusu jest ze mnie dumny.

I do tego jest moim ojcem.

Kiedy wszedłem do namiotu, Yokai jeszcze nie spał. Siedział na swoim śpiworze z zeszytem na kolanach i latarką na czole. Coś notował. Chłopak tęsknił za komputerem,

a jego brak rekompensował mu wymięty zeszyt, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Yokai, jeśli masz zamiar dokonać jakiegoś nowego odkrycia, proszę cię, żebyś powiedział mi o tym teraz, a nie budził mnie nad ranem. Naprawdę muszę się dziś wyspać.

– Co? A nie, spokojnie. Żadnych odkryć, tylko coś sprawdzałem, zaraz kończę.

– Znów wsadził nos w zeszyt. – Bardzo dziwne...

– Co jest takie dziwne?

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że notuję odległości, które przemierzamy, zanim zmienimy kierunek? Szukałem jakiegoś wzorca tłumaczącego ruchy naszych przewodników.

– No tak. Rico intonował jakąś pieśń, a kiedy dochodził do ostatniej strofy, zmieniał kierunek. Tak samo robi Sita.

– Tak, tak, wiem, pieśń, Sita mi opowiedziała, ale ja byłem ciekaw, czy przemierzana przez nas odległość jest w jakiś sposób stała. Pomyślałem, że Rico i Sita zmieniają kierunek po przejściu określonej liczby metrów, według jakiegoś stałego wzorca, coś takiego... Gdybym zdołał odkryć ten wzorzec, być może przydałoby się nam to, gdybyśmy się zgubili.

– Sam na to wpadłeś? – zapytałem. – To bardzo inteligentny pomysł.

– Tak naprawdę zasugerowała mi to Enigma. Ale to ja notuję.

– Wspaniale. I znalazłeś jakiś wzorzec?

– Chyba tak, ale niedokładnie taki, jakiego się spodziewałem. – Pokazał mi stronę zapisaną cyframi w kolumnie. Wskazał ostatnie cztery. – Zobacz, te liczby oznaczają odległości w metrach, jakie przemierzaliśmy od początku szlaku do chwili, kiedy rozbiliśmy obóz

– No widzę. Ale bardzo różnią się od siebie, nie widzę, żeby cokolwiek je łączyło.

– Na pierwszy rzut oka tak się wydaje, ale po tym, co zaszło wczoraj w piramidzie, przyszło mi do głowy pomnożyć je przez świętą liczbę, czyli pięć. Zrobiłem to z liczbami całkowitymi, nie zwracając sobie głowy ułamkami.

– No i?

Yokai pokazał mi kolejną kartkę, na której widniały cztery wyniki mnożenia, zapisane starannie jeden pod drugim:

11000100

10010100

11001111

11001001

– No popatrz – mruknąłem, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. – To rzeczywiście ciekawe.

– Ciekawe? – obruszył się. – To kurewsko dziwne. Wiesz, co to jest?

– No, widzę zera i jedyńki.

– To liczby zapisane w systemie binarnym – powiedział takim tonem, jakby wyjaśniał jakiemuś idiotcie, że słońce wschodzi na wschodzie. – I to nie są przypadkowe cyfry, wszystkie mają jakieś znaczenie. Pierwsza to stała Liouville’a, druga: ciąg Fibonacciego, a jeśli zmienisz dwie ostatnie na ułamki dziesiętne, z pierwszego uzyskasz liczbę pi, z drugiego złoty podział.

– Poczekaj, Yokai, nie pędź tak, bo się zgubiłem. Co to właściwie oznacza?

– To matematyczne pojęcia – wyjaśnił. – Matematyczne pojęcia wyrażone w kodzie dwójkowym. Jeszcze nie próbowałem pomnożyć przez pięć wszystkich przemierzonych przez nas odległości, ale te, z którymi to zrobiłem, dają wynik wyrażony w kodzie binarnym.

Wiedza matematyczna Yokaiego była o wiele głębsza od mojej, dlatego był bardziej ode mnie zaskoczony swoim odkryciem. Ja dopatrywałem się w nim raczej ciekawego zbiegu okoliczności.

– Dobrze, to kody binarne – powiedziałem. – Ale co to właściwie oznacza dla nas? Dlaczego używali kodów dwójkowych?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, patrząc w swój notes i marszcząc brwi. – Ale jedno wiem na pewno. Jeśli ci Indianie naprawdę potrafili stworzyć taki wzorzec, to musieli być niezłymi bystrzakami, o wiele większymi, niż możemy to sobie wyobrazić.

– Nie jestem tym zdziwiony, widziałeś to urządzenie, które zabiło Rica.

– Wiem, wiem... Ale zastanów się: każdy inteligentny człowiek może zbudować urządzenie wytwarzające prąd. To prosta mechanika, nie musisz nawet wiedzieć, jak działa. Ale to... – Postukał długopisem w zeszyt. – To kod binarny wyrażający czysto matematyczne pojęcia. Żeby zrobić coś takiego, nie wystarczy inteligencja, trzeba być pieprzonym geniuszem. Ci Walkatekowie zaczynają mnie przerażać.

– Dlaczego?

– Bo mimo całej swojej wiedzy i umiejętności po prostu zniknęli. Przypomnij sobie, na co natknęliśmy się dzisiaj, same ruiny i osmalone kamienie. Kultura, która dysponuje taką wiedzą, nie znika z dnia na dzień, nie zostawiając po sobie śladu. Chyba że coś ją zniszczy.

– Co mianowicie?

Nagle przyszło mi do głowy zdanie, które powiedziałem chwilę wcześniej, snując przy ognisku swoją opowieść. „Niszczycielska siła, której nikt prócz Boga nie potrafi powstrzymać”.

– Nie wiem, Faro – przyznał chłopak. – Ale nie chciałbym się tego dowiedzieć.

Zgasił latarkę i wyciągnął się w swoim śpiworze. Zrobiłem to samo. Okazało się, że nie usnąłem tak szybko, jak tego oczekiwałem.

Tej nocy również nie było mi pisane spać spokojnie, mimo że bardzo tego potrzebowałem. Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy na zewnątrz rozległ się krzyk. Natychmiast otworzyłem oczy.

– Co to było? – zapytałem.

– Chyba któraś z dziewczyn.

Krzyk rozlegający się w dżungli w środku nocy niechybnie zwiastuje niebezpieczeństwo. Chwyciłem maczetę i razem z Yokaim wybiegłem z namiotu. Okazało się, że na polanie stali już Bańka, Enigma i Piorun, wszyscy uzbrojeni w maczety.

– Słyszeliście to? – zapytał ojciec.

– Tak – odparłem. – Gdzie Danny i Sita?

– Sita jest w namiocie, powiedziałam jej, żeby została – wyjaśniła Enigma.

– A gdzie jest Danny, nie wiem. Wyszła przed chwilą, to chyba ona krzyczała.

– Dlaczego, do cholery, wychodziła z namiotu? – denerwował się Bańka.

– A jak myślisz? Nie wiem, jak w twoim namiocie, ale w naszym brakuje łazienki

– odparła zirytowana Enigma.

Bańka kilka razy zawołał siostrę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Usłyszeliśmy szelest w chaszczach otaczających polanę. Wszyscy odwróciliśmy się w tamtą stronę.

Nagle z zarośli wyłoniła się Danny. Biegła co sił w nogach w naszym kierunku, prawie wpadła na Bańkę, który chwycił ją w ramiona.

– Danny? Gdzie byłeś? To ty krzyczałeś?

Oddychała szybko.

– Widziałam to! Tam, w krzakach!

– Co widziałaś?

– Nie... nie wiem, coś wielkiego poruszało się w liściach. – Zaczęła oddychać głębiej i powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. – Przestraszyłam się i krzyknęłam, przepraszam. Myślałam, że to jakieś dzikie zwierzę, przeraziłam się i zaczęłam uciekać.

– Jak duże było to coś?

– Tak duże, że mnie przeraziło, Saulu, a to nie takie proste. To był cień, który się poruszał, wysoki na cztery, może pięć metrów.

– W lesie tropikalnym nie ma takich zwierząt – powiedział mój ojciec poważnym tonem. A potem się poprawił: – Przynajmniej o ile wiem.

W tej chwili usłyszeliśmy całą gamę dziwnych odgłosów dochodzących z gęstwiny. Pierwszy brzmiał jak dźwięk setki zardzewiałych bram otwieranych naraz, potem wycia i gwizdy koszmarnie raniące uszy. W koronach otaczających polanę drzew zawrzało i zobaczyliśmy wzbijające się do lotu stado nietoperzy, wielkich jak lisy. Przeleciały nad naszymi głowami, a potem znów usłyszeliśmy metaliczny terkot otwieranych wrót pomieszany z jękami nocnych zwierząt.

Instynktownie uformowaliśmy okrąg, stając do siebie plecami i wyciągając maczety w otaczającą nas selwę.

Nagle rozległ się huk podobny do eksplozji. Z zarośli wybiegło stado wyjących ze strachu szympansów. Były wielkie i czarne, miały długie łapy, którymi histerycznie potrzęsały. Nie mam pojęcia, ile ich wypadło na polanę, ale było to całe wściekłe stado.

Mały biegły prosto na nas. Wiele ominęło nas w ostatniej chwili, jakby uciekały przed czymś, inne wyszczerzyły na nas swoje ostre, zepsute zęby. Jedna rzuciła mi się na szyję, wystawiając grube, przerażające szpony, które przypominały bardziej pazury niedźwiedzia niż mały. Udało mi się odskoczyć, tak że zwierzę tylko zadrapało mnie w szyję, chociaż mogło poderżnąć mi gardło.

Szympanś otworzył pysk i krzyknął. Przedstawiał sobą groteskowy widok. Miał wielkie ciało i maleńką głowę, oczy natomiast nieproporcjonalnie wielkie, czerwone i pozbawione powiek. Kształt jego nosa czynił go niepokojąco podobnym do człowieka. Całe ciało porośnięte było czerwonym futrem z wyjątkiem twarzy, która zdawała się maską z czarnej skóry pełną blizn i krost. Przez jeden policzek przechodziła koszmarna rana, w której dostrzegłem robaki i kleszcze.

Szympanś ponownie skoczył mi do szyi. Zamachnąłem się maczetą, jakbym miał ściąć grubą gałąź, i ugodziłem zwierzę w pierś. Wrzasnął jak dziecko – od jego krzyku włosy zjeżyły mi się na głowie – i runął na ziemię. Krew obficie tryskała spomiędzy żeber. Krzyczał, wył i wymachiwał pazurami. Podszedłem do zwierzęcia i wbiłem mu maczetę w gardło.

Moi towarzysze też musieli stawić czoło tym potwornym naczelnym. Większość małp uciekała, nie zwracając na nas uwagi, natomiast te, które były ranne, zatrzymywały się, żeby się z nami zmierzyć. Bańka zabił dwie, Danny jedną. Enigma zraniła jedno zwierzę, które zdołało uciec, ale zanim zniknęło w zaroślach, odwróciło się do nas i wściekle fuknęło. Było to już ostatnie ze stada.

– Wszyscy cali? – zapytałem.

Nikt nie doznał poważniejszych obrażeń, mieliśmy tylko powierzchowne zadrapania. Enigma poszła po apteczkę, żeby przynieść bandażę, gazę i środki dezynfekujące.

Piorun przypatrywał się trupowi szympansa z obrzydzeniem na twarzy. Bańka zabił zwierzę, wbijając mu maczetę w pierś. Było identyczne jak to, które zaatakowało mnie, z tym wyjątkiem, że skórę pokrywały mu żółtawe pęcherze wystające spomiędzy sierści. Oświetliłem je latarką i z przerażeniem zobaczyłem, że ma troje oczu, chociaż jedno z nich było o wiele mniejsze, w stanie atrofii.

– Co to za obrzydliwe stwory? – zapytałem.

– Pojęcia nie mam – odparł ojciec. – Przypominają małpy, ale w życiu nie widziałem małpy z takimi szponami.

– Chyba przed czymś uciekały – zauważyła Enigma, która wręczyła mi wacik i spirytus, żebym przemył swoje zadrapania. – Patrzcie, ten ma o jedno oko za dużo. Widziałam też małpę z głową pełną guzów. Ohyda.

– Faro, pamiętasz tego owada, którego widzieliśmy rano? – zapytał ojciec.

– Właśnie o nim myślałem.

Enigma dopytywała się, o czym rozmawiamy. Wyjaśniłem jej.

– Och, ja też wpadłam na coś podobnego, tyle że tamten owad był jak najbardziej żywy. Widziałam, jak łązi po drzewie, i prawie zemdlałam ze strachu, ale nic nie mówiłam, żeby nie wystraszyć Yokaiego.

Była to mądra decyzja. Lepiej, żeby chłopak nie wiedział, że w tej części dżungli mieszkają gigantyczne latające pająki.

– Pająki nie latają – powiedział ojciec. – A małpy nie mają niedźwiedzich pazurów i więcej niż jednej pary oczu. To nie jest normalne. Mam wrażenie, że tutejsza fauna przeszła jakieś przerażające mutacje.

Zmutowane zwierzęta i zgliszczą – to właśnie powitało nas na nowym odcinku

szlaku, niespecjalnie zachęcając do dalszej wędrówki.

Wynieśliśmy martwe małpy z polany, żeby nie zwabiły innych zwierząt, i udaliśmy się z powrotem do namiotów. Tej nocy po raz pierwszy, odkąd znaleźliśmy się w dżungli, wystawiliśmy warty. I obawiałem się, że odtąd będziemy musieli to robić co noc.

Kolejny dzień wstał wśród lepkiej mgły, która przyklejała się do ciała i ograniczała widoczność do kilku metrów. Towarzyszyła nam przez całą drogę, od czasu do czasu dochodziły jeszcze przelotne opady deszczu. Nie dziwiłbym się, gdyby Sita powiedziała, że się zgubiła, ale dziewczyna prowadziła nas zgodnie ze wskazówkami swojej melodii *mauakaro* z godną podziwu sprawnością. Była równie dobrą przewodniczką jak jej wuj.

Dochodziło południe, kiedy dotarliśmy na krawędź urwiska. Gęsta mgła nie pozwalała się domyślić jego głębokości. Pochyliłem się nad przepaścią, ale ujrzałem tylko morze mgły. Bańka wrzucił do niej duży kamień, który zniknął, nie wydając żadnego dźwięku.

Ruszyliśmy brzegiem urwiska i po kilkunastu metrach natknęliśmy się na dwa kamiennie słupki, a między nimi drewniany mostek wiszący na grubych drutach. Jego drugi koniec nie był widoczny ze względu na mgłę, ale sprawiał wrażenie całkiem długiego.

Enigma odkryła na jednym ze słupków inskrypcję. Piorun przeczytał:

– Szlak Węża.

Wreszcie ostatni etap drogi, nie spodziewałem się, że natkniemy się na niego tak szybko. Zdawało się, że w miarę jak zbliżaliśmy się do Miasta Świętych Mężów, wędrówka każdym kolejnym szlakiem stawała się krótsza. Jeśli moje obserwacje były słuszne, nasz cel znajdował się w zasięgu ręki.

Może po drugiej stronie mostu?

Zwróciłem się do moich towarzyszy.

– Dotarliśmy o wiele dalej niż ktokolwiek przez ostatnie kilka stuleci – powiedziałem. – Jest to zwycięstwo, z którego powinniśmy być dumni. Ja jestem. Jestem dumny z was wszystkich. Chciałem, żebyście o tym wiedzieli. I chciałem wam podziękować.

Nie jestem mistrzem motywujących pogadanek, ale miałem wrażenie, że te kilka prostych zdań poruszyło pozostałych Poszukiwaczy. Przynajmniej niektórych.

– Nie ma czasu na przemówienia, młody. Wcześniej czy później i tak będziesz musiał wejść na ten zasrany most.

Enigma ostrożnie postawiła stopę na pierwszej desce. Rozległo się lekkie trzaśnięcie.

– Mostek wytrzyma? Bo oczywiście upadek w przepaść mgły w środku dżungli to bardzo romantyczna śmierć, ale jakoś nie chciałabym jej doświadczyć.

Piorun przyglądał się konstrukcji podejrzliwie, szczypiąc się w dolną wargę.

– Deski są z mahoniu, to bardzo trwałe drewno, odporne na wilgoć i robaki, nic nie powinno się stać. A te druty wyglądają na solidne. Nie wiem wprawdzie, co tu robią, ale widziałem już dziwniejsze rzeczy, więc nie zaskakuje mnie taka drobnostka. – Spojrzał na wszystkich po kolei. – Gdybym mógł wybierać, raczej nie wchodziłbym na ten most,

ale jako że zostałem tej możliwości pozbawiony, cieszę się przynajmniej, że materiały są w dobrym gatunku.

Niezupełnie mnie to uspokajało.

– Ja pójdę pierwszy – powiedział Yokai. – Na pewno ważę najmniej ze wszystkich.

– Od kilku dni niedojadamy, pocimy się jak myszy, nikt z nas nie może w tej chwili pochwalić się nadwagą – odparłem. – Ja pójdę pierwszy.

Rozległy się protesty, ale niezbyt śmiałe. Nikt z moich towarzyszy nie kwapił się nadstawiać karku na tej kładce i nie miałem do nich o to pretensji, sam zacząłem żałować swojej decyzji.

Chwyciłem się mocno drutów służących za poręcz i przeniosłem cały ciężar ciała na deski mostu. Jęknął jak stara łajba podczas tajfunu, ale drewno się nie złamało. To dodało mi odwagi, żeby zrobić kolejny krok.

Niestety nigdy go nie postawiłem.

Za moimi plecami rozległ się strzał. Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem, jak pośród mgły materializuje się postać, której nie spodziewałem się zastać w środku dżungli.

Był to ochroniarz Wotanu.

Rozpoznałem na jego uniformie trójkątny znak. Był uzbrojony w obrzyna, z którego oddał kolejny ostrzegawczy strzał w powietrze. Nagle ukazali się kolejni mężczyźni ubrani tak samo jak on, wszyscy uzbrojeni. Otoczyli nas i wycelowali z broni. Było ich sześciu, potem dołączyło do nich jeszcze dwóch Indian prowadzących zwierzęta juczne.

Na grzbiecie jednego z nich siedział David Yoonah.

Pomyślałem, że to nie może być prawda, że cierpię na halucynacje. Byliśmy przecież przekonani, że ludzie Voynicha błędzą w tej chwili w dżungli, a nie zastawiają na nas pułapki.

Matematyk uśmiechał się do nas. Jeden z Indian pomógł mu zejść z siodła. Zauważyłem, że porusza się bez kul, ale ruchy jego nóg były sztywne, jakby coś nie pozwalało mu zginać ich w naturalny sposób. Poza tym miał zadrapania na twarzy, a jego oczy płonęły jakby w gorączce, wydałby mi się chorym człowiekiem, gdyby nie triumfalny uśmiech na ustach.

– Pan Alfaro – powiedział, zbliżając się do nas krokami robota. – Zaczynam sądzić, że jest pan nieśmiertelny. Nie wiem nawet, czy nie rozkazać moim ludziom, żeby otworzyli ogień i rozwiali moje wątpliwości.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Rozglądałem się zdumiony wokół, jakbym mógł w ten sposób znaleźć wytłumaczenie dla tego, co się tu dzieje. Jeden z ochroniarzy zabrał moim towarzyszom maczety, a potem zmusił ich, żeby uklękli i splekli ręce na głowach. Stanął za nimi i wycelował w głowę Sity.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Yoonah nas znalazł.

– Nie! – krzyknąłem. – Niech pan nie robi jej krzywdy, to jeszcze dziecko!

Matematyk skrzywił się z pogardą.

– Ja nie zabijam dzieci, panie Alfaro. Ani dorosłych, jeśli mogę tego uniknąć. To

tylko konieczne środki ostrożności, żeby nikt z grupy nie popełnił jakiegoś głupstwa. Teraz niech pan podniesie ręce i do nich dołączy. – Wykonałem polecenie i ukląknę przy Enigmie, przez cały czas nie odrywając spojrzenia od matematyka. On obserwował nas z wyrazem zdumienia na twarzy. – Jeśli pozwolą mi państwo na obserwację, stanowicie nader malowniczą grupę. Dwoje nastolatków, podstarzały ksiądz... A jednak dotarliście tak daleko, mimo tak wrogiego otoczenia... Zastanawiam się, jak tego dokonaliście.

– Może sekret polega na tym, że nie zapuściliśmy się w dżunglę ubrani od stóp do głów w czarne stroje – wypalił mój ojciec. – Ten kolor przyciąga owady, idioto.

– Wiem... Zdążyliśmy to zauważyć. Było nas więcej, kiedy zaczęliśmy was śledzić. Upodobanie do mundurów tym razem obróciło się przeciwko nam, przyznaję z bólem serca. – Yoonah uśmiechnął się, jakby powiedział właśnie jakiś przezabawny dowcip. – Tu popełniliśmy błąd, ale poza tym jesteśmy świetnie wyposażeni. Zabraliśmy nawet zwierzęta juczne, o czym wy najwyraźniej zapomnieliście.

– Jeśli naprawdę ma pan taką wielką ochotę, żeby sobie postrzelać, niech pan dobije te biedne zwierzęta i skróci ich cierpienie. Naprawdę nie widzi pan, że ledwo zipią?

– Widzę to i czuję nosem. Niestety muszę ich dosiadać – odparł Yoonah. – Tylko dlatego na razie nie mogę się bez nich obyć. Moje nogi... zresztą pan Alfaro na pewno może zrelacjonować tę historię ze szczegółami. – Podeszedł do mnie i uniósł nogawkę, pokazując coś w rodzaju ciemnego stelaża opasującego łydkę. – Wspaniała, prawda? Węglowa proteza. Oczywiście to technologia Voynicha, jeszcze w fazie eksperymentalnej, ale czy istnieją lepsze warunki na jej testowanie niż ekspedycja do dżungli? Niż ta ekspedycja do dżungli – powtórzył, kładąc nacisk na zaimek „ta”. – Jesteśmy o krok od najważniejszego odkrycia naszych czasów, a może i w całej historii ludzkości, za nic w świecie nie chciałem tego przegapić. Ani ja, ani Lilith.

– Jest tutaj? – zapytałem.

– Niedługo przybędzie. Jesteśmy jej strażą przednią. Ucieszy się na wieść, że w końcu was znaleźliśmy, że nasze namierzenie okazało się tak skuteczne.

„Namierzenie”. Yoonah powiedział o jedno słowo za dużo, teraz się domyślałem, że w rzeczywistości wcale nas nie śledzili, lecz namierzili naszą pozycję; ale nie mogłem zrozumieć, jak, do cholery, im się to udało. Nie używaliśmy przecież telefonów komórkowych – tu w leśnej gęstwinie były bezużyteczne – ani żadnego innego urządzenia, które pozwoliłoby Voynichowi nas zlokalizować.

Jak więc to zrobili?

Mój wzrok spoczął na plecaku Yokaiego i w końcu odgadłem.

Nadajnik satelitarny Lacombe, który chłopak włączał i wyłączał co wieczór.

Teraz zrozumiałem, dlaczego w urządzeniu nagle spadł poziom baterii. Yokai miał rację, podejrzewając, że ktoś używał go po kryjomu, ta osoba zrobiła to, żeby zdradzić Voynichowi nasze położenie, może nawet Yoonah mógł śledzić nasze postępy każdego wieczoru, kiedy Yokai włączał urządzenie. Chłopak przez cały czas nosił na plecach szpiega.

Pozostawało jeszcze jedno pytanie. Dałbym bardzo wiele, żeby nie musieć go sobie stawiać nigdy więcej: kto z moich towarzyszy współpracował z Voynichem?

Każdemu z Poszukiwaczy powierzyłbym własne życie. W gruncie rzeczy robiłem

to już wielokrotnie i nigdy mnie nie zawiedli. To niemożliwe, żeby któryś z nich był zdrajcą. Musiało istnieć inne wyjaśnienie.

Modliłem się, żeby tak było.

Yoonah i jego ludzie rozbili prowizoryczny obóz na zwęglonej polanie, podobnej do tej, na której spaliśmy ubiegłej nocy.

Oprócz Yoonaha i dwóch Indian grupę tworzyło ośmiu ochroniarzy Wotanu. Niektórzy wyglądali na bardzo chorych, wszyscy mieli ślady po ukąszeniach owadów. Miałem wrażenie, że selwa Los Morenos obeszała się z nimi dużo gorzej niż z nami.

Zmusili nas do siedzenia na ziemi, opieraliśmy się o plecy towarzyszy i trzymaliśmy ręce za głowami. Trzech mężczyzn pilnowało nas, nie opuszczając broni, Yoonah zaś nadzorował rozbijanie obozu. Oczywiście Voynich podróżował, mając do dyspozycji mnóstwo elektronicznych gadżetów, nowoczesnych i skomplikowanych, w opakowaniach z syntetycznego materiału. Mieli nawet urządzenie podobne do telefonu z rozkładaną anteną metrowej długości.

Wokół nas mgła ciągle gęstniała. Zaczął siąpić drobny deszczyk, chociaż nie odczuliśmy tego zbyt, bo przy tej wilgotności i tak byliśmy cali mokrzy.

Yoonah krążył wokół nas swoimi kroczkami robota, przezroczysta peleryna chroniła go przed deszczem. Podszedł do urządzenia w kształcie telefonu i podniósł słuchawkę.

– Tu Yoonah, złapaliśmy ich – powiedział. Przekazał współrzędne, które odczytał na ekranie niewielkiego aparatu. Potem odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie. Miałem wrażenie, że sprawia mu ogromną przyjemność patrzeć na mnie, jak siedzę w deszczu, z rękami za głową. – Lilith zjawi się wkrótce. Podałem naszą pozycję ostatniemu obozowi bazowemu, gdzie w tej chwili przebywa.

– Dlaczego pan sądzi, że to w ogóle mnie obchodzi? – zapytałem wściekły.

– Powinno. Lilith zadecyduje o waszym losie – odparł. – W każdym razie nie żywiłbym zbyt nadziei. Już was nie potrzebujemy.

– Zabijecie nas? – spytał Bańka.

– Niektórzy sobie na to zasłużyli. – Yoonah znów spojrzał na mnie znacząco. – Ale to nie ode mnie zależy.

W tej chwili z mgły wyłonili się dwaj mężczyźni z Wotanu. Mieli wiadomość dla matematyka.

– Doktorze, znaleźliśmy drugi most, jakieś sto pięćdziesiąt metrów stąd na wschód.

– Świetnie. Podejrzewam, że Walkatekowie zbudowali ich kilka, żeby móc się przeprawiać na drugą stronę przepaści. W jakim jest stanie?

– Wygląda na solidny.

Yoonah pokiwał głową.

– Poczekajmy, aż Lilith i reszta ekspedycji do nas dołączy, a potem ruszymy na Szlak Węża. – Yoonah popatrzył na mnie. – Chciałby nam pan towarzyszyć, Alfaro?

Pytanie zupełnie mnie zaskoczyło. Nie spodziewałem się podobnej propozycji.

– Co pan ma na myśli?

Matematyk wziął jedno z czarnych pudeł i podał mi je. W środku, chroniona

piankowym futerałem, spoczywała spora plastikowa tuba. Yoonah ją wyjął, żeby mi pokazać.

– Pewnie domyśla się pan, co jest w środku. Otóż ma pan rację: testament mezogocki. Oryginał. Ocalony cudem z tuneli londyńskiego metra. Pokazuję go panu, gdyż po raz kolejny podczas naszej skomplikowanej znajomości chciałbym zaproponować uczciwy układ.

– Czemu się pan tak przy tym upiera? Przecież wie pan, że się nie zgodzę.

– Upieram się, panie Alfaro, gdyż jestem człowiekiem praktycznym i racjonalnym, chociaż pan postrzega mnie jako czarny charakter. Powtarzam, że ten obraz jest jedynie wytworem pańskiej wyobraźni.

Cynizm tego człowieka nie przestawał mnie zadziwiać.

– Niech pana piekło pochłonie – powiedziałem zdenerwowany.

Udał, że tego nie usłyszał.

– Sądzę, że miał pan okazję przestudiować testament, w przeciwnym wypadku nie dotarłby pan tak daleko. Nasi eksperci również to zrobili, ale jest jeden punkt, co do którego mamy wątpliwości: Szem ha-Meforasz, Imię nad Imionami. Autor manuskryptu twierdzi, że je przekazał, ale nie potrafimy go znaleźć.

– A co każe panu przypuszczać, że ja to wiem?

– Pan zna to słowo, rozszyfrował pan manuskrypt, nie zapuszczałby się pan w dżunglę, nie mając wszystkich elementów układanki. Znam pana, nie jest pan aż taki głupi. – Miałem ochotę roześmiać mu się w twarz: pomimo naszej długiej i serdecznej przyjaźni Yoonah najwyraźniej nadal mnie przeceniał. Byłem nawet trochę rozczarowany. – Niech pan nam zdradzi, jak brzmi święte słowo, a pozwolę panu pójść z nami do końca, do zaginionego miasta. Pragnie je pan ujrzeć na własne oczy tak bardzo jak my, proszę nie zaprzeczać.

Nie podzieliłbym się z nim tą informacją, nawet gdybym ją znał, ale zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem go oszukać, powiedzieć, że rzeczywiście poznałem sekret Imienia nad Imionami, tylko po to, żeby zyskać na czasie i znaleźć wyjście z tej niewesołej sytuacji.

Miałem tylko nadzieję, że moi towarzysze zrozumieją cel mojej gry i nie pomieszają mi szyków.

Już otwierałem usta, żeby udzielić wymijającej odpowiedzi, ale coś mi przeszkodziło.

Wśród deszczu i mgły rozległ się dźwięk, który odbił się wokół przeraźliwym echem. Było to coś w rodzaju metalicznego terkotu, jakby za naszymi plecami otwierały się zardzewiałe wrota piekieł. Brzmiał dokładnie tak samo jak ten odgłos, który słyszeliśmy poprzedniej nocy na chwilę przed tym, jak zaatakowały nas zmutowane szympansy. Wydawało się jednak, że tym razem źródło dźwięku znajduje o wiele bliżej.

Tuż nad nami.

Wszyscy w obozie znieruchomieli w milczeniu i z niepokojem wpatrywali się w mgłę. Po chwili dźwięk ucichł i słychać było tylko delikatny szum deszczu.

Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał.

Yoonah schował manuskrypt i zawołał jednego z ochroniarzy.

- Co to było?
- Nie wiem, panie doktorze.
- Proszę to sprawdzić. Szybko!

Trzech uzbrojonych mężczyzn ruszyło przed siebie i zniknęło we mgle. Nagle znów rozległ się ten przerażający dźwięk, jakby przetaczała się nad nami lawina żelaznych bloków.

Usłyszeliśmy krzyk.

Mgła wypluła martwe ciało jednego z ochroniarzy. Miał rozłupaną czaszkę, w jednym oku, które było na swoim miejscu, malowało się przerażenie. Upadł w kałużę, która zaczęła się zabarwiać na kolor krwi.

A potem ujrzeliśmy coś, czego nie mogliśmy się spodziewać.

Kiedy patrzyłem na to, co wyłania się z mgły, przysły mi do głowy dwa słowa.

Nanej makajmucharu. Po walkatecku rzeczy, które nie powinny się poruszać, a jednak... się poruszają.

Nagle nad nami ukazały się głośnie, kolosalne maszyny pełne zardzewiałych łożysk, jęczących jak setki noży przesuwanych po tablicy. Monstrualne zjawy sprawiały wrażenie dzieł szalonego mechanika.

Kształtem przypominały automaty, które zaatakowały Enigmę i mnie w Asturii, ale były od tamtych o wiele większe i bardziej groteskowe. Składały się z okrągłych pancerzy, od których odchodziły zginające się odnóża, na których stwory poruszały się bez określonego celu niczym gigantyczne stawonogi.

Olbrzymie metalowe pająki. Straszna płatanina wyrostków połączonych prętami, płytkami i kołami zębatymi, niektóre kręciły się jak szalone. Te maszyny o nieprawdopodobnej konstrukcji wydawały stukoty i piski wbijające się w błonę bębenkową jak szpilki: niektóre wysokie, inne tak niskie i podobne do ryków dzikiej bestii, że aż serce kołatało w piersi.

Dwa takie automaty wkroczyły na teren obozu. Były wielkości słoni. Ta trudna do wyobrażenia wizja zupełnie mnie sparaliżowała, nie mogłem się ruszyć, wpatrywałem się w nie tylko z taką samą fascynacją, z jaką obserwuje się światła nadjeżdżającej ciężarówki, która za chwilę nas rozjedzie. Jedna z maszyn miała cztery ramiona obracające się wokół czegoś na kształt wieży strzelniczej, zakończone ostrymi sekatorami, które przeraźliwie szczękały. Druga na swojej przedniej części – albo tym, co uznałem za przednią część – miała gigantyczny wałek z ostrzami, który nie tylko wirował, ale też poruszał się w górę i w dół, niszcząc wszystko, co napotkał po drodze.

Nagle maszyna z wałkiem wypluła z siebie strumień ognia, od którego zajęły się ubrania dwóch ochroniarzy. Z krzykiem puścili się pędem przed siebie jak żywe pochodnie, zapalając wszystko po drodze. W końcu runęli na ziemię.

Wokół nas rozpełtał się chaos.

Kto żyw, rzucił się do ucieczki. Wokół zaczęły się rozgrywać dantejskie sceny. Niektórzy ludzie z Wotanu zaczęli strzelać do maszyny zionącej ogniem. Kiedy przekonali się, że kule są bezradne wobec takiego celu, zaczęli w popłochu uciekać. Jeden z nich został zdeptany przez nogę bojowego robota, która złamała mu kręgosłup, inny poślizgnął się w błocie i zanim zdołał się podnieść, spadło na niego ramię zakończone

ostrzami. Wył jak zwierzę, kiedy ostrza wrzynały mu się w ciało.

Wpadłem w panikę, miałem w głowie tylko jedno: uciekać jak najdalej przed tymi siejącymi spustoszenie potworami, zamieniającymi nasze obozowisko w pole bitwy. Machina z wieżyczką wystrzeliła hak na sznurze, który wbił się w szyję przebiegającego obok mnie Indianina. Jakby była inteligentną istotą, przyciągnęła go do siebie, a potem pogruchotała mu ciało koszmarnymi nożycami. Powtórzyła tę samą operację z dwoma ochroniarzami Wotanu, jednemu wbiła hak w głowę i zabiła na miejscu, drugiego trafiła w nogę. Żył jeszcze, kiedy mordercze sekatory przecięły go na pół w pasie.

Słyszałem wystrzały i krzyki, biegłem, omijając płomienie i ludzkie szczątki pokryte krwią i błotem. Pośród tego Armagedonu nie miałem nawet czasu, żeby pomyśleć o towarzyszach, myślałem tylko o tym, żeby znaleźć się poza zasięgiem diabelskich automatów. W strugach deszczu i tumanach mgły czułem się jak w piekle pełnym potworów.

I wtedy ktoś chwycił mnie za ramię. Był to Bańka.

– Na most, Faro! – krzyknął. – Biegnijmy na most!

Zacząłem zbierać myśli. Zobaczyłem, że większość towarzyszy była z Bańką, i zacząłem uciekać z nimi, ale mój wzrok spoczął na pudle, w którym Yoonah schował testament mezogocki, porzuconym obok kałuży.

– Biegnijcie, zaraz was dogonię! – krzyknąłem.

– Psiakrew, młody, co ty robisz?

Puściłem się w kierunku pudła, żeby odzyskać tubę z manuskrytem. Mijałem ochroniarzy Wotanu, którzy wcale mi nie przeszkadzali, zajęci ratowaniem własnej skóry przed zabójczymi robotami.

Bez przeszkód dopadłem pudła. Kiedy sięgałem po manuskrypt, zobaczyłem Yoonaha. Leżał na plecach w błocie. Trzymał pistolet i strzelał bez przerwy do jednego z automatów, tego z przeraźliwym bębniem z ostrzami, który nieubłaganie kroczył w jego stronę.

Pistolet się zaciął. Doktor próbował wstać, ale mu się nie udało. Machina była coraz bliżej.

Postanowiłem mu pomóc. Nie był to odruch litości, po prostu nie chciałem znów patrzeć, jak automat zmienia człowieka w mielonkę. Był to widok rodem z sennego koszmaru.

Nie zdołałem do niego dobiec, uprzedził mnie ochroniarz Wotanu. Doktor złapał go rozpaczliwie za ramiona tak mocno, że wstając, przewrócił mężczyznę na ziemię.

Patrzył na niego przez chwilę, a potem zaczął uciekać.

Nieszczęśnik próbował wstać, ale gruba warstwa śliskiego błota spowalniała jego ruchy. Nie udało mi się przyjść mu z pomocą – śmiercionośny wałek automatu najechał mu na nogi. Rozległy się przeraźliwe krzyki bólu, podczas gdy ostrza siekały ciało na kawałki. Wałek dotarł aż do głowy, z której trysnęły odłamki kości i płaty skóry.

Przycisnąłem manuskrypt do piersi i rzuciłem się biegiem w kierunku mostu, zostawiając coraz dalej za sobą odgłosy masakry.

Zostałem przyjaciół pomiędzy kamiennymi kolumnami znaczącymi początek Szlaku Węża. Powiedziałem, żeby przebiegli przez most, nie oglądając się za siebie, i tak

też zrobili. Wszyscy z wyjątkiem Bańki.

– Nikogo nie brakuje? – spytałem Bańkę.

– Nie ma Saula i Danny, myślałem, że są z tobą!

– Nie, byłem sam.

– Kurwa! Idę ich szukać, wygląda na to, że się zgubili.

I rzucił się pędem, zanim zdołałem go zatrzymać. Po chwili zniknął nam z oczu we mgle.

Pohamowałem swój pierwszy impuls, żeby pobiec za nim. Nie miało sensu, żebyśmy obaj szukali Danny i mojego ojca na własną rękę. Najrozsądniej było czekać tutaj i mieć nadzieję, że Bańka znajdzie ich całych i zdrowych. I to prędko.

Przez kilka kolejnych nerwowych minut nie pojawił się ani Bańka, ani pozostali. Enigma wróciła do mnie z drugiego krańca mostu.

– Yokai i Sita są już bezpieczni – powiedziała. – Czekamy na was. Gdzie reszta?

– Nie znaleźliśmy Danny ani Saula. Bańka po nich pobiegł. – Cmoknąłem niezadowolony. – Całe wieki temu... Zaczynam się poważnie niepokoić. A jeśli...? – Nie odważyłem się dokończyć.

Enigma wzięła mnie za rękę.

– Na pewno nic im nie jest, słońce. Poczekajmy jeszcze chwilę.

W tej samej chwili ktoś wyłonił się z mgły.

I nie był to Bańka. Ujrzyliśmy Yoonaha.

Matematyk nie był sam. Trzymał za kark mojego ojca i mierzył mu w głowę z pistoletu. Piorun miał twarz umazaną błotem i krwią sączącą się z niewielkiej rany na czole, poza tym nie zdradzał poważniejszych obrażeń.

Yoonah podszedł do mnie, żałośnie utykając. Zatrzymał się w odległości kilku metrów i przeładował broń.

– Przykro mi, synu – powiedział ojciec, który starał się nie okazywać emocji.

– Dałem się złapać temu sukinsynowi.

Poczułem przyływ niekontrolowanej furii.

– Wypuść go, Yoonah – wycodziłem przez zęby. – To tylko ksiądz.

– Wiem, wiem, interesuje mnie jedynie jako karta przetargowa. – Jego usta wykrzywiły się w groteskowym uśmiechu. – Teraz będziemy negocjować, panie Alfaro. Jeszcze raz.

– Czego pan ode mnie chce?

– Manuskrypt – powiedział, wskazując pistoletem na tubę, którą wciąż miałem pod pachą. – Tego chcę w zamian.

– Nie rób tego – powiedział ojciec. – Nie warto. To może ci się jeszcze przydać, ja nie jestem ci już potrzebny.

Mylił się. Zawsze go potrzebowałem, o wiele bardziej niż jakiegoś starego rękopisu. I to się nie zmieniło.

– Dobrze, Yoonah. Umowa stoi.

Podniosłem rękę – w jednej trzymając plastikową tubę – i postąpiłem krok naprzód. Matematyk mnie powstrzymał.

– Nie, nie, żadnych sztuczek. Chcę, żeby trzymał się pan z dala ode mnie, Alfaro.

Niech pan rzuci manuskrypt księdzu.

Piorun patrzył na mnie. Jego oczy mówiły: „To błąd”. Ale błędem byłoby znów stracić ojca, jeśli mogłem tego uniknąć.

Zrobiłem to, co polecił mi Yoonah. Piorun złapał w locie manuskrypt. A potem, kiedy już miał go w rękach, wymierzył nim cios matematykowi. Yoonah odskoczył. Ojciec kopnął go w kolano, Yoonah wydał okrzyk bólu i upadł na ziemię. Z manuskrytem w ręku Piorun ruszył biegiem w stronę mostu.

Zobaczyłem, jak Yoonah maca wokół w poszukiwaniu pistoletu. Znalazł go w końcu, wycelował i strzelił.

Ojciec runął na ziemię.

– Nie! – krzyknąłem.

Pobiegłem do niego. Żył, ale w boku miał ranę po kuli. Tryskała z niej krew. Wziąłem go w ramiona, żeby pomóc mu wstać.

– Uciekaj, Tirso, uciekaj! – rzucił, a twarz wykrzywił mu grymas bólu. – Znajdź to miasto.

Przed nami Yoonah, wijąc się na ziemi jak wąż, celował w nas z pistoletu. Na jego twarzy malowało się szaleństwo. Usłyszałem, jak przeładowuje broń, i wtuliłem się w ojca jak wystraszone dziecko.

Nagle Yoonah zawył jak zwierzę.

Z mgły wystrzelił hak na sznurze i wbił się w jego plecy. Sznur napiął się i zobaczyłem, jak ciągnie Yoonaha po błocie do jednego z automatów, które zaatakowały obóz.

Jedno ramię uniosło go ku wieżyczce, nożyce szczęknęły. Usłyszałem nieprzyjemny trzask kręgosłupa, z ust matematika buchnęła krew. Drugie ramię robota owinięło się wokół jego szyi i zacisnęło. Głowa oderwała się jak owoc z gałęzi i wpadła w wielką kałużę, podczas gdy gigantyczne nożyce cięły na kawałki ciało doktora.

Nawet nie miałem czasu, żeby się przerazić. Mechaniczny stwór kroczył teraz ku nam, dziurawiąc ziemię metalowymi łapami. Pociągnąłem ojca, który nie mógł wstać, jak najdalej od maszyny. Był dla mnie za ciężki, a poza tym grzęzłem w błocie. Za moimi plecami, coraz bliżej, ostrza robota trzaskały w powietrzu.

Wtedy zobaczyłem Enigmę, biegła do nas w deszczu, pod jej nogami chlupotała woda i rozmiękła ziemia. Złapała mojego ojca za ramię i pomogła mi go podnieść. Ruszyliśmy przed siebie, jedna z łap maszyny uniosła się nad nami, a potem wbiła w ziemię. W ostatniej chwili zdążyliśmy uskoczyć i uniknąć zmiżdżenia.

Biegliśmy co sił w nogach, przerażenie dodawało nam sił. Maszyna nas ścigała, na szczęście dzięki pomocy Enigmy udało nam się zwiększyć dzielący nas dystans.

W końcu stanęliśmy na deskach mostu. Biegliśmy dalej, od czasu do czasu któreś z nas potykało się albo ślizgało na mokrym drewnie. Widziałem już drugi brzeg, Sita i Yokai krzyczeli do nas, żebyśmy biegli szybciej.

Odważyłem się spojrzeć za siebie.

– O nie... – jęknąłem.

Niestety maszyna nie zatrzymała się na skraju mostu. Prąc ślepo naprzód, wbiła jedną z nóg w deski, potem postawiła drugą, która zwisała w powietrzu. Mimo wszystko

była coraz bliżej.

Patrzyłem z przerażeniem, jak metalowy gigant potyka się i przewraca na most.

– Biegnij, Enigmo, biegnij!

Konstrukcja była za słaba, żeby wytrzymać ciężar robota. Kiedy upadł, druty podtrzymujące most pękły z przeraźliwym trzaskiem i zaczęły fruwać wokół jak oszalałe bicze. Podłoże usuwało się nam spod nóg.

– Trzymaj się, Faro! – krzyknęła Enigma.

Gigantyczna machina runęła w przepaść. Serce podskoczyło mi do gardła. Po chwili wisieliśmy uczepleni krawędzi mostu jak mały bujające się na lianie.

Uderzyłem o ścianę wąwozu i otworzyłem oczy. Spojrzałem w górę, drobniutkie krople deszczu podrażniły mi oczy, mimo to zdołałem dostrzec twarze Yokaiego i Sity, którzy obserwowali nas z wysoka. Pod naszymi nogami – zamglona przepaść bez dna. Przed upadkiem powstrzymywała nas resztką sił, z jakimi rozpaczliwie uczepliliśmy się tej krawędzi mostu, która nie runęła w rozpadlinę.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Jedną ręką wczepiałem się w deskę, drugą podtrzymywałem ojca. Obok mnie Enigma była w identycznym położeniu. Piorun wisiał uczeplony naszych dłoni.

Spróbowałem podciągnąć się wyżej, opierając się stopami na deskach, ale nie mogłem się ruszyć. Ojciec był za ciężki, a ręka, którą trzymałem mokrą deskę, ześlizgiwała się. Jeśli chciałem dotrzeć na górę, musiałem puścić ojca, a nie byłem w stanie tego zrobić.

Nie miałem wyjścia, jak tylko wisieć na tym przeklętym moście w oczekiwaniu na to, aż siły mnie opuszczą i spadnę w przepaść. Podejrzywałem, że nie będę czekał długo.

– Ej, wy dwoje – usłyszałem głos Pioruna. – Puście mnie! Nie ma sensu, żebyśmy spadli wszyscy.

Zacisnąłem zęby i spojrzałem na Enigmę. Na jej twarzy widać było nadludzki wysiłek.

– Ruszaj! – powiedziałem. – Puść go i ratuj się.

Pokręciła głową.

– Albo wszyscy, albo nikt, słońce.

Wiedziałem, że zginiemy. Przyjąłem ten fakt z całkowitą obojętnością, może nawet fatalizmem: oto wybiła moja godzina i nie mogłem zrobić nic, żeby temu zapobiec.

Patrzyłem na Enigmę, chciałem, żeby ostatnią rzeczą, jaką zobaczę w życiu, była zieleń jej oczu. Mój amulet.

I wtedy most się poruszył. Spojrzałem w górę i ujrzałem Yokaiego, który trzymając się pękniętego drutu, schodził po ścianie urwiska jak alpinista. Przewiązał się nim w pasie. Głupi, nieostrożny dzieciak, co miał zamiar zrobić?

Chciałem krzyknąć, żeby przestał się wygłupiać, ale poczułem, że jeśli napnę choć jeden mięsień, choćby po to, żeby wydać dźwięk, całe moje ciało odmówi posłuszeństwa i wszystko runie jak domek z kart.

Chłopak dotarł na naszą wysokość, zatrzymał się obok i krzyknął do Saula, żeby chwycił się jego barków.

Kiepski pomysł. Jeśli ojciec zrobi fałszywy ruch, wszyscy troje spadniemy

w przepaść. Chciałem to powiedzieć, ale zdołałem tylko zamknąć oczy, żeby nie widzieć, jak mój ojciec ginie.

Na pewno istnieje anioł stróż, który czuwa nad Narodowym Korpusem Poszukiwaczy. I ten anioł musi mieć najwięcej roboty, ale jest też najskuteczniejszym z całych niebiańskich zastępów. Tym razem ukazał się nam pod postacią nastoletniego hakera o niewyparzonej gębie. Zacząłem wierzyć w cuda w tej samej chwili, kiedy zobaczyłem, jak ojciec obejmuje Yokaiego i obaj zaczynają się wspinać po ścianie urwiska. Sita pomagała im z góry, ciągnąc drut, żeby mogli poruszać się szybciej.

Odczułem uwolnienie się od ciężaru Pioruna jako prawdziwy dar niebios. Mogłem złapać się oburącz desek i spróbować wdrapać na szczyt urwiska. Włożyłem w to nadludzki wysiłek, ale wizja rychłej śmierci dodaje sił jak nic innego na świecie.

Kiedy dotarłem na górę, padłem na ubłoconą ziemię (błogosławiony, choć błotnisty grunt pod nogami), ale zerwałem się natychmiast, żeby pomóc Enigmie we wspinaczce. Obok nas Yokai i Piorun szczęśliwie dotarli do Sity i byli bezpieczni.

Pamiętam, że potem długo leżałem w błocie, patrząc w niebo, próbując wyrównać oddech i rozkoszując się cudownym uczuciem, że mam pod sobą ziemię, a nie przepaść.

WAŻ

Rana ojca nie wyglądała najlepiej. Na pierwszy rzut oka kula nie uszkodziła wprawdzie żadnego narządu, ale z niepokojem zauważyłem, że nie widać rany wylotowej.

Sita nałożyła na nią ziołową maść, którą zawsze miała przy sobie i ostatnio często jej używaliśmy, chociaż nigdy na tak poważne obrażenia. Dziewczyna zapewniła mnie, że na pewno zapobiegnie infekcji. Ale ojciec potrzebował szybkiej i fachowej pomocy medycznej. My nie mieliśmy nawet apteczki, została w obozie Voynicha razem z resztą naszego ekwipunku.

– Nie martwcie się o mnie – próbował nas pocieszać Piorun. – To tylko powierzchowna rana. Prawie nie boli.

Nie wydawał się załamany, a ja domyślałem się dlaczego. Jeszcze przed chwilą jego przyszłość malowała się w o wiele ciemniejszych barwach, mógł skończyć na dnie przepaści.

Niedaleko skraju urwiska, obok nieistniejącego już mostu, znaleźliśmy skromną kamienną budowlę podobną do budki wartowniczej, a raczej to, co z niej zostało. Schroniliśmy się tam i spróbowaliśmy udzielić ojcu pomocy. Cała reszta też miała skaleczenia i zadrapania, ale na szczęście żadne nie było poważne.

Przyznaję, że niepokój o ojca sprawił, że zapomniałem na chwilę o Bańce i Danny. Zmartwienia należy dawkować, a nie brać sobie do serca wszystkie naraz, i tak właśnie postąpiłem.

Dzięki temu oszczędziłem sobie niepotrzebnego stresu, bo rodzeństwo niedługo dołączyło do nas, w całkiem dobrym stanie.

Bańka znalazł Danny w zniszczonym obozie i razem wrócili na most. Tam natknęli się na zwłoki Yoonaha i zobaczyli, że przeprawa jest niemożliwa. Zaczęli obawiać się najgorszego.

Danny przypomniała sobie, że ochroniarz Wotanu wspomniał o innym moście oddalonym o kilkaset metrów, ruszyli więc na jego poszukiwanie. Znaleźli go bez problemu i przeprawili się na drugą stronę. Znaleźli nas, idąc skrajem urwiska. Ich widok – całych i zdrowych, w dodatku z częścią ekwipunku – był pierwszą dobrą rzeczą, która wydarzyła się tego trudnego dnia.

– Niczego więcej nie udało się nam uratować – powiedziała Danny, kładąc na ziemi jeden z tobołków. – Apteczka Voynicha, plecak Enigmy, kilka maczet i nadajnik satelitarny Lacombe.

Yokai rzucił się do niego. Otworzył torbę i zrobił niewesołą minę.

– Kurwa – wymamrotał. – Cały potrzaskany.

– Myślisz, że nie da się go naprawić? – zapytałem bez większych nadziei.

– Może się da, ale nie tymi narzędziami, które mam przy sobie.

Były też i dobre wiadomości. Apteczka Voynicha okazała się całkiem dobrze

zaopatrzona (o wiele lepiej od naszej), a w plecaku Enigmy zostało sporo prowiantu. Poza tym Bańka przyniósł ze sobą coś, czego widok bardzo mnie ucieszył.

– Znalazłem to po tamtej stronie, obok zwłok Yoonaha – powiedział z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Danny i ja pomyśleliśmy, że może to coś ważnego

– Mezogocki manuskrypt – powiedziałem, biorąc do ręki czarną tubę. – Świetnie, że go przyniosłeś. Zastanawiałem się, czy nie wrócić po niego i przy okazji po kilka innych rzeczy.

– Nie robiłbym tego, młody, w obozie nic już nie zostało. Wszystko jest albo zniszczone, albo spalone, przynieśliśmy z Danny to, co nadawało się jeszcze do użytku.

– Poza tym mordercze roboty nadal tam szaleją – dodała Danny.

– Tylko jeden. Drugi spadł w przepaść.

– Wszystko jedno. Nawet jeden wydaje mi się dość niebezpieczny. – Danny aż się wzdrygnęła. – Co to, u diabła, było?

– *Nanej makajmucharu* – odparł Piorun. – Strażnicy, roboty wyprodukowane przez Walkateków, którzy z pewnością wykorzystali moc Stołu Imienia nad Imionami do ochrony zaginionego miasta. Legenda głosi, że kiedy Indianie zniknęli, potwory zostały w dżungli.

Bańka pokręcił głową.

– Jakkolwiek by na to spojrzeć, to niemożliwe. Nikt, a już na pewno nie cywilizacja, która nie istnieje od wieków, nie może wyprodukować maszyny, która działa przez kilka stuleci. Maszyny potrzebują przecież zasilania.

Podzielałem wszystkie zastrzeżenia mojego towarzysza, miałem ich nawet więcej. Postanowiłem na razie nie przegrzewać sobie neuronów, próbując zracjonalizować to, co widzieliśmy. Można natknąć się na potwora, zamknąć oczy i próbować udawać, że jest on jedynie wytworem naszej wyobraźni, ale potwór i tak nas dopadnie i wgrzyzie się kłami w brzuch. Myślę, że doktor Yoonah, gdyby żył, podzielałby tok mojego rozumowania.

Enigma wypowiedziała na głos jedyne sensowne pytanie dotyczące automatów:

– Sądziecie, że jest ich więcej?

– Nie wiem – odparł Piorun. – Ale jestem pewien jednego: ich pojawienie się to nieomylny znak, że Miasto Świętych Mężów jest już blisko. A my mamy przewagę.

– Przewagę?

– To wyścig, a oni byli o krok od wyprzedzenia nas, ale tak się nie stało. Musimy jednak pamiętać, że pozostała część ekspedycji Voynicha depta nam po piętach. Teraz już wiedzą, gdzie jesteśmy.

– To prawda – przyznałem. – Yoonah podał im naszą lokalizację. I ściga nas Lilith we własnej osobie.

– A my nie możemy pozwolić, żeby nas dopadła – ciągnął ojciec. – Nie teraz, kiedy meta jest tak blisko. Musimy natychmiast ruszać.

– Ty nie jesteś w stanie nigdzie iść – zaprotestowałem.

Zamiast odpowiedzi mój ojciec wstał. Pierwsze kroki kosztowały go wyraźnie sporo wysiłku, ale patrzył na mnie wyzywająco.

– Mogę chodzić – powiedział. – Rana nie boli, a dzięki specyfikom z apteczki przestałem krwawić... A nawet gdyby było inaczej, poszedłbym do tego miasta, choćbym

musiał zostawić za sobą strużkę krwi znaczącą drogę. Niech Lilith podąży tym śladem. Kiedy dotrze do Stołu Króla Salomona, znajdzie mnie przy nim, będę go obejmował, umierając, i wypowiem moje ostatnie słowo: „Wygrałem”.

To był Piorun, modelowy Poszukiwacz. Może właśnie dlatego cieszył się sławą najlepszego członka Korpusu.

Prozaiczna prawda była jednak taka, że nie mieliśmy innego wyjścia, jak ruszyć w drogę, wszystko jedno, czy w poszukiwaniu zaginionego miasta, czy sposobu na to, żeby wydostać się z dżungli. W tej chwili oba te cele wydawały się równie nieosiągalne dla naszej grupy naiwnych idealistów.

Pozostali towarzysze zgodzili się ze mną i bez zwłoki wróciliśmy na szlak, żeby pokonać ostatni jego odcinek.

Wtedy uświadomiłem sobie pewien interesujący szczegół: było nas siedmioro, a drużyna Teobalda również liczyła siedmiu mnichów, kiedy tysiąc lat temu zapuszczała się w dżunglę, żeby ukryć w bezpiecznym miejscu Ołtarz Imienia nad Imionami. Miałem pewność, że to znak, nie wiedziałem tylko, czy dobry, czy też złowróżbny.

Z tej siódemki, która wyruszyła w drogę, nie wszyscy przeżyli i mogli o tym opowiedzieć, ale ci, którzy pozostali przy życiu, nigdy nie żałowali swojej decyzji, żeby podążać szlakiem do końca, i wynikłych z niej konsekwencji.

Szlak Węża wiódł przez istic makabryczny pejzaż. Wydawało się, że tutejsza roślinność została poddana długotrwałym mękom, a każda gałąź, każdy pień i korzeń zostały powykręcane w wyniku nieznośnych tortur. Drzewa porastał chorowity mech przypominający liszaj, a żywa dotąd zieleń dżungli przybierała zgaszone tony, jakie zauważyć można u więdnących roślin. Nie było tu kwiatów, a rzadkie owoce na tych kalekich drzewach przypominały raczej nowotwory złośliwe: worki obwisłej skóry albo kawałki mięsa pokryte kolcami. Wiele miejsc nosiło ślady po pożarze, jak łysiny na schorowanym ciecie.

Ten zwęglony, umęczony pejzaż towarzyszył nam krok w krok. Napotkaliśmy wiele zrujnowanych kamiennych budowli, niektóre były pogrzebane pod górami żużlu. Czuję się, jakbym się przechadzał po polu dawno stoczonej bitwy, gdzie toksyczna flora nie zdążyła jeszcze porosnąć wszystkich śladów po hekatombie. Miałem pewność, że musiało tu się wydarzyć coś potwornego, a konsekwencje tego zdarzenia przetrwały do dziś.

Pokonawszy dość krótki odcinek, wpadliśmy na kolejny z walkateckich automatów, na szczęście nie stwarzał żadnego zagrożenia. Leżał na ziemi jak gigantyczny martwy owad, a tworzące go metalowe płyty były strzaskane i oplecione korzeniami.

Zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy chaotyczną zbitkę żelastwa: kół zębatach, sprężyn i bloczków rozmaitej wielkości. Wnętrznosci robota stały się teraz gniazdem przeróżnych stworzeń.

Yokai z fascynacją przyglądał się szczątkom.

– Spójrzcie tylko! To zajebiste! Te wszystkie krążki i w ogóle... Ciekawe, jak to działało. Oż kurwa, dałbym wszystko, żeby móc go rozmontować i dokładnie przestudiować. – Zajrzał do wnętrza pancerza i w tym momencie spomiędzy jego

mechanizmów wypełzła szara tarantula, wielka jak szczur. Chłopak odskoczył z krzykiem.

– Lepiej nie traćmy czasu na te graty, co, mały? – zaproponował Bańka.

Yokai pokiwał głową z przekonaniem. Zupełnie przeszła mu ochota na studia nad tą machiną.

Nie była ostatnią, jaką napotkaliśmy po drodze. Widzieliśmy ich o wiele więcej, leżały rozczłonkowane, najczęściej wokół zrujnowanych kamiennych budowli. Niektóre wydawały się prawie nietknięte, inne były tylko kupą żelastwa. Po jakimś czasie szlak zaczął przypominać złomowisko.

Zauważyłem, że metalowe płyty, z których skonstruowano automaty, pokryte były inskrypcjami i reliefami. Ornamenty roślinne przeplatane motywami geometrycznymi stanowiły prawdziwe dzieła sztuki zdobniczej. Ojciec wziął do ręki jedną z tych płytek i odczytał widniejący na niej napis.

– „Moja jest zemsta” – przetłumaczył.

– Automaty, które zaatakowały nas w Asturii, miały identyczne inskrypcje – powiedziała Enigma. – Jest tam coś jeszcze?

– Nie, tylko to zdanie powtarzające się wiele razy. Interesujący znak firmowy.

– Odrzucił płytkę. – Chodźmy dalej.

Chociaż starał się tego nie okazywać, widziałem wyraźnie, że marsz wymaga od niego wiele wysiłku. Czasem zostawał w tyle i kiedy sądził, że nikt go nie widzi, chwycił się za opatrunek, a na jego twarzy malował się grymas bólu. Niepokoilem się o niego coraz bardziej.

Zapadła noc i postanowiliśmy zrobić postój w pobliżu budowli przypominającej wieżę strażniczą. Wydawała się dobrym miejscem na nocleg: w środku nie było śladu po jadowitych zwierzętach, a miejsca starczyło dla całej naszej siódemki.

Najpierw sprawdziliśmy, jak wygląda rana mojego ojca. Na jej widok Sita się skrzywiła.

– Paskudnie, ojczulku – powiedziała, zdejmując prowizoryczny opatrunek i smarując ranę ziołową maścią. – Nadal krwawi, nie wiem, czy lek powstrzyma infekcję.

Piorun uśmiechnął się uspokajająco.

– Spokojnie nakładaj swoje magiczne smarowidło, świetnie mi robi. Kiedy szliśmy, nie pamiętałem nawet o tym zadrapaniu, zapewniam cię.

Jednak bladeść jego twarzy mówiła coś wprost przeciwnego.

Yokai znalazł niewielkie kręte schody biegnące przy ścianie. Gdy pomagałem Sicie opatrywać ojca, patrzyłem jednym okiem, jak wchodzi po nich na górę. Chwilę później zbiegł do nas, pokonując po dwa stopnie naraz, bardzo podekscytowany.

– Ej, chodźcie, musicie to zobaczyć! To... Tam jest... Widziałem je, przysięgam! Jesteśmy bardzo blisko!

I znów ruszył na górę, nie odpowiadając na nasze pytania, a my pobiegliśmy za nim. Długie, strome schody wiodły na szczyt wieży. Rozciągał się stamtąd rozległy widok na pogrążającą się w mroku dżunglę.

I wtedy je zobaczyłem.

Miasto Świętych Mężów.

Wieża wartownicza znajdowała się na skraju dużej doliny, a może raczej gigantycznego krateru, o średnicy wielu kilometrów. W samym środku tej niecki stała niewiarygodna budowla.

Od razu skojarzyła mi się z barokowymi obrazami przedstawiającymi wieżę Babel, bo konstrukcja, którą ujrzelśmy, była do niej podobna. Miała kształt piramidy wzniesionej na planie koła, była wysoka jak drapacz chmur i składała się z mnóstwa mniejszych budynków, które tłocząc się jeden na drugim, tworzyły wznoszącą się spiralę. Przypominała górę zaprojektowaną przez architekta.

W słabym świetle kontemplowałem tę mozaikę iglic, dachów, wieżyczek z blankami, pnących się ku niebu, jakby chciały dotknąć firmamentu. Setki domów z czarnego kamienia, nierzadko wielopiętrowych, ukoronowanych dziwną kulistą konstrukcją, jakby latarnią latarni morskiej, tyle że zwieńczoną gigantycznym krzyżem.

Wydawało się, że miasto wyrasta z trzewi ziemi i pnie się zakolami ku górze niczym monumentalne błagalne modły. Roślinność tryskała z otworów i szczelin pomiędzy kamiennymi blokami i oplatała całość na kształt arterii dostarczających tlen do różnych części żywego organizmu. Miasto spowijała absolutna cisza, jakby zostało przykryte szklanym kloszem. Przez lornetkę oglądałem pozostałości bruku na dawnych wspaniałych ulicach, pomników porośniętych bluszczem i okazałych pałaców w ruinie. Ta niesamowita metropolia była zakotwiczona w samym sercu olbrzymiej niecki, jakby oderwała się z nieba i spadając na ziemię, uformowała ten krater. Miasto nie z tego świata.

Przyglądaliśmy się tej wizji w przejmującej ciszy, bo przerastała nasze najśmielsze oczekiwania, nie sposób było zareagować na nią zwykłymi okrzykami entuzjazmu. Istnienia tego miasta nie dało się w żaden sposób wytłumaczyć, budziło lęk, jak każdy sen, który staje się rzeczywistością; piękne i niepokojące jak zagadka bez rozwiązania.

Kiedy spoglądałem na nie po raz pierwszy, serce biło mi tak mocno, że jego uderzenia niemal sprawiały ból, i przez chwilę obawiałem się, że po prostu nie poradzę sobie z tym huraganem uczuć. Nic z tego, czego doświadczyłem wcześniej, nie mogło się równać z tym widokiem. Nic a nic.

Słońce zaszło za horyzont i wtedy zauważyłem delikatną poświatę sączącą się ze szklanej kopuły wieńczącej miasto.

– Jest... piękne – powiedziałem z trudem, kiedy już mogłem wydobyć z siebie głos. Bardziej niż słowa z moich ust wydobyło się westchnienie, które usłyszała tylko stojąca obok Enigma.

– Nie jest piękne – powiedziała. – Jest straszne.

Powoli pokiwałem głową.

– „O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama nieba”.

– Tak, ale brama nieba to miejsce, którego nie zamierzałam odwiedzać jeszcze przez wiele, wiele lat.

Znów pograżyliśmy się w milczeniu, ze spojrzeniem utkwionym w miście, które zniknęło nieśpiesznie w mrokach nocy.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Teraz, kiedy cel był tak blisko, chcieliśmy

dotrzeć na miejsce jak najprędzej. Nawet ojciec chyba czuł się lepiej po przerwie na sen.

Zejście do doliny, w której znajdowało się miasto, zajęło nam wiele godzin i w tym czasie zdałem sobie sprawę, że choć morale Pioruna było godne pozazdroszczenia, jego stan zdrowia wcale się nie poprawił, wręcz przeciwnie. Upierał się, że nic mu nie jest, i stanowczo sprzeciwiał się sugestiom, żeby zwolnić tempo ze względu na niego. W końcu sam zacząłem się oszukiwać, że nie jest z nim tak źle.

Kiedy dostaliśmy się w końcu na obrzeża miasta, cieszył się jak dziecko; nic dziwnego, dotarcie tu było kulminacją poszukiwań, które prowadził przez całe swoje życie. Chociaż wcale się tak nie umawialiśmy, moi towarzysze i ja pozwoliliśmy, żeby jako pierwszy przekroczył bramy miasta.

Wchodziło się do niego przez ogromny kamienny portal. Dwa kolosalne posągi podtrzymywały nadproże. Rysy ich twarzy budziły niepokój, zostały ledwie zaznaczone na owalnych, gładko oszlifowanych głowach: oczy były dwiema kreskami, usta okrągłym otworem. Na kamiennym nadprożu pomiędzy posągami widniał napis, który ojciec odczytał.

Semmakeraj.

Za bramą szeroka aleja prowadziła w górę łukiem pomiędzy rzędami budynków.

Całe miasto skupiało się wokół tej właśnie głównej alei, wspinającej się łagodnie, jak droga opasująca olbrzymią górę. Od czasu do czasu mijaliśmy niewielkie placyki z pozostałościami posągów. Były to raczej proste struktury: obeliski, przyzmy, piramidy, wielokątne bloki, wszystkie bardzo starannie ociosane. Walkatekowie zdawali się gustować w czystych geometrycznych formach. Rzadko występujące przedstawienia antropomorficzne były bardzo proste i schematyczne, wykonane z elementów okrągłych, owalnych i trójkątnych, sporządzonych z zachowaniem doskonałej symetrii. Ludzkie sylwetki często w ogóle nie miały rysów twarzy, albo miały je tylko delikatnie zaznaczone cienkimi liniami. To samo dotyczyło rzadkich motywów roślinnych i zwierzęcych, zdawało się, że według Walkateków cały świat składał się z figur geometrycznych.

Wszystkie domy w mieście znajdowały się w ruinie, wiele z nich opanowała roślinność, która wdzierала się we wszystkie szczeliny. Zajrzeliśmy do niektórych budynków, ale nie znaleźliśmy w nich niczego. Ani pozostałości po meblach, ani sprzętów gospodarstwa domowego, ani żadnych przedmiotów zdradzających obecność człowieka. Każdy z domów był jak pusty szkielet.

Znaleźliśmy natomiast wiele metalowych części: drutów, kół zębatych, prętów i płytek. Wiele z walkateckich domów przypominało składy złomu.

Wszystkie te szczątki pozwalały się domyślać, że kiedyś były elementami wspianych konstrukcji i mechanizmów, ale żaden nie zachował się w całości. Odnosiło się wrażenie, że wszystkie te artefakty nagle wybuchły i rozpadły się na kawałki, niektóre nawet były powykręcane, jakby ktoś próbował je stopić w płomieniach. Innym elementem dekoracyjnym, który zwracał uwagę, były wszechobecne inskrypcje. Znajdowały się zarówno na ścianach domów, jak i na zrujnowanych pomnikach. Woleliśmy nie zatrzymywać się, żeby je przetłumaczyć, chcieliśmy bowiem jak najprędzej dotrzeć do najwyższego punktu miasta, gdzie wczoraj przez lornetkę widziałem tę dziwną sferyczną strukturę.

Mimo wszystko nasz marsz przez miasto odbywał się wolniej, niż tego chcieliśmy. Wszystko wydawało się nam fascynujące, chcieliśmy zbadać każdy zakątek, każdy budynek, spenetrować ruiny w poszukiwaniu skarbów i mając nadzieję, że znajdziemy jakiś ślad, który pozwoli nam się domyślić, co takiego zdarzyło się przed wiekami, że to wspaniałe miasto się wyludniło.

W końcu w jednym z budynków dokonaliśmy makabrycznego odkrycia.

Miejsce od samego progu sprawiało wrażenie bardzo ważnego. Na jego fasadzie znajdowały się dwie płaskorzeźby kolosów, podobnych do tych strzegących bram miasta, które podtrzymywały tympanon z wyrytym na nim glifem. Piorun rozpoznał w nim symbol Tupany, Wiecznego Ojca. Pod frontonem znajdowały się drzwi, prowadziły do nich schody, których stopnie zostały rozsądzone przez korzenie.

W środku czekał nas przygnębiający widok.

Wkroczyliśmy do wielkiej sali pełnej ludzkich szkieletów. Cała podłoga usłana była kośćmi porośniętymi korzeniami, roślinność buchała spomiędzy żeber i z czaszek spoczywających tu nieszczęśników. Były ich dziesiątki, rozciągniętych na podłodze i opartych o ściany, pod którymi piętrzyły się góry kości i czaszek.

Pod jedną ze ścian stało coś na kształt ołtarza w kształcie pryzmatu, a za nim tron wykuty w jednym bloku czarnego kamienia. Na tronie, składając nam mroczny hołd na powitanie, siedział prawie nietknięty szkielet z głową nienaturalnie odchyłoną do tyłu i szczękami rozwartymi w bezgłośnym krzyku.

Szkielet obleczony był łachmanami, a na jego żebrach spoczywał zawieszony na złotym łańcuchu i wysadzany zielonymi kamieniami pektorał. Na oparciu tronu spoczywała posrebrzana mitra o krawędziach w kształcie spirali. Gdyby nie było to tak mało prawdopodobne, powiedziałbym, że mamy przed sobą szkielet biskupa siedzącego na tronie przed szczątkami swoich wiernych.

– Oto oni – powiedział mój ojciec z poważną miną. – Walkatekowie.

– Kim jest ten facet na tronie? – zapytała Danny. – Ich królem?

– Wygląda raczej na kapłana – odrzekłem. – Zwróćcie uwagę na mitrę i pektorał... Spójrzcie na wyryte wszędzie krzyże. Gdyby nie brzmiało to idiotycznie, powiedziałbym, że jesteśmy w kościele.

– A raczej w katedrze – poprawił Piorun. Podeszedł do siedzącego na tronie szkieletu, wyraźnie utykając.

– Więc to – rzekł Bańka, pokazując pokrywające ściany wielkiej sali inskrypcje – to pewnie modlitwy błagalne.

Ojciec pokręcił głową, nie przestając badać szkieletu.

– To liczby – wyjaśnił. – Wszystkie napisy na ścianach to cyfry i działania matematyczne.

Spomiędzy palców nieboszczyka na tronie Piorun wyjął pliczek suchych kartek, przypominających papirus i zszytych w coś w rodzaju tomiku.

– Co to jest? – zapytałem.

– Myślę, że manuskrypt. Karty zrobione są z miąższu palmy. – Przewertował rękopis. – To proste pismo sylabowe, a tekst nie jest zbyt długi. Dajcie mi kilka godzin, a go przetłumaczę. – Zawiesił głos, a na jego twarzy pojawił się skurcz bólu. – Poza tym

chwila odpoczynku dobrze by mi zrobiła, synu.

Wyglądał mizernie i oddychał ciężko. Bez wątpienia zasłużył na odpoczynek, o który nas prosił.

– Jak twoja rana?

Spróbował się uśmiechnąć.

– Bardzo dobrze... Chciałbym tylko... przeczytać te strony. Muszę się dowiedzieć, czemu ten nieboszczyk trzyma je w rękach.

Zgodziliśmy się zawiesić na chwilę naszą eksplorację miasta. Nikt z nas nie miał jednak ochoty przebywać na tym cmentarzysku, wyszliśmy więc z powrotem na główną ulicę i znaleźliśmy mniej makabryczny budynek, żeby odpocząć.

Zjedliśmy trochę konserwowanej żywności i popiliśmy wodą. Podczas gdy ojciec tłumaczył manuskrypt, my rozejrzeliśmy się po okolicy. Szacowałem, że jesteśmy mniej więcej w połowie drogi do najwyższego punktu w mieście. Miałem nadzieję, że natkniemy się niedługo na coś bardziej interesującego niż złom i ludzkie szkielety, ale na razie nie znaleźliśmy ani śladu Stołu Króla Salomona.

Wypaliłem papierosa, wpatrując się w dziwne reliefy o geometrycznych kształtach na pobliskim budynku, a potem wróciłem na miejsce, które wybraliśmy na krótki postój. Ojcu udało się dokończyć tłumaczenie.

– I co? Było warto? – zapytałem.

– Chyba tak. Zaraz będziecie mogli sami to ocenić. – Kiedy zmieniał pozycję, skrzywił się, a potem zajrzał do notatek, które sporządził na kartach samego manuskryptu. – Sądzę, że autorem tekstu była ta sama osoba, którą widzieliśmy w sali na tronie. W każdym razie pod manuskrytem podpisany jest niejaki Iojané, Piąty Tego Imienia i Sługa Tupany. To chyba jakiś wysoki rangą kapłan.

– Coś w rodzaju biskupa?

– Tak, to możliwe. Zanotowałem sobie tłumaczenie, zaraz przeczytam je wam na głos.

Usiedliśmy wokół niego, żeby go posłuchać.

Oto świadectwo Ionajé, Piątego Tegoż Imienia i Sługi Tupany, spisane dwudziestego dnia wieku Myśliwego. Niech moje słowa posłużą ku przestrodze.

Starszyzna tego miasta została w końcu opanowana nieposkromionym pragnieniem wiedzy. Nie potrafili się zadowolić darami Tupany, a duma zaślepiła ich, co doprowadziło do naszej zguby, tak jak było zapisane. Już Święci Mężowie przykazywali: nie będziesz wypowiadał *Semmakeraj*, Świętego Imienia, a jeśli to zrobisz, spotka cię los króla, który chodził jak zwierzęta i pasł się pomiędzy nimi, zmieniony w zwierzę za sprawą gniewu Tupany.

O wschodzie słońca starcy zgromadzili się w sanktuarium na szczycie miasta i obok Ołtarza Imienia nad Imionami wymówili *Semmakeraj*. To świętokradztwo sprawiło, że ziemia zadrżała i spadła na nas zemsta Tupany. Otworzyły się bramy niebios i duchy Wiecznego Ojca zaalały ogniem nasze domy. Nie ma dla nas ratunku, tak wielki był nasz grzech.

Mężczyźni, kobiety i dzieci próbują szukać schronienia w dżungli. Och, głupcy.

Nikt nie umknie przed gorejącym mieczem Tupany. Wszyscy jesteście zgubieni. Nad nasze wspaniałe miasto nadciąga mrok, z pałaców nie zostanie kamień na kamieniu, a świątynie zaleje morze krwi i łez. Maszyny Tupany zwróciły się przeciwko nam i miażdżą nas ze ślełą furią. Ze wszech stron otaczają nas śmierć i cierpienie. Oto nasze przeznaczenie: umrzeć i zniknąć bez śladu jak coś, co nigdy nie istniało.

My, którzy wiemy, że nic nas nie ocali, schroniliśmy się w domu Tupany, któremu przez tyle lat służyłem, żeby błagać go o litość. Nic nie mogłem zrobić dla tych, którzy szukali pocieszenia u swojego pasterza. Prawie wszyscy nie żyją. Słyszę dobiegający spoza wrót świątyni lament mojego miasta. Mój wzrok zasnuwa mgła, a siły mnie opuszczają. Ogień Tupany już jest za progiem. Nadchodzi śmierć. Nadchodzi chaos. Koniec. Zbliża się. Już tu jest.

Na długą chwilę zapadła grobowa cisza. Nie były to słowa, które pragnęliśmy usłyszeć, i w żadnym wypadku nie stanowiły zachęty do dalszych poszukiwań.

– Zginęli – powiedziała Danny. – Wszyscy zniknęli bez śladu.

– Tak właśnie było. – Ojciec odłożył na bok notatki. – Przykro mi, że lektura nie była weselsza.

– Jest tyle klęsk żywiołowych, które mogłyby wyjaśnić to świadectwo – protestował Bańka. Wydawał się nawet trochę zły. – Trzęsienie ziemi, pożar, który wybucha niespodziewanie, epidemia. Cokolwiek... Zrzuć winę na Boga i Jego gniew, a wszystko zacznie mieć sens! Nie trzeba podchodzić do tego tekstu tak dosłownie.

– Mam nadzieję, słonko – odparła Enigma.

– „Spotka cię los króla, który chodził jak zwierzęta i pasł się pomiędzy nimi...”

– zacytowałem, zamyślony, jedno ze zdań rękopisu. – O czym mowa w tym fragmencie?

– Nie jestem pewien, ale może zdanie to odnosi się do Nabuchodonozora – wyjaśnił Bańka. – To opowieść z Księgi Daniela: Nabuchodonozor, król Babilonii, chełpi się swoją władzą i mądrością, a Bóg karze go za pychę, zsyłając nań szaleństwo. Król przez siedem lat chodzi na czworakach, zupełnie nagi, i żywi się trawą jak zwierzę.

– No dobrze, ja nie mam zamiaru łązić tu na czworakach, a tym bardziej bez ubrania. Przynajmniej dopóki jestem trzeźwa – stwierdziła Enigma. – Proponuję więc, żebyśmy na chwilę zapomnieli o gniewie Boga i oszalałych królach, a spróbowali wyciągnąć z tego manuskryptu jakieś użyteczne informacje.

– Masz rację – powiedziałem. – Nie wiem, czy zwróciliście na to uwagę, ale pośród wszystkich tych wzmianek o karze boskiej w tekście znajdujemy dokładne wskazówki, gdzie znajduje się Stół. Z tekstu wynika, że przechowywano go w sanktuarium w najwyższym punkcie miasta.

– Myślisz, że nadal tam jest? – zapytała Danny.

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Nadzieja, że obiekt naszych poszukiwań jest już naprawdę blisko, dodała nam sił, żeby iść dalej. Byliśmy coraz bardziej skupieni na celu naszej wędrówki i przestaliśmy zwracać uwagę na to, co nas otaczało.

Mimo wszystko nie potrafiliśmy zupełnie się odciąć od przygnębiającego otoczenia. W wyższych partiach miasta ślady po tragicznej katastrofie były liczniejsze

i jeszcze bardziej wyraźne. Ludzkie szczątki znalezione w świątyni były pierwszymi, które napotkaliśmy, ale nie ostatnimi. Coraz więcej kości i szkieletów stawało się milczącymi obserwatorami naszej wędrówki. Nie ulegało wątpliwości, że miasto padło ofiarą jakiegoś kataklizmu, a my szliśmy w stronę jego epicentrum.

Aleja, którą wkroczyliśmy do miasta, pnąca się spiralnie w górę od bram, kończyła się nagle portykiem wykutym w skalnej ścianie. Jego kształt wydawał się znajomy: para posągów podtrzymujących tympanon z wyrytym glifem symbolizującym Tupanę. W przeszłości wejścia strzec musiały kamienne drzwi, które zmienione w stertę gruzu spoczywały w progu razem z powyginanym żelastwem. Wyglądało to jak pozostałości po jakiejś potężnej eksplozji.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed wejściem. Znajdowaliśmy się na znacznej wysokości, na półkolistym tarasie, z którego rozciągał się widok na całą dolinę u naszych stóp. Wiał silny wiatr. Unieśliśmy głowy, żeby spojrzeć na gigantyczną kulistą strukturę stanowiącą najwyżej położony punkt miasta. Dopiero teraz, z bliska, mogłem docenić jej niezwykle rozmiary.

Danny pierwsza przekroczyła próg, pozostali ruszyli za nią z ociąganiem, jakby się wahali.

Ojciec odciągnął mnie na stronę.

– Tirso, pomóż mi, proszę – odezwał się cichym głosem. – Nie masz pojęcia, jak boli mnie każdy krok.

Przestraszyła mnie jego trupia bladość i to, jak się poruszał, skulony z bólu.

– Twoja rana...

– Daj już z nią spokój. Nic mnie nie powstrzyma przed wejściem do środka. Chcę wiedzieć, co się kryje w tym sanktuarium. Jestem tylko... bardzo zmęczony.

– Chodź – powiedziałem. – Oprzyj się na mnie. – Położył mi rękę na ramionach. Biło od niego ciepło, jakby miał gorączkę. – Wejdziemy tam razem.

– Tak – westchnął. – Tak jak sobie wymarzyłem.

I weszliśmy razem do sanktuarium Miasta Świętych Mężów, a nasze oczy w tej samej chwili ujrzały *Semmakeraj*, Ołtarz Imienia nad Imionami.

Stół Króla Salomona.

To był ten prawdziwy Stół, bez cienia wątpliwości, a w każdym razie na pewno mieliśmy do czynienia z przedmiotem niezwykłym. Nabrałem tej pewności, kiedy tylko go ujrzałem.

Znajdował się na samym środku zwieńczonej kopułą komnaty o półkolistych ścianach. Pomieszczenie było gigantyczne, kiedy wszedłem do niego, dźwigając na plecach ojca, poczułem się maleńki. Całe wnętrze sali zalane było srebrnymi wodami stawu rozmiarami przypominającego jezioro. Od wejścia do środka prowadziła kamienna kładka pozwalająca przejść do ołtarza suchą stopą. Przypomni mi się opis stworzenia świata zawarty w Księdze Rodzaju: Bóg oddzielił wody pod sklepieniem od wód ponad sklepieniem i nazwał to sklepienie niebem¹. Ta sala była walkatecką egzegezą Księgi Rodzaju.

Nad naszymi głowami kopuła przedstawiająca niebo lśniła blaskiem warstw złota

inkrustowanego tysiącami różnokolorowych drogocennych kamieni. Miało się wrażenie, że wszystkie minerały powstałe w trzewiach ziemi znalazły się na sklepieniu tej świątyni: szmaragdowozielone, szafirowoniebieskie, czerwone jak rubiny i przezroczyste jak diamenty, wielkości co najmniej przepiórczego jajka, a było ich tyle, że policzenie ich zajęłoby kilka godzin.

Oszołomiony tym widokiem ojciec zaczął mamrotać pod nosem:

– „A mur jego jest zbudowany z jaspisu, a Miasto – to czyste złoto do szkła czystego podobne. A warstwy fundamentu pod murem Miasta zdobne są wszelakim drogim kamieniem. Miastu nie trzeba słońca ni księżycy, by mu świeciły, bo chwała Boga je oświetla...”².

Rozpoznałem ten cytat. Był to rozdział 21 Apokalipsy, opis niebiańskiego Jeruzalem. Bardzo adekwatny w tej chwili, chociaż nie oddawał sprawiedliwości temu, co widziały nasze oczy.

Sercem sali był na pewno Ołtarz Imienia nad Imionami. Znajdował się dokładnie w centrum, na okrągłej platformie wynurzającej się z wód stawu, bardzo dużej, bo relikwia, którą dźwigała, też była naprawdę wielka.

Wtedy znałem już wiele opisów Stołu Króla Salomona. I zrozumiałem, że wszyscy, którzy o nim mówili, w gruncie rzeczy nie widzieli go na oczy.

Stół był owalny i składał się z dwóch części. Część dolną tworzyły rzeźby dwunastu zwierząt ułożonych w koło, z głowami zwróconymi na zewnątrz. Każde stworzenie było inne, jedyną cechą wspólną im wszystkim były rogi. Niektóre były grube i poskręcane jak muszla ślimaka, inne rozgałęziały się jak łopaty łośia, inne przypominały rogi byka, jeszcze inne – bawoła... Część z nich trudno byłoby przypisać jakiegokolwiek żywej istocie.

Rzeźby miały ponad metr wysokości, wykonano je ze złotego i błyszczącego materiału, z wyjątkiem rogów, które z kolei zrobiono z hebanowego drewna, czarnego jak smoła. Dwanaście par oczu zwierząt tworzyły czerwone kamienie.

Na ich grzbietach spoczywała druga część Stołu, ta najbardziej interesująca. Był to blat o promieniu pięciu metrów, grubości mniej więcej dziesięciu centymetrów. Na jego powierzchni znajdowały się liczne metalowe pierścienie ozdobione literami hebrajskiego alfabetu. Największe znajdowały się na brzegu stołu, a im bliżej środka, tym ich średnica była mniejsza. Nie policzyłem, ale obstawiam, że było ich przynajmniej kilkadziesiąt.

Na krawędzi Stołu, oprócz niezliczonych płytek ze szlachetnych kamieni, znajdowały się pokręta służące, jak mieliśmy odkryć później, do poruszania pierścieniami blatu.

Z podziwem patrzyłem na druty z połączanego metalu odchodzące od Stołu, które zanurzały się w wodach stawu, a potem wyłaniały z powrotem na powierzchnię, oplatając ściany niczym pnącza i pokrywając je połyskującą siatką. Odnosiło się wrażenie, że Ołtarz to serce połączone ze strukturą miasta arteriami, przez które zamiast krwi płynęło ciekłe złoto. Z relikwii emanowała pulsująca poświata, migotliwa i ciepła jak płomień ogniska, zalewająca pomieszczenie lśniącem blaskiem. Poza tym w sanktuarium rozlegało się lekkie bzyczenie. Bardziej niż dzieło sztuki Stół przypominał żywy organizm.

Podeszliśmy do niego w milczeniu, zdjęci strachem. Czułem bijącą od tego artefaktu moc tak wyraźnie, jak czuje się światło i ciepło słońca o poranku. Nie wiedziałem, kto skonstruował podobny przedmiot, ale w swoje dzieło przelał wiedzę, której chyba nikt na świecie nie potrafiłby dziś rozszyfrować.

Ołtarz był niewiarygodnie piękny i zarazem przerażający. Skarb godzien poszukiwań, choćby były one wyczerpujące i wymagały ofiar.

Spojrzałem na moich przyjaciół. Ich twarze błyszczały w bijącej od Ołtarza poświacie. Mogłem z nich wyczytać, co w tej chwili czują. Na twarzy Sity malował się niemal komiczny wyraz zdumienia. Oczy Enigmy lśniły jak u dziecka, które dostało pod choinkę wymarzoną drogą zabawkę. Bańka przyglądał się Stołowi z fascynacją i niedowierzaniem, a Yokai zagryzał dolną wargę, jakby patrzył na nowoczesny komputer i z trudem się powstrzymywał, żeby nie rzucić się na niego i nie zacząć badać, jak działa. Danny z kolei uśmiechała się tym swoim półuśmieszkiem, którego nigdy nie potrafiłem rozgryźć.

– I co, Poszukiwacze? – zapytałem po długiej chwili milczenia. – Co o tym myślicie?

Nikt nie odpowiedział od razu. Pierwsza odezwała się Enigma.

– Chyba będziemy potrzebować ogromnej sali w Muzeum Archeologicznym, żeby wystawić tę kolubrynę. – Pokręciła głową, a na jej twarzy malował się podziw. – Słońce, to będzie najwspanialszy eksponat.

– Na co czekacie? – niecierpliwiał się ojciec. – Podejdźcie do niego, dotknijcie, róbcie zdjęcia, zalejcie nimi portale społecznościowe. To chwila naszego triumfu!

Enigma zrobiła krok do przodu, nieśmiało uniosła dłoń, a potem ją cofnęła.

– Nie mam odwagi. Wydaje się taki... majestatyczny.

Bańka patrzył na nią z uśmiechem politowania.

– To tylko przedmiot, jak wszystkie inne, które odzyskujemy. – Podeszedł do Stołu i położył na nim rękę. Potem wypiął z dumą pierś. – No, młody, kiedy opiszesz nasze przygody, nie zapomnij nadmienić, że to ja pierwszy dotknąłem Ołtarza Imienia nad Imionami. Chcę przejść do historii.

Kiedy okazało się, że Bańka dotknął Stołu i nie padł trupem porażony boskim piorunem, zaczęliśmy bez obaw badać nasze znalezisko, wymieniając się komentarzami, pytaniami i okrzykami radości.

Jedyną osobą, która nie odzywała się słowem, był Yokai. Przyglądał się pierścieniom na blacie ołtarza, marszcząc brwi. Podeszedłem do niego.

– Podczas pierwszej misji znalazłeś niesamowity skarb – powiedziałem. – Trudno będzie to przebić, chłopcze.

Uśmiechnął się.

– To prawdziwa relikwia? – zapytał. – Ta sama, która przyjechała z Afryki do Jerozolimy? Była własnością Króla Salomona, Rzymian, królów wizygockich?

– Myślę, że tak.

– Niewiarygodne. To... – Chłopak zawiesił głos, jakby nie mógł znaleźć słowa wyrażającego jego uczucia. W końcu wybrał najbliższe sercu: – Zajebicie. Jak on działa?

– Nie wiem. Podejrzewam, że używając tych pierścieni, można zapisać Szem ha-

Meforasz hebrajskim alfabetem.

– Te znaki to hebrajskie litery? – spytał. Pokiwałem głową. – Nie znam ich, mógłbyś mi je gdzieś zapisać?

– Poproś Enigmę, ona wie najwięcej o rozmaitych systemach pisma, ja znam tylko kilka hebrajskich liter. – Domyśliłem się, co chodzi chłopakowi po głowie. – Yokai, nie zadręczaj się tym całym Szem ha-Meforasz. To słowo zaginęło przed wiekami, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniało.

I być może dobrze się stało, dodałem w myślach.

– A jeśli kryje się gdzieś wśród inskrypcji, które widzieliśmy w mieście?

– Niewykluczone, ale to już nie jest nasze zadanie. – Oparłem dłoń na ramieniu chłopca i uśmiechnąłem się do niego serdecznie. – My mieliśmy znaleźć Stół i udało nam się. Nie mieliśmy w planach go używać.

Pokiwał głową.

– Tak. Chyba tak.

– Wyglądasz na rozczarowanego.

– Nie, nie o to chodzi, naprawdę. Tylko że... – Skrzywił się lekko. – Wszystko jedno. Po prostu nie lubię pozostawiać pytań bez odpowiedzi.

– Dlatego właśnie będziesz znakomitym Poszukiwaczem.

Wtedy zrobił coś bardzo dziwnego. Nieoczekiwanego i zaskakującego, coś, do czego, jak myślałem, nie jest w ogóle zdolny.

Odwrócił się i mnie objął.

Trwało to bardzo krótko, może kilka sekund. Wydaje mi się, że nikt tego nie widział, i nie mam świadków na to, że naprawdę tak było, ale zapewniam was: Yokai mnie przytulił.

I chyba zrobił to z kimś pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna.

Kiedy się odsunął, zauważyłem, że ma czerwone policzki.

– O co chodzi? – zapytałem.

Odpowiedział, nie patrząc na mnie, jakby wstydził się swoich słów.

– Nie wiem, gdzie byłbym teraz, gdybym cię nie poznał, ale na pewno nie tutaj.

– Podrapał się po nosie grzbietem dłoni. – Dziękuję.

Spędziliśmy wiele czasu, badając sanktuarium i Ołtarz Imienia nad Imionami. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, zachodziło słońce.

Zeszliśmy do niżej położonej części miasta i zaczęliśmy się rozglądać za miejscem na nocleg. Musieliśmy zaplanować nasze dalsze ruchy, co wcale nie było takie proste. Zwycięstwo, jakie odnieśliśmy, znajdując Stół jako pierwsi, nie łagodziło wcale świadomości, że nie mieliśmy środków, żeby wydostać się z dżungli.

Zdrowie mojego ojca stanowiło kolejny powód do niepokoju. Nie mogliśmy dłużej udawać, że tego nie dostrzegamy: był poważnie ranny, a jego stan się pogarszał. Potrzebował lekarza, i to szybko.

Rozmawialiśmy o tym w jednym z domów, w którym jedliśmy nader skromną kolację. Długo i żażarcie debatowaliśmy nad naszym położeniem, padały różne pomysły. W końcu uznaliśmy, że najlepiej będzie wrócić tą samą drogą do Bocagui, bo znaliśmy

ten szlak. Yokai miał spróbować naprawić nadajnik satelitarny, który dostaliśmy od Lacombe, używając części walających się wszędzie w zrujnowanym mieście.

W głębi serca wiedzieliśmy, że wszystkie te plany mają naprawdę nikłą szansę powodzenia (by nie powiedzieć, że nie miały żadnej), i wierzyliśmy w nie tylko za sprawą rozpaczliwego optymizmu, a nie chłodnej kalkulacji. Innymi słowy: nie mogliśmy wymyślić nic lepszego. Przynajmniej nie w tej chwili.

Zasnąłem z myślą, że jeśli rzeczywiście istnieje Bóg tworzący magiczne Stoły, lepiej, żeby nam pomógł, bo naprawdę potrzebowaliśmy cudu, żeby wyjść cało z tej przygody.

Tej nocy spałem źle i śniły mi się koszmary. Jeden był tak realistyczny, że aż się obudziłem. Otworzyłem nagle oczy w ciemnościach. Ze strachu ścisnęło mnie w żołądku.

Moi towarzysze spali. Bezszelestnie wymknąłem się na zewnątrz, żeby wypalić na ulicy klasycznego papieroska pozwalającego przetrwać bezsenność. I zauważyłem światło w domu sąsiadującym z tym, w którym urządziliśmy nocleg.

Zajrzałem do środka i zobaczyłem Yokaiego. Chłopak miał na głowie czołówkę i w jej świetle czytał mezogocki manuskrypt, robiąc notatki w swoim zeszycie. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszliśmy, nie wiem, jak udało mu się go zachować.

Niechcący napędziłem mu stracha. Zerwał się na równe nogi, wymachując maczetą.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziałem, unosząc ręce. – To tylko ja. Co się dzieje? Też nie możesz spać?

Mojej uwagi nie umknął dziwny wyraz jego twarzy. Wyglądał, jakby ujrzał właśnie oddział walkateckich wojowników patrolujący miasto.

– Faro, chyba to mam.

– O czym ty mówisz?

– O Imieniu.

Wiedzieliśmy obaj, o jakie Imię chodzi.

Przez długą chwilę przyglądałem mu się w milczeniu.

– Przecież prosiłem, żebyś o tym zapomniał.

– Wiem, wiem, ale nie mogłem. Cały czas miałem to w głowie, nie mogłem przestać o tym myśleć, rozumiesz? – Mówił chaotycznie, a jego oczy płonęły gorączkowym zapalem. Zacząłem podejrzewać, że majaczy z niewyspania. – Cały dzień, cały przekłety dzień, odkąd odkryłem te kody binarne, pamiętasz? Kurewski kod binarny. Cały czas miałem to w głowie.

– Yokai, nie mam pojęcia, o czym mówisz. O jaki kod binarny ci chodzi?

– Odległości! Liczba metrów, które przemierzamy codziennie. Kiedy pomnożysz je przez pięć, wychodzą same zera i jedyńki. Zera i jedyńki, pokazywałem ci to. Nie mów, że już zapomniałeś. Mam to gdzieś zanotowane... – Zaczął nerwowo przewracać strony notatnika, bałem się, że zaraz je powyrywa.

– Nie, nie, już dobrze, przypomniałem sobie – powiedziałem. – Słuchaj, wyglądasz na bardzo zmęczonego, nie powinieneś się trochę przespać?

– Nie mogę! Mam to, jest tu! – Postukał się dłonią w czoło. – Kod. Widziałem go wcześniej, ale o tym nie pamiętałem. Cholera, nie pamiętałem. Spójrz!

Podsunał mi notatnik pod nos. Zobaczyłem, że strona pełna jest odręcznie zapisanych znaków.

– Yokai, co to jest? – zapytałem. Zacząłem się poważnie obawiać, że chłopaka dopadła jakaś tajemnicza choroba i całkowicie zrujnowała jego psychikę.

– Szem ha-Meforasz! – Postukał w kartkę. – To całe cholerne imię Boga!

– Co?

– Bóg jest liczbą! – wykrzyknął, a potem zachichotał takim śmiechem, jakiego wolałbym nie słyszeć. – Ale nie jakąkolwiek liczbą, stary, jest liczbą binarną. Bóg Salomona i bóg Walkateków myśli jak komputer! Możesz to sobie wyobrazić? Okazuje się, że przez ten cały czas, który spędziłem przed komputerem, po prostu się modliłem. Czaisz? – Znow się roześmiał.

– Chłopcze, zacznym się o ciebie bać.

– Przepraszam, wybacz. – Uspokoił się i popatrzył na mnie jakby trochę przytomniej. – Ale po prostu nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć. Ale nie odleciałem, nie odjechało mi, przysięgam. Zaraz spróbuję ci to wytłumaczyć, dobra? Pamiętasz mezogocki manuskrypt? Wszystkie jego litery zapisano czarnym atramentem, z wyjątkiem dwóch, powtarzających się i zapisanych na czerwono.

– Pamiętam: to alfa i omega.

– Tak jest! Jeśli zapiszesz je po kolei, otrzymasz coś takiego:

ΩΩΑΩΑΑΩΩΩΑΩΩΩΩΑΩΩΩΩΩΑΑΩΩΩ
ΑΩΑΩΑΩΩΑΩΑΩΩΩΩΑΑΩΩΩΑΑΑΩΑΑΩΑΩ
ΑΑΑΑΑΩΑΩΑΩΑΩΑΩΑΩΑΩΑΩΑ...

– A teraz zrób następującą operację – ciągnął Yokai. – Wyobraź sobie, że to nie są greckie litery. Zamiast nich wstaw jedyńki i zera.

Nie musiałem sobie nawet wyobrażać. Chłopak zapisał rezultat na kolejnej stronie i pokazał mi.

110100111011110111110011101010110101111001101110110101111101010101
011010

– Teraz rozumiem – powiedziałem zdumiony. – Kod binarny.

– No właśnie, przecież ci mówiłem. Autor manuskryptu, co jest logiczne, nie używa zer i jedynek, bo ich nie zna: jeden i zero to cyfry arabskie. Ale zasada jest ta sama. Kiedy połączysz wszystkie litery alfa i omega z manuskryptu, otrzymasz słowo zapisane w kodzie dwójkowym.

– Słowo?

– Tak. Każdy zestaw cyfr odpowiada literze. Tak pisze się teksty w języku informatycznym, system binarny to kod komputerów.

– Ale... to niemożliwe, żeby taki kod pojawił się w manuskrypcie z ósmego wieku.

– Chłopie, widzieliśmy tu tysiące niemożliwych rzeczy, a ta wcale nie jest z nich najdziwniejszą. Chińczycy używali kodów dwójkowych już dziesięć wieków temu, a średniowieczna geomancja też bazowała na tym systemie. Trzeba tylko wiedzieć, której literze alfabetu przyporządkowany jest każdy ciąg zer i jedynek, a w tym wypadku alf i omeg.

– A ty to wiesz?

– Pracuję nad tym przez całą cholerną noc. Popatrz!

Yokai wyjaśnił mi, że Enigma zapisała mu w notatniku kompletny hebrajski alfabet, którego litery ukazane zostały na pierścieniach znajdujących się na blacie Stołu. Chłopak pokazał mi kartkę, na której zapisał hebrajski alfabet w kolumnie, z przyporządkowanymi ciągami alf i omeg oraz transkrypcją na ciągi zer i jedynek.

Każdy ciąg oznaczał literę. Zdumiewające.

– Oparłem się na arytmetyce Leibniza, żeby zapisać litery hebrajskiego alfabetu kodem zero-jedynkowym – tłumaczył. – To prawie uniwersalny system, bazuje na filozofii Francisa Bacona i innych gości, którzy jeszcze przed nim teoretyzowali o języku binarnym. Uświadomiłem sobie, że mogę użyć tego systemu, kiedy zmieniłem na liczby binarne odległości, które przemierzaliśmy w dżungli, i wychodziły mi wyniki znane z arytmetyki Leibniza. Jestem pewien, że to z niej trzeba skorzystać, żeby wydobyć ze Stołu jego moc.

Nie rozumiałem ani słowa z tego, co mówił, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Zaskakujący był rezultat: każda z dwudziestu dwóch liter hebrajskiego alfabetu przekształcona w ciąg jedynek i zer.

– Daj mi chwilę, żebym to wszystko przetrawił – powiedziałem niemal błagalnym tonem. – Kiedy ktoś mówi mi o matematyce, zawsze czuję się kompletnym głupkiem.

– To nie takie trudne, Faro. W mezogockim manuskrypcie ktoś zapisał słowo w kodzie dwójkowym za pomocą liter alfa i omeg. – Pokazał mi stronę w notatniku, na której sporządził tabelę z literami hebrajskiego alfabetu. – Dzięki tej tabelce mogę wyrazić to słowo w hebrajskim alfabecie, a co za tym idzie, zapisać je na Stole. Wiem, jak zapisać Szem ha-Meforasz.

Powoli zaczęła do mnie docierać waga tego odkrycia.

– Cholera jasna! – mruknąłem pod nosem. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co to oznacza?

– Tak, że jestem inteligentnym gościem.

– A w dodatku jesteś też cholernym Baal Szemem. – Spojrzałem mu w oczy. – Yokai, jesteś ostatnim Strażnikiem Imienia.

Wspominałem wcześniej, że zagadka związana z *hydraulis* Ktesibiosa, które znaleźliśmy z Enigmą w Asturii, była drugą w kolejności najbardziej skomplikowaną łamigłówką, z jaką miałem w życiu do czynienia. Pierwsze miejsce na tej liście należy się bez wątpienia kodowi dwójkowemu ukrytemu w Stole Króla Salomona.

Kiedy bliźniacy zacytowali mi zdanie z Platona („Bóg jest liczbą”), nie spodziewałem się, że powinienem to potraktować tak dosłownie. Rzeczywiście Bóg, a właściwie Jego imię, okazało się liczbą, którą należało napisać na Ołtarzu Imienia nad

Imionami, żeby obudzić drzemiącą w nim moc.

Nie jestem teologiem i nie mam zamiaru się w niego bawić, nie jest również moją intencją sprawić, żeby zadrzały filary jakiegokolwiek Kościoła: pozostawiam to powieściopisarzom bez wyobraźni, ale sądzę, że myśl o tym, iż umysł Boga wszechmogącego funkcjonuje jak coś w rodzaju kosmicznego komputera, mogłaby pasować do każdej sensownej religii. W końcu w Biblii możemy przeczytać, że Bóg jest zaprzeczeniem chaosu, a natura, z tego, co wiem, daje się opisywać językiem matematyki. Wiedziano o tym już w starożytności, kiedy odkryto złoty podział w płatkach kwiatów, spiralach galaktyk i proporcjach ludzkiego ciała (stworzonego na obraz i podobieństwo Boga). Bez wątplenia świat tak podporządkowany liczbie mógł powstać w umyśle kogoś, kto myśli jak komputer.

W gruncie rzeczy to by wyjaśniało, dlaczego Bóg jest tak niezrozumiały. Większość ludzi ma przecież problem z komputerami.

Logiczne wydało mi się też, że ostatnim Baal Szemem zostaje młody informatyczny geniusz.

Wciąż jednak odkrycie Yokaiego było dla mnie za trudne do przyswojenia, postanowiłem więc obudzić resztę grupy, żeby przedstawił im swoją teorię, a oni mogli ocenić, czy to wszystko ma jakiś sens.

Jedyną osobą z całej naszej wyprawy znającą podstawy klasycznego hebrajskiego była Enigma, więc poprosiłem ją, żeby przełożyła kod binarny Yokaiego na hebrajski. Rezultat był zdumiewający.

– Pierwsze litery układają się w wyraz *szechina* – powiedziała. – To oznacza Bożą obecność. Przekład kolejnego zdania brzmi: „Oto Święte Imię”.

Enigma zamilkła.

– I co dalej? – zapytałem.

– Potem następuje coś, co, jak się domyślam, jest Szem ha-Meforasz. I po tym wszystkim, co usłyszałam i widziałam, za nic mnie nie nakłonisz, słonko, żebym to ja wymówiła je na głos.

– Daj spokój, to tylko zwykłe słowo – obruszył się Bańka.

– To sam je wymów, jeśli masz ochotę. Ja jestem kobietą ostrożną. Ale owszem, wszystkie alfy i omegi z manuskryptu układają się w sensowne wyrazy, jeśli do ich tłumaczenia użyjemy tabeli Yokaiego.

I chociaż Enigma nie chciała wymawiać Szem ha-Meforasz, zgodziła się nam zapisać imię literami hebrajskiego alfabetu. Słowo było długie, składało się z dwunastu liter. Zapytałem Poszukiwaczkę, czy dla niej ma jakiś sens.

– Nie jestem pewna, słonko – powiedziała. – Mój hebrajski nie jest taki dobry. Może ten termin jakoś się tłumaczy, ale ja nie mam pojęcia jak. Mogę tylko powiedzieć, że brzmi bardzo muzycznie. – Nagle zrobiła przerażoną minę. – Mój Boże, mam nadzieję, że nie popełniłam świętokradztwa, czytając je sobie w głowie.

– Teoretycznie skuteczne byłoby wpisanie go na Stole Salomona jak na klawiaturze komputera – wyjaśniłem. – Więc nie masz się czego obawiać.

– No dobrze, co teraz zrobimy? – zapytał ojciec. – Wracamy na górę i sprawdzimy, czy naprawdę poznaliśmy kod pozwalający wzbudzić boski gniew?

Nie słuchałem pytania. Widząc Pioruna, mogłem myśleć tylko o jego fatalnym stanie: mówił z wysiłkiem, szeptem, twarz miał szarą jak popiół, a na jego czole perliły się krople potu, skutek ciągle rosnącej gorączki. Widać było, że sporo trudu kosztuje go udział w naszej rozmowie.

W tamtej chwili cholerne święte imię nie obchodziło mnie tak bardzo jak stan zdrowia ojca, z którego życie uchodziło jak sącząca się z jego rany krew. Nie byliśmy w stanie zatamować krwotoku.

– Może powinniśmy wrócić do Stołu i spróbować? – zaproponował z wahaniem Yokai. – Tylko żeby się przekonać, co się stanie.

– Nic się nie stanie, to zwykła strata czasu – odrzekł zirytowany Bańka. – Nie chcę lekceważyć twojego odkrycia, chłopcze, sądzę, że jest naprawdę niezwykle, ale to po prostu zagadka ze starego pergaminu, a nie żadna formuła magiczna. Mamy teraz na głowie o wiele ważniejsze rzeczy.

Danny spojrzała na mnie.

– Ty zdecyduj, Faro – powiedziała. – Zdecyduj, czy spróbujemy szczęścia, czy... przepuścimy okazję.

Spojrzałem na ojca. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że spoglądam na człowieka, który kradnie śmierci ostatnie minuty swojego życia. Jego szanse na powrót do cywilizacji były naprawdę nikłe, żeby nie powiedzieć zerowe, nie miało sensu temu zaprzeczać.

Pomyślałem, że skoro Piorun umrze, ma prawo się dowiedzieć, czy znaleziona przez niego relikwia, na której szukanie poświęcił całe życie, była tak doniosła, jak głosiły legendy. Nie mogłem go ocalić, ale mogłem przynajmniej sprawić, że pozna odpowiedź na ostatnie pytanie.

Istniało oczywiście ryzyko, że ściągniemy na siebie Boży gniew, ale szczerze mówiąc, nie wydawało mi się, by nasze położenie mogło się znacznie pogorszyć.

– Mamy Ołtarz i mamy Szem ha-Meforasz – powiedziałem. – Yokai odkrył Imię, jeśli zdecyduje się go użyć, będę go wspierał w tej decyzji.

Danny pokręciła głową, jakby moja odpowiedź ją rozczarowała.

– Zostawisz taką decyzję dziecku?

Zanim chłopak zdążył zaprotestować, zabrałem głos:

– Nie jest już dzieckiem, poza tym to nie jego decyzja, lecz moja. Sądzę, że niektórzy z tu obecnych mają prawo się dowiedzieć, czy znaleźli to, czego szukali.

Jedyną odpowiedzią na moje słowa była cisza, ale przynajmniej nikt nie oponował.

Powiedziałem, że zamierzam o wschodzie słońca wyruszyć z Yokaim do sanktuarium i spróbujemy zapisać Imię na Stole. Nie chciałem zmuszać nikogo, żeby szedł z nami, ale Enigma i Danny zapewniły, że będą nam towarzyszyć.

Bańka poprosił, żebyśmy wyszedł z nim na papierosa.

– Faro, z Saulem jest naprawdę źle – powiedział, kiedy zostaliśmy sami. – To cud, że jeszcze żyje. Na pewno też to zauważyłeś: ta rana go zabija.

– Jestem tego świadomy – odpowiedziałem, próbując nie okazywać emocji. – I bardzo bym chciał tego uniknąć.

– Wiem, wiem, też przywiązałem się do tego starego księdza i chciałbym, żeby

wyszedł z tego żywy, ale... – Nie dokończył, głęboko zaciągnął się papierosem. – Jediną szansą dla niego, chociaż nie robiłbym sobie wielkich nadziei, jest wyruszyć w drogę powrotną w jak najlepszym stanie. Nie powinien ruszać się z miejsca, jeśli nie będzie to konieczne. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Tak, lepiej, żeby jutro nie szedł do sanktuarium.

– To zbyt duży wysiłek dla tak ciężko rannego, a będzie potrzebował energii, żeby przejść przez dżunglę.

– Nie chcę zostawiać go samego.

– Nikt cię o to nie prosi. Sita z nim zostanie, a ja będę się nimi opiekować.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej. Umarłbym ze śmiechu, widząc, jak mały celebryta nabożeństwo przed tym Ołtarzem. Na pewno by się na mnie wściekł – wyjaśnił Poszukiwacz. – Ty zrób, co masz zrobić z tym Stołem, a ja zajmę się resztą.

Byłem mu bardzo wdzięczny. Skończyliśmy palić i wróciliśmy do domu.

Chciałem przez chwilę porozmawiać w cztery oczy z ojcem, ale okazało się, że jest nieprzytomny. Głowa płonęła mu w gorączce, a na jego prawym boku zauważyłem dużą plamę czarnej krwi.

Rdz 1,7-8. [\[wróć\]](#)

Ap 21,18-19. 23. [\[wróć\]](#)

SEMMAKERAJ

Bańka przez długą chwilę patrzył za towarzyszami, jak odchodzą główną ulicą miasta w stronę sanktuarium.

Poszukiwacz widział, że jego koleżanki i koledzy są w podniosłym nastroju. Faro szedł przodem, miało się wrażenie, że dźwiga na plecach wielki ciężar. Bańka myślał, jak inny był teraz Tirso od tego żółtodzioba, który potrącił go rowerem w Canterbury (zdawało się, że od tamtej chwili upłynęła cała wieczność). Od tego czasu udowodnił, że zasługuje na swój przydomek, stał się światłem, za którym można było podążać w chwilach zwątpienia. Nie dlatego, że był najinteligentniejszy albo najsilniejszy, ale był jedynym, który nigdy się nie wahał. Biła od niego pewność siebie, głębokie przekonanie o słuszności podejmowanych decyzji. Bańce zawsze łatwo było iść za Farem, który czasem miał rację, a czasem popełniał błędy, ale wszystkie jego decyzje wynikały z jakiegoś sekretnego, znanego tylko jemu planu.

Ciążąca na nim odpowiedzialność sprawiła, że stał się poważniejszy niż kiedyś, mniej spontaniczny i beztroski, za to z pewnością bardziej dojrzały. Bańka nie zazdrościł mu jego pozycji: o wiele trudniej być liderem, niż wykonywać polecenia. Dotąd Faro świetnie się spisywał w roli przywódcy, ale na jego twarzy zaczęło malować się napięcie, widoczne również w gestach i tonie głosu.

Oby tylko to go nie złamało, myślał Bańka. W najbliższych dniach Poszukiwacze będą go potrzebowali bardziej niż kiedykolwiek.

Niewielka grupka zniknęła mu z oczu za zrujnowanym budynkiem. Bańka ostatni raz zaciągnął się papierosem, wyrzucił niedopałek i wrócił do Sity i Saula.

W domu, w którym znaleźli schronienie, pachniało chorobą. Dziewczyna pochylała się nad księdzem, ocierając mu pot z czoła brudną chusteczką. Cera rannego miała kolor wosku na chwilę przed stopieniem się, a jego oddech był ciężki i świszczący. Od kilku godzin nie odzyskiwał przytomności.

Bańka postawiłby wszystkie paczki papierosów, jakie mu zostały, że stary nie dożyje kolejnego świtu. I chętnie przegrałby zakład i zniósł dzielnie abstynencję.

– Jak on się ma? – zapytał.

– Źle, bardzo źle – odpowiedziała Sita. – Jest umierający.

Bańka przeszukał jeszcze raz apteczkę Voynicha w poszukiwaniu ibuprofenu, chociaż doskonale wiedział, że Saúl wziął wczoraj ostatnią tabletkę. Ale i tak wolał przetrząsać ją w nadziei, że jakimś cudem znajdzie tam coś jeszcze, niż patrzeć beczynnie, jak staruszek gaśnie w oczach.

– Co mogę zrobić, Sito? – spytał. – Znajdź mi jakieś zadanie, bo zwariuję.

– Wczoraj niedaleko bram miasta widziałam chyba tamaryndowiec. Gdyby miał owoce, moglibyśmy dać księdzu pulpę, może zbilaby nieco gorączkę.

– Pójdę go poszukać.

Sita opisała mu, jak wygląda roślina, i Bańka wyszedł. Zrobił już spory kawałek drogi, kiedy nagle się zatrzymał.

Duża grupa ochroniarzy Wotanu wchodziła właśnie do miasta. Wszyscy byli uzbrojeni.

Bańka zaklął pod nosem. Potem odwrócił się na pięcie i ruszył pędem w kierunku ich domu. Kiedy wbiegł do środka, przez chwilę nie mógł złapać tchu.

– Co się stało? – zapytała Sita.

– Ludzie Voynicha! Idą tu! – Poszukiwacz zaczął w pośpiechu zbierać pozostałości naszego ekwipunku i je chować. W głębi domu znajdowało się pogrążone w ciemnościach pomieszczenie. Bańka zatańczył tam na plecach Saula i ułożył ostrożnie w kącie. Potem zwrócił się do Sity: – Cokolwiek się stanie, nie ruszaj się stąd, rozumiesz? – Podał dziewczynie maczetę, którą miał za pasem. – Jeśli ktoś was znajdzie, nie zawahaj się jej użyć. Myślisz, że dasz radę?

Sita przytaknęła, ale na jej twarzy malował się strach.

– A co pan zrobi?

– Muszę ostrzec Fara i resztę. – Bańka położył dziewczynie ręce na ramionach i spojrzał jej w oczy. – Nie bój się, dobrze? Póki będziesz tu schowana, nic ci się nie stanie. Wszystko będzie dobrze, zapewniam cię. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek was skrzywdził.

Upewnił się, że Sita i Saül są dobrze schowani, i wybiegł z kryjówki.

Kiedy znalazł się na ulicy, usłyszał głos, który kazał mu się zatrzymać. Ochroniarze go zauważyli.

Przyspieszył kroku. Rozległ się huk wystrzału. Poszukiwacz poczuł szarpnięcie bólu w kolanie, jakby rzepka rozpadła mu się na dwie części. Krzyknął i upadł na ziemię. Z rany postrzałowej tryskała krew.

Dwóch mężczyzn w mundurach podeszło do niego. Chwycili go za ramiona i podnieśli.

– Gdzie reszta? – zapytał jeden z z ich.

Bańka spojrzał na niego i zacisnął zęby. Ból był bardzo silny.

– Pierdol się, baranie!

Dostał pięścią w żołądek.

Jeden z ochroniarzy wskazał dom, z którego wybiegł Bańka. Zawlekli go do środka. Żeby ich nie znaleźli, żeby tylko ich nie znaleźli, powtarzał w myślach Poszukiwacz. Strażnicy rzucili go na podłogę i wycelowali w niego broń.

– Jest z tobą ktoś jeszcze? Odpowiedz!

Bańka milczał, więc jeden z mężczyzn nadepnął mu na zranione kolano. Bańka zawył z bólu.

Do domu weszła jakaś kobieta.

– Co tu się dzieje?

Ochroniarze rozstąpili się, żeby pokazać Bańkę.

– Zobaczyliśmy tego mężczyznę. Biegł ulicą. To chyba jeden z tych, którzy uciekli doktorowi Yoonahowi.

Kobieta stanęła w progu i pod światło Bańka zobaczył tylko jej cień. Potem podeszła do niego i ujrzał symetryczne rysy twarzy, długi, kształtny nos, wydatne usta

wykrzywione w okrutnym grymasie. I jej oczy.

Wielkie. I złote. Niemożliwe do zapomnienia, kiedy już wcześniej się je widziało.

Bańka uznał, że majaczy z bólu. Widzi duchy.

Nieprawdopodobne zjawy, stare, pogrzebane głęboko we wspomnieniach. Cienie, których nie powinno tu być.

Jednak na jego twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego zdziwienia.

– Ty... – Jeden z mężczyzn znów kopnął go w kolano. Zdanie się urwało i przeszło w żalony krzyk.

Kobieta uśmiechnęła się połową ust. Wydawała się zadowolona z tego, że Poszukiwacz ją rozpoznał. Pochyliła się nad nim i pogładziła po policzku grzbietem dłoni.

Poszukiwacz poczuł, że jego ciało pokrywa gęsia skórka. Ten zimny dotyk nigdy nie wydawał mu się przyjemny, był jak dotyk marmurowego posągu.

– Bruno, mój mały chłopczyk – powiedziała kobieta. – Nigdy nie mogłam patrzeć, jak cierpisz.

Odwróciła się do jednego z uzbrojonych mężczyzn i skinęła na niego. Mężczyzna uniósł broń i strzelił w pierś Bańki, prosto w serce. Poszukiwacz runął na ziemię.

Kobieta podniosła się i przez chwilę patrzyła na trupa. Jej twarz miała zupełnie obojętny wyraz.

Krew tryskająca z Bańki uformowała kałużę u jej stóp. Kobieta cofnęła się o krok.

Krew jest gęstsza od wody, przyszło jej nagle do głowy. Jej usta znowu wykrzywiły się w półuśmiechu.

– Mógł nam zdradzić, gdzie jest reszta – powiedział jeden z ochroniarzy.

– I tak wiem, gdzie są. Z pewnością tam, gdzie znajduje się Oltarz. Przeszukamy miasto i ich znajdziemy. – Kobieta wskazała ciało Poszukiwacza. – Stąd nikt nie wyjdzie żywy. To odkrycie Voynicha, tylko Voynicha. Poza tym ktoś musi zapłacić za to, co stało się z Davidem Yoonahem i resztą naszej ekipy.

– A tamta... kobieta?

– Też. Na pewno ma ochotę dołączyć do brata, ale niech nikt nie strzela, póki nie wydam rozkazu.

Jeden z ludzi z Wotanu wyszedł z kąta. Wlókł za nadgarstki Site.

– Proszę zobaczyć, kogo znalazłem. Przyczajoną tygrysicę. Prawie odrąbała mi głowę maczetą.

– Była sama?

– Nie, obok leżał starzec, ale chyba nie żyje.

Kobieta podeszła do Site, która łkała ze strachu, i pogłaskała ją po głowie opuszkami palców.

– Spokojnie, mała, spokojnie. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Wręcz przeciwnie.

– Nachyliła się nad Site i spojrzała jej w oczy. – Chodź ze mną, a pokażę ci wspaniałe rzeczy. Rzeczy, których nikt nigdy nie widział. Tak, moja mała, Lilith ci pokaże...

Wzięła Site delikatnie za rękę. Dziewczyna wyszła z nią z domu, nie stawiając oporu.

Razem z Yokaim, Danny i Enigmą po raz drugi znaleźliśmy się w sanktuarium.

Kiedy zobaczyłem emanującą ze Stołu poświatę, znów ogarnęło mnie przecucie, że mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko zwykłą relikwią.

Przeszliśmy kładką nad srebrnymi wodami stawu i stanęliśmy przed Ołtarzem. Może byliśmy o krok od popełnienia fatalnego błędu, ale czułem, że nie ma dla nas odwrotu. Narastało we mnie fatalistyczne przekonanie, że jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy w tej chwili być, jakbyśmy od dawna podążali jedyną możliwą drogą prowadzącą do celu.

Yokai, niespodziewany Baal Szem, wyrwał z notatnika kartkę, na której zapisał *Semmakeraj* hebrajskim alfabetem, i położył ją na Stole. Spostrzegłem, że trzęsą mu się ręce.

– Nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz – powiedziałem tak cicho, żeby tylko on usłyszał.

– Ale ja chcę – odpowiedział zdecydowanie. – Nie boję się.

– To masz szczęście, bo ja się boję. – Puściłem do niego oko.

Uśmiechnął się blado.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Enigma. – Szukamy jakiejś instrukcji obsługi czy będziemy improwizować?

Poszukałem na krawędzi Stołu pokręteł, które widziałem, i spróbowałem poruszyć jednym z nich.

– Nic się nie dzieje – powiedziałem. – To tylko ozdoby.

– Jesteś pewien? – zapytał Yokai. – Bo nie widzę innego sposobu, żeby... – Spróbował z tym samym pokrętelem i największy pierścień na blacie obrócił się z metalicznym trzaskiem.

– Jak to zrobiłeś? – zapytałem zdziwiony. – Próbowałem przekręcić to samo pokrętło, ani drgnęło.

W ramach eksperymentu poprosiłem Enigmę i Danny, żeby spróbowały wprawić mechanizm w ruch, ale znów zdarzyło się to samo: pierścień obracał się tylko wtedy, kiedy dotykał go Yokai.

– Nie rozumiem – mruknęła zdziwiona Danny. – Co takiego robimy źle?

– Nic – odparłem. – To przecież oczywiste. Chodzi o to, że ani ja, ani wy nie jesteśmy Strażnikami Imienia. Jest nim Yokai.

– Ten mebel zaczyna sprawiać, że przechodzą mnie ciarki – przyznała Enigma, spoglądając nieufnie na Ołtarz.

Po dokonaniu szybkiej inspekcji wiedzieliśmy, że jest tyle pokręteł, ile pierścieni na blacie, uznaliśmy, że każde pokrętło obraca pierścieniem. Yokai, nasz ekspert od maszyn, uznał, że powinniśmy ułożyć w jednej linii hebrajskie litery z pierścieni w ten sposób, żeby utworzyły Szem ha-Meforasz.

– Ale od której litery powinniśmy zacząć? – spytała Danny. – Od tego dużego pierścienia znajdującego się na samej krawędzi czy od tego w środku? Musimy też uważać, żeby nie zapisać Imienia od tyłu.

Przypomniałem sobie, jak ojciec opowiadał, że wypowiedzenie Szem ha-Meforasz od tyłu zniszczyłoby Stół. „Oddajcie Bogu, co boskie”, pisał Święty Izydor.

– To proste, pokręta są ponumerowane – odparła Enigma, pokazując na krawędź

Stołu. Zauważyliśmy, że na każdym znajdował się znak wryty w czerwonej emalii.

– Widzicie? – Tu mamy alef, tu beth, tu gimel...

– Nie znam wprawdzie hebrajskiego – wtrąciłem się – ale zdawało mi się, że to litery, a nie liczby.

– To jedno i drugie. W hebrajskim litery mają przypisaną wartość numeryczną. Uważam, że pokrętło alef porusza pierwszym pierścieniem, beth – drugim, a gimel – trzecim, i tak po kolei.

Pokrętła zostały ułożone w porządku alfabetycznym (bądź numerycznym). Yokai mógł poruszać nimi bez problemu. Mechanizm nie wydawał się skomplikowany.

Więc teraz Strażnik Imienia musiał zapisać je na Stole. Potem pozostanie nam tylko zamknąć oczy i trzymać kciuki, żebyśmy nie spowodowali końca świata.

– Jesteś gotowy, chłopcze? – zapytałem, kładąc dłoń na ramieniu Yokaiego, żeby dodać mu otuchy. – To twoja chwila.

– Tak... oczywiście... – Stał przy ołtarzu i położył rękę na pierwszym pokrętle. Zanim wprawił je w ruch, spojrzał na nas pytająco. – Nie powinienem zmówić najpierw jakiejś modlitwy czy coś w tym rodzaju?

– Jak chcesz, słońko – odrzekła Enigma. – Zrób to po swojemu.

– Dobra. – Chłopak zagryzł wargi, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdecydowania. – To jedziemy z tym koksem... – I przekręcił mocno pierwsze pokrętło.

Wstrzymałem oddech.

Nagle, kiedy pierścień zaczął się przesuwac po blacie Stołu, przez jedyne wejście do sanktuarium zaczęli się wlewać mężczyźni w mundurach Wotanu.

W zaledwie kilka sekund rozbiegli się wokół i otoczyli staw, mierząc do nas z broni. Na końcu pojawiła się kobieta o złotych oczach, którą miałem nieszczęście już kiedyś poznać. Jej tęczówki, które wydawały się sztuczne, kojarzyły mi się z najgorszymi chwilami spędzonymi w więzieniu.

Lilith nas znalazła.

Była jak królowa otoczona zbrojną eskortą. Jej oczy lśniły w blasku drogich kamieni zdobiących ściany świątyni. Wkroczyła do sanktuarium powoli, nie okazując najmniejszego zdziwienia tym, co w nim zastała, jakby bywała tu wcześniej wiele razy.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy zobaczyłem, że prowadzi za rękę Sitę. Indianka szła przy niej posłusznie, w drugiej ręce Lilith trzymała niewielki pistolet.

Kobieta i dziewczyna przeszły przez kładkę prowadzącą do Ołtarza. W połowie drogi Lilith zatrzymała się i posłała mi uśmiech. A właściwie półuśmiech.

– Twój upór nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, Tirso – powiedziała. – Mogę mówić ci po imieniu? Czuję, że jesteśmy dobrymi znajomymi... Właściwie mam wrażenie, że znam was wszystkich, Poszukiwacze.

Jej spojrzenie przemknęło po naszych twarzach i w końcu spoczęło na mnie. Nagle doznałem wrażenia, że znów jestem nagi w tym koszmarnym więzieniu, czuję tylko ból i strach i jestem zdolny zrobić wszystko, żeby tylko właścicielka tych oczu skróciła moje cierpienie. Dłonie zaczęły mi się pocić i miałem ochotę odwrócić wzrok.

Nie zrobiłem tego.

– Przybyłaś za późno – powiedziałem. Przypomniałem sobie słowa, którymi chciał

ją powitać Piorun. – Wygrałem.

– Wygrałeś tylko wyścig – odrzekła. Ton jej głosu stał się nagle słodki. – Tirso... mój drogi Tirso... Dlaczego zawsze musimy konkurować? Nie chcę odbierać wam waszego odkrycia, zawsze pozostanie we wspomnieniach Korpusu Poszukiwaczy, że to właśnie wy znaleźliście Ołtarz Imienia nad Imionami. Tego właśnie chciałeś, prawda? Poszukiwania, emocji z nim związanych. Więc odniosłeś sukces, ale twoja rola tutaj się kończy.

– A co ze Stołem?

– Przecież nie chodziło ci o Stół... Oczywiście, że nie, nigdy go nie chciałeś. Nie wiedziałbyś, co z nim zrobić. Mój biedny, odważny Poszukiwaczu... – Uśmiechnęła się, a na jej twarzy odmalowało się coś w rodzaju sympatii. – Jesteś jak dziecko, które bawi się pistoletem. Nie wiesz, do czego jest zdolny, co właściwie masz w rękach.

– A ty owszem.

– Tak. Mogę dokonać niewiarygodnych rzeczy, dobrych rzeczy, które uczynią świat lepszym miejscem. To cel mojego życia, mój drogi. Pomyśl o Voynichu, o całej tej technologii mogącej posłużyć ludziom, ułatwić im życie, sprawić, że będą szczęśliwsi. To ja założyłam Voynicha i zrobiłam to właśnie po to. To, co masz przed sobą, to tylko technologia, najpotężniejsza na świecie. Ale w gruncie rzeczy tylko technologia. Ja wiem, jak jej użyć, żeby ujawnić wszystkie sekrety przyszłości i sprawić, że ludzkość nad nimi zapanuje.

– Taki jest plan? Wcielić w życie hasło waszej firmy?

– Moje biedne dziecko. Oczywiście nie możesz tego zrozumieć. Nie widzisz, że nie zasługujesz na ten Stół? Ale nieważne. Tak naprawdę chcę właśnie tego, co miałeś zamiar zrobić. Dalej, nie skrzywdzę was. Wymów Imię i zbudź drzemiącą w Stole moc. – Jej oczy zabłyśły hipnotyzującym światłem. – Poznamy odpowiedzi na wszystkie pytania świata. Będziemy jak bogowie.

Być może to głęboki i łagodny tembr jej głosu, w połączeniu z widmowym światłem emanującym ze Stołu i srebrnym połyskiem stawu, sprawiły, że zrozumiałem wreszcie, iż ten Ołtarz ma w sobie prawdziwą boską moc, zbyt wielką, żeby człowiek mógł ją pojąć. Mój umysł (żaden ludzki umysł) nie potrafił jej objąć, podobnie jak nie sposób zmieścić oceanu w szklance. I to wcale nie znaczy, że ocean jest czymś nadprzyrodzonym, po prostu szklanka jest zbyt mała, żeby go unieść.

Lilith miała rację: byliśmy jak dzieci bawiące się niebezpieczną zabawką. Nie tylko moi towarzysze i ja, ale i ona, chociaż jej przypadek był groźniejszy, bo przepelniona pychą uważała, że człowiek może unieść ocean pytań bez odpowiedzi.

Byliśmy o krok od popełnienia fatalnego błędu.

– Nie wiem, jak brzmi Imię – powiedziałem. – Nigdy tego nie wiedziałem.

Lilith skrzywiła się, wyraźnie zirytowana.

– Nie okłamuj mnie, drogie dziecko. Wiem, dlaczego cię tu znalazłam i co miałeś zamiar zrobić.

– Chciałem spróbować szczęścia – odpowiedziałem wyzywającym tonem. – Nic więcej, tylko spróbować szczęścia. Chciałem wpisać jakieś słowa na chybił trafił i sprawdzić, co się stanie. Szem ha-Meforasz nie istnieje.

Moje toporne kłamstwo nie wywarło na niej wrażenia. Znow uśmiechnęła się w charakterystyczny sposób i zwróciła się do moich towarzyszy.

– To prawda? – zapytała.

Byłem spokojny. Wiedziałem, że żadne z nich jej nie wyjawią.

I wtedy odezwała się Danny.

– Nie. – Podniosła wzrok i spojrzała na mnie smutno. – Chłopiec zna Imię. Wie, jakie słowo obudzi moc Stołu.

Poczułem, jakby ktoś ugodził mnie prosto w serce.

– Danny?

Odeszła powoli od Ołtarza i ruszyła w kierunku Lilith.

– Przykro mi, Tirso. Naprawdę mi przykro... Ale musisz to zrozumieć. To dla ciebie zbyt wiele, dla ciebie, dla nas, zawsze tak było. Próbowałam ci to wyjaśnić, ale nie wiedziałam jak.

Nie, tylko nie Danny. Zdrada któregośkolwiek z moich przyjaciół zabolalaby mnie jak zdrada brata, ale Danny... Nie mogłem przyjąć tego do wiadomości.

Patrzyłem na nią zdruzgotany. Nie czułem nienawiści, nie potrafiłem jej nienawidzić.

– Proszę, powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś.

– Bo ona ma rację – odpowiedziała zrozpaczona. – Nie widzicie, ile te poszukiwania nam odebrały od samego początku? To zadanie nas przerosło, ale uparliśmy się kontynuować, kosztem naszych przyjaciół. Ilu z nich straciło życie?

– Ale to oni ich zabili, Danny – odparłem. – To wina Lilith.

Poszukiwaczka pokręciła głową.

– Ona tylko się przed nami broniła – tłumaczyła z uporem. – Nie od razu to zrozumiałam, ale w końcu zobaczyłam wszystko jasno: to my stanowiliśmy zagrożenie, nie ona. Nigdy nie miała złych intencji, chciała tylko... – Głos jej się załamał. Patrzyła na mnie, jakby koniecznie chciała przekonać mnie do swoich racji. – Chce zrobić coś dobrego, a my jej przeszkadzamy. Gdybyśmy nie stanęli jej na drodze, nie spotkaloby nas nic złego. Ani nas, ani nikogo innego.

– Danny...

– To prawda, Tirso. Nie było nigdy dobrych i złych, tylko ona i my. A to ona ma plan, jak wykorzystać ten Ołtarz, by zdziałać coś dobrego. My tylko chcieliśmy go ukraść. Nasze postępowanie nie było honorowe, za to ona... – Spojrzała na Lilith jak neofitka na guru. – Ona zmieni świat. Rozumiesz to, prawda? Proszę, powiedz, że rozumiesz.

– To nie ma sensu – odezwała się Lilith. – Nigdy nie zdoła cię zrozumieć. To tylko ślepy poszukiwacz skarbów, który nie widzi nic poza czubkiem własnego nosa. Ale to nieistotne, nie musimy go przekonywać. Wystarczy, że go zmusimy. – Lilith wycelowwała do mnie z pistoletu. – Powiedz chłopcu, żeby wpisał Imię.

– Zrób to, o co cię prosi, Tirso – błagała Danny. – Dla dobra nas wszystkich.

Do tego doszliśmy: Danny zupełnie nie obchodziło, że Lilith strzeli mi w głowę, jeśli nie spełnię jej polecenia. Zastanawiałem się, w którym momencie straciłem Danny, pozwoliłem jej wpaść w sidła tej czarownicy o złotych oczach. Co zrobiłem źle? Jakich znaków nie potrafiłem dostrzec i dlaczego tak się stało? Musiałem popełnić błąd, ale nie

wiedziałem, na czym polegał.

Ale nie miało to teraz znaczenia, byłem pewien, że nie pożyję na tyle długo, żeby się tego dowiedzieć.

Spojrzałem na Yokaiego. Był nie na żarty przestraszony.

– Nie słuchaj jej – powiedziałem. – Nieważne, co zrobi ani czym będzie grozić. Nie pisz Imienia.

Enigma stanęła przed chłopakiem, jakby chciała go chronić.

– Spokojnie, kochanie – szepnęła mu do ucha. – Wszystko będzie dobrze.

Lilith odbezpieczyła pistolet.

– Tirso, to twoja ostatnia szansa. Powiedz mu, żeby uaktywnił Ołtarz.

Yokai patrzył na mnie z lękiem.

– Zrobię to...

– Nie, Yokai, nie. Posłuchaj mnie uważnie, wcale się nie boję, widzisz? Nieważne, co się ze mną stanie.

– Nie prosz mnie o to, żeby cię zabiła z mojej winy – powiedział, zaciskając zęby, jakby był wściekły. W kąciakach jego oczu pojawiły się łzy, które czym prędzej otarł z furją. – Nie prosz mnie o to, nie masz prawa, do cholery.

Byłem pewien, że Yokai zrobi wszystko, żeby zapobiec mojej śmierci, chociaż udawałem absolutny spokój. Lilith była bardzo sprytna, wiedziała, że chłopak nie wytrzyma szantażu.

Ale nawet gdyby Yokai wykazał się hartem ducha i zdołał przeżyć scenę mojej egzekucji, ilu więcej przyjaciół musiałoby umrzeć, żeby wreszcie wykonał jej polecenie? Miał rację, nie mogłem wystawiać go na podobną próbę.

Musiałem mu pozwolić napisać *Semmakeraj*. To było nieuniknione.

Spojrzałem na Enigmę, mając nadzieję znaleźć szczęście w jej zielonych tęczęwkach, o wiele piękniejszych niż miliony złotych oczu.

I wtedy coś sobie przypomniałem.

„Oddajcie Bogu, co boskie”.

Yokai wiedział, jak obudzić drzemiącą w Ołtarzu Imienia nad Imionami moc, ale wiedział również, jak go zniszczyć. Musiał tylko zapisać imię odwrotnie, od końca. Niewykluczone, że Lilith nie miała o tym pojęcia i mogliśmy ją oszukać, udając, że wpisujemy prawdziwe *Semmakeraj*, chociaż tak naprawdę uruchomilibyśmy mechanizm prowadzący do zniszczenia Stołu. Niestety nie przychodziło mi do głowy, jak przekazać ten pomysł Yokaiemu tak, żeby nie zrozumiała go Danny. Ona, owszem, wiedziała, że istnieje sposób na unieszkodliwienie mocy Ołtarza.

„Oddajcie Bogu, co boskie”.

– Yokai? Pamiętasz nasze hasło?

Oczy Enigmy załśniły, kiedy zrozumiała, o co mi chodzi.

– Tak jest, kochanie – powiedziała cicho. – Z powrotem do domu.

I ukradkiem puściła do chłopca oko.

– Do domu... – powtórzył chłopak. Spojrzał na mnie, pokiwał głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech. – Zwróćmy go temu, do kogo należy.

Słyszając to, poczułem niesamowitą dumę.

– No, dalej, Yokai. Bądź prawdziwym Poszukiwaczem.

Strażnik Imienia ustawił odpowiednie pokręta tak, że utworzyły wyraz, o który nam chodziło. Lilith popatrzyła na nas dumna ze zwycięstwa.

I wtedy świat zadrżał w posadach.

Piorun umierał.

Kiedy był Poszukiwaczem, wszyscy koledzy myśleli, że nie boi się niczego, nawet Narvéez podzielał tę opinię, ale to nie była prawda. Jak każdy człowiek odczuwał strach, bał się wielu rzeczy, sam widok clownów przyprawiał go o gęsią skórę (to była tajemnica, której nie wyznałby, nawet gdyby przypiekano go żywcem), a najpotężniejszym ze wszystkich jego lęków był ten przed śmiercią.

Ale był to przecież lęk uniwersalny i nie trzeba było się go wstydzić. Piorun jednak bał się ostatniego tchnienia z zupełnie innych powodów niż większość ludzi, nie trapiło go wcale, co zastanie po drugiej stronie tunelu (jeśli rzeczywiście miał cokolwiek zastać) ani też umieranie w cierpieniach. Nawet ból nie widniał na liście najgorszych strachów, dlatego jego towarzysze myśleli, że nie boi się niczego.

Nie. Piorun bał się śmierci, która nie pozwoli mu dokończyć poszukiwania.

Teraz jednak, po wielu latach dobrze przeżytego, ciekawego życia, Piorun nie bał się tak bardzo zamknięcia oczu na zawsze. Czuł, że znalazł już wszystko, czego szukał. Było mu dane przekroczyć bramy Miasta Świętych Mężów, było mu dane podziwiać na własne oczy błysk Stołu Salomona i, co ważniejsze, mógł to zrobić w towarzystwie syna.

Tirsa, który tak jak ojciec został Poszukiwaczem.

Nie było już na tym świecie niczego, co mogłoby mu przynieść podobną radość. Zostało tylko jedno Poszukiwanie, to, o którym Narvéez zawsze mówił, że jest najpiękniejsze i najważniejsze ze wszystkich. I ostatnie.

Pewnie Piorun chciałby pożyć jeszcze kilka lat na tym niewdzięcznym, złym świecie, przeżyć jeszcze kilka przygód w towarzystwie syna, ale to już nie było możliwe. Jego ciało, osłabione raną i trawione śmiertelną gorączką, nie mogło mu dalej służyć. Pora zgasić światło, zabrać płaszcz i wyjść.

Piorun sądził, że jest gotowy. Już się nie bał.

W zasadzie tylko się niecierpliwił.

Ból doskwierał mu coraz mniej, znak, że nerwy powoli się wylaczały. Były części ciała, których w ogóle nie czuł, nie był też pewien, czy odzyskał przytomność. Czuł się jak ktoś, kto ma się właśnie obudzić i wie, że śni i że za chwilę się ze snu przebudzi.

Piorun spędził ostatnie chwile swojego życia na granicy majaków i świadomości. Obrazy i fantazje wytworzone przez gasnący mózg mieszały się z bodźcami z prawdziwego świata i nie potrafił odróżnić jednych od drugich. Słyszał znajome głosy dochodzące jakby z bardzo daleka. Tirsa, Enigmy, Indianki Sity... ale też głosy Narvaeza, starego kumpla Skrzydłowego i innych osób, drzemających w jego pamięci.

Słyszał, jak Bańka rozmawia z Sitą.

– Jak on się ma? – pytał. Jego głos brzmiał jak ze studni.

– Źle, bardzo źle – odpowiadała Sita. – Jest umierający.

A potem głos Narvaeza, lodowaty i szorstki.

– Oczywiście, że jest umierający. Biedny Piorun, jest za bardzo zmęczony, pozwólcie mu odejść. Mam ochotę się z nim spotkać i powspominać stare, dobre czasy.

Piorun sądził, że może z nim rozmawiać, nieważne, w rzeczywistości czy we śnie.

– Ach, Staruszk, więc to ty? Ależ się cieszę, że cię słyszę... Tęskniłem za tobą, wiesz?

– My za tobą też, Piorunie. – Ciekawe. Piorun rozpoznał głos Helma. Helm, z tym swoim łbem twardym jak skała. Znałem kiedyś typa, który rozwalił drzwi głową. – Co robiłeś przez cały ten czas?

– Mógłbym ci opowiedzieć, jeśli chcesz, ale znam lepszą historię. – To mówił Tirso, ale nie dorosły Tirso, tylko mały chłopiec o wielkich oczach. Jadł batonik. Czekoladowy batonik z orzechami laskowymi i owocem tamaryndowca.

– Chyba wczoraj niedaleko bram miasta widziałam tamaryndowiec. Gdyby miał owoce, moglibyśmy dać księdzu pulpę, może zbilaby nieco gorączkę.

– Zostawcie go w spokoju – mówił Narváez. – To nie ma sensu. Pozwólcie mu wrócić. Chcę mieć z powrotem przy sobie najlepszego Kawalera Poszukiwacza.

Z powrotem do domu.

„Oddajcie Bogu, co boskie”, powiedział ktoś głosem Skrzydłowego.

Piorun poczuł, że ktoś go gdzieś przenosi.

– Czy już czas? – zapytał, a przynajmniej tak mu się wydawało. – Mam już odejść?

– Nie, jeszcze nie – powiedział Skrzydłowy. – Idą tu. – Piorun nie potrafił rozpoznać, do kogo należy głos. – Voynich tu jest.

Voynich? O mój Boże, trzeba zawiadomić...

– Muszę zawiadomić Fara i resztę.

Tak, chłopcze. To właśnie powinieneś zrobić. Lubił tego Poszukiwacza, uważał, że w młodości sam był do niego podobny.

– Nie rób hałasu, Piorunie – ostrzegł Narváez. – Nadchodzą. Póki nie wyjdiesz z tej kryjówki, wszystko będzie dobrze, zapewniam cię. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił wam krzywdę.

– Spróbuję wstać. Powiniennem pomóc.

– Nie, chłopcze, nie. Nie próbuj nawet, jesteś przecież zbyt zajęty umieraniem, nie pamiętasz?

– Ach tak... To prawda.

Piorun usłyszał strzał.

– To znak dla mnie? – zapytał Narvaeza. – Mogę już odejść?

Odpowiedź Staruszka była bardzo dziwna.

– Chodź ze mną, a pokażę ci wspaniałe rzeczy. Rzeczy, których nikt nigdy nie widział... – To nie brzmiało nawet jak głos Narvaeza, lecz jakiejś kobiety. W jej słowach było coś niepokojącego.

Piorun zdecydował, że nie chce z nią iść. Nikt nie powinien z nią iść.

– Nie, zostanę tu trochę dłużej, dziękuję – odpowiedział.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nie było już głosów ani znajomych twarzy, ani ech, ani słów. Tylko ciemność i przenikliwy chłód rozchodzący się po całym ciele. Po bólu nie został nawet ślad.

Piorun zrozumiał, że nadszedł czas. To była śmierć.

I wtedy w jego majakach pojawiło się coś nowego. Usłyszał szemranie strumienia i towarzyszący głos:

– Jeszcze nie, Poszukiwaczu. Jest jeszcze za wcześnie.

Był to głos człowieka, Zielonego Proroka.

Zielonego Proroka? To nie miało sensu. Kim, do licha, jest Zielony Prorok?

Piorun otworzył oczy.

Zobaczył dwie intensywnie szmaragdowe tęczęwki i przez chwilę myślał, że stoi znów przed tym jaguarem, który wiele lat temu wyskoczył z gąszczu, żeby ocalić mu życie. Patrzył na niego teraz tak samo jak wtedy.

– To nie zwierzę, Poszukiwaczu. To człowiek taki jak ty. – Głos brzmiał wesoło. – Tyle że zielony.

Piorun przyjrzał się lepiej i odkrył, że oczy nie należą do żadnego jaguara, lecz do zwykłego człowieka. Miał bujną brodę przetykaną siwymi pasmami, a na głowie niebieski turban. Uśmiechał się do niego przyjaźnie.

Piorun usiadł. Nie miał gorączki, nie czuł też bólu. Miał na sobie coś w rodzaju tuniki, przetartej, ale z materiału dobrej jakości.

– Już nie żyję, prawda? – zapytał.

Rozejrzał się wokół. Zaświaty nie wyglądały zbyt obiecująco, do złudzenia przypominały wnętrze zrujnowanego walkateckiego budynku.

– Nie żyjesz? – zdziwił się Zielony Prorok. – Wątpię. Nigdy nie wierzyłem w duchy, a teraz widzę cię doskonale.

– W takim razie co to jest? Sen?

– To bardziej prawdopodobne... Może się rozejrzysz i sam się przekonasz?

Piorun spojrzał na mężczyznę podejrzliwie i wstał. Przeszedł kilka kroków i stwierdził, że jest w tym samym budynku, w którym on i jego przyjaciele znaleźli schronienie. To była jedna z ostatnich rzeczy, które pamiętał, zanim stracił przytomność.

Nie zobaczył Tirsę ani nikogo z towarzyszy poza Bańką. Poszukiwacz leżał na podłodze w wielkiej kałuży krwi, chociaż nie wydawał się martwy. Sprawiał wrażenie, jakby tylko przyjemnie spał. Piorun mógłby przysiąc, że słyszy nawet jego chrapanie.

Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna w turbanie stoi dokładnie za jego plecami. Nie wiedział, jak on właściwie się tu znalazł, ale to nie miało znaczenia, w snach zawsze zdarzały się dziwne rzeczy.

Bo to był sen, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Skąd się wzięła cała ta krew? – zapytał, wskazując na Bańkę. – Jest ranny?

– Był, ale już nie jest. Odpoczywa, tylko boję się, że będzie musiał zaraz się obudzić, podobnie jak ty, Poszukiwaczu. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

– Kim jesteś?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Strażnikiem, który lubił spędzać czas w swojej oazie daleko stąd – odparł. Potem dodał ze smutkiem: – Moja oaza jest teraz jak dżungla, która otacza to miasto: miejscem żywym i pełnym życia, które zachorowało. Potrzebuje dobrego ogrodnika.

– Ty jesteś ogrodnikiem?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jestem kimś, kto potrafi przywrócić życie temu, co zwiędło.

Nagle ziemia pod nogami Pioruna zadrżała, a niebo przecięła gigantyczna błyskawica. Stary Poszukiwacz wybiegł z domu i spojrzał w górę: nad sanktuarium z Ołtarzem kłębiły się czarne chmury.

– Co się dzieje? – zapytał.

– To twój syn.

– Tirso?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Zrobił coś bardzo dobrego i otrzyma za to stosowną nagrodę.

– Nagrodę? Jaką?

– Oko za oko, ząb za ząb. Wszechświat jest równowagą i harmonią – odparł mężczyzna. – Twój syn znalazł coś bardzo cennego i oddał to prawowitemu właścicielowi. W zamian otrzyma coś, czego dotąd był pozbawiony. A właściwie dwa skarby tak cenne jak ten, który zwrócił właścicielowi. Przynajmniej dla twojego syna.

Zwrócił właścicielowi, powtórzył w myślach Piorun.

– Ołtarz – powiedział. – Tirso zniszczył Ołtarz Imienia nad Imionami.

– Teraz wszystko wróci do początku.

Ziemia znowu zadrżała. W bruku otworzyła się ogromna szczelina, a mury zaczęły się sypać.

– Musimy uciekać – powiedział Piorun.

Wrócił do Bańki i próbował zbudzić go ze snu, ale mu się nie udało.

– Nie możesz obudzić kogoś, kto nie śpi.

– Ale powiedziałeś, że...!

– Źle mnie zrozumiałeś. Jedynym, który nadal śni, jesteś ty, Poszukiwaczu, ale już pora, żebyś się obudził. – Mężczyzna przeszył Pioruna spojrzeniem swoich zielonych oczu.

– Zbudź się!

Piorun otworzył oczy.

– Obudź się, Saulu – usłyszał. Bańka szarpał go za ramię. Za ścianami słyhać było ryk towarzyszący trzęsieniu ziemi, a wszystko naokoło drżało. – Cholera, obudź się, musisz się obudzić!

– Dobrze, synuś, dobrze – odrzekł Piorun. – Już nie śpię, widzisz? Nie potrząsaj mną tak, złamiesz mi rękę!

– Bogu niech będą dzięki! Jak się czujesz? Możesz wstać?

– Czuję się doskonale. Śniło mi się... śniło mi się coś bardzo dziwnego... Leżałeś na podłodze i był tu taki mężczyzna...

– ...o zielonych oczach – dokończył Poszukiwacz. Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Ja też miałem dziwny sen.

– Sądziś, że...?

Bańka uciszył go gestem.

– Nie mam pojęcia. I chyba nie chcę wiedzieć. Jednego jestem pewien, musimy stąd wyjść, zanim ten cholerny budynek zawali się nam na głowy.

I obaj wyszli z kryjówki na chwilę przed tym, jak jedna ze ścian runęła, zmieniona

w kupę kamieni. Już na ulicy ujrzeni widowisko, które zaparło im dech w piersiach.

Dżungla pożerała miasto z niezwykłą, niemożliwą prędkością.

Nagle nad ich głowami rozległ się przeraźliwy huk, jakby niebo rozpadło się na pół w wyniku potężnej eksplozji. Obaj podnieśli wzrok, żeby spojrzeć na sanktuarium, które rozpadało się na kawałki, otoczone zielonym blaskiem.

– Boże mój – jęknął Piorun. – Tirso!

I rzucili się z Bańką biegiem do świątyni.

Ostatni pierścień przekreślił się na blacie Stołu. W momencie gdy litery tworzące *Semmakeraj* znalazły się w jednej linii, poczułem, jak podłoga pod moimi nogami drży. Usłyszałem huk spadających kamieni, jakby dzikie zwierzę zaryczało w grocie, a woda stawu otaczającego Ołtarz zmarszczyła się, jak skóra osoby, której jest zimno.

Otulająca Ołtarz fosforyzująca poświata stała się jaśniejsza, podobnie jak dochodzące z niego buczenie. Dwanaście podtrzymujących je stworzeń świeciło jak rozgrzane do czerwoności żelazo. Poczułem na twarzy ciepło i musiałem osłonić rękami oczy przed tym oślepiającym blaskiem.

Zauważyłem wtedy, że figura jednej z bestii pęka i tworzy się w niej szczelina, z której tryska gęsta szmaragdowa ciecz. Po chwili otworzyło się dużo więcej takich szczelin, z których sączył się ten sam płyn, i Ołtarz zaczął krwawić z tysiąca ran. Pęknięcia rozszerzały się i wydłużały, obejmując po chwili cały blat Stołu, który wydawał trzaski podobne do lodu mającego się za chwilę załamać. Z całego Ołtarza buchała jadeitowa ciecz, która wlawszy się do stawu, nappełniła całe sanktuarium zielonym blaskiem.

Potem Ołtarz Imienia nad Imionami rozpadł się na drobne kawałki.

Wybuchł jak szklana kula poddana działaniu bardzo wysokiej temperatury. Milion lśniących złocistych odłamków rozprysło się po sali jak deszcz spadających gwiazd. Ze zdumieniem spostrzegłem, że nie spadają na ziemię, ale zastygają w powietrzu, jakby nagle czas się zatrzymał.

Patrzyłem jak urzeczony w sam środek tego firmamentu.

W sercu ciemności upstrzonych złotymi błyskami zobaczyłem zieloną kulę, która pulsowała niczym serce. Z każdym uderzeniem przypominała inną bryłę geometryczną, zmieniając się jak rzeźba kształtowana niewidzialnymi dłońmi: z pryzmatu przekształciła się w piramidę o wielu ścianach, potem przypominała diament... Jej ewolucja przebiegała powoli i była bardzo piękna: każdy kształt był bardziej skomplikowany niż poprzedni, aż w końcu przybrała niewyobrażalnie skomplikowaną postać wielokąta, którego ściany błyszcząły jak lustro. Nie mogłem oderwać wzroku od tego wspaniałego spektaklu.

I wtedy w mojej głowie rozległ się głos, który brzmiał jak mój własny, ale jednocześnie mówił coś zupełnie sprzecznego z moimi myślami.

Nie patrz, Poszukiwaczu.

Powiniennem patrzeć. Tu są wszystkie odpowiedzi.

Absolutna wiedza całkowicie nas odczłowiecza. Naprawdę chcesz poznać odpowiedzi na wszystkie pytania wszechświata?

Tak, chcę.

I co wtedy zrobisz? Czego będziesz szukał?
Niczego. Żadnych pytań. Żadnych tajemnic.
Tylko tajemnica trzyma nas przy życiu.
Tylko tajemnica.

Odwróciłem wzrok i w tej samej chwili fragmenty Stołu, które dotąd unosiły się w powietrzu, opadły do wód stawu. W jednej chwili sanktuarium zatonoło w ciemnościach, a jego mury się zatrzęsły. Złote płytki i drogie kamienie, którymi udekorowano kopułę, zaczęły odpadać. Wyglądało na to, że zaraz wszystko się zawali.

Chwyciłem Enigmę i Yokaiego za ramiona.

– Uciekajmy stąd! – krzyknąłem.

Rzuciliśmy się w stronę kładki przecinającej sanktuarium. Stała tam Lilith, nieruchoma jak posąg, złotymi oczami obserwowała jakiś punkt w pustce. Sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej.

Świątynia zadrżała w posadach i runęliśmy na ziemię. W kopule zaczęły się otwierać liczne szczeliny. Wody stawu zaryczały groźnie i wytrysnęła z nich kolumna, z której zaczęły się wyłaniać korzenie pokryte kolcami podobne do macek ośmiornicy. Wbijały się w ściany sanktuarium albo pięły jak węże w kierunku kopuły. Niektóre przebijały ochroniarzy Wotanu jak lance. Wybuchła panika, ludzie rzucili się biegiem do wyjścia. Na jednego z nich spadła z kopuły złota płyta i ucięła mu głowę jak ostrze gilotyny, innego kolczaste korzenie pociągnęły w kolumnę wody. Podobny koniec spotkał wielu jego kolegów.

Korzenie były bardzo niebezpieczne. Bez ustanku wyłaniały się ze stawu, zmienionego w gwałtowny gejzer, i rozpełzały się, wijąc, po pomieszczeniu i śmigając w powietrzu jak odnóża żywej istoty. Niektórzy ochroniarze zostali uwięzieni w siatce pnączy i kolców, jakby roślinność chciała ich pożreć. Inni zostali uduszeni, jeszcze innym korzenie oplatały ciała, odcinając jego fragmenty, wdzierały się do środka przez oczy, uszy i usta. Z przerażeniem patrzyłem, jak ostre korzenie rozsadzają brzuch jednego z ochroniarzy i wyłaniają się z drugiej strony.

Wszystkich pracowników Wotanu dosięgła furia morderczej roślinności, upodabniającej sanktuarium do oranżerii rodem z horroru.

Krzyknąłem do Yokaiego i Enigmy, żeby biegli do wyjścia. Ja ruszyłem za nimi z Danny i Sitą. Poszukiwaczka nagle potknęła się o korzeń.

Odłączyłem się od towarzyszy i ruszyłem jej na ratunek. Złapałem ją za rękę, pomogłem wstać i uwolnić się od rośliny. Udało nam się wybiec na zewnątrz.

Znaleźliśmy się na głównej alei. Zewsząd wyrastały nagle dziesiątki drzew, korzeni i krzewów, rozsadzając mury, krusząc bruk i rujnując budowle po drodze. Dżungla pochłaniała miasto z zawrotną prędkością.

Ziemia znów się zatrzęsała. Kamienny obelisk wielki jak korzeń drzewa runął na biegnącą kilka kroków przede mną Enigmę.

Wykrzyknąłem jej imię i ruszyłem na pomoc. Obelisk przygwoździł ją do ziemi. Próbowałem ją uwolnić, ale nie mogłem, był zbyt ciężki. Wokół nas miasto waliło się w gruzy za sprawą kolejnych wstrząsów i inwazji zabójczej roślinności.

– Uciekaj! – rzuciła Enigma. – Musisz stąd uciekać!

Nie mogłem jej tak zostawić. Jeszcze raz ze wszystkich sił spróbowałem przesunąć obelisk.

Zobaczyłem, że biegnie do nas Danny.

– Pomóż mi! – krzyknąłem.

Zatrzymała się. Spojrzała na wrota sanktuarium i zrozumiałem, że to tam właśnie biegnie.

– Jest w środku! Nadal jest w środku! – powiedziała.

– Kto? – zapytałem przerażony.

– Ona. Muszę ją stamtąd wydostać.

– Lilith? – spytałem, nie mogąc w to uwierzyć. – Na litość boską, kogo to teraz obchodzi? Musisz mi pomóc przesunąć ten kamień! Enigma jest uwięziona!

Danny stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, jakby nie wiedziała, co robić.

W końcu pobiegła do sanktuarium.

– Danny!

Spojrzała na mnie po raz ostatni i zniknęła mi z oczu.

Wtedy nadbiegł Yokai. Wracał, żeby pomóc uwolnić Enigmę. Oparł się plecami o obelisk i usiłował go przesunąć.

– Nie mogę! – krzyknął. – Pomóż mi, Faro, spróbujmy we dwóch!

Nagle nie wiedziałem, co robić. Myślałem o tym, żeby wyciągnąć Danny z budynku, zanim zawali jej się na głowę, ale to by oznaczało zostawienie Enigmy.

Może mi się uda? Sanktuarium było tylko kilka metrów za nami, czułem pokusę, żeby pobiec po Danny i potem wspólnie z nią spróbować wyciągnąć Enigmę. To zajęłoby tylko chwilę. Niemożliwe, żeby Enigmie stało się coś złego w tak krótkim czasie.

Wielki blok kamienia oderwał się od budynku i upadł obok Yokaiego.

Spojrzałem na Enigmę i myśl, że jej zielone oczy miałyby zamknąć się na zawsze, wydała mi się nieznośna.

Zacząłem pchać obelisk razem z chłopakiem. Zagryzłem zęby, aż rozboleły mnie szczęki, czułem, że moje mięśnie napinają się jak naprężone kable i zaraz popękają. Kamień, który przygwoździł Enigmę, poruszył się nieco i to wystarczyło, żeby Poszukiwaczka zdołała się uwolnić.

Chwilę później szklana kopuła sanktuarium wybuchła pośród zielonych rozbłysków. Enigma i ja patrzyliśmy z przerażeniem, jak z jej szczątków wytryskuje kaskada korzeni i pnączy.

– Danny... – jęknęła Enigma.

– Podjęła decyzję – powiedziałem. I spojrzałem na nią. – Ja też.

Poszukiwaczka pogłaskała mnie po policzku i pocałowała. Znowu czas się dla mnie zatrzymał, poczułem się szczęśliwy, że jestem tu z nią, chociaż wciąż znajdowaliśmy się w sercu kataklizmu.

Kto chciałby poznać odpowiedzi na wszystkie pytania świata, mając swoją zagadkę, swoją Enigmę o zielonych oczach.

– Ej, dajcie już spokój – zaprotestował Yokai. – Spierdalajmy stąd, zanim zmienimy się w nawóz dla tych roślinek.

Całe szczęście, że w porę przywołał nas do porządku. Szalony gąszcz, który buchał

z sanktuarium, rozprzestrzeniał się z niewiarygodną szybkością na całe miasto. Ruszyliśmy biegiem w kierunku jego bram, omijając nie tylko mury i kamienie spadające wszędzie wokół, ale też korzenie, krzaki, a nawet drzewa, które wyrastały nagle spod ziemi, rozsadzając bruk. Liście rozwijały się w każdym otworze, z każdej szczeliny kiełkowały nowe pnącza, wokół nas szalała zielona powódź, gotowa w każdej chwili nas porwać.

Nagle pod moimi nogami ukazały się macki korzeni, które okręciły mi się wokół kostek i przytwierdziły do ziemi. Enigma i Yokai ciągnęli mnie za ręce, ale korzenie były zbyt grube. Zostałem uwięziony. Wokół mojego ciała zaczęły owijać się pnącza, rozwijające się w gałęzie, które szybko wspinały mi się po nogach. Próbowałem rozrywać je rękami i choć udawało mi się niektóre zniszczyć, w ich miejsce wyrastały inne.

W tej chwili dostrzegłem zbliżających się do nas Pioruna i Bańkę, który miał w ręku maczetę. Podbiegł do mnie i zaczął przecinać oplatające mnie już do pasa gałęzie. Udało mu się przeciąć ich tyle, że zdołałem się uwolnić.

Teraz wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki spiralną aleją, omijając lawiny kamieni ze zrujnowanych budynków, a miasto wokół znikało w morzu liści, pni i pnączy.

W końcu dojrzeliliśmy wrota. Gigantyczne posągi zmieniły się w dwa filary bluszczu pokryte wykwitami mchu. Przebiegliśmy przez bramę, nie oglądając się za siebie, i gnaliśmy dalej, aż zabrakło nam tchu i padliśmy wyczerpani na ziemię.

Wtedy odważyłem się odwrócić i w miejscu, w którym wznosiło się wcześniej Miasto Świętych Mężów, zobaczyłem porośnięte dżunglą wzgórze. Nieliczne pozostałości po zabudowaniach zostały natychmiast przykryte kobiercem roślinności, która rozrastała się coraz bujniej, trawiąc wszystko po drodze jak szmaragdowy ogień. Nie było już budynków, alei ani obelisków, tylko rozłożyste drzewa i żyzna gleba, wszystko powróciło do stanu, w którym zapewne się znajdowało, zanim dotarł tu Ołtarz Imienia nad Imionami, a może i sami Walkatekowie.

Święte miasto zniknęło bez śladu.

W gąszczu drzew na samym szczycie góry młoda Indianka płakała, siedząc pod drzewem.

Gałęzie tego drzewa splatające się z innymi tworzyły nad nią zielone sklepienie, jakby ten leśny zakątek liczył sobie setki lat. Ale nie był tak stary. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, powstał zaledwie kilka minut wcześniej.

Obok dziewczyny leżało metalowe koło zębate. Tysiące małych pędów bezszelestnie wyrosły z ziemi, rozwijając się w dorosłe rośliny i szczelnie przykrywając przedmiot. Potem pochłonęła go ziemia.

Tak zniknęły ostatnie pozostałości po Mieście Świętych Mężów.

Dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Nadal szlochała ze strachu.

Spośród kępy paproci i niewysokich krzaków wyłonił się nagle Strażnik Oazy. Szedł niespiesznie, z rękami splecionymi za plecami, rozglądając się z zadowoleniem. Kawał dobrej roboty, myślał. Piękny ogród.

Podszedł do Indianki i odezwał się ciepłym głosem:

– Nie płacz, maleńka. Już po wszystkim.

Sita się przestraszyła. Spojrzała na mężczyznę z lękiem, ale napotkała łagodne spojrzenie intensywnie zielonych oczu i miły uśmiech, więc poczuła się bezpieczniejsza.

Otarła policzki, ciągle jeszcze nie mogąc uspokoić oddechu. Strażnik wyciągnął do niej rękę, a ona ją uścisnęła. Nagle zupełnie się uspokoiła.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie pamiętasz?

Sita chwilę się zastanawiała.

– Pamiętam kobietę o złotych oczach... Patrzyła na mnie i coś do mnie mówiła... Miała słodki, ale zimny głos, nie umiem tego nazwać... – Przerwała i krzyknęła: – Mój Boże! Ojczulek i jego towarzysze! Są...

– Nie, maleńka, są już bezpieczni. – Strażnik uśmiechnął się do niej. – I ty też, więc nie musisz się o nich martwić.

Z gęstwiny dobiegł ich dziwny odgłos. Przypominał mruczenie niewielkiego ssaka. Sita i Strażnik odwrócili się i zobaczyli kobietę na czworakach. Z jej ust dobywało się to dziwne warczenie, a w jej twarzy nie było śladu człowieczeństwa.

Kobieta zauważyła chrząszcza z wielką kulą spacerującego pomiędzy jej palcami. Jej usta wykrzywiły się w głupawym uśmiechu. Ujęła pancrzyk dwoma palcami, przyglądała mu się chwilę łakomym wzrokiem, a potem włożyła go do ust. Przeżuwała z prawdziwą przyjemnością. Później zaczęła węszyć, najwyraźniej wyczuła w powietrzu jakiś zapach. Odwróciła głowę w kierunku Sity i Strażnika i spojrzała na nich.

Miała złote oczy.

Indianka zlekła się i przylgnęła do Strażnika.

– Spokojnie, maleńka – powiedział, głaszcząc ją po głowie. – Nie robi ci krzywdy. Już nie może.

Kobieta o złotych oczach fuknęła i rzuciła się do ucieczki, oczywiście na czworakach. Zniknęła w krzakach jak nocny drapieżnik umykający z przerażeniem przed promieniami słońca.

– Co jej się stało? – zapytała Sita.

– Chciała osiąść całą wiedzę świata i dostała jej tyle, że nie mogła unieść. – Westchnął ciężko. – Wiedza absolutna całkowicie nas odczłowiecza.

– Słucham?

– Nic, tylko głośno myślałem. – Znów się uśmiechnął. – Chcesz, żebyśmy już ruszali w drogę?

– Och, tak, proszę... Ale... czy będziemy musieli iść daleko? Czuję się taka zmęczona...

– Wiem, maleńka, nie martw się. Wezmę cię na ręce i zaniosę w bezpieczne miejsce. Sicie ta propozycja nie wydała się wcale dziwna. Wręcz przeciwnie, pomyślała, że tego właśnie pragnie.

Strażnik niezwykle delikatnie wziął ją na ręce. Kiedy to zrobił, Indianka zamknęła oczy, jak mała dziewczynka w ramionach ojca.

Potem oboje zniknęli w gęstwinie.

NARVÁEZ

Mój ojciec zawsze mówi, że najtrudniejsze w sztuce snucia opowieści jest to, kiedy zakończyć opowiadaną historię.

Jest o wiele lepszym gawędziarzem ode mnie i także w tej kwestii ma nade mną przewagę. Może dzieje się tak za sprawą mojego przeświadczenia, że historie naprawdę czegoś warte nigdy tak naprawdę się nie kończą, toczą się dalej, splatając się z innymi, a próba ich rozdzielenia jest jak prucie osnowy kilimu składającego się z niezliczonych motywów. Ostatecznie utwór jest niekompletny.

Nasza przygoda z Ołtarzem Imienia nad Imionami nie skończyła się wraz ze zniknięciem Miasta Świętych Mężów. Czekало nas jeszcze arcytrudne zadanie: powrót do domu.

A jednak mam wrażenie, że to należy już do innej opowieści, o nowej misji Kawalerów Poszukiwaczy, w której skarbem, jaki musieliśmy sprowadzić z powrotem, byliśmy my sami. To też niezła historia, przyznaję, ale znam lepsze.

Powiedzmy pokrótce, że po błędzeniu w dżungli, kiedy już straciliśmy nadzieję, że kiedykolwiek znajdziemy wyjście z tego labiryntu, wydarzył się cud.

Tym cudem był osioł.

Ów błogosławiony zwierzak nie zapuścił się w dżunglę sam. Na jego grzbiecie siedział zbieracz kauczuku, który ujrzawszy nas w selwie, był przekonany, że zobaczył duchy.

Mówił po portugalsku, co skłoniło nas do przypuszczeń, że nie jesteśmy już w Valcabado, ale w amazońskiej części Brazylii. Błąkając się po Los Morenos, nieświadomie przekroczyliśmy granicę.

Zbieracz kauczuku zaprowadził nas do cywilizacji. Skontaktowaliśmy się z Lacombe, która, wierna swej obietnicy, natychmiast posłała po nas ekspedycję ratunkową i poruszyła niebo i ziemię, żebyśmy mogli wrócić do Hiszpanii.

Mniej więcej trzy tygodnie po tym, jak wylądowaliśmy w Madrycie, gdy już udało mi się odzyskać siły po naszej wyprawie (choć prawdę mówiąc, sądzę, że ślad po tym doświadczeniu pozostanie we mnie na zawsze), odwiedziłem Bańkę w jego mieszkaniu.

Dom Bańki był prawie pusty, a w korytarzu stało kilka sporych walizek. Wypiliśmy parę piw, wypaliliśmy mnóstwo papierosów, jak zwykle, kiedy byliśmy tylko we dwóch. Podczas naszego spotkania więcej było milczenia niż słów, ale wcale nam to nie przeszkadzało. Żaden z nas nie potrzebował nigdy banalnej rozmowy, żeby poczuć się dobrze w towarzystwie drugiego.

Bańka miał się nieźle (przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe po utracie siostry). Nie obnosił się ze swoim smutkiem, który musiał być bardzo głęboki – mnie myśl o Danny wciąż sprawiała wielki ból – okazywał go bardzo dyskretnie, w taki sam sposób, jak zawsze okazywał uczucia. Bańka był twardym facetem, zdolnym znieść bardzo wiele, byle tylko życie zapewniło mu odpowiednią dawkę zadań, na których mógł skupić ciało i umysł, a tych miał ostatnio pod dostatkiem.

Chociaż wolałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej.

– Rozumiem, że jest za późno, żeby namawiać cię do zmiany zdania, prawda?
– zapytałem, kiedy obaj paliliśmy nie wiem którego papierosa.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Teraz kiedy się spakowałem i kupiłem bilet? Przykro mi, młody, ale tak, jest ciut za późno.

– Będę za tobą tęsknił. Kto mi będzie przypominał, że jestem nowicjuszem?

– Mam nadzieję, że nikt. A jeśli ktoś się odważy, będzie miał ze mną do czynienia.

To wyłącznie mój przywilej.

Uśmiechnąłem się.

Zapaliłem kolejnego papierosa i zaciągnąwszy się kilkakrotnie, po chwili milczenia powiedziałem:

– Jedno jest pewne: kiedy wyjedziesz, będę palił znacznie mniej. To dobrze mi zrobi.

– Ja zamierzam rzucić.

– Naprawdę?

– Tak. Widzisz tego papierosa, młody? – zapytał, a potem uroczystym gestem zgasił niedopałek w popielniczce. – To mój ostatni.

– Nie wierzę.

– Tak, tak. Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałeś, że rzuciłbyś palenie tylko dla kobiety? No to chyba teraz moja kolej. Julianne nie znosi dymu.

Nie bardzo wierzyłem w powodzenie tego szczytnego przedsięwzięcia. Kiedyś rzeczywiście miałem podobne postanowienie i trzymałem się dzielnie przez jakiś czas, ale potem owa kobieta zniknęła z mojego życia i zamieniłem ją na paczkę papierosów.

Musiałem jednak przyznać, że związek Bańki i Lacombe miał szansę na długie i harmonijne trwanie. A jeśli ona postanowiła, że mój towarzysz rzuci palenie na zawsze, pewnie się to uda. Z pewnością największą zaletą agentki Interpolu był jej upór, sam miałem okazję się o tym przekonać.

– Wyjdzie po ciebie na lotnisko w Paryżu? – zapytałem. Miałem nadzieję, że odpowiedź będzie twierdząca, w końcu Bańka zmienił dla niej całe życie i zasługiwał na ciepłe przyjęcie.

– No, mam nadzieję – odpowiedział. – Ale jutro nie lecę do Paryża, tylko do Nowego Jorku. Muszę... – Zawiesił głos, wyraźnie zdenerwowany. – Muszę podpisać jakieś papiery spadkowe.

– Spadkowe?

– Tak, zdaje się, że część tego, co zostawiła po sobie ta kobieta, ma przypaść w udziale mnie. – Słowa „ta kobieta” Bańka wypowiedział pogardliwym tonem. Nigdy nie nazywał Lilith po imieniu.

– No, no... To musi być niezła fortunka.

– Nie, tylko ułamek tego, co mi się należy zgodnie z prawem. Wolałbym zresztą nie przyjmować z tego ani centa, ale muszę mieć jakieś fundusze na start w Paryżu.

– Wiesz, co się stanie z resztą?

Bańka się skrzywił.

– Mam nadzieję, że jej majątek przepadnie w piekle, podobnie jak ona.

– Muszę ci się przyznać, że wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć.
– Wiem, wiem... – Bańka spojrzał na mnie z gorzkim uśmiechem. – Następnym razem, jak przyjdzie ci do głowy narzekać na swoją matkę, pomyśl, że mogło być o wiele gorzej.

– Mogę ci zadać pytanie? To delikatna kwestia.

– Wal. Może zapomnę o tym, jak wielką mam ochotę teraz zapalić.

– Jak myślisz, dlaczego Lilith skontaktowała się tylko z Danny, a z tobą nie?

Poszukiwacz westchnął głęboko.

– Nie wiem... ale nie przestaję w kółko zadawać sobie tego pytania. A zrozumiałem wiele rzeczy, rozmyślając o tej historii. Sądzę na przykład, że ta kobieta dowiedziała się o istnieniu Stołu, wychodząc za mąż za mojego ojca. On starannie przechowywał wszystkie dokumenty Warrena Baileya i Bena LeZiona, w których była mowa o poszukiwanej przez nich relikwii. Pewnie wtedy zaczęła obsesyjnie pragnąć ją odnaleźć.

– Poszukiwanie, które trwało całe życie – skwitowałem. – To coś podobnego do historii mojego ojca.

Prawdziwa tożsamość księdza Saula nie była już tajemnicą dla moich przyjaciół.

Bańka pokręcił głową z przekonaniem.

– To nie to samo, młody. Dla twojego ojca, tak samo jak dla ciebie, prawdziwą wartością było poszukiwanie, nie jego cel, a ta kobieta miała chorą obsesję na punkcie przedmiotu, który obdarzy ją nadludzką mocą. Dla Lilith samo poszukiwanie było męczącym i uciążliwym zadaniem. – Milczał przez długą chwilę, a potem dodał: – Może dlatego nie próbowała mnie przekabacić. Ja nigdy nie potrafiłbym spojrzeć na to w taki sposób.

– A Danny tak?

– To skomplikowane, młody... Pamiętasz, jaka była moja siostra... Hermetyczna nawet dla mnie, a podobno to ja znałem ją najlepiej. Ale nie domyśliłem się, że tęskni za matką. Myślałem, że czuje do niej jedynie nienawiść, tak jak ja.

Znów pomyślałem o podobieństwach między historią Danny i jej matki a moją i mojego ojca.

– Czasem wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego Danny to zrobiła – odważyłem się powiedzieć. – Nie wiem, jak postąpiłbym na jej miejscu.

– Ani ja, Tirso, ani ja – zgodził się Bańka. – Myślę, że od momentu, kiedy ta kobieta postanowiła usidlić Danny, ona nie miała żadnej możliwości, żeby się jej oprzeć. Słabo ją pamiętam, ale wiem, że potrafiła doskonale manipulować ludźmi. – Znów przerwał. – To była bardzo toksyczna osoba.

– Kiedy omotała Danny?

– Nie mam pojęcia... Może kiedy moja siostra pojechała do Kalifornii, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie Skrzydłowego... a może już wtedy z nią współpracowała. Bardzo żałuję, że nie zauważyłem tego wcześniej. Żeby uniknąć katastrofy.

– Nie powinieneś się tym zadrećzać – powiedziałem. – Czeka cię teraz wiele wyzwań, dobrze, żebyś się na nich skupił.

Bańka uśmiechnął się lekko.

– Wiesz co, młody? Nagle zacząłeś brzmieć dokładnie tak samo jak Staruszek, on lubił udzielać podobnych rad... Dokonasz wielkich rzeczy, Faro, i szkoda, że nie będę mógł ich zobaczyć, mówię to najzupełniej szczerze.

– Nic prostszego, po prostu zostań – próbowałem go przekonać w ostatnim desperackim wysiłku.

Pokręcił głową.

– Muszę zacząć od nowa. Nigdy nie przestanę myśleć o Danny otoczony rzeczami, które będą mi ją nieustannie przypominać.

– Trudno będzie znaleźć kogoś na twoje miejsce.

– No jasne, jestem bardzo dobry. Ale masz fajną ekipę na start i jestem pewien, że sobie poradzisz. Masz wielki talent, młody.

Głód nikotynowy dopadł go prędzej, niż przypuszczałem, zaczął mi nawet prawieć komplementy.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał wrócić, będę na ciebie czekał.

– Dzięki. Kto wie? Może zaczniemy z Julianne się kłócić, a może stanowisko w Interpolu nie jest dla mnie. Mówią, że pary nie powinny pracować w tym samym miejscu, to źle robi związkowi.

– Mam nadzieję, że to nieprawda. W końcu jedziemy na tym samym wózku.

Wybuchnął śmiechem. Nieczęsto mu się to zdarzało, a szkoda, bo jego śmiech był bardzo zaraźliwy.

– No tak, zupełnie zapomniałem – powiedział. – A masz jakieś porady dla mnie jako eksagent Interpolu? Teraz to ja będę nowicjuszem.

– Tylko jedną. Może powinieneś zacząć słuchać więcej muzyki klasycznej. Twoja nowa szefowa za nią przepada.

– Julianne nie będzie moją szefową, raczej koleżanką z departamentu, mam w końcu swoje CV... Poza tym zawarliśmy układ: ja przestanę palić, a ona nie będzie mnie torturować barokowymi ariami.

– Spryciarz z ciebie – przyznałem. Wyjąłem z paczki dwa papierosy, ostatnie, które zostały, i podałem jeden Bańce. – Wiem, że się zarzekałeś, że tamten był ostatni, ale chciałbym powtórzyć nieco bardziej uroczystie twoją Ceremonię Pożegnania z Tytoniem. Będę za tym tęsknił. Enigma nie pali.

– Lepiej zacznij się przyzwyczajać do myśli, że i ty będziesz musiał rzucić, młody – powiedział. Wziął papierosa i wsunął do ust. – Niech tam, ostatni raz w wykonaniu dwóch najlepszych na świecie Kawalerów Poszukiwaczy.

Zapaliliśmy i milczeliśmy w gęstniejących smugach dymu.

Wszedłem do Narodowego Muzeum Archeologicznego wejściem dla zwiedzających, jakbym był jednym z nich. Zbliżyłem się do lady, zza której sympatyczna kobieta uśmiechnęła się do mnie.

– Bilet dla pana? – spytała.

– Nie, dziękuję. Szukam Daniela Urquija, mówił, żebym tu o niego zapytał.

– Tak, tak. Proszę sekundkę poczekać.

I kobieta ruszyła na poszukiwanie ochroniarza, który poprosił, żebym poszedł za nim. Ku mojemu zdumieniu wyprowadził mnie z muzeum i powiódł w kierunku monumentalnego wejścia z XIX wieku, które otwierano tylko na specjalne okazje.

I właśnie przez nie weszliśmy znowu do środka.

Urquijo, adwokat Korpusu, czekał na mnie w pierwszym saloniku.

– Spóźniłeś się – powiedział.

– Przepraszam, zagnałem się z Bańką i trochę się zasiedziałem.

– Agenci Korpusu nie powinni się zadawać z jego byłymi członkami, to niepisana zasada.

– Mam wrażenie, że wiele tych zasad trzeba będzie napisać od nowa, a właściwie „nie napisać”. Rozumie pan, o co mi chodzi, mecenasie – zażartowałem.

Urquijo westchnął.

– Tak, tak właśnie sobie wyobrażałem...

– Dlaczego wprowadzono mnie przez te drzwi?

– Bo to specjalna okazja, Faro, myślałem, że jesteś tego świadomy. – Zlustrował mnie niechętnym spojrzeniem. – I że ubierzesz się stosownie.

– Czemu? Szykuje się jakaś impreza?

Adwokat znów westchnął. Chyba uważał, że nie ma dla mnie ratunku.

– Odpowiednie władze zaaprobowały wznowienie działalności Narodowego Korpusu Poszukiwaczy – poinformował uroczystym tonem, jakby odczytywał właśnie oficjalny dokument. – Jako prawnik rzeczonyj organizacji muszę przekazać jej nowemu dyrektorowi, że od tej chwili jest osobą wyłącznie odpowiedzialną za koordynowanie jej działalności oraz zachowanie jej w sekrecie zgodnie z Królewskim dekretem z 2 września 1981 roku, zatwierdzonym przez Jego Wysokość Alfonsa XIII. Nowy dyrektor Narodowego Korpusu Poszukiwaczy musi przyrzec, że będzie wypełniać wszystkie artykuły wyżej wymienionego Królewskiego dekretu, jeśli nie będą stały w sprzeczności z obowiązującymi przepisami prawa. Zrozumiałeś?

– Mniej więcej.

– Więc powiedz: przyrzekam.

– Ach tak, przyrzekam.

Trzecie westchnienie adwokata.

– No dobrze, jeśli o mnie chodzi, formalności stało się zadość.

– To wszystko? – zapytałem. – Oficjalnie jestem szefem?

– Tak, obawiam się, że tak – odparł Urquijo zrezygnowany. – Proszę cię, Faro, spróbuj nie robić głupstw. Odpowiedzialność, która spoczywa teraz na twoich barkach, to wielki przywilej. Bierz przykład z poprzedników, a wszystko będzie w porządku.

– Mój bezpośredni poprzednik nie wydaje mi się wzorem godnym naśladowania. Próbował mnie zabić.

Adwokat nerwowo zakasłał.

– Obiecywałeś, że nie będziesz o tym wspominał.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że nie zdołam się oprzeć pokusie grania na nerwach sztywnemu mecenasowi.

– Chcesz przyjąć pseudonim Narváez? – zapytał Urquijo. – To zwyczajowy

przydomek większości dyrektorów Korpusu, na cześć jego założyciela.

– Kolejna niepisana zasada?

– Mniej więcej.

– Więc to będzie pierwsza, którą na razie odłożymy na bok – powiedziałem.

– Nadal chcę mieć przydomek Faro i, jeśli to możliwe, chciałbym, żeby moi następcy też nie nazywali się Narváez. Choćby nie wiem jak się starali, nikt nie dorówna Staruszkowi.

– To już nie ode mnie zależy. – Potem spojrzał na mnie z prawdziwym zainteresowaniem, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. – Widzę, że przemyślałeś już wiele rzeczy...

Ucieszyłem się, że Urquijo odniósł takie wrażenie. Prawda była taka, że czułem mrowienie w żołądku, a ręce mi drżały, tak że musiałem je schować do kieszeni, żeby adwokat tego nie zauważył.

Urquijo wręczył mi błękitną przepustkę z moim nazwiskiem. Przyjmując ją, poczułem wielkie wzruszenie.

– Kiedy będę mógł wejść do Piwnicy? – zapytałem.

– Kiedy zechcesz. Twoja ekipa czeka już na ciebie, żeby otrzymać pierwsze polecenia. Nie zabieram ci więcej czasu, żebyś mógł do nich dołączyć.

– A ty nie przyjdiesz?

– Mam mnóstwo papierkowej roboty i kilka spotkań. Nie tak łatwo wznowić działalność takiej organizacji. I nie wyobrażasz sobie nawet, ile głosów sprzeciwu wywołało powołanie cię na szefa. Niektórzy uważają, że jesteś zbyt niezależny.

– Wspaniale. Znaczy, że podjęli słuszną decyzję.

Urquijo westchnął po raz czwarty.

– Mam nadzieję, panie dyrektorze, wiele ryzykuję, stawiając na ciebie. – Wziął teczkę i poprowadził mnie do drzwi. W ogrodzie, przy wejściu prowadzącym do repliki Jaskiń z Altamiry, pożegnaliśmy się. – Jutro z samego rana spotkam się z tobą w Piwnicy. Muszę wyjaśnić ci wiele rzeczy – Uśmiechnął się złośliwie. – Będziesz musiał w najbliższych dniach sporządzić wiele długich i pasjonujących raportów. Do widzenia.

Niesamowite. Okazało się, że Urquijo ma, specyficzne, bo specyficzne, ale jednak poczucie humoru.

Ruszyłem do Piwnicy, naszej kwatery głównej.

Drżały mi kolana, nie mogłem powstrzymać wspomnień mojego pierwszego dnia w Korpusie. Złożyłem ślubowanie przed Narvaezem w obecności Bańki. Pomyślałem, że była to doniosła chwila w historii Korpusu: trzech dyrektorów w jednym gabinecie... Oczywiście w tamtej chwili żaden z nas nie był tego świadomy.

To dość oczywiste, wszystko, co wydarzyło się potem, nie było łatwe do przewidzenia.

Moją błękitną przepustką otworzyłem drzwi do Piwnicy, zakamuflowane w replice Jaskiń z Altamiry. Po metalowych schodkach zszedłem do recepcji naszej kwatery głównej. Mój wzrok spoczął na emblemacie Korpusu: kolumnie i ręce chwały w płomieniach.

Pod emblematem czekali na mnie Enigma i Yokai.

Moja ekipa.

Enigma patrzyła na mnie wyczekująco.

– Już? – zapytała. – Już nim jesteś?

Na moich ustach pojawił się najszerszy uśmiech świata.

– Macie przed sobą nowego dyrektora Narodowego Korpusu Poszukiwaczy.

Enigma aż podskoczyła z radości, a potem ucałowała mnie w policzek.

– Gratulacje, kochanie!

– Tak, kochanie, gratulacje – dodał Yokai, który opierał się na blacie. – Ja też mam cię pocałować?

– Ani się waż, podrapałbyś mnie tą swoją bródką, którą zacząłeś zapuszczać – odparłem. – Kawalerze Poszukiwaczu Yokai, mam nadzieję, że jutro stawisz się w pracy starannie ogolony, a nie z tą szczecina na twarzy.

– Pocałuj mnie w dupę! – rzucił, dając dobitny wyraz swojego szacunku dla mojego nowego stanowiska. Oczywiście nie spodziewałem się po nim niczego innego. – Gdzie jest mój gabinet? Chciałbym, żeby był wielki!

– Twoja stara też by chciała – powiedziałem, nie mogąc się powstrzymać. – Wiesz, kiedy ja zostałem Poszukiwaczem, umieścili mnie w kanciapie, którą musiałem dzielić z innym nowicjuszem.

– Och, daj spokój – powiedział chłopak płaczliwym tonem. – Obiecałeś mi gabinet!

– Przestań już jęczeć i chodź tu. – Zaprowadziłem go do dawnego warsztatu Tesli. Większość komputerów i innych gratów nieżyjącego Poszukiwacza nadal tam była. Kiedy otworzyłem drzwi, Yokai zrobił minę jak dziecko otwierające urodzinowy prezent. – To jak, podoba ci się?

– Ja pierdolę! – wykrzyknął. Rzucił się na komputery Tesli i zaczął je włączać, wszystkie naraz.

Enigma weszła za mną do środka i patrzyła na niego.

– Jaki z niego słodziak. – Wzruszyła się. – Chciałabym go w prezencie na urodziny. Możemy go adoptować?

– To żart... prawda?

Roześmiała się głośno.

– Szkoda, że nie widziałeś swojej miny. – Jej delikatny pocałunek w ucho sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. Żałowałem, że nie jesteśmy sami.

– A ty? Też chcesz nowy gabinet?

– Och, nie, słonko, moje stare biurko w recepcji będzie doskonałe. To miejsce potrzebuje jakiejś miłej twarzy, która witałaby gości. Inaczej mogliby się wystraszyć.

Jeden z komputerów się zawiesił, a z ust Yokaiego popłynął strumień bluzgów.

– Chyba masz rację – powiedziałem.

Zostawiliśmy chłopaka z jego nowymi zabawkami, a sami przeszliśmy się po Piwnicy, trzymając się za ręce, jak para nowożeńców oglądająca swoje nowe mieszkanie. Chyba był to kiczowaty obrazek... ale czułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zatrzymaliśmy się przed gabinetem Bańki. Nie opróżnił go ze swoich rzeczy, nie chciał ich zabierać. Na ich widok ogarnął mnie smutek.

– Nie wiem, co zrobić z tym gabinetem.

– Zostaw wszystko tak, jak jest, kochanie, mamy wystarczająco dużo miejsca. A kiedy wróci, zastanie wszystko nietknięte.

– Kiedy wróci?

– Wróci, możesz być tego pewien – orzekła z przekonaniem wróżki potrafiącej przepowiadać przyszłość. – Ty wróciłeś.

Z całych sił pragnąłem, żeby miała rację.

Przemierzaliśmy dalej Piwnicę, zastanawiając się, jak urządzimy resztę gabinetów. Miałem wiele pomysłów, chciałem zrobić nowy warsztat dla Alfy i Omegi, żeby mogli pracować jak najbliżej nas, ale też przygotować obszerny gabinet dla Pioruna. Najlepszy Poszukiwacz w historii Korpusu zasługiwał na to.

– Szkoda, że dziś go tu nie ma – powiedziała Enigma. – Moglibyśmy powitać cię bardziej uroczyście.

– Wiesz, jak to jest. Piorun musi załatwić papierologię w związku ze swoim zmartwychwstaniem. Urquijo mu w tym pomaga.

Adwokat był w tej kwestii nieprzejednany, ojciec nie mógł zostać przyjęty z powrotem do Korpusu, dopóki nie dopełni wszystkich formalności. A dopóki tego nie zrobi, nie będzie miał wstępu do Piwnicy. Pewnie mógłbym skorzystać ze swojej nowej pozycji, żeby zmusić adwokata do zmiany decyzji, ale postanowiłem dawkować sobie korzystanie z prerogatyw szefa. Póki co, postanowiłem nie dawać upustu dyktatorskim zapędem.

Zakończyliśmy z Enigmą obchód Piwnicy w największym gabinecie, będącym kiedyś Sanktuarium Narvaeza.

Kiedy pomyślałem, że zajmę jego miejsce, lekko zakręciło mi się w głowie.

Patrzyłem w milczeniu na gołe ściany.

– Teraz będziesz musiał urządzić go według swego uznania – powiedziała Enigma.

– Mam kilka pomysłów.

– Na przykład jakich?

Pokazałem na ścianę, pod którą stało biurko z emblematem Korpusu.

– Tam zawieszę oprawioną w ramki dewizę: *Nemo me impune lacessit*. Tę samą, którą miał Staruszek, to będzie coś w rodzaju hołdu dla niego... A tu powieszę drugą.

– Jaką?

– *Deus est numerus*.

Enigma pokiwała głową.

– Kochanie – odezwała się po chwili. – Masz koszmarny gust, jeśli chodzi o wystrój wnętrza.

– Dobrze, więc zostawię to w twoich rękach.

– Nie ma mowy. To ma być twoje Sanktuarium. – Na jej ustach pojawił się złośliwy uśmiešek. – Będę mówić nowym agentom, że nikt nie ma prawa tu wchodzić, jeśli go nie zaprosisz, tak jak za czasów Staruszka... To przyda ci tajemniczości.

Z uznaniem przyjąłem ten pomysł.

– Podoba mi się to – powiedziałem. – Aura tajemniczości... I nowi agenci też.

– Och, tym zajmę się ja. Jak nikt znam się na zasobach ludzkich.

Oczywiście się zgodziłem. Nie zapomniałem o tym, że to Enigma pierwsza

zwróciła uwagę na Yokaiego i jego zdolności, które później tak bardzo nam się przydały. Oficjalnie powierzyłem jej zadanie rekrutowania nowych Kawalerów Poszukiwaczy i muszę przyznać, że się nie zawiodłem.

Wkrótce zespół składający się z Yokaiego, Enigmy, Pioruna i mnie zaczął się powiększać. Podjęliśmy się wielu misji poszukiwania zaginionych skarbów i w każdą wkładaliśmy cały nasz zapał i zaangażowanie. Odnieśliśmy wiele sukcesów, spotkało nas też kilka porażek, a wiele przygód było równie pasjonujących jak przemierzanie połowy świata w poszukiwaniu Ołtarza Imienia nad Imionami.

Jeśli chcecie, mógłbym opowiedzieć wam te historie, i być może, słuchając ich, odkrylibyście, że żadna nie jest lepsza od innej, gdyż wszystkie składają się na jedną i tę samą opowieść.

Opowieść, która nie ma końca, jak idealne poszukiwanie.

POSŁOWIE

Wiele z faktów przytoczonych w tej książce jest prawdziwych, inne są wytworem mojej wyobraźni. Niech czytelnicy sami rozstrzygną, które są które.

Chciałbym jednak zaznaczyć, że teoria, według której starożytne kultury mogły osiągnąć wysoki poziom rozwoju nawet w otoczeniu tak nieprzyjaznym jak Puszcza Amazońska, jest absolutnie prawdziwa i coraz powszechniej akceptowana w środowisku akademickim. Studium autorstwa Michaela Heckenbergera *The Ecology of Power: Culture, Place and Personhood in the Southern Amazon* dostarcza o wiele solidniejszych dowodów niż niniejsza skromna powieść przygodowa.

Chociaż Puszcza Amazońska jest miejscem jak najbardziej rzeczywistym, sprawia wrażenie krajobrazu z zupełnie innej planety. Odtwarzając tę scenerię, oparłem się na relacjach z podróży eksploratorów o wiele bardziej doświadczonych niż ja, byli to: Joe Kane (*Z nurtem Amazonki*), Peter Fleming (*Brazilian Adventure*), Theodore Roosevelt (*Trough the Brazilian Wilderness*) i David Grann (*Zaginione miasto Z*). Aha, spieszę donieść, że pluszowe gąsienice istnieją naprawdę, i tak, anakondy potrafią otwierać suwaki.

Ukończywszy pracę nad trylogią tak obszerną jak „Poszukiwacze”, myślę o wielu osobach. W pierwszej kolejności – nie może być inaczej – o moich czytelnikach, którzy wytrwale śledzili perypetie Tirsa i jego przyjaciół. Niektórzy, przeczytawszy kolejne tomy, byli tak mili, żeby opublikować recenzje na rozmaitych blogach. Bardzo wam wszystkim dziękuję. Mam nadzieję, że zamknięcie trylogii nie zawiodło waszych oczekiwań.

A żeby książka mogła dotrzeć do wszystkich tych osób, konieczna była współpraca z wydawnictwem, która przebiegała wspaniale. Wszyscy członkowie zespołu Plaza y Janés, dzięki którym ukazali się „Poszukiwacze”, zasługują na wspomnienie, począwszy od Alberta Marcosa, niezwykle redaktora obdarzonego niesamowitą cierpliwością. Chciałbym również podziękować Isabel Blanco i Leticii Roderó za ich starania, żeby trylogia dotarła do jak najliczniejszych czytelników.

Pisanie „Poszukiwaczy” i prowadzenie, choćby w minimalnym stopniu, życia towarzyskiego stanowiło nie lada wyzwanie. Na szczęście okazało się to wykonalne dzięki moim cudownym przyjaciołom, którzy umożliwili mi spotkanie się od czasu do czasu z ludźmi niebędącymi wytworem mojej wyobraźni. Chciałbym szczególnie podziękować Rodrigowi, dzięki któremu odkryłem niesamowitą historię Błazowej Tabliczki z Luzagi (to już jego drugi wkład w tę trylogię), Patricii, która nadała imię Indiance Sicie, i Victorowi, który być może któregoś dnia powie mi, czy rzeczywiście Danny i Lilith spotkały się w barze Freeway, kiedy on stał za kontuarem. Chcę również podziękować Barbarze, Carlosowi, Ignaciowi, Isaacowi i Marcie. Kochani, wreszcie skończyłem!

Oczywiście zawsze najwierniejszymi fanami pisarza są członkowie jego rodziny. Moja nie jest tu wyjątkiem, stale mnie wspiera i dodaje mi sił. Jeszcze nie wiem, jak jej za to podziękować.

A wam dziękuję, że śledziliście przygody Tirsa do samego końca. Mam nadzieję, że była to przyjemna podróż.

L.M.M.